



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1750

WACŁAW KAWCZAK

MILKNĄCE ECHA

WSPOMNIENIA Z WOJNY 1914—1920

WYDANIE DRUGIE

SKŁAD GŁÓWNY
WACŁAW PAWŁOWSKI
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
WARSZAWA
MCMXXXVI



*Cieniom poległych Towarzyszków
broni wspomnienia tę poświęca*
AUTOR

1750

1620

STANISŁAW KAWCZAK

MILKNAĆE
ECHA

WYDANIE II

SKŁAD GŁÓWNY
WACŁAW PAWŁOWSKI, KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
WARSZAWA, ŚW. BARBARY 1
MCMXXXVI

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

*Odbito w Zakładach Graficznych
Tow. Wyd. »B L U S Z C Z«
Warszawa, Sołec 87. Tel. 244-18*

*W śmiertelny tan, w piekielny bój.
Gdy świt się pierwszy budzi,
Przez polski lan, przez trud i znój,
Szedł łańcuch szarych ludzi.*

*Wśród huku dział, bez pieśni słów,
Choć słońca żre spiekota,
Ich poniosł szal do sławy znów,
— To piechota!*

Autor nieznanym.

ROZDZIAŁ I.

Dwudziestego siódmego lipca 1914 r. w porze południowej na podwórzu koszar 20-go austriackiego pułku piechoty w Krakowie przy ul. Rajskiej odbył się uroczysty podział wart.

Jako dowódca jednej z wart zaciągnąłem strażę w cywilnem więzieniu św. Michała. Gdy ciężka brama więzienna została zamknięta i posterunki rozstawione, wyszedłem na podwórze, by przyjrzeć się spacerującym więźniom. Szli parami w bratniej zgodzie: lowelas z monokłem w oku obok indywiduum z podciemnej gwiazdy z wkręconym w ucho koleczykiem, wieśniak z pocziwie głupią miną obok żyda w chałacie, słowem cała gama przestępczości.

Czas szybko uchodził na obserwacji i kontroli, noc przesłała, dzień wstał jak zazwyczaj. Nic nie wiedziałem, ani moi ludzie, co się tymczasem za murami działo.

Dopiero gdy nadeszło południe, a mająca nas zluźować warta nie nadchodziła, ani też posiłku nie otrzymaliśmy, zaniepokojony zwróciłem się telefonicznie do dowództwa pułku. Nikt nie odpowiadał. Zacząłem szturmować do Komendy Miasta. Na próżno. Wreszcie koło 6-ej po południu, zdumionych i głodnych zluźowała nas, Boże przebacz! — policja wojskowa. Coś zaczęło nam świtać — a szeregowiec Paździornicki, zwany „Pazurem“, decydująco odrzekł: — Pewnikiem wojna.

— Zaś tam... — zaszemrali koledzy.

Wyszliśmy na dwór. Głucho dudniały po Senackiej ulicy

kroki naszych, ciężko podkutych butów. Zdziwił nas panujący ruch na ulicy Grodzkiej, dziwnie gorączkowe gesty, podniecone twarze, szept...

Patrząc na ogromny afisz, — widać, że jakaś odezwa: Po jednej stronie napis: „An meine Völker“, po drugiej: „Do moich ludów!“ — i dużo druku pod spodem — a podpisany Franz Joseph. — Do moich ludów... hm... Jeśli pisze „do moich ludów“, myślę sobie, widocznie ma ważne ku temu powody. Przy najbliższej odezwie zakomenderowałem: Wache, halt! — sam podbiegłem i przeczytałem, że cesarz, i król, i w. książę i t. d., choć mu się serce kraje, jedynie miłością i dobrem ludów kierowany, „musiał zbrodniczym“ Serbom wydać wojnę i t. d. Podszedłem do oddziału ze słowami: — No, chłopcy, wojna z Serbią. Teraz se śpiewajcie o... wojnie. Ale chłopcy milczeli... i wlekliśmy się ogołoconemi z woj-ska ulicami.

Wojna! Ta wojna, o którą modlił się Mickiewicz. Zaskoczyła mnie ona teraz, choć od czasu aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austrię, widmo jej złowrogiem cieniem zaścieliło Bałkan. Właściwie od dnia zamordowania pary arcyksiężęcej w Sarajewie wiedzieliśmy, że dyplomacja już rolę swoją skończyła, że armaty rozstrzygną powikłania w kotle bałkańskim. Niemal nazajutrz po morderstwie dowództwo naszego korpusu nakazało bardzo forsowne ćwiczenia bojowe. Już na paradne marsze i koszarowe formalności nie zwracano większej uwagi, zato z zadziwiającą intensywnością tłukliśmy dzień w dzień ataki, tyraljery, ostre strzelanie. Po całodziennych ćwiczeniach byliśmy tak znużeni, że kto mógł, kładł się na łóżko i odpoczywał. Nie czytaliśmy też gazet i nie wiedzieliśmy, że tymczasem w zaciszu gabinetów wypracowywano mobilizację.

Wojna z Serbią siłą rzeczy pociągnie za sobą wojnę z Rosją — o tem ani na chwilę nie wątpiłem.

Wojna?! — myślałem, maszerując przez rynek krakowski. Co ona nam Polakom przyniesie? Nowe rozbiory, nową niewolę, czy też zmartwychwstanie? Co nas czeka, mnie, rodzinę, znajomych?... Jaką my Polacy w tej wojnie odegramy rolę? — Przed służbą wojskową brałem żywy udział w pracy niepodległościowo-strzeleckiej, i jako członek Związku Walki Czynnej kierowałem się polską racją stanu, ale od 10-ciu miesięcy pochłonięty służbą i życiem koszar, zatraciłem kontakt z kolegami uniwersyteckimi, stąd też cały szereg zasadniczych posunięć o znaczeniu ogólnonarodowem uszedł mojej uwagi.

W wojsku austriackiem umiano doskonale zabijać w żołnierzu i nawet w oficerach zainteresowanie się życiem publicznem, wskutek czego wyrosła przepaść między wojskiem a społeczeństwem. Społeczeństwo polskie, bądźmy sprawiedliwi, też ze swej strony nie starało się trafić do duszy żołnierza, co było ostatecznie zrozumiałe, gdyż był to żołnierz obcego, zaborczego państwa. Wojsko było dla ogółu ludności polskiej bądź nietykalnem „tabu“, bądź wrogiem. A tymczasem w szeregach naszych były serca polskie. To też żołnierz zakuty w mundur zaborczej armji szedł omackiem, sam sobie torując drogę w splocie zagadnień.

W koszarach zastaliśmy zamęt, śmiecie i pustkę. Pułk wymaszerował nocą niewiadomo dokąd. W ogromnym budynku był tylko feldfelbel z 1-go pułku piechoty, który oznajmił mi krótko: „szlusować do regimentu“. A gdzie regiment?! — pytam. Wzruszył na to Niemczyisko ramionami: — Wenn ich wüsste?... * Zwróciłem się do swych 8-miu ludzi: — idźcie, chłopcy na górę spać. — Kiedy łózek niema. — No to na ziemi. Kto jaki cent ma, niech kupi kielbasy, chleba, a jutro pójdziemy za pułkiem.

Gdy się rozeszli, pobiegłem do swych kuzynów, by się z nimi pożegnać. Załatwiłem tę wizytę i poszedłem na miasto, by na ostatek... użyć życia. Ale pusto i głucho było wszędzie. W Krakowie stał wówczas ogromny garnizon austriacki, była to potężna twierdza, siedziba korpusu i t. p. równorzędnych władz. Wybuch wojny momentalnie zmienił fizjognomję miasta.

Jakaś potrzeba wywnętrzenia się i zorientowania w powodzi wypadków zagnała mnie do Domu Akademickiego. Wiedziałem, że tam koledzy mówią o bieżących wypadkach. Istotnie, w sali bilardowej wrzało. Dyskutowali wszyscy. Ogólnie znać było u wszystkich troskę i niepewność. Powszechne było mniemanie, że wybuch wojny na Bałkanie pociągnie za sobą wmieszenie się Rosji; że w historii naszej otwiera się nowa karta, w której po raz pierwszy od czasów rozbiorów, mocarstwa zabiorcze zbrojnie wystąpią przeciwko sobie, i że w tej przełomowej chwili nie wolno nam pozostać biernymi, lecz za wszelką cenę musimy dążyć do zbrojnego udziału. Przeważał pogląd, że Austrija i Rosja zagarną do wojska wszystkich zdolnych do broni, zatem o ile istniejące formacje strzeleckie wezmą udział w wojnie, należy wstąpić w ich szeregi; lepiej zginąć z honorem w polskich oddziałach, niż z piętnem heloty w armji austriackiej czy rosyjskiej. Taki mo-

*) Czy ja wiem?

ment nie powtórzy się, więc należy korzystać z okazji, bo druga nie zdarzy się prędko. Pożegnałem ich i powlokłem się do koszar, wając w myśli, co robić. Zdezarterować?! — ...Jakoś z tem nie mogłem się pogodzić.

Gdybym poszedł z nimi, to nietylko spełniłbym moralny obowiązek walczenia w szeregach strzeleckich, ale miałbym również radość współżycia z kolegami, podczas gdy w armji austriackiej czekała mnie tylko żmuda, przymus, nieufność, jeśli nie nawiść ze strony Niemców.

Zatopiony w myślach ledwo zauważyłem, że znalazłem się w odrzwiach olbrzymiej bramy koszarowej. Gdy posterunek ją zamknął, zdało mi się, że zatrzasnęły się za mną drzwi więzienia.

A teraz wyprostowany idę do izby. *Alea iacta est*. Jestem żołnierzem i tylko żołnierzem. Cóż mi w rezultacie powiedzieli koledzy — coś konkretnego? Oni wszyscy w cywilu filozofują, może pójdą walczyć, może nie... a ja muszę. Sprawa załatwiona.

Stojący na korytarzu feldfelbel powitał mnie słowami: „wyfasuje pan dla siebie i dla ludzi pełny wojenny ekwipunek, amunicję ostrą, rezerwowo poreje żywnościowe, a potem odmarsz, dyrekcja Borek Fałęcki przez Podgórze“. — Teraz w nocy? zapytałem. — Natychmiast! — odpowiedział z naciskiem.

Co było robić? — Poszedłem na górę do swoich ludzi. Zaczęliśmy przymierzać wojenny ekwipunek; a kiedyśmy zrzucili pokojowe granatowe mundury i przywdziali polowe, popielate — zrobiło się nam dziwnie przykro. To już nie ćwiczenia, nie manewry, ale prawdziwa wojna. Już nie papierem nabite naboje, ale żelazem.

Rozluźniła się we mnie dyscyplina, zaprosiłem wszystkich żołnierzy do kantyny na piwo, a potem zamiast nocą, jak chciał feldfelbel, maszerować do pułku, kazałem im w izbie spać, by sił nabrać, by się zbyt nie spieszyć, jak mówiłem pod wpływem kilku kufla piwa... do snu wiecznego.

Wczesnym rankiem nazajutrz stanęliśmy przed koszarami w pełnym polowym uzbrojeniu. Jakżeż inaczej wyglądaliśmy wczoraj. Idący obok cywile patrzą na nas z jakimś jakby współczuciem, co tak zirytowało „Pazura“, że zaczął na nich pyskować.

Skarciłem go za to i już miałem zamiar zakomenderować: — Odmarsz! — gdy z ulicy Dolnych Młynów wyłonił się pluton żołnierzy, nie austriackich... ale strzelców polskich. Szli równo i posuwicie, z boku trębacz grał strzeleckiego marsza, aż miło. Popatrzyłem na swoich ludzi. Hej! a możebyśmy tak do nich do-

szlusowali, bo ma być wojna z Moskalami, a oni pewnie na nią pójdą. Na to „Pazur“, który zdawał się czytać moje myśli: — Ano lu..., jednoroczny panie kapral! Tak mnie zawsze tytułował. I... gdyby w tej chwili licha nie przyniosło majora dragonów, który zaczął mnie indagować gdzie, skąd, dokąd idziemy — kto wie, jakby się losy nasze dalej potoczyły. W trakcie tego strzelcy znikli na zakręcie, a my c. k. żołnierze w obliczu odpowiedzialności za dezercję, o której nie omieszkaliśmy pouczyć... pomaszerowaliśmy do Borka.

W dwie godziny potem meldowałem się z ludźmi w Borku Fałęckim u dowódcy kompanji, kapitana Witteka. W tym czasie i przez następne trzy dni nadciągały oddziały rezerwistów; więc ludzie w wieku do lat 42-ch. Chłopy wąsate, brodate, jaki taki z babą, a także i z dziećmi przyszedł. Płaczu i kwilenia niemało, aż smutno patrzeć. Kwatery nasze, to jest żołnierskie, urządzone w hali fabrycznej. Śpiemy pokotem na słomie. Leżę w pstrem świetle syczącej lampy spirytusowej i medytuję Pan Bóg wie o czym. Na wojnę nie było mi spieszno. Austrija ma swój wtem interes, ale my Polacy? — Leżący obok jednoroczny Bobak jest zdania, że w każdym razie wojna między Austrią i Rosją zakończy się porażką jednego z tych państw. Wtedy zabrana część Polski będzie wcieloną do innego zaboru, a zatem ilość zaborców zmniejszy się do dwóch. Możemy więc spokojnie przypatrywać się walce i oczekiwać końca. Do rozmowy wmieszał się jednoroczny Uryga. — No, a zabór pruski, przecież tam cztery miliony rdzennych Polaków, a Gdańska chyba też się nie wyrzekniemy. — Ho! zauważył kadet Banach, i o Gdańsku się wam marzy. Myślicie, że Prusacy wypowiedzą wojnę Rosji? — Napewno, żywo podchwyciliśmy, przecież jest austriacko-niemieckie przymierze zaczepno-odporne i napewno Francja otrzyma instrukcje z Berlina. — No, to w takim razie twierdził Kobylecki, Niemcy i Austrija zwyciężą i figę nam dadzą, a o Poznańskiem nawet szkoda marzyć. Dobrze będzie, jak się skończy na autonomji Królestwa Polskiego, coś naksztalt Księstwa Warszawskiego.

Powstaliśmy na baczność, bo nadszedł popularny w pułku i lubiany porucznik Dobrodzicki Jerzy i z miejsca huknął: — O czymże tak, byki radzicie, siadajcie na zadku, bo i władza chce nogi wyprostować. — To mówiąc, rozciągnął się na słomie. Pousiadaliśmy dookoła, zaś Dobrodzicki, wysłuchawszy naszych politycznych objekeyj, zakonkludował: — Na tych obwiesiów z Ber-

lina, Wiednia czy Petersburga niema co liczyć. Szkoda, psiakrew, że musimy w austriackich pułkach walczyć, zamiast we własnych drużynach. — No to dezertujemy do Strzelców! — rzucił zapalczywie jednoroczny Surman. Zamilkli wszyscy, rozmyślając nad tem, gdy do hali fabrycznej wszedł podpułk. Mitterreger. Wtedy rozeszliśmy się, jak na komendę.

Zaszedłem do karczmy. Pijaństwo tam kwitło niebywałe. Spocony, gruby żyd z całą rodziną (było tego coś ze 14-ścioro) nabijał jedną po drugiej ćwiartówkę piwa. Pili wszyscy, szeregowcy i podoficerowie i oficerowie. Piły też rodziny za żołnierzami aż tu przybyłe. Jakaś demokracja zbratała stany, rasy i różnicę wieku. Czterdziestoletni rezerwowy „leutnant“ mówił do 21-letniego „ty“ i naodwrot. Słysząc niemiecki język i czeski, przeważnie jednak polski w góralskiej gwarze, jako że 20-ty pułk piechoty rekrutował się przeważnie z powiatu sądeckiego, limanowskiego i nowotarskiego. Góralszczyzna też dominowała, zwłaszcza, że i rezerwowych oficerów, a i sporo zawodowych rekrutowało się z pośród górali.

Już trzeci dzień staliśmy w Borku, t. j. 3 bataljony w wojennym stanie po tysiąc ludzi. Czwarty bataljon ruszył kilka dni przedtem z Bośni do Serbji. Już zaczęliśmy przypuszczać, że może i wojny nie będzie, gdy porucznik Dobrodzicki kazał zatrąbić alarmową zbiórkę.

Wybiegliśmy na ogromny dziedziniec fabryczny w przekonaniu, że już, już wymaszerujemy, ale kazano nam broń i rynsztunek zostawić w fabryce. Zeszło się tedy trzy tysiące ludzi w gromadzie bez żadnej organizacji, w pobok zebrali się niemal wszyscy oficerowie, a było ich chyba z 80-ciu, poczem por. Dobrodzicki wylaźł na olbrzymią bekę, jaka stała w kącie podwórza, zdjął czapkę, obtarł spocone czoło i zaczął mówić: — „Hej! narodzie polski. Siedzę se w najlepsze w karczmie, piję piwsko, dobrze mi było, a tu ordynans pana oberszta każe mi się u niego meldować. Lecę, pytam poco, naco, a tu mi pan oberszt kazuje mowę do was wypalić. O czemże mam wam mówić? aha! — o wojnie. No to nima co, — pójdiesz jeden z drugim i zginiesz z honorem na polu chwały, muzyka ci zagra, parada będzie, jak jasny pieron. Umrzeć i tak każdy musi. Zginiesz na wojnie to przynajmniej umrzesz w polu, muchy nie będą ci brzęczeć i paskudzić pyszczydła, słonko się będzie śmiać, — ty, stary, co się tam drapiesz? Widzisz go, jak mu się cni do baby. I tak już kto inny ją będzie obrabiać, taki ani na wojnę nie pójdzie, tylko na

rozplódek; bo jest mądry. Zrozumieliście byki, i żeby mi nikt jak będzie ranny, nie płakał. Sznurkiem ranę zgóry przewiązać... i dymaj, bracie, do szpitala, a jeno patrz po drodze, by ci głowy szrapnel nie zerwał. — Ale zato po wojnie, hej! Wracać będziemy naturalnie, jako zwycięzcy. Wszystkie miasta, wsie i miasteczka będą nas witać, fany *), muzyki — stęsknione dziewczki ramiona roztwierać. Będzie wielki bal, używanie, rozpusta, a fajermamy będą lały „gorzole“ prosto w morde... mówił dość długo jeszcze w tak dosadnych słowach, że nie wypada mi dalszego ciągu przytaczać. Żołnierze krztusili się od śmiechu, nie wyłączając płk. Puchalskiego i oficerów, którzy chusteczkami ku mówcy powiewaliz okrzykiem: Brawo, Jurek! — Mówca, spojrzawszy na nich, jednym susem zeskoczył z beczki i dorzucił krótko: — Mówiłbym tak do rana, ale mi w gębie zaschło.

*

*

*

Szły godziny jedne za drugimi, już czwartą dobę spędzamy w Borku, łudząc się, że może jednak dyplomacja do wojny nie dopuści. Ale zwodnicze były nadzieje. Noty huczały, i milkły... miały niezadługo przemówić działa.

Aż wreszcie... 31 lipca o 8-ej rano pułk wyciągnął się sznurkiem na szosie w pełnym składzie trzech bataljonów. Padła komenda: *Batallionsweise rechts Front! **)* — Przed front wystąpił płk. Puchalski ze sztabem pułkowym w asyście kapelana. Przynieśli ceremonjalnie sztandar pułkowy. Na komendę: do nogi broń! do modlitwy! — podnieśliśmy dwa palce prawej ręki do daszka czapki udekorowanej liściem dębowym. Muzyka zagrała pieśń: „Ojcze, ja wzywam Cię...“ Pochylił się pułkowy sztandar, milczenie zaległo, tylko silne tony muzyki były potężnie wzwyż. Ogarnęło mnie niesłychane wzruszenie. Czułem, że stoję w obliczu wielkiej chwili, że Europa może zmienić swą kartę, że dla Polski powstają wielkie możliwości, że wnet ogarnie mnie huk armat i dym... W myśli stanęła mi rodzina: ojciec, matka, rodzeństwo... — *Habt Acht!* — huknął major Mischke, dowódca bataljonu. — *Batallioin, Doppelreihen rechts um! ***).* — Jak zahipnotyzowany, robiłem ćwierć obrotu w prawo. Zebrani wokoło cywile zegnali nas okrzykami: „Szczęść Boże!“, a wracajcie zdrowo, a dobrze bijcie Moskali“. Baby, a moc ich odprowadzała swych

*) Chorągwie.

**) Bataljon w prawo front.

***) Bataljon w prawo zwrot.

mężów, jęły chlipać. — Batallion, marsch! Muzyka zagrała marsza Radetzky'ego skocznie i wesoło.

I ruszyliśmy ku wschodowi. Grała orkiestra żołnierskie melodje, szliśmy w ich takt równo i składnie; ku naszemu zdziwieniu, pasące się bydło, porwane widocznie rytmem muzyki, biegło równo z nami z półtora kilometra, aż je batogami pastuchy musieli zawracać.

Słońce grzało... kurzyliśmy papierosy, nie myśląc o wojnie, bo jak dotąd tyleśmy już marszów ćwiczebnych odbyli. Może i teraz tylko manewry. Niepokoił nas jednak ten długi na dwa kilometry tabor za nami, i psy, które długo i przeciągle wyły.

ROZDZIAŁ II.

Przez Wieliczkę doszliśmy w południe do Bochni, gdzie odbył się dłuższy popas. Po drodze wszędzie bez wyjątku witają nas okrzykami: — niech żyją cwancygiery, zdrowo bijcie Moskali! — Mądre te cywile, bo my zasadniczo nie wiemy, na jaką wojnę idziemy. Wtenczas już i Rosja zerwała, jak gazety pisały, stosunki dyplomatyczne.

— Jednak nie taki zły naród, — stwierdza „Pazur“. Nawet żydy częstują nas czem mogą; papierosy, wędliny, wódka; tę musimy jednak kryć, bo alkohol wzbroniony. To też, gdy menaż z kotłów rozdawali, jeść się nie chciało; fasowaliśmy już, nawiasem mówiąc, porcje polowe, t. j. podwójne. Menu dość dziwne. Rosół, zresztą doskonały z fasolką, sztuka mięsa z kartoflami i słodzony ryż, pożał się Boże, ze słoniną. Wytoczyli ćwiartówkę piwa na pluton — podobno gmina m. Bochni fundę urządziła — poczem syci, napojeni pokładliśmy się na trawnikach. Otaczały nas cywile, dzieci, baby i moc żydostwa. Gorąco było strasznie, no i bądź co bądź byliśmy zmęczeni. Ułożyłem się wygodnie na trawniku. Pochlebiało mi, gdym słyszał, jak stojący w pobliżu mnie cywile mówili: — to jednorocznik, pewnie profesor, a może inżynier.

— E, gdzie tam! Przecie to szczeniak jeszcze, — dorzucił czyjś basowy głos. Obrazilę się na to, miałem bowiem 21 lat skończonych, no i jeden egzamin uniwersytecki. Otwarłem przymknięte powieki ze słowami: jazda, kuternogi cywilne! Rozbiegli się na to, jak stado kuropatw.

W pół minuty zasnąłem. Spałem kamiennym snem, gdy nagle... Vergatterung! auf! *) — ryczał ktoś nade mną. To nasz sztabs-feldfebel łapicki, pedant i służbista. Na ucho mówiliśmy

*) Zbiórka, wstać!

o nim, że w służbie pies, poza służbą świnia. Ha! co było robić? Dźwignąłem się i wmieszałem w tłum żołnierzy.

Dalszy marsz odbywał się porą popołudniową. Zmierzch zapadł, gdy dotarliśmy do Tarnowa. Tu jednak po krótkim spoczynku nocą maszerowaliśmy do Śmigła, małej wioski, leżącej kilkanaście kilometrów za Tarnowem. Nocleg w stodołach. Chłód nocy dobrze szczypał, więc by się od niego uchronić, wlałem w beczkę sieczki; miałem też za swoje w dalszym marszu, — okazało się o świcie, że to nie była sieczka, ale plewy. To też całe ciało miałem literalnie pokasane żdźbłami i na każdym postoju wytrzępywałem z bielizny fury plew.

Dalszy nasz marsz nie ma kresu. Mijamy wsie i miasteczka. Dziennie robimy około 40 kilometrów, biorąc jednak pod uwagę spiekotę słoneczną, no i 35 kg., które dźwigamy, jako wojenny ekwipunek, można sobie wyobrazić nasz trud. Oficerom i starszym podoficerom było dobrze, bo tornistrów ani 120 naboju nie dźwigali, ale my żołnierze byliśmy wprost umęczeni. Szliśmy wyłącznie marszem t. zw. podróźnym, bez ubezpieczeń — przed nami i za nami ciągnęły się olbrzymie sznury innych pułków naszej, t. j. 12 dywizji piechoty, jak 57 p. p. z Tarnowa zwany mokrymi bakami“, 56 p. p. z Wadowic, zwany „Jackami“, i 100 p. p. z Cieszyna, krótko „stowaki“ nazwany. Prócz tych, czeski t. zw. Dreierregiment, 13 p. p. dzieci krakowskich, ale to już inna dywizja. Bocznymi drogami biegła kawalerja 9 p. ułanów z Krakowa; zgóry patrzyli na nas kawalerzyści, siedząc wygodnie w siodłach, gdyśmy się zdrowo pocili. Górą leciały aeroplany. Wszędzie ciągnęły nieskończone kolumny taborów, w tem mnóstwo chłopskich furmanek. Tu i ówdzie posuwała się artylerja ciężka i lekka.

Szliśmy, nie wiedząc dokąd; było rzeczą jasną, że na Moskala. Spodziewaliśmy się każdej chwili, że Moskale nas napadną, ale słabe mieliśmy pojęcie, czy, jak, co i gdzie. Kazano nam śpiewać dla podniesienia ducha, który upadał w miarę oddalania się od rodzinnych, góralskich stron. Więc na rozkaz śpiewaliśmy, zwłaszcza zaś podoficerowie prym wodzili, choć głosy mieli okropne. Nie wiem dlaczego w naszym czysto polskim, bo z Podhala rekrutującym się pułku narzucono nam śmieszłą pieśń: „Radetzky, Radetzky, to jest heski pan“ i t. d., albo też śpiewaliśmy rzewną pieśń: „Turek pan, Turek pan, te tureckie pany“; pieśń tę trawestowaliśmy na moskiewską nomenklaturę. Pozatem o wronie, co nie miała ogona, o Oświęcimiu miasteczku, o żydzie przy poborze do wojska, wreszcie rozmaite żołnierskie pieśni, tak nieprzy-

zwoite, że uszy puchły. Jednak stwierdzić muszę, że śpiew ma duży wpływ moralny, gdyż rozprasza przygnębienie, a i fizycznie marsz ogromnie ułatwia.

Minęliśmy Tarnobrzeg, gdzie po raz pierwszy ujrzelśmy pociąg sanitarny, i pomaszerowaliśmy dalej przez Jaślanice kędyś na Zawichost. W Jaślanicach parada wielka. Bataljony utworzyły t. zw. „carrée“ *), no i strzeżeni tym razem przez samoloty przy dźwiękach, zresztą znakomitej muzyki pułkowej, wysłuchaliśmy mszy. Potem ksiądz udzielił nam absolutorjum, następnie wygłosił kazanie o miłości Boga i cesarza. O ojczyźnie nic nie mówił — bo o jakiej wreszcie? Potem przysięgaliśmy, już po raz drugi, że na lądzie, morzu, w powietrzu, słowem, gdzie tylko jest nieprzyjaciół cesarza, bić go będziemy dniem i nocą. Więcej nic. O przyczynach i celu wojny nikt słowa nie wspomniał. Wybuchła wojna, więc rzecz naturalna, że my na tę wojnę idziemy.

Dowódcą naszego pułku jest pułkownik, Puchalski Stanisław. Nie znałem go bliżej, bo za niską byłem szarżą, a on nosił się wyniosło, naogół jednak lubilem go bodaj za jego piękną postawę, no i, że po polsku do nas zagadywał. Zespół oficerski był mieszaniną polsko-czesko-węgierską, z przewagą Niemców. 70% stanowili podporucznicy i porucznicy rezerwy, profesorowie, buchalterzy, kupcy, adwokaci, nawet aktorzy. Żydzi usadowili się przeważnie w intendenturze, sanitaryjacie i t. p. instytucjach o charakterze niebojowym. Robili jednak srogie miny, brząkali szablami, ostrogami, nosili lornety, mapy, — słowem myślałbyś: ten ci oto rycerz. Zwłaszcza dużo w marszu gadał lekarz pułkowy, dr. Roening. Bez litości przepędzał szpicrutą wszystkich z odparzonymi stopami, którzy wozem sanitarnym chcieli jechać. To też w sercach naszych zawziętość mieliśmy na niego.

Trafiały się nam nieraz śmieszne przygody i tak gdzieś koło Rozwadowa opadły nas szerszenie. Musieliśmy przez tę strefę blisko kilometrową w galopie drałować. Najgorzej wyszli na tem taboryci, bo nie mogli ciężkich zaprzęgów porzucić i batogami się bronili. Któregoś dnia nastąpiło zaćmienie słońca. Trwało ono z pół godziny, ochłodziło się przytem tak znacznie, że mimo pory południowej drżeliśmy z zimna. Pamiętam, leżałem wtedy w lasku sosnowym i szeroką dyskusję toczyłem na temat wojny z kolegą Bobakiem; byłem bardzo rewolucyjnie nastrojony, co mówię, anarchistycznie, nihilistycznie. Losy Austrii mało mnie interesowały.

*) Czworobok.

Skończyło się zaćmienie słońca. Ruszyliśmy dalej, dziwnie speszeni, pełni złych przeczuć. Nie pomogły śpiewy, ani wykrzykiwanie starszyny; głowy do góry! i t. p.

Wieczorem tegoż dnia po raz pierwszy weszliśmy w teren „nieprzyjacielski”. Przejmujące wrażenie zrobiły na nas powyrwane rosyjskie słupy graniczne, tu i ówdzie zerwane szyldy, wybite w oknach szyby; uczyniły to straże graniczne w pierwszym zapale, z chwilą wypowiedzenia wojny. Byliśmy bardzo wzruszeni. Tego wieczora spaliliśmy już pod osłoną straży. Do stałem służbę patrolową i musiałem całą noc spędzić na dworze. Świtaniem ruszyliśmy w stronę wschodzącego słońca. Mówiono, że idziemy na Warszawę, to że na Lublin. Do marszu tak się przyzwyczaiłem, że 50 km. jak nic się robiło. Co jakiś jednak czas wyrzucałem po kilka naboju dla ulżenia ciężaru tak, że w końcu tylko przy 25 zostałem. Robili to zresztą wszyscy. Ale o amunicję nie było obawy — było jej aż za dużo. Oprócz pułkowego parku amunicyjnego, mamy w każdej kompanii juczne konie, typu małych: dźwigały też biedaczyska z trudem po 2 skrzynie amunicji.

W czasie marszu nagle ukazał się lotnik rosyjski. Lecił bardzo wysoko, wyglądał jak ptaszek. Strzelaliśmy do niego salwami, bo taki był rozkaz. Zresztą bez rozkazu nie się nie działo.

Tego dnia maszerowaliśmy dziwnie forsownie. Słońce prażyło niemiłosiernie. Pasy tornistra i karabin wrzynały się w spoczone ciało, nogi uginały się w kolanach, w gardle zasychało. Nie pomogły dostarczane przez ludność wiejską wiadra z wodą, nie rzadko i gościnna ręka chłopska, choć „austrijaki” byliśmy, podawała nam mleko zsiadłe, chleb, masło... Niepokoiło nas coraz bardziej przyspieszone tempo marszu. Mówiono, że już 60 km. machnęliśmy, a tu końca nie widać. Wreszcie doszliśmy pod jakąś górę, na którą wdrapaliśmy się z największym wysiłkiem. Z jednej chałupy podbiegła ku nam baba z jękiem i płaczem: — O niebożęta, sieroty, gdzie wy idziecie, na śmierć się pchacie, Moskale tam na was czekają, o Jezu, Jezusie! darła się baba, aż Puchalski osobiście ku niej skoczył.

— Zamknij pysk, ty stara jędzo! Któryś z feldfebli zatkał jej usta chustką, aż wreszcie ucichła.

— Oj, będzie coś „z maki“ *) — mówiliśmy między sobą. Jakoż i nadchodziły pierwsze godziny wielkich później bojów.

*) Wyrażenie żołnierskie, oznaczające bliską bitwę.

Gdyśmy się wdrapali na górę, byliśmy tak znużeni, że mimo braku rozkazu wszyscy, nie wyłączając oficerów, runęli pokotem na ziemię. Ja sam byłem ze zmęczenia wprost nieprzytomny. Przed oczyma latały mi czerwone płatki. To też, gdy dowódca bataljonu mjr. Mischke szukał ochotników na patrol, nikt się nie ruszył. Było to jednak zbędne... bo nadbiegł adjutant pułku, kpt. Grohman z krzykiem: „Battalions rechts frontieren — Kompanien! — Züge auf gleicher Höhe rechts**). — To wstępna formacja bojowa wedle regulaminu polowego. Teraz zrozumiałem sytuację — i inni. Stojący obok mnie szeregowiec Buczkowski, szewc z cywila, przeżegnał się głośno, co machinalnie i inni powtórzyli. Muzyka, tabory, sanitariusze, wszystko gdzieś znikło. Znikli i wyżsi oficerowie. Naraz coś okrutnie za nami trzasło, raz, drugi, trzeci...

**) Bataljony frontem w prawo. Kompanje, plutony na równej wysokości.

ROZDZIAŁ III.

Bezwiednie zrobiłem: padnij, ale nie tylko ja, cały pułk to samo uczynił, nie wyłączając oficerów. Okazało się jednak, że to austriacka artylerja otworzyła ogień. Staliśmy na górze; przed nami w dolinie cmentarz, na lewo miasteczko Annopol, fragment bitwy pod Kraśnikiem. Nie upłynęły jednak dwa Zdrowaśki, gdy coś w górze ze świstem przeleciało... potem drugi, trzeci raz. Widocznie pociski artylerji rosyjskiej. Przed front naszego plutonu wystąpił młody podporucznik Nowicki i zakomenderował: „Pluton w tyraljerę w lewo, odstęp 5, kierunek cmentarz“. Byłem w pierwszym plutonie na lewem skrzydle. Odskokczyłem na 50 kroków, a za mną potoczyło się bractwo. Linja tyraljerska już gotowa; na prawej ręce założyliśmy karabiny na ramię i zaczęliśmy zsuwać się ku dołowi, równo i w należytej odległości. Sam pilnowałem, by nie więcej i nie mniej tylko 5 kroków było odległości. Wciąż nie wierzyłem, by to rzeczywista była wojna. Ale oto za nami w powietrzu wysoko coś z hukiem trzasło i dym się pokazał. Potem drugi, trzeci pocisk. I naraz gwizdnęło coś koło uszu, ni to kamień, ni osa. Instynktownie ruszyliśmy biegiem. Nie zauważyłem, że tymczasem ściemniło się nagle, zaczęło się błyskać i wałęły pioruny. Dopadliśmy cmentarza i za murem schroniliśmy się w potokach deszczu. Tymczasem artylerja obustronna biła raz po raz, pociski jednak przelatują nad nami. Naprzemian biją pioruny i armaty. Ale za chwilę wyjaśniło się niebo. Na lewo od nas słychać bulgot, jakby parkotanie ziemniaków we wrzątku. Nagle coś przenikliwie gwizdnęło: słup ziemi jakie 30 kroków przed nami w fontannie się rozprysnął, usłyszałem trask. Ktoś krzyknął: — „uciekaj, kto w Boga wierzy!“ Runęliśmy przed siebie. Jakimś owczym pędem na łeb na szyję

gnaliśmy przez pole buraczane, głupi i niedoświadczeni, akurat ku gościńcowi, który z daleka był widoczny. Uciekliśmy jednak w porę, bo za kilkanaście sekund padły na cmentarz granaty. Widać, nieprzyjaciel nas wypatrzył. Położyliśmy się wzdłuż gościńca w rowie. Z góry schodził żołnierz, rękę miał chusteczką przewiazaną i krew z niej kapłała, a żołnierz... płakał dosłownie, jak dziecko. Choć nam nie do śmiechu było, wołaliśmy za nim: do mamy idź, pocycaj, to przestanie boleć i t. p.

Nad gościńcem gwizdały kule karabinowe. Wystawiłem rękę z chytrą myślą, a niech tam trafi, gdy wtem jedna z kul jak nie trzaśnie w pień brzoźki nade mną — dosłownie ją rozszarpała. O psiakrew! — pomyślałem sobie, rezygnując z rany. Leżeliśmy tak z 10 minut, gdy z lasu wyłonili się jeźdźcy. Zaczęliśmy zgadywać: — nasi, nie nasi. W gorącej wodzie kąpani chcieli już niektórzy strzelać, ale zakazałem. Wtedy dopiero ze zdziwieniem zorjentowałem się, że w rowie leżało ze 60 chłopów i nie było ani jednego oficera, a podoficerem byłem ja jedyny. Jak to się stało, do dzisiaj nie rozumiem, bo gdyby nawet chcieli się ukryć od ognia, to i gdzie. Wreszcie rozpoznaliśmy, że wyłaniający się z lasu jeźdźcy są austriackimi ułanami. Tymczasem z miasteczka Annopol wysunęła się grupa licząca ze 20 jeźdźców. Jechali galopem wprost na nas. Była to rosyjska konnica. Wyglądali wspaniale. Już jakie 150 kroków nas oddzielało, gdy spostrzegli ich austriacy kawalerzyści — i otworzyli ogień. Jadący na czele nieprzyjacielskiego oddziału oficer, widocznie trafiony, rozkrzyżował ręce, pochylił się i stoczył na ziemię. Za nim jeszcze coś ze czterech jeźdźców. Reszta czmychnęła z powrotem do miasteczka.

Tak na obserwacji upłynęło nam ze 20 minut. Byliśmy radzi, bo u nas cicho, a na prawo i lewo huczy i parkocze, gdy naraz w sam środek gościńca trzasnął granat, a potem grzmotnęły równocześnie cztery pociski. Usłyszałem krzyki: Jezus Marja! — Obejrzałem się na prawo, a tam kłębowisko jakiegoś, ręce, nogi, splątane. Chryste Elejson! Na oślep rzuciłem się nieświadomie ku miasteczku, gdzie akurat Moskale stali. W biegu minąłem zabitego oficera rosyjskiego. Leżał na gościńcu z przestrzelonem czołem. Biegłem bezradny, a za mną stado baranów, bo inaczej nie mogę nazwać tych żołnierzy, którzy tak krok w krok za mną lecieli. Było mi raźniej z nimi, ale i gorzej, bo nieprzyjaciel wypatrzył nas z miasteczka i gwizdać zaczęły kule karabinowe. Słyszeć te szelmy, to mniej przyjemne. Zorjentowałem się trochę i zmieniłem kierunek na las, ale do lasu jeszcze

kilkaset kroków; a tu kulki coraz złośliwiej świszczą koło uszu. Już zdawało się dopadamy lasu, gdy na jego skraju w powietrzu rozkwitły z trzaskiem białe dymki, a potem wybuchły granaty. Widocznie ogniem zamykają odwrót. Zrobiło mi się gorąco. W rozpaczy krzyknąłem: naprzód, do lasu! Nie wiem, czy mnie kto słyszał, sam z chyżością jelenia, a siłą niewiadomo skąd nabytą biegłem, byle jak najprędzej skryć się w gęstwinie drzew, a za mną cała czereda. Po drodze to tu, to tam leży trup koński, to człowiek rozkrzyżowany, to skręcony w sobie. — Matko Boska, ratuj! głośno wołałem, bo kule świstały i wyły pociski armatnie. Aż wreszcie wpadliśmy w las. Było tu ciemnawo. Zmierzch zapadał, bitwa się kończyła. Jeszcze tu i ówdzie słyhać strzały, ale pojedyncze, coraz rzadsze. Odpoczywaliśmy w głębi boru szczęśliwi, że uszliśmy cało. Na niebie pokazał się księżyc; cicho, dziwnie cicho... Idziemy wgłąb lasu, a nie wiemy dokąd, akurat może w ręce Moskali. Naraz z pod ziemi zdawało się wylazł dowódca kompanji, kpt. Wittek i inni oficerowie, znalazł się i „sztabski“ Łapicki i żołnierzyków coś ze stu. Szliśmy kupą, zbratani przeżyciami — z nadzieją, że ta bitwa już wojnę zlikwiduje.

Jakże jednak myliliśmy się. O, jakie ciężkie nas jeszcze dni czekały.

WACŁAW PAWŁOWSKI, KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
WARSZAWA UL. ŚW. BARBARY 1. P.K.O. 18.278

NOWE WYDANIE GŁOŚNEJ POWIEŚCI STANISŁAWA KAWCZAKA „MILKNĄCE ECHA”

GŁOSY PRASY: **Cena Zł. 5**

...Moc nazwisk, z których wiele doskonale i ogólnie dzisiaj w Polsce, a w szczególności w wojsku — znanych... Oprócz doskonalej nieraz charakterystyki poszczególnych towarzyszy broni, znajdujemy w książce p. Kawczaka wiele kapitalnych opisów bitew i sytuacji wojennych... Podobne opisy spotyka się wprawdzie i u innych autorów europejskich i amerykańskich, w rodzaju Remarqua czy Sheriffa — ale są one jakies inne, obce... Książkę tę czyta się jednym tchem... *Ant. Szuber.*

Polśka Zbrojna, z dn. 28.X. 1954 r.

...Pełne są te karty obrazów heroicznych, komicznych, odstręczających, lirycznych ot, jak na wojnie... Autor pokazał współczesną wojenną grandeur et servitude militaire. Pokazał jak w obcej armji i na dalekim froncie Polak bił się i ginął pozornie za obcą sprawę, ale zawsze z myślą o Polsce. Pokazał to po ludzku, bez frazesu... Nie unurzał żołnierza w zgniliznie i błocie jak Barbusse, jak Remarque. Obok trwogi, ran, zgonów i pożarów, pokazał humor, śmiech, niefrasobliwość i... ideę. Dał nie tendencję, lecz wielobarwny obraz wojennych przeżyć.

Ant. Bogusławski.

Kurjer Warszawski, z dn. 19.XI. 1954 r.

...Książka technicznie dzika, świszczącą grozą. Front rosyjski, marsze, ataki, odwroty, nurzanie się w krwawym błocie i patetycznym zgietku pierwszego wojennego okresu, potem front serbski ze specyficznym urokiem dzikiego krajobrazu, wreszcie krwią i dymem dyszące karty książki — straszliwe załomy frontu włoskiego. I ani śladu strzelistego baroku w opisie szarych dni frontowych, czy beznadziejnej rozpacz na upiornych cmentarzyskach Isonzo czy Doberdo. Autor cały okres wojny przeżył na linii bojowej z przetrzotnymi przerwami urlopów i okresów pobytu w szpitalu. Krótki

pobyt na tyłach znajduje w książce sóczyste odzwierciedlenie...
Odwieczna prawda wojny. Na linjach zamęt ognia, bólu i nędzy,
na tyłach spokój i nuda, buńczuczny frazes wojenny, skowyt sy-
tych ludzi o wojnie do zwycięskiego końca.

Robotnik, z dn. 5.XII. 1954 r.

St. Benkiel.

„Z zainteresowaniem należy powitać „Milknące Echa” Stani-
sława Kawczaka — „zapiski te biora swą świeżością, bezpo-
średniością, ponieważ autor przeżywał je nie w bujnej fantazji,
lecz w rzeczywistości.”

Ekspres Poranny, z dn. 29.X. 1954 r.

Wanda Rostworowska.

„Talent autora odtworzył przed nami okropności wojny w ca-
łym jej groźnym majestacie. Scenki godne pióra Jarosława Haśka
okraszają znakomicie ten ciekawy ze wszech miar pamiętnik...
„Milknące Echa” czyta się jednym tchem... Intuicja literacka
autora skłoniła go do wybrania z całego zapasu kompozycyjnego —
najciekawszych i najcharakterystyczniejszych momentów... Ni-
gdzie nie udało mi się zaobserwować w utworze pisanym takiej
dokładnej onomatopei bitwy...”

Kurjer Łódzki, z dn. 25.IX. 1954 r.

Benedykt Stefański.

„Autor nie jest poetą ani powieściopisarzem, a jednak „Mil-
knące Echa” są dziełem znakomitego opowiadacza, który nie sili
się na kwiecisty styl pisarski, lecz przemawia do nas językiem ży-
wym, bezpośrednim... Może niejeden odnajdzie w dziele Kawczaka
i swoje przeżycia, swoją własną niedolę wojenną...”

Książkę tę czyta się jednym tchem...

Gospodarz Polski, z dn. 28.X. 1954 r.

Ant. Zachemski.

„Książka ta jest pisana żywo i barwnie... Wśród literatury
wojennej „Milknące Echa” są książką jedną z najciekawszych...
Głos Podhala, z dn. 4.X. 1954 r.

„Jest to jeszcze podzwonne wielkiej wojny i „milknące echa”
tragedji tych pokoleń polskich z b. Galicji, które mus zagnał
w szeregi c. i k. austro-węgierskiej armji... Ciekawe są te z per-
spektywy 15 lat oddalenia od końca wojny światowej spisane pa-
miętniki „Żołnierskiego żywota” we wraźnym mundurze c. i k. ma-
łopolskich inteligentów, którzy walczyli z Moskalami jedynie za
wolności i niepodległość Polski...”

Ilustrowany Kurjer Codzienny, — Dodatek Liter.-Naukowy,

z dn. 15.X. 1954 r.

(mir)

Opisy z frontu rosyjskiego, włoskiego, ukraińskiego i bolsze-
wickiego cechuje prawdziwie remarcowski realizm...

Wiek Nowy, z dn. 25.XII. 1954 r.

K. B.

Druk Zakładów Graficznych „Bluszcz” Warszawa, Solec 87.

ROZDZIAŁ IV.

W jakie półtorej godziny potem znaleźliśmy trzy kompanje z drugiego bataljonu, a niedługo potem zeszlusowaliśmy się z I i III bataljonem. Znalazł się i dowódca pułku, a nawet lekarz pułkowy. Straty okazały się stosunkowo niewielkie tak, że pułk świtaniem ruszył ku wschodowi.

Po drodze napotykaliliśmy trupy żołnierskie; ktoś w międzyczasie ponakrywał je słomą. Wrażenie okropne. Przeważnie byli to żołnierze rosyjscy; powoli jednak się z tem oswoiliśmy.

Pogoda była piękna, słońce świeciło już nie tak dokuczliwie. Mijaliśmy w marszu wsie, przeszliśmy przez miasteczko Urzędów, spalone i zniszczone, nocą zaś maszerowaliśmy nie szosą, ale naprzelaj. Okropny zwłaszcza był marsz przez pola buraczane. Wystające bulwy buraków doprowadzały nas do rozpacz. Marsz ten zdawał się nie mieć końca. Ale wreszcie wyszliśmy na jakieś wzgórze. Bataljon nasz pełnił straż, to też w zwartym szyku ułożyliśmy się na ziemi, głodni, spragnieni, zziębnięci. Mimo to zasnąłem. Świtaniem bez śniadania ruszyliśmy dalej. Uprzykrzone słońce znów zaczęło dogrzewać. Ile kilometrów zrobiliśmy, Bóg raczy wiedzieć.

W południe znaleźliśmy się we wsi Ratoszyn. Zarządzono spoczynek. Nieprzerwany 7-godzinny marsz wyssał z nas resztki sił. Leżeliśmy tuż za wsią na ziemi w spiekocie słońca, nie szukając nawet cienia, byle dać folę zmęczonym nogom. Nawet do odległej o sto kroków kuchni polowej nie chciało się podejść po obiad. Milszy był cień niziutkiej śliwy, niż perspektywa zjedzenia gorącej zupy. Głód jednak zrobił swoje; kulejąc podszedłem do kuchni. Ciepła zupa po dwóch dniach postu dodała mi siły. Zabrałem się do mięsa, gdy adjutant pułkowy wpadł między sku-

pionych oficerów i coś rozповідаł, żywo wymachując rękami. Rezultatem tej wizyty była zbiórka i dalszy marsz. Nie uszliśmy 200 kroków, gdy naraz padła komenda: nider! — pokładliśmy się na ziemię. Kpt. Wittek, cyzelując słowa rzucił rozkaz: — pierwszy pluton wyśle jeden patrol bojowy w kierunku na kościółek, natychmiast odmaszerować! Zapanowało milczenie. Nikt się nie ruszył, leżeli wszyscy z oczyma wbitemi w ziemię. Wiadomą żołnierzowi jest rola patrolu bojowego.

Ochotnicy są? — zapytał krótko dowódca plutonu, ppor. Nowicki. Cisza. — Wówczas padł rozkaz. — Ostatnia na lewem skrzydle sekcja — kierunek kościół — odmarsz! Akurat musiałem w niej być. Co było robić? Podeszedłem do dowódcy kompanji, meldując odmarsz, poczem rzuciłem rozkaz: — za mną marsz! W odległości tysiąca kroków stał kościół otoczony drzewami. I... rzecz dziwna, dzwon dzwonił sobie, jakby nigdy nie, choć ani to południe, ani na Anioł Pański. To dzwonienie było podejrzané tembardziej, że za naszym zbliżeniem się ustało. W kilka minut znaleźliśmy się we wnętrzu zabudowań kościelnych, gdzie nas bardzo gościnnie podjęła gospodyni. Wylazłem z dwoma żołnierzami na dzwonnice — rozejrzałem się wokoło i ujrzałem, jak kpt. Wittek wali konno przed kompanją w rozwiniętym szyku przez pola. Kazałem zejść ludziom z dzwonnicy i w całej nieświadomości biegiem pogałem za kompanją. Szliśmy przez łan zboża, deptając je niemiłosiernie. W chwili, gdyśmy wchodzili na kartoflisko, w sam środek kompanji trzasnął granat. Bezwiednie runąłem na ziemię. Co się potem działo, jak długo to trwało, nie umiem sobie tego uświadomić. Jeden po drugim granaty i szrapnele padały między nas. Huk, trzaski i jęki. Zamarła we mnie dusza. Oglupiała wbiłem twarz w ziemię, jak gdyby to mogło mnie ocalić. Nagle jakiś instynkt poderwał mnie z ziemi; rzuciłem się w stronę pobliskiego lasu. Za mną i przede mną biegli inni. Tuż na skraju lasu w oczach moich szeregowca Buczkowskiego poprostu rozdarło. Ubiegłem jakich 20 kroków w lesie i bez sił w trwodze osunąłem się pod olbrzymią lipę. Leżał pod nią jednoroczny Uryga. Podaliśmy sobie ręce bez słowa. Tymczasem artylerja rosyjska otworzyła ogień na las, w którym schronił się prawie cały nasz pułk. Kanonada, huk pękających pocisków zwielokrotniony echem leśnem, trzask łamanych gałęzi, walących się drzew, krzyki rannych i te złowrogie poświsty nadlatujących pocisków tak mnie przeraziły, że zacząłem się trząść, jak w febrze. Trwało to z dobrą godzinę. Ludzie w strachu śmiertelnym biegali bez broni, bez czapki, a byli i tacy, którzy

w obłędzie na drzewa wylazili. O żadnej komendzie nie było mowy. Leżałem obok Urygi — i tylko widziałem, jak bezwiednie, podobnie jak ja ręką, względnie łopatką polową zasłaniał sobie głowę.

Wyjścia z lasu nie było, bo zewsząd słychać łoskot, w lesie istne piekło... ale wszystko ma swój koniec. Rosjanie przekonani, że żywa noga nie uszła, skierowali ogień gdzieindziej. Nie czekając wiele, ruszyliśmy z Jasiem wprost przed siebie, byle uciec z przeklętego lasu. I znowu to samo, co wczoraj. Oto z najrozmaitszych zakątków, z pod połamanych gałęzi i zwalonych drzew schodzili się żołnierze. Pomieszały się pułki, oddziały, bronie. Dowództwo objął ppor. Nowicki. Jako wielki służbista wyszedł na skraj lasu, chcąc nas do porządku doprowadzić i krzyknął: zbiórka! — gdy nagle przewrócił się, kopnął ziemię nogami parę razy i skończył. Śmiercią swoją ocalił nas, bośmy ukryci w lesie nie pokazali się nieprzyjacielowi. Jak z tego widać Moskale bacznie las obserwowali.

Zebrało się z mojej kompanji kilkudziesięciu ludzi. Bez komendanta ruszyliśmy naprzód, t. j. ku zachodowi. Nieprzyjaciela ani śladu. Nastąpiła cisza. Dopiero teraz zauważyliśmy, że w rozmaitych punktach paliły się domostwa. W zapadającym zmroku krwawe łuny oblały niebiosą. Trzymaliśmy się zdaleka od ognia, by ukryć się w mrokach nocy, zresztą nie mogliśmy się zorientować, gdzie jesteśmy. Wraz z Urygą, „Pazurem“ i paru innymi nieznanymi mi szeregowcami zdecydowaliśmy się przemocować na miejscu, gdziekolwiek, bo i nogi bolały i głód ścisnął wewnętrżności. Ujrzyliśmy przed sobą olbrzymi bróg siana. Nie wiele się namysłając, wykopaliśmy w nim tuneliki i wsunęli się wgląb. Niebawem posnęliśmy.

Dniało już, gdy się zbudziłem, drżąc z zimna. Wysunąłem się z legowiska. Okazało się, że w nocy podobnych, jak my rozbitków z rozmaitych pułków, spało w brogu chyba ze stu. Ktoś gorliwszy, jakiś plutonowy, Niemiec z bataljonu jegrów, chciał całą tę gromadę zebrać i zakomenderować: zbiórka! Ale nikt go nie słuchał. — Co ma nami jakiś przybłęda komenderować, głośno protestował „Pazur“. Po żywej wymianie słów zdecydowaliśmy się podzielić na grupy wedle pułkowej przynależności. Dowództwo nad naszą, t. j. cwancygierską grupą, objął tym razem sierżant Czech, z kapeli pułkowej. Dzień tymczasem zrobił się na dobre, słońce wychynęło się z za horyzontu. Świergot ptactwa napełnił powietrze. Było nam raźniej i cieplej. Ruszyliśmy na chybił-trafił ku zachodowi. Rosa była obfita, wróżyliśmy stąd pogodę.

Szliśmy dwójkami dowolnym krokiem, z przewieszonymi na przegubie ręki karabinami. W międzyczasie z głębi lasu przed nami wysunął się łańcuch tyraljery austriackiej. Tyraljerczycy szli, brodząc w wysokiej po kolana trawie, pokrytej rosą, od której mieli po pas przemoczone ubrania.

Był to duży oddział, najmniej dwie kompanie „mokrych bąków“. Idący na flance porucznik ruchem ręki zawezwał nas. Nie było rady. Rozkaz był pozytywny i miarodajny — to też rozwinięci w tyraljerę doszłusowaliśmy do prawego skrzydła. — Licho nadało, żeśmy się tu nawinęli, cholera! przeklinał jednoroczny medyk, Sokół, który właściwie, jako sanitariusz od obowiązku „walczenia“ był zwolniony. Rozumiałem jego krzywdę, ale w duszy cieszyłem się. Niech lapiduch wie, co to jest bitwa.

Wkrótce ukazała się spora wieś, Grady. W odległości jakich 2 km. odezwały się od przytykającego do wsi lasu strzały karabinowe. Nieder! — ktoś zakomenderował. Schiessen gradaus, der Feind am Waldisier, Aufsatz 1400, Einzelfeuer *). Grzmotnąłem się na ziemię, zarepetowałem karabin i... rozejrzałem się na prawo i na lewo i za siebie, by po wczorajszem doświadczeniu zorjentować się w terenie i wiedzieć, dokąd uciekać. Nie miałem zapasów bojowego, byłem głodny, zziębnięty po nocnym chłodzie, spodnie po pas były od rosy przemoczone. Pukanina zrazu słaba i rzadka, coraz bardziej się ożywiała. Strzelano jednak tylko z naszej strony. — Po kiego licha prowokować nieprzyjaciela i zdradzać siebie, rozmyślałem. To też w strzelaniu udziału nie wziąłem. Widziałem, że strzelcy raczej bawili się w strzelaninę. W jakie pół godziny ruszyliśmy dalej. Uszliśmy z pół kilometra, gdy z lasu odezwały się karabiny. Nad nami zaczęły świstać kulki coraz gęściej i niebawem zaczęły się przewracać nasi tyraljerczycy. Za przykładem innych padłem i ja na ziemię. Huk odstrzałów ogłuszył mnie. — Eingraben!**) — usłyszałem podaną przez sąsiada komendę. Odpiąłem łopatkę i kopałem szaneczek dla ochrony głowy. Kule nieprzyjacielskie gwizdały, jak osy złośliwe, to znów krótko, wnikliwie, aż w uszach bolało. Byliśmy widocznie w celu, doskonale, przez nieprzyjaciela widziani. Z naszej strony ustała strzelanina. Wszyscy na gwałt się okopywali. Nieprzyjaciół tymczasem prażył coraz gęściej. Odezwał się i rosyjski karabin maszynowy. Leżący obok mnie szeregowiec Żętyca o twa-

*) Strzelać nawprost, nieprzyjaciół na skraju lasu, odległość 1400. Ogień pojedynczy.

**) Okopać się.

rzy pacholęcia, trafiony w głowę i piersi drgał, chlustając obficie ustami krew.

Wtem na górze coś syknęło, jak rakietą na festynie i jakieś 20 metrów nad nami z trzaskiem pękł szrapnel. Uczułem, jakby ktoś rzucił w mój tornister kamieniem. W żaden sposób nie mogłem się zorjentować gdzie nieprzyjaciel. Ale na lewo od siebie słyszę trąbkę: tra-ta-ta, tra-ta-ta. Boże! Szturm. Sąsiad mój z lewej strony podaje rozkaz: Bajonett auf! *). Założyłem bagniet na karabin. Z lewego skrzydła już ruszyli do szturm. Hurra! hurra! krzyczą wokoło, hurra! — powtarzałem, bo i mnie udzielił się zapal bojowy.

Ruszyliśmy w skok; przed nami szerokie ściernisko, gwizdnęły znów kule, ale mimo to biegłem, związany łańcuchem tyraljery. Zresztą było mi już wszystko obojętne; wołałem ruch, niż beznadziejne podstawianie się nieprzyjacielowi. Atak ten był warjacką ideą, ale był faktem. Może dlatego zdetonowany tem nieprzyjaciel, mimo, że był doskonale okopany — umknął wgłęb lasu.

Jak stwierdziliśmy po osiągnięciu jego linii liczebnie wynosił, nie więcej, jak bataljon. Pościg w lesie był wstrzymany, bo tymczasem z prawej flanki ukazało się ze dwustu jeźdźców, pędzących w galopie w naszą stronę. Nie było czasu do namysłu, ktoś krzyknął: — strzelać, nieprzyjacielska kawalerja! — Otworzyliśmy gwałtowny ogień, toteż kawalerzyści zawrócili, pozostawiając sporo zabitych i rannych, na miejscu i znikli w głębi boru. Okazało się, że był to podjazd dragonów rosyjskich.

Tymczasem walka rozgorzała w całej okolicy. Ogień artyleryjski ustał zupełnie. Strzelała piechota; zewsząd słyhać charakterystyczne bulgotanie strzałów karabinowych, natomiast nie widać śladu człowieka. Ptactwo w lesie zupełnie umilkło.

Rozciągnięci na kraju lasu, zajęliśmy opróżnione przez Rosjan pozycje, tworząc półkole frontem ku południowemu-wschodowi.

Naśladując innych zacząłem się okopywać, gdy naraz ze straszliwym hukiem pękł tuż obok granat, zabijając i raniąc pięciu ludzi. Widok okropny, na drzewach zawisły jelita. Nie upłynęło pół minuty, gdy z rykiem nadlatując, znów wybuchł jakie trzydzieści kroków przed nami ciężki pocisk. Widocznie obserwator artyleryjski nas wypatrzył, bo za chwilę prawie równocześnie wybuchły dwa granaty tuż za nami, co prawda nieszkodliwie, nie-

*) Założyć bagnety.

mniej jednak instynktownie poderwaliśmy się i pobiegli w głąb lasu.

Nikt nie komenderował, każdy działał samorzutnie, zresztą i komenda była niemożliwą, gdyż huk pękających pocisków, gwizd kul i trzask karabinów zagłuszał wszystko.

Wbiegłem głąb lasu, kryjąc się przed ogniem za pnem sosny. Niewiadomo, dlaczego Rosjanie zarzucili las szrapnelami — na nasze szczęście, gdyż korony drzew unicestwiały ich działanie. Leżałem pod drzewem; czułem, że głowa mi płonie. Miałem szalone pragnienie, gdyż od wczorajszego południa nic w ustach nie miałem. Mimo wszystko czułem się daleko lepiej, niż w dniu wczorajszym. Uszy moje przywykły do huku, pozatem przekonałem się, że trzeba liczyć tylko na własne siły i kierować się instynktem samozachowawczym. Wojna w rzeczywistości, a wojna na placu ćwiczeń — jakaż to różnica. Spokój w obliczu śmierci jest wręcz niemożliwy.

Leżałem pod sosną przynajmniej narazie zabezpieczony, a widok towarzyszy, którzy podobnie jak ja ukryli się za drzewami, dodawał mi otuchy. Zatraciłem orjentację co do czasu i miejsca. Nie wiedziałem, jaki to jest dzień kalendarzowy i byłem, rzecz dziwna, głęboko przekonany, że wojna się właściwie skończyła, a my rozbite oddziały, niepotrzebnie się tłuczemy. Zresztą było mi niewymownie smutno. Nad szumiącymi drzewami w górze jaśniał błękit nieba spokojny, łagodny.

Ten chwilowy spokój przerwał potworny wybuch granatu w odległości kilkunastu kroków. Poderwany wybuchem olbrzymi jesion zwałił się z szumem. Było to dla nas hasłem do ucieczki dalej głąb lasu. Biegłem w ślad za innymi naoslep. Jak długo biegliśmy, ile drogi zrobiliśmy, nie wiem, ale musiało to być ze dwa kilometry chyba. Wydostaliśmy się na polanę. Panował tu spokój i cisza. Z oddali słychać słaby odgłos artylerji.

Zebrałiśmy się zbici w gromadę, zastanawiając się, co dalej robić, gdy nadbiegł zziębnięty żołnierz z krzykiem: „Rany Boskie! Moskale idą na nas!“. Jakoż rzeczywiście słychać odgłosy i trzask łamanych gałęzi. Na szczęście alarm okazał się fałszywy. Byli to węgierscy honwedzi, odbici, podobnie jak my, od swoich oddziałów. Dostarczyli oni nam wiadomości, że 2 km. przed nami stoją kuchnie 20 p. p. Na dźwięk słowa „kuchnia polowa“ odczułem wprost fizyczny ból z głodu.

Ruszyliśmy zaraz w stronę, którą nam wskazali honwedzi i w pół godziny stanęliśmy przy kuchniach. Rządził tu wszech-

władnie sierżant Mężyk. Wyfasowaliśmy po pół bochenka chleba, porcję zupy i mięsa.

Zwolna schodziło się coraz więcej rozbitków, zaczęliśmy opowiadać sobie wrażenia i komentować sytuację na swój sposób. Niepostrzeżenie dzień się kończył, strzelanina zdaleka słyszalna powoli ustawała. Przy zbiorce, jaką zarządził płk. Puchalski, okazało się, że prawie połowa żołnierzy i oficerów gdzieś przepadła. Obliczenie strat zabitych i rannych było niemożliwe, tembardziej że z każdą godziną schodziło się coraz więcej rozbitków, których uważaliśmy już za nieżyjących. Po jakimś takim uszykowaniu i skontrolowaniu stanu ułożyliśmy broń w kozły i pokładli się pokotem na ziemi. Łuny oblały niebo, co w pomroce nocnej tworzyło przejmujące zjawisko. Paliły się naokoło wsie, zapalone już to rozmyślnie, już to ogniem artylerji.

Zapadła noc. W ciszy jej od czasu do czasu słychać pojedyncze strzały karabinowe, ale te już nikogo nie przejmują. Ku naszej wielkiej radości sierżant rachunkowy Żarnowski rozdał nam porcje tytoniowe, otrzymaliśmy tym razem jako fasunek liście tytoniowe, które kruszyliśmy w palcach i w braku bibułki palili w kawałkach gazety. Kuchnia połowa odjechała. Cisza nocna powoli nas uspiła. Przejmujący chłód nocy sierpniowej powodował, że leżąc na gołej ziemi, mimowoli dla ciepła kupiliśmy się w gromadki. Ognia niewolno palić, powoli szept ustaje. Zapadłem w drzemkę-jawę. Z oddali słychać rechot żab, sielski nastrój wnoszą gwiazdy migocące... Gdzie właściwie jestem, myślałem, nie mogąc ogarnąć sytuacji. Ktoś śpi obok, ba! dwóch, trzech ludzi słyszę chrapiących, to jakieś szepty... Nagle gwizd, blask i okrutny huk. — O Jezus! — ktoś krzyczy. Jezusie! Marjo! — Auf! — pada komenda. Ergreift das Gewehr! — mir nach marsch!*). Czuję, że drzę. W ciemności trzymam sąsiada za połę bluzy. Niewątpliwie był to przypadkowy t. zw. „weitgänger“**). Spoczynek djabli wzięli. Maszerujemy przez łąn zboża. Kłosa mokre, zimne uderzają nas po twarzy. Kończy się zboże, zaczynamy marsz przez ziemniaczysko; naokoło łuny, ale widać, że ognie dogasają, bo coraz bledsze. Wchodzimy na drogę — chwała Bogu. W ciemności parskaą konie i skrzypią wozy, galopują pojedynczy jeźdźcy Wojska tu pełno, słychać mowę węgierską, czeską. Ktoś ciągle męczy uwagami: tss... nie palić... cicho! Ustawiamy się frontem.

*) Do broni, za mną marsz.

**) Ślepy strzał.

Niewidzę twarzy sąsiadów. Tabory zjeżdżają na lewo my wciąż stojmy.

Wreszcie cisza, tabory znikły. Ludzie w szeregach pokaszliwują, co sierżanta służbowego, który lichy wie, skąd się zjawił, drażni, bo zaczyna pyskować. — Cicho, bydlęta! — Ty sam bydlę odpowiada czyjś głos. — Milczeć, hołota!.. — Milcz ty, znowu inny replikuje. Odczułem dziwne zadowolenie z tego dyskursu. Nie nawidziłem go, jak wogóle wszyscy z naszej kompanji. Nigdy mu nie zapomnę tego, że cały miesiąc i to koniec kwietnia i prawie cały maj przesiedziałem z jego przyczyny w areszcie koszarowym. Wróciłem wtedy ze Świąt Wielkanocnych i nieświadom zwyczajów, nie dałem mu ani prezentu ani pieniędzy. A że zamiast przyjechać pociągiem o 12-ej w nocy, przyjechałem o 5-ej rano, więc postawił mnie do raportu kompanijnego. Kpt. Wittek krótko i węzłowato orzekł: 30 dni aresztu koszarowego. I siedziałem. Wiosna była cudna, na ulicach gwaro, przyjemnie, a tu siedz. bracie i nasłuchuj, jak inspekcyjny oficer co pół godziny, a bywało co pięć minut każe trąbić na aresztantów. Nagwałt ubieraj się paradnie i jazda z drugiego piętra na złamanie karku. Z olbrzymich koszar zbiegało się bractwo, zawsze było aresztantów ze 20-tu. A taki inspekcyjny oficer ogląda ci szczegółowo, czy masz po 42 gwoździe w butach, guziki czy błyszczą i czy dobrze przyszyte, czyś ogolony należycie, słowem — jak chciał — zawsze coś znalazł. To bagnet ci wyciągnie, akurat gdzieś wykrył rdzawą plamkę, to włosy za poetyczne. Takich trąbek aresztanckich słyszałem nieraz między 5 a 9 rano godziną 20 — 30. Nieraz ani jednej. Czasem bywało jeszcze na górę nie wyszedł, a tu już tra-tra-taa! psiakrew. Na łeb, na szyję pędź w kutych butach znów na dół, by się, broń Boże, nie spóźnić.

— A teraz wojna, panie sztabski, myślę z zadowoleniem. Zobaczymy jak do ataku polecisz, skokami czy nieustannym biegiem. Od bitwy pod Annopolem gdzieś się zaprzepaścił, aż oto jest tu znowu. „Pazur półgłosem zapowiada: — ubiję tego psisyna, jak tylko będzie okazja.

— Baczość! Czwórki w prawo zwrot! — komenderuje dowódca kompanji, — za mną marsz! Schodzimy przez rów w pola. Pod stopami czuję znów olbrzymie głowy buraczane. Obrzydliwy marsz, ciągle się potykamy, górka-dół, górka-dół, bez końca. Trzymamy się za bagnety poprzedników, bo chmury zaciągnęły niebo i ciemno, że oko wykol. Nie wiemy, dokąd idziemy. Sąsiad z czwórki, za mną idący, twierdzi, że do wsi na spoczynek. Z ust do ust podawana komenda: — Stój! Przystanęliśmy, opie-

rając ramiona na wylotach karabinów. Przed nami majaczy dość wyraźnie wieś. A więc będziemy kwaterować.

Prowadzą jakiegoś cywila widocznie, bo widzę sylwetkę chłopca, kłaniającego się kapeluszem. Sztab pułkowy gromadzi się wokoło niego.

— Nie wiem, nie wiem, krzyczy chłop — nigdy tam nie byłem.

Dorozumieliśmy się, że miał być przewodnikiem do jakiejś miejscowości. Chłop zaklina się na wszystkie świętości, że nie zna tej wsi. Ktoś go widocznie uderzył w twarz, bo plask słychać, chłop skamle. — „Aufhängen soll man solche Trottel“*), — ktoś mówi po niemiecku. — Zjawia się drugi przewodnik — ochotnik. Częstują go papierosami.

Na ramię broń, marsz! Maszerujemy. Słychać chrzęst uzbrojenia, kołatanie łopatek polowych, bagnetów, manierek. Idziemy drogą chwała Bogu! Palić surowo wzbronione. Nawet szeptać zakazali. W głowie roi mi się od myśli, dokąd też... do wsi na spoczynek, czy znów do bitwy. Wkrótce zaczęło świtać. W dali widać siną smugę lasu. Nie lubię lasu, stamtąd wieje groza ukrytego nieprzyjaciela. Skracamy w lewo. Jeszcze pół kilometra — halt! — Komenda: — Siadać! Uh! Z jakąż rozkoszą kładziemy się na mokrej łące. Pod głowę podrzucam tornister, karabin oparty na brzuchu. Momentalnie zasypiam, jak i koledzy. Minutę, czy godzinę tego snu było — nie wiedziałem.

Na świecie szaro i jakoś smutno. Wokoło mgły.

— 5-ta kompanja — komenderuje por. Spacil, czwarty pluton, pierwsza i druga sekcja, dyrekcja! — tu machnął ręką w stronę lasu — w tyraljerę! 10 kroków odstęp. Trzecia i czwarta sekcja na lewo wskos, kierunek las — marsz!

Byłem w pierwszym plutonie, zadowolony, że to nie my. Powoli, ociągając się, wstają wyznaczeni. Na czele kroczy plutonowy Wiewióra. Już rozciągnęli się w linję tyraljerską i idą z pochylonemi głowami; my leżymy dalej. Ich postacie maleją. Słychać klekot bociana. Z za mgieł widać purpurę wschodzącego słońca. Wtem paf! paf! od strony lasu. Nad głowami coś gwizdnęło. I znowu cisza. Tyraljerczycy nasi przepadli; widocznie leżą w trawie. Znowu się zrywają. Paf! paf! coraz gęściej. Nie wiem, co robią nasi tyraljerzy, bo mam głowę, jak i towarzysze wbita w ziemię. Paf! paf! suchy trzask zamienia się w jednostajny

*) Należałoby wieszać takich durniów.

grzechot. — Za wysoko biją, myślę z zadowoleniem, słysząc kulki nad sobą. Ale teraz grzechocze nietylko las — jak daleko okiem sięgnie, z prawej i lewej strony słysząc strzelaninę. Bocian umilkł, umilkły i żaby.

— 5-ta kompanja, pierwszy, drugi pluton, w prawo w tyraljerę, pięć kroków, kierunek las, marsz!

Stękając, kaszląc, dźwigamy umęczone ciała. Rozsypujemy się w tyraljerę. — Trzeci pluton w rezerwie! — komenderuje dowódca kompanji.

Idziemy, nie — biegniemy, choć nikt nie każe. Słyszę w biegu, jak złośliwie coś piszczy... piu, piu, piu, tsi, tsiuu. Słyszę wołania: o Jezu! Umyślnie, czy nieumyślnie upadłem na ziemię. Strzelamy, nie mierząc. Repetuję karabin i strzelam — Panu Bogu w okno. Na chwilę cisza na naszym odcinku. Podnoszę głowę. Do lasu jeszcze ze trzysta kroków. Zrównaliśmy się z pierwszą tyraljerą. Obok mnie leży jednoroczny kaprał, Kitaj — klnie. Ktoś z naszej strony wystrzelił, od strony lasu odpowiedzieli. Znów cisza. A więc przysiedliśmy tylko. Na lewo od nas słysząc bulgot, przybliża się do nas, ogarnia nas.

Strzelamy, nie celując do ludzi, ludzi żywych i chcących żyć, jak i my. Plutonowy śmiałek dostał kulą w głowę, widzę go przede mną wysuniętego. Wywrócił się na wznak i skucezy... jak pies, znienacka uderzony laską. Już nie słysząc pojedynczych strzałów, ale huk przeciągły... Przed nami, nad lasem pękł szrapnel... drugi... trzeci... Było to hasłem dla Moskali, bo równocześnie z hukiem trzasły dwa szrapnele za nami. I znów Austriacy walą. Liczę dymki szrapnelowe, 4, 6, 8 — i Rosjanie nie próżnują. Ale psiekrwie biją także granatami.

— Skok wprzód! — słyszę z lewej strony.

Podrywam się z innymi i biegnę. Przed nami na 50 kroków wybucha granat. Odłamki piszczą. W uszach mi dzwoni. Znów leżymy na ziemi. Trąbią w tyle do szturm. Artylerja milknie. Biegniemy, dopadliśmy lasu. Nieprzyjaciela ani śladu. Tylko to tu, to tam porzucony karabin rosyjski, plecak. Za drzewami gromadka, ze dwudziestu ludzi. Ręce do góry wzniesione, papachy na głowie, buty z cholewami. Bierzymy ich do niewoli. Melduję się na ochotnika do odprowadzenia jeńców. Kapitan Wittek, który w międzyczasie nadszedł z sierżantem, zleca temuż tę funkcję. Taki zawsze ma szczęście. Ja z jednorocznym kapralem Kitajem mamy spa-trolować las, jako przednia straż.

Biegniemy z patrolami naprzód przez las. Wkrótce tracę z oczu Kitaja. Za nami posuwa się kompanja. Jeszcze paręset kroków, a przed nami ukazuje się łąka bujna, soczysta, pełna kwiecica. Niezdecydowany przystanęłam z kilku szeregowcami. Powoli zbliżają się z tyłu nasze siły. Mieszmamy się między nich.

Zjawia się dowódca 7 kompanji, porucznik Dobrodzicki. Z miejsca rubasznie pyta: — No, jak tam chłopcy, macie jeszcze czyste gacie? — Mamy, mamy, żywo potakujemy, ale nie wszyscy. Nie martwcie się, bo i u majora, a podobno też i u oberszta niejasna sytuacja. Śmialiśmy się i przyjemnie nam było, gdy położył się obok, poczęstował papierosem i szła pogawędka co w kraju słyhać. — Najgorsze, prawil Dobrodzicki, że się tam do naszych bab dobierają pokraki cywile i używają... nie skończył, bo z sykiem nadleciał „kuferek“ i gdzieś nad lasem pękł z donośnem echem. — Ho! ho! kurniawa się zaczyna. Za chwilę drugi, trzeci szrapnel pękł i to tuż za nami. Od prawego skrzydła podana komenda: krajem lasu, pojedynczo na prawo marsz! Był to ostatni czas. Z jękiem, gwizdem i skowytym nadlatywały szrapnele i granaty pękając z hukiem. Biegli my między drzewami...

Wreszcie po jakim kilometry przystanęliśmy. Adjutant pułku rozdał dowódcom bataljonów dyspozycje na piśmie.

W pięć minut maszerowaliśmy na północny wschód marszem ubezpieczonym. Słońce grzało niemilosiernie, pragnienie nieznośne. Cóżbym dał teraz za szklanke wody!

Nasz bataljon dochodził już do jakiejś wsi, gdy przednie straże rozsypały się w tyraljerę. Ze strony wsi prażył nieprzyjaciel ogniem karabinowym. Kule dolatywały i do nas.

Bez rozkazu pokryliśmy się w przydrożnym rowie. Tymczasem pukanina z minuty na minutę rosła. Nadbiegł adjutant II bataljonu, chorąży Gruszka, krzycząc: „Kompanje od prawego w tyraljerę! Rozsypaliśmy się na roli. Język przysechł do podniebienia. Z tyłu woła ktoś po niemiecku: — Naprzód, naprzód dzieci!... Zerwałem się i rzuciłem wprzód z innymi. O zostaniu w tyle nie było mowy. Słyszeliśmy, że tam żandamerja polowa maruderów bez pardonu rozstrzeliwuje. — Psie życie, myślałem, biegnąc zziajany. Tuż za mną biegnący jednoroczniak, student agronomji Surman wołał: Staszek, gdzie tak pędzisz, czekaj na mnie! Oglądałem się. Biedaczyszko wprost ginął w ekwipunku sprzętu i broni. Twarz miał czerwoną, jak burak. — Byle dopaść domu, krzyczałem, tam bezpieczniej.

Ludzie biegli, pchani siłą rozkazu, czy instynktem samozachowawczym. Raz poraz któryś się przewracał. Zastosowałem nowy środek obrony. Prosto przewróciłem się, udając zabitego. O! i leżę na ziemi z głową, wbity w rolę. Na lewej flance słysząc rechet... to karabin maszynowy. Nad głową słyszę nieustanne fiut, fiut, fiut... Karabin przestał chwilę strzelać... Do wsi jeszcze z 50 kroków.

Leżący obok mnie chorąży Raczkiewicz podrywa się z okrzykiem: Szturm, hurra! — Hurra! rozebrzmiało zewsząd. Biegniemy, już jesteśmy we wsi, nad nią dym czarny, na nim ogniste języki.

— Pomyśl! pomyśl! słyszymy. Ręce wzniesione. Czapy i szarozielone mundury. Ze 60 chłopów. Żal patrzeć na nich. Jakiś dziwnie niebojowy wyraz twarzy, jakiś smutek w oczach. Brodatych dużo.

Chciałem przystanąć, pogadać, ale już plutonowy Kiec wrzeszczy: Dalej, jednoroczny, co stoicie! Więc biegniemy przez wieś. Z za węgłów domów wyglądają przerażone twarze wieśniaczek i dzieci. Słysząc płacz wokoło.

Na drodze trupy końskie i ludzkie. Niektórzy jakby spali. Pali się szereg chałup. Owiewa nas żar, dym gryzie w oczy. Biegniemy przez ogródki, łamiemy płoty. Jakaś siła pcha mnie z tyłu. Nie chcę, a biegnę. Bodaj to być rannym; z zazdrością patrzę na Kobyleckiego, jak z przestrzelonem ramieniem idzie w tył. Błady, bez czapki, włosy zlepione, ale widzę, że mimo bólu — zadowolony. Na skraju wsi pościg się skończył.

Niebo ciemnieje, zmierzcha się. Runąłem na ziemię. Zmęczenie, głód, pragnienie, przeżyte bitwy, strach — wszystko to razem spowodowało, iż straciłem świadomość. Iskry wirowały mi w oczach, w uszach uczucie trzasku.

— Zbiórka! ktoś krzyczy. Zbudziłem się, chciałem powstać — nie mogłem. Wyraźnie czułem, że mam przetrącony krzyż, połamane ręce i nogi... Uczucie czczości, pragnienia, senności, potrzeba spoczynku, niebytu, nicości...

Zbiórka! do cholery ciężkiej! klnie ktoś, ach! to Kiec. I... w jaki sposób nie wiem, ale dowlokłem się do oddziału, stanąłem w szeregu, a na komendę: baczność! wyprostowałem się, jak struna. Dosłyszałem słowo, marsz! Machinalnie z moją czwórką zrobiłem pół obrotu w prawo... stosując krok do sąsiadów...

Szliśmy w otchłań ciemną, skąd huk i szły i łuny... Wtedy poczułem, że po twarzy mej spłynęły... dwie łzy, ale to chyba ze zmęczenia.

W godzinę potem przystanęliśmy. Nasz bataljon pełni straż. Trzy kompanje rozłożyły się biwakiem bez ognisk. Nasza kompanja rozbita na cztery straże polowe. Sam w jednej z nich z siedmioma ludźmi stanowią wedetę. Ruszamy 300 kroków naprzód.

Stajemy pod wyniosłą lipą. W poświacie nocy przed nami bezmiar łąk. Naokoło łuny wciąż krwawią niebo coraz to w innym punkcie.

Rozstawiłem ludzi na stanowiskach 20 kroków przede mną — sam zaś z pozostałymi trzema szeregowcami usiadłem pod lipą i rozglądałem się wokoło. Z oddali słysząc od czasu do czasu głucho dudnienie: bach! bach! Widocznie pracuje ciężka artylerja.

Oparłem się plecami o drzewo i rozmyślałem. Senność pierzchała. Stałem oko w oko naprzeciw nieprzyjaciela. Nie wiedziałem, gdzie on. Może o kilometr... może na prawo, może na lewo albo zgoła w tyle... Przedemną tańczą ogniki błękitnawe, to zielonkawe. Niewątpliwie błotne gazy, staram się sobie uświadomić, bo mnie ogarnia mimowoli lęk na myśl, że mogą to być dusze zabitych. Żołnierze obok leżący chrapaniem swoim mnie uspokoiłi. Otom żyw, między żywymi.

— Żołnierz! Zacząłem w duszy drwić. Ziszcza się wielki sen ojców o walce przeciw Rosji, zaborcy, ciemieżcy, najeźdźcy ze wschodu. Oto mścimy was... bohaterów z 63 roku — my żołnierze... austriaccy.

— Za cesarza i za państwo! O Polsce ani słowa. Zwycięzą Austriacy, zagarną Kongresówkę i kresowe ziemie... A jeśli zwycięży Rosja, zajmie po San, jako bezspornie rosyjskie — ich ziemię — ziemię. Cóż więc?! Kością będziemy tak czy owak, o którą te psy się gryzą. Więc poco się przejmować? Innego rozwiązania, jak zwycięstwo i klęska niema. Albo ci, albo tamci. Tak czy owak niewola nas czeka. Raczej ratować polski stan posiadania, ochraniać życie... myślałem z uczuciem jakiejś beznadziejności. Leżący obok towarzysz przez sen coś mówi o fasunku. Śpij kolego. Otom z wami zbratany, gniecie nas wspólna niedola. Ciężko nam, bardzo ciężko. Jesteśmy młodzi, do życia sposobiliśmy się dopiero i oto odrazu kazano nam umierać. A tak chcemy żyć.

Z jakąż zazdrością patrzymy na wszystkich, którzy nie muszą podstawiać się pod kule. Gdybyż bodaj kucharzem zostać, o taborach nawet nie marzyliśmy.

Czułem na piersiach ciężar... upłynęła godzina... zmieniłem posterunki. Umilkły działa, przygasły łuny. Zapanowała nieza-

mącona cisza. Słysząc tylko krzyk bekasa na łące i ciche kumkanie żab.

Zerwałem się nagle, bo ktoś gwałtownie mnie szarpnął. — Idą, jednoroczny panie... — szeptał, „Pazur“. Na szczęście była to luzująca nas warta.

Gdyśmy wrócili do kompanji, panował tam przytłumiony gwar. Rozdawano „menaż“, t. j. obiad. Kawalek mięsa w zupie, pół bochenka chleba i po 20 papierosów, t. zw. dramki albo cienkie. Dobrze i to. Jedliśmy z pośpiechem. Kucharz prędko wydawał obiad, bo dostał rozkaz natychmiast przygotować kawę.

Świtało. Leżałem na ziemi syty i ćmiłem papierosa ukradkiem, bo palić zakazano. Śpieszyłem się z tem, bo kto wie... może to ostatni w życiu fasunek.

Od wschodu zaczerwieniło się zwolna niebo. Lekki wietrzyk przyniósł odgłos dalekich strzałów karabinowych, tak nam znanego bulgotania. A więc wojna trwa dalej... Bulgotanie słychać coraz bliżej. Auf! słychać zewsząd. Wstają żołnierze, ale to już nie ci paradni z Borka Fałęckiego, ich mary raczej. Podsiniałe oczy, zarosnięte twarze. Wstajemy z wielkiem ociąganiem się. Co nas czeka? — Na ramię broń! — prowadzi nas kpt. Wittek. Wychodzimy z szeregów bataljonu. Widać, jakieś specjalne mamy zadanie. Ale i sąsiednie kompanje rozłamują się w kolumny. Widocznie będzie większe natarcie, bo cały pułk skoncentrowany. I-y i II-gi bataljon szykują się do akcji, III-ci w odwodzie, bo ustawiają broń w kozły. My maszerujemy w kolumnie głównej. Uszliśmy już z kilometr.

Przepiękny ranek wokoło. Słońce w całej pysze kolorów przebłyskuje z za drzew. Świergot ptactwa miło nastraja nasze umęczone dusze. Zakazu niema, więc kurzymy dramki.

— A może idziemy na spoczynek... ten i ów zagaduje.

Zdale widać chłopskie zagrody. Ściany chałup ozdobione obrazami świętych. Mijamy jednak wieś; nie uszliśmy pół kilometra, gdy z szumem nadleciał i w odległości stu metrów pękł szrapnel w powietrzu. Nie wiemy, austriacki czy rosyjski. Sekund parę upływa, wybucha drugi szrapnel, ale już tuż obok. Trafiony w pierś łuską gilzy wąsaty rezerwista, Załęski chwilę stara się utrzymać równowagę, twarz jego robi się szkarłatna, gałki oczne wyłażą mu na wierzch, trzepocze rękami — i wali się. Maszerujemy obok. Ratują go sanitariusze kompanijni.

Dlaczego maszerujemy, dlaczego się nie chronimy? — Biją w nas, jak w kaczę d... do stu piorunów przeklina mój sąsiad. Mardula, a nikt nie da rozkazu kryć się.

Nagle... z rykiem potwornym w sam środek kolumny wpadł jakiś wielki pocisk. Łoskot piekielny, pisk odłamków... biegnę naoslep, na lewo. Ogarnia mnie strach i groza. Nogi się uginają, u stóp czuję ciężar ołowiaty. A granaty wałę — gdzie ruszę, tam łoskot. Rozpoczyna się szaleńczy zamęt. Nie jestem sam. Widzę, jak w leju pociskiem wygrzebanym, schroniło się trzech oficerów. Rzucam się na prawo, tuż obok wybuchu pocisk — coś rzuca mnie na ziemię. Zrywam się z rozpaczą, lecę wprzód, przewracam się i spadam wgłąb.

— Możem zabity — myślę. Leżę w leju na dnie i uświadamiam sobie powoli, że żyję i nawet ranny nie jestem. Powietrze szumi, jęczy, ziemia drży, a wraz z nią trzęsę się i ja. Obok mnie leży kadet naszej kompanji, Krzysikiewicz. Patrzymy na siebie bez słowa. Za każdym nadlatującym pociskiem kulimy się do ziemi. W tem ziemia—czuję to wyraźnie—zakolebała się. Wybiegam z leju. Sto kroków przede mną wielki parterowy budynek białobielony. Biegnę ku niemu. Stoi za nim, chroniąc się przed pociskami, kilkunastu ludzi. Ale i tam wpadł granat... a oto siłą ciśnienia powietrza, czy w jakiś niepojęty dla mnie sposób na ścianie rozkrzyżowany henwed. Biegnę ku niemu, jak zahypnotyzowany. Odpadł. Zęby mi dzwonią — słyszę je przez wichurę i łoskot ognia. W rozpacz padam twarzą ku ziemi. Ktoś potyka się o moje nogi i wywraca. To szeregowiec Waksmundzki. Jeszcze chwilę trwa to piekło — naraz cisza.

Na prawo od nas ze wzgórza słychać trajkot. Bije karabin maszynowy. Jednak nie słychać gwizdu kul. Widocznie ma inny cel. Słyszę niemiecką komendę: Strzelać... nieprzyjacieli!...

Teraz słyszę strzały karabinów austriackich. Z Waksmundzkim czołgamy się ku górze na lewo. Nie wiemy poco? Byle uciec jak najdalej z przeklętej kotliny. Palba karabinowa coraz głośniejsza. Odezwały się i karabiny maszynowe. Znów leżymy społem z kilkoma na ziemi. Nad nami tuż nad głową bzykają kulki. Strzały z naszej strony coraz słabsze. Żołnierze z lewej strony biegną w tył. Podrywamy się i biegniemy za nimi. Ścigają nas Rosjanie. Biegnę jak zając, zdaje się, że lecę w powietrzu, bo ziemi wprost nie czuję. Jeszcze sto kroków i przewracam się wpół żywy w rowie. Pełno tu żołnierzy z naszego pułku. Skuleni wszyscy.

Widać stąd płonącą wieś... gęsty dym chmurą wzbija się z za drzew w niebiosy. Pościg widocznie ustał. Dużo rannych kolegów. Z góry, podtrzymywany przez plutonowego Kieca, schodzi kulejąc kpt. Wittek. Ranny w kolano. Krew spływa poprzez bandaż.

— I już skończył wojnę, myślę z zazdrością.

W oddali widać rozwijającą się tyraljerę. Idą równo, składnie... Szu... szuu... żałośnie jęczy coś w górze... i nad nami prrask! to szrapnel rosyjski. Rozlatują się żołnierze, bo już drugi pękl...

Dziwne mi się to wszystko wydaje. Na niebie słońce, jakby nigdy nie.

Wojna! Nie wyobrażałem sobie, że z taką uporczywością trwać będzie tygodniami. Myślałem co najwyżej jedna, dwie bitwy — a tu bezustanna strzelanina. Z zimną krwią do człowieka strzelać, zabijać go... Za co?! Czy żołdat rosyjski ma jakieś światoburcze ambicje, czy nam, żołnierzom austriackim zależy na wzmożeniu potęgi Habsburgów? Myśli te przerwał mi okrutny łoskot. To w parów, gdzieśmy leżeli, trzasnął granat. Zrywam się wśladać za innymi.

Biegniemy ścieżyną na łeb na szyję. Zginę, jak pies — przybłąda, bezimienny. Nikt nie wspomni mnie nawet. Co znaczę w tej olbrzymiej masie wojska, ja kapral. Tylko rodzina moja będzie mnie opłakiwać. Ale nawet grobu mego nie znajdą...

Leżę z innymi na stoku wzgórza. Jesteśmy zabezpieczeni. Pociski armatnie lecą górą. Tak dziwnie jakoś, tak żałośnie płaczą. Przechodzą godziny. Ogień artyleryjski coraz mniejszy. Zmierzcha się. Naokoło znów widać łuny pożarów. Palą się biedne chłopskie zagrody. Nie pomagają obrazy święte na ścianach.

Naokoło wciąż słychać huki, jakby jakąś ciężką bramę zamykano. Wreszcie zapadła noc. Ciemności jej rozjaśniają błyskawice ciemno-czerwone, w górze słychać żalosny pojęk — i gdzieś dalej poza nami trzask.

Usnąłem, jak inni. Bez jedzenia, bez papierosa; to wszystko głupstwo, gdyby nie wściekle pragnienie. Pić, za wszelką cenę pić. Czułem, że pali mnie gorączka i zarazem zimno trzęsie. Budziłem się co jakiś czas. Wokoło koledzy, niedoli towarzysze. Wszyscy razem czujemy, że bijemy się i ginimy dla jakiejś niepojętej idei habsburskiej, że gnają nas do bitwy, jak bydło na rzeź przeznaczone, a niema w nas dość siły, by przeciwko temu zaprotestować. Nikt nie podejdzie do nas z cieplejszym słowem, nikt nie skrzepi nas myślą przewodnią, nikt nie wskaże nam celu. O Polsce ani słowa. Owszem mówimy o niej stale, ale tylko w ukryciu, szeptem. Przy całej świadomości, że bijąc się z Rosją służymy sprawie polskiej — ogarnia nas zwątpienie, w celowość naszych ofiar. Stąd ciężar na duszy.

*

*

*

Dzień i noc, noc i dzień, przechodzą po sobie, a u nas nic się nie zmienia. Słońce wciąż jednakowe, gwiazdy mrugają, jakby z nas drwiły; w nocy skrzeczą żaby. Za dnia słyszymy świergot ptactwa. Tylko, gdy strzelanina milknie, mówi żywa natura. Mówią jakieś dziwne, nieznane mi głosy — mówią żałośnie, wtórując do snu wiecznego. Nieraz i pragnę go.

Przerzucamy się z miejsca na miejsce. Zatraciliśmy pojęcie czasu i przestrzeni. Nocą marsz, za dnia granaty, karabiny. Już umiemy odróżnić „nasze“ i „ich“ pociski. Wiemy już co ciężki, a co lekki pocisk. Umiemy się kryć. Na lewej stronie piersi grubo wypchana kieszeń; chroni od kuli karabinowej. Od szrapnela nie najgorszą ochroną tornister na łeb zarzucony gdy leżysz brzuchem, głową wtłoczony w macierz ziemię. W tornistrze mam siedem wkręconych w bieliznę kulek szrapnelowych. Przed granatami niema ratunku. Wola Boża! Gdy ogień za silny, żegnamy się instynktownie. Są i niedowiarki. Bluźnią, klną. Skąd te siły, że się idzie i idzie, bez snu, bez jedzenia, bez papierosa, bez wody. W strachu, gdy każdy atom ciała drży, już dawno powinien człowiek popaść w obłęd — a tu nie!

Dwa są wyjścia. Być rannym, albo dostać się do niewoli. Pragniemy tego. Są szczęśliwcy z postrzałem uda, czy ramienia.

Kompanja topnieje. Z 250 ludzi naszej kompanji, którzy z Borka Fałęckiego wyruszyli, pozostało nas zaledwie 68-miu. Reszta w niewoli, w szpitalu, a przeważnie w ziemi...

Ale choć tak złe, umierać nie chcemy. Nie chcemy! Jeszcze przed śmiercią choć zobaczyć strony rodzinne, ojca, matkę...

Dziś nocujemy poraz pierwszy od szeregu tygodni w olbrzymiej dworskiej stodole. Nareszcie pod dachem. Nareszcie śpię w bieliźnie; nareszcie dzisiaj o 12-tej był obiad, o 5-tej kawa; no i nareszcie bez broni, nawet bez pasa mogliśmy leżeć i grzać się w słońku. I nikt nie strzelał, i artylerja milczała. Do tej chwili nie wiem jednak, ani nikt z otoczenia, czy to początek, czy koniec tygodnia, wrzesień czy sierpień, czyśmy pod Lublinem, czy pod Warszawą, czy w Galicji. Robiliśmy nocą marsze w setki kilometrów, ale nikt nie wie, kto, co, gdzie. Zresztą nie mamy najmniejszego zainteresowania.

Nie obchodzi nas wynik wojny, ani warunki pokojowe. Nie nawidzimy wojny; jeżeli przeżyjemy, będziemy ją zwalczać; jest okrutną, wstrętną.

Nienawidzimy cesarzy, książąt, także papieża, bo siedzi w Watykanie bezczynnie, zamiast wstrząsnąć chrześcijaństwem.

Nienawidzimy wszystkich w tyle. Zazdrościmy sztabowcom, co z tyłu bitwą kierują, zazdrościmy, gdy do akcji idziemy chłopu, który było pasie, ordynansowi oficerskiemu, taborytom, prowiantowcom, księżom i lekarzom. Zazdroszczę ja i my wszyscy dziadom przydrożnym, zazdrościmy lekko rannym i jeńcom, bo... chcemy żyć, za wszelką cenę żyć!

Gdy karabiny strzelają — niema nikogo, prócz nas szaraków, niema komendantów, ani komendy. Leżymy w szczerem polu i możemy strzelać lub nie strzelać, jesteśmy panami, nikt nas wtedy nie kontroluje. Wolno nam iść wprzód, tylko nie wtył, chyba, że i tam strzelają. Dlatego w sercach naszych nienawiść i żal do tych, co w „Hinterlandzie“. Ale narazie leżymy sobie bezpiecznie. brzuchy mamy pełne; fasunek liści tytoniowych oplaca się, bo choć tytoń to fajkowy, ale go dużo. Dopiero dzisiaj poraz pierwszy mam możność napisania listu do domu. Jako adres podaję: „Feldpost 27“ — i piszę rzewnie myśląc o rodzicach, siłę się na figlarny ton, bo poco ich martwić.

Zwolna zapada cichy wieczór. Leżymy społem z innymi w olbrzymiej stodole, wygodnie, bo na chrupkiej słomie; gwarzymy i marzymy, że może i wojna się skończyła.

ROZDZIAŁ V.

Koguty piały, choć ciemno było, gdy mnie gwałtownie obudzili. Widocznie północ. Oficerowie krzatali się po podwórzu, z kuchni wydawali kucharze kawę, chleb, jeszcze raz liście tytoniowe i pocięte kawałki starych gazet, gdyż bibulek brakło.

I... marsz. Odrazu w pola. Mijamy ściernisko, znów te nieznośne pola buraczane, te ziemniaczyska bez końca.

W mrokach nocy błyska się krwawo przed nami i słychać głuche dudnienie. Tam idziemy. Już wiemy, to artylerja polowa — Ho! będzie coś „z maki” — mówią żołnierze. Słychać strzały karabinowe. Już nad nami pociski armatnie gdzieś lecą. Palić nie wolno. Nakazana cisza. Mimo to słychać ciche zduszone pokaszliwania, czasem ktoś westchnie, czy zaklnie; brzęknie tu i ówdzie manierka o pochwę bagnetu. By się nie zgubić, trzymamy za pasy poprzedników.

Na prawo od nas dość daleko widać ogromną łunę, słychać łoskot, jakby pomruk dalekiej burzy. Mijamy sztab pułku. Dookoła płk. Puchalskiego zebranych kilku oficerów, czytają mapę z latarkami elektrycznymi w ręku. Słyszymy słowa: „Urzędów... Zaklików“... jeszcze idziemy kilkaset kroków i nagle: — Halt! hali! — słyszymy od tyłu podawane. Stajemy, składając bez komendy do nogi broń.

Jeźdźcy konni przelatują galopem pojedynczo. W oddali widać pękające w powietrzu szrapnele.

— Ho! ho! mówimy między sobą, będą nas w ten ogień pchać. To rosyjskie „kuferki” pękają.

Tymczasem świta. Postój przeciąga się do pół godziny, więc zwyczajem stosowanym, gdy niema innego rozkazu, kładziemy się w rowach przydrożnych nawznak, czego nawet nam nie bro-

niono. Młodszy oficerowie dzielą naszą dolę, naśladowają nas i też gdzie mogą przysiadają.

W parę minut potem auf! auf! — słychać od czoła kolumny. Dźwigamy się, stękając, kaszląc... sformowana w czwórki ruszyła kolumna całego pułku. Machinalnie sprawdziłem, czy na lewej piersi w kieszeni jest zwój papierów, portfel i t. d. W porządku.

Jednak widzę, że czoło kolumny nie idzie w stronę wstającego słońca, ale zdecydowanie skręca ku południowemu zachodowi. — A więc na spoczynek, konstatujemy.

Istotnie kolumna waliła na las, przez który nieskończonym sznurem ciągnęły tabory, głównie prowiantowe, przeważnie furmanki chłopskie. Pośpiech tam widać wielki. Woźnice biją batami konie, nawołując wio! wio!... Zmęczone koniska z trudem ledwie ustać mogą na nogach, a muszą ciągnąć ciężkie wozy.

Zanurzamy się w las, mijamy go. Koło gościńca, zatłoczonego taborem artyleryjskim, stajemy w rowach frontem. Czekamy, aż tabory przejdą. Ale już godzina mija, a tu w nieskończoność jadą wozy z amunicją, to działa, to sanitarne wozy, to sprzęt telegraficzny.

Patrzyliśmy na to ciekawie, bo dawno już nie widzieliśmy nikogo, prócz siebie samych, nie słyszeliśmy nic innego, jak tylko strzelaninę.

Było nam tu miło. Kurzyliśmy papierosy i fajki, wygodnie leżąc w rowie, naśmiewaliśmy się, że oto jakiś rezerwista brodaty w okularach (pewnie profesor w cywilu) pędził bydło, które mu się ciągle rozlażyło, to jakiś rachunkowy feldfebel okropnie bohatercko dowodził, wykrzykując nad ogłupiałymi i niezaradnymi woźnicami, zarekwirowanymi z pośród cywilów.

Wreszcie i to ustało. Do naszego dowódcy kompanji podszedł adjutant bataljonowy, coś poszeptali, z czego dosłyszeliśmy niemieckie słowo: „Rückzug“. Wytłomaczyłem to zaraz góralom. „Odwrót“! Przeklęta wojna skończona. Dostaliśmy w skórę, no i uciekamy.

Niedługo i my ruszyliśmy wślad za taborami. Po drodze napotykamy setki zastrzelonych koni. Nie mogły widocznie uciągnąć ciężkich wozów. Waleczni taboryci je wystrzelali, — cholery! Biedne koniska. Taki oto finał waszego trudu. Leżycie teraz w kurzawie gościńca ze szklivem w oczach, które z głębi wołają... Hańba wam, ludzie! Was może jeszcze gorzej, niż nas dręczył przed śmiercią głód, pragnienie...

Ale nie było czasu litować się nad końmi, bo nas samych pędzono bez miłosierdzia.

Minęło południe, a o spoczynku niema mowy, przeciwnie tempo marszu coraz szybsze. Po drodze widzimy spieszoną kawalerję; prowadzą ułani konie za uzdy. Ci paradni na rewjach rycerze wyglądali teraz wprost pokracznie. Lance, gdzieś potracili, szable do siodła przytroczone; szli pomęczeni ze spuszczonej głowami.

— Od parady — tłumaczy nam kadet Krzystkiewicz — nieźle to wojsko, ale do bitwy?... szkoda tylko tych koni.

Zmierzchało się już, gdyśmy minęli miasteczko Urzędów, i w jakiejś wsi spoczęli. Byłem tak zmordowany marszem, że nawet nie odpowiedział chłopu, u którego w stodole staliśmy na kwaterze. Gwałtem mnie wypytywał, dlaczego to my, niby Polacy, jedni z „ruskim“, a drudzy z „austrjakiem“ idziemy. Tak pragnąłem tej rozmowy i zacząłem mu tłumaczyć, alem... zasnął.

Spaliśmy w pełnym uzbrojeniu. Ale niedługo, bo nocą przyszedł rozkaz i ruszyliśmy dalej, niewiadomo dokąd.

Znów mijamy wsie, lasy, pola — marszem coraz gwałtowniejszym, aż wreszcie w południe ukazał się nam Zaklików, oddzielony rzeczką, płynącą w jarze.

Minęliśmy most. Tuż za nim na prawo widzimy olbrzymie sterty amunicji artyleryjskiej i karabinowej; to znów ogromne góry prowiantu, cukru, kawy, konserw mięsnych, ubrań, butów i Pan Bóg wie czego jeszcze. Wszystko to na naszych oczach polewali prowiantowcy naftą, czy benzyną i podpalali. Głupota, czy zawiść nimi miotała, dość, że nie pozwolili nam nic zabrać. Mieli bowiem „Befehl“ *); spalili! I palili konserwy, cukier, mąkę, suchary, buty... a my, głodni, obdarci — patrzyliśmy na to.

Tymczasem weszliśmy w las. Maszerujemy traktem świeżo wybudowanej kolejki polowej. Z pod stóp naszych wzbijają się tumany kurzu, który osiada na spoconych twarzach, nadając nam wygląd jakichś Indjan, widać tylko białka oczu. Znużenie było tak silne, że mimo „Rückzugu“, co parę kroków upadali słabsi na ziemię, zobojętniali na wszystko.

Wreszcie, gdy pierwsza czwórka runęła na ziemię, za nią jak na komendę — zwało się wszystko.

Napróżno dowódca bataljonu wzywał, prosił i groził, chcąc nas zmusić do dalszego marszu — nie mogliśmy. I leżeliśmy, gdzie kto popadł... zrezygnowani. Wytrzymalsi z manierkami szli gdzieś wody szukać... ja leżałem w cieniu dużej sosny, gdy nade mną nachyliła się twarz... Hindusa, z której tylko białka oczu błyskały.

*) Rozkaz.

- Staszek! Rany Boskie! słyszę.
- Jezus Marja! to ty Zygmunt!?
- Tak, to ja, Marcinkiewicz.

Stary kolega z ławy gimnazjalnej służył w 57 p. p. Przysiadł, by pogadać, gdy nad głowami naszymi rozległ się huk strzału karabinowego, za nim drugi, trzeci... setny. Momentalnie las rozbrzmiał hukami strzałów.

Zamęt powstał niesłychany. Bomba pękająca wśród stada ptactwa domowego, chyba taki popłoch mogłaby wywołać. Rzuciliśmy się naoslep przed siebie, kryjąc się za pniami drzew. Jeźdźcy zsiadali z koni i biegnąc pieszo, kryli się za nimi.

Pędziłem skrajem lasu wśród świstu kul. — Zginę, zginę — myślałem, widząc, jak przewracali się żołnierze. Krzyki napęłniły las, zewsząd słyhać wołania: o Jezu! ratunku! — Nieprzyjacieli siekli tymczasem ogniem karabinów maszynowych bez litości. Biegłem jeszcze czas jakiś, gdy las się skończył. Przed sobą ujrzałem olbrzymią polanę leśną, którą przerzynała nowozbudowana przez pułk kolejowy droga. Widok tu był okropny. Cała polana, kilkaset hektarów zajmująca, zasiana mrowiem żołnierskiem. Krzyki, jęki, przekleństwa we wszystkich językach...

Ludzie skaczą z drogi, już są po pas w ziemi, już po ramiona. W moich oczach nikną gdzieś w głębiach głowy, jeszcze ręce sterczą na tle bujnej zieloności; widać drgające palce.. by za chwilę przepaść w toni bagna. Obok taki sam widok, na całej polanie, wszędzie to samo... tam koń kwiczy, stercząc głową nad zdradziecką zielonością, by za kilka sekund w oczach moich pograć się w bagnie.

Teraz Moskale ostrzeliwują drogę karabinami maszynowymi; żołnierze i oficerowie, świadomie czy nieświadomie, rzucają się z drogi w otchłań bagna.

W przeklętym tym kotle były wojska całej 12 dywizji z przewagą naszej, t. j. 24 brygady generała Edlera v. Lilienhofa. Z nami razem giną ułani 9 pułku, artylerja ciężka i polowa, sanitariat. Pomieszanе pułki, bronie, szarże i godności — wszystko skłębione w jakimś obłędnym tańcu, wśród bieganiny tam i z powrotem. Niema wyjścia, wszystkie punkty są w ogniu piechoty. Na dobitkę nad polaną zaczęły pękać szrapnele rosyjskie coraz niżej... niżej. Na drodze rozgrywały się dantejskie sceny. Ludzie i konie instynktownie wyrwały naprzód, nie bacząc na zabitych i rannych, którzy zaścielili drogę. Deptały kopyta końskie brzuchy i głowy; wnętrzności, jelita, mózg z błotem pomieszany krwawą miazgą zasłały drogę. Działa, jaszczyki, wozy pocztowe, sanitar-

ne, amunicyjne, powozy, bryczki — wszystko skłębione w masie bez początku i końca.

Ryki rannych koni i ludzi wśród trzasku karabinów, pękających szrapneli i granatów doprowadzały mnie do oblędu. Na kąpie kilkudziesięciu stłoczonych ludzi rzuca się na siebie; oto jakiś „stowak“ rozbiera się do naga i z tak straszliwym śmiechem, że ciarki mnie przechodzą, kiwa ku mnie ręką, wołając: „Póddź sem kamrat“! W moich oczach kapitan 100-go pułku strzela z rewolweru we własną głowę.

Nie zdołałem wszystkiego zauważyć, bo myślałem jedynie o ratunku. Biegłem drogą, przeskakując trupy końskie i ludzkie, przewracając się i ślizgając w czerwonej posoce i wyprutych bebeczach. Drogę zatarasowało mi działo oblężnicze, zaprzężone w trzy pary perszeronów. Napróżno jeźdźcy bili bez miłosierdzia konie, by zmusić je do galopu; wreszcie konie ruszyły. Wtem z prawej strony koń środkowej pary ugodzony kulą upada na przednie nogi — trzecia para ciągnie działo, pierwsza w podskokach napróżno usiłuje ciągnąć zaprzężonego trupa. W tym przestraszu zdobywam się na taki spokój, że scyzorykiem przecinam rzemienie zabitego konia... W podnieceniu przeskakuję jakieś wozy i pędzę naoslep.

A oto polana, przekłeta polana się kończy. Na jej skraju pod lasem wiosieczka. Tam wiedzie mnie instynkt. Nareszcie zdyszany wpadam w środek zabudowań. Kule tu gwizdzą, przebijając mech, wetkany między belkami, ale jest tu złuda bezpieczeństwa. Zastaję tu kilku żołnierzy z 57 p. p.

— A co psiamać — krzyczy jakiś kapral, — mamy ginąć jak szczenięta, brońmy się!

Jego przykładem porwani zarepetowaliśmy karabiny. Marcinkiewicz skoczył do okna, by rozejrzeć się, ale w tym momencie trafiony kulą w głowę, runął na podłogę, zalewając ją krwią. Porwaliśmy go za ręce i nogi i wymknęliśmy się z tej zapowietrzonej chałupy.

Przejście do następnego — o kilka kroków odległego muranego domku — nie było łatwe. Jak osy złośliwe gwizdały wszędzie kule. Chyląc się niemal do ziemi, przebiegliśmy tę drogę, przynosząc ze sobą już nieboszczyka. Leży teraz na podłodze, krew spływa dookoła głowy. Tak niedawno żyw, a teraz już na tym świecie. Żegnaj, Zygmuncie!

W izbie pełno oficerów sztabowych z płk. Puchalskim. Wejście nasze spowodowało, że pułkownik, a wślad za nim chyłkiem i inni oficerowie wybiegli z domku i chroniąc się przed ogniem —

to w podskokach, to na brzuchu, to na czworakach — jak duchy — przemykali między domami. My za nimi. Wreszcie i ostatni domek osiągnięty. Jeszcze sto kroków i wpadamy w gęstwę leśną. Cichnie odgłos strzałów, dochodzi nas tylko stłumiony pomruk dział.

Już nie biegniemy. Idziemy wolno, pomieszani z oficerami... beładną kupą... niedobitki...

Niedaleko za lasem, który się rychło skończył, widzimy graniczny słup austriacki z dwugłowym orłem cesarskim. A więc wkraczamy do Galicji.

Tymczasem noc zapadała. W ogromnym domu parterowym, ni to karczmie, ni to domu mieszkalnym, skupiło się kilkunastu oficerów i sporo żołnierzy. Rozmawialiśmy o ostatniej klęsce, bolejąc nad pozostałymi po tamtej stronie kolegami, nad pułkiem kolejowym, który miał za zadanie zniszczyć kolejkę. Wszyscy oni w niewoli, albo ziemię gryzą.

Zbliżył się do naszej grupy płk. Puchalski z rozkazem: 20-ty regiment do mnie! Zebraliśmy się wkoło społem wszyscy, oficerowie i żołnierze. Pułkownik podzielił nas na bataljony, kompanje, nakazując się poustawiać wedle dawnej przynależności. Policzył nas. Wszystkich razem z taborytami, lekarzami, kancelistami było 108, wyraźnie stu ósmiu. Z trzech tysięcy żołnierzy po jednomiesięcznej niespełna wojnie — 108 ludzi. Widziałem, jak płk. Puchalski odszedł na bok i... chusteczką wytarł oczy gruntownie.

Dowiedziałem się, że to już wrzesień, że Francja wypowiedziała wojnę Niemcom i już się biją, że Anglja też się ruszyła, że Niemcy przez Belgję wkroczyli do Francji.

Skądś wytoczono ćwiartówkę piwa, dostałem i ja łyk spory. A potem nocą ruszyliśmy wgląd Galicji, głodni, znużeni, ale z nadzieją, że do swoich wracamy, że wojna już skończona. A że Austrija wojnę przegrała, mało nas to wzruszało; tak rozmawialiśmy.

ROZDZIAŁ VI.

...Świtaniem doszliśmy do jakiejś wsi, gdzieśmy się zakwaterowali. Położyłem się w stodole na słomie, dobrze już wygniecionej. Nie mogłem długo zasnąć. Spędzały sen z powiek nietoperze, tłukące się naoślep, czy jakieś inne lichy; to znów mnie jakiś świerzb prześladował, czy insekty złośliwe.

Z zazdrością patrzyłem na chrapiące otoczenie. Śpią byki, jakby na wycieczce. Gdy zamknąłem oczy ukazywały mi się zjawy, jakieś trupie twarze z czarnymi oczodolami, to znów bezcielesne powłóczyste mary; w uszach jakiś bełkot, to pojęk przesmutny.

Tylu, tylu zabitych, tyle krwi przelanej. Tak umierali bez nadziei, smutno. Gdybyż przed śmiercią dostali choć łyk wody. Leżą teraz pod drzewami, w opłotkach, w bajorach, w rowach, na drogach... Długo, długo wdychałem, aż niewiadomo kiedy — usnąłem.

Która godzina była — nie wiem, gdyśmy ruszyli ku zachodowi; może i południe. Fasowaliśmy po ćwierć bochenka chleba i słodkie lub zsiadłe mleko, szalka na głowę. Prowiantura gdzieś z taborami zwała, mówiono, że do Krakowa wyrrywają.

Na Rozwadów szła oś marszu. Mijaliśmy jakieś wioseczki (już nie w tej paradnej postawie, jak kilka tygodni temu. Obszarpani, zarośnięci, wynędzniali, głodni.

Na horyzoncie dość daleko za nami to tu, to tam ukazywały się obłoczki białe i różowe. To pozdrowienia szrapnelowe nacierających wślad za nami wojsk rosyjskich. Maruderzy gdzieś znikli, bali się widocznie dostać do niewoli, czy też zahartowali się w marszach, dość, że dr. Roening nie miał pola do pracy.

Różne między nami chodziły wieści; to, że Czesi zdradzają Austrię, że są poddani ścisłej obserwacji, zwłaszcza oficerowie.

Podobno dawny dowódca kompanji, porucznik rezerwy Spaćil usiłował uciec do Rosjan i dopiero jeden z podoficerów, pod grozą zastrzelenia zmusił go do wytrwania. Szedł teraz przygnębiony, a dowództwo objął kpt. Walter. Opowiadano, że niektórzy oficerowie, w pierwszych dniach walki dostawali wstrząsu nerwowego, a kpt. Wittek pięć dni po takim wstrząsie w taborach siedział, drżąc na całym ciele, jak w febrze. A tak nam zawsze pięknie wyglądał na ćwiczeniach, że tylko parszywe cywile umierają pod pierzynami, a żołnierz z honorem wśród huku armat. A dzisiaj... febra go trzęsie, parszywego żołnierza, mówił z pogardą, rewolucyjnie nastrojony Surman.

Pod wieczór stanęliśmy w Jaślanicach, akurat, gdzieśmy przysięgali, idąc na wojnę. Kwatermistrze rozeszli się na sporą wieś, myszkując po stodołach, przeważnie już przez inne oddziały zajętych, gdyż kwaterą stała tu dywizja.

Słońce wrześniowe szybko zachodziło. Leżeliśmy w rowach po obu stronach szosy, którą wciąż najrozmaitsze wojska maszerowały.

W ręce nasze licho wie skąd dostała się gazeta krakowska, Nowa Reforma, gdzie wstępny artykuł zatytułowano, Anabasis. Sławiono tam genjusza strategicznego gen. Auffenberga, dowódcę naszej armji, uznano, że odwrót nasz, to równoczesne oskrzydlenie nieprzyjaciela, że Moskwa idzie w pułapkę, że Auffenberg obecnie, niby Xenofont nowożytny wie gdzie armję po nowe laury i t. p. bzdury, że nastrój w armji cudowny, a żołnierze umierają z uśmiechem szczęścia, ginąc za Ojczyznę?! że Rosja wstrząsana walką wewnętrzną, bliska rewolucji, że prowjantura nasza świetnie?!... funkcjonuje.

— No! no! — kręciliśmy głowami, czytając to na głos — to ci dopiero gazeciarze spryciarze!

— Taki — mówi szeregowiec Krzyś — siedzi se w kancelarji przy dowództwie armji na kanapie, skrobie piórkiem, order mu za to dadzą i pensję.

— A żre — wtrącił „Pazur“ — za pięciu. Naturalnie, jak cywil to czyta, to se myśli, że wojna to „maniebr“.

W końcu doszliśmy zgodnie do wniosku, że we właściwym momencie takiego panka złapiemy, a powietrzówkę damy, i jak się patrzy.

Dowiedzieliśmy się też ze zdumieniem z gazety, że w Krakowie z przepychem wystawiono w teatrze „Złoty wiek rycerstwa“ czy coś podobnego, że w kawiarniach miejsca znaleźć nie można...

Mój Boże! A myśmy myśleli, że tam smutek, żałoba...

Nazajutrz wczesnym rankiem ruszyliśmy ku zachodowi. Nikt z nas nie wiedział nigdy poco i dokąd maszerujemy. Wiedziało się tylko najbliższą wioszczynę, że tam ma być spoczynek, menaż, czy fasunek — ale nie więcej. Szliśmy też, jak maszyna bezwolna. Do marszu byłem już tak przyzwyczajony, że dziennie w pełnym uzbrojeniu machnąć 50 km. — bagatela.

Zostałem mianowany ordynansem bojowym bataljonu, czyli łącznikiem między dowództwem kompanji i bataljonu. Były z tem związane duże plusy. Zawsze lepsza kwatera, nie w stodole, czy zawszonej chałupie, ale gdzieś w przyzwoitej izbie. Adjutant bataljonu, kadet Urbanek, starszy nieco kolega szkolny, świadczył mi szereg uprzejmości, a nawet tu i ówdzie zlecił dać protekcyjny fasunek tytoniu itp. Zazdrościli mi też wszyscy tego stanowiska, choć nie było ono bez cierni, gdyż nieraz po uciążliwym marszu oni spali, a ja musiałem drałować. Ot i teraz np. dostaję rozkaz odnieść meldunek do dowództwa pułku, kwaterującego w sąsiedniej wsi.

Zmierzch otula ziemię, z nieba sący się kapuśniaczek, błoto, zimno; walę z meldunkiem przez wieś. Z wnętrza chałup słyszę głośnie rozmowy żołnierzy. Przeważnie coś „pichcą“ przy piecu, grają na ustnych harmonijkach. Przed chałupami gosposie trajkoczą, zaś kudłate chłopcy markotnie drapią się po łbie. Chyba dlatego, że w ich domach rozsiedli się obcy, a oni sami są gośćmi. Pozatem uwaga: żołnierz każdy — to złodziej. Złapie co pod rękę wlezie; kura, gęś, kaczka nie daj Boże, by poszła samopas. Już ją taki... tam przynęci; cip, cip, cip... taś, taś, taś! przypomnie woła na kurę czy kaczkę, ta lezie do niego, a ten haps! że ani pisać nie może, w rękach łeb ukręci... i cicho sza! Wnet we trzech, czterech ognisko dyskretnie w ogrodzie lub w polu — oczywiście gdzieś dalej od domów — rozpalą, a kura czy kaczka w wielkim honorze zaledwie oskubana warzy się w wodzie nieraz z bebechami.

To też rodzina chłopska, niby zórawie na czatach. Ojciec pilnuje konia, krowy, matka — chlewika, dziecko jedno drobiu, drugie — ziemniaków, trzecie żyta, czy kapusty w beczce, dziadek zaś w izbie dobytku. Naturalnie nic w tej izbie niema do zjedzenia; z reguły słyszymy, „Moskale wszystko zabrali“ — choć tam nawet ich nie było. Takiego dziadka, chciwie słuchającego rozmaitych gadek żołnierskich, bardzo lubimy, a nieraz godnie go pożywimy, bo przyświadcza nam wielce i potakuje, powołując się na

swoje przeżycia na wojnie z „Talianami“, czy Turkami; mieszają się starowinie swoje i cudze przeżycia, to też wychodzą z tego wesołe kawały.

Szedłem z meldunkiem wolno przez wieś, podpatrując jak, co i gdzie... wreszcie wydostałem się w pola i przez ścierniska maszeruję ku sąsiedniej wsi, o jakie 4 km. oddalonej. Meldunek u dowódcy pułku był krótki.

Płk. Puchalski — nie wiem dlaczego — dość długo ze mną rozmawiał, dopytywał się, jak i co, wreszcie dał mi paczkę papierosów, zapalek, pudełko sardynek, kazał mnie napoić herbatą, no i gdzieś o 9-tej wieczorem wręczono mi grubo wypchaną kopertę z napisem: „Streng geheim“ *). Stosownie do rozkazu miałem paczkę tę o 10-tej doręczyć dowódcy, majorowi Mischke.

Ruszyłem naprzelaj, kierując się na gruszę samotną. Nie widziałem jej teraz, bo ciemno było, że dłoni własnej dojrzeć nie mogłem. Uszedłem chyba ze 3 km. i przystanąłem, by się zorjentować w terenie. Deszcz siąpił przykry, ziemia była oślizgła, tak że mokry byłem i spocony.

Nastawiłem uszu, by posłyszeć coś ze wsi... cisza. Ruszam dalej i potykam się o jakiś drążek, to o wzgórek, trzeci, dziesiąty raz... Ki djabli — myślę — gdzie jestem?! Tędy przecież nie szedłem. Wtem słyszę z pod ziemi jakiś jęk, stękanie... Psiakrew! — myślę — co to być może? A może to cmentarz wojskowy, świeżo zrobiony? — przyszło mi na myśl. — Rany Boskie! krzyknąłem bom rozpoznał krzyżyki, a gdzieżem zalazł! I naraz włosy mi się na głowie zjeżyły, coś mnie za nogawicę szarpie, słyszę jęk... Chryste Panie! Nieboszczyk z grobu? Rzuciłem się przed siebie i zawadziwszy o krzyżyk sąsiedniego grobu runąłem jak długi twarzą w mokrą glinę. Leżę bez ruchu i słyszę ten jęk za sobą.

— Kto tu?! Kto tam?! — wrzeszczę, by i sobie dodać otuchy. I znów coś skomli. Omackiem podszedłem i zaświeciłem zapalną; ujrzałem żołnierza, honweda. Był ranny, miał przestrzelone policzki i prawy bark. W jaki sposób tu się dostał nie mogłem się od niego dowiedzieć, gdyż język miał napuchnięty i coś tylko bełkotał; jęczał przytem nieludzko. Wyciągnąłem manierkę i uniósłszy mu nieco głowę, usiłowałem wlać w usta trochę herbaty. Ciężko to było, ranny krztusił się i bałem się, że się udusi. Namyslałem się, co począć, gdy z prawej strony posłyszałem szczekanie psa.

*) Ścisłe tajne.

Nigdy ci tego nie zapomnę, kochane psisko. Twój głos przyjacielski, dobry, pocziwy. Samotny, słaby z tą nędzą u mych nóg jęczącą — cóżbym zrobił? Dokądbym zaszedł? Błądziłbym do świtu, aby trafić może akurat... do Moskali, albo być przez nich z zasadzki ubitym. Albo też sterczałbym tu do rana, trzęsąc się z zimna.

Teraz dźwigam towarzysza i wspierając go prawem ramieniem, idę ku wsi... wlecze się droga i jest przykra, ale po kwadransie już błyskają światelka i niebawem mój towarzysz jedzie do szpitala. Jeszcze pół godziny, a oto leżę pod kołdrą, pod prawdziwą, czerwona kołdra; bez poszwy ona, poduszki też niema, ale prawdziwa, ciepła kołdra mnie otula; na podłodze zamiast siennika rozścieliłem płaszczy i derkę polową, a gdy pod głową poczułem włochatą skórę tornistra, — pierwszy raz od wymarszu na wojnę poczułem się naprawdę zadowolonym. Rychło zasnąłem.

Dni parę następnych przeszło wśród marszów, to na zachód, to na północ, to z powrotem. Bataljon był przeważnie używany, jako osłona artylerji. Do każdej prawie baterji dodaną była kompanja piechoty. Innemi słowy „garowaliśmy“ się.

Z zadowoleniem śledziły umęczone piechury, jak artylerzyści w pocie czoła znosili amunicję, nastawiali działa i... strzelali. — Ciepło teraz moskaluszkom, z satysfakcją powtarzali wszyscy.

Jak się okazało, nieprzyjaciel został wstrzymany przez lewe skrzydło armji Brudermanna. Stąd austriackie działa oblężnicze były na Zaklików, oddalony od miejsca chwilowego postoju baterji o 16 km.

Byłem w 5-tej kompanji z powrotem, jako dowódca „Schwarmu“*) czyli Schwarmführer. Podwładnych miałem aż czterech. Zawsze jednak byłem władzą.

Moje wielkopaństwo, jako ordynansa bataljonowego skończyło się dość prędko.

Było to tak. Zostałem wysłany po mapy do dowództwa dywizji. Kiedy stanąłem w sztabie dywizji i zameldowałem się w kancelarji, jako ordynans bataljonowy, jakiś kapitan sztabu generalnego, zobaczywszy moje żółte na rękawach otoki jednoroczniackie, huknął na mnie, że co to za porządki, by jednoroczniacy funkcje ordynansów pełnili. — Saperlotte! — krzyczał na mnie: „ein zukünftiger Offizier, der soll an der Front trainieren, nicht, als Ordonanz“**). Nie pomogły moje tłumaczenia, że nie oficerskim

*) Sekcja.

**) Przyszły oficer powinien wprawiać się do służby na froncie, a nie pełnić funkcje ordynansa.

jestem ordynansem, lecz bojowym, wkońcu kazał mi milczeć i w rezultacie tegoż dnia wróciłem, jak niepyszny do kompanji. Ale za godzinę czułem się z kolegami tak dobrze, że przestałem myśleć o obijaniu się na tyłach.

Teraz leżałem w rowie pod mostkiem, zaproszony przez kadeta Krzystkiewicza i wyciągnąwszy się na słomie, gdyż dołem płynęła woda, jako, że dzień był deszczowy, ćmiłem ofiarowane mi papierosy z dziwną satysfakcją. nasłuchując, jak tuż obok po drugiej stronie szosy biła baterja ciężkich haubic to pojedynczemi strzałami, to salwami. Drżała ziemia w posadach, z mostku padały okruchy ziemi, a myśmy się „byczyli“.

Tak upłynęło trzy dni. O niczem się nie mówiło, jak o końcu wojny, gdyż wreszcie braknie amunij, no i bydła rzeźnego — a przede wszystkim pieniędzy.

Jednego dnia kompanja nasza dostała rozkaz osłaniać inną baterję i natychmiast ruszyliśmy; artylerja zaprzęгла działa i ruszyła na południe.

Gdyśmy przybyli do jakiejś wioseczki okazało się, że kuchnia w ślad za nami idąca, zabłądziła. Dostałem rozkaz, by z moją sekcją wyszukać kuchnię i do miejsca postoju czwartej baterji we wsi Zasanie, czy gdzieś tam dostarczyć... i to jak wrzeszczał dowódca kompanji: „Galopp, Sie Freiwilliger!“.

— Dobryś sobie, pomyślałem, maszerując z „Pazurem“. Nowobilskim i Mardulą — szukaj wiatru w polu; tu wojna ruchoma, co godzina inna sytuacja, gdzie kuchnia, djabeł wie, no i bądź tu mądry.

Ponieważ jednak w wojsku nie wolno od przełożonego żądać uzasadnienia rozkazu, zaczęm z komendą; za mną marsz! na ustach, a w sercu z cichem postanowieniem... tyle mnie ujrzysz — ruszyłem, za mną zaś ludzie. — Dobra nasza, — dodawał otuchy „Pazur“, skrzętnie po wsi się rozglądając, gdzieby co... ukraść.

ROZDZIAŁ VII.

I ukradł. Duża gęś wydymała mu tornister. Jak to zrobił, nie wiedzieliśmy. Dość na tem, że gęś była głównym tematem naszych rozmów. „Pazur“ twierdził, że sztuki kradnięcia nauczył się, gdy siedział „na Wiśniczu“.

— Nic takiego nie zrobiłem — tłumaczył nam — pomacałem żebra kozikiem, a że kozik był zanadto wyostrzony, no to jelita wypłynęły. Musiałem to zrobić, bo się fatygant przystawiał do mojej narzeczonej. Nic mu zresztą nie było, w szpitalu go wyratowali. — Byłem skazany na trzy lata więzienia, opowiadał dalej „Pazur“, ale we Wiedniu wyrok znieśli. Cały rok wysiedział. Wcale tak źle w kryminale nie jest, jak sobie to ludzie wyobrażają, jeden tylko tam jest dozorca Paweł, temu poprzysiągł zemstę.

Szliśmy powoli, a Pazur opowiadał nam o swych kryminalnych przeżyciach, bo ten zaszczyt „odsiadywania“, miał dotąd już dwa razy. Po raz drugi siedział za awanturę na jarmarku w Nowym Targu. Był więc, jak sam o sobie mówił, kryminalistą, więc musi i teraz coś „zmalować“, żeby wojnę w więzieniu przecześcić. Pocieszyliśmy go, że jak co zmaluje, to nie będzie zabawy, ale w krótkiej drodze — kula w łeb, lub strycalek.

Rozmowa przeszła na temat, jaka gęś lepsza, gotowana, pieczona, czy smażona. W rezultacie postanowiliśmy upiec ją natychmiast, na wolnym ogniu. Akurat szliśmy przez las. W pięć minut potem gęś, nadziana na bagniet, piekła się, roznosząc miłą woń po lesie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, cisza panowała wokoło, zapomnieliśmy, że to wojna. Nowobilski roztaczał przed nami sielankowe obrazki swej wsi na Skalnem Podhalu, Marduła opowiadał o swych przeżyciach w czwartym bataljonie w Bośni, dorzu-

cilem i ja swoich kilka przeżyć i aniśmy spostrzegli, jak zrobiło się ciemno. Rada w radę, skoro z gęsi ani śladu nie zostało, postanowiliśmy na miejscu zanocować. Pokładliśmy się wokół ogniska i wkrótce zasnęliśmy snem sprawiedliwych.

Jeszcze przed świtem ruszyliśmy w dalszą drogę. Mijaliśmy masę furmanek, na których ewakuowana ludność wiozła dobytek. Zapłakane baby z dziećmi pędziły krowy, kozy, barany; na wozach często kwiczały prosięta.

Po dwóch godzinach marszu poczuliśmy srogi głód. „Pazur“ poradził ukopać rzepy, co też uczyniliśmy, chwając sobie ten rodzaj pożywienia. W tornistrach mieliśmy puszkę konserw mięsnych, ale nie wolno jej było ruszyć pod grozą „słupka“. Kara ta polegała na tem, że żarłok przywiązany był przez godzinę za ręce do zwisającej gałęzi, lub czegoś podobnego w ten sposób, że nogami ziemi nie dotykał. Gdy mdlał, zlewano go wodą. Po takiej operacji apetyt ustawał, a ból w krzyżu i stawach był tak silny, że delikwent nieraz godzinami potem ani ręką, ani nogą nie mógł ruszyć.

Jako komedant patrolu, zdecydowałem, że — mimo wszystko — należy konserwę zjeść. Na to tylko czekali wszyscy. Od przejeżdżającego wozu z prowiantem kupiliśmy u rachunkowego podoficera bochenek chleba, który podzieliliśmy na cztery równe części. Zagrzane przy ognisku konserwy miały smak, który nie można określić inaczej, jak boski. Pokrzepiliśmy się potem wodą z potoka i ruszyliśmy w dalszą drogę syści i zadowoleni; że gdzieś tam jest jakaś wojna, mało nas to wzruszało.

Niespełna w godzinę potem natknęliśmy się na jakby z pod ziemi wyrosłą naszą kuchnię polową. Radość nasza nie miała granic. Mieć kuchnię, t. zn. być sytym, bezpiecznym. Przy kuchni oprócz kucharza, Bocianowskiego był jego pomocnik, oraz woźnica. Oddział nasz urósł do łącznej cyfry siedmiu ludzi.

Gorzej jednak było z tem, że w kuchni literalnie nic nie było. Ugotowane, a raczej rozgotowane mięso i zupę musieliśmy wyłać, gdyż cuchnęło straszliwie. Poza tem żadnych zapasów nie mieli, prócz soli.

— Widocznie cukier, kawę i wogóle wszystko sami zeżarli, ubolewał Nowobilski.

Z najbliższego kartofliska ukopaliśmy ziemniaków, które postanowiliśmy ugotować z nadzieją, że po drodze jakiś kogut a może i wieprzek wlezie w ręce „Pazura“.

Jechaliśmy skrajem lasu w stronę miejsca postoju kompanji, gdy mijający nas na czele bataljonu „stowaków“ major, stwier-

dziwszy, kto jesteśmy, skąd, dokąd, poco — kazał nam iść za bataljonem, gdyż wieś, gdzie miała być nasza kompanja, w międzyczasie zajęli Moskale. I owszem. Doszlusowaliśmy z tyłu do bataljonowego taboru. Nikt nas nie dozorował, to też rozłazili się wszyscy, gdzie kto chciał. Gorzej było z żywnością, gdyż żadna kompanja nie chciała nas wziąć do swego stanu. I znów genjusz złodziejski „Pazura“ przyszedł nam z pomocą.

Z wozu prowiantowego „stowaków“ zgrabnie ściągnął poleć słoniny, czem omaszczone kartofle, smakowały nam lepiej, niż najlepsze frykasy.

W pewnem miejscu na rozstaju dróg oderwaliśmy się całkiem zwyczajnie od kolumny bataljonowej dlatego, że samodzielnie poprostu łatwiej co kupić, łatwiej o kwaterę. No, a poza wszystkim to sympatyczne uczucie — wolności.

Upływały dni i noce; już tydzień tak przeszedł, a kompanji nie można było znaleźć. Przez ten czas zdziczeliśmy zupełnie. Dyscyplina znikła, a jeśli miałem posłuch, to z tytułu mej orjentacji raczej, niż szarży. Naogół dobrze by nam było, gdyby nie głód. Bywało, żeśmy byli przesyćeni, a nazajutrz dosłownie cały dzień w ustach nic, prócz wody nie mieliśmy. W końcu postanowiliśmy połączyć się z pułkiem. Łatwiej to pomyśleć, niż wykonać.

Szliśmy, rozważając sytuację, przez las. Uprzykrzył się nam ten żebraczy system bytowania. Znudził się „Pazur“ ze swymi dowcipami złodziejskimi i Nowobilski z ustawicznymi westchnieniami, jak to u nich na Bukowinie było.

Kucharz Bocianowski w czasie narady w głębi lasu zaopiniował, że najlepiej byłoby przyłączyć się do wojsk taborowych. Projekt ten, niestety, był niewykonalny, gdyż ścisk tam był, każdy bowiem chętnie do takiego wojska się garnał.

Sam jednak głowiłem się, jak znaleźć naszą kompanję. Byliśmy w obrębie innego korpusu, a cóż dopiero mówić o znalezieniu dywizji, ba! pułku. Ileż to razy już wskazywano nam taką, a taką wieś; ufni w informacje maszerujemy tam o głodzie, by się dowiedzieć, że właśnie wczoraj pułk odszedł, ale dokąd? Szukaj wiatru w polu. Miałem wreszcie i wyrzuty sumienia, gdyż ludzie z piątej kompanji pozbawieni byli kuchni, choć przypuszczałem, że z pewnością wyfasowali inną.

Już ósmy dzień trwała nasza wędrówka; za dużo dobrego. Zdecydowałem, że stanowczo musimy znaleźć sztab 12-tej dywizji, a resztę załatwimy.

W czasie tych narad „Pazur“, który odszedł gdzieś na bok, nadbiegł z krzykiem: Jednoroczny panie kapral! Tu na polanie

fasują wino. W to graj wszystkim. Zerwali się, jak oparzeni Istotnie na polanie sterczał dumnie olbrzymi beczkowóz, dookoła którego zgromadziło się ze czterdziestu żołnierzy. Rej między nimi wodził opasły feldfelbel rachunkowy, wydzielając do manierek jakiś brunatny płyn, niewątpliwie wino. Obrazek ten nie był nam obcy. Cofająca się ęarmja austriacko - węgierska po drodze zostawiała mnóstwo sprzętu wojennego i prowiantu. Właśnie wczoraj na drodze znaleźliśmy worek kawy ziarnistej, który za 20 koron został sprzedany żydkowi, jaki się nawinął; pieniądze były w naszym posiadaniu. Niestety nie mogliśmy nic kupić, gdyż ludność cywilna na widok żołnierzy chowała wszystko, bojąc się rekwizycji, przy których płacono kwitami wątpliwej wartości. Zapewne i owa beczka stanowiła rzecz porzuconą.

Przyłączyliśmy się cicho i niepostrzeżenie do kolejki stojących żołnierzy z manierkami, podstawiając je pod kran. Ale feldfelbel „Pazura“, który pierwszy się podsunął, zdzielił klnąc po mądziarsku, pięścią w łeb, że aż się sam przytem zatoczył... Uznałem, że postępek ten jest zbyt chamskim. Zwróciłem się też z kategorycznym żądaniem należytego traktowania żołnierzy i sprawiedliwego rozdziału. W odpowiedzi huknął na mnie feldfelbel po węgiersku, z czego rozumiałem; dezterter. — Tacyście sami, zagrzmałem, nicponie! Wtem poczułem mocne pchnięcie w ramię. — A wy cholery!...

Otoczający mnie towarzysze podsunęli mi warjacką myśl. „Pazur“ wręcz krzyknął: „Angryf *) na tych ...synów“. Cofnęliśmy się na skraj lasu, skąd zauważyliśmy, iż w zapale fasunku no i... pod wpływem alkoholu, Węgrzy na nic nie zwracali uwagi. Wtedy, na dany przezemnie znak, huknęło w powietrzu siedm strzałów, poczem w tyraljerskiej linji z najeżonymi bagnetami ruszyliśmy, krzycząc straszliwie: Hurra! hurra!...

Skutek naszego manewru był nadzwyczajny. Węgrzy przeżeni rzucili się do ucieczki, a trzech podniosło ręce do góry... Dopiero, gdy nas poznali, zrejterowali wślad za innymi.

Byliśmy teraz panami placu boju, no i... beczkowozu. Jeszcze parę strzałów w powietrze, a oto płyn czerwony wlewamy w nasze gardła. Pociągnąłem spory łyk; małym się nie udusił, był to bowiem mocny rum.

Radość nasza była bezgraniczna. Napelniliśmy manierki, zaś kucharz podjechał z kuchnią, aby do kotłów nabrać rumu na za-

*) Atak.

pas; niestety, w beczce niewiele nad dwa, trzy litry pozostało, starannie jednak przelaliśmy tę resztę do kotła i wio!... w nieznany świat.

Było nam bardzo wesoło. W głowie świat wirował, towarzysze pokrzykiwali, Nowobilski z Mardulą próbowali tańczyć zbójnickiego, przyczem obaj ledwie na nogach stojąc, upadli na ziemię. Ściemniło się tymczasem, więc zanocowaliśmy w zagajniku.

Skutki tego opilstwa były okropne. Bractwo rzygało strasznie, byliśmy bowiem głodni i na pusty żołądek połknięty rum podziałal fatalnie.

Runąłem i ja na ziemię, zmożony jak i koledzy ostatniem przeżyciem. Jak długo trwał nasz spoczynek, nie wiem. W pewnej chwili usłyszałem gwizd, szum, trzask. Otworzyłem oczy i znów to samo, za chwilę znowu coś zaświeciło, łoskot... nie mogłem się zorientować, co to jest właściwie. Powtarzało się to kilkakrotnie, aż posłyszałem wyraźny brzęk, a w ustach poczułem piasek. Teraz dopiero pojąłem. Byliśmy w ogniu artylerji, niewiadomo tylko czyjej. Zacząłem krzyczeć, wołając nazwiska towarzyszy broni. Nikt mi nie odpowiedział. W świetle wybuchającego szrapnela zauważyłem, że poznikali wszyscy; znikły też i konie z kuchnią. Rzuciłem się na oślep w las, kalecząc się o pnie drzewne i wystające, uschłe gałęzie. Po dłuższym czasie trafiłem na drogę leśną. Na prawo odemnie huczała artylerja ciężkiego kalibru. Noc była pogodna, po gwiazdach zorientowałem się, że to nieprzyjaciel strzela.

Ruszyłem naprzelaj lasem na południowy zachód. Natrafiłem wnet na szosę, po której tam i z powrotem przejeżdżały działa i jaszczyki. Dołączyłem się do baterji dział polowych z 12-tej dywizji. Naprowadziło mnie to na ślad 20 p. p. i tegoż dnia w południe zameldowałem się u dowódcy piątej kompanji, kpt. Waltera, podając mu zgodnie z prawdą przebieg naszej tułaczki; zamilczałem tylko o przygodzie z rumem. Obawy moje co do kuchni były płonne. Z rozbitych kompanij potworzono większe jednostki, był więc nadmiar kuchen polowych, tak, że zbyteczne odsyłano do etapu.

Następnego dnia zgłosiła się kuchnia z Bocianowskim na czele. Okazało się, że wszyscy wrócili cało i zdrowo, z wyjątkiem Nowobilskiego, który wyrznięwszy nosem o drzewo w czasie ucieczki zalał się krwią; sanitariusze dywizyjni w przekonaniu, że to ciężko ranny bojownik, zawieźli go do szpitala polowego ku powszechnej wśród nas zazdrości.

Rozdział VIII.

Wodzili nas tymczasem dowódcy w najrozmaitsze strony. Z północy na południe, ze wschodu na zachód — i naodwrot. Nie mogliśmy pojąć sensu tych manewrów.

Jednego dnia, było to w połowie września, II-gi nasz bataljon odkomenderowano nad San. Na wale, ciągnącym się wzdłuż Sanu pracowali „Jacki“ z 56 p. p. Robili okopy i schrony. Praca im nie szła. Denerwowały ich coraz częściej nad wałem pękające rosyjskie szrapnele. Obłoczki biało-różowe wiązały się w długie pasma kolorowe, stanowiące doskonałą kontrolę dla artylerzystów. Ogień wzrastał się coraz bardziej, już i granaty zaczęły ryć wał. Zsunęli się niebawem zaimprovizowani saperzy na stocza wału, gdyż mieli straty.

Staliśmy w przyległym lasku wierzbowym, patrząc na to wszystko obojętnie. Do majora Mischke podjechał konno porucznik sztabu generalnego w siwym wysokim czaku i coś przez kilka minut omawiał. Jego piękna broda więcej mnie w tej chwili frapowała, niż ogień nieprzyjacielski.

Po tej konferencji porucznik pogalopował na tyły, major Mischke zaś zwrócił się wprost do plutonowego Kieca i z mapą w rękę tłumaczył sytuację. Ciężko to szło, bo Kiec, aczkolwiek doskonały podoficer na podwórzku koszarowym, jako pólanalfa-beta nie mógł nijak pojąć na mapie, gdzie północ, a gdzie południe. Zirytowany tem major huknął: Jest tu jaki jednorocznik? Dowódca kompanji wskazał na mnie.

— Heraus, Freiwilliger! posłyszałem rozkaz i potoczyłem się jak kula przed oblicze majora.

Uzgodniłem z terenem mapę i dostałem rozkaz patrolowania wiklin przed wałem aż do Sanu, meldowania o sytuacji i oczeki-

wania dalszych rozkazów nad Sanem... gdyby zaś nieprzyjaciel gdziekolwiek się ukazał — strzelać! — Bo na to pan ma karabin — zakończył ostro major.

Dwie sekcje w sile 14 ludzi rozwinąłem w tyraljerę i wzdłuż ścieżki uwidocznionej na mapie puściłem się naprzód.

Ciągnęły się te wikliny z pół kilometra. Tymczasem siła ognia artylerji rosyjskiej rosła z minuty na minutę. Szedł górą pojęk, myśmy jednak byli bezpieczni. Ostrożnie, bo z za każdego krzaka mogła wyrzeć twarz kozunia, posuwaliśmy się, aż po jakimś kwadransie doszliśmy nad rzekę. Błyszczała srebrem, leniwo się tocząc, obojętna na huk armat.

Rozsypani w linję, co 5 kroków strzelec, okopywaliśmy się, gdy na brzegu przeciwnym ukazała się jedna, za nią druga para koni, a za niemi olbrzymi furgon. Wszystko to jechało wzdłuż koryta rzeki, tuż za tym następny, trzeci. Teraz pojąłem, były to rosyjskie pontony; zatem tu miała być przeprawa.

Czem prędzej zrobiłem mały szkic sytuacyjny i meldunek, i posłałem go do tyłu, zaś w momencie, kiedy Moskale zgromadzili ze 12 furgonów, na dany gwizdkiem znak otworzyliśmy ogień karabinowy.

Trudno opisać, co się tam działo. Krzyki, wołania, kwik koni, zamęt — sądny dzień! Jedne furgony zjeżdżały ku rzece, inne usiłowały przebyć wał, inne wreszcie cofały się w tył. Panika ogarnęła wszystkich: ludzi i konie.

Napróżno ich dowódca krzyczał, co aż do naszych uszu dochodziło. A bractwo tymczasem strzelało bez miłosierdzia. Ilu tam rannych i zabitych być mogło — Bóg raczy wiedzieć. Osiągnęliśmy jednak to, że nikt na placu nie został, zwiali wszyscy z wyjątkiem rannych i zabitych, nie mówiąc o rozsypanych furgonach i zabitych czy rannych koniach.

W tych warunkach rzuciłem dwóch ludzi na prawo o sto kroków, dwóch na lewo, by ich ogniem markować nasze siły, sami zaś trzymaliśmy brzeg w wolnym, pojedynczym ogniu... na wszelki przypadek.

Minęło pół godziny wśród tej pukaniny, gdy z za wału przeciwnego wysunęły się znów wozy z pontonami. Powitaliśmy je silnym ogniem, to też zaraz się wycofały. W międzyczasie obserwator artylerji austriackiej skierował ogień na Moskale, tak że na ich brzegu powstało prawdziwe piekło.

Ale i Moskale nie próżnowali. Pękło najpierw za nami parę szrapneli, a potem z gwizdem grzmotnęły w rzekę dwa granaty, wyrzucając fontannę wody.

Wywiązała się teraz gwałtowna, obustronna strzelanina. Pękały szrapnele i granaty to tu, to tam. Jeden z pocisków zranił nam dwóch ludzi, wobec czego dałem rozkaz cofnięcia się wglęb wiklin.

Tymczasem goniec z dowództwa bataljonu doręczył mi meldunek, nakazujący stosownie do sytuacji odwrót. Skwapliwie to uczyniłem. Gdyśmy doszłusowali do bataljonu, kompanje stały już w kolumnie marszowej. Bataljon cofał się. W kompanji kpt. Walter oddał mi dowództwo czwartego plutonu, którym dotąd z braku oficerów — dowodził plutonowy Kiec. Był to dla mnie niezwykle honor, zważywszy na moją kaprałską szarżę.

Odwrót armji austriackiej odbywał się na całej linji. Wyprzedzały nas tabory i zakłady dywizyjne, potem artylerja, na końcu my, piechota. Z kawalerji śladu nie zostało.

Szliśmy niby lawina. Mijaliśmy opustoszałe wsie, miasteczka. Żydzi znikli, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Przykre wrażenie ogarniało nas, gdy za wkroczeniem do miasteczek witała nas pustka domów, wybite szyby, z za których wionęła ciemność; tu i ówdzie pomykały koty, to psy bezpańskie i snuła się biedota ludzka; jakieś babiny, starcy i obdarte wyrostki. Sklepy próżne, nigdzie nie kupisz, cywile, gdy się do nich zagadało, mieli tak przerażone miny, że lepiej było o nic nie prosić, a brać, co pod ręką.

Cóż nam było potrzebne? Mydła kawałek, by móc bieliznę przeprać, bo wszy nas oblażyły; wszak od blisko dwóch miesięcy nie zmienialiśmy jej na rozkaz, a tylko każdy czynił to we własnym zakresie. Nawet był przesąd, że kto wdzieje czystą bieliznę — gotuje się na śmierć. Pozatem brak bibulek do papierosów, papieru listowego, ołówka — oto co najpotrzebniejsze. Pieniądze fasowaliśmy, 18 ct. na dzień, każdy z nas miał już uskładanych kilkanaście reńskich. Dla pieniędzy jednak nikt nie miał szacunku. Ot! zawadzają tylko w kieszeni.

Pod Mielcem dostałem rozkaz, bym się okopał z plutonem na skraju lasu przed rzeką Wisłoką i czekał, aż padnie pierwszy strzał artylerji austriackiej, poczem szosą miałem doszłusować do pułku w Mielcu.

Dzień był paskudny. Mżyło od rana. Podmokła, gliniasta ziemia lepiła się do butów, ciężko było pracować łopatkami, to też przy okopywaniu się po obu stronach szosy z zazdrością patrzyliśmy, jak mijały nas oddziały. Wreszcie i ostatnie przeszły.

— Z pewnością na kwatery idą, bolał Mardula, a my?... Zmknęci, jak kury na deszczu, osowiali, staliśmy, bo położyć się nie było sposobu.

Minęła godzina od czasu przemarszu ostatniego oddziału austriackiego. Od wschodu cisza, tylko gdzieś na dalekim horyzoncie tu i ówdzie były widoczne białe obłoczki i słychać było pomruk basowy.

Minęło południe, już drugą godzinę wskazywał zegarek, a tu żadnego umówionego strzału...

Djabli wiedzą, co robić?

Tymczasem ludzie nasi zajęli się zbieraniem z szosy i rowów przydrożnych porzuconych przez tabory rzeczy, zwłaszcza prowiantów, cukru, kawy, herbaty, konserw. W głębi lasu rozpalony ogień podgrzewał nam puszki z gulaszem.

Ostatecznie byłoby to nie najgorsze, gdyby się wiedziało, co dalej. Deszcz siąpił. Ogarniała nas nuda przy równoczesnem oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego. Wolelibyśmy bodaj walkę, niż to moknięcie.

Nie trzeba było jednak prowokować emocji, bo ujrzelśmy w od dali o jakie półtora kilometra jeźdźców. Piwowar, który sływał ze swego sokolego wzroku, stanowczo oświadczył, że to kozunie. A zatem baczność! Stłamsiliśmy ognisko i pokryci w okopach z palcem na cynglu oczekiwaliśmy ich bliższego najścia. Kozacy jednak jechali ostrożnie, powoli, przystając co kilka kroków. Już rozróżniamy pojedynczych jeźdźców i długie piki. Poczułem lekki dreszczyk wzdłuż krzyża — niewiadomo, czy z wilgotnego chłodu, czy wzruszenia.

Wtem straszliwy huk rozdarł powietrze, po zasępieniem niebie mignęła, jakby błyskawica! Jeszcze sekund parę, — a na nasze głowy spadają strzepy drzewa, drzazgi, sadza. Zrozumiałem. Austriacy wysadzili most w powietrze, pozostawiając nas na Bożej opiece. Strzału armatniego wcale nie dali,—widocznie wyrrywają.

Nie było czasu do namysłu. Zakomenderowałem: za mną czwórkami, w marszu zbiórka! Szybkim marszem, a potem biegiem dopadliśmy rzeki. Istotnie most był wysadzony w powietrze. Na brzegu rzeki pływały dwa czółna bez wiosel, do połowy napełnione wodą. Żołnierze w panice wskakiwali mimo mego zakazu do czółen, przyczem z braku wiosel odpychali łodzie od brzegu kolbami karabinów. Stałem na brzegu, napróżno nakazując porzucenie zdradzieckich czółen. Jakoż i nie upłynęli kilkunastu kroków, gdy obie łodzie zaczęły się zanurzać. Wyskakiwali teraz

z nich w popłochu. Woda była tu głęboka, to też niektórzy z krzykiem: ratunku! zaczęli tonąć.

Rzuciliśmy się z pozostałą resztą w pław. Woda była zimna, ale nie czułem jej chłodu. Raczej miałem uczucie mile. Czułem, że jestem od wewnątrz trawiony gorączką, że ciało mam rozpalone. Płynąłem jedną ręką, gdyż straciłem grunt pod nogami, zaś w drugiej trzymałem karabin, do którego jak pijawka przyczepił się któryś z niedoszłych topieleców. Szczęśliwie dobiłem do brzegu, ociekając wodą. Na środku rzeki jeszcze coś ze czterech niedorajdów walczy z prądem i głębina. Pomysłowy „Pazur“ rzucił im w pomoc znaną na brzegu linkę: dwóch się do niej przyczepiło, a dwaj pozostali zaczęli niknąć w głębi wody... z pomocą rzuciło się trzech żołnierzy i jakoś ich — ledwo żywych — dociągnęli do brzegu.

Czas był najwyższy, bo nad głowami świsnęły pierwsze kule. Biegliśmy niczem charty przez bagniste grunty wzdłuż szosy górą idącej, byle jak najdalej. Zdawało mi się, że już, już kozuń mnie za ramię trzyma. Jeszcze dwieście kroków i już brak nam tchu w piersiach. Przystaliśmy. Narazie nie baliśmy się nieprzyjaciela. Policzyłem ludzi; brakowało czterech. Gdzie się podzieli, czy ustali w biegu, czy na tamtej stronie pozostali, wołac dostać się do niewoli, czy może spłynęli z falą; w każdym razie współczuliśmy im. Postaliśmy z pięć minut, by nabrać oddechu. Wygląd nasz był rozpaczliwy; okropnie zabłoceni i to nawet na twarzach. Każdy z nas parował i tworzył dookoła siebie smugę pary. Ocalały nam tylko rzeczy w doskonałych tornistrach z cielejącej włochatej skóry — reszta przemokła beznadziejnie. Wyrzuciłem z kieszeni papiery, tytoń. Nie było sensu dalej czekać.

— Czwórkami za mną marsz! rozkazałem.

Dopiero teraz uczułem straszliwe znużenie. Mieliśmy za sobą dwie nieprzespane noce i ze sto kilometrów marszu. Byłem pewny, że po tym marszu czekają nas wszelkie wygody w szpitalu; musimy absolutnie dostać zapalenie płuc, które naturalnie przetrzymamy, a tymczasem wojna minie. — Z tą nadzieją maszerowaliśmy dziarsko; minęliśmy jedną, drugą wioskę, ale z austriackich wojsk nawet śladu nie było.

Tymczasem zapadła noc zimna, przykra. Człapaliśmy w błocie, a przenikliwy wiatr z deszczem chłostał nas po twarzy; głodu nie czuliśmy, tylko nieprzewyciężone pragnienie.

Dokąd iść, jak daleko posunął się pułk? Uszliśmy już chyba ze dwadzieścia kilometrów, pewnie już północ minęła, czego zresztą nie wiedzieliśmy, ponieważ nasze zegarki stanęły, gdy ku na-

szej wielkiej radości doszliśmy do wsi, gdzie był zakwaterowany akurat nasz bataljon. Dostaliśmy gorącej kawy, chleba, papierosów i wkrótce pokotem w stodole na wymiętej coprawda, ale zawsze słomie — zasnęliśmy kamiennym snem.

Rankiem wymaszerowaliśmy. Mijamy wsie, miasteczka, obozowiska taborowe, biwakujące pułki węgierskie. Dolatuje nas rzenie koni i ten charakterystyczny zapach obozowisk, zapach dymu ognisk gęsto rozpalonych. Powiem nawet, że lubię go, bo drażni nozdrza ciekawie; przypomina znane a nieznane rzeczy, wspomnienia z książek czy z dzieciennych przeżyć. Snuję w marszu wspomnienia swoich nad Dunajcem przygód. Jakże one dalekie, jak sielankowo wyglądają. Ale i widok tych często szpakowatych żołnierzy, którzy wygrywają tęskne melodie na ustnych harmonijkach, nasuwa mi smętne myśli.

Marsz nasz nie ma końca. Już wieczór zapada, za sobą mamy już przeszło 60 km. marszu dziennego. Z tęsknotą wyczekujemy wsi, czy przysiółka — poto, aby ku rozpaczcy go minąć. Zbliżamy się do Wisły. Saperzy, względnie pionierzy, kończą budowę mostu pontonowego. Obok budują (już most o drewnianej konstrukcji). Marsz przez pokład nakazano nierównym krokiem. Na drugim brzegu zdaleka na tle nocy widne olbrzymie ognisko. Jacyś żołnierze dość ładnie śpiewają tu polskie pieśni narodowe; podobno wyzbierano ich z całej dywizji, by robili nastrój. — Sztabowe to obiboki zapewne, taksujemy śpiewaków.

Przy moście płk. Puchalski odbiera defiladę. Muzyka gra skoczne marsze. Zachodzimy w głowę, co ma znaczyć ta parada. Pułk jednak minął ten punkt bez zatrzymania się i wszedł w mroki nocne.

Minęliśmy Stopnicę, Wiślicę — marsz bez końca. Ramiona mdleją, plecy jakby kijem przetrącone. Maszerujemy szosą. Deszcz siąpi beznadziejnie. W jakiejś wioszczynie dłuższy postój. Wydają kawę. Na dnie kotła zjawia się ugotowana żaba, czy ropucha; wywołuje to żywą kłótnię, klną wszyscy kucharza, ale mimo to kawa została skrupulatnie wypita. Dalszy marsz w tempie przyspieszonym. — Będzie coś „z mąki“ — szeptali żołnierze; nie bez powodu ten t. zw. Gewaltmarsch.

Świtało. Znużone ciało posuwa się automatycznie. Teraz dopiero dokucza nam ogólny brak „axenroll“, t. j. wałków przyczepionych do epoletu na ramieniu, na którym wspiera się ramię karabinu. Porzucaliśmy je lekomyślnie i teraz żałujemy.

Ludzie są już tak przemęczeni, że ledwie wloką nogi za sobą, podpierając się karabinami, nieczem laską.

W oddali majaczą wieżycę i baszty. Poznają — to miasto Sandomierz. Dwa kilometry przed miastem przystanęliśmy. Na lewo od nas huczy artylerja. W rowach leżą w tyraljerze rozrzu- ceni żołnierze z innych pułków, niektórzy śpią. Dostajemy i my rozkaz rozwinięcia się w tyraljerę. Zaledwie jednak rozwinęliśmy się, gdy znów rozkaz inny.

— Zbiórka! Czwórkami odmarsz, ale już bez żadnych straży.

W naturze kapuśniaczek i lekkie mgły. Mijamy Mokoszyn, skręcamy wbok naprzelań. Ale i tabory skądciś się tu zjawiają i jadą równo z nami; kuchnie też. Prowjantowcy konno buńczucz- nie uganiają. W rezultacie osiadamy we wsi Rzęczyca Mokra. Wy- dano surowy rozkaz bezwzględnie zakazujący zrywania owoców. A tu wokoło czerwienią się renklody. Poczekajcie, damy wam ra- dę w nocy. Tymczasem leżymy pod stodolą. Kwatermistrze szy- kują spanie. A więc czeka nas gruntowny spoczynek. Brawo! na- wet urządzają latryny: i to potrzebne, choć dotąd pies się nie spy- tał, jak, gdzie... Było wszystko jedno, byle nie na wolnej przestrze- ni, bo nieprzyjaciół podpatrzy i jakże tu... wyrwać z portkami w garści, albo też dostać kulą i przewrócić się, uszkadzając nie- pokalaność cesarskiego munduru. Więc i te latryny nas cieszą. „Pazur“ i inni nawet uroczyście szykują się do tej czynności. Ja- kiś „drajer“ z błękitnymi wyłogami leci akurat z portkami w gar- ści. Co dziesięć kroków przysiada. Krzyczą na niego: gdzie — świntuchu! A on nie! Twarz ma czerwono-siną, stęka, okropnie stęka. Podrywa się i lewą ręką brzuch głaszcze, syczy, skomli. Dosłownie jest siny. Lecą ku niemu sanitariusze... a on o gałąź zaczepił się rękami i przebiera nogami w powietrzu.

— Też gimnastyk, myślimy. Sanitarjusze krępują go w koce. Już wiemy, to cholera. Podobno w dywizji grasuje. Wynoszą go na szczęście.

— Menaż, menaż głośno wszyscy krzyczą. Wjeżdża trium- falnie kilkanaście kuchen. Dowodzi niemi konno feldfebel Mężyk.

— Ten se używa — dowcipkują koledzy, zre, kiedy chce, bo myśmy stale głodni. Od południa przedwczorajszego pierwszy raz dostaniemy zupę, mięso. Zbiera nas sierżant kompanijny. Idziemy z szalkami w rękę gęsiego. Sztabskiego, Łapickiego już na szczęście niema. Nowy sierżant bardzo przyzwoity. Podstawiam kucharzowi denko szalki, trzasnął w nią kawałem mięsa, tłuste ono bardzo, tem lepsze teraz będzie, na to duża łyżka zupy z ry- zem. Pierwsza klasa. Pod pachą wielka pajda chleba.

Kładziemy się na trawę; mokra ona — nie szkodzi, będzie reumatyzm — tem lepiej, byle jak najprędziej.

Fasujemy sól, po garstce. Wsuwam ją do kieszeni bluzy i za przykładem innych posypuję palcami mięso, znakomite! To dziwne, że dawniej tak nienawidziłem tłustego mięsa, a teraz ono takie smakowite.

Syci kurzymy austriackie „sporty“. Oficerowie na ganku grają w karty.

Ogarnia mnie senność; w stodole już pokotem leżą koledzy. Niektórzy chrapią.

Słoma! I któżby pomyślał, że jest taka giętka, sprężysta i miękka. Po licha ludzie używają siatek, materacy, poduszek. Najmilej czuć słomę pod sobą. Chrupie przyjemnie, zwłaszcza gdy jest świeża.

Rozdział VIII.

A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć!
Tam rozkoszy on użyje,
Czarnej kawy się napije —

grzmi pieśń w stodole; rej w tem wodzą jednorocznicy, którzy prawie z całego pułku tu się zebrali. Niktby z tych opalonych, zczerniałych i bruzdami pooranych twarzy i z rąk grubych, twardych, z wypłowiałych mundurów nie poznał, że to inteligenci.

Dziś, a to już czwarty dzień wypoczynku, baraszkują niby dzieci, tarzają się na słomie, kuksają wzajemnie, grają w prostackiego „wójta“, t. j. jeden dostaje w zadek ręką tak długo, aż zgadnie, który to ze śmiejących się wokoło kolegów zrobił. Śmiejemy się też do rozpuku, jak taki delikwent jedną ręką trzyma się za starą panią, a drugą, nie wie, czy lży obcierać z bólu, bo mo'no biją, czy bić...

Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie,
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi go stratują.

Rotmistrz z listy go wymaże,
Wachmistrz trumnę zrobić każe,
A za jego trudy, znoje,
Wystrzela mu trzy naboje — kończą na dziedziń-
cu żołnierze.

Gdybyż to w trumnie. Ale nas poprostu do „Massengrabu“ wrzucali. Przedtem, jeśli miał dobre buty, czy mundur zdarli z nieboszczyka, bo szkoda... Krzyż drewniany ponad tem ksiądz pokropi, muzyka zagra; zresztą nie wiem, czy to tak wygląda, bo w linji nie widziałem tych obrzędów. Słyszałem tylko o tem obdzieraniu.

Najważniejszym dla nas teraz zagadnieniem, to aprowizacja. Rzecz prosta, że fasowanej menaży nikt nie je, każdy stara się na własną rękę kupić kartofle, mleko, masło, drób, owoce. W końcu i tę jednostajną menaż też radby człowiek odmienić.

Wytworzyła się kasta specjalistów-rekwirantów. Nie kradną, broń Boże! — Mają pieniądze i płacą gotówką. Chłopi miejscowi chętnie nam sprzedają. Rozwijają się więc talenty kupieckie. Są znawcy od świń, od krów, nabiału i t. d. Chłop ceni wieprza na 50 koron, rekwirant ofiaruje mu 5 koron, a kupuje za 15 koron.

Nasze kooperatywy ucieszyłyby niejednego teoretyka ruchu spółdzielczego. Sam przystąpiłem do spółki t. zw. „tłustej i obżartej gemby“. Jest nas pięciu, więc za 25 koron kupujemy wieprza, że ho! ho!

Kwiczą też w całej wsi zarzynane wieprzki, zaś specjaliści-rzeźnicy otrzymują za pracę odpowiedni udział w naturze. No i — ponieważ nie są w stanie wszystkiego skonsumować, więc handlują, a nie rzadko i chłopom odstępują swój udział.

Mięsa nie wędzimy, bo w każdej chwili alarm możliwy; straszy nas tem dowódca bataljonu, ale to zdaje się poto, byśmy się nie rozłazili. Mięso się gotuje, — inteligencja smaży, zwłaszcza medycy Seweryn i Popławski ujawniają niepospolite talenty kucharskie.

Od kadeta Kossowskiego wycyganiliśmy starą Baczewskiego, bal więc się rozpoczął niebywały. I podgardle świńskie i befsztyki i — zresztą potajemnie — owoce; w czasie uczty zjawił się kadet Typrowicz i obdzielił nas przednimi papierosami. Pod koniec uczty zostałem wezwany do dowódcy bataljonu.

Major Mischke w towarzystwie adjutanta oznajmił mi, że poza turą — za akcję nad Sanem — mianowany zostałem kadett-aspirantem.

Ho! ho! Awans na hetmana wobec tego niczem. Zaraz też zaimprowizowany krawiec z portepée podoficerskiego wykombinował paski żółte na kołnierz, zaś w braku innych — z tektury sprytnie wykroił 6 gwiazdek. Zjawienie się moje w tych dystynkcjach wywołało olbrzymie wrażenie, wiwatom nie było końca,

choć i niejeden mi zazdrościł. Od tej chwili bowiem odskoczyłem od nich stopniem wojskowym zbyt daleko.

Awans ten jednak, choć bardzo mnie ucieszył — miał swoje złe strony, o czym później nieraz się przekonałem. Zatraciłem bezimiennność i w tłoku bitwy nie mogłem się już zgubić. Otrzymałem definitywnie dowództwo plutonu. Stąd i pewna władza; lepsza kwatera, menaż i t. p. ale i obowiązki. Ha! no, dziej się wola Nieba!

Tymczasem mało się tem przejmuję. Siedzę społem z t. zw. „Manschaftem“ t. j. szeregowymi, góralami i śpiewamy wesoło:

Posłuchajcie ludkowie,
Co się stało w Krakowie,
Tam się Lejbuś narodził,
Cały Kraków zasmrodził.

Nic w tem specjalnie wesołego nie było, setki razy to śpiewaliśmy, a mimo to pieśń ta nas bawiła. Potem zaczęły się dowcipy. Jaki taki wstawał i opowiadał własne lub zmyślane przeżycia, przeważnie tak spróśne, że uszy wiodły. Im dowcip był grubszy, tem lepszy; mówcy nie przebierali w słowach.

W jakiś czas wstałem, by się przejść po wsi. We wszystkich chałupach były kwatery i wszędzie świniobójstwa. Przeważnie wytapiano tłuszcz z pości słoniny. Tłuszcz ten, gdy zastygł, pakowano do puszek konserwowych. Stanowił on znakomitą omaść, zwłaszcza, gdy zaprawiony był smażoną cebulą.

Pogoda była nienadzwyczajna. Deszcz od rana siąpił, to też wszyscy kryli się po domach. Na skraju wsi zebrana była siódma kompanja z dowódcą, por. Dobrodzickim. Stał teraz przed frontem kompanji i coś głośno — widocznie bardzo śmiesznego — prawił, bo ludzie śmieli się do rozpuku.

Dostrzegł i mnie Dobrodzicki.

— O widzicie! Z piątej kompanji tu się pęta jakaś powsinoga, a dlaczego tu?! — bo mu żal, że nie jest u nas. Hulaj, bracie, po flaszkę „gorzole“, to cię przyjmujemy.

Co było robić? Obróciłem się na pięcie, by przecież gdzieś ją wydebić, gdy we wsi rozebrzmiała trąbka na alarm.

Ruch się wszczął momentalnie. Z chałup wybiegali żołnierze. Na drodze już niektóre kompanje ustawiały się frontem. Podoficerowie wrzeszczeli na maruderów. Gdym dobiegł do piątej kompanji, stała już uszykowana. Niemal każdy z żołnierzy trzymał w ręku naczynie z roztopionym smalcem. Wszyscy mieli tor-

nistry i chlebaki wyładowane mięsem i chlebem. Wielu jednak niespodziewany alarm zaskoczył w trakcie rozpoczętego gotowania i smażenia. Wzdychali też żałośnie i klęli, na czym świat stoi. Obłowili się tylko miejscowi chłopci. Na podwórzu przed nami leży ogromny, świeżo poćwiartowany wieprz. Nie sposób go zabrać, bo krwią zalany — został na pamiątkę gospodarzowi, któremu tylko pięścią grozili spóźnieni właściciele świńskich przy-smaków.

Ruszyliśmy. Podobnie ohydneho marszu nie pamiętam. Ciemno, że własnej ręki nie widać, szkaradne, jesienne wietrzysko, deszcz; żeby to deszcz, a tu zboku zacina wstrętny kapuśniaczek, zimno, po kościach drze — i błoto. Błoto, że rozpacz. Grzezną w niem nogi po kostki. Mijamy jakąś bajurę, to górkę, to dół, idziemy bez końca. Już nie wiem, czy maszeruję z moją, czy cudzą kompanją. Klniemy wszyscy i tylko słyhać co chwila: psia-krew, jasne pioruny, cholera ciężka to nadała... i t. p. Pyskował i kłął każdy, kto się potknąwszy upadał, a że się wszyscy potykali, więc i wszyscy klęli. Najwięcej dokuczyło to tym, którzy taszczyli ze sobą w otwartych puszkach roztopiony smalec. Oczywiście mowy nie było, by móc go unieść. To też wszyscy w rozpacz blaszankami rzucali o ziemię, że jeno dzwoniło.

Idziemy bokiem jakiejś polnej drogi. Słyhać tylko stękanie, człapanie w błocie, czasem ktoś zaklnie. Zagapiłem się, czy co, bo straciłem równowagę i stoczyłem się w dół parę metrów. Pozbierać się trudno, bo do licha mam sprzętu na sobie: chlebak, manierka, tornister, karabin, łopatka, rzemieni, pasów do djabła. Klnę też głośno, bo i na mnie stoczył się jakiś niezdara i ciężkim butem wjechał na twarz. Pozbierałem się jednak cały oblepiony błotem, nie wyłączając twarzy. Wylazłem jakoś na górę. Doświadczony w nocnych marszach schwyciłem za pas pierwszego lepszego i marsz!

— Oj! będzie coś „z mąki“ ktoś mówi, — No to będzie, odpowiada sąsiad ze złością, czego draniu kraczesz!

— O nieszczęśliwa matko moja! Gdybyś widziała, co ja przechodzę, — zawodzi inny.

— A zamknijże ten drewniany pysk, pokrako parszywa — monituje go basowy głos.

— A cóżeś taki waleczny, strofuje trzeci.

— Stulić pysk! krzyczy większa szarża widocznie, bo naraz cicho się robi.

— A któraż to kompanja? pytam.

— Dziewiąta, słyszę.

A tom wpadł. W innym bataljonie, ładny ze mnie dowódca plutonu. Na szczęście pułk przystanął. Pokaszliwali wszyscy, bo ziąb był i plucha nie ustawała. Jakoś znalazłem kompanję, ale i tu — w moim plutonie, jak stwierdziłem pełno obcych.

Z przodu dochodzi kolejno podany cicho rozkaz: marsz! marsz! — podajemy w tył. Brzęczą manierki i łopatki, kaszel ustaje, tylko packa i chlupocze pod stopami błoto. A deszcz psia-krew mży. Jestem na amen przemoczony, czuję wilgoć koszuli.

— Wczoraj jeszcze o tym czasie, mówi obok mnie maszerujący kolega z ławy szkolnej, Jaś Buszek, człowiek żarł i spał, jak król, a dziś...

— Wszystko na chwałę ojczyźnie austriackiej i panu cesarzowi — drwi kadet Kapturkiewicz.

— Żeby go cholera zadusiła, wtrąca swój głos wróg monarszego rodu Surman, żeby...

— No, no, — przerwał ten potok słów leutnant Schwarz — ja rozumieć, ja pod sąd postawić „meuterera“.

— Przed Boskim sądem może stanie, daj mu pan żyć, odezwał się kadet Krzystkiewicz.

Zamilkli wszyscy, tylko deszcz na dobre się rozpadał i droga była coraz gorsza; nie błoto, ale wprost bagno pod nogami, i ziąb taki przykry...

Ech! Mój ty Boże, za jakie grzechy tak się poniewieram?

Teraz uwaga, schodzimy wdół. Ziemia oślizgła i wywracamy się, albo zjeżdżamy po błocie, jak na nartach. Wreszcie i to się kończy. Idziemy wzdłuż wielkiego wału. Błota na szczęście nie-ma, pod stopami piasek. Stajemy. Rozkaz, okopać się.

Łatwo mówić — okopać się. Ziemia mokra, ni to uklęknąć przy pracy, ni się położyć. I zimno, wstrętny wiatr dmucha z za wału. Deszcz wprawdzie ustał, ale mgła wisi w powietrzu, z której kapią ciężkie krople. Ale i mgły się rozlażą. Daję rozkaz: — okopać się, a sam wspinam się na wał.

Właściwie, co to ma być — nie wiem. Przed wałem ciągną się gęste wikliny. Ruch tam w środku, trzask gałęzi, jakieś głosy, komendy. Kapitan Walter wyjaśnia sytuację:

— W dorzeczu Sanu i Wisły w trójkącie jest rosyjski korpus. Zadaniem naszym oskrzydlić go i zniszczyć. Nasza dywizja zamyka linję od południa i zachodu, od wschodu inny korpus austriacki. W tej chwili przed nami „mokre baki“ będą się przeprowadzać przez Wisłę, my w ślad za nimi.

— Jakto, bez przygotowania artyleryjskiego?

— Ano, tak w dywizji umyślili, a zresztą djabli wiedzą — dorzucił.

Świtało. Zwolna podnosiły się mgły. Dojrzałem na Wiśle to tu, to tam czarne punkciki, posuwające się ku drugiemu brzegowi. Było ich ze czterdzieści. To pontony z „mokrymi bąkami“. Płyną szybko. Nagle... nad nimi błysk raz, drugi, trzeci,... dziesiąty. To szrapnele rosyjskie. Do naszych uszu dochodzi trzask. Niema dwóch zdań: wymacali ich „mochy“. Punkciki zaczynają się żywo ruszać. Ogień szrapnelowy coraz silniejszy. Widzimy, jak pontony na gwałt się cofają. Rzeźnia tam być musi. Nad wałem zaczynają gwizdać kule. A więc i piechota rosyjska na brzegu. Zsunąłem się na dół za przykładem otoczenia. Zebrana tu cała kompanja.

Wschodzi słońce, czerwone, jak kula ognista. Chwała Bogu, że się kończy ta przekłeta noc. Przez wał przelażą „mokre bąki“. Niosą na płaszczach rannych, przeważnie w głowę. Krew spływa na piasek. Dużo rannych. Spieszą się w odwrocie. Przed frontem naszej kompanji kapitan Walter wyjaśnia, że manewr się nie udał.

— Mam wielkie z tego powodu zmartwienie, mrućzy Surman, a niechże ich szlag trafi.

Nie dowiedziałem się, kogo miał na myśli, bo padł rozkaz: Zbiórka!

W czwórkach bez pośpiechu maszerujemy ku Sandomierzowi. Ogień rosyjski ustał. Idziemy ożywieni, mówimy dużo i jesteśmy zadowoleni. Wynik bitwy mało nas interesuje. Byle w niej nie być, byle jaknajprędzej na kwaterze, bo jesteśmy strasznie zmęczeni i zziębnięci. Na szczęście słońce nas ogrzewa. Wróciliśmy do wsi Rzęczyca, niedarmo nazwanej „Mokra“, akurat do dawnych kwater. Dziwiliśmy się i dziwili się mieszkańcy. Ha! no, tak każe prawo wojny. — Nie chcemy, a musimy, jako niepożądani kwateranci was tu prześladować. Ale niedługo. Porozciągaliśmy wzdłuż przypiecków w izbach chłopskich bluzy, spodnie, płaszcze, czapki, buty, bieliznę i oczekując, aż odzież wyschnie, posnęliśmy.

W południe okrzyk „menaż“ wyrwał największych śpiochów ze snu. Niebardzo się tam posuszyło wszystko, ale w końcu zawsze jakaś ulga. Tyle, że ubrania były dziwnie sztywne i przyciasne. Możemy i przytyli.

— Wiadomo, dowodził Pęksa, tyle wieprzowiny zjeść, nie dziwota.

Koło godziny trzeciej odmarsz gdzieś znów na wschód, ale teraz więcej na północ. Choć słońce grzeje, nawet w marszu czujemy chłód.

Mijamy wsie, pola ziemniaczane, ścierniska, -dwory. Z za zdrością patrzymy, jak pojazdy wiozą szosą cywilów. Tak dawno ich nie widzieliśmy. Mijamy pałac ks. Drucko-Lubeckiego; ze szczytu powiewa czarno-żółta chorągiew; widocznie rozsiadł się tam sztab jakiejś większej komendy.

Za wsią Rautowem — spoczynek w szczerem polu. Tu szlują posiłki z kadry. Cały bataljon. Wszystko w nowiutkich, siwych mundurach. Mają ze sobą nowe wypukłe aluminiowe manierki, których im zazdrościmy, bo nasze manierki starego stylu, emaljowane na ciemny bronz są ciężkie i niepojemne. Poza tem mają do tornistrów, a właściwie płóciennych plecaków, przytroczone derki — głupi i niedoświadczeni. Bagaż to zbędny.

Dowiadujemy się od nich, że Moskale zagarnęli Nowy Sącz i że zdobywają Stary Sącz, że kadra 20 p. p. wywiała do Jägersdorfu na Śląsku, że dużo ludzi z naszego czwartego bataljonu w Serbji wyginęło, że tam wojna okrutna, że w szpitalach dla zakaźnych chorych na czerwonkę przeważnie umierają. A przecież między nami conajmniej 10 procent chorych na czerwonkę; — stwierdza to rzędem wzdłuż szosy ustawiony szereg przykucniętych postaci. Ale mimo przypadłości idą jednak w marszu, bo markirantów jest też sporo, więc dla ostrożności lekarze nie uznawali ich dotąd, aż chłop runął gdzie popadło. Badali potem bieleźną i tylko, jeśli był tam krwawy szlam, posyłali pacjenta do tyłu.

Wkroczyliśmy do lasu. Ciągnie się on bez końca. W pewnym punkcie na oczach naszych przygotowania do egzekucji. Mają wieszać, czy rozstrzelać żołnierza z 3 p. p. rzekomo za rabunek. Kopią dół pod drzewem, delikwent stoi z zasłoniętą rękami twarzą. Mimowoli odwracamy głowy.

A może zresztą umyślnie nam go pod oczy podstawiają. Mijamy Miechów, droga dalsza do Kazanowa. Maszerujemy obok biwakujących legionistów polskich. Przy kuchni polowej stoi ich gromada z szalkami w ręku. Dostrzegam wśród nich sporo kolegów szkolnych. Żołnierze przystają, pozdrawiają ich skinieniem ręki, ale od tyłu podany rozkaz po niemiecku: — nie zatrzymywać się, marsz dalej!

— Marsz dalej! powtórzyłem w myśli, jak echo. Żadnych wzruszeń, żadnych sentymentów, marsz dalej!

Milczenie zaległo w kompanji, dopiero za wsią rozgadali się wszyscy, komentując ideologję legionistów. Nie wszyscy wprawdzie, ale większość z pośród nas to ich entuzjaści. Wszak to wojsko polskie. A my? — Tłumaczyłem góralom genezę Legjonów.. — No, a jaka gwarancja zapytywali mnie, że Austria odbuduje Polskę; rzeczywiście. Czy jest jaki austriacki cyrograf? — Jest, czy nie jest obojętne, cyrografy wypiszą bagnetami, odparłem, byle coś odpowiedzieć. — Szczęśliwi, zagadnął Surman, wiedzą o co się biją. Kadet Krzystkiewicz jest zdania, że forma obojętna, byle wygnać Moskali z ziem polskich. Od powstania styczniowego, a więc od pięćdziesięciu lat pierwsza to okazja. — No i do Austriaków i Niemców trzeba się dobrać, dodał Surman. — Tak, tak, potaknęli wszyscy.

We wsi Sydoł spoczynek większy; abyśmy zaś nie wyszli z wprawy — mądre dowództwo zarządza „Gelenksübungi“^{*)}.

Nasze nogi są stężale, gdy dźwigamy się ze snu, zdaje się, że stu kroków nie ujdziemy. Krzyż, kark, ramiona — to wszystko w jakimś chronicznym tępcu. Po ujściu jednak 2—3 km. zamieniamy się w bezwolną maszynę. Nogi odzyskują sprężystość, kark się prostuje, tornistra prawie nie czujemy a karabin, jakby kijek na ramieniu. Tylko na postojach boli krzyż, a nogi są jak kłody bezsilne.

Więc dzisiaj ku naszemu zdziwieniu zamiast marszu, ćwiczenia fizyczne.

Nie ćwiczę osobiście, bo jestem szarżą zasadniczo większą od szefa sierżanta. Patrę z boku i myślę: — Nędzo ludzka, czemu tak przesz się do życia, wąsiska na twarzach, a wy jak sztubaki w szkole.

— Ramiona w górę, skok do rozkroku, pochylić się wprzód, — komenderuje ostro podoficer. — I gną się plecy, głowy opadają ku ziemi... — Raz, dwa, śpiewnym głosem dowodzi podoficer, przysiad, ra-azz, wippen! brzmi komenda. To znaczy hustać się na kuczkach. Śmiesznie podrygują wszyscy. Ale im nie do śmiechu. W oczach złe błyski. Mają dość wojny, marszów...

Ćwiczenie trwa trzy kwadransy, wreszcie się kończy. Spoczynek. Ale niedługo. Bez rozkazu każdy na własną rękę pierze bieliznę. Określić ją słowem brudna, to zbyt ni honor, bielizna jest czarna, a właściwie nie ma barwy, jest stalowo-szaro-ciemna.

Zapobiegliwi smażą wieprzowinę, wytapiają smalec. Są i notoryczni lenie. Ci leżą w podwórzu na słońcu. Nie ich nie obcho-

^{*)} Gimnastyka.

dzi — jakoś to będzie. Czy to filozofja, czy niemoc — wolę nie dociekać. Ale gdy rozległ się okrzyk „menaż“ — zerwali się, jak rysie.

Dzisiaj fasujemy podwójne porcje, bo t. zw. świniarze mają za dużo mięsa i przysmaków świńskich.

Popołudniu wielka radość, poczta. Dostaję list od rodziców. Są w Sączu; list datowany 10 października, dziś mamy 21-go. Dowiaduję się, że starszy brat Rudolf jeszcze w lipcu został powołany do wojska, młodszy 16-letni Jan uciekł z gimnazjum i bije się w kawalerji legjonowej; że szwagier również na froncie. W domu smutek wielki i tylko wieści od nas są całą pociechą...

Miałem list w ręku. Obiad tego dnia z kotła żołnierskiego jakoś mi nie smakował, wylałem zupę na trawę; osiadły na wierzchu ziarenka ryżu, które skrętnie dziobały kury. Jakiś obdarty chłopczyna z wynędzniałą dziewczynką też zbierali rozrzucone ziarenka. Postarałem się o drugą porcję obiadową. Nie zapomnę ich błyszczących wówczas oczu i tej łapczywości, z jaką jedli.

Nazajutrz o trzeciej rano alarm. W kwadrans potem maszerujemy. Zimny jesienny wiatr z chłodem nocy jakoś nam nie dokucza, zresztą maszerujemy ostro. Zwolna świta i słońce wstaje purpurą na horyzoncie. Przechodzimy przez tor kolejowy. Jestem wzruszony, tak dawno go nie widziałem. Tędy tętniło życie tak jeszcze niedawno, a dziś... poprzewracane słupy telegraficzne, tory zielskiem porastają.

Rozmyślania przerywa komenda od przodu: Halt! Rast! spoczynek tak rzadko awizowany.

Słońce ukryło się w mgłach. Zimno, bo wiatr wieje przenikliwy.

Jakaś grupka rozpala ognisko i grzeje przy niem zziębnięte ręce. Naśladują to inne plutony. Leżymy dookoła ogniska i gwarzymy. „Pazur“ jest zdania, że wojna, jaką my prowadzimy — jest głupią. Nikt z nas jej nie pragnie. Onby to inaczej urządził. Jeśli między dwoma państwami jest sporna kwestja powinien ją rozstrzygnąć bój między tymi, którzy ją za sporną uznają. On, Pazur niema tu żadnej wątpliwości i powinien pójść do domu. Nie wszyscy jednak byli tego zdania. Wojna z Moskalami, to wojna z odwiecznym wrogiem Polski, i obowiązkiem Polaków w armji austriackiej jest bić Moskali dowodził Mardula.

Niezrażony temi uwagami Pazur ciągnął dalej:

Właściwie wojska obu stron powinny się ustawić frontem do siebie. Powinni wystąpić cesarze i stoczyć pojedynek na szable, pistolety, a bodaj na pięście. To samo generałowie i sztabowi ofi-

cerowie, t. j. ci wszyscy, którzy są w bitwie niewidzialni. Byłoby to sprawiedliwe.

— To byłaby frajda przerywa „Pazurowi“ Nowobilski. My stanowimy sąd rozjemczy, a oni w pocie czoła walą się, najlepiej pięściami(gdzie popadnie, po głowie, po pysku, to w zęby, raz, drugi. Mają już dość, ręce im mdleją, krew twarz zalewa, kości pogruchotane — a my nic. Leżymy się galanto w wygodnych fotelach, palimy grube cygara i patrzymy, jak stary Franc z Mikołajem okładają się po pysku. Mało tego, mówi przewodniczący sądu, dalej walić się i to mocno, żadnej tu markiracji, krew tu musi płynąć strugą, zęby w koszach niech wynoszą... Potem następuje walka generałów, na drągi najlepiej byle mocno, potem sztabowcy, ci na majchry...

Tak to prawil Nowobilski, a wokół leżący słuchali tego z minami poważnemi, potakując mówcy.

Skończył się spoczynek. Ustawiamy się czwórkami. Dowiaduję się, że idziemy zdobywać twierdzę Iwangorod*), a potem Warszawę, jak nic zdobędziemy.

Marsz dalszy naprzelaj przez pola. To nie dobrze, t. zn., że coś się święci. Wielu żołnierzy niesie porwane z ogniska polana, grzeją przy nich ręce. Dostrzegł to dowódca pułku, musieli polana porzucać, bo zbyt dymiły. Zanurzamy się w iglasty las. Pułk rozłamuje się. Bataljony idą w kolumnach na równej wysokości. Z oddali słychać na lewej flance strzały karabinowe. Rozsypujemy się w tyraljerę. Przechodzimy bagniska. Zapadamy się w nich po kolana, wreszcie bagna się kończą. Wychodzimy na t. zw. polską drogę. O paręset kroków przed nami płonie wieś Zadobrze. Wszystkie chaty w płomieniach. Żar bardzo silny, bo nawet przydrożne topole się palą; ludzi nie widać. Od tyłu komenda: padnij, strzelać na wieś!. A więc tam Moskale. Otwieramy ogień pojedynczy, ale nikt nam nie odpowiada, więc przestajemy strzelać. Posuwamy się dalej, przechodzimy wieś; żywego w niej ducha niema. Za wsią zaczynają nad nami gwizdać kule. Strzelamy i my — bez celu, ot! przed siebie. Rozkaz z tyłu: naprzód! Idziemy. Jest nam obojętne; tu czy tam — wszystko jedno, w ogień leźć musimy. Nieprzyjaciel znikł, umilkł zupełnie. Trąbią na zbiórkę. Marsz dalej. W godzinę dobrą potem osiadamy we wsi Przejazd na nocleg. Menaży niema. Głód ratujemy zapasami wieprzowiny, bez chleba, bo w całej wsi poprzedni kwateranci, Moskale wyjedli wszystko do cna.

*) Dęblin.

Rozdział IX.

Świt sączył się, gdyśmy bez śniadania ruszyli w drogę. Uszliśmy chyba z milę, gdy padł rozkaz dość dziwny. — Defilada w prawo! Za samotną przed lasem chatą stał pułk. Puchalski w otoczeniu pruskich oficerów. Prusacy byli przybrani w hełmy, w pelerynach, z pod których widać czerwone lampasy. Patrzyli na nas z miną marsową. Surman tylko syczał przez zęby: — jak to ścierwo prusacze nosa zadziera, bodaj mór wydusił tych karaluchów.

U skraju lasu przystanęliśmy. Nadszedł z Prusakami płk. Puchalski, obecnie brygadjer, i na mapach omawiał sytuację dość głośno, tak, że dowiedzieliśmy się z tego, iż będziemy atakować Smolary. Jakoż w parę minut potem ruszyliśmy odrazu rozwinięci w tyraljerę.

Szumiały drzewa w górze, las był gęsty, mroczny. Słysząc trzask łamanych nogami gałązek i chrustu. Szeregowiec Rzewuski zaczyna śpiewać „Kto się w opiekę“... — jest nam nieswojo. W górze nad nami pękł szrapnel i w tejże chwili gwizdnęły kule karabinowe. Leżymy bez komendy na ziemi. Głowy chronimy za pnie drzewne. Wokoło packają kule, słysząc jak spadają trafione gałązki. Grają widocznie karabiny maszynowe, bo ogień równy. Leżę za dość grubym pniem sosny. Otwieramy ogień. Powstaje harmider, łoskot; ranni krzyczą: ratunku! Czuję jakiś skurcz w sobie, drzę cały. Przy sąsiednim drzewie granat podwarza sosnę — wali się ona z trzaskiem. Górą jęczy powietrze. Bije austriacka artylerja. Ogień piechoty rosyjskiej cichnie. Tylko granaty i szrapnele dalej wybuchają. Dostajemy rozkaz: — naprzód! Podrywam się z ochotą; wolę ruch, niż to oczekiwanie, czy akurat w łeb wyrżnie granat.

Wchodzimy na polanę. Na prawo i na lewo długi łańcuch naszej tyraljery. Od tyłu rozkaz, stać! Na prawo wysuwa się siód-

ma kompanja, gęsiego wlażą w gęstwę leśną. Widzę Urygę, jak kroczy za swym dowódcą, Dobrodzickim. Leżymy wpatrzeni w si-
ne przedpola. Nigdzie znaku. Wdali widać siną linję boru. Stoi
znieruchomiały, jakby wsłuchany w kanonadę artyleryjską.

O lesie! lesie! jakież ty straszny w tej chwili. Jako mały chło-
piec wchodziłem w twoje wnętrza bez najmniejszego strachu.
wydawałeś mi się uroczy swą tajemniczością. A dziś — nie od
dzisiaj, od szeregu miesięcy jesteś w swej tajemniczości straszny.

Lesie, lesie zielony, pełen ptactwa, strumyków, paproci —
gdzie zając lub sarna tylko buszują, — dzisiaj, teraz, w tej chwili
zapewne kryjesz nieprzyjaciół. Z pod twych stóp szczerzą się
jadowite wyloty karabinów.

O lesie, lesie, dlaczegoś taki obojętny, dlaczego chronisz za-
bójców. Jakżeż cię teraz nienawidzę.

Od tyłu pada rozkaz: — otworzyć ogień! Strzelamy. Mierzę
wolno w wierzchołki drzew. Sąsiad mój, frajter Żegota widocznie
trafiony kulą w głowę, bo czołem wsparł się o ziemię, czapka mu
spadła. Patrząc, rzeczywiście z okolicy ucha spływa cieniutka
wstążeczka krwi. Nie mogę go ratować, bo nad głową świszcza
kule i to — jak poznaję, karabinu maszynowego.

Och Boże! Jaka ta ziemia twarda, nie chce mnie wchłonać,
napróżno wbijam w nią twarz.

Przed nami z trzaskiem pękają obłoczki biało-różowe. Jeszcze
parę sekund i już wśród nas wybuchają dużego kalibru pociski.
Rozlega się nieludzki krzyk, wycie... i cisza. Uciekamy w tył,
w las; żadna siła nas tu nie zatrzyma, niech kto spróbuje, — ba-
gnetami go skłujemy, na strzepy rozedrzemy. Druga, trzecia serja
granatów i szrapneli rosyjskich; siódma kompanja biegnie z po-
wrotem.

W tej chwili dzieje się coś strasznego. Huk, wycie, krzyki,
pisk odłamków; puszczam rannego jednoroczniaka Sarnę z rąk,
bo nie mam sił — może i tak nie żyje, brak mi wreszcie tchu.

Nareszcie dopadam do lasu. Na skraju walę się na ziemię bez
sił. Po chwili poznaję, że wokoło pełno niedobitków; z przedpola
na jednej nodze, podpierając się karabinem skacze tyraljer, a za
nim i wokoło szaleństwo granatów.

Słyszę wyraźnie swoje nazwisko... Kadett...! To, niestety, ja.
Wola mnie major Mischke. Dostaję rozkaz: — cofających się żoł-
nierzy wstrzymać, rozwinąć tyraljerę, zgęszczać ją cofającymi się,
okopać się na skraju lasu i strzelać, strzelać! — ryczał major,
trzymając w ręku rewolwer, jakby mnie chciał zastrzelić.

Dlaczego, nie wiem, ale odzyskałem spokój. Z plutonu mego, liczącego raptem ośmnastu ludzi wraz ze mną, utworzyłem tyraljerę, co dziesięć kroków strzelec, zagarnąłem i innych z obcych plutonów i kompanij. Wkrótce oddział liczył z sześćdziesięciu ludzi. Jeszcze są uciekinierzy. Stoimy za drzewami na skraju lasu. Major Mischke ucieka ze swoim sztabem do tyłu.

Trębacz Kleja z rozkazu majora melduje się u mnie. — Po diabła! krzyczę na niego. — Mamy szturmować. — Ach, ty ośle jeden, gdzie? Polana, jak stół, najmniej kilometr szeroka.

Artylerja rosyjska naraz cichnie. Na polanie jakiś ruch; na Boga! upiory! w długich do ziemi prawie szynelach ze szpiczastymi karabinami... biegną ku nam. Ktoś krzyczy wśród nich coś, jakby „wpięrod“! Idą, biegną ku nam. Już tylko dwieście kroków, już sto pięćdziesiąt; biegną ich setki, może tysiące; przed nami śmierć, albo niewola. Na przedzie atakujących kroczy olbrzym z wyciągniętym pałaszem — widocznie oficer. Już sto kroków tylko. — Ognia! dałem rozkaz.

Huk strzałów, piekło; bez komendy powstał t. zw. szybki ogień. Olbrzym-oficer biegnie jeszcze z pięć kroków i wali się nawznak, a obok niego dziesiątki.

— Pomyśluj! — słychać.

Rzeź, rzeź, mord okrutny, bezlitośny. Nie mam czasu nad tem rozmyślać. Nie my ich, to oni nas. Od lewej flanki obeszl nas Moskale i szturmują. Słychać krótkie: „urra! urra!“ — Biegnę tam.

— Ognia! — komenderuję, wskazując ręką.

Nikt mnie tu nie słyszy, nikt nie słucha. Toczy się tu już walka na bagnety. Trębacz nasz, poczciwy Kleja, z rozprutym brzuchem leży na ziemi i wyje. W szaleństwie nasadzam na krótki mój karabin bagnet i dżgam naoślep, bo mnie kilku Moskali osaczyło.

„Zdaj sia! Zdaj sia!“ — słyszę krzyki.

— Jakże się poddam, gdy mnie momentalnie zakłujecie, cholery.

Naraz z boku kto? „Pazur“ — wali ich kolbą karabinu po łbach.

— Poddaj się! krzyczę razem z „Pazurem“. Nie do uwierzenia, a jednak widzimy przed sobą ręce wzniesione do góry, na ziemię padają ich długie karabiny. Jest ich dziewiętnastu. „Pazur“ z nastawionym karabinem pcha ich w tył. Naokoło nas grupki walczących. Walka dotąd niewidziana przezemnie na bagnety. Od naszych tyłów słychać: Hurra! To atak Austriaków, Moskale ucie-

kają. Od prawej strony nadbiega gromadą kilkuset Moskali. Biegna ku nam.

Upadam na wznak. Poddam się. Mam dość bohaterskich czynów. Nie zależy mi na wawrzynach. Udamę zabitego, ręce rozkrzyżowane, oczy przymknięte. Szarpie mnie ktoś ze słowami: panie kadecie, toście zabity?!

Otwieram oczy: nade mną pochyla się twarz starego rezerwisty, kaprała Ludźmierskiego.

— Zostaw mnie w spokoju, chromski pieronie! — Co było robić? Przecież wobec niego nie będę komedji wyprawiał. — Nic mi nie brakuje, mówię, serce nie w porządku dlatego zemdlałem.

Podniosłem się, Moskale poszli gdzie indziej, cofnęli się. Na naszym odcinku cisza. Gdzieś na prawo i na lewo słychać rzadkie, pojedyncze strzały.

Jak zwykle, tak i teraz, gdy minęło niebezpieczeństwo, zjawili się wyżsi oficerowie z adjutantami. Łazili, jak szare gęsi, do wszystkiego wścibiając nosy. Krzyczeli, mędrkowali, a nawet domagali się, by im honory oddawać wedle regulaminu. Sплюwali też ukradkiem żołnierze, sплюwali podoficerowie i młodszy oficerowie.

Pojawili się potem sanitariusze z noszami i odnosili w tył przeważnie nieboszczyków, bo żywych koledzy broni jakoś wytaszczyli. Nasz bataljon dostał rozkaz przygotować okopy. Robota jednak nie szła.

— Gdy się nieprzyjaciela nie widzi, to niema wewnętrznego nakazu, a co tam tyłowcy rozkażą, to napewno bzdury, rozumuje Jaś Buszek.

Jednak rozkaz rozkazem. Zmęczeni wszyscy, głodni i spragnieni, ale łopatkami w ruchu. Coraz się szaniec powiększa.

Dozorując robót na swoim odcinku, oparłem się o wyniosłą jodłę. Obok mnie przystanął kadet Żebracki. Mimo, że walkę z Rosją uważa za święty obowiązek narodowy, ogarnia go melancholja i dziwi się, dlaczego w XX-tym wieku pary, elektryczności, kultury, i miłosierdzia — genjusz ludzki wysila się nad sposobami wzajemnego mordu.

Słuchał jego wywodów Surman i niby do siebie mówi: — o biały carze! Siedzisz zapewne w ciepłych, jasnych wygodnych komnatach, syty i niepragnący, gdy my już przeszło dobiegają krzty pożywienia, ani kropli wody nie widzimy.

O cesarzu w Burgu wiedeńskim, ty bezmyślny starcze! Ale to nie tyś winien, to politycy, posłowie, im to za dobrze było, więc uroczystości sobie zrobili, krwawy festival.

Żniwo dnia dzisiejszego na małym odcinku to setki zabitych, tysiące rannych...

Och! Przyjdzie, musi przyjść na was kara, zemsta nas, tu wszystkich bez miary cierpiących...

Jeszcze dziś ocaleliśmy, ale jutro, pojutrze, a może jeszcze dziś w nocy skończy się bytowanie na tym podłym świecie. A może to i lepiej...

— A może i lepiej, przytaknęliśmy.

Zapadła noc ciemna, niemila. Wszedłem do okopu i oparty o nasyp zasnąłem. W jakiś czas potem zbudziłem się; musiało być już dobrze po północy. Przeciągał zimny wiatr. W lesie słychać niesamowite krzyki, jakby puszczyków. Mardula żegna się głośno i twierdzi, że to dusze dzisiaj zabitych żołnierzy.

— Ech! gdzieżby, przeczyłem, choć trzęsło się we mnie wszystko.

Długa jesienna noc ciągnie się bez końca. Przenikliwe zimno wiatrem zdwojone. I te ciemności wokoło. Nieprzyjaciela ani śladu. Przed nami cisza. Tylko wysunięte na przedpolu czujki od czasu do czasu przytłumionym głosem pokrzykują hasło.

— Ach! Gdybyż tak nas Moskale w cichości okrążyli i zagarnęli do niewoli bez bitwy, marzy mój sąsiad Biedrzycki.

— Czemu nie, odpowiadam, moglibyśmy zobaczyć Krym, Kaukaz, czy Moskwę...

— Co mnie one obchodzą zżymał się Biedrzycki. Obóz jeńców; leży człowiek brzuchem do góry, życiu nie nie zagraża, jeśli dadzą, wypaść się można w cieple a tu jak pies parszywy...

— No, to trzeba się poddać.

— Tak też zrobię, mówił Biedrzycki, pierwsza bitwa i już mnie u was niema.

Przerwał te marzenia Uryga. Usiadł obok mnie.

— Właściwie rozumował, niema mnie na świecie. Życ przestałem. Płacze się ciało, ale dusza odeszła...

Potakiwałem mu, bo i u mnie podobny stan, że i chciałbym, aby wreszcie skończyło się to wszystko. Bo tak z bitwy do bitwy bez końca... nie w tej, to w następnej, czy dziesiątej z rzędu zginąć trzeba.

Wynurzenia przerwał nam rozkaz: — Zbiórka w kotlinie za nami.

Dniało. Las nabrał koloru ciemno-granatowego, potem błękitnego, aż wreszcie purpurą zajaśniało niebo. Na wschodzie ukazała się ognista kula.

Dzień już był, gdyśmy w kolumnie maszerowali leśną drogą. Oczom naszym ukazują się rzędem ustawione kuchnie polowe. Jest ich kilkanaście. Zaprzężnięte konie szczypią trawę. Gdy nam chciano wydać menaż, okazało się, że mięso i zupa cuchną i w naszej obecności strawę z kotłów wylano do rowu. Serca nam się krajały na taki widok. Wydano żołnierzom chleb, oficerom sardynki i t. p. zakąski. Leżeliśmy na skraju lasu, czekając, aż kuchnie ugotują kawę.

Z lasu słychać w oddali przytłumione odgłosy strzałów armatnich. Wreszcie kawa gotowa. Z jakąż rozkoszą ją pijemy. Gorąca, pachnąca cudownie rzeźwi wnętrzości. A teraz kucharze ładują mięso do kotłów, dostaniemy więc obiad. Leżymy w pełni poczucia dobrobytu. Ogarnia mnie senność i za przykładem sąsiadów zasypiam.

Zbudzili nas do menaży. Cisnąć się do kotłów, dogadują sobie żołnierze.

— Hej, kolego, a gdzież to kto widział, aby zabierać się do jedzenia bez zrobienia rannej toalety. — Będziemy podobno faszować Odol i szczoteczki do zębów woła rezerwista Waksmundzki. — Widzicie go, czego mu się zachciewa, przerywa Waksmundzkiemu zjadliwy szeregowiec. Ożóg, Odol dla panów oficerów, a dla twojej mordy karbol wystarczy.

Droga prowadzi jeńca. Okazuje się, że to rosyjski Polak-dezertter. Ogromnie się cieszy, słysząc mowę polską. Witamy go bardzo serdecznie, częstując papierosami. Dopytuje się, gdzie walczą Legjony, bo chce się tam bić. Proponujemy mu, by został w naszym pułku. Ale on chce się bić w formacjach czysto polskich; zresztą ma zdecydowany plan wstąpienia do Legjonów. Dyskurs z nim przerwał nam ordynans pułkowy, wzywając dezertera do płk. Puchalskiego. Za godzinę pada rozkaz: — zbiórka!

Maszerujemy dalej. Marsz bez końca. Idziemy na wschód, to na północ, potem znów na południe. Zdajemy sobie sprawę, że nami manewrują, by zmylić nieprzyjaciela. Nie mamy nic przeciwko temu. Zmęczenia trochę, ale nie groza śmierci. Pod wieczór osiadamy na polanie leśnej. Każdy pluton ma prawo rozpalić ognisko. Doskonale. Leżymy na słomie, którą z brogu wybieramy. Co za miłe uczucie, jaki kontrast między wczorajszym dniem, a dzisiejszym. W cieple ognisk, w wygodzie, bezpieczni. Jakby dla ukoronowania dobrobytu przywożą piwo. Antalek na pluton. Dostaję pół szklanki. Gorzkawe ono, ale zawsze piwo. A potem śpimy, jednak rozbierać się nie wolno, nawet nie wolno zdjąć

tornistra, tylko pasy rozluźnione. Z tem wszystkiem dobrze nam jest; tylko tam, gdzieś wdali słysząc głucho dudnienie, ale u nas idylla.

Wstajemy świtaniem, drżąc z zimna, bo ogniska przygasły. Po śniadaniu marsz. Może do wsi na spoczynek?... Gdzie tam!? Mijamy spaloną wieś Marjanów i wchodzimy w las na północny-wschód od wsi.

Jakże nienawidzę lasu! Nasz bataljon obsadza drogę leśną. Trzeci bataljon na lewo od nas, pierwszy w rezerwie. Okopujemy się. Na przedpolu, t. j. w głąb lasu po drugiej stronie wysła dowódca kompanji kaprała Mardulę z jedną sekcją dla spatrołowania lasu. Patrol znika w głębi boru. Na drodze zjawia się znany nam już porucznik sztabu generalnego ze swem klasycznym pudełkiem na głowie. Wypytuje nas o zdrowie, powodzenie — w narzeczu iście austrjackiem, gdyż pomieszał sobie mowę polską, czeską, ruską i Bóg wie jaką. Ludzie odpowiadają półgębkiem, niechętnie. Wreszcie odszedł sobie. Dopiero teraz rozpuściły się języki.

— Widzisz go, peroruje głośno plutonowy Wiewióra, jakby w cyrku oglądał zwierzęta. Sam na kwaterze bezpieczny, przed bitwą robi tu bohatera, a chodzi tu, psi synu, gdy się zacznie rewja kuferków.

Te złośliwe uwagi przerwał ktoś okrzykiem: — Moskale idą! Zapanowała cisza. W głębi lasu słysząc trzask łamanych gałęzi i chróstu, kroki i głosy coraz wyraźniejsze. Ktoś niecierpliwy strzelił, za nim padł drugi strzał, trzeci i niebawem rozegrzmiała pukanina. Rozległy się krzyki, wrzask; w tej chwili przypomniałem sobie, że przecież tam nasz patrol operuje i widocznie wracają. — Wstrzymać ogień! krzyczałem. — Wstrzymać, powtarzali inni. Wreszcie ogień z naszej strony ustał; z lasu wynurzyły się postacie patrolu.

— Żeby was djabli, kłął głośno Mardula, — mogliście nas wystrzelać, jak zające.

Na szczęście obyło się bez wypadku.

Jako dowódca plutonu nie przygotowałem dla siebie schronu, gdyż miałem przed sobą olbrzymi pień sosny, doskonałą osłonę przed ogniem frontowym. Obok mnie stał żydek, Goldstein. Patrzył mi ciągle w oczy z miną wystraszoną.

— Goldstein, wołam, jak dawno jesteście w linii?

— Wczoraj mnie przydzielili, panie kadecie, z marszowego bataljonu, mówi drżąc w kolanach. Nie dokończył, gdy rozległ

się suchy trzask strzałów z lewej flanki i nad nami gwizdnęły kule. Skoczyłem za sosnę, ludzie pokryli się w okopach. Ale to nie okopy, tylko wzgórki dla osłony na pół metra. Ogień karabinów wzmagał się coraz bardziej. Po lewej ręce strefa ognia była parokilometrowa. Kule packały w pnie drzew i strząsały gałązki.

Leżałem za pniem, a obok mnie Goldstein dosłownie trząsł się, jak w febrze. Zaczynają teraz świstać kule z frontu. Bezpieczeństwo za drzewem stało się iluzoryczne. Goldstein pchał się na mnie, chcąc widocznie zająć miejsce wolne od ognia.

— Marsz! — mówię, za inne drzewo.

— Nie, nie... nie potrafię, ja się nie ruszę, jęczał.

Las cały brzmiał od huku strzałów. Leżeliśmy w kotlinie. Nieprzyjaciół opanował wyższe punkty. Ale oto i z prawej strony dostajemy ogień maszynowy. Goldstein w paroksyźmie strachu tuż obok mnie leży i patrzy obłąkanymi oczyma; zbiełała jego twarz przecinają skurcze. Żal mi go, mimo to mówię:

— Goldstein! Marsz pod inne drzewo.

— Niech mi pan kadet daruje życie, niech pan się zlituje, jęczał, wbijając paznokcie zakrzywionej dłoni w moje ramię, aż ból uczułem. Chciałem go odepchnąć, ale zdobył skądś taką siłę, że go nie mogłem — mimo, że był w stosunku do mnie mizerą — nawet ruszyć. Wtedy jednym susem skoczyłem za najbliższe drzewo. Tam wbiłem głowę między grube korzenie.

Ogień karabinów nie ustawał; słyszałem, jak nademną raz po raz packały w pień kule, czułem wyraźnie drganie drzewa. Leżeliśmy w kotle niby zające, osaczone z trzech stron, rychło patrzeć, jak dostaniemy ogień z tyłu.

O strzelaniu z naszej strony niema mowy. Najmniejszy ruch grozi śmiercią, ogień nieprzyjacielski doskonale w cel. Kule padają naokoło, wywołując odpryski ziemi, jak pierwsze krople deszczu na zapyłonej szosie lub stawie. Goldstein widocznie ranny, bo leży obok drzewa zwinięty w kłębek, to znów wyprostowuje się i kuli naprzemian. Uu, uu! słysząc przez strzały bolesny jego jęk.

Od tyłu słyszymy naraz coś niesłychanego, coś niepojętego, muzykę. Tak, wyraźnie, grają marsza Radetzky'ego. I trąbkę szturmową... Oglądam się i widzę, jak na czele tyraljerskiej linii austriackiej w głębi rzadkiego tam lasu widnieje olbrzymia postać adjutanta pułku, kapitana Grohmana.

— Naprzód! naprzód! woła po polsku. Żołnierze szli za nim. Oficer z wyciągniętym pałaszem do szturmów!? Takie sceny widywaliśmy tylko w koszarach na propagandowych obrazach.

— Strzelać! Komenderuje leżący pod sąsiednim drzewem kapitan Walter.

Otworzyliśmy gwałtowny ogień, co widocznie uśmierzyło zapal Moskali, bo jakoś ucichli. Poderwano i nasz odcinek rozkazem: naprzód! Wstajemy niechętnie. Wśród nas kroczy kpt. Grohman. Jest imponujący w tej chwili. Co parę kroków woła:

— Naprzód, dzieci! Naprzód, cwancygiery!...

Idziemy naprzód z ufnością, że nie się nam nie stanie. Swoista to psychologja, że obecność przełożonego dodaje dziwnej otuchy.

— Za cesarza, za ojczyznę! Słyszę czyjeś po niemiecku nawoływania. Dźwięki muzyki pułkowej za plecami. Przez moment wydaje mi się, że to manewry na Sikorniku pod Krakowem. Nasz bataljon półkolem, oparty cięciwą o skraje lasu, wali drogą. Naraz z wyciem i gwizdem przelatuje nad nami szrapnel i z hukiem pęka kilkadziesiąt kroków za nami, potem drugi, trzeci. — Macają nas, woła Nowobilski. — Zaraz będą granaty, dopowiedziałem. Nie myliłem się, bo zaczęła się orgja granatów. Wybuchały wśród nas celnie wymierzone.

Muzyka przestała grać, stało się cicho, słychać tylko świsty i huki. Stanęliśmy, ściśle mówiąc pokładł się każdy, gdzie kto mógł za drzewem, czy wzgórkim. Zdawało mi się, że mimo huków słyszę wyraźnie bicie własnego serca.

— Vorwärts! — woła kpt. Grohman.

Wstajemy, jak automaty i idziemy naprzód. Teraz wchodzimy na leśną polanę. Na to widocznie czekali Moskale, bo ze wszystkich stron dostaliśmy ogień karabinowy. Praskają kule o pnie drzew, jak grad.

Schroniony za pnem dość cienkiej sosny leżę znów z twarzą, wbity w macierz-ziemię; nie miałem odwagi się ruszyć. Drżała sosna, trafiana gęstwą kul karabinu maszynowego. Musiało ich bić kilka w jeden cel, gdyż nad głową słyszałem nieustanne piu, piu, piu... to znów krótkie, a ostre tsiu, tsiuu...

Gdy piechota strzela, artylerja milknie; bronie te nie działają równocześnie, zaś ogień piechoty bardzo niebezpieczny, ale ma swój kres. Tak i teraz minęło nasilenie. Ścichły strzały, więc zwolna podnosiliśmy głowy, lecz nie.... wszyscy. Niektórzy leżeli rozkrzyżowani, to z rękoma pod sobą skręconemi. Patrzyłem z podniesioną nieco głową i naraz — przebóg! O dziesięć kroków odemnie rozkrzyżowany z twarzą na prawy bok przechyloną leży we krwi „Pazur“.

Uczułem w sobie coś, czego nie umiem określić. Oczom nie mogę uwierzyć. „Pazur“ zabity, to być nie może.

Czołgając się na brzuchu, zbliżyłem się ku niemu. Trafiony był w głowę, kula wystrzeliła mu gałkę prawego oka, z którego sączyła się teraz krew, pomieszana ze śluzem i żółtawą cieczą. Szarpie go za odzież. — Pazur, wołam, hej! Pazur! — Cisza. Już spowiał go mrok śmierci. Oh! Jak mi ciężko, tylu już, tylu was na tamtym świecie. O, jakże samotny się czuję. Zamyślenie przerwał mi gwizd i huk granatu, ciężkiego widać kalibru, bo wyrzucił ziemię na kilkanaście metrów w górę.

Leżałem na ziemi, pełen bólu. Nademną szumiały drzewa, na błękitnem, pogodnem niebie świeciło słońce, jakby nic... Z zagajnika wyłania się patrol sanitarny, na noszach taszcza rannego z postrzałem brzucha, zwisa i w takt ruchu kołysze się bezwładna głowa, słysząc cichy jęk. Rozpoznaję w rannym Surmana. — Zimnie jeszcze, ale od Boga zależy, czy będzie żył pociesza mnie sanitariusz. Osunąłem się bez sił pod drzewo. W gardle poczułem suchość.

Minęły godziny, długie jak wieczność! Nastąpiła wreszcie zupełna cisza. Tylko czasem słysząc daleki strzał armatni z tej lub z tamtej strony. Zeszło tak jakoś do wieczora. Z nastaniem zmroku wycofano nas w tył. Po blisko dwugodzinnym marszu znaleźliśmy się na kwaterach. Otrzymaliśmy po dwie kromki razowego, wiejskiego chleba i pokładli się do snu milezący...

Rozdział X.

Nazajutrz przy przeglądzie kompanji okazał się brak 57 ludzi. Z tego ośmnastu odeszło do szpitala reszta t. j. 39 legło w lasach dęblińskich na wieczny spoczynek. Zginął i kpt. Grohman. Gdy mijaliśmy jego grób, każdy z oficerów i wielu żołnierzy rzucało gałązkę, tak że mogiła jego pokryła się stosem zieleni, wśród której przebijał tylko świeżo ociosany krzyż z napisem wyrzeźbionym po niemiecku: „Zginął na polu walki bohaterską śmiercią“. O kilkanaście kroków dalej był t. zw. żołnierski grób masowy. Zapewne tam spoczął i „Pazur“. Rzuciłem na grób dużą gałąź sosnową.

— Żegnaj, towarzyszu! Już nie grozi ci kryminal, ani raport karny, ani słupek; nie zaznasz głodu, ani pragnienia. Żegnaj! My idziemy w nieznane jutro. Może niedługo się zobaczymy...

Las szumiał wesoło. Korony drzew pławiły się w potokach słońca. Rozśpiewały się ptaki i nic nie przypominało, że wczoraj taka tu była rzeźnia.

Po trzech godzinach marszu przez lasy dostaliśmy się do traktu, skąd zbaczamy do wsi na spoczynek.

Cóż to za rozkosz leżeć w stodole i nic nie robić i mieć to dziwne uczucie, że śmierć nie grozi. W dodatku wydają w południowej porze menaż. Jest zupa doskonała i mięso wołowe i ryż, są papierosy. Czegóż więcej potrzeba? A potem spoczynek, jak u Pana Boga za piecem.

Ale o wpół do piątej rano bardzo gwałtowny alarm. Kolumna rusza, skręcamy na szosę. To dobrze. Bo szosą — wiemy o tem — wojsko do bitwy nie maszeruje. Mijamy jakieś spore miścisko. Okazuje się, że to Radom; obrzydliwy teraz. Odrapane, okopcone mury, wybite w oknach szyby. Pełno błota, na drodze pomięta

słoma. Patrzy na nas sporo cywilów, przeważnie żydzi. Usiłujemy co kupić, na nic sprawa. W sklepach literalnie nic niema. Poukrywali kupcy, czy posprzedawali dość, że niema. Mijamy Radom bez zatrzymania się i gdzieś daleko za miastem otrzymujemy obiad. Potem marsz. Pod wieczór stajemy na kwaterach w Szydłowcu. Kwatery murowane. Lokujemy się możliwie blisko muru, którego grubość i wytrzymałość taksujemy na wszelki wypadek.

Atmosfera wśród nas podniecona. Jesteśmy w odwrocie. Mijają nas, albo my mijamy pruskie pułki armji Hindenburga. Podobno stanowimy tylną straż. A doświadczenie z Zaklikową mamy zbyt namacalne.

W obecnym odwrocie jest już pewien ład, zwłaszcza silne współdziałanie artylerji. Na prawo i lewo od nas nieustannie hu-czy brygada artylerji austriackiej, gen. Truszkowskiego. W tym grzmocie armat jest coś potężnego. Daleki i bliski zarazem. Nie wiemy, o co się walka toczy, jaki to manewr, czy klęska podobno przez gen. Hindenburga pod Warszawą poniesiona, o czym mówić zakazano; czy — jak każą mówić — jakiś niezwykle w dziejach strategji manewr?... Krążą pogłoski, że Niemcy ponieśli klęskę pod Łodzią i Warszawą w związku z czem zarządzono odwrót armji austriackiej z pod Dębłina i Puław.

Cóż to nas obchodzi? Jesteśmy wyzuci z wszelkich ambicji bojowych; nie mamy najmniejszego zainteresowania, grunt to wymigać się od bitwy, grunt to menaż, kawa, tytoń i dobra kwatera. Tak rozumują wszyscy, nie wyłączając pruskich żołnierzy, z którymi współmaszerujemy.

Nazajutrz znów marsz; mijamy Ostojów. Tutaj dołączono do nas rekrutów świeżo z kadry przybyłych. Za każdym hukiem strzału armatniego kulą się i bledną. Uciechy też z nimi mamy sporo. Pytają się, czy to bitwa. Mardula tłumaczy im, że w bitwie się biegnie, albo leży — rozumieli rekruckie ucha! — Obmyjta se to zielone za uszami! Miało to znaczyć, że mają tam farbę od świeżo lakierowanych kuferków, jakie rekruci z sobą przynoszą do koszar.

W pułku afera. Jakiś oficer, Niemiec, wymyślając rekrutom, nazwał któregoś „polską świnią“. Za to dostał od kadeta Bułakiewicza w twarz. Mieli się pojedynekować, ale zlikwidował to płk. Puchalski. Wszyscy Polacy składamy Bułakiewiczowi oświadczenie, że się z nim solidaryzujemy i niech mu włos z głowy spadnie... O tem Niemcy wiedzą i z nami liczyć się muszą. Jesteśmy przekonani, że płk. Puchalski dał należytą odprawę Szwabowi.

Ma się już pod wieczór, gdy maszerujemy przez Kielce. Kielczanie, słysząc polską mowę — żywo nas witają. Niektórzy wciskają żołnierzom chleb, tytoń. Dobry to naród. Stanęliśmy za miastem w SzydłóWKu na wzgórzu. Kaza nam kopać ziemianki. Czynimy to bez szczególnego zapału. Jest ciemno, zimno, deszcz ze śniegiem.

Dziś akurat dzień Wszystkich Świętych. Nie mamy jednak czasu nad tem rozmyślać. Dostaję rozkaz przygotować punkt obronny; drzę z zimna, jak i inni.

Otacza nas ciemna noc. Świszezy wiatr. Klną ludzie, ale jak?! Wyklinają ludziom i Bogu. Czai się zarzewie buntu. Już trzy miesiące w trudzie, znoju i niema widoków końca.

Grubo po północy podjeżdżają kotły z gorącą kawą. Cienka ona i bez smaku tym razem, gorzka, tyle że gorąca. Widocznie prowiantowcy interes zrobili.

— Bodaj ich mór wygubił, klnie głośno Pęksa.

Papierosa na lekarstwo. Rowy tymczasem pogłębiają się. Z ich wnętrza słyhać, jak ktoś gwizdże melodję na nutę „Czerwonego Sztandaru“. To świeżo przybyły rekrut-robociarz. Z innej strony słyse nabożną pieśń „Serdeczna Matko“...

— Niema co, muzykalna kompanja, stwierdza kadet Krzystkiewicz.

Ano weseli się naród jak może. Skądś naniesiono słomy. Rzuciłem snop w głąb rowu i zziębnięty, zmęczony położyłem się. Cisza tu panowała, nie dokuczał przykry wiatr, słyhać tylko dzwonenie łopat o grude i pokrzykiwania starszyny: — a ruszaj się, bydle, czego stoisz, jak cieie! Jak to robisz draniu! — Słowem towarzyska pogawędka.

Rankiem, gdy już okopy były gotowe, pada rozkaz do odmar-szu.

Bodaj to szlag trafił. Na to się chłopcy całą noc męczyły!? Maszerujemy w trwożnem uczuciu, gdzie i poco — tym razem jednak na szczęście na kwatery do pobliskiego dworu.

Kwateruję w czworakach. W jednej izbie mieści się rodzina z siedmiu głów złożona. Na to wszystko jedno jedyne łóżko. Odstępuje mi je gospodarz.

— No, a wy gdzie? — pytam zażenowany gościnnością.

— My, panie, nauczone byle gdzie; baba z dziećmi na przy-piecku, a ja na ziemi. Nie godzi się, — powiada ten zwyczajny fornał, żeby polski żołnierz na ziemi spał.

Polski żołnierz?! — To słowo słyszę po raz pierwszy. Sta-
łem olśniony, polski żołnierz w mundurze austriackim. — Tak,
odparłem, my choć w obcych mundurach, bijemy się o Polskę.

Wymawiałem się od zajęcia łóżka, ale nie pomogło. Więc
koniec końców leżę w łożu, nakryty końską derką. Pod głową po-
duszka, wypchana kurzem pierzem. Wygoda niezwykła. Gospo-
darze znoszą mi mleko gorące, wiejski chleb, masło.

— Jedźcie, jedźcie panie, boście pewnie głodni, prawi gospo-
sia.

Więc wypilem i zjadłem, co podstawili, na koniec gospodarz
uraczył mnie papierosem z machorki. Poczulem w sobie dosyt
i zadowolenie. Nie dziwnego, że usnąłem, błogosławiąc tych bie-
daków, co sobie może od ust odjęli...

Popołudniu odbył się wielki przegląd bataljonu. Wizytowano
broń, amunicję, rynsztunek. Nikt jednak nie zapytał się, czy ma-
my całe buty, czy mamy bieliznę na zmianę.

Wieczorem alarm. Nie mieliśmy nawet czasu przyzwoicie za-
piąć guzików. Pożegnali mnie moi fornale ze łzami w oczach;
o zapłacie słyszeć nie chcieli. Zostawiłem na stole 50 koron. Cóż
mi po nich, gdy za godzinę mogę już być na drugim świecie.

Marsz nasz odbywał się w tempie t. zw. marszu gwałtownego.
To niedobrze. Marduła sądzi, że pewnie Moskale zabrali regi-
ment. Naokoło porykuje artylerja. Migają odblaski strzałów, jak
błyskawice z odcieniem czerwonym.

Wkraczamy znów do Kielc. Mijamy miasto, wchodzimy na
jakieś wzgórze. Ciemno i zimno. Śnieg prószy, lekki mróz chwy-
ta. Pod szczytem wzgórza omówienie sytuacji. Jako najmlod-
szy dowódca plutonu mam za szczytem zająć linję. Reszta kom-
panji w pogotowiu za nami. To samo ugrupowanie w sąsiednich
kompanjach.

Wzdychając przechodzę z moimi ludźmi na szczyt. Rozsta-
wiamy się pięćdziesiąt kroków poniżej. Z naprzeciwnika czasem
to tu, to tam coś błysnie, nad głową jakiś szum, to znów trzask
słychać. Nie są to jednak tylko słuchowe audycje, bo mamy
dwóch rannych. Każę się ludziom okopywać. Przemądra zasada
skostniałego szablonu, aby opanować przedpole i nie mieć mart-
wego przed sobą terenu — nakazała nam sterczeć w „cyłu“, jak
się wyrażamy. Usiadłem na ziemi, opierając dłonie i na nich gło-
wę o wylot karabinku. Jest mi wszystko jedno. Trafi kula, za-
bije — no to mnie nie będzie, zrani — pójdę do szpitala, zazię-
bię się, a może i nabawię kataru — proszę bardzo, byle pre-
dziej...

I tak mijają godziny. Śnieg czasem sypki zakurzy, to znów gwiazdy migocą. To wiatr wieje, że ust nie otworzysz, to znów cisza. Zmęczenie od szeregu tygodni robi swoje. Zasypiam. Śni mi się. Naraz budzi mnie łomot i trzask okrutny.

Tym razem wybuchnął przed nami granat. Wiem, zablakany to pocisk. Mimo to, jak niemiło tu siedzieć. Chcę wstać, ale nogi moje straciły władzę. Nie mogę ich ruszyć w kolanach, nie mogę stóp dźwignąć. Wreszcie na tle śnieżnej bieli stwierdzam, że stopy mam ucięte i zupełnie ich nie czuję. Jednak wstać muszę, więc siłą z pomocą rąk dźwigam się i wydobywam nogi, na których wyżej kostki dookoła lśni tafla lodu. Teraz pojąłem. Oto stopy w ciężko podkutych butach wyłobiliły w mulistym terenie dołki, na wierzch spłynęła woda, która następnie zamarzła.

Odetchnąłem z ulgą. Mimo wszystko być kaleką bez obu stóp... brr...! Ale teraz powinienem chorować. Narazie dla prostej wygody otrząsałem lód i błoto i puściłem się na zwiedzenie linii. Leżeli żołnierze za skromnymi szańczykami skuleni, niektórzy zwinięci w kłębek. Nie baczili na wytworzoną kałużę, spali mimo zimna na ziemi bagnistej, z wierzchu podmarzłej.

Natknąłem się na sąsiedni pluton siódmej kompanji. Żalili się i tam ludzie. Wszyscy jacyś bezbronni nie mogli pojąć, gdzie sens moralny nędzy żołnierskiej. Wyszukałem Jasia Urygę. Opowiadał, że na ostatniej kwaterze wylazł na strych chałupy, by na sianie wydobrzeć.

— Przedstaw sobie mówił, leżę i już zasypiam, a tu coś wierci w nosie. Pociągnąłem nosem raz, drugi, bestja wierci dalej i coraz gorzej, że zemdleć można. Jak na złość nie miałem zapalki, a tu czuć okropnie. Macam ręką naoslep i wyczuwam metalowe guziki płaszcza wojskowego, macam dalej... brr... zimna ręka ludzka. Chryste Elejson — myślę, a tu dotykam i czuję wąsy, nos, oczy, usta... brr! — Nie wiem, czy zszedłem po drabinie, czy w dół zeskoczyłem — dość, że w braku miejsca w stajni spałem.

— No, to nie najgorzej przerwał jednorocznik Nowogrodzki, w stajni? — Czemu nie, myśmy w chlewie spali już, a z trzeciego bataljonu Zadęcki w psiej budzie chciał usnąć tylko, że go Bryś za portki w zębach wyniósł. Rozumie się, ma i pies swoje prawa.

— A i temu Brysiowi lepiej — przerwał Buszek, goni kiedy i gdzie chce, a my tu skuci...

— A ja spróbuję szczekać i polecę wtył, wtrącił się frajter Robakiewicz.

— Niezła myśl zdecydował Pęksa, zamkną człeka do szpitala warjatów i jakoś będzie można tę wojnę przeczekać.

— I takeśmy radzili... Noc upływała. Strzały cichły. Oparłem się, siedząc, o plecy Jasia i tak, jak on, zasnąłem.

Świtaniem zeszlśmy z pozycji na tyły. I znów po śniadaniu marsz to tu, to tam, znów budujemy okopy, lub zbudowane zajmujemy. Strzelamy albo do nas strzelają. Świst kul, łomot pocisków, łuny pożarów — zimno, głodno...

I nie poza tem. Chyba rzadka pocztą. Dostałem ku wielkiej radości list od ojca. Pisze, że w domu bardzo smutno, że codziennie modlą się za nas i czekają... kiedy wrócimy?... A czy wrócimy?... myślałem. Dookoła taka ustawiczna siejba śmierci.

Starych, którzy z Borka Fałęckiego wyruszyli, na palcach policzyć można. Przybywają ciągle nowi. Wśród nich Stoch, właściciel gospody pod Limanową, roztacza tęczowe wspomnienia o czasach pokojowych, kiedy to dorabiał się majątku, żony i 6-ga dzieci. Gdy o nich mówi, łzy mu napływają do oczu. Są najładniejsze, najlepsze, najmądrzejsze. A jego żona! ho! ho! A dom, o sześciu oknach z ogrodem. Czego tam niema? Huśtawka dla dzieci, kręgielnia dla starszych i piwo znakomite, i sławne czeskie kwargle i nieźrównane prece — słowem, byle wojnę przeżyć.

— Zajedzie pan kadet do mnie na wypoczynek, to ptasiego mleka nie zabraknie....

Słuchałem go, marząc, kiedy to i czy wogóle taki dzień nastąpi. Bo tymczasem wokół ryczą działa, codziennie porcja zabitych i rannych. Zginął kadet Bułakiewicz, i Żebracki i tylu, tylu innych. I niema nadziei, by się to kiedy skończyło.

Aż... jednego dnia, budząc się rano na kwaterze, poczułem, że mąci mi się w głowie i nie mogę ustać na nogach. Mimo to jakoś stanąłem w szeregu. Musiałem źle wyglądać, bo dowódca kompanji kazał mi pójść do lekarza. Dr. Denesz, lekarz bataljonowy, ustalił gorączkę 38°, a więc jeszcze mogłem maszerować. I maszerowałem. Wieczorem na postoju menaż mi nie smakowała. Dałem ją komuś innemu. Poradzono mi ponownie pójść do lekarza. Dr. Denesz zbadał mnie gruntownie i ustalił, że płuca są zaatakowane. Kazał mi wydać kartę do połowego szpitala. Kiedy mi ją wydawano w kancelarji, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że oto kończą się dni przeklętych przeżyć. Z kartą z polecenia adjutanta zgłosiłem się do komendanta taboru pułkowego, „oberlajtnanta“ Bluma z prośbą, by mi wydano podwodę.

Jakżeż huknął na mnie ten tyłowy bohater.

— Jeszcze czego?! powiada. Ja nie mam w czem wozić prowiantu, a obijaków będę woził. Każdy żołnierz powinien walczyć na froncie, a nie jeździć po szpitalach, — pouczał mnie ten rycerz od mąki i kaszy.

Podobną pucówkę otrzymał od niego plutonowy, jednoroczniak Mitkiewicz. I on, jako chory, czy podejrzany na tyfus, miał odejść do szpitala.

Usiedliśmy obaj, oparłszy się plecami o płot ogrodu, w obrębie którego biwakował tabor i prowiantura pułkowa. Łączyła nas nienawiść do wspólnego wroga. Radziliśmy nad sposobem wydobycia się z linii. Obaj byliśmy po raz pierwszy odsadzeni od bojowych formacyj. Obserwowaliśmy też z ciekawością życie taborów. Ruch był wśród nich; wozy, okryte budą z płótna zajeżdżały i wyjeżdżały. Przy ognisku, z pejszem w ręku stał w bohaterskiej postawie pan „oberlajtnant“ Blum. Mitkiewicz zdecydował krótko.

— Tego psisyna ubiję i to zaraz. To żydowskie nasienie zdaleka od ognia karabinów zginie śmiercią, na jaką zasłużył mówił przez zęby, poczem wstał, wyszukał w płocie osłabioną drankę i siłą wyłamał. Trzask wyłamywanej dranki zwrócił uwagę taborystów, bo przycichli, nasłuchując. Mitkiewicz tymczasem instruował mnie:

— Stań na straży. Ja upatrzę cybucha i gwizdnę w łeb, że mu gwiazdy zabłysną. Mówił to głosem twardym i tak stanowczym, że nawet nie próbował oponować. Zresztą sam czułem zwierzęcą potrzebę zemsty.

Tymczasem Blum, obwieszony mapami, lornetami, rewolwerami, niby drzewko na Boże Narodzenie, pokrzykiwał, wyzywając Bogu ducha winnych woźniców i żołnierzy najohydniejszymi wyzwiskami. Jednak w oddziałach linjowych lepsza służba. Mitkiewicz tymczasem wlaźł przez dziurę w płocie i z drągiem w ręku przyczaił się w ciemnem miejscu tuż za furgonem. „Oberlajtnant“ Blum jakby umyślnie podlaźł mu pod rękę; naraz usłyszałem wrzask i w parę sekund ujrzałem, jak Mitkiewicz biegł w moją stronę. Ułatwiłem mu przejście przez dziurę, poczem pędem rzuciliśmy się do ucieczki.

Przed nami otwierał się ogromny świat, żywy, barwny, świat bezpieczeństwa... Gnaliśmy też bez pamięci, byle jak najdalej. Zdyszani przystanęliśmy w polu. Na horyzoncie za nami to tu, to tam błyski rozdzielały ciemności i słychać było przytłumione buch! buch! u! hu!

Żegnaj, froncie i obym cię więcej nie ujrzał. Obaj z Mitkiewiczem kiwnęliśmy ręką w stronę frontu i ruszyli wprost przed siebie.

Rozdział XI.

Mniejsza o to jak, dość, że po paru dniach włóczęgi, znalazłem się w pociągu sanitarnym. Mitkiewicz z gorączką 40° dochodzącą, odkomenderowany został do szpitala chorób zakaźnych.

I oto leżę sobie w przedziale II-giej klasy, jak król. Na budynku stacyjnym widać napis Miechów. Rozmyślam tylko nad tem, czy aby wreszcie uda mi się wyrwać z terenu operacyj wojennych. Bo nuż wyzdrowieję?! Żegnaj wtedy słodki mirażu „Hinterlandu“. Ale nie! Właśnie prusacka Schwestern wyciąga mi z pod pachy termometr. Jest, jak drut — 38,5°, a zatem nie można liczyć na doraźne polepszenie.

Podtykają mi herbatę z rumem. Znakomita. W ustach czuję jednak gorączkę, papieros mi nie smakuje. Patrzę bezmyślnie na peron stacji. Ruch tam wielki i zamieszanie. Płaczą się Prusaki w pikelhaubach i długich kabatach. Jest ich mrowie, w tem bardzo dużo oficerów i nadzwyczajna ilość pielęgniarek w białych kitlach, z oznaką Czerwonego Krzyża na białych kornetach i lewym ramieniu. Leżący obok pruski kapitan wzdycha:

— Tak, tak, musimy się cofnąć. No, ale zato uderzenie powrotne będzie, jak piorun.

— Więc cofamy się, myślałem z uczuciem jakby zadowolenia.

— No, no — odpowiadam, któżby powiedział, że Rosjanie pobiją armję niemiecką.

— Co, co? Jak pan mówi! — wrzasnął Prusak. Nas nikt nie pobił, ani nie pobije. Myśmy panami świata, a to bydło (Mistvieh), tu skinął głową w stronę kilkunastu jeńców - Rosjan, szwendających się po peronie, to bydło wyrzucimy z Europy, jak wogóle słowiańską hołotę (slavisches Gesindel).

— A jeśli będzie odwrotnie?! — zapytałem.

Prusak próbował wstać, ale nie mógł, oparł się tylko na łokciach i trzęsąc swoją ryżawą, jakby w piwie wypraną fryzurą, ryczał:

— Przestać! Milczeć! Coś pan za jeden?!

Leżałem z rękami pod głowę splecionymi i cedziłem dobitnie słowa:

— Jestem cesarsko królewskim kadetem.

Chciał coś na to odpowiedzieć, ale na peronie powstał krzyk wielki. Biegali ludzie, znosząc bagaże. Koło biura dyżurnego, urzędnika kolejowego pruscy oficerowie, wspólnie z siostrami Czerwonego Krzyża zdjętą ze słupa latarnią gazową rozbijali grube, lagrowe szyby w oknach budynku stacyjnego. Z wnętrza biura wynoszono sprzęt telegraficzny, biurka, stoliki. Wreszcie ku memu zdziwieniu wniesiono do wnętrza kilka snopków słomy. Za chwilę z rozbitych okien wypełz żółty dym, potem buchnęły płomienie. Wokoło stali Prusacy i śpiewali dumnie: „Heil dir im Siegeskranz“.

Pociąg, zdaje się ostatni, zwolna ruszył. Stacja płonęła; ogniste języki dosięgały dachu dwupiętrowego gmachu. Wkrótce straciłem Miechów z oczu.

Zapadł mrok, czułem się połamany, czaszka mi pęczniała. w kościach ból, w ustach jakby gorący popiół. Straciłem świadomość. Wokoło wirowały płomienie; zdawało mi się, że sam się palę. Trwało to długo, aż... ustało.

Usłyszałem głośnie wołanie: „Pardubice! Pardubice!“... Uświadomiłem sobie, że leżę w wagonie kolejowym. Zwolna przypomniałem sobie, że to miasto w Czechach niedaleko Pragi. Ktoś drzwiczki wagonu otworzył; wionęło zimne powietrze. Do wnętrza wciskali się jacyś cywile, przeważnie panie z pakunkami i kwiatami. Obok mnie na kanapce, na miejscu kapitana pruskiego leżał oficer austriacki. Zbudził się i on. Panie wtykały nam paczki z czekoladą, cukierkami, jakaś miła starszuszka ustawiła na podłodze parę butelek wina. Na końcu nieśmiało weszła, ubogo ubrana kobieta w chustce na głowie i prosiła, by przyjąć nienaruszoną paczkę papierosów, zwanych „cienkimi“.

Napróżnośmy się obydwa wymawiali.

— „Vem te se pane wojak, vem te se“ — powtarzała nieustannie.

Mimo, że do papierosów miałem teraz odrazę, przyjąłem.

— Chudziaki jesteście! mam też na wojnie syneczka... gdzie on nieboże — rozplakała się i odeszła ze słowami: „Z Bohem! Panove!“

— Z Bogiem, powtórzyłem.

Sąsiad mój, jak się okazało, chorąży rezerwowy, Stusak, bardzo miły towarzysz. Nie rozmawialiśmy, bo znów przyszedł na mnie ogień i gwiazdy wirowały mi w oczach.

Zbudziłem się, było już ciemno. Konduktor zapalał światło gazowe. Zapytałem go, dokąd jedziemy.

— Nie wiem, panie, może do Pilzna.

W przedziale zjawił się sanitariusz, podoficer z pielęgniarką i oznajmił, że będziemy wywagonowani do szpitala. Pomógł nam ubrać się. Czuję się lepiej, tak, że wstałem o własnych siłach. Pociąg zajechał pod peron.

— Pilzno! — słyszę głos konduktora.

Na peronie pełno pielęgniarek i sanitariuszy z noszami. Otwierają się drzwi naszego przedziału, ktoś mówi po niemiecku:

— Kto z panów czuje się na siłach, proszę przejść przez stację do samochodu. Zdawało mi się, że silny, jakoś ze stopni zeszedłem i po dwóch, trzech krokach poczułem, że ziemia mi się z pod nóg usuwa... lecę w przepaść...

Zbudziłem się, gdy dzień na dobre się zaczął. Podniosłem powieki i z wolna obserwowałem otoczenie. Leżałem na łóżku białą pościelą zasłanym. Na dworze za oknami sypał śnieg, pędzony wiatrem. W piecu huczał ogień. Na sali kręciło się dwóch sanitariuszy z lekarzem. Chodzili od łóżka do łóżka coś mówili, nawet dość głośno, ale nie mogłem wyrozumieć po jakimu i co mówią. W głowie czułem dziwny szum, w ustach miałem uczucie spaleniźny. Przymknąłem powieki; zdawało mi się, że leżę w rowie strzeleckim. Gdy ogień głośniejszy prychnął w piecu, byłem pewny, że to wybuch granatu. Poczułem czyjaś dłoń na czole: pod pachę lewej ręki wetchnięto mi coś zimnego. Jakiś szwargot nademną i znów trzaski i huki słyszę...

Zrywam się, w piersiach ogień, duszę się... Otula mnie noc ciemna; na czarnym sklepieniu niebios zapalają się gwiazdy czerwone, z nich strumykiem ścieka krew... siedzę na koniu, z nozdrzy jego pryskają iskry, galopujemy, pod nami lasy, góry, rzeki, jeszcze jeden skok i... lecę gdzieś w dal białą... i dobrze mi, dziwnie dobrze. Na czole czuję miły chłód.

Otwieram oczy, nade mną nachylona twarzyczka w białym kornecie, na którym widnieje czerwony krzyż. A możem w szpitalu? — Czyjeś ręce dźwigają mi głowę, w usta spływa napój rzeźwiący. Twarzyczka uśmiecha się i szepta w czeskim języku:

— Już lepiej, przeszło, gorączka spadła. „Dostanete buljonu“.

Mijały dni, już mogłem wstawać i przechadzać się po sali. Jest mi dobrze, aż za dobrze. Wygoda, komfort. Rano śniadanie: biała kawa, rogaliki, masło, filizanka na spodku. Zbytek, wielki zbytek. Serweta — luksus.

Któregoś dnia patrzę w lustro. Jakiż inny jestem. Mój Boże! Chyba z pół roku nie widziałem siebie w lustrze. Oczy wpadnięte, sterczą kości policzkowe...

Ale co za miłe uczucie w tej cieplej sali. Czysto, widno, przestrono. Pierwszy raz w życiu jestem w szpitalu.

Szpital, sama nazwa mnie dawniej przerażała; zdawało mi się, że koniecznem akcesorjum musi być nieznośny zapach jodoformu. Tu inaczej. Jestem w oddziale oficerskim. Wokoło oficerowie, sami Czesi. Kadet Poldauf wyśpiewuje pieśń czeską: „Bivali Cechove, sami junaci“. Przy obiedzie dużo się mówi o polityce.

Dyskutujemy na temat orjentacji politycznej — z Ententą przeciw Niemcom, czy z Niemcami przeciw Rosji. Chorąży Stusak, kadet Poldauf i porucznik Pelech są zdecydowanymi rusofilami. W panslawizmie widzą jedyny ratunek narodów słowiańskich. Rosja tylko może patronować ludom słowiańskim, ona jedynie ma egzekutywę, ona opiekuje się uciśnionymi przez obce państwa braćmi-słowianami. Jako dowód szlachetnego dążenia prezentują mi odbitkę odezwy Wielkiego Księcia Mikołaja, w której tenże wzywa Polaków do walki z Germanami, obiecując ufundować im byt państwowy. — Po stronie Rosji nasza przyszłość, krzyczy głośno Poldauf, aż dyżurujący na korytarzu sanitariusz wsadził głowę między drzwi. Rosja ma przed sobą przyszłość, pochód zwycięskiej armji, wstrzymany przez zimę pójdzie z wiosną, jak burza. W Wiedniu, Budapeszcie i Berlinie zatkną Rosjanie swoje sztandary i oswobodzą nas i was — prorokuje Pelech. Przemysł lada dzień padnie, — sekunduje Stusak.

Leżałem na łóżku, przygwożdżony wymową faktów. Istotnie Rosja prze naprzód, boje toczą się w Karpatach i lada dzień runą w głąb Węgier olbrzymie zastępy sił zbrojnych imperjum rosyjskiego. Nie uśmiechało mi się widmo utworzenia w naszym Lwowie, czy Krakowie gubernjalnego miasta. Milczałem, bo znów zabrał głos por. Pelech:

— I wy Polacy w naiwności wiernie służycie Austrii, wystawiacie Legjony do walki z tymi, którzy niosą wyzwolenie. To zdrada Słowiańszczyzny — wołał Poldauf, jakimś histerycznym głosem.

— Za pozwoleniem! moi panowie — przerwałem. — Wy Czesi macie jednego wroga, Niemców, ściśle mówiąc jedno państwo austrjacko-węgierskie. My Polacy, podzieleni między Niemcy, Austrię i Rosję mamy równocześnie trzech wrogów. Czy ci, czy tamci zwyciężą, żaden z nich dobrowolnie raz zagarniętej ziemi się nie zrzeknie. Będą nas wyzwalać, ale nie u siebie. Niemniej większą rękojmię odbudowania Polski daje nam Austria, niż Rosja. Wierzę, że po wydarciu z rąk rosyjskich Królestwa Polskiego, Austria połączy z niem Galicję, a w ten sposób my staniemy się w Austrii dominującym czynnikiem, a trjalistyczna monarchja Habsburgów stanie się bastjonem odrodzenia narodowego Słowian, zaczynam wolności narodów i demokracji.

— O naiwni ludzie — przerwał mi Stusak — czyż sądzicie, że cesarz austrjacki krwią swoich „deutschmeistrów“ będzie wykupywał wolność Polaków, Czechów, Chorwatów, czy Bośniaków?... Czy Wilhelm poto pcha swoich grenadierów na jeziora mazurskie, by bawić się w dobroczyńcę uciemiężonych Słowian?...

— Wy Czesi — podjąłem w dalszym ciągu — szachujecie Wiedeń Petersburgiem. Łatwo wam wychwalać odległą Rosję, Rosję, która notabene liczy na was, jako na czynnik rozkładowy w ramach państwa austrjacko-węgierskiego. Nie zaznaliście dobrodziejstwa rządów carskich i za jedno uważacie naród rosyjski z caratem. Nasz naród 4-krotnie zrywał się do walki z najeżdżącą wschodnim, przemoc zdławiła nasze wysiłki. Na naszej skórze pozostały krwawe blizny, do dzisiaj niezagojone. Najlepsi synowie Polski kończyli żywot na szubienicach lub w katordze. Carat rosyjski nigdy nie uznał praw naszego narodu do samodzielnego bytu i usiłuje stopić nas w morzu ogólnorosyjskiem. Carat nigdy nie dotrzymał zaciągniętych wobec nas zobowiązań.

Braci Słowian carat uznaje, ale nie u siebie. U siebie uznaje tylko Rosjan, rosyjską kulturę, prawosławie. W wojsku, w administracji, w szkolnictwie tylko rosyjski język, rosyjska dusza. Polak uczciwy nie mógł znaleźć miejsca w służbie państwowej, w obrębie zaboru rosyjskiego, chyba gdzieś w głębi Rosji. W Kongresówce niema miasta, gdzieby dobroczynny car czemprędzej nie wystawił swej cerkwi, kopulastej wschodniej budowli, tak nam obcej, jak obce są meczety muzułmańskie, czy pagody chińskie. Pansławizm dla was jedynym ratunkiem, dla nas utratą indywidualizmu, zgubą. My Polacy znamy Rosję i jej reżim za dobrze. Jeśli chodzi o naród rosyjski, naród, który wydał Puszkina, Lermontowa, Tołstoja, Dostojewskiego, Gorkija i tak w nieskończoność — nietylko nie mamy żadnych zastrze-

zeń, ale przeciwnie uznajemy ich za braci-Słowian. Ale ciż sami synowie narodu rosyjskiego zwalczają rządy caratu, jako rządy gwałtu i ciemnoty. W wielkiej rodzinie słowiańskiej chcemy żyć wolni i równi, a nie tylko zająć miejsce łaskawie przygarniętej sieroty. Upoważnia nas do tego tysiącletnia przeszłość i kultura.

Umilkłem, wyczerpany fizycznie.

Zapanowała cisza, słyhać tylko w piecu prychanie ognia. Milczeli Czesi, więc mówiłem dalej. — Jeżeli uznajecie rolę Legjonów polskich za dowód orjentacji germanofilskiej, a tem samem zdrady interesów Słowiańszczyzny, to powiem na to, że my, jak i wy, liczymy się także z rzeczywistością. Żadne z państw wojujących nie zgłosiło dotąd jakiegokolwiek odnośnie do nas enuncjacji, więc ta garść strzelców polskich rzuca Niemcom i Koalicji wyzwanie, demonstruje z karabinem w ręku swoją rację, jesteśmy wbrew wszystkiemu, wbrew logice genewskich czy haskich polityków.

— Romantyczni to rycerze, — zauważył Pelech.

— Don Kiszoci — dodał Stuśak.

— Nazwijcie ich, jak chcecie, ale stwierdzić musicie, że nie chcą łaski tych, czy owych, ale własnem życiem legitymują nasze prawa. W danej chwili — ciągnąłem dalej — najmniej groźną jest dla nas Austrja. Ciekawym, jakbyście się czuli bracia-Czesi, gdyby wam w Pradze zakazano śpiewać „Kde domov muj“, — a nam w Warszawie, hymnu narodowego śpiewać nie wolno.

— W Berlinie za mówienie po polsku biją — wtrącił Połdauf.

— Niestety tak, dlatego też z trzech zaborców jedyna Austrja daje bodaj złudę wolności. Ale pytam się was, bracia-Słowianie, czy wy protestujecie przeciw gwałtom Niemców we Wrześni, czy wy załamujecie ręce, gdy brat-Słowianin nasyla prawosławnego popa Eulogjusza i ten z żywego organizmu polskiego wydziera Chełmszczyznę i wciela ją do ziem „istinnno-ruskich“? Milczycie? Milczeliście i wtedy. I dlatego nie żądajcie od nas takiego nastawienia politycznego, jakie wy macie i ogłędniej używajcie terminu, zdrada Słowiańszczyzny, i dlatego miejcie szacunek dla młodzieży, która życie daje na szanę.

Zamilkłem. Choć zdawało mi się, że ich przekonał, sam jednak zacząłem mieć wątpliwość w rzetelność Austrji i zacząłem się gubić w gmatwaniu stosunków i prądów.

Por. Pelech przerwał dyskusję, wznosząc, aby dalszy jej ciąg odbyć w restauracji Sedlaka. Jakoż niebawem znaleźliśmy się tam za stołem. Siedzą tu wspólnie wojskowi i cywile. Nastrój anty-

rakuski. Drwią wszyscy i za nic sobie mają świętości państwowe czy dynastyczne. Cieszą się ze zwycięstw rosyjskich, piją na upadek oblęganego Przemyśla, na zwycięstwo Francji.

Demokracja brata wszystkich. Obok sędziego pije piwo woźny sądowy, obok inżyniera majster, obok oficera szeregowiec. Niema podziału na klasy i stany. Poza służbą wszyscy są równi. Tyle różnicy, że mówi sędzia, inżynier czy oficer — zaś woźny, majster czy sierżant conajwyżej „dogaduje”. Siedzę też wśród nich zadowolony.

Po dwóch tygodniach pobytu w Pilźnie wezwano mnie do zbadania ścisłego. Lekarz sztabowy dr. Obst z miejsca pyta mnie w polskim języku co, gdzie, jak. Opowiedziałem mu krótko moje curriculum wojskowe.

— A, to się należy — powiada — gruntowna kuracja.

Stukał, pukał, badał, i orzekł:

— Reumatyzm. Jakby pana doktor uderzał w kolano, to trzeba krzyczeć, boli, pouczał mnie pocziwiec rodak, choć zdaje się, wyznania mojżeszowego.

Nazajutrz pojechałem leczyć reumatyzm do Töplitz-Schönau.

Otrzymałem pokój bardzo przyzwoity w hotelu zarekwirowanym przez wojsko. Tryb życia wspaniały. Rano służący przynosi śniadanie do numeru, o jedenastej kąpiel w komfortowych kabinach Elisabethbadehofu, obiad na sali restauracyjnej, poczem spoczynek, wieczorem spacer no i — skromna knajpka w gronie oficerów wszelkich narodowości austriackich.

Co drugi dzień zabieg zdrowotny. Wsadzają mnie, jak bochen chleba, do jakiegoś otworu, jakby pieca chlebowego. Duszą tam i gorąco. Biją na mnie siódme poty. Po dziesięciu minutach tej męczarni masaż ręczny i różgami, potem otulają w prześcieradło i ciepły koc i wnoszą na salę, na której leży — podobnych do mnie — kilkudziesięciu pacjentów. Do ust wkładają rurkę, przez którą sączy się gorąca herbata z mlekiem i koniakiem, poczem zmęczony, bez ruchu zasypiam. Budzę się po dobrej godzinie snu zdrów i silny, jak żubr.

Po przeprowadzonej trzytygodniowej kuracji w Töplitz-Schönau wróciłem do szpitala w Pilźnie. Byłem właściwie zdrowy. Otrzymałem urlop dwutygodniowy, wypoczynkowy. Nie miałem go gdzie spędzić, gdyż dom rodzinny chwilowo nie istniał. Nie wiedziałem, czy rodzina bawi gdzieś na t. zw. ewakuacji, czy też w Nowym Sączu, zajętym przez Rosjan.

Przyjąłem tedy zaproszenie do nadleśniczego Zelenki w Nowej Hut'i, z wielką wdzięcznością. I oto w ślicznej willi, poło-

żonej na skraju lasu nad rzeczką, w ciszy, leżę sobie na sofce, wczasując się za wszystkie dni. Mój gospodarz, starszy pan, emeryt, za cały honor obrał sobie zrobić ze mnie wroga Austrii. Politykujemy też od rana do późnego wieczora. Pan Zelenka swoje przekonania polityczne ujawniał nawet w sposobie fabrykowania wódki w kieliszku o barwach narodowych. Była więc białoczerwona polska, czeska, francuska, belgijska...

Jednego dnia jedziemy do Pragi. Zwiedzamy to prześliczne miasto, pełne dzieł sztuki, historycznych zabytków. Wieczorem zaszliśmy do opery na „Sprzedaną Narzeczoną“. Byliśmy w Besedzie na odczycie o sytuacji politycznej. Odczyt został zerwany przez urzędującego na sali c. k. komisarza. Za dużo mówił prelegent o nieuchronnym upadku Austrii. Przy wyjściu legitymowano każdego. Dostałem się na listę polityczną i w dwa dni potem otrzymałem dokument podróży. Nazajutrz wyjechałem do kadry 20 p. p. we Freudenthalu na Śląsku.

Skończyły się dni wywczasów u zacnych państwa Zelenków. Stary pan Zelenka mimo niepogody odwiózł mnie aż do Pragi, — Nie wiem, czy syna swego, przemilego Tonička, żegnał tak serdecznie, jak, gdy ściskając mi rękę prosił mnie, bym przez pamięć o nim, rodakom wytłumaczył wspólność krwi i interesów czesko-polskich.

Rozdział XII.

Freudenthal, zapadłe na Śląsku Opawskim miasteczko, otoczone górami. Ludność mówi po niemiecku specjalnem narzeczem, zastępując literę „l” literą „l”, co śmiesźnie brzmi.

Uderza tu wielka ilość piwiarni, zresztą bardzo ładnie utrzymanych. Jest tu kilka tysięcy żołnierzy. Wojsko nadaje ton. Tu i ówdzie pomyka cywil, zresztą dominuje armja. Wieczorem knajpy roją się od wojskowych. Wczorajsi cywile, dzisiaj zakuci w mundur. W 20 p. p. względnie czysto-polskim namieszano teraz dużo t. zw. egerlandczyków, których wcielono do pułku celem wzmocnienia żywiołu niemieckiego. Materiał to nieszczególny. Wielu z nich rachitycznej budowy. Widać, że przy poborze brali ich hurtem, niewiele dbając o istotne zdrowie. Gdy się ich ustawiło w szeregu, na skrzydle widać szeregiem zwisające wąsiska. Przeważnie rocznik to 40-letni.

W kadrze 20 p. p. na wstępie spotykam kolegę z uniwersytetu, kadeta Gebła Leopolda, który niedawno wrócił z frontu serbskiego. Witamy się i po załatwieniu wstępnych formalności idziemy do „Bierhalli” na śniadanie.

Spotykam tu kolegów z ławy szkolnej, młodszych i starszych. Właśnie ukończyli szkołę oficerską, a teraz praktykują w oddziałach. Wyfasowali ubrania niezgrabne i źle uszyte. Stopniowo je przerabiają. Nawiażuję kontakt z kółkiem stałych tu bywalców, a to kandydatem notarialnym, kapralem Staszkiem Marosanym, prawnikami Skibą, Kosibą, pocztarzem Oleksym, sierżantem Waligórą. Tworzymy t. zw. „pakę”.

Rej tu wodzi Edmund Adam Karp, dwojga na chrzcie świętym danych mu imion, jak sam mówi, zwany przez nas „Rejentem”. Ma on niezrównany humor i dowcip. Wypija morze piwa, nie gar-

dząc i bardziej skoncentrowanym alkoholem. Towarzystwo w miarę kolejek śpiewa coraz głośniejsze. Po sali uwijają się fertyczne kelnerki. Napróżno przemykają, chcąc być niedostrzeżone. Przy byle okazji chwytają je wszyscy za łokcie, czy łydki. Naturalnie uszczypnięciu w pośladki dziewcząt towarzyszy ogólny gwizd mężczyźni i protesty dziewczyn...

Na stół wylazi Staszek Marossany. On musi codziennie odtańczyć czardasza. Z wieku wśród nas senjorem, z usposobienia — najmłodszy. Jest miły i dowcipny. Gdy tańczy na małym stoliku, zbiegają się goście z sąsiednich sal. W jego czardaszu równocześnie tańczonym i śpiewanym jest artyzm i piękno. W koło zebrani przygrywają na grzebieniach, na ustnych harmonijkach, dzwonią na butelkach i talerzach, grzmią pokrywki od garnków, jak czinele, rozpalają się twarze, tworzą się pary, w pierwszym rzędzie tańczą kelnerki, mimo, że je gospodyni strofuje. Powstaje krzyk, wrzask. W zapale tanecznym dźwiga dziesiątki rąk tancerki do góry... tylko w kącie cicho i smętnie siedzi kilku jednoroczników. Są to profesorowie gimnazjalni z Nowego Sącza. Między nimi ceniony dla wiedzy i dobroci dr. filozofji Opatrny, historyk, obok filolog Nosal. Wczorajsi jeszcze potentaci, dziś wtłoczeni między tę czeredę, gdzie niczem wszystko w obliczu „szarzy“. Wczorajsi ich uczniowie, dziś, jako podoficerowie, są dla nich władzą; nie mogą, nie wypada im poprostu bawić się razem z nimi. Siedzą też teraz z melancholijnym wyrazem twarzy.

Jest tu dużo śpiewaków, właściwie wszyscy śpiewają. Chór niegorszy, pieśni przeważnie polskie, choć i Czesi przegradzają je swemi melodjami.

Godzina dziewiąta, do knajpy wpada dyżurny podoficer garnizonu. Szeregowcy zmiatają do koszar na łeb, na szyję, przeważnie przez okna. „Szarże“ mają czas do jedenastej. Towarzystwo obsiada stoliki grupami wedle narodowości. Nasz polski stolik najliczniejszy. Przewodzi naturalnie „Rejent“. Jego pyzate oblicze, dorodny brzuch i tubalny głos, dodają mu wiele powagi. Posiada wielkie zdolności aktorskie, czy to naśladuje księdza, chłopą, czy żyda. Mistrzem ceremonji jest właściciel restauracji z Nowego Sącza, Górka. Wzięty do wojska jako rekrut przywiózł ze sobą olbrzymie zapasy konserw, sardynek, kilometrowe salami, likiery i t. p. Mimo, że jest szeregowcem — dopuszczony do starszyny, już to z tytułu zasobów prowjanckich, już wreszcie gwoździ niefrasobliwego humoru. Podczas inspekcji dyżurnego podoficera ukrył się pod stołem; — obecnie jest szafarzem. Greti i Trudel zno-

szą, bezustanku kufle piwa. Zaintonowana przez Rejenta pieśń — „Córuś, Córúś, czego ty jeszcze chcesz...” — podnieca nastrój pi-jacki. Bractwo już nie śpiewa, ale ryczy. Po kątach przy stoli-kach cicho przysiedli tubylecy-cywile i z podziwem nas obserwują. Północ już dawno wybiła, gdy wreszcie posiedzenie zakończono uroczystem „Gaudeamus igitur”...

Upływają tygodnie. Już wiosną pachnie, a mimo to wojna trwa. Co miesiąc, a nawet częściej, odchodzi w pole bataljon mar-szowy. Mamy wieści z pułku, że od grudnia, okopany pod Gorlica-mi, toczy walkę pozycyjną. Front rosyjski na terenie Królestwa Polskiego unieruchomiony, drzemie. Po zwycięstwie Hindenburga na Jeziorach Mazurskich armja rosyjska, jak wynika to z ko-munikatów wojennych straciła swą siłę. Również w Galicji usztywnioną jest linja obrony nad Dunajcem. Przemyśl oblężony padł. A więc czeka nas nowa faza wojny, bo dotąd z tej sytuacji trudno wyciągnąć wniosek o stanowczem zwycięstwie. Czekamy też z dnia na dzień nowości co do naszego przydziału.

Aż jednego dnia w połowie marca przeczytałem w rozkazie przydział do kompanji marszowej. Nie zrobiło to na mnie wraże-nia, bo zresztą w kadrze wytworzyły się niesympatyczne stosunki. Komendant kadry, major Böhm, zionie nienawiścią do Polaków i Czechów. Objawia to przy każdej okazji. Są tajne instrukcje dla oficerów niemieckiego pochodzenia, by szpiegować Czechów i Polaków. Na odprawach oficerskich mjr. Böhm każe zostać ofi-cerom narodowości niemieckiej i coś z nimi długo omawia. To też duszno w kadrze. Więc, gdym się znalazł w otoczeniu marszow-ców — poczułem się raźniej.

Nazajutrz rozpoczynam inny etap życia. Wykładam rekrut-om praktyczne pokazy walki. Z ich twarzy czytam ciekawość i niedowierzanie.

W kompanji naszej jest cała paczka z „Bierhalli“, Marossany, dr. Kosiba, Skiba, Karp, Oleksy, Waligóra i wielu innych. Widać argusowe oko majora Böhma wypatrzyło komilitonów i dlatego też umożliwił nam dalsze gromadzkie bytowanie na froncie. Dobrze i to. Sporo doszło też uczestników wojny z frontu serbskiego. Mię-dzy innymi kadet Giza opowiada nam, jak to na Bałkanie wal-czą. Wojna tam i walka, to nie z linją nieprzyjacielską, ale z każ-dym domem, płotem, drzewem. Wojska serbskiego nie widział, tylko cywilów-żołnierzy. Wśród nich najgroźniejsi to komitadzi. Starcy to przeważnie, którzy kazali się przywiązywać do gałęzi rozłożystych drzew i stamtąd, gdy nadciągały austriackie od-działy — z odległości kilkudziesięciu kroków — ubijali przede-

wszystkiem oficerów-dowódców. Zwyczajnie zasypani gradem kul kończyli życie momentalnie, albo na najbliższej gałęzi. Ich poświęcenie to już nie bohaterstwo, ale determinacja; zresztą na froncie serbskim każda kobieta, każde dziecko strzelało do Austriaków. Austria odnosiła tam sukcesy, dosłownie pyrrusowe.

Zlekceważyli sobie Austriacy Serbów, nazywając ich „armją świniopasów“. Bez trudu wobec słabego oporu wdarli się w głąb Serbji. General Potiorek sądził, że rozbił armję serbską, że kilka dni wystarczy, by zająć całą Serbę. Tymczasem Serbowie przegrupowali się i około 20 sierpnia 1914 r. przeszli do kontrofensywy. Triumfalny pochód austriackiej armji przemienił się w bezładny, haotyczny odwrót. Byli i tacy, którzy wiali aż do Budapesztu, nawet do Koszyc. Moc ludzi utonęło w Sawie i Dunaju. Na szczęście dla Austriaków Serbowie zatrzymali się na swej granicy. Przyznać trzeba, że mimo słabego uposażenia i znikomej ilości świetnie działała serbska artylerja. Czwarty bataljon 20 p. p., w którym służyłem, ciągnął Giza, przeszedł w Serbji ciężką i krwawą kampanję. Bataljon ten złożony w 50 procentach z Polaków-oficerów i prawie 100 procentach z górali z Podhala rzucany był w najbardziej krwawe walki. Bezskuteczne były prośby oficerów-Polaków i szeregowych, by ich przerzuciono na front rosyjski, gdzie chcieli służyć sprawie polskiej. Zdziesiątkowany, sterany bataljon, pełen bojowej chwały, czego dowodem około 150 odznaczeń, jakie nadało dowództwo frontu oficerom i żołnierzom, po 4-miesięcznej kampanji odkomenderowano na leże zimowe do Syrmji na Sawą, gdzie dotąd bawi, oczekując dalszych rozkazów.

Jeszcze dni parę w kadrze. Ostatnie przygotowania ekwipunku, broni, amunicji, msza polowa, austriackie kazanie feldkurata, hymn „Boże wspieraj“, przysięga, Radetzky marsz no i z liśćmi dębowymi na czapkach, w kwietniowy dzień pogodny maszerujemy na dworzec kolejowy. Po „odtrąbiono“ cwancygieru huknęły pieśń:

Od krzocka do krzocka — po listecku
Powiedz mi ma miła — o swym wionecku
Jom ci go nie wzion — ani nie ukrod
Pewnie ci, pewnie ci — do wody upod...

Gdy nas zawagonowali, podjechaliśmy pod peron. Sztab kadry z majorem Böhmem na czele asystuje odjeżdżającemu bataljonowi. Żegnają nas przeciągłem... niech żyją... turkot pociągu zagłuszył resztę.

Rozdział XIII.

Dudnią głucho koła wagonu pod nami. Pociąg pędzi bezustanku, migają stacje, lasy, wzgórza, huczą mosty. Zapada wieczór. Siedzimy w przedziale III klasy. Twardo, ale wesoło. Krąży wokoło likier Altvater, jesteśmy już pod dobrą datą. Zresztą mamy jakieś dziwne przeświadczenie, że nim dojedziemy na miejsce, wojna się skończy, bo jak dzienniki donoszą — na froncie cisza — i może wojna uśnie.

Tymczasem, nawet jest nam dobrze. Mamy swój chór, budzi on sensację na postojach. Dowódcą bataljonu jest kapitan Pinsker, stara i nudna kukła koszarowa. Zdaje mu się, że jedziemy na ćwiczenia, zamęcza nas też ciąglemi odprawami. Widocznie drażni go nasza niefrasobliwość.

W wagonach towarowych dla t. zw. manszaftu*), po 42 żołnierzy lub 6 koni, żołnierze śpiewają i piją, choć wydany surowy zakaz picia.

O północy odbieram służbę inspekcyjnego oficera transportu. Mijamy Żywiec, moje rodzinne strony. Dokąd nas wiozą, nikt nie wie, nawet zdaje się sam Pinsker. Dłuższy postój w Suchej. Po północy ruszamy w stronę Nowego Sącza. Bardzo dobrze, zobaczę się z ojcem.

W pociągu cisza, w naszym przedziale, gdzie sami podoficerowie-jednorocznicy, wszystko w głębokim śnie pogrążone. Leżą dziwnie poskręcane postacie na ławkach, na podłodze, nawet na półkach. Z braku miejsca stoję przy oknie na korytarzu i obserwuję przepiękną tu okolicę.

Mimo nocnej pory w świetle księżyca widać na drogach oddziały wojskowe, zwłaszcza dużo Prusaków. Maszerują pieszko,

*) Szeregowi.

badź konno, ciągną liczne tabory, parki amunicyjne, chłopskie furmanki uginają się pod ciężarem worków, widocznie z mąką. Dojeżdżamy do Nowego Sącza. Wolno jedziemy przez olbrzymi most kolejowy, rozpięty nad Dunajcem. Nie chcą wpuścić na stację naszego pociągu. Naokoło wszystkie trakty zajęte przez maszerujące kolumny wojsk. To samo na stacji kolejowej, zajęte wszystkie tory. Czego tu niema? Piechota, artylerja lekka i ciężka i działa oblężnicze, w wagonach ryczą krowy, rżą konie, kwiczą świny, nawet porykują osły.

W odkrytych lorach widać pontony, aeroplany, gotowe konstrukcje mostów, drut kolczasty, ambulansy pocztowe, automobile pancerne, kolejki polowe, amunicję artyleryjską, góry worów z prowiantem; niema tu początku ni końca, a wszystko w ciągłym ruchu jeździ tu i tam z powrotem.

Podjeżdżamy wreszcie pod peron. Służbę na dworcu pełnią oficerowie i żołnierze. Wyskakują z wozu i biegną ku ojcu, który stoi wtłoczony w gromadkę ludzi.

Nasze powitanie — bez słów. Ojciec całuje mnie w czoło, a na policzkach czuję łzy. Ja obejmuję ojca za szyję i tak trwamy chwilę.

Gdzieś w oddali za górami, jakby z niebios słyhać głuche, ciężkie dudnienie.

— Od rana, mówi wreszcie ojciec, bije artylerja. Że też akurat tam jechać musisz.

— Trudno, wolałbym tu zostać...

Pociąg zwolna rusza w stronę Stróż. Ojciec powiewa chusteczką i kreśli ręką krzyż w powietrzu...

Mijamy bez zatrzymania Kamionkę Wielką, wpadamy w tunel i powoli podjeżdżamy do Ptaszkowej. O kilometr przed stacją pociąg staje. Z wagonów wysiada bractwo. Ktoś wywachał, że w karczmie na dole jest piwo. Pędzą tam teraz wszyscy żołnierze, mimo krzyku kapitana Pinskera, pędzą oficerowie, pognąłem ja. W karczmie tłok, palca nie wetkniesz. W harmiderze słyhać tylko donośny głos „Rejenta“. Stoi przy ćwiartówce piwa z kuflem w rękę i jako „zugsführer“ — komenderuje, pilnując porządku w kolejce łaknących, choć nikt go do tego nie upoważnił, a raczej przeciwnie, odejście od transportu było samowolą.

Nagle słyhać dwukrotny gwizd lokomotywy. Teraz biegną wszyscy ku transportowi.

Pociąg ruszył. Dojeżdżamy do Stróż. Rozkaz: — Wywagonować! Bataljon wreszcie kompletnie uszykowany. W kozły broń! —

Spoczynek. Wydają menaż. Jesteśmy na wkie Prusaków. Karmią nas gulaszem w małą kostkę krajany. Do tego chleb i halba piwa. Z oficerami idę na obiad do restauracji kolejowej. Przysiadamy się do stołu w podkowę ustawionego. Prezydują tu Prusacy, pełno ich. Mówią głośno i chępliwie. Przy prezentacji pytają o narodowość. Słowo „Pole“ — irytuje ich. Odwzajemniamy się i też dumnie wydymamy policzki. Przez okna widzę stację, zawałoną wozami ze sprzętem wojennym, zwłaszcza dużo saper-skich narzędzi. Godzina druga, obiad skończony. Żegnamy Prusaków, lekkim pochyleniem głowy.

Bataljon rusza w stronę Woli Łużańskiej. W oddali huczy artylerja. Rekruty rozszerzają oczy, mają niepewne miny. Ktoś po „odtrąbiono“ zaintonował pieśń... „Choć burza huczy wkoło nas, do góry wzniesmy skroń“... Śpiewamy potężnie, pozazdrościli nam Niemcy, bo wmieszali się ze swoim, „Drei Lilien, drei Lilien“. Na to Czesi zaczęli, „Ne melem, ne melem“; — wytworzyła się kakofonja, aż wdał się w to Pinsker i rozkazał: „Den Polen und Tschechen — aufhören“*).

Zamilkliśmy. Jakoś i Niemcom nie bardzo szło. Skończyło się na tem, że potem — mimo nakazu — nikt nie chciał śpiewać.

Na drodze mijają nas auta z dygnitarzami wojskowymi, czyniąc straszną kurzawę. Przeklinają ich też żołnierze. Marsz nasz trwa już kilka godzin. Po drodze fasujemy tytoń, czerwone kule sera — jedna na czterech ludzi, konserwy. Oficerowie dostają czekoladę, sardynki, koniak, salami. Organizacja bardzo sprawna. Mijamy okopy austriackie i rosyjskie. Przy rosyjskich widzimy skutek ognia huraganowego artylerji. Lej przy leju. Potrzaskane okopy, dosłownie z ziemią zrównane. Niedaleko pracują sanitarsze. Kopią widocznie groby, bo widać kilka białych w ziemi krzyżyków. Mijamy zabudowanie folwarczne. Z za wysokiego parkanu, piętrzą się w stos ułożone trumny o wymiarach płaskich. Wieje od nich zapach sośniny. W moim plutonie żywa dyskusja.

— Te! frajter, słyszę głos starego wiarusa, Żmijewskiego, wy-bierz sobie i podcyfruj odpowiednią skrzynię, bo na twoje giczale za krótkie te trumienki.

Zagadnięty, długonogi frajter Ligęza lwowskim akcentem próbuje się odciąć:

— Ja ta sobie już nogi skurczę i dobra nasza, ale gorzej z tobą, kurduplu, bo takich, jak ty, to po czterech do jednej kładą.

— Ho! ho! śmieję się wszyscy.

*) Polacy i Czesi zamilknąć.

Zamilkł Żmijewski zawstydzony. Oddział maszerował równym, posuwistym krokiem.

Zapadł zmierzch. W oddali to tu, to tam, błyskało się krwawo tuż nad ziemią. Wchodzimy w jakąś wieś. Jesteśmy dobrze znużeni, ale na szczęście stajemy tu na kwaterach. Dowiadujemy się, że jesteśmy pod niemiecką komendą. Ofensywę prowadzi gen. Mackensen. Pod Gorlicami dla przełamania linii rosyjskiej zmasowano olbrzymią ilość artylerji, którą Niemcy ścignęli z frontu francuskiego. Front rosyjski od Gorlic do Tarnowa został przełamany. W. ks. Mikołajewicz nakazał odwrót z Karpat i oparcie się na linii Sanu i Dniestru. Trzecia armja rosyjska poniosła kolosalne straty. Naprzeciw nas teraz stoi armja gen. Suworowa.

Wczesnym rankiem marsz dalej. Od strony Biecza słychać kanonadę. Idziemy w jej kierunku. Mijamy baterję połówek niemieckich. Właśnie oddali salwę. Łoskot armat działa na nowicjusów, są zdenerwowani. Pinsker także nowicjusz, zapomniał utyskiwać i milcząc siedzi na koniu, tylko od czasu do czasu lornetuje okolicę.

W najbliższym lasku major sztabu generalnego omawia z nim sytuację. Za chwilę bataljon rozłamuje się na grupy. Dostajemy rozkaz: „Założyć bagnety na karabiny“.

— No, no! myślę, tak odrazu do szturm, phi! Naokoło klekocą karabiny. Połą drogą sanitariusze między wielu rannymi na noszach niosą porucznika rezerwy z naszego pułku, Kwiecieńskiego. Głowa zwisa mu bezwładnie we krwi cała. Na nasze pytanie, czy żyw, sanitariusz macha ręką, wskazując na niebo.

Jest nam nieswojo. Gdzieś przed nami słychać krzyki, hurra! Idziemy już w łańcuchu tyraljery. Mijamy pobojuwisko. Pełno tu trupów i rannych. Dowiadujemy się, że tuż przed nami 20 p. p. w ogniu. Naraz robi się dziwnie cicho. Okazuje się, że Moskale pierzchnęli, my jesteśmy w pościgu.

Od tyłu rozkaz „Zbiórka!“ — To dobrze, to bardzo dobrze. Ustawiamy się w kolumnę. Maszerujemy przez pola naprzelaj. Przed nami rzeczka. Przechodzimy ją w bród po pas. Woda bulgocze mi w butach.

Zbliżamy się do Skołyszyna. 20 pułk znów poszedł tutaj do szturm, nasz bataljon natomiast jakoś oszczędzają.

Wieczorem dostajemy menaż i fasunek tytoniu. Jesteśmy rezerwą pułku. Nakazane ostre pogotowie, śpimy więc w szczerem polu w zwartej kolumnie. Jeszcze przed świtaniem maszerujemy dalej. Mijamy Trzcinicę. Nieprzyjaciół cofa się szybko. Tuż za nami posuwają się saperzy i pionerzy. Mijamy Jedlicze, Polan-

kę Karol. Wkraczamy do Krosna. Stare to, schludne miasto wydaje mi się teraz jakoś dziwnie opuszczone. Rozbite w rynku pociskami domy, z okien z poza wybitych szyb wieje mrok. Na rynku widać ślady pocisków armatnich. Pełno pomiętej z nawozem końskim pomieszanej słomy. Widać, że o Krosno toczyła się krwawa walka.

Z naszego pułku mamy wieści. Okazuje się, że pułk kroczy w pierwszej linji i ma dużo strat. Szczególnie krwawił pułk na Pustkach pod Gorlicami; połowa oficerów wybitych i rannych; to samo żołnierzy.

Za Krosnem maszerujemy w kierunku północno-wschodnim. Wojska rosyjskie podobno zatrzymują się na linji Sanu.

Dzień moich imienin przeszedł tak, że dopiero w dwa dni potem sobie o nim przypomniałem.

Osiadamy niedaleko Kańczugi, na folwarku. Kwatera niezła. Dama tutejsza, wcale ładna bruneteczka bardzo boleje nad naszym losem. W roztkliwieniu objęła mnie rękami za szyję. Zdumiony, przytrzymałem jej ręce; wyczułem ciepło jej ciała i bijące serce. Wtedy bez pytania krzepko wziąłem ją wpół i prawie zaniósłem na poddasze. Nie protestowała. W półmroku rzuciłem ją na grochowinę. Oplotły mnie jej ramiona, na ustach poczułem gorące wargi...

...Zapadał wieczór, gdy wpół przytomny zeszedłem na dół. Na dziedzińcu bataljon szykował się do odmarszu. Wsunąłem się cicho w moją kompanję...

Gwiazdy rozbłyły, gdyśmy folwark opuszczali. Na balkonie stała, wtulona we wnękę muru, moja dama. Posłałem jej żołnierski ukłon — odpowiedziała skinieniem ręki od ust, zasłoniętych chusteczką.

Rozdział XIV.

To dziwne, że tak sobie bez żadnych wzruszeń pędzę życie. Od trzech tygodni idziemy wśród huku dział, błyskawic strzałów; mijamy płonące wioski, transporty rannych, a mnie się zdaje, że to nie nowego. Już nawet nie interesuje mnie zagadnienie choroby, na jaką możnaby się od frontu uchylić.

Maszerujemy. Idziemy kupą, t. j. obok mnie „Rejent“, plutonowy Skiba, Marossany, Kosiba i bajdurzymy. Na jedno się godzimy, że nie było, jak we Freudenthalu. Takie pyszne piwo, gorące kielbaski, ten gramofon ze smętnymi walczykami, no i nieporównane Greti i Trudel. To były „nasze“ dziewczęta, nikt poza nami nie miał do nich przystępu. Broniliśmy ich cnoty przed atakami innych nie z zazdrości brzydkiej, jak twierdzi Kosiba, ale z czystej wzniosłej idei, aby nie dać ich na profanację przybłądów.

— One były — mówi Staszek, — właściwie polskie dziewoje, choć nie mówiły po polsku, ale mazura tańczyły, jak typowe Polki.

Tak, tak! — potakiwaliśmy, burząc w sobie krew wspomnieniami błogich chwil we Freudenthalu.

Wkraczamy do jakiegoś wcale zacnego miasta. To Jarosław. Biela się w słońcu ściany domów. Miasto puste, widocznie ludność wysiedlono. Za miastem schodzimy w dół ku rzece. To San, linja oporu rosyjskiego. Na brzegu stłoczona masa wojsk austriackich i niemieckich; piechota, artylerja, oraz oddziały techniczne. Pionierzy kończą obok mostu sznurowego most drewnianej konstrukcji. Piechota wali przez most pontonowy, lekka artylerja czeka na wykończenie mostu drewnianego. Niemieczy saperzy zwożą materjał na budowę mostu żelaznego. Nikt tu nie próżnuje. Praca wre.

Nasz bataljon zajmuje skrawek plaży. Ustawiają nas w czworobok. Na podniesieniu w otoczeniu sztabowych oficerów staje feldkurat i po niemiecku, a potem jakimś iście austriackim językiem prawi oklepane komunały o miłości Boga i Cesarza.

— Zginać za cesarza w obronie świętej wiary katolickiej, walczyć z heretykami Moskalami, to najwyższe tu na ziemi szczęście, łaska u Boga i zapewniony żywot w niebiesiech. Amen! Amen! — odkrzyknęliśmy z ulgą. Gorąc bowiem był wielki i ludzi objuczonych ryszunkiem nawet najbardziej natchniony kaznodzieja mógł zanudzić.

Chcieli nas potem znów zaprzysięgać, ale na niebie pękły dwa szrapnele, więc dowództwo zlikwidowało tę uroczystość. Dostaliśmy menaż i syci pokładaliśmy się w cieniu wiklin, gęsto tu rosnących.

Tak przeszło kilka godzin. Z przeciwległej strony Sanu słychać huk ognia artyleryjskiego. Z nastaniem mroku, jak daleko sięgnąć okiem błyski szły; wnosiliśmy z tego, że jeszcze dziś wieczorem rzucą nas w ogień. Przeczuwali to żołnierze i jaki taki pruł nożem konserwy z gulaszem, mimo, że była to rezerwowa na ostatnią godzinę porcja. Ale nie! — Przespaliśmy szczęśliwie noc w wiklinach. Nazajutrz Pinsker, niby nowoczesny Moltke, by w zmocnić w nas ducha dyscypliny, nakazał ćwiczenia gimnastyczne. Klęli też ludzie, na czym świat stoi.

Niedługo to trwało, bo nadjechał goniec z brygady z grubo wypchaną kopertą. Zwołał potem Pinsker oficerów i dowódców plutonów, a ustawivszy nas wokoło odezwał się uroczystym głosem:

— Panowie, za parę godzin będziemy mieli szczęście walczyć z nieprzyjacielem. — Ktoś znacząco chrząknął.

Pinsker spojrzał surowo w tę stronę. Koniec końców wyjaśnił nam, że w Surochowie zgęścimy linię obrońców i nad wieczorem pójdziemy do szturm. Dostaliśmy mapy i drapiąc się po głowach, wróciliśmy do swych oddziałów.

Wydali potem kawę i o zmroku ruszyliśmy na drugą stronę Sanu. Nad nami szybowały pociski ciężkich haubic austriackich, bijących jeszcze z lewego brzegu Sanu. Po blisko godzinnym marszu osiedliśmy we wsi Surochów. Linja bojowa oddalona stąd o dwa kilometry, to też rosyjskie kule karabinowe poświsują co chwila. Coraz częściej w ciemnościach nocy łapią się ludzie za brzuch, czy głowę z okrzykiem, Jezus, Marja!

Nasza kompanja osiadła na podwórzu zabudowania chłopskiego. Leżałem dosłownie na gnoju i za każdym świstem kuli

chyliłem głowę do gnojowiska. Zapach tegoż jakoś mnie teraz nie raził. Obok mnie leży „Rejent“ i prawi:

— Żeby to, psiakrew, można wleźć do tego gnoju głową na dół, a nogami do góry, lekki postrzał w nóżkę i do widzenia, cholerski frontie!

W kompanji mamy już dwóch nieboszczyków i trzech rannych. Koło północy są wreszcie rozkazy. Jako najmłodszy oficer, względnie kadet — mam kompanję doprowadzić do linii walczącego drugiego bataljonu. Ciężko westchnąłem.

— Auf!*) wołam.

— Auf! powtarzają podoficerowie.

Maszerujemy gęsiego. Prowadzi nas, przysłany z pułku, plutonowy Chmielarz. Jego rosła postać znaczy się wyraźnie w poświacie księżycy. Idę za nim i słucham, co mówi:

— Od drugiego maja, panie kadecie, bezustanku jesteśmy w ogniu, strach mówić, co narodu padło. Z ognia w ogień, ze szturm do szturm. Pędzą nas, jakby już innego pułku nie było, nawet koszuli niema kiedy zmienić. Dotąd Moskale uciekali, ale teraz uwzięli się i nie można ich stąd ruszyć. Od rana już w tym psiakrewskim Surochowie sterczymy. Zobaczycie...

Naraz urwał i z okrzykiem: „O Jezu!“ — zwałił się na ziemię. Pochyliłem się nad nim, usta jego rzygały ciecz ciemną, krew.

— Sanitarjusz! — wołam. Nie mogę sam się nim zająć, za mną bowiem ciągnie sznur ludzi.

A kulki gwizdzą coraz gęściej, coraz niżej, ludzie idą wpół zgięci. Nagle oświeśla nas reflektor.

— Padnij! — wołam.

Zaledwie przykućliśmy, gdy z rykiem przeleciał nad nami ciężki pocisk i pękł w oddali, hukiem budząc rozgłośne echo. Za sekund kilkanaście ryknęło znowu, drugi, trzeci raz. Nie było rady.

— Biegiem marsz! — wołam głośno i sam pędzę wprost przed siebie. Lecimy bezładną gromadą. Koło uszu świszczą kulki, jak osy złośliwe. Przekłęty reflektor znów nas złapał.

— Padnij! komenderuję, sam runąłem na ziemię, potknąwszy się o coś. Macam, co to? Żołnierz - nieboszczyk, obok drugi; rozwarło usta, które mam tuż przed sobą mają w sobie coś niesamowitego, jakby krzyczały ratunku!, ale ręka, czoło, które dotykam — już zimne.

*) Wstać!

Obracam się, korzystając z przerwy ogniowej z wołaniem: — Hej! Odpowiada mi kilku: tu!

— Naprzód marsz!

Odpinam nerwowo łopatkę i zasłaniam nią głowę, — bodaj złuda ochrony.

— Biegiem! Jeszcze pół kilometra.

— Słój! kto tam?!

— Rezerwa, kadet... z marszową kompanją.

Zszedłem z ludźmi do płytkiego rowu. Z miejsca natknąłem się na starych kombatanów; oto kapral Marduła ze swoją pucolowatą gębą. Witamy się i ściskamy w klęczącej pozycji. Głowy nie można wychylić, w dół wkopać się też nie, bo woda. Na wieść, że przyszedł, zjawił się sierżant Włewióra. Naszym powitaniom niema końca. Częstoż ich czem mogę; papierosy, sardynki, czekolada, salami; rewanżują się rumem. Połknąłem pół szklanki i zaraz poczułem się rażniej. Na szczęście nieprzyjacieli siedział cicho.

Miało się już ku świtanu. Korzystając z przerwy na czworakach, bądź z głową schyloną niemal do pasa, przebiegłem linię bataljonu. Spotykam kadeta, Jasia Urygę. Zaprawiony to już w wojnie żołnierz. Ja odwykłem od ognia i za każdym świstem kuli mimowoli się pochylam. Uryga strofuje mnie za to.

— Rozglądniesz się powiada w terenie, to będziesz wiedział, kiedy się zginać.

Obok niego stara wiara. W świetle wstającego słońca rozpoznaję te kochane gęby. O, jacyż oni zmizerowani. Opalone, zezerniałe twarze i ręce, u każdego prawie mniejsza lub większa zaniedbana broda. Kadet Buczma usprawiedliwia się:

— Nie mamy kiedy i czem się golić.

Oglądają mnie i moje pryczesy, sztylpy, dziwią się, że w rękawiczkach zaczynam.

— Ho! ho! zmienisz ty wnet maniery. A może ty i manicure robisz? — naciągają mnie.

Było mi nieco przykro, jakoś obcy się czułem, gdyż dłuższy czas byłem poza nimi.

Zimę spędzili naogół spokojnie w okopach pod Gorlicami. Strat nie mieli, gdyż bitew nie było. Dopiero z dniem 2-go maja ruszyli z ofensywą.

Miałem się zameldować u dowódcy bataljonu, w randze majora. Jego miejsce postoju w jednej z chałup, pół kilometra za okopami. Człgając się prawie na brzuchu, bo teren równy, jak stół, a górą kule pogwizdują, — dostałem się wreszcie do kwate-

ry. Niestety, majora nie zastałem. Jak mi wyjaśnił osiadły tam teraz porucznik Dokładal, major w nocy, korzystając z przerwy ogniowej, „wziął starą panią w garść“ i zwiął. Ciągłe teraz telefonuje, co nowego?

— Sakra potvora — kłął Dokładal, — jak strzelają, to go niema, ale počkajcie, niech ogień ustanie, zaraz tu się zjawi. Tfu, — spluwał soczyście Dokładal.

Wróciłem do kompanji w samą porę, bo w parę minut rozgorzał ogień artylerji rosyjskiej. Nad nami i za nami niebo pokryło się chmurkami dymu. Z wyciem i hukiem pękały pociski armatnie, fontanny ziemi tryskały w górę. Wyrzucona dla pogłębienia rowu strzeleckiego ziemia w stronę nieprzyjaciela ciągnęła się długą, żółtą smugą, stanowiąc doskonały cel dla obserwatorów rosyjskich.

Leżałem wtulony w kąt rowu, nie mającego nawet metra głębokości. Obok mnie towarzysze broni. Pomieszani między starych żołnierzy świeżo przybyli ze mną rekruci — są wystraszeni. Na całej linii z naszej strony cisza, umilkła też i artylerja austriacka. Siła ognia rosyjskiego o dwunastej w południe doszła do nadzwyczajnego natężenia. W obrębie kompanji już siedmiu zabitych, kilkunastu rannych. Zwłoki zabitych leżą w rowie, obok mnie leży trafiony odłamkiem granatu szer. Cieszkowski. Głowa jego wraz ze szczątkami kołnierza z czerwonymi wyłogami opadła z nasypu prawie do moich nóg. Jest mi poprostu straszno.

Z naszej „paki“ niema nikogo w pobliżu. Karp, Waligóra, Marossany, Kosiba, Kielbasa — wszystko to rozleciało się w obrębie bataljonu. Dowodzę półkompanją. Prawe jej skrzydło przytyka do bagna, błyszczącego taflą wody w promieniach słońca. Za tem bagnem, t. j. dwieście kroków na prawo — skrzydłowa kompanja bataljonu. Dalej stoi pułk niemiecki, Bawarczycy. Marduła objaśnia mnie, że Bawarczycy za cholewami mają noże szturmowe, które w czasie ataku w zębach noszą. Ich pozycje w lasku olszynowym mniej są ostrzeliwane.

Dobrze po dwunastej godzinie ustał ogień artylerji. Od lewego skrzydła nadeszła wiadomość: Moskale idą do ataku. Austriackie maszyny zaczynają grać. Regularny ich turkot dodaje mi otuchy. Wychyliam głowę za okop. Istotnie od strony nieprzyjaciela widać długi łańcuch tyraljery. Biegną z długimi karabinami, skaczą, przysiadają, to nikną zupełnie.

Nasz odcinek milczy. Za to na lewym i na prawem skrzydle bulgotają karabiny. Ordynans bojowy przynosi mi rozkaz na

piśmie: „Bronić pozycji: gdy nieprzyjaciół podejździe na dwieście kroków — odeprzeć go kontratakami!“. Daję znak gwizdkiem. Dźwigają się nasi strzelcy i nastawiają broń na nasypie. Jeszcze jeden gwizdek. — Ognia! — Nasz odcinek drży. Teraz Rosja zarzuciła nas granatami. Słupy czarnej ziemi wybuchają w górę, osypując nasze twarze. Ogień ten szczęśliwie jakoś przed i za naszym rowem — jednak robi swoje. Mój głos niknie we wrzawie, jakbym obcy, przytłumiony głos słyszał. Zresztą niema tu czasu na komendę. Każdy sam sobie dowódcą. W tej chwili nad nami od tyłu z rykiem nadlatują i pękają wysoko szrapnele; druga, trzecia serja, ostatnia całkiem nisko.

— Są, są w celu — krzyczy przez stulone dłonie mój ordynans Cebula.

— Tak, stwierdziłem to przez szkła. Teraz granatami zasypa ni Moskałe — uciekają. Mam pełne zadowolenie. Bo jednak boję się ich najścia. Walka na białą broń dobra w sali fechtunkowej, ale nie na polu bitwy.

Ogień artylerji austriackiej, przerzucony dalej w tył, widocznie bije na rezerwy rosyjskie. Rosyjska artylerja strzela teraz silnie na lewe skrzydło, ale to dość daleko od nas, najmniej kilometr. W naszym rowie narazie spokój. Żołnierze posiadali, kurząc papierosy.

Przez bagno w wodzie po pas kręczy ku nam „Rejent“. Zabłąkany pocisk armatni pada kilkanaście kroków przed nim w wodę. W powietrzu na wysokość dwóch piętér wytryskuje strumień wody we wspaniałej kaskadzie. „Rejent“ — przepadł. Na twarzy czuję opadające krople wody; są chłodne, rzeźwiące. Nad wodą znów widać głowę „Rejenta“, posuwa się ku nam powoli. Żyje — to dobrze. Brodzi teraz po szyję w wodzie. Jego głowa bez binokli z wytrzeszczonemi oczyma ma w sobie coś komicznego. Zmoczone włosy opadają mu na czoło. Wreszcie wylazi z wody, ociekając błotem i szlamem. Dziesięć kroków jeszcze i — ściskamy go całego, zdrowego. Jest wystraszony, ale mimo to pyta:

— Jakże tam u was porteczki, macie cykorję? Bo ja trochę tylko.

— U nas lepiej — odpowiadamy, — na sucho reagujemy...

— Tak, tak — mówi „Rejent“ — na sucho, ale zato intensywnie, bo czuję tu osobliwy zapach.

Mój ordynans Staszek Cebula jest obrażony. Twierdzi, że to siarka z granatów tak pachnie.

— Każ się cymbale nabić w działo i wystrzelić, zobaczymy, czy tak nasmrodzisz — przerwał mu „Rejent“.

Karp opowiada nam o sąsiadach. Bawarczycy nie biorą do niewoli mniej, niż sześćdziesięciu ludzi; mniejsze oddziały i pojedynczych jeńców doraźnie kilkaset metrów za linią rozstrzelują.

Tfy! Teraz zrozumiałem tę pukaninę nieco w tyle. Do Karpa zwracam się z żądaniem, by w wypadku atakowania nas, jako prawoskrzydłowy pododcinek bronił nas ogniem flankowym.

— All right! — mówi, — tylko ja tu nie poto przyszedłem, słyszałem, że u was rum, a u nas w miechu pusto.

Wkrótce też manierkę z rumem przechylił w gardziel.

— Dość, dość — krzyczy jej właściciel, jednoroczny Oleksy.

Nie pomagało to, aż przemocą musieliśmy wyrwać mu manierkę. Trzy czwarte zawartości znikło w jego gardzieli. Teraz nabrał humoru. Tylko zgubione w wodzie binokle go martwią. Mimo to usiadł w rowie i na cały głos się rozdarł: „Będzie wojna z Moskalami i ty, Kasiu pójdziesz z nami...”. Musieliśmy mu zatkać gębę, głos bowiem miał jak dzwon, a na linji teraz cisza; dziwnie ona przykra.

Na szerokich, jak stół rozlogach, wśród zieleni umilkło wszystko, nawet koniki polne, a przecież to wiosna w pełni, soczysta zieleń aż rwie oczy, górą słońce, jasne, wesołe.

Gdy Karp „odpłynął”, zaczęliśmy drzemać. Na nasypie od tyłu, a raczej wzdłuż poza nim leżą powyrzucani nieboszczycy. Jeszcze rankiem było ich kilkunastu, teraz urosła ich liczba podwójnie. Ale oni już zobojętniali na wszystko. Nieprzyjemny tylko widok, gdy leżą nawznak i mają usta otwarte. Wtedy zęby ich sterczą i bieleją groźnie. Odwracamy ich głowy w przeciwną stronę. Gorzej z rannymi; jest ich sporo, a nie sposób odstawić ich do szpitala, nawet ściągnąć do rowu trudno. By dojść do punktu opatrunkowego, trzeba przejść równinę przeszło dwukilometrową. Moskale, którzy zajmują nieznaczne, wzniesienie, widzą nas doskonale; niech tylko kto głowę wychyli, zaraz bzyknie kula. Widocznie nas pilnują. Toteż ranni, zwłaszcza w brzuch cierpią niewymownie, a my nie wiemy co z nimi robić. W dodatku słońce praży, jak najęte.

— Gdyby nagle przestało świecić — rozumuje Marossany — zadekowałibyśmy się, jak lisy w jamie, aźby nas kacapi capnęli, albo też mybyśmy ich podeszli i koniec.

Zapadł wieczór. Od strony Moskali raz po raz tryskają błękitne rakiety. Znak to, że albo będą atakować, albo boją się ataku. Ale naogół jakoś ciszej i milej. Artylerja umilkła zupełnie. Od czasu do czasu... ta! ta! ta!... skrzekocze karabin maszynowy.

Otrzymuję na piśmie rozkaz dowództwa bataljonu. Czego tam niema! Wykopać latryny, pochować nieboszczyków, obserwować nieprzyjaciela, niepokoić go ogniem, utrzymać t. zw. dyscyplinę ogniową, maskować okopy, rowy pogłębić, patrole wysłać na przedpola, słowem litanja rozkazów, nawet słuszných, szkoda tylko, że pan major się tu osobiście nie przekonał, czy patrole są celowe i wykonalne, no i po diabła są sanitariusze czy grabarze, byśmy, żołnierze linjowi musieli grzebać trupy.

Koło dziesiątej wieczorem nadciągnęły od tyłu oddziały saperów. Taszczą ze sobą kozły i drut kolczasty na wałkach. Uważamy to za nonsens w walce ruchomej. Od czego karabiny i granaty ręczne. Zasięki zdradzają tylko punkty obrony. Podoficer-saper tłumaczy mi, że „ma rozkaz i musi go wykonać”. No to drutuj, druciarzu! Zaczyna się ich praca. Zrazu cicho i ostrożnie, potem coraz głośniejsze gadają i pobijają młotkami. Od strony rosyjskiej kilka rac wzbija się w górę, potem reflektor zaczyna „macać”. I wymacał ich ku naszej biedzie. Już po kilkunastu sekundach odzywają się rosyjskie maszyny. Kule ich świszczą tuż nad okopem. Saperzy w mig znaleźli się w rowie. Piechociarze klną; diabli was tu nanieśli!

Tymczasem świt nastał. O dalszych robotach nie było mowy. Saperzy pojedynczo chyłkiem wracali na tyły. Ku naszej radości dostajemy fasunek. W skrzyniach od amunicji porcja mięsa rosółowego, ćwierć bochenka chleba i dziesięć papierosów. Oficerowie po butelce koniaku, czekoladę, siekane kotlety na zimno i suchary.

Leżę, oparty głową o ścianę, wpatrzony w świt. Od wschodu w różowych barwach, potem, jak krew czerwonych, dźwiga się majestatycznie olbrzymia tarcza słoneczna. Jakoś raźniej ale i smutniej mi na duszy. Co dzień przyniesie? Im lepsza pogoda, tem większa strzelanina, tem większe manewry. Znałem te rzeczy i leżących koło mnie nowicjuszy z kadry przygotowałem... „będzie kurniawa”. Nie wierzyli, przeczyli temu. Moskale się cofną, a może i wojna się skończy! Niestety, nie myliłem się.

Rozdział XV.

Na razie nie sprawdziły się moje wróżby. Już godzina dziesiąta, a tu nic. Od czasu do czasu gwizdnie szrapnel, czy granat, zarechocze maszynka, ale naogół spokój. To też siedzimy w rowie i odsypiamy noc. I mnie ogarnęło znużenie, zasnąłem i z chrapania budzi mnie „poczmistrz“ Oleksy.

— Nie tak źle, — powiada skoro dotąd się trzymamy. Bieda tylko, że papierosów niema. Wyciągnąłem resztki fortuny.

W południe nadeszły świeże rezerwy. Szli rowem, pochyleni — minęli nas, przeszli bagno w sile dwóch plutonów pod dowództwem młodziutkiego — świeżo upieczonego w Wiener Neustadt — leutnanta i zajęli pozycję na prawem skrzydle. Mieli nowiutkie wprost z igły mundury, przyszli „zwecks umklam-mern der unsicheren slavischen Abteilungen“*), jak o tem doniósł mi plutonowy Bittner, który podsłuchiwał rozmowę w dowództwie bataljonu.

Nadeszło południe. Od tyłu, czołgając się na brzuchu, dotarł góńiec i doręczył mi rozkaz na piśmie, brzmiał on: „O godzinie pierwszej artylerja nasza otwiera ogień huraganowy, poczem pan uderzy natychmiast z dwoma plutonami i zaatakuj nieprzyjaciela. Wziąć ze sobą wszystkie granaty ręczne, nożyce do cięcia drutu, plecaki zostawić w okopie“. Tyle rozkaz. Baj, baju!... atak na równinie na nieprzyjaciela o kilometr okopanego i to trochę lepiej, niż my. Zwołałem starszyznę podoficerską i odczytałem rozkaz. Pochylili głowy. Od strony rosyjskiej poświstywały kule karabinowe; widać Moskale nie spali. No! Wreszcie zobaczymy; będzie miażdżący ogień ciężkiej artylerji i Moskale sami wyrwą. Było nam przykro i ciężko. Nikomu nie chciało się zabi-

*) Dla otoczenia niepewnych oddziałów słowiańskich.

jać, ani zdobywać. Jeżeli o czym marzymy, to o fasunku i o wodzie do picia. Gasimy pragnienie wodą z bagna, ale pływające w niem trupy wywołują obrzydzenie. Zresztą woda jest ciepła, stęchła, cuchnąca. W pół godziny potem nadszedł fasunek w skrzyniach ciężkich na sznurach ciągnionych, tym razem jednak amunicji i granatów ręcznych. Jesteśmy wściekli. „Poczmistrz“ klnie, spluwając pod adresem Niemców.

Patrzę na zegarek; a więc za trzy minuty rozpocznie się kanonada. Deszcz ognia i żelaza spłynie na nie nieprzeczuwających „mochów“*) — potem cisza grobowa, którą przerwie sygnał trąbki szturmowej, hurra! — krzykną zwycięskie zastępy austriacko-niemieckie... i pościg dalej.. Patrzę na sekundnik zegarka, jest.. punkt pierwsza.

Leżymy, plecami o nasyp oparci; mój „pucflek“**) na grzebieniu wygrywa tęskne melodie o Janicku-zbójniku.

Już dwie minuty po pierwszej — cisza; mija pięć minut, bal dziesięć po pierwszej.

— Nici z ognia — decyduje Wiewióra, gdy od tyłu słysząc szu... szuuu... i gdzieś wysoko nad nami — paf! pęka szrapnel. Za minutę drugi niżej, i znowu cisza. Potem dwa granaty w okolicy okopów rosyjskich. Jeszcze parę strzałów i... koniec. Śmieszne! Od lewego skrzydła podają rozkaz: Atakować od prawego skrzydła przy bagnie. A więc my. Bodaj djabli nadali, po takim ogniu artyleryjskim — czyste kpiny!... Mój gwizdek z grochem w środku warknął raz i drugi... żołnierze repetują broń i ustawiają się wzdłuż rowu. Skinąłem ręką w stronę prawą. Dźwigają się dwie sekcje pod dowództwem Wiewióry, który zgłosił się sam na ochotnika; chce zdobyć srebrny medal waleczności, bo z nim związany dodatek miesięczny, piętnaście koron.

Już wychynęli z rowu, teraz biegną. Nasadzone na karabiny bagnety połyskują w słońcu. Ubiegli dwadzieścia kroków i padają na ziemię. Kolej na dalsze sekcje. Teraz lewoskrzydłowe. Skok wprzód! Widać ich krótko, bo wpadli do wielkiego leja. Środek, jazda! Ale zaledwie wyskoczyli odezwał się dotąd milczący nieprzyjaciel. Ze wszystkich stron zagrały karabiny maszynowe, gwizdnęły kule nad głowami. Niepodobna się wychylić. Z naszej strony cisza, nie możemy razić swoich. Z rykiem złowrogim nadlatuje pocisk rosyjskiej artylerji i wybucha o dwadzieścia kroków przed nami, tworząc szeroki lej. Potem drugi, trzeci... za chwilę odcinek naszego bataljonu w obłokach dymu i ku-

*) Rosjan.

**) Ordynans.

rzawy. Piszczą, jęczą odłamki, wyją łuski szrapnelowe. Leżymy, wtuleni twarzami w macierz-ziemię. Ogień wzmagą się coraz bardziej. Już nie odróżniamy poszczególnych wybuchów; wiemy, że pojedyncze strzały to ciężka artylerja, połówki biją salwami. O ucieczce wprzód, czy wtył niema mowy. Jesteśmy w środku ognia. Ziemia dygoce nieustannie. We mnie drży każde włókienko; czekam, kiedy w plecy runie i rozedrze mnie granat, głowę nakrywam dłonią, przebije ją granat, oczywiście, wtłoczy w ziemię... niech będzie koniec. Jakby z obcych światów słyszę szlochy i jęki, płacz i krzyk, ale nie wiem, kto płacze i krzyczy... ludzie, czy żelazo. Dusza się we mnie skurczyła.

— Wody! wody! słyszę, dźwigam głowę; obok leży szeregowiec Krzyś. Z jego brzucha wypływają wnętrzności, przytrzymuje je obu rękami.

— Wody! drze się tak straszliwie, że głuży huk artylerji; czuję, że coś się rwie we mnie.

Czołgam się na czworakach ku bagnu, jestem przytomny i oszalały. Woda z gulgotaniem wypełnia wnętrze manierki. W powrocie mijam leżące ciała, nie wiem, żywi, czy umarli. Od czasu do czasu słyszę wrzask, okropny wrzask. Jeszcze dziesięć kroków, aż nagle piorun widocznie spadł, gwizd... trzask... jęk... upadam na wznak. — Ogarnia mnie cisza i jakaś słodka niemoc, — niebyt...

Trwa to długo; może godzinę, może pięć, a może parę minut tylko. Chcę się dźwignąć, ale czuję, że głowa moja dziwnie wielka i ciężka.

Wszystko przemija, skończył się wreszcie i ogień artylerji. Było już pod wieczór. Słońce zniżało się za las. Między drzewami i przez nie śle teraz swoje czerwone, jakby we krwi skąpane blaski. Patrzę bezwolny i słaby na nie z uczuciem nienawiści. Tak, ono oświecła kulę ziemską, ono tworzy dzień, podczas którego dokonywa się mord. Człowiek, tryumf rąk boskich, uosobienie dobra i szlachetności, ukazał się w całej nagości, jako bestja. W imię rzekomych, złudnych potrzeb wyższej racji stanu rzuca bez skrupułu na stos setki, tysiące istnień. Wyrafinowane narzędzia mordu to środki cywilizacyjnego pochodu. Kto wy, kto wy jesteście, co zepchnęliście nas, którzy nic wspólnego nie mamy z potrzebą mordu, w ten obłąkańczy taniec śmierci?!

W naszym rowie słychać z każdego schronu jęk. Na dnie rowu w kałuży płynie krew... Chodźcie zbiry oglądać krwawe zniwo waszych popisów wojennych. Spytajcie się oczu wytrzeszczonych, odrąbanej głowy, co mówią one?! — Pogardę, nienawiść!

Spytajcie rozdartego na miazgę Fabjana. Czy wiecie, że czwarty dzień bez żarcia tu jesteśmy, że napojem naszym to bagienna woda o trupim odorze, że w nas się łamie, kruszy, na proch ściera jestestwo...

O słońce, ty igraszko w rękę Stwórcy. Naokoło tańczysz, zawsze jednakie, uśmiechnięte, gorące, palące; nasze gardła zeschnięte jedno ci mówią: — przepadnij! W mroku nocy potwór człowiek musi umilknąć.

Nadeszła wreszcie noc. Stało się jakoś ciszej. To tu, to tam bach! bach! głębokie, to znów krótkie... ti — ti, ti — ti — ti..., coś bzyknie koło uszu, ale naogół spokój. Teraz naprawiamy i umacniamy nasypy; poprostu zakładamy sobie domostwo rodzinne. Niewygoda tylko z potrzebą naturalną, bo jak tu sąsiadowi smrodzić, czy uryną zanieczyszczać powietrze. Na rów wyjść też trudno dla takiej potrzeby, a niehonorowo dostać w takiej chwili kulą w brzuch, czy w głowę.

Żołnierze-koledzy wołają jeść. W dziewiątej kompanji fasunek, u nas nic. Wysyłam ochotnika, szeregowca Dziombę na tyły.

— Szukaj kuchni, kierunek, jaki chcesz, bo nie wiem, gdzie ta pierońska kuchnia.

Dziomba wyszedł z rowu, ale zaledwie się wyprostował, runął w dół, głową o dno rowu uderzając. Głupia, przypadkowa kula akurat jego musiała napotkać. Żołądek ma jednak swoje prawa. W dziesięć minut rusza plutonowy Rozmus z szeregowcem. Oznaczam przypuszczalny kierunek kuchni. Wylażą ostrożnie i czolgają się. W poświacie nocy widać ich odnóża, słysząc oddechy, wreszcie giną w mroku.

Wysłany do dziewiątej kompanji plutonowy Bittner przynosi nowiny. — Zginął, żywcem spalony w chałupie, ppłk. Mitterreger z adjutantem i dwoma oficerami artylerji; kryli się przed ogniem i osaczeni przez Moskali zginęli w płomieniach granatem zapalonej chaty. Nie chcieli się poddać, aż runął dach... nikt nie wyszedł żywy. Zginął nasz dowódca kpt. Pinsker, — było mi go teraz żal. Zginął młodziutki leutnant z Wiener-Neustadt. Niedoświadczony zapaleniec, podbechtany nadzieją zdobycia świeżo ufundowanego złotego medalu waleczności, szturmował na dwieście kroków i zawisł na drutach rosyjskich okopów. Zabitych w pułku około piętnastu oficerów, podoficerów i szeregowców setki... Słuchaliśmy tych relacyj w milczeniu. Nas nic lepszego nie czeka. Zjawił się posłaniec z wieścią, że „Rejent“, trafiony w nogę kulą „dumdum“ nieprzytomny z bólu i niema sposobu wyniesienia go.

O jakież tragiczny bilans manewru ognia huraganowego..

Ranni jęczą i stękają.

Już północ, a Rozmusa nie ma. Za dwie godziny świt, a więc dzień przejdzie o głodzie. Język zeschnięty przylega do podniebienia, w głowie huk i trzeszczenie, oczy pieką, jakby piaskiem zasypane. Przestwór rozdzierany raz po raz błękitem rakiet rosyjskich i austriackich.

Porucznik Dokładal przesyła mi rozkaz na piśmie. Mam osobiście znaleźć kuchnię i fasunek dostarczyć. To jest wojsko wojna i rozkaz. Nawet mi lżej, bo to rozkaz.

— Dwóch ludzi za mną marsz! — rozkazuję.

Wylazimy na wierzch. Dopiero teraz widzę — trup obok trupa. Poskręcane postacie żołnierskie, pokotem w śnie pogrążone, obojętne na wszystko.

Już ze trzysta kroków oddziela nas od rowu. Teraz na czworakach suniemy. Dokąd dojdziemy — nie wiem, wszystko jedno. Nad nami coś szybuje sz... sz... szu..., szuu..., żałośnie i gdzieś przepada. Już chyba z kilometr mamy za sobą.

— Halt! stój! — słyszymy. — Kto tam?!

— Patrol żywnościowy — odpowiadam, choć nie wiem o takim tytule.

— Hasło?!

Ba! u nas hasło — to strzał karabinowy, więc milczę.

— Nieder!

Upadamy na ziemię. Zbliżają się trzy postacie. Sytuacja się wyjaśnia. To żandarmi polowi. Dowiadujemy się, że tabory, kuchnie, ho! ho! jak daleko. Ale w Surochowie, we wsi można zabrać wszystko jedno od kogo menaż. Dobra. Walimy tam. W drodze napotykamy Rozmusa z szeregowcem. Niosą skrzynię od amunicji, w niej pięćdziesiąt porcyj mięsa i pięć chlebów, są i papierosy, niewiele, ale zawsze są. Za nimi taszczy w worku jakiś piechur fasunek oficerski: dwadzieścia sznyceli siekanych, suchary i dwadzieścia pudełek papierosów memfisów. — Dawać! — wołam.

Opiera się wierny ordynans kpt. Haleckiego: — To dla panów oficerów, — woła.

Dostał, jak się patrzy w pysk od Rozmusa za opór panu kadetowi. Teraz z worka wydobywamy sznycle. Sztuka na głowę, razem sześć, po pudełku papierosów. Jest i duża flaszka koniaku. Łyk na głowę, a teraz prędko wchłaniamy sznycel. Dostał i pucybut sznycła, teraz go żre bez skrupułu.

Pierwszy głód zaspokojony, więc jazda, wyrywaj, dziadu, pókiś cały, dopóki jeszcze ciemno. Idziemy, raczej biegniemy do

frontu choć coś odpycha poprostu. Na szczęście cisza panuje, więc po pół godziny zziązani wsuwamy się do wnętrza rowów. A teraz patrzcie! — stado zgłodniałych wilków, to nasi żołnierze. Chrupią, żują, mlaskują i oblizują się; tyle, że mało, no i pragnienie, chorobliwe pragnienie gorącej kawy, jeśli nie zupy i to nieznośne uczucie słoności w ustach i czczości w gardle. A potem, oparci o ścianę, gdzie kto i jak może — śpimy. Oczy się kleją, głowa opada, śnię...

— Z dna rowu bulgoce woda, bije w górę strumieniem, wokół szumią gałązki paproci, nad niemi jodły i świerki, muzyka gra coraz głośniejsze, wali bęben... bum..., bum, bum — gwizd, huk.

— Jezus, Maryja! ktoś krzyczy. Zrywam się. Już dzień. To rosyjska artylerja ostrzeliwuje nas ciężkimi granatami. Są t. zw. volltreffery. Ogień silny zwłaszcza na lewo od nas, skąd ku nam żołnierze uciekają. Między nimi ppor. Rakowski, bardzo dzielny oficer. Twarz ma teraz szaro-zieloną, ręce mu drżą. Usiadł przy mnie, chce mówić, ale coś mu ścięło szczęki.

Nad rowem nieustanny gwizd, widocznie pluja rosyjskie maszyny. W tej sytuacji niema wyjścia. Niski, zaledwie na jeden metr nasyp uniemożliwia wyprostowanie się, nawet pocisk z dział górskiego dosięgnie dna, więc nad nami jedynie miłosierdzie Boże.

Zegarek wskazuje trzecią rano. Rozpacz poprostu! Niemożliwe, by do wieczora można się utrzymać, mysz żywa nie wyjdzie z tego coraz gwałtowniejszego ognia. Usiłuję zdobyć się na spokój, jednak gdy chcę mówić, czuję, że i mnie ścinają się szczęki. Prześladuje mnie to nieznośne uczucie, to dziwne przekonanie, że granat padnie w sam łeb, w sam środek czaszki.

Goniec bojowy dostarcza mi meldunek i rozkaz: „Spodziewany atak rosyjski. Za wszelką cenę się utrzymać i bronić do ostatniego człowieka“.

Pokazuję go Kosibie.

— Tak, mówi lepsze wszystko inne, niż to co jest, dziwne tylko, że austriacka artylerja milczy.

Jakby na zaprzeczenie od tyłu nadleciały szrapnele i w parę minut potem okopy rosyjskie znalazły się w ogniu austriackim. Było nam zaraz lżej. Zresztą ogień obustronny przerzucił się na tyły. O, jakie to miłe uczucie, gdy nas zostawiają w spokoju. Korzystamy z ciszy i naprawiamy nasyp. Wyrzucana przez nas glina stanowi świetny obiekt dla obserwatorów rosyjskich, a maskować jej darninę nie można, bo niepodobna się wychylić, zresztą Moskale powinni myśleć, że z nas śladu nie zostało. Ale jakoś nie atakują, a może spłoszyły ich austriackie działa.

Z sąsiedztwa wiadomość, że Karpa szczęśliwie wyniesiono z rowu, ale czy go doniosą do punktu opatrunkowego?

Koło godziny dziesiątej cicho się zrobiło, nawet karabiny umilkły. Leżymy znużeni, spoceni, bo słońce znów praży niemiłosiernie.

Straty po ostatnim ogniu nie takie znów, jak sądziliśmy. W obrębie kompanji zaledwie pięciu zabitych. Spać nie można, palić nie ma co, więc siedzimy bez słowa oparci ramionami o siebie. Milczenie przerywa Wiewióra. Jest zdania, że Moskale się cofną. My mamy inne przekonanie. Ta cisza zaczyna nas niepokoić. Ktoś coś zamyśla, sztuka tylko zgadnąć, oni, czy nasi.

Upływają minuty złowrogiej ciszy. I, o Boże! naraz słyhać świergot — coraz bliżej i tuż nad nami wzdłuż rowu przelatuje ćwierkając skowronek, prawdziwy skowronek. Ileż radości w twym niefrasobliwym śpiewie, kochana ptaszyno! O! bądź pozdrowiony ty niebieski muzyku, mały, drobny śpiewaku!

Tak jakoś spokojnie przeszło do południa. Ale za to koło drugiej zaczęła się pukanina, naprzemian my lub oni. Wyczuwamy nerwowość ognia rosyjskiego. Ten koncert bez artylerji nie był jednak groźny. Dopiero o zachodzie słońca rozgorzał ogień armatni.

— „Macają się“ stwierdza Cebula.

— A niechże się nawet całują, byle nie nas.

Zapadł wieczór czerwcowy z wyiskrzonym niebem, ciepły, pogodny.

— Mój Boże, cóżbym dał zato, by móc z wyprostowanym karabikiem pójść na przechadzkę.

Przechadzka? Nie, to jakiś fantastyczny termin.

Koło godziny dziesiątej z ust do ust podawany radosny okrzyk „menaż“. To magiczne słowo umarłych zbudzić może, nie dziwmy się więc rannym, gdy z bandażami na głowach dźwigają się, by uprzedzić czołgających się rannych w nogi. Tylko w brzuchy trafilieni melancholijnie patrzą. Im nic nie wolno, nawet pić.

Menaż a raczej gwarą naszych górali „młynarz“; z jakąż uciechą gryzą wszyscy mięso i chleb, palą papierosy, mówią głośno, aż ich uciszać trzeba.

Koło północy — zjawiają się sanitarjusze z noszami. Nareszcie ustaną te jęki. Wynoszą rannych z trudem, a jest ich dużo. Zostawiają nam nieboszczyków. Zabieramy się do ich grzebania, bodaj przykryć ich ziemią, by usunąć ten trupi zapach. Zadanie trudne, bo reflektor rosyjski jakby naumyślnie, co chwi-

la skacze po naszym odcinku. Jednak udaje się nam jakoś najbardziej dokuczliwych pochować.

W rowie, obojętny na wszystko przysiadł jednoroczny kaprał Lusiecki. Coś waży i sam ze sobą rozmawia. Na nasze pytania nie odpowiada, naraz nachyla się do mego ucha i szepcze:

— Strzelę sobie w nogę, dzisiaj, zaraz.

— Jeśli się nie boisz, że cię kto zobaczy, strzelaj.

Jakby na to czekał. Kiedy za chwilę odezwały się zwykłe nocne salwy karabinowe, przystawił do łydki pół bochenka chleba i krzyknął:

Marduła — bij, a prędko.

Zbliżył się Marduła i prosi:

— Bójcie się Boga, panie jednoroczniaku, może nas jutro zlużą...

— A! zlużują do grobu, przerwał Lusiecki, strzelaj!

Marduła przystawił karabin ze słowami „W imię Ojca i Syna...” huknął strzał. Lusiecki jęknął — o jej!... i natychmiast przygotowanym zawczasu sznurkiem podwiązał kolano. Podaliśmy mu swoje bandaże. Po pół godzinie wynosili go sanitariusze.

Nad ranem rozpoczął się znów ogień armatni; trwało to do dziesiątej. I znów cisza, zupełnie jak wczoraj. Nie możemy pojąć sensu tego rodzaju ofensywy, czy obrony. I nie wiemy, czy i kiedy, i jaki tego będzie koniec.

Ciągną się długie godziny. Praży nas niemiłosiernie słońce zawsze jednakowe, obojętne, tylko ta woda bagienna śmierdząca, a jednak gasząca nasze pragnienie, tylko ta niezliczona moc pocisków i to wieczne oczekiwanie... teraz, tak, w sam łeb trzasknie, nie, jeszcze nie... Po gwizdzie i huku osądzamy kto, jakimi, skąd, i na kogo bije pociskami. Myśli nasze czasem, ale rzadko, wybiegają poza rowy. Wszystko, co poza linią strzelecką, zasnuć jakąś mityczną mgłą, nierealne i tak dalekie...

— Ach, gdyby słońce przestało świecić, jakiś wstrząs szarpnął ziemią i rozdarł ją na strzępy. A może Bóg w miłosierdziu dla nas i pogardzie dla tyłowców piorunem wstrząśnie wszystko i nastanie nicość, spokój, a walczące bataljony podadzą sobie bratnią dłoń, marzy dr. Kosiba.

Nic podobnego. Słońce wciąż praży, wody niema, papierosów niema, głód skręca wnętrzności, a szrapnele i granaty bezustanku gwizdzą i wyją.

— Staszek, — odzywa się do mnie, zaszyty w kąt Marossany, — a jak byśmy tak udali szaleństwa i zrobili szturm na dowództwa naszych brygad i dywizyj?!...

Ta myśl wydaje mi się wcale realną. W tej chwili goniec doręcza mi rozkaz. Naturalnie atak, no i oczywiście ja go mam prowadzić, tak chce pan dowódca bataljonu. Rozkaz! Cóż za potęga w tem słowie. Dajcie nędzarzowi tysiąc, ba miljon koron, — aby atakował, będzie się namyślał; my nie wzamian nie dostajemy, a jednak coś mnie dźwiga i prostuje. Porucznik Dokładał osobiście z rowu kieruje akcją. Ludzie gotowi do skoku. Z ust Dokładala pada sakramentalne „also los! — heraus!“ Gwizdek i już jesteśmy na wierzchu. Za pasem pelentają się ręczne granaty, w rękach nożyce do cięcia drutu, karabiny z nałożonemi bagnetami na pasie i... naprzód!

Wpadamy w leje. Na prawo, na lewo biją nasze karabiny; od huków odstrzałów głuchniemy i nie słyszymy artylerji. Dalej skok wprzód! Teraz słyszę gwizdzące kule i terkot maszyn rosyjskich. Naraz ktoś straszliwie zdzielił mnie sztangą żelazną w łydękę poniżej kolana. Aa! leżę na ziemi. Nie umiem sobie uświadomić, co i jak. Domyślam się, że jestem ranny, tylko nie wiem czem. Obok widzę Mardulę.

— Jesteście ranny w nogę, krzyczy, chcąc zagłuszyć wrzawę. A z ust moich wydzierają się jedno słowo... Nareszcie!

A teraz Mardula odpina mi sztylpę, krew płynie falą, pełno jej w bucie, ręce Marduly czerwienią się, jakby miał szkarłatne rękawiczki. Jesteśmy w leju, a więc bezpieczni. Noga przewiązana. Bandaż zbyteczny, zresztą go niema. Teraz do tyłu, tylko jak? Od rowu oddziela nas dwieście kroków. Godzina czwarta, a więc pięć godzin trzeba najmniej czekać do zmroku. Nad nami gwizdże i syczy. Noga zdrętwiała waży centnar. Upływają minuty. Mardula wystawia głowę nad lej... cofnęliśmy się. Moskale strzelają. A więc czekajmy.

Rozdział XV.

Minuty przeszły, godziny minęły. Zmrok zapadł. Z pomocą Marduły jakoś dostałem się do rowu. Oczekuję sanitariuszy, ale ich niema. A tu, jak na złość strzelanina i rakiety, i reflektory, i ataki. I my i oni atakują. Leżę w rowie skurczony. Bólu prawie nie czuję, ot! zwykły, dość ostry skurcz nogi. W tej chwili obchodzi mnie tylko, czy nadejdą sanitariusze i jeszcze jedno; aby bitwa jak najprędzej się skończyła.

I nareszcie koło godziny drugiej w nocy cichną strzały. Marduła i Cebula podkładają mi koc; nie mam sił czołgać się, więc wynoszą mnie w kocu na wierzch. Co dziesięć kroków przysiadają, a raczej plackiem padają na ziemię, bo kulki świszcza. Świta na dobre. Marduła i Cebula ciężko dyszą; jakże jestem wam wdzięczny, koledzy. Teraz dopadają lasku. Leżę za drzewem. Minuta postoju i dalej, dalej, byle uciec z przekłętego frontu. Mijamy nieśczęsny Surochów; potrzaskane, popalone domy, tu i owdzie dymią się zgliszczą.

— Kuchnie, tabory zwiały — informuje nas dowódca rezerwowej kompanji.

Dalej, dalej, już kul karabinowych nie słyhać, artylerja milczy. O! jak to dobrze, jak dziwnie i przyjemnie. Teraz mijamy olbrzymie drzewo, dąb. U jego podnóża z ziemianki wychodzi... brygadjer Puchalski. Więc i na tyłach gorąco. Wreszcie jestem na t. zw. pułkowym punkcie opatrunkowym. Marduła chce odejść, ale go przetrzymuję. Po godzinie odszedł. Cebula jedzie ze mną do szpitala.

Leżę tymczasem w mrocznej salce. Naokoło jęki, to wrzaski słyszę. Nade mną nachyla się twarz medyka, Aleksandrowicza, kolegi z ławy gimnazjalnej.

— Masz powiada dziurawą nogę, ale kość nienaruszona.

— Wszystko jedno, tylko zabierzcie mnie do tyłu.

— Tu możesz być spokojny. Tu słyhać tylko odstrzały naszej artylerji.

Domek, gdzie leżymy, wstrząsany hukiem drży, szyby dzwonią. Jak inni ranni, tak i ja jestem zdenerwowany, nie orjentując się w sytuacji. Tymczasem jęczą ranni. Ta potrzeba jęczenia i mnie się udziela. Stękam i to przynosi mi ulgę. Rannych znoszą bez końca, już brak miejsca. Sanitarjusz podaje mi herbatę z rumem. To mnie oszołamia tak, że usnąłem. Gdy się zbudziłem, ból nogi stał się tak dolegliwy, że zaczynam jęczeć. Zjawia się sanitariusz.

— Która godzina?

— Po północy.

Nie wiem, gdzie jestem; szyby drżą i grzmia armaty. W mdłym świetle świeczek widzę dziesiątki noszy, z których słyhać stękanie i jęki. Czasem ktoś się rozedrze przeraźliwie. Na dworze słyhać okropne krzyki, wrzaski. Sanitarjusz informuje mnie, że to furjatów z frontu odwożą. Nie robi to na mnie wrażenia, dziwię się, że sam nie jestem furjatem. Zapadłem w sen.

Już dzień na dobre. Po opatrunku wynoszą mnie na pole. Naokoło setki rannych. Ładują nas na wozy sanitarne, samochody, lub chłopskie furmanki. Kolej i na mnie. Chłopską furmanką wiozą mnie w towarzystwie jakiegoś rannego w głowę. Teraz dopiero uczuвам radość, że front poza mną. Mijamy łąki i pola uprawne, przejeżdżamy puściuteńki Jarosław. Jeszcze nad nim pękają szrapnele, ale wysoko. Gościńcem wałą kompanje piechoty. Zapewne zlużują kolegów.

W południe dobijamy do punktu sanitarnego w korpusie. Tu gruntowny opatrunek, obiad, czarna kawa i na wozie sanitarnym jazda do Krosna. Już nietylko nie słyhać rosyjskiej artylerji, ale nawet austriackiej.

Pod wieczór wjeżdżamy do Krosna. Lokują nas w szkole. Poznają to po mapach i obrazach na ścianach. Damy miejscowe, ochotnicze sanitariuszki biorą nas w opiekę, rozdają papierosy, kekсы. Sprezentowane mi przez jakąś podstarzałą jejmość dary rzucam na łóżko, co ją mocno obraża. Głupia heca. Obrazki świętych, orzeszki, lusterko, grzebyk za trzy centy... Koło mnie obdarowany kpt. Altman huczy na całą salę: — Ty, stara klempo, zabierz te głupstwa i daj tu rumu! — Dama dostała spazmów, przyleciał obersztabsarzt, słowem awantura. Pobyt tu zresztą znośny, tyle że za głośno jęczą ranni. Poza tem trzaskają wszyscy drzwiami, co nam przypomina wybuchy granatów. W południe wiozą nas

na kolej. Już jem normalnie, jużem wyspany. Noga boli, ale tylko, gdy nią ruszam. Na dworcu pociągi sanitarne. Nasz transport jedzie na Nowy Sącz.

Z wnętrza wagonu obserwują ruch na peronie. Kręci się tam pełno sióstr Czerwonego Krzyża. Panie z Komitetu Opieki nad żołnierzami roznoszą rannym herbatę, owoce. Wreszcie rusza pociąg. Radość moja i towarzyszy nie ma granic. W przedziale jedzie ze mną trzech rannych oficerów.

Stajemy w Sączu. Ojciec uprzedzony zjawia się w wagonie i wita mnie, jakby zmartwychwstałego. Jedziemy dalej, dokąd, nie wiemy.

Dzień już był i słońce wysoko się wzbilo, gdy leżący obok porucznik artylerji zbudził mnie słowami:

— Dzień dobry, jesteśmy w porcie.

— W porcie?

— Tak, to znaczy w Zsolnie.

Nie było się co namyślać. Próbuję z małym powodzeniem wyprostować się; przestrzeloną nogę ostrożnie ułożyłem na poduszce, podłożonej mi przez ojca dla osłabienia wstrząśnień i zacząłem pakować swoje rzeczy. Niewiele ich jest. Papierośnica, zapalniczka, notes ot i cały mój majątek. Plecak z całą zawartością przepadł, zagarnięty przez łapiduchów w Jarosławiu.

Pociąg stał na specjalnym, do baraków szpitalnych przytykającym torze. Sanitariusze kładą mnie na nosze w cieniu kasztana. Wyładowanie pociągu odbywa się sprawnie w największym spokoju.

Akcją rozlokowania rannych kieruje oficer sanitarny. Niebawem wnoszą nas do hali pawilonu, gdzie mamy być poddani gruntownej dezynfekcji, albo jak kto woli — „odwszeniu“. Wszy — i tyle kłopotu. Wesz, takie małe, a żarłoczne stworzenie. Jakiż to nieodstępny towarzysz bojów, rowów. Zawsze jest, nawet w najbardziej niepożądanej chwili. Gadasz z damą o uroku wschodu czy zachodu słońca, a tu coś laskocze w łydkę, czy pod łopatką, albo na brzuchu maszeruje ostro z dyrekcją... na pępek. Z jakąż rozkoszą człowiek by ją zdeptał na miazgę, a tu figlarnie tyle, że ją polaskoczesz.

Tu zaś pawilony dla nich stawiają, specjalne maszyny, preparaty chemiczne, słowem oddzielny świat i zagadnienie. Czemu to głupie wszy nie wleżą za kark ospałym liwerantom, a bodają tyłowcom. Mam teraz taką drańcę pod bandażem. Harce wyprawia tam, ale czekaj, synogarliczko... już cię tu ubiorą.

Za chwilę służba, poubierana w kostjumy ciemnej barwy z kapturami, przez które tylko oczy widać, krząta się koło ceremonjału odkazania. Rozebrano nas do goluteńka i tak wniesiono do łaźni.

Wielki Boże — co za ironja!

Wcale, wcale ponętne pielęgniarki odchylają ogromne prześcieradło i dźwigają mnie z noszy. Tysiące myśli, uczuć, a nad tem wszystkim... bodajem się w ziemię zapadł. Na szczęście leżę głęboko w wannie po szyję. Woda sublimatem zaprawiona. Kąpiel — myślę, odurzony gorącem. Jeszcze trzy dni temu lał się pot ze mnie, a teraz?... myśli moje pobiegły do Surochowa, mój Boże!...

Ten nastrój przerwała mi biało ubrana pielęgniarka. Ładna szelma, tylko się jej oczy iskrzą. Uzbrojona w szorstką rękawicę schyla się nade mną. Mycie zaczyna się od głowy. Czuję jak po czaszce trze się mydło, ogromne płaty mydlin wpadają do wody, na ramiona, wgrzają się w oczy, włożą do ust... gorzko! Na szczęście chlust wody i otwieram oczy. A tymczasem delikatne paluszki kręcą się gładko po szyi, karku, ramionach... ho! ho! — myślę — psiakrew! — co dalej. A ta nie, już brzuch w operacji, a potem hm! jak to powiedzieć — no tak, bez ceremonji wszędzie, dokładnie. Na szczęście koniec tego wszystkiego, wynoszą mnie z wanny i przykrywają prześcieradłem. Pielęgniarka z wielką wprawą wyciera mnie na sucho ręcznikiem i za chwilę na wózku jadę do sali operacyjnej. Mijam w drodze już zoperowanych; bez nóg, bez rąk, odstrzelone szczęki, to wszystko w wacie, w grubych zwojach bandaży, z których przebiera ciemna skóra i niesamowite oczy. A więc jestem tym lekko rannym.

Szereg lekarzy, lekarek, sióstr w śnieżno-białych szatach z zakasanymi rękawami uwija się koło rannych. Na stole operacyjnym leży na opatrunku młody, może dwudziestoletni chłopak, o bardzo miłym wyrazie twarzy. Jego duże, szafirowe oczy błądzą po suficie; widać nie chce oglądać braku nóg; jedną odcięto mu niemal po biodro, drugą wyżej kolana. Pozostałe kikuty bandażują w grube zwoje waty.

Z kolei i mnie ułożono na stole. Jedna z sióstr ostremi nożycami rozcina bandaż na nodze; lekarz palcami dotyka miejsca wlotu i wylotu kuli.

— Tss..., boli... psiakrew! syczałem mimowoli.

— A, to Polak? — odzywa się po polsku operator, patrząc na mnie z poza okularów pocziwemi oczami.

— Polak, panie doktorze — odpowiadam uprzejmie, jakkolwiek srogi ból czuję w nodze po tem opukiwaniu. Lecz rodak mi-

mo narodowej wspólnoty okazał się nieczuły na mój ból i dalej wygniatał czarną krew. Następnie zalał rany jakimś płynem, siostry okręciły nogę w watę, obleczone mnie następnie, jak niemowlę w świeżą bieliznę i wreszcie z paradą na trójkołowym wózku wywieziono przez długi szereg sal do pawilonu, oznaczonego znakami D-6.

O! wy pożałowania godni cywile, sportsmeny, wycieczkowicze i taterniki, którzy nie mieliście szczęścia, czy ochoty pełnić służby wojskowej. Wam się zdaje, że wiecie, co znaczy rozkosz wypoczynku po trudach dnia. Spytajcie o to żołnierza, który czas służby przedwojennej spędzał w nocnej porze na sienniku o walcowatym kształcie. Krągłość, twardość i szczelność tego siennika to warunek zadowolenia szefa kompanji, baterji, czy wizytującego dygnitarza. Pamiętam, jak w pierwszych dniach służby oburącz trzymałem się wprost niemożliwych do ujęcia fałdów siennika. Nazajutrz budziłem się z wrażeniem, jakby mnie kto tęgim kijem wyprał po grzbiecie; uszy miałem od woreczka napelnionego słomą, a imitującego poduszkę napuchniętę, w sercu żalność i ból. Ale to należy do dziejów rekruta, do zamierzchłych wspomnień. Kilku-miesięczny pobyt na froncie przekonał mnie, że macierz-ziemia jest najlepszym łóżkiem, płaszcz — doskonałą kołdrą, a własna pięść — wybornym jaśkiem. Śpi się, gdzie Bóg zdarzy, no i woła dowódcy wskaże. W stodole, w szopie, bodaj w oborze, czy w stajni, gdzie przynajmniej ciepło, poza tem w rowie, w kopie siana, czy żyta, pod mostem, najczęściej jednak w rowie. Z czasem człowiek polubi takie życie, nauczy się odróżniać pachnące, świeże siano od zgnilej słomy.

Lecz wracam do rzeczy. Oto leżę na prawdziwym łóżku. Pod nos podtykają mi winną zupeę, nic dziwnego, że natychmiast usnąłem.

A musiałem spać długo, gdyż wedle relacji nachylonej nade mną pielęgniarce, od pół godziny budzi mnie ona wszelkimi możliwymi sposobami.

— Rosół wystygnie zupełnie, powtarza wytrwała żywicielka.

Raz, drugi ziewnąłem, no i... oprzytomniałem. Kilkadziesiąt wokoło łóżek, więc jestem w szpitalu. Na środku sali kilka długich stołów, kilkunastu oficerów gra w karty, w szachy, czytają książki, dzienniki; gwar rozmów we wszystkich językach, niemieckim, czeskim, węgierskim, rumuńskim, nawet za sobą słyszę język rosyjski. Oglądałem się, tak — to jeńcy rosyjscy. Teraz tu jesteśmy w bratniej zgodzie.

Jednak na dnie duszy ludzkiej tkwi zaród miłosierdzia. Czerwony Krzyż, symbol międzynarodowej solidarności.

Dziwiciu było tutaj obrońców białego cara. W tem sześciu „istinnno-ruskich“ gdzieś z nad Wołgi, czy Newy, dwóch Polaków i kozacki praporszczyk. Towarzyskiem obejściem ujęli sobie Austrjaków, bo wielu oficerów z armji austriacko-węgierskiej gawędziło z nimi, przeważnie po francusku. Wkrótce i ja zwąchałem się z rodakami i gadaliśmy bez końca, biadając nad dolą Polski, gdzie synowie jednej ziemi musieli się wzajemnie mordować.

Służba tymczasem wniosła dwóch nowych jeńców. Obaj ranni jednym granatem, obaj z początkami gangreny. Pierwszy z nich był bladej, a raczej żółtej. Tylko czarne oczy, wgląd wpadnięty świeciły gorączkowym blaskiem. Nos rzymski odcinał się ostro od wychudłej twarzy, ozdobionej bujnym, ciemnym zarostem. Długa, lśniąca broda, gęste, długie włosy na czaszce nadawały mu wygląd proroka; współtowarzysz niewiele się różnił. Od strony ich łózek dochodził mnie jęk. Pierwszy — mimo dopiero co przebytej operacji, przy której wykrojono mu duży kawał mięśnia na udzie — był przytomniejszy i od czasu do czasu zasypiał. Natomiast drugi miał widocznie sparaliżowane nerwy, tak, że nawet wargami nie ruszał, jeno zcicha jęczał. Oparty był wysoko na poduszce i trzymał dłonie wzniesione do góry. Całem ich pożywieniem było mleko i koniak. wszelkie zabiegi sztuki lekarskiej nie mogły im pomóc. Zwłaszcza u pierwszego gangrena przeszła poza biodro i zaczęła gwałtownie atakować serce.

Było to w piątym dniu po ich przybyciu. Zajęty byłem kolacją, gdy pierwszy z nich, jak się dowiedziałem kniaź, Sergjusz Ussarow zaczął głośniejsz, niż zwykle jęczeć, poczem naraz ustał i tylko ciężko dyszał. Zaniepokojony odsunąłem talerz i — nie omyliłem się; kniaź Sergjusz konał wśród długich, przeciągłych oddechów. Głowa jego za każdym oddechem podnosiła się i opadała na bok. Złociste promienie zachodzącego słońca oświecały jego wychudłą twarz. Nad nim stała jedna z sióstr, lekarz i prawie wszyscy rodacy-towarzysze broni. Konający coś szepnął. Przysunięto mu obok leżącego towarzysza, jak się okazało, brata Dymitra; patrzyli chwilę na siebie, poczem Sergjusz raz jeszcze wznosił głowę do góry, oczy mu słupem stanęły i tak pozostał bez ruchu.

Mimo, że to nie było nowością, bo przecież codziennie ktoś umierał, nastała teraz cisza, dziwnie uroczysta; zwolna poklekali wszyscy. Siostra miłosierdzia zamykała oczy nieboszczykowi. Na obcej skonał ziemi, może setki mil od rodziny — i prochy jego spoczną we wrażej mu ziemi.

W kwadrans potem weszli tragarze. W ponurych swych strojach dezynfekcyjnych przypominali owych straszliwych sędziów inkwizycji. Obojętnie ułożyli zwłoki na noszach i wynieśli je, przeprowadzani szklanym wzrokiem Dymitra. Gdym się mu lepiej przyjrzał, zauważyłem spadające na poduszkę gęste, grube łzy. Przy drzwiach ktoś śpiewał smutną pieśń rosyjską.

Nastał zmrok i wieczór zapadł spokojny, cichy, jakby przeżył tej tragedji, której tylko echa tu były.

Melancholijny mój nastrój przerwał ordynans, donosząc, że wnet pojedę. Jakoż w pół godziny potem weszli sanitariusze z noszami, by mnie odnieść do pociągu, jadącego do Wiednia. Pięciodniowa kwarantanna była skończona. Jąłem też spieszenie się zbierać...

*

*

*

Sanitarnym pociągiem ze wszystkimi akcesorjami medycznymi wiozą nas teraz wdal. Wygodnie i dobrze. Chcę wina, podają wino. chcę herbaty, jest, proszę o gazetę — dają gazetę. Najgorzej z t. zw. „stroną“, zwłaszcza „na cienko“. Tak na oczach wszystkich sikać do szklanego kaczora jakoś mi głupio. Więc podtrzymywany przez dwóch sanitariuszy taszczyć się do ustępu. Tu znowu mi ich oczy przeszkadzają, a bez ich pomocy ustać nie mogę. Z tem więc bieda, okazuje się jednak, że to „dziwactwo wstydlivości“ — jak je pielęgniarka określa, cechuje wszystkich prawie z początku, potem — kończy ona swój wykład w czeskim języku „jakoś to bude“.

Ma się już ku południowej porze, gdy wjeżdżamy olbrzymią szeroką ulicą — do Wiednia. Ze wszystkich okien powiewają białe chusteczki. Klaskają wszyscy, coś krzyczą. Ulica niema końca, okna wielopiętrowych domów, jakby rojem motyli usiane i grzmot oklasków. Patrzę na to widowisko i nie powiem, żeby mi to nie sprawiało przyjemności.

Niestety, nie zatrzymują nas w Wiedniu. Po godzinnym postoju jazda dalej. Ludenburg. Przerów — zapada noc. Budzą nas rankiem. Słyszemy czeską mowę. To Olomuniec, a więc jestem znowu w Czechach. Pakują mnie do karetki z rannym szeregowcem. Ma zranione gardło, czy język. Zapach stamtąd za każdym razem, gdy chce mówić, a raczej bełkotać, idzie tak straszny, że słabo mi się robi. Odwracam głowę, napróżno. Ten człowiek żywcem gnije. Wreszcie droga się kończy. Wysadzają nas w jakimś klasztorze, czy zameczysku. Znów kąpiel, opatrunek i spoczynek. Otoczenie inne niż w Zsolnie. Pomieszani ranni i chorzy. Tym razem przewaga

chorych nerwowo. Życie tu systematyczne. W porze ściśle oznaczonej, wizyta lekarska. Uwagę naszą zwracają dwaj oficerowie artylerji, obaj cierpiący na delirium tremens. Ich gesty, maniery, niepokój udzielają się i nie nerwowcom. Występujemy z prośbą o przydzielenie nas na inny rejon. Niestety, brak miejsca. Po kilku dniach rana moja się zabliznia, już mogę chodzić o kulach. Jeszcze parę dni i z łaską w ręku wychodzę z innymi na spacer.

Spacer, prawdziwy, beztroski spacer, o którym tyle się marzyło w rowie. Teraz słońce zachodzi, pogodne, piękne, złocistą kulą staczając się za widnokrąg. Wieczorem w restauracji pijemy piłznerskie piwo, gryziemy kwargle i precle i bajdurzymy. Po kilku dniach przeniesiony jestem dla dokończenia kuracji do Bad-Üllersdorf.

Początek lipca, lato w pełni, gazety donoszą, że wojna trwa, armja rosyjska już poza granicami Kongresówki; Warszawa, Lublin, Brześć n/Bugiem — w rękach Mocarstw Centralnych.

Rosjanie zajęli ujście Dźwiny do zatoki ryskiej. Niemcy trzymają linję Baranowicze, Pińsk, Czartorysk, Ołyka, Dubno. Cała Galicja za wyjątkiem Tarnopola znajduje się w rękach wojsk austriackich. Nasz pułk w ofensywie Mackensena doszedł w krwawych walkach poza Brześć, skąd przerzucony został na linję Dniestru na wschód od Czerniowiec.

A więc wojna się kończy i chyba tej już nie będę oglądał. Ale tymczasem trwa i ciągle nowe bataljony marszowe ruszają na front. Właśnie i Włochy wypowiedziały wojnę.

Idylla nasza tymczasem w pełni. Jest nas tu przeszło stu oficerów i kilkuset żołnierzy. Pomysłowość i zmysł przedsiębiorczy uczyniły tu ze źródła wątpliwej wartości — kąpiel-kurort. Źródło ocembrowane, w środku basen pływacki. Kapiemy się wspólnie z paniami. Flirtują też wszyscy na zabój.

W dwa tygodnie po mym tu przyjeździe odbywa się inspekcja i ścisła kontrola zdrowia pacjentów. Jest wśród nas sporo markirantów vel symulantów, którym nie uśmiecha się powrót do pułku. Więc sztucznie podtrzymują gorączkę, rany rozjątrzają, no i przedłużają pobyt, póki można. Moja noga już całkiem wyleczona, to też za dwa dni odjeżdżam do kadry pułku w Tarnowie.

Tutaj spotykam zaraz na wstępie starych kolegów. Jest i „Regent“, choć ciężko ranny, jeszcze w tutejszym szpitalu. Poza tem Marossany, któremu niestety amputowano nogę, strzaskaną kulą „dum — dum“ pod Przemyślem, jest Kosiba kulejący, jest Witowiecki, — profesor, jest Skiba Franek, którego po wyleczeniu rany przydzielono już do marszowej kompanji, jest Kiełbasa, Dur-

lak, Buczma; wszystko to jakby żywcem z okopów surochowskich się zebrało. Każdy dzień przynosi nowego rekonwalescenta.

Życie garnizonowe nawet miłe. W południe obiad w kasynie; z pompą oczekujemy dowódcy, służba w białych rękawiczkach, przygrywa kwartet smyczkowy. Poza ćwiczeniami szlifujemy bruki, kokietując panny, też do nas się mizdrzące. Wieczorem knajpa u Leszczyńskiego wre i kipi. Jest tu nas Polaków ze czterdziestu. Tylko polska mowa, polska pieśń, polskie obyczaje. Urokowi towarzyskiemu ulegają i Niemcy i garną się ku nam. W każdym przemówieniu nazywają nas „edle Polen“. Z tem wszystkim odnoszą się do nas nieufnie. Jesteśmy szpiegowani.

Dni schodzą szybko, zostałem wcielony do marszowego bataljonu.

Pozostałe trzy tygodnie do odjazdu na front zużywamy na przygotowania, ekwipunek. Zleciały te dni, jak z bicia trzaski i jednego dnia w połowie września przypasałem szablę, naciągnąłem płaszcz, za pas brauning i skórzaną torebkę oficerską. Zamknąłem drzwi pokoju na klucz i jednym susem zeskoczyłem do łoża szwajcara hotelowego. W pięć minut byłem już na podwórzu koszar. Kompanje stoją w kolumnie gotowe do odmarszu. Żołnierze przybrani w liście dębowe... i kolorowe wstęgi wyglądają, jak goście weselni. W szeregach kilka chorągwi z wizerunkiem Matki Boskiej (godło 20 p. p. czyli ewancygierów z Matką Boską). Na odwrocie chorągwi portret cesarza Franciszka Józefa, Wilhelma i... sultana, nad którym wdzięczy się czerwony półksiężyc w otocze gwiazd.

Wkraczamy na rampę kolejową, chusteczki powiewają i za chwilę jedziemy w stronę Krakowa. Dokąd, nikt nie wie. Może na rosyjski, może na serbski, może na włoski front.

Mijamy Kraków, Bogumin, Przerów — i nad ranem stajemy na bocznym torze we Wiedniu.

— Pewnikiem jedziemy, twierdzi mój pucflek, Staszek Cebula, na „Taljanów“.

Rozdział XVI.

Włochy mimo, że w chwili wybuchu wojny należały do Trójszymierza, ogłosiły neutralność. O wciągnięcie ich do wojny po swojej stronie toczyła się wielka gra dyplomatyczna między Koalicją, a Mocarstwami Centralnymi. Ostatecznie wpływy znanego germanofila, Giolitti'ego, zwolennika neutralności zostały pokonane. Odsłaniające się horyzonty zwycięstwa Ententy, a temsamem możliwość rozgromienia Austrii i odebrania jej Istrii, Triestu i Tyrolu była zbyt dla Włochów ponętną.

W dniu 24-go maja 1915 roku Włochy wypowiedziały wojnę Austrii i Niemcom. Austria zaszachowana od południowego zachodu ograniczyła się do taktyki czysto defenzywnej, co umożliwia naturalna granica gór Alpejskich. Dowództwo armji austriackiej aż dotąd, a jest to już wrzesień 1915 roku nie angażowało większych sił. Przeważna część frontu rozciągała się wśród wysokich gór Alpejskich, od Przedarulanji poczynając, co unieźmożliwiała poważniejsze operacje. Jedynie na odcinku wschodnim nad rzeką Soczą na płaskowyżu po obu stronach Gorycji, próbowały walczące armje sforsować bramę wypadową. Włosi zresztą ofenzywnych tendencyj nie ujawniali. Ich taktyka miała na celu raczej obronę granic przed inwazją nieprzyjacielską; zdolali jednak uwięzić znaczny odsetek sił zbrojnych armji austriackiej.

Naczelne Dowództwo austriackie rzuciło na ten front ad hoc utworzone grupy, składające się przeważnie z zaprawionych już w rzemiośle wojennem żołnierzy, gdy Włosi byli nowicjuszami. Górowali oni zato ilościowem wyposażeniem technicznem i masą rezerw.

O tem wszystkiem dowiedziałem się z gazet i komunikatów wojennych, które pilnie wyczytywałem po drodze. Jadący ze mną w przedziale kadet Nowobilski lamentuje, że właściwie, jako Po-

lak do Włochów nietylko nie czuje animozji, ale przeciwnie. Słoneczna Italja, ojczyzna Dantego, Leonarda da Vinci..., no i ten Bocaccio i te Włoszki... w gondoli... Podzielam jego zdanie. Włochy gościły emigrantów polskich, Włosi walczyli w naszych powstaniach narodowych. Ale co robić! Musimy i basta!

W sąsiednim przedziale urzęduje porucznik Dvořák, dowódca naszej kompanji. W kadrze udawał bohatera, szykanował i zamęczał ludzi. Teraz siedzi cicho w przedziale. Jest to „sztandowy“ *) oficer, więc dotąd na wojnie nie był. Udaje, że po polsku nie umie i umyślnie koszlawi język polski, mimo że jako „deut-schböhme“ dobrze nas rozumiał. We Wiedniu przybyli do niego dwaj oficerowie, widać tylowe obijaki, bo w czarnych czapkach. Coś długo radzili. W Wiener-Neustadt porucznik Dvořák „jakoś“ tak nieszczęśliwie! powracając do wagonu z restauracji kolejowej wstawił nogę między szyny, że ją zwichnął. A teraz stoję w drzwiach jego przedziału i kiwam głową, niby wierząc jego rozpaczliwym lamentom... Pan „oberleutnant“ Dvořák wie, że mu ani ja, ani nikt nie wierzy. My znamy tych kombinatorów: Inna rzecz, jak on to opuchnięcie w kostce skombinował, tego nie możemy dociec. W Klagenfurcie odstawiają go do szpitala, a my zatrzymujemy się w Greifenburgu, gdzie skoncentrowały się jako rezerwy, marszowe kompanje. Zastajemy tu przybyłego już z poprzednim marszowym bataljonem podpor. Gebła.

Nowy nasz dowódca porucznik Prouha, Tyrolczyk, porządne chłopisko. Odbywamy codziennie marszowe ćwiczenia na stokach gór alpejskich. Widoki stąd na Karyntję przepiękne, na prawo od nas Tyrol. Gdy pogoda słoneczna, słychać dalekie, ciężkie dudnienie. A więc wojna trwa... a my naiwni wciąż wierzymy, że dziś, jutro będzie pokój zawarty.

Dwa tygodnie pobytu w tej miłej miejscinie przechodzą jak sen. Z końcem października, rankiem, gdy pierwszy śnieg zaczął sypać, maszerujemy do Kötschach, mijamy dowództwo dywizji i osiadamy w Mauthen. Tu już słychać kanonadę, ale tylko odstrzały austriackich bateryj. Ten łoskot jest mi już tak dobrze znany, jakbym od urodzenia był wśród niego.

Nazajutrz wieczorem ruszamy szosą wzdłuż doliny rzeki Gaili. Czworkami, potem dwójkami, wreszcie gęsiego. Mamy ekwipunek wysoko-górskich oddziałów: na oczach ciemne okulary, na plecach białe płaszcze i kapuzy, żelazne łapcie na butach, w rękach górskie kije do podpierania. Idziemy w górę serpentyna-

*) Zawodowy.

mi. Co chwila mijamy strefy ogniowe, przez które biegniemy. Wreszcie ukazuje się nam potężny maszyn górski, Plöcken-Pass; tonie on teraz w świetle rakiet. Odpoczywamy pod wyniosłą górą Čellon. W poświacie nocy widać tajemniczy szczyt, djabli wiedzą, kto tam teraz siedzi, my czy Włosi. Droga ciągnie się bez końca. Zegarek pokazuje czwartą rano. Nakazana cisza, o paleniu mowy niema, nawet kaszlać niewolno. Wreszcie stajemy i osiadamy w barakach ćwiczebnych, zbudowanych jeszcze przed wojną dla ćwiczących tu „Kaiserjägerów“ i „Landeschützów“.

Zbyt pewni życia nie jesteśmy. Wokoło widać kilkanaście leżów. Ale jest tu ładnie. Jesteśmy na dnie kotliny, okolonej potężnymi górami. Jodły i świerki, pokryte okiściami śniegu, tworzą malowniczą panoramę. Urządzamy się swojscie. Prycze wyścielamy jedliną, popielniczkę stanowi dno 18-centymetrowego granatu. wieszakiem — bagnet wbity w ścianę, poduszką plecak, derką — płaszcz... z tem wszystkiem dobrze tutaj.

Naokoło huczą działa i słychać grzechot karabinów, tu spokój. Cały dzień, poza drobnymi zajęciami gramy w taroka. Najgorszy czas między pierwszą a trzecią godziną popołudniu. Wtedy, djabli wiedzą skąd — nadlatują płaskim torem granaty. Prawdopodobnie Włosi biją z dział marynarskich. Wczoraj zabiło dwóch żołnierzy, dzisiaj jednego. Dobrze, że choć za dnia. Gorzej byłoby w nocy; na szczęście w nocy milczą. Żołnierze grają w karty, albo śpią.

O pięćdziesiąt metrów od baraków znajduje się cmentarzyk wojskowy. Jest tu ze sześćdziesiąt krzyżyków. Śpią w ciszy cudownych, górskich zakątków, tyle, że parę grobów trafiły psia-krewskie granaty. Pozatem dobrze im tu wśród lasów i niebotycznych gór; na prawo szumi im potok. Śpi Tyrolczyk obok Polaka, Niemiec obok Czecha, Włoch obok Bośniaka, Rumun obok Włocha, śpią ludy c. i k. armji w koleżeńskie zgodzie. Zwoleńnicy międzynarodówki mogą tu marzyć o wielkiej federacji narodów. Dowództwo kompanji obejmuje porucznik rezerwy Kraus Georg, rodem z Pragi Czeskiej, niezwykle zacny człowiek, lubimy go też wszyscy.

Po trzydniowym postoju kompanja nasza ma zająć odcinek Wielkiego Pala. Nocą ruszamy gęsiego. Śnieg sypie i tłumi odgłosy marszu.

Po trzech godzinach jesteśmy na miejscu. Luzujemy zmaltretowaną czterotygodniowym w okopach pobytem czternastą kompanję. Dowództwo batalionu dzierży oficer wysokiej kultury, bardzo wykształcony podpułkownik Bohn, jeden z najzaciejszych

Niemców. Do nas Polaków odnosi się niezwykle uprzejmie i serdecznie.

Czwarty bataljon 20 p. p. wraz z innymi detaszowanymi bataljonami tworzy XI-tą brygadę górską, zwaną „Vorwärts”. Nasz bataljon marszowy stanowi samodzielny, V-ty bataljon.

Sztab obu bataljonów, t. j. IV i V, mieści się w zgrabnej ziemiance, nieźle zabezpieczonej na stoku Wielkiego Pala. Poniżej o jakie sto metrów, jest stacja rozładowcza. Tu codziennie o północy schodzą się transporty żywności, amunicji i rynsztunku, dowożone na mułach i osłach. Na dole, głęboko w jarze, widać przez szkła dziesiątki sztuk tych pocziwych zwierząt; stoczyły się tam przez jeden niebaczny krok i runęły w przepaść razem z ładunkiem. Teraz leżą tam z kopytami do góry wzniesionymi, obok rozbite beczki wina, wory cukru, chleby. Czasem odważniejsi schodzą w dół po fasunek, zwłaszcza rumu i papierosów. Każda noc pochłania parę ofiar. Zazwyczaj trzask pękającego pocisku armatniego wywołuje popłoch i... śmierć.

Ma się ku świtanii i zaczyna szarzyć. Porucznik Kraus odebrał rozkazy i rozdziela nam, dowódcom plutonów funkcje. Każdy z nas dostaje odcinek na Małym Palu. Dwa plutony na służbie, dwa w rezerwie przy dowództwie kompanji. Teraz pniemy się do góry udeptaną w śniegu ścieżką, aby złuzować kolegów z czwartego bataljonu. Ścieżka jest zamaskowana od strony nieprzyjaciela małemi jodłami, wbitemi w śnieg. Posuwamy się cicho, włoskie bowiem pozycje są oddalone stąd o niespełna sto metrów w linii powietrznej. Ich karabiny ręczne i maszynowe, umocowane stale i wycelowane na dróżkę, biją naoslep. Kadet Kropaczek tłumaczy mi, że taki posterunek śpi i machinalnie pociąga za cyngiel co kilka minut. Ale to nietyle z gotowości bojowej, ile ze strachu, by ich Austriacy, bądź przełożeni nie podeszli.

Na szczęście widocznie śpią, bo cisza. Umilkła artylerja. Śnieg skrzypi pod nogami. Jeszcze pięć minut, a jesteśmy w schronisku dowództwa kompanji. Jakie tu wszystko dziwne. Przedewszystkiem to doskonałe maskowanie się od strony włoskiej tak, że Włosi widzą tylko śnieg. Od naszej strony natomiast widać ciemne plamy, wydeptane ścieżki.

Już rano wstał, więc ruch w okopach austriackich. Narazie mamy się oswoić z warunkami walki i z terenem. Ludzie pokładli się, gdzie kto mógł, bo baraki rezerwy obliczone na dwa plutony, a nasze cztery plutony liczą przeszło stu sześćdziesięciu ludzi.

Nasi poprzednicy od miesiąca w służbie. Pryncypalną zasadą tutaj—ciągle pogotowie. Wzyscy śpią w spodniach i bu-

tach. Mimo to jest dążność do kultury. Żołnierze gołą się starannie, oficerowie nawet robią manicure. Jest tu wszystko, czego trzeba: studnia artezyjska, jak się patrzy, latryna żołnierska, okolona gałęziami iglastymi, nawet oficerska z sedesem i drzwiczkami na haczyk; schronisko to nosi napis „Gaudeamus“, djabli wiedzą, dlaczego. Jest tu kuchnia stała, choć kłopot z nią za dnia, bo jucha dymi i trzeba dym „tęsić“ gałęziami, bądź rozdmuchiwać. Jest i cmentarz kompanijny. Leży na nim dotychczas czternastu poległych. Ładnie, równo, oklepiane usypiska, nad którymi bieleją krzyże z napisami, dokładnie wskazującymi imię, nazwisko, datę urodzenia, przydział kompanji, plutonu i „schmarmu“. Porządek i ewidencja bowiem być musi.

Wchodzimy do schronu dowódcy luzowanej kompanji, kapitana Varausa. Gospodarz podejmuje nas czarną kawą z rumem, ściśle mówiąc rumem z czarną kawą. Na zakąskę keksy, salami, sardynki. Po dwóch szklankach nabieramy animuszu.

Rozłożona mapa na stole i szkic sytuacyjny uświadamiają mnie o sytuacji. Najbliższa odległość od nieprzyjaciela wynosi w jednym punkcie dziesięć kroków. Włosi mają o tyle korzystniejsze warunki, że zajęli szczyty, a raczej cofnęli się na nie. Mają spokojne tyły, dowóz, no i mniejsze straty.

Rum robi swoje. Śpiewamy. Niemcy zaczynają swoje „Teuere Heimat, sei gegrüßten, sei gegrüßt von weiter Ferne...“ Wtórujemy im, a więc: Czesi, i Polacy, jakbyśmy naprawdę o austriackiej „Heimat“ marzyli. Potem partja taroka. To nieodłączna atrakcja:

v to niemniej ważny rekwizyt, jak rewolwer, czy lorneta. Czas schodzi szybko, zapada wieczór. We wnętrzu schronu nie słychać strzałów, czasem tylko, gdy powała się zatrząsie i gruz z niej się sypie, ten i ów zakłnie. W tej chwili jednak ważniejszym ewementem, czy „ultimo pagat z contra“ się utrzyma.

Godzina siódma wieczór. Porucznik Kraus z zaczerwienioną od rumu i emocji karcianej twarzą, wydaje mi rozkaz... „ablösen!“ Momentalnie przytomnieję i za dziesięć minut już pnę się z pomocą rąk ku górze na odcinek Nr. 7. Za mną, pokaszlując pełzną ludzie. Od miejsca dowództwa plutonu oddziela nas najwyżej sto kroków, a droga trwa z dziesięć minut. Idziemy rowem, w śniegu przekopanym, bądź schodami w śniegu i lodzie wyrobionymi. Jeszcze parę schodów, a jesteśmy niemal u szczytu Małego Pala; około dwa tysiące metrów nad powierzchnią morza. Na prawo i na lewo lecą wysoko w górę błękitne rakiety świetlne.

Rów na moim, t. j. dwóch plutonów odcinku jest haotycznym labiryntem. Pełno tu zakamarków, trawers, ślepych ścian,

schodów, szczelin; odcinek mój w linii powietrznej wynosi zaledwie osiemdziesiąt metrów, aby go jednak przejść, trzeba iść pod górę i na dół serpentynami, co razem tworzy dziesięciokrotnie większą długość. Pod szczytem znajduje się mój schron, wyłożony wewnątrz deskami i starymi derkami. Jest łóżko vel prycza z desek z siennikiem, wypełnionym jedliną, jest stolik i coś nakszałt krzesła. Zmieścić się tu mogą w najlepszym razie dwie osoby. Telefon polowy, stary rondel, pełniący funkcję miednicy, dno granatu, jako popielniczka — i koniec pieśni. Urządzam się, jak mogę. Instaluję się na dwa tygodnie. O zdejmowaniu ubrania, czy trzewików — niema mowy. Wiecznie w pogotowiu, zwłaszcza w nocy.

Żołnierze mają dwa schrony. Połowa z nich czuwa na posterunkach przy strzelnicach, połowa na spoczynku. Już są zainstalowani i już rozstawieni. Poprawiamy przejścia, podsypujemy śniegiem szaniec, ulepszamy strzelnice. W jednym miejscu rowu utarł się zwyczaj zjeżdżania w dół na sempiternie, za to z trudnością wdrapujemy się do góry. Byłoby to niemożliwe bez pomocy łapci żelaznych i laski wysokogórskiej. W białych płóciennych płaszczach z kapturami na głowach wyglądamy, jak duchy.

Jak okiem sięgnąć, na prawo i lewo tryskają w górę wysoko świetlne race; pławią się szczyty gór w błękitnej poświacie. Od czasu do czasu palnie z tej lub tamtej strony karabin, albo ryknie pocisk armatni, jak brytan, to znów jazgotliwie warknie karabin maszynowy. Wydaje mi się, że to dwóch mocarzy-atletów zawarło się w uścisku i żaden z nich nie może ani wtył, ani wprzód się ruszyć.

W wędrówce po rowie strzeleckim, który muszę w ciągu nocy co najmniej dwa razy zwizytować, zachodzę do schronu żołnierskiego. Wnętrze schronu, wykutego w skale ma kilkanaście prycz, na sobie na dwa piętra poustawianych. Jamę oświetlają dwie łójówki. W mdłym świetle jeden z żołnierzy pisze list, inni grają w „krótkiego“, reszta spoczywa. Szefem ich tutaj jest sierżant Wiewióra, rodem z Poronina, stary żołnierzy, wybi-okno pierwszej klasy. Sam o sobie mówi, że jest zbójnikiem nad zbójnikami. Boją się go ludzie, ale słuchają i lubią. Siedzi teraz na pryczy i przygrywając na drumli słucha, jak śpiewa szeregowiec Matyja:

Tatry, moje Tatry, biedno to kraina,
Ino mech po skolach i kosodrzewina.
Regle, moje regle, ukochane regle
Kie przy wos zaśpiewom, to sie mi ozlegnie.

Gdy słowa zamilkły, obaj powtarzają melodję na drumlach. Któżby powiedział, zwyczajna blaszka, a oni z niej tyle dźwięków i tonów dobywają. Przerwali grę inni, podniósł głowę i zamysłony pisarz listu. Wtedy Wiewióra powstał i z góralska huknął:

Hej! na orawskiej pyrci
Kozicka się kręci,
Kozicko, nie kręć sa,
Strzelem ci do serca.

— Ej! Hej! — dorzucił. — Ej! Hej! odkrzyknęli wszyscy. Wtedy Wiewióra, jak był w płaszczu i śniegowej kapuzie — podjął poły, pochylił się, że prawie na piętach przysiadł i wrzasnął dziwkim głosem:

Poza bucki, poza hraść
Pódźcież chłopcy zbijać, kraść,
A jak padnie siubienicka,
Budzie nami wiater wiać.

Poczem podskoczył w górę i zaczął tańczyć zbójnickiego. Znów podskok w górę raz, drugi — zdało się, że głową o sufit uderzy. Potem zakręcił sobą wkoło i przeszedł do „krzesanego“. Przypatrywali mu się wszyscy i w pewnym momencie poderwali zbójcką pieśń:

Nie bój sie, Janicku, nie bój sie tego nie,
Orawskiego zomku, luptoskich siubienic,
U! ha! — U! ha! — grzmią wszyscy.

Wiewióra przysiadł na pryczy i zdyszany głosem markotnie zaśpiewał:

Zahuczały góry, zapłakały lasy,
Ka się nom podziały starodowne casy
Żoł mi cie dziewecyno, dziewecyno urodno,
Bo cie moje ocka nie widziały downo...

zakończył rzewnie. Dopiero teraz niby mnie spostrzegł i poprawiając rozchylbotaną odzież i ryszunek zameldował się według przepisu. Zrozumiałem też góralski wigor. Z jego ust zionął rum. Huknąłem groźnie:—Wiewióra! Matyja!—do mnie marsz! Zbliżyli się obaj. Z ich ust ziele prawdziwa gorzelnia. Zarządziłem luzunek, żeby wytrzeźwiali. Zaś za wypicie rezerwowej porcji rumu — zapowiedziałem karę. Powlokłem się do drugiej ziemianki. Jak i tamta wykuta w skale, mieści w sobie czternastu ludzi. Bractwo chrapie, a w powietrzu czuć rum.

— Psiakrew, cholery — pijanice!

— Trudno, panie chorąży — tłumaczy ich plutonowy Bittner — wstrzymać się, jak w manierce fasunek, a że rezerwowe porcje wychlali, no-bo liczą, że nie każdy dożyje.

— Racja, pomyślałem i przystanawszy w najbliższej wnęce rowu wydobyłem manierkę i też gołnałem setnie. Zaraz mi się zrobiło rażniej i weselej. Na górze migotały gwiazdy, zwolna blednąc. Milkły strzały i coraz rzadsze były rakiety. Świat zasypiał. Tylko posterunki w strzelnicach czuwały.

Powłokłem się do swej budy; spędziłem z łóżka rozwalonego pucfleka, i jak byłem ubrany rzuciłem się na nie. Ależ gałązki z jedliny sto razy wygodniejsze, niż materace, myślałem zadowolony.

Rozdział XVII.

Kończy się drugi tydzień naszego pobytu w okopach. Nie mogę powiedzieć, by tu źle było. Strzelają, bo strzelają, na to jest wojna. Przyzwyczailiśmy się do czuwania w nocy i do snu za dnia. To ciągle pogotowie ma nawet sympatyczną stronę. Nie trzeba robić rannej toalety. Myć się można dopiero w południe, gdy słonko trochę podgrzeje. Koszuli nocnej, pantofli, żyletki — wogóle nie używamy.

Najważniejsza rzecz, to menaż. Z tem cały kram. Bestje Włochy siedzą na górze i patrzą w nasze gospodarstwo, jak sąsiad z drugiego piętra na sąsiada vis-à-vis z parteru. Znają nasze zwyczaje i rozkład czasu i lubią nam dokuczyć. To nam rzuca granat ręczny, to znów na pewne oznaczone przejścia puszczają maszynki. Zwłaszcza na prawem skrzydle ich linja, oddalona od nas zaledwie o ośm metrów, ale Włosi są wyżej o pięć metrów, i tu nam szczególnie dokuczają. Wczoraj mieliśmy z tego sakramenckiego kąta dwóch zabitych. Wiewióra się wściekł i siepnął im dwa granaty ręczne, ale granaty się zsunęły i wybuchły u nas. Dzisiaj jednak udało mu się wrzucić Włochom dwie sztuki t. zw. jajogranatów. Wrzask powstał u nich niebywały i krzyki. Zato teraz mamy spokój. To jeszcze nie najgorzej, bo są gorsze odcinki. Dotychczas, t. j. w ciągu dziesięciu dni mamy zaledwie czterech zabitych i kilku rannych. Pozatem życie spokojne. Artylerja milczy, bo jedni i drudzy własnych ludzi by postrzelali.

Najgorsza rzecz z ustępem. Jest latryna, nawet niezła, ale że to od pogardzanych funkcyj siedziba, więc wystawiona w miejscu, gdzie w pobliżu pełno lei od granatów. Wejść tam można ukradkiem, a cóż to za przyjemność poddać się kontemplacji na temat n. p. dobrej menaży, gdy „dyskretna“ deska na wysokości głowy i brzucha podziurawiona, jak rzeszoto. To też wszyscy bez

wyjątku zarzucili tę kulturalną zdobycz i mimo moich surowych zakazów załatwiają się w okopach, gdzie mogą. Najczęściej też, gdzie kto może, bierze kawałek gazety, bodaj choiny na podkładkę, a gdy zrobi swoje — zakręca rogi poczwiwego papieru — i siu! z tem w dół, bo pod nami z jakie trzydzieści metrów przepaść. Gniewałby się na to zapewne nasz brygadjer, czy szef sanitarny, no, ale ich tu niema, więc regulaminu nie przestrzegamy.

* * *

Z Kurjera Krakowskiego dowiaduję się, że w październiku 1915 r. (teraz mamy połowę grudnia), po stronie Mocarstw Centralnych przystąpiła do wojny Bułgarja. Armja bułgarska uderzyła w ofensywie Mackensena na Serbję i dopomogła do rozbicia armji serbskiej. Cała Serbjja zajęta jest teraz przez sprzymierzone armje. Resztki armji serbskiej utknęły pod Salonikami.

I masz tu braterstwo Słowian.

Dni mijają, Na naszych brodach szczeć już spora, paznokcie stały się pazurami z czarną podkładką. Bieliznę zmieniamy na chybicka, ale już i tak wszy się odzywają. Nasze uszy tak przywykły do huku i gwizdu, że najdoskonalej oceniamy, skąd i jakie padają strzały. Za dnia, gdy ciszej na linii, bawimy się w literatów, piszemy listy.

Oto przede mną, bo cenzurować muszę pocztę, list szeregowca Dobiji. Będę niedyskretny:

„Pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Matka jego, zaczyna Dobija, jak wszyscy górale. Siadom na pryci, chytom za ołówek i pisem do ciebie, żono kochana. Leć listecku bez pola, góry i doliny.

Przeńdź rzeki, lasy, stawy, węgierskie niziny.

Pokłoń się mej Kasi,

Żono kochana, Tatusiu, Mamulko, i ty Jasiu mój synu kochany, i ty Justysiu, córko moja, i wy Pietrze, mój stryku, i wy Jakubowie, kumotrzy. Pozdrawiam was po niezliczone razy i Macieja z górki, i Pawła z za potoka i syćkich. Ja dzienkować Panbogu do-tond zdrowy, a powodzenie moje, jak na wojnie. A teraz żono kochana dzienkuje ci za te dwadzieścia koron, ale nic tu kupi, bo sklepu niema. Góry tu wysokie, co ani drzewina nie rośnie, ptaszek nie zaśpiewa. Smutno tu, jeno taljańskie gwery praskają; mam dostać urlop, bo mi pan fenryk*) obiecali, to reśćę opowiem“.

*) Chorąży.

Nie wierzę w duchy i jakieś głosy zaziemskie, a przecież list zabitego wczoraj Matyi potwierdza istnienie przeczuć. Oto, co pisze do rodziny:

„Miałem dziś zły sen i jakoś mi bardzo nieswojo, a smutno. I tak se myślę, że jakbym tu umarł, to w obcej stronie świata,

Skończę swoje lata,
Żadne mi tam rekwije nie będą nuciły,
Ni dzwony z naszego kościółka dzwoniły,
Ani mojej trumny łzami nie skropicie,
Ani mego grobu nigdy nie ujrzycie,
Ani go w zaduszki nie oświełicie,
Tylko wietrzyk polny będzie mi przygrywał,
I słowik w majową nockę przyspiewywał,
I gwiazdecki złote na błękitnem niebie,
Bedom mi świeciły mrugając do siebie,
Na zielonej trawce każde letnie rano,
Błyszcząć będzie rosa, jak łzy wasze mamo,
I twoje Haniu kochana...”

na tem kończył się niedopisany list.

W notesie ordynansa mojego Cebuli, wyłowilem następujące strofy:

W 1914 roku przypiąłem sobie bagnet do boku,
Bo wojna Rusom była wydana,
I ja poszedłem bić chuligana,
Na nasze wioski, na nasze progi,
Najechał Moskał drapieżca srogi,
Ogniem, pożogą drogę swą znaczy,
Dziś wszędzie słyhać głosy rozpaczy,
Lecz i na Rusa przyjdzie zapłata,
Wyżeniem go z kraju do czarta.

— No dobrze — myślę czytając to, gdy na następnej stronie natknąłem się na inny wierszyk:

Nie przy kościele, nie na cmentarzu,
Spocząłeś wiejski mocarzu,
W brzozowym lasku na litym piasku,
Skloniłeś chłopcze swą głowę,
Dziad ci nie dzwonił, leż nikt nie ronił,
Gdy cię do grobu składano,
Ani książeczki, ani wstążeczki,
Nawet ci krzyża nie dano,

Tylko ci kule zagrały,
Świerki, brzozy zaszumiały,
Pożałował stary kruk,
Wiatr ci zrzucił szpilki z jodły,
Dąb wzniósł ciche, korne modły,
By twą duszę przyjął Bóg.

— No! no! myślę, trzymając te poezje, taki Cebula z Między-
czerwienego!

— Staszek! krzyknąłem.

— Hyr! panie fenryk! — wrzasnął za drzwiami.

— Co ty, trąbo jerychońska, za dziadowskie trele wypisujesz. — Co ty myślisz, że skapieć pod pierzyną przyjemnie, co to prawię, źle ci będzie, jak ci cały „cug“ *) sprezentuje broń i rypnie salwę, a zresztą pucuj graty, bo dziś Wilja, hyclu jeden, i żebym tu zastał porządek, a Pan Jezus żeby się u nas lepiej czuł, jak w niebie.

Ruszyłem do dowództwa kompanji, gdzie mnie porucznik Kraus wezwał do odbioru „Liebesgaben“**). Strzelanina zupełnie ścichła, widać i Włosi rozpoczęli święto. Na dole już byli zebrani oficerowie naszej kompanji: chorąży Nowobilski, kadet Szwarz, kadet Wurst i ja. Na stole u porucznika Krausa, bardzo z polską kulturą zżytego, przygotowania do Wilji na nasz sposób. Gdy wszedłem, porucznik rozdał nam żelazne pierścienie, misternie rzeźbione z literą E. Jest to dar dowódcy naszej armji, arcyksięcia Eugenjusza dla oficerów i żołnierzy. Następnie wypilem parę starek, zakąsiłem sucharem i ruszyłem z dwoma objuczonymi ludźmi na górę.

Czegośmy nie mieli. Trzy drzewka, dwa dla plutonów i jedno dla mnie, kielbasy cztery olbrzymie wieńce, cztery półmetrowe sztuki salami, pięć kilogramów paprykowanej słoniny, chleby, suchary, czekolada, no i rum. Oficerski fasunek doskonały; czekolada, koniak, sardynki i butelka szampana, Törleya wprawdzie, ale dobry i taki.

Po południu odbyło się sprzątanie kawern, pranie białizny, mycie do pasa, a przedewszystkiem bicie wszy. Plugaństwo to rozmnożyło się w niebywały sposób. W kawernach kunsztownie zawieszano pudełka z sardynek, bądź z pasty nad płonącymi świecami, gdzie z trzaskiem wszy ginęły.

*) Pluton.

**) Podarunki świąteczne.

Wieczór zapadł.

Poraz pierwszy nie padł ani jeden strzał; tylko rakiety bezustannie pracowały, co było nawet lepiej, gdyż inaczej moglibyśmy ich i oni nas, jak szczury z saka powyjmować.

Przysiadłem z ludźmi do Wilji. Zapalone na choince różnokolorowe świeczki nadały wnętrzu schronu uroczysty wygląd. Zeszły się wszystkie sekcje. Postrzyżeni wszyscy i ogoleni, niektórzy z pokrwawionymi jeszcze od tępej brzytwy policzkami. Gwar i szum wypełniły wnętrze. Na mój znak Wiewióra zakomenderował ostro: Baczność! Trzasnęły obcasy i żołnierze zastygli w postawie. Stałem w otwartych drzwiach schronu; — cisza dziwnie uroczysta, od strony Włochów słychać tirlenie mandolin. Dobra nasza. Wiewióra, jako że nie uznawał w polskiej uroczystości niemieckiej komendy, zakrzyknął:

— Pokłekać i Panu Jezusowi podziękować, że żyjesz jeden z drugim!

Żołnierze runęli na obydwie kolana. Ukląkł, choć tylko na jedno kolano Wiewióra i Bittner — przykląknęli i ja. Otworzyłem drzwi, by wypuścić Boga. Gdzieś z dołu słychać, jak śpiewają kolendę: „Wśród nocnej ciszy...“. To zapewne trzynasta i szesnasta kompanja w rezerwie. Poszeptali chwilę i powstawali wszyscy, milcząc. Wyjąłem opłatki i łamiąc się z każdym, życzyłem i mnie życzo. Potem wniesiono dwa wiadra, jedno z zupą grzybową z makaronem, drugie z pierogami z powidłem, skrzynię ze śledziami. Rozdzielono fasunek tytoniu, rumu. Poprzysiadali żołnierze z menażkami, gdzie który mógł i jedli, pomału z dostojnością niosąc łyżkę do ust. A gdy zaspokoiли pierwszy głód, zain-tonował Wiewióra kolendę: „Anioł pasterzom mówił...“.

Wyszedłem przed schron. Księżyc zawisł wysoko w przestworzach, cisza spowiła ziemię. 1915-sty wieczór od czasu narodzenia Boga-Człowieka. Wielkie hasła, idee Twoje, Chryste, zręczni kuglarze wiedzy dostosowali do potrzeb aktualnych i niskich instynktów. Miłość bliźniego? — Oto powiązane dwa łańcuchy ludzi, którzy godzą na siebie, chcą sobie wzajem zabrać życie, zdrowie, majątek. Gdzież nauka Twoja, o Mistrzu! Czyżby, o Panie, silniejszym był Twój wróg, bożek zła, i on kierował czeredą ludzką i wcielał w człowieka instynkt krwiożerczy i samolubstwa.

A możesz nas, o Boże, zawisnięty w niedosiężnych mirjadach globów wypuścić z opieki?... Popatrz, o Panie, ujrzyj, co się dzieje. Niech lica Twe spłoną gniewem, wstrząśnij globem. rozbij w puch człowieka, bo to twór niedoskonały, bo za dużo zła i nieprawości na świecie.

Tak myślałem; ale nie z tego nie wyszło, księżyc dalej obojętnie toczył swą srebrną kulę.

Chyba tyle nowego, że szczyty Plöcken-Pasu poraz pierwszy słyszały polskie kolendy.

I nazajutrz cisza była. I my i Włosi uszanowaliśmy Boże Narodzenie. Skorzystał z tego porucznik Kraus i w ciągu dnia zluźowała nas w rezerwie będąca półkompanja. Oddaliliśmy się od nieprzyjaciela w promieniu nie więcej jak sto metrów, a zdało się nam, żeśmy za frontem. Tu już i papierosa można na dworze zapalić, ba! tu się śpi w bieliźnie. Toteż chłopcy bardzo zadowolone i chwala sobie taką wojnę.

Na obiad oficerowie zjeżdżają saneczkami do „messy” w bataljonie. Tu już, choć to tylko dwieście metrów niżej, cała parada. Kucharz autentyczny w białym kitlu i czapce, zapach smakowitych mięs i legumin. Na obiad trzeba się stawić punkt dwunasta. Do obiadu ćwiartka Vöslauera, panowie-sztabowcy, jako że starsi wiekiem i sfatygowane mają żołądki piją gorzką wodę Franciszka. Gdy kończy się deser, na dzwonek podpułkownika Bohna, trzaskają papierosnice i wewnątrz ziemianki napęlnia się dymem. Teraz rozpoczyna się dyskusja o polityce, ekonomji, sztuce, artystkach, kończy ją zaś kapitan Varaus djalogiem z lekarzem na temat:

— Jakby to dobrze było, żeby dziewczęta walczyły narówni z nami, a choćby naprzeciwno. Taką donnę zająć z patrolem, związać, do ziemianki wtaszczyć, zamknąć się z nią i dwadzieścia czterech godzin światła bożego nie widzieć, szepcze zdławionym głosem kpt. Varaus.

Doktór Karaś zaś, kiwając łysą czaszką, z oczyma utkwiwionymi w obrazie gołej dziewczycy na ścianie, (arcydzieło kadeta Kropaczka) wzdychając z góralska dorzuca:

— Ono by to było, wej, żeby było.

Wszyscy zresztą myślą to samo.

— Kropaczek! — woła Varaus, namaluj nam, ale coś takiego, żebyśmy wszystko od a do z — no, ty wiesz?

I Kropaczek nazajutrz udekorował ścianę obrazami tak sprośnemi, że w zachwycie do obiadu nikt nie chciał usiąść. Nawet podpułkownik Bohn oglądał szczegółowo te sprośności i patrząc na nas swem dobrotliwym wejrzeniem, oznajmił, że poczynając od jutra, będzie wypuszczał na trzydniowe urlopy do Villach po dwóch oficerów — „zwecks Entladung der gespannten Situation” — dla odprężenia naciągniętej cnoty...

Rozdział VXIII.

W rozkazie bataljonowym nazywało się to wyjazdem na zakupy niezbędnych rzeczy. Temu się rozbiły okulary, tamten chciał kupić busolę Bezzarda i t. p., słowem zawsze znalazł się jakiś pretekst. Mniejsza zresztą o tytuł.

Gdy na nas przyszła kolejka, z chorążym Buczmą na saneczkach ruszyliśmy wdół. Zjeżdżamy piorunem na serpentynie, biorąc skręty z szybkością, jakiej mogliby nam zawodnicy pozazdrościć. Zresztą, byle najprędzej i najdalej od linji. Bo nuzby Włochom zachciało się atakować, alarm, kram — no i urlop djabli wezmą. W dziesięć minut byliśmy już przed fatalną „Doliną śmierci“. Wycelowane są na nią stale włoskie karabiny maszynowe. Rosnące tu świerki zostały dosłownie pościnane. Tutaj Buczma przeżegnał się i dzierżąc koniec linki, pochylił się wtył tak, że prawie przywarł plecami do sanek.

— Jazda! — krzyknąłem i to samo uczyniwszy na swoich sanekach, kopnąłem ziemię. Sanki nasze niekierowane leciały wyrobionym torem, jak wichher. Nie umiem określić szybkości, ale dość powiedzieć, że przestrzeń blisko półtora kilometra przelecieliśmy prędzej, niżbym zdrowaśkę odmówił. A teraz leżę twarzą w śniegu, bo sanki zjechały z toru i poprostu wysypaliśmy się.

— Żyjesz tam jeszcze? pyta mnie Buczma, gramoląc się w śniegu.

— Tak, mówię, dobre było, tylko żebyśmy czego nie oberwali; na górze bowiem warczały maszynki i nad głowami gwizdały kulki. Było to beczelnością w biały dzień prowokować „makaronów“*). Na czworakach więc teraz, ostrożnie, podpełzliśmy z boku za lasek. Tu już bezpieczniej. Dlatego też z pompą znowu teraz

*) Przezwisko — Włochów.

wsiedliśmy na sanki, jadąc wedle wszelkich reguł sportowych. Troszkę peszyły nas spore leje od granatów. No, wola Boża! W trzy kwadranse mijaliśmy siedzibę brygady na Lamprechcie, a w dziesięć minut podjechalśmy pod restaurację „Zum schwarzen Adler“ w Mauthen. Ciżba tu wielka, oficerów bez mała setka. Pomagała tu matce restauratorce córka Graeti, bardzo piękna dziewczyna. Szalała za nią cała dywizja, a na ucho szeptano, że przystojny porucznik Altenburger, adjutant naszego bataljonu, wziął z nią cichy ślub. Popatrzyliśmy też na nią, ale, że ona na nas nie zwracała uwagi—ruszyliśmy pieszo do Greifenburga, skąd kolej podwoziła nas do Villach. Wynajęliśmy tam pokój w hotelu, uszczypnęli gdzie się dało pokojówkę i zadowoleni z siebie ruszyliśmy na podbój miasta. W naszych portfelach blisko tysiąc koron. Zakupiliśmy rzeczywiście mydła, wodę kolońską, szczotkę do zębów, Odol i t. p. zaś dla fasonu także monokl do lewego oka. W prawicach dzierzemy spieruty. A teraz w jakiejś restauracji za stolikiem łykamy śliwowiec, zagryzając „korkami“.

— Takich panów, jak my, to tu do djabła mówi Buczma.

Istotnie w restauracji wrzało. Pełno tu oficerów wszelkich broni, nie wyłączając kapelanów. Są też i „świnie etapowe“. Dumnie obnoszą czarne czapki ze złotym sznurkiem, oraz także ineksprymable z czerwoną wypustką. Ci też na wojnie.

Na estradę winduje się wojskowa muzyka. Nastrój bajeczny. Sznycel wiedeński, pilzner szumi w kuflach, czy może być coś lepszego?!

Spotykamy tu mnóstwo znajomych. Przy naszym stoliku już ośmiu biesiadników. Na czarną kawę i likiery idziemy pod przewodem tutejszego bywalca, por. artylerji, Douška. Chytrze mruga powieką; wiemy, co to znaczy, ale udajemy nieświadomych. No to jazda! — płacić! Za chwilę wiozą nas dorożki. Nasze grono liczy ze dwadzieścia osób.

Otwiera nam drzwi gruba „mama“ i serdecznie zaprasza. W tym domu jakiś specjalny zapach, nad którym górują perfumy i puder. Nasze nozdrza poruszają się. W całym domu biegania. Dziewczynki przelatują przez korytarz, trzaskając drzwiami. „Mama“ wprowadza nas do salonu. Jest tu już sporo gości. Sami wojskowi—przeważnie artylerja. Mieszkamy się i na wygodnych kanapkach orjentujemy w sytuacji. Za chwilę wnoszą napoje. Do salonu wchodzi mieszkanka. Naogół dość ładne. Jest ich ze dwadzieścia. Blondynki, brunetki, szatynki, są i dwie rude; jedna ognista, że zdawało się żywcem płonie, druga miedziana. Są wymyślnie poubierane. Ich dekolty odsłaniają wdzięki. Pousia-

dały obok siebie. Jest to moment jakby tokowania. Nasze oczy ślizgają się po ich kształtach, taksując skrupulatnie jakość donn. One też nas oglądają, ale mam wrażenie, że więcej ich obchodzi zawartość naszych portfeli. Powszechną uwagę zwraca mulatka o bardzo czystych czarnych oczach. Zwolna w salonie zrobiło się cicho i jakoś głupio, pewne jakby zażenowanie. Ten nastrój przerwał szpakowaty major. Widocznie porozumiał się wzrokiem z mulatką, bo wstał, zaraz zaś za nim z miną udzielnej księżnej wyszła mulatka. Wtedy, jak na komendę wszyscy ruszyli do swych wybranek. Zagapiłem się i z paru innymi osiadłem na koszu.

Po dłuższej chwili zaczęły się schodzić pary.

— Moja donna, opowiadał porucznik Doušek — właśnie podczas aktu paliła papierosy, gryzła orzechy i myślała, ile też zarobi...

Poschodziły się tymczasem damy i panowie — nastąpiła zmiana par.

*

*

*

Pilem szprycery i czarną kawę. „Mama“ nastawiła gramofon i wniosła, nową baterję likierów i koniaku. Bal rozpoczął lotnik, prosząc mulatkę do walca. Wkrótce salon zamienił się w salę taneczną tyle, że niektóre panienki tańczyły w kombinacji. Zabawa szła w najlepsze, wszyscy czuli się, jakby od stu lat byli znajomymi.

Na środek salonu wyszedł porucznik saperów Klaus, poprosił o ciszę, poczem usiadłszy przy pianinie, melodyjnie zaśpiewał wiersz p. t. „Des Lehmbräunen Klage“.

Das Haar wuchs uns zur Mähne
Die Seife ward uns fremd
Wir putzen keine Zähne
Wir wechseln auch kein Hemd.
 Das Waschen ward zur Mythe
 Zur Sage ward das Bad
 Rasieren, du meine Güte
 Man längst verlernt schon hat.
Verlaust sind alle Kleider
Der Magen bleibt oft leer
Von Wein und Bier gibt's leider
Auch keinen Tropfen mehr.
 Gewöhnlich regnet's grässlich.
 Und giesst daneben her
 Und wird das Wetter hässlich
Dann... pladdert's noch vielmehr.

Drum quatscht's in Schuh und Socken
Der Dreck spritzt's bis zum Ohr
Das ein'ge, was noch trocken
Sind Kehle und Humor.
Das heist „Patriotismus“
Und ist nicht ohne Reiz
Es zieht der Rheumatismus
Für's Vaterland durch's Kreutz*).

zakończył pieśń.

— Bravo! bravo! — krzyczą wszyscy, zaś porucznik Klaus, gdy na gramofonie odezwał się czardasz jał z pierwszą z brzegu donną podrygiwać, wślad za nim wszyscy i wkrótce cały salon pełen był muzyki i tańca. W drzwiach stała rozczulona piosenką „mama“ i z zadowoleniem śledziła zabawę.

Dzień już był, ludzie szli do pracy, gdyśmy syci wrażeń zasypiali w hotelu.

Spaliśmy prawie do zmroku. Cały wieczór zeszedł nam na leczeniu „katzenjammeru“. Herbaty z cytryną, lemoniady i sprycery w nieskończoność. A nazajutrz — powrót.

*) Wolny przekład.

Obrosły gęby włosem,
Mydło, rzecz obca nam,
Koszuli nikt nie zmienia,
Czyścić zęby, — próżny kram!

Mycie — to już legenda,
Kąpiel — to dawny myt,
Fryzjer już zapomniany,
Znikł porucznika „sznyt“.

Szaty na schudłym cielsku
Żołądka kryją czezość,
Wino, czy piwo — bajka,
Dwie krople — i już dość!
W marszu deszcz zwykle pada
I chłód przejmuję nas;
— gdy jeszcze gorsza plucha
— smętniejszy błota plask!

Schlapany człek po uszy,
W wodzie skarpetka, but,
A w gardle ciągle sucho,
Zsechł się humoru łut!

W szale patryjotyzmu
Kryje się życia wdzięk;
W kościach darcie reumatyzmu
— To „dla Ojczyzny“ jęk!

Smutno nam było i tak nie chciało się wracać. Ale mus, to wielki pan.

I oto jesteśmy znów u stóp groźnego Čellonu w baraku, który stanowi punkt opatrunkowy naszej jedenastej górskiej brygady.

Jest tu podobno całkiem bezpiecznie. Rannych i chorych coś z osiemdziesięciu. Pracuje tu trzech lekarzy i kilkunastu sanitariuszy. W drodze do linji zawadzają wszyscy o gościnny szpital, więc i my wstępujemy.

Rzeczywiście gospodarze uprzedzająco grzeczni. Po poczęstunku musieliśmy zasiąść do partji taroka. O zmroku ruszyliśmy w drogę, serdecznie żegnając gościnnych lekarzy. Teraz słyhać już grzechot karabinów. Nie uszliśmy dwustu kroków, gdy skądś z okrutnem wyciem, zdało się tuż nad naszymi głowami nadleciał jakiś olbrzymi pocisk. Nim zdolaliśmy ochłoniąć nastąpił straszliwy wybuch. Osłupieliliśmy ze zgrozy. Pocisk trafił w sam środek szpitala. Rozległy się tam krzyki. Pędem wracamy, aby nieść ratunek. Skutki wybuchu straszne. Dziesięciu zabitych, dziewiętnastu rannych. Dwaj lekarze zabici. Aż do nadejścia pomocy z Mauthen pomagaliśmy przy ratunku, usuwając zwalone belki i t. p. Pocisk przebił dach i pierwsze piętro i wybuchł w głównej sali szpitalnej. Sanitarjusze znosili zwłoki ze zmiażdżonemi głowami i kończynami. Z brygady telefonicznie wydano rozkaz przeniesienia szpitala na Lamprecht.

Poszliśmy w górę w milczeniu. Szczyty Plöcken-Passu tonęły w nocnej pomroce, jarząc się sznurem tysięcy świateł. Wre tam teraz dobrze nam znane życie. Słyhać wokoło nieregularny suchy trzask, jakby pukanie na wiwat. To tu, to tam tryskają w górę race świetlne. Niesamowity widok. Festyn, myślałbyś, a tam niejeden osuwa się bezwładny z przed strzelnicy. Szedłem pochylony ciężarem myśli, podpierając się wysokogórskim kijem. Tu, na łono tej cudownie pięknej natury wtargnął człowiek - demon zła, — myślałem, gdy posłyszałem, jak powietrze tnie ostry świt. Wyszliśmy na „Dolinę śmierci“. Jak na złość z za chmur pokazał się księżyc na nowiu. Jakby na komendę Włosi zaczęli nas ze wszystkich stron ostrzeliwać.

— Padnij! krzyknąłem na Buczmę.

Ległem za dość cienkim pnem jodły z twarzą wbłą w śnieg. Mimo wszystko żal mi było zginąć, jak zastrzelony zając. Ale potomkowie Cezara widocznie sądzili, że nas zabili albo, że nasze postacie były tylko igraszką fantazji zmęczonych oczu, bo zaprzestali strzelaniny. Leżeliśmy jeszcze ze dwie minuty. Tymczasem chmury się rozeszły. Bijący od śniegu refleks sprawił.

że widno było, jak w dzień. Nie wstawaliśmy jednak, chcąc uśpić czujność Włochów, a wreszcie i dobrze było spocząć po wytężającym marszu w górę.

Dopiero teraz spostrzegłem, że tuż obok jodły była mogiła. Maleńki, podłużny śniegiem przysypany wzgórek, na którym spoczywał wbity krzyż, kulami podziurawiony. Grobów tych jest tu dużo; niema czasu na odwożenie zwłok na tyły, więc grzebie się zabitych, gdzie który padnie. Wyteżyłem wzrok i z niemałym trudem odczytałem napis, często tu spotykany, pełen błędów ortograficznych, koślawy, jak i ten krzyż grubo ociosany, który zadymki śnieżne, bądź kule to w tę, to w tamtą stronę chyliły. Na krzyżu narysowany fioletowym ołówkiem znak krzyża, wyblakły, jak i wszystkie poniżej litery: „Jan Kołodziej, 12-sta kompanija, 20-sty regiment“, a poniżej: „pochowany bez głowy i lewej renki“. Patrzyłem na ten napis z rozdarciem sercem.

Biedny chłopie! — takąż dola twoja! Od dziecka znałeś tylko ciężki znój i pracę. Nikt nie pytał się ciebie, czy chcesz się bić, nikt nie tłumaczył ci za co, na co i poco?... Zabrano cię z twej sadyby, odziano w mundur wojskowy i kazano przysiąc na wierność cesarzowi. Musztrowano cię w języku, którego nie rozumiałeś i kazano ci ginąć za to, czego nigdy nie zrozumiesz, co może i lepiej dla ciebie. Żyjesz życiem któreby piekłem nienawykli do niego nazwali. Twojem prawem i obowiązkiem płacić, za wszystko płacić.

Za używany most, za matkę — ziemię, za modlitwę. Nikt cię nie oszczędza. Choćbyś serce twe wypruł, nikt się nad tobą nie zlitował. Z twego potu i znoju opłacano sforę urzędników, budowano armaty, fortece. Za twe pieniądze, biedny ty chłopie polski, bito gościńce na obcych ci ziemiach, trasowano luksusowe koleje, wynagradzano tych którzy szli, by język ojczysty ci wydrzeć. Ale tego żadna siła nie dokazała. Ani złotem, ani batem... bo ty, choć nieuczony zbyt głęboko mowę swą kochasz. Ty się nigdy polskości nie zaparłeś, nawetbyś tego nie potrafił. Nie miałeś dotąd ojczyzny, a ta w żywej tradycji tkwiąca, nieznaną ci jest... „Chamie“ ci mówią, od „chama“ ród twój wywodzą. A teraz, gdy przyszło bronić tej niepojętej dla ciebie ojczyzny austriackiej, rycerski strój ci podano. Czy mało zaszczytu dożyłeś? Twoi przodkowie, jako ciury obozowe za wojskiem się włóczyli, a teraz ty się bijesz.

Wzniosły sztandar nad tobą powiewa... Ojczyzna! A nad nią sam cesarz, który cię łaskawie do godności rycerza dopuścił.

Ci sami, dla których młode swe życie dałeś, twych braci z ziemi własnej wyrzucili, żandarma dając na drogę. A ty bijesz się, bijesz dniem i nocą, czuwasz świtaniem i o zmroku. Za twój trud, za twą krew, za łzy i nędzę twych rodzin osiągną zaszczyty ci, którzy mówę twoją chcą zatracić, dla których określeniem ciebie — polska świnia!

Och! Ty chłopie polski — ty dziwnie cierpliwy chłopie. Na twych zagonach, gdzie pszenicę siałeś złotą, szanice wykopano, chałupę ręka wroga spaliła. Twoja żona, matka, dzieci może teraz, jak psy bezdomne tułają się po lasach. Ostatnią krowę może zabrał lichwiarz, bogaty dostawca wojskowy. Gdzie, do czego wrócisz po wojnie?...

Lata całe spędzasz u granic tej niepojętej ojczyzny austriackiej. Świszczą nad tobą kule, wybuchają szrapnele, pod twymi stopami granaty rozdzierają ziemię, na twą głowę zrzuca lotnik bomby, wichur przenikliwy smaga twe ciało poprzez lichą płaszczynę; w błocie śpisz, w lecie praży cię słońce, uginasz się pod ciężkim rynsztunkiem; a gdy przyjdzie naprawdę bój, znikają odważni na ćwiczeniach dowódcy i tylko ty idziesz tam, gdzie śmierć i kalectwo grozi...

Dzień za dniem upływa, mijają miesiące, lata, a ty nic, ty głupi... Stoisz na posterunku, jak żóraw czujny.

Na twojej piersi blaszka srebrna migocze. Za twój trud i znój mówcy w Wiedniu, Berlinie czy Petersburgu oklaski zbierają... A ty nic... jeno się bijesz, jeno idziesz z bitwy do bitwy, aż legniesz.... w rowie! Biedny ty chłopie polski!

Rozdział XIX

Jeszcze raz i jeszcze raz na innym odcinku luzujemy linię. Aż pod koniec stycznia radosna wieść obiegła linię. Idziemy na „Etablierung“*).

Jakoż jednego dnia zjawili się u nas oficerowie z siódmego pułku z Grazu. W wilję luzunku przyszło pięciu oficerów, aby się zorjentować w warunkach walki i w terenie. I nazajutrz zjawili się późną nocą z bataljonem. Luzunek odbył się sprawnie. Schodziłem ze stanowiska, gdy usłyszałem krzyki i kłótnie. Ktoś kłął siarczyście po niemiecku, na co głos Wiewióry odpowiadał ciągle po polsku, stul mordę. To nowy służbowy sierżant przemawiał się z Wiewiórą. W tem padły słowa, „polnische Schwein“. Na co Wiewióra ryknął: Oty psi synu — poczem rozległ się płask — i sierżant z siódmego pułku runął w przepaść. Porwałem Wiewiórę za ramię i monitując go zbiegłem do kompanji.

— Psiakrew! sapał Wiewióra, ten szwabski pludrak, ten parszywy drań, tu mnie Polaka będzie obrażał.

O co im poszło, nie mogłem się dowiedzieć.

— Wyrrywaj, człeczko, gdzie pieprz rośnie — zakończyłem rozmowę.

Dowiedziałem się później, że sierżanta znaleziono mocno potłuczonego. Miał szczęście, bo spadł na zwały śniegu.

Przeprawa bataljonu trwała całą noc. Wynieśli się najpierw kompanijni taboryci i prowjantowcy, potem magazyny rynsztunku i amunicji, wreszcie kuchnie... i my.

Cóż to za radość oddalać się od linji i mieć świadomość, że maszerujemy na wypoczynek. Przy zachowaniu największych ostrożności przeszliśmy bez żadnych strat.

*) Odpoczynek.

Teraz siedzimy w Dellach. Mała i miła wioseczka w dolinie Drawy. Kapiemy się w ad hoc wybudowanych łaźniach, golimy starannie, czyścimy zęby; nasze ubrania przesycone dymem, dezynfekujemy wodą kolońską. A potem jemy, pijemy i dosyta się wysypiamy.

Jednego dnia odwiedził mnie tu brat, Rudolf. Dywizja jego walczy również na froncie włoskim. Nie widzieliśmy się od czasu wybuchu wojny. To też powitanie nasze było bardzo serdeczne. Usiedliśmy potem na uboczu w cieniu jodły i gawędziliśmy. Rozmowa rychło zeszła na tory polityczne.

— Znasz moje przekonania, — mówił brat. — Byłem zawsze radykałem, nastawionym rewolucyjnie w stosunku do Rosji, żyłem ideą walki zbrojnej z caratem. Wierzyłem, że w walce z Rosją będziemy mieć w Austrii uczciwego sojusznika. Pobyt w wojsku otworzył mi oczy na perfidną grę Austrii. Zrozumiałem, że szczególne niebezpieczeństwo groziło nam właśnie ze strony Austrii. Umiała ona pozorami wolności uśpić czujność politycznego myślenia. Duch niepodległościowy ulatniał się w lojalności i rozcieńczał w utylitaryzmie. Pod tym względem jawnie wrogi kurs antypolski w zaborze pruskim i rosyjskim wywołał zdecydowaną w stosunku do zaborców opozycję. Wprawdzie wpływ rewolucyjnej myśli rosyjskiej zaczął czynić spustoszenia i w naszej psychice narodowej ale, jako rewolucyjnie w stosunku do caratu nastawiony nie mógł być w skutkach tak groźnym dla naszej świadomości narodowej, jak pokost austriacki. Ostatni wytworzył fałszywą nutę i zatarł granicę między myślą polską, a racją stanu austriacką. Wojna na szczęście ten proces rozkładu przerwała.

W dalszej rozmowie przeszliśmy do bieżących wypadków. Niewesołe są jak narażie — mówił brat — horoskopy naszej sprawy. Obecnie Mocarstwa Centralne zjednoczyły w swoich rękach prawie wszystkie polskie ziemie, ale z ich strony nie wiadać najmniejszego znaku, ażeby zamyślały odbudować Polskę.

Podział Kongresówki na dwie okupacje raczej wskazuje na to, że Mocarstwa Centralne zamierzają przeprowadzić nowy rozbiór Polski. Austrija od czasu ofenzywy gorlickiej utraciła samodzielność, głos teraz mają jedynie Niemcy, a ci do odbudowy Polski nie dopuszczają. I niema się co ludzić, by Niemcy dobrowolnie nam zwrócili Poznańskie albo Śląsk.

Nie przypuszczam też — przerwałem bratu, — aby Niemcy zgodzili się na połączenie Kongresówki z Galicją w ramach trjalistycznej c. k. Monarchji.

Oczywiście — żywo potwierdził brat — koncepcja taka grozi im przekreśleniem dotychczasowych sukcesów polityki germanizacyjnej i stworzeniem w ich zaborze polskiej irredenty, — i na taką samobójczą politykę z ich punktu widzenia nie pójdzie żaden rząd niemiecki.

Rosja w sprawie polskiej straciła wszelkie znaczenie. W jej ewentualny zwycięzki powrót do Polski nie wierzę. Koalicja zaś zawzięcie milczy, zresztą jest tak zajęta własnymi kłopotami, że nie przypuszczam, ażeby zechciała tylko dla sentymentu przelewać swą krew w naszej sprawie.

My zaś, Polacy w rozgrywającej się wojnie oficjalnego udziału nie bierzemy i to jest najbardziej tragiczną stroną naszego położenia.

W chwili wybuchu wojny 22-miljonowy naród nie zdobył się na żadną decyzję, jak tylko na lojalne wykonanie obowiązku żołnierskiego w armjach poszczególnych zaborców. Sami zaborcy przyznają nam, że bijemy się dobrze, ale giniemy bezimiennie, jako Niemcy, Austriacy bądź Rosyjscy żołnierze i swoją krew umacniamy siły wrogów, kopiąc temsamem grób Polsce. Na wszystkich niemal frontach leje się krew polska, ale komu na pożytek?

A przecież w zaborczych armjach służy blisko 3 miliony Polaków. Siła to ogromna, zwłaszcza, że wojna toczy się na naszych ziemiach, siła, która odpowiednio pokierowana, może rozsadzić potęgę naszych zaborców. Czy mamy jednak jakie w tym kierunku decyzje, czy nasi politycy pomyśleli o tem poza patetyczną deklamacją o cierpiętnictwie polskiem, czy dali jakie wskazówki co ma robić Polak, zakuty w obcy, wrogi sobie mundur?

Dlatego też musimy sami szukać dróg, by dobrze służyć sprawie Polski. I rzeczywiście z rozmów z kolegami-żołnierzami widzę, że zachodzi ta przemiana w duszach polskich, że coraz bardziej utrwała się przeświadczenie, iż Polska powstać może tylko na gruzach trzech mocarstw zaborczych, że rozłożenie i zniszczenie każdego z nich, bez względu na to czy to będzie Rosja, Niemcy czy Austrija, jest naczelnym nakazem polskiej świadomości narodowej, że dalsze bezmyślne przelewanie krwi polskiej w obronie wrogich nam mocarstw jest zbrodnią wobec Polski i jej przyszłości. Rozumowanie to wyłania się z przemyślenia naszego położenia i rodzi się instynktownie bez żadnych w tym kierunku dyrektyw politycznych. I wierz mi Staszku, że przemiana ta zachodzi u Polaków we wszystkich armjach zaborczych. Niedawno miałem możność stwierdzić to w rozmowie z Polakiem — jeńcem

z armji rosyjskiej, że tam taksamo poczynają rozumować. W duszy rozdartego narodu budzi się powoli polska racja stanu. Duch nasz zaczyna się wyzwalać z powijaków bierności, trójlojalności, zaczyna się rewolucjonizować, szukać własnych dróg i na tym podkładzie zachodzą dziwne przeobrażenia. Polacy austrofile w armji austrjackiej stają się rusofilami, a po rosyjskiej stronie narasta orjentacja austrofilska, jako najskuteczniejsza droga do rozbicia carskiej armji.

Narazie szukamy porozumienia z Czechami i z Serbami, gdyż oni podobnie rozumują jak i my. Zaczynamy piętnować bezmyślnych Bartków-zwycięzców, oszczędzać polski stan posiadania, defetyzować ducha armji austrjackiej i przygotowywać pole do jakiejś bardziej zdecydowanej akcji.

Robota ta nie ma jeszcze żadnej organizacji, trzeba tylko, aby się objawił wódz narodu i ujął tę sprawę w energiczne ręce i konsekwentne czyny.

Do tej chwili myśl polską w realny czyn wcielił jedynie komendant Józef Piłsudski. Zdobył się na decyzję i w wieszczem przewidywaniu zaczął jeszcze w r. 1909 tworzyć polską siłę zbrojną. Wojna zaskoczyła go w trakcie tych przygotowań. Samym faktem rzucenia w 1914 roku na front swej brygady pod polskimi znakami stworzył polskiego żołnierza, który swem męstwem odrodził najpiękniejsze tradycje oręża polskiego, pokazał światu, że chcemy żyć, że jeszcze Polska nie zginęła. Wprawdzie garstka to tylko w ramach wielomiljonowych armji i znikome jest jej militarne znaczenie w wielkich zapasach wojennych, ale niemniej Legjony wyrwały myśl polską z zakamarków bierności politycznej i zwróciły na zagadnienie Polski uwagę całego świata..

Gawędziliśmy długo, do późnej nocy. Wczesnym rankiem brat odjechał do swego pułku.

W dzisiejszym rozkazie dywizyjnym dowódca nakazuje, by dla zapoznania się i zbratania czwarty bataljon 20 p. p. przyjął wizytę piątego, t. j. naszego bataljonu.

Na trzeci też dzień, jako goście jedziemy. Przed nasze kwatery z brzękiem dzwonek podjeżdżają sanie. W pierwszych dostojnie zasiadł obecny dowódca bataljonu, major Hülgerth w towarzystwie kapitana Irblich. Wystrzał z pistoletu — i konie kopnęły się odrazu klusem. Stawiamy się w Mauthen punkt siódma wieczorem. Obowiązuje nas dyscyplina etykiety.

U wejścia do kasyna, przystrojonego świerkami i iglastymi girlandami, wita nas hejnałem muzyka. Dowódcy bataljonów całują się ceremonjalnie — krótka prezentacja — i ustawieni wedle

starszeństwa czekamy przybycia dowódcy dywizji. Dowódca 11-ej brygady wręcza nam szczerozłote pierścienie z napisem „11 Gebirgsbrigade Vorwärts“*) z datą 1914-15. W dziesięć minut potem trębacz sygnalizuje przyjazd Ekscelencji. Lekkie szurnięcie nogami, przyglądanie fryzury, i już trębacze grzmia fanfarę.

Z brzękiem ostróg wkracza Ekscelencja, za nim sztab. Chwilę trwa „cercle“ papierosowy, poczem Ekscelencja, a za nim wszyscy wedle starszeństwa sypią do jadalni. Bo prawdę mówiąc, to stanowi clou wizyty.

Czwarty bataljon wysadził się. Niezliczone zakąski, galarety, zimne mięsa, sałaty — no i koniak francuski! — a potem gorących dań pięć. Chyba dość. Gdy pierwszy głód został zaspokojony, ktoś stuknął w szklankę, zrobiło się cicho, a oczy wszystkich zwróciły się na Ekscelencję. Ekscelencja starannie wytarł usta serwetą, wyprężył pierś bogatą w orderzy, zrobił marsa na czole i rzucił ostro:

— Panowie! Są chwile w życiu.. i t. d. aż doszedł do wojny — i tutaj kiedy podstępny wróg (Włosi) zaatakował nasz „Vaterland“, kiedy Jego Cesarska Mość (w tem miejscu wszyscy sztabowcy szurnęli nogami i pochyłili głowy) raczył nas powołać do tej najszlachetniejszej służby, kiedy z radością dajemy życie, krew i mienie na ołtarzu (w tem miejscu chorąży Berski gryzł wargi i niemiłosiernie gniótł mi stopę), jak mówiłem na ołtarzu ojczyzny, witam panów, jako najprzedniejszą klasę obywateli.

Ktoś z nas Polaków niebacznie chrząknął, na co sztabowcy, patrzący w oczy mówcy zareagowali marsowem spojrzeniem w nasz kąt.

— Pokolenie nasze — ciągnął mówca dalej, — dożyło spontanicznej (!!) radości. Jego Cesarska Mość (znów szurnięcie pod stołem i pochylenie głów sztabowców) raczył wszystkie ludy powołać do obrony Monarchji, a panom (tu zwrot głowy na t. zw. szary koniec) nadał szlachectwo, mianując was oficerami. Dzisiaj zatem złączmy nasze serca i usta i w koleżeńskim toaście wnieśmy okrzyk: Jego Cesarska Mość niech żyje!

Rozległ się okrzyk „Niech żyje!“. Strzeliły zamrożone szampany, muzyka zagrała tusz. Zdrowie cesarza trzeba wypić do dna. Po tym wstępie nastąpiły produkcje, zresztą doskonałej muzyki smyczkowej. Zaczem znów dźwięk szklanki — cisza. Wstał uroczyście generał-major Henneberg, dowódca trzynastej brygady. Staruszek siwiuteńki, bardzo zresztą sympatyczny. Zwraca się do

*) 11-ta Górska Brygada Naprzód.

młodszych oficerów, sławiąc odwagę i dołę oficera broni, unosił się nad oficerami rezerwy, jako najpewniejszą częścią społeczeństwa i zakończył toastem na cześć „żelaznej brygady „Vorwärts“.

Potem przemawiał nasz brygadjer, sztuczny w ruchach i słowach, choć nie głupi, oberst v. Wasserthal. Potem nasz dowódca bataljonu, komendant szpitala, intendent. Mowy aż do znudzenia. Siedzący obok mnie kapitan Varaus, który demokratyzował się z rezerwą, trącił mnie łokciem:

— Powiedz i ty mowę, cóż te stare knury mają tylko prawo głądzić? Zresztą będziemy mieć okazję do jeszcze jednego „ex“.

Po tych wielu toastach szumiało mi już dobrze w głowie i nie rozważywszy czynu, stuknąłem nożem w szklanę. Był to nieakt z mej strony, bo na przemawianie należało mieć zezwolenie Ekscelencji. Stało się jednak. Teraz świdrują mnie gniewne oblicza sztabowców i zdają się mówić „coś niesłychanego“. — Chorąży śmie przemawiać — szepeczą na ucho, ale Ekscelencjja w wyrozumieniu łaskawie kiwnął ręką ku mnie. Miało to znaczyć — niech gada! Kapitan Varaus i kadet Durlak szczypali mnie w uda, bym zaczął. Nie było rady, wstałem. O czem jednak mówić, myślę z rozpaczą, czując na sobie spojrzenia sześćdziesięciu biesiadników. Było nie było, chrząknąłem dla otuchy.

— Ekscelencjo i Panowie! Mając honor być rycerzem Jego Cezarskiej Mości (w tej chwili krew zbiegła mi z twarzy, chorąży Berski wpakował sobie chusteczkę w usta i wytrzeszczył na mnie oczy, jakby się dusił) i mając zaszczyt przemawiania wobec dostojnego audytorjum, wyrażam radość naszych matek, które nas poto urodziły, aby miały szczęście, jak owe matki spartańskie z zakończeniem wojny widzieć nas powracających z wojny z tarczą lub na tarczy.—

Czułem, że ironja moja, a właściwie drwiny poszły za daleko.

W sali zrobiło się teraz przeraźliwie cicho. Sztabowcy kręcili się na krzesłach, Ekscelencja nałożył na nos binokle. Niedobrze, myślę, trzeba jakoś wyłudować i czempredzej zakończyć.

— Zatem proszę panów — ciągnąłem dalej, —jako dwukrotny uczestnik wojny na froncie rosyjskim przynoszę pozdrowienia od kolegów z tamtego frontu. Tu Ekscelencja zdjął binokle i kiwał głową w moją stronę. Hurra! zakończyłem wreszcie.

To zakończenie „hurra“ także niewłaściwe, podchwyciła na szczęście muzyka. Rozległy się okrzyki: „Hurra! wiwat!“. Siadłem mokry od emocji i sięgnąłem ręką po podstawiony mi kieliszek szampana, gdy poczułem na swem ramieniu mocny uścisk; to dowódca brygady, oberst v. Wasserthal, schylony szeptał mi w ucho:

To jest bezczelność, jak pan śmie przemawiać bez zgody przełożonych, spakować się i jechać”.

— Rozkaz! — sznułem nogami i wyszedłem na dwór. Już mi podstawiono sanie.

...A nazajutrz coś za gniewne spojrzenia dowódców. Jakież dyshonor zrobiłem, myślałem zrezygnowany, choć kapitan Varaus pocieszał mnie, że няма tego złego, coby na dobre nie wyszło.

W dwa dni potem w rozkazie Ekscelencja wyraził życzenie, by teraz czwarty bataljon złożył wizytę piątemu. Życzenie Ekscelencji świętym rozkazem. Aż do Budapesztu pojechali prowiantowcy po zakupy. Nasze przyjęcie miało zaćmić sławę czwartego bataljonu. Kawitory, łososie, homary, pstragi, ananasy, dziczyzna, — no i napitki — „tylko“ jarzębiak izdebnicki, „tylko“ koniak Martella, „tylko“ mrożony szampan francuski, — słowem bal, jakiego front nie widział.

Kapitan Irblich na telefoniczny rozkaz brygadiera zakazał mi pod grozą najgorszych następstw ośmielić się zabierać głos.

Rozpoczęła się wreszcie uczta. O jej wykwincie niech świadczy fakt, że ordynansi, podający do stołu, mieli białe rękawiczki. Dzięki temu też tłukło się szkło, jak na zamówienie, aż mistrz ceremonji, porucznik Liwacz nakazał zdjąć nieszczęsne dla Maćków „hansiuhy“. Przy deserze na wyraźne życzenie Ekscelencji głos pierwszy zabrał nasz dowódca bataljonu, potem brygadjer, wreszcie Ekscelencja. Czułem na sobie piorunujący wzrok brygadjera: „Tylko się waż zabrać głos“ mówiły jego oczy. A Ekscelencja, jako że przy zakąskach już zdrowo zakroił, zaczął miękko:

— Panowie koledzy! (na salę powiał jakby cieplejszy podmuch). I ja zostawiłem w Wiedniu żonę, matkę i troje dzieci. I mnie tęskno do nich, dlatego każde szersze słowo rozumiem. Wyraziłem życzenie, by powtórzyć wieczór, bo dobrze się czuję wśród was. A bardzo mile mnie uderzył poprzednio pan chorąży rezerwy, (tu mówca wpatrzył się w szary kąt, a za nim wybałuszyli oczy i sztabowcy). Pan chorąży, choć młody, ale widzę, stary żołnierz, mówił, jak żołnierz powinien. Chodź tu, kochany kolego.

Czułem, żem czerwony, bo wszyscy wypatrzyli się na mnie.

— Chodź, woła Ekscelencja i wypij ze mną „Bruderschaft“.

Postąpiłem z kielichem w rękę ku Ekscelencji; teraz sztabowcy skwapliwie zrobili mi przejście. I oto ja, nędzny proch, chorążego rezerwy, jestem muśnięty policzkami Ekscelencji. Uścisnąłem mu rękę, jak staremu znajomemu. Muzyka zagrała tusz, znów pękły nowe szampany i za chwilę tuli mnie w bru-

derschafcie brygadjer Henneberg, a potem horrible dictu! oberst v. Wasserthal, szef sztabu, komendant szpitala, intendent, proboszcz dywizyjny..., słowem nim doszedłem do swego dowódcy bataljonu, byłem urzęnięty, jak nieboskie stworzenie.

Nastrój zrobił się niezwykle serdeczny. Szary koniec, prawie wyłącznie z Polaków się składający, huknął po polsku w stronę Ekscelencji: „Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... „W patryjotycznym uniesieniu muzyka zagrała marsza Radetzky'ego, na co my „Jeszcze Polska nie zginęła“. Z tem wszystkiem zabawa wrzała do godziny siódmej rano.

O dziewiątej już, jako dyżurny oficer, maszerowałem z bataljonem do kościoła, była to bowiem niedziela.

Rozpoczęła się msza. Z trąb wybiegały pienia ku chwale Stwórcy. Ksiądz, któremu z pod ornatu widniały buty z ostrogami, rozpoczął czytanie Ewangelji. Naraz posłyszeliśmy huk, ziemia się zatrzęsła, posypało się z okien szkło, pospadały świece. Cisza zaległa świątynię. Wtem drugi, jeszcze potężniejszy świst — wybuch, z sufitu leci tynk.

— Alarm! Zbiórka! krzyknąłem — maszerować do baraków! Ksiądz z ministrantem już biegł ku zakrystji.

— Alarm! zbiórka! — krzyczą gońcy. Od strony Alp słyszeć bełkot artylerji. Dowiadujemy się od dowódcy bataljonu że Włosi atakują. W pół godziny potem ustawieni w marszową formację już maszerowaliśmy w stronę, skąd łoskot szedł...

Rozdział XX.

Posuwamy się z zachowaniem przepisów regulaminu polowego walki górskiej; uruchomione są straże przednie i patrole boczne. Jest to zbyteczne. Od linii oddziela nas w promieniu kilkanaście kilometrów, ale by dojść do celu trzeba całą dobę maszerować. U stóp pierwszej partji gór jest jakaś fabryka, pełna skomplikowanych, stalowych lin, które w powietrzu biegną ku frontowi. To kolej napowietrzna, którą transportuje się żywność i amunicję.

W okresie obecnym, wobec ciepłych wiatrów, choć to połowa lutego, ruszają ze żlebow lawiny śnieżne. Nasz marsz odbywa się zatem ostrożnie. Miejsca na szosie, kędy lawiny spływają wdół, są pokryte specjalnymi pomostami z grubych bierwion. Mijamy odcinki, gdzie lawiny dosłownie starły pomosty, porywając je ze sobą w przepaść. Napotykamy też w tych miejscach olbrzymie masy śniegu, zwały gruzu, kamieni, złodowaciałej ziemi. W niektórych punktach lawina zatrzymała się akurat na szosie, to też idziemy w podnieceniu, by nie ruszyła w dalszą drogę razem z nami. Dlatego pojedynczo przeskakujemy te igraszki natury. Nakazana bezwzględna cisza, nawet kaszleć niewolno, najmniejszy stuk porusza te drżące masy śniegu. Z tem wszystkiem niechże trzaśnie tu granat nieprzyjacielski, a bodaj szrapnel.

Już po północy. W poświacie księżyca pniemy się wciąż ku górze, za którą odsłaniają się nowe bezmierne płaskowyże. Idę z przednią strażą. Daleko i głęboko gdzieś niżej suną żołnierze, jak duchy, poubierani w białe płaszcze. Nasz przewodnik, podoficer - bośniak wprowadza nas w wązki tunel. Okazuje się sztolnia na metr trzydzieści centymetrów wysoka, wykuta w litej skale.

Takich tuneli, długich na kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt metrów, jest tu dużo. Zbudowane są one w miejscach specjalnie przez Włochów ostrzeliwanych.

Wreszcie, gdy już świt, wylania się przed nami ogromny masyw górski, żywo Gewont tatrzański przypominający. To Findenigkofl. U jego stóp spoczywamy. Znużeni pokładli się żołnierze na śniegu, zasypiając momentalnie.

Koło południa osiągamy podstawę szczytu Findenigkofla. Na odprawie oficerskiej komunikuje nam dowódca bataljonu bośniackiego, który mamy złuzować, że zwały śnieżne, naniesione wichrem na szczyt Findenigkofla grubości do dziesięciu metrów, runęły wczoraj wieczorem i zgmiotły na miazgę barak z rezerwową kompanją. Istotnie, bezładne masy śniegu zlodowaciałego tworzyły na wzniesieniu olbrzymi kopiec. Właśnie sanitariusze znosili zwłoki. Naliczono dotąd dwudziestu siedmiu zabitych, dziewięciu ciężko rannych. Zgmiotło i schron oficerski. Na szczęście wewnątrz było tylko dwóch oficerów. Zwłoki ich niesiono ku kolejce linowej. Miały być uroczyście pogrzebane.

Major Hülgerth ze sztabem pozostał na dole, gdzie w bezpiecznym miejscu drewniana willa w szwajcarskim stylu była jego schroniskiem i zarazem siedzibą dowództwa, wreszcie i kasynem.

— Jak się wam nudzić będzie na górze — zjeżdżajcie na dół na taroka i grog, zapraszam nas gościnnie. Był bowiem namiętnym tarokistą i zwolennikiem grogu.

Pół godziny trwał jeszcze marsz naszej kompanji w górę. A teraz kompanja mija miejsce wczorajszej katastrofy. Chudy, wysoki bośniak rękami rozgrzebuje grudy śniegu i kruszy je w palcach. Szuka brata, sam ocalał. Podoficer bośniacki, patrząc na niego, stuka w głowę palcem. Przechodzimy milcząc. Droga pnie się w górę stromo tak, że rękami musimy sobie pomagać. Dowódca kompanji zostaje w sąsiednim schronie. Półkompanja, której jestem dowódcą ma zająć wierzchołek szczytu. W chwili, gdyśmy się wdrapywali na niego, Włosi zasypali nas ogniem artyleryjskim. Na szczęście szrapnele przenosiły, zaś granaty wybuchwały z przeciwnej strony. Powitanie nieszczerłone.

Zorjentowawszy się w sytuacji, rozstawiłem stałe posterunki. Na służbie dziesięciu ludzi, reszta do saperskich robót. Przedewszystkiem budujemy prowizoryczne schrony, w braku materiału, ze śniegu. Czego spryt ludzki nie dokaże. Wynalazczy żołnierze prasują śnieg w kostkę i składają z nich wcale zgrabne domki, gdzie z małym trudem usnąć może w leżącej pozycji czterech ludzi. Za

podkład służy brezent namiotu, poduszką — plecak, płaszczem się przykrywamy. W środku dymi nawet piecyk polowy. Mam wrażenie, że tak żyją Eskimosi. Ściany objamamy gazetami, listami, wogóle czem można.

Dzień mija szybko. Sytuacja lepsza jak na Wielkim czy Małym Palu. Tu my jesteśmy w górze, zaś Włosi głęboko w dole; widać tam dobrze brudną smugę; to ich rowy.

Przykrość nam tylko sprawia przeciwległa wysoka góra, Monte Dimont. Stamtąd biją działa górskie, a bodaj polówki. Dokuczają nam również ogniem karabinów maszynowych ze szczytu sąsiedniej góry. Hoher Trieb, skąd flankowym ogniem utłukli nam już jednego podoficera.

Nasze prace saperskie obejmują i szczyt góry, przez który w śniegu przebijamy tunel. W ten sposób za kilka dni będziemy jeździć saneczkami do dowództwa bataljonu. Wieczorem otrzymujemy spłonki saperskie i miny. Będziemy budować kawerny. Mamy to czynić we własnym zakresie. Musimy również wykopać i studnie artezyjskie. W ręku moim plany, projekty, przekroje.

Wieczorem niebo się wyiskrzyło i chwycił tęgi mróz. W naszych śnieżnych kwaterach ścieka woda ze ścian, mimo to śpiemy dobrze.

Nazajutrz cudowna pogoda. Dlatego też od świtu pukanina. Ale tem się nie przejmujemy. Budujemy pośpiesznie na stoku od strony Włochów punkt oporowy. Jest to galeryjka z ośmiu otworami strzelniczymi, z magazynem rezerwowym amunicji i granatów ręcznych. Nawiedził nas dzisiaj lotnik włoski. Przyleciał nagle i tak cicho, żeśmy nie mogli go, jak należało, powitać. Leciał wzdłuż szczytu, obserwując nasze roboty. Groziłem mu rewolwerem, a on machał ku mnie ręką. Ale jakoś żał mi było strzelać do niego.

Praca wre. Elektryczne świdry drążą skałę, pękają z hukiem założone petardy i miny. Jeden schron na czterdziestu ludzi o dwóch wejściach będzie gotowy jutro na wieczór. W robocie już druga takążsama kawerna. Muszę też rozpocząć budowę swojego schronu. Linja telefoniczna już założona, teraz montujemy ręczną windę dla wyciągania z dołu, gdzie kuchnie się rozsiadły, menaży, wody i t. d. Pracujemy zawzięcie, bo podobno Włosi mają nas atakować.

Czas leci. Poza normalną pukaniną chyba tyle nowego, że ku memu zdziwieniu dowódca kompani udekorował mnie uroczyście srebrnym medalem waleczności. Grunt, że za to płacą. A kilkanaście koron miesięcznie przydać się może.

Za swą łapczywość zostałem ukarany. Miałem już prawie gotowy schron na dwa i pół metra długi i półtora metra szeroki. Wydawał mi się za mały. Osobiście zaszpuntowałem kieszkę z prochem, by wysadzić jeszcze część skały. Nastąpił silny wybuch, który rozerwał ścianę tylną i wyrwał powierzchnię tak, że od strony włoskiej widać wszystko, jak na dłoni. To też klnę, na czym świat stoi. Wobec braku miejsca, na wystającym zrębie skalnym buduję domek z drzewa. Konstrukcja nieciekawa. Jest to raczej szałas, choć ma i okienko. Ale, że leży nad przepaścią, ze dwieście metrów liczącą, zatem przymocowujemy węgły schronu zapomocą lin do skały. Z konieczności muszę liny te umocować wobec pochyłego terenu po stronie włoskiej. To też żyję w lekkim podnieceniu, by jaki pocisk nie rozbił punktu zaczepienia.

Wreszcie schron gotowy. Mebluję go, czem można. Jest nawet i zaimprovizowana wycieraczka.

Od dwóch dni pada śnieg, pędzony wichurą. Posterunki marzną bardzo. Pięciu odmroziło nogi, zadowoleni jednak, bo poszli do szpitala.

Wieczorami mamy ciekawą iluminację. Ze wszystkich ostrych zakończeń, z daszków na czapkach, z bagnetów, z karabinów, z lasek, a nawet z paznokci wytryskują iskry elektryczne. Poza tem w zadymce śnieżnej słychać tępe grzmoty. Żołnierze boją się, bo też rzeczywiście niesamowite robi to wrażenie. Śnieg nas zasypuje. Drogę znaczymy kijami, inaczej trafić nie można. Schrony żołnierskie tak w nocy zasypało, że trzeba było je z zewnątrz odkopywać. Z tem wszystkiem strzelanina prawie całkiem ustała, widać i Włochów aura nie nastraja wojowniczo.

Major Hülgerth, z okazji otrzymania wojennego krzyża zasługi, wydaje bankiet. Golę się na gwałt i zjeżdżam tunelem do dowództwa. Przyjęcie pierwsza klasa, do kolacji przygrywa kwintet smyczkowy. Po kolacji tarok i preferans. Opóźniamy odejście, bo na dworze straszna wichura i śnieg, łatwo też stoczyć się w przepaść. Telefonicznie meldują, że na linji spokój.

Całą noc szalała burza śnieżna, dopiero nad ranem się uspokoiło.

Nazajutrz przepiękny krajobraz wokoło. W słońcu błyszczy niepokalana biel śnieżna i gdyby nie specjalne okulary, w które jesteśmy zaopatrzeni, można oślepnąć.

Jakież było moje przerażenie, gdy w miejscu mego schronu zastałem pustkę za przybyciem. Pucflek Cebula opowiadał mi, że jak zaczęło trząść budą, wyrwał na dwór, ale go wichrzyca przewróciła. Na szczęście złapał się jakiegoś kołka. Tymczasem

schron cały ze wszystkim „podniosło, panie fenryk, jak pudełko i ciepło tem w dół”. Popatrzyłem w dół przez szkła — nic tam nie dojrzałem prócz masy śniegu. Cały mój majątek, necesser, zapasy żywności, tytoniu, bielizna, a nawet gotówka poszła...

Nie dałem jednak za wygraną i z wielkim trudem, ale ostatecznie odnalazłem szczątki schronu i niektóre rzeczy. Tak więc nolens volens znowu musiałem zabawić się w budowniczego. Teraz jednak robiłem to już z pewną metodą wedle wskazówek cieśli; wybudowałem domek w stylu podhalańskim z napisem polskim: „Gość w dom, Bóg w dom”.

Budowę przerwał mi major Hülgerth rozkazem. Dla zasięgnięcia języka dywizja nakazała zdobyć jeńców. Mam dowodzić wyprawą.

— Cholera! — Wcale nie mam ambicji zdobywania laurów. Dostać się do Włochów łatwo, ale jak wrócić?

Porucznik Kraus wybrał do tej imprezy dwudziestu najlepszych strzelców, w tem sześciu podoficerów. Wiewióra na ochotnika.

Noc pogodna, księżyc na nowiu. Wcale mi to nie na rękę. Takie wyprawy udają się najlepiej podczas kurniawy, a bodaj niepogody. Ale rozkaz jest ścisły i musi być wykonany. Zresztą jestem zdecydowany na wszystko. A może, mówiąc językiem właściwym, „wsiąkniemy”. Już widzę w dali Florencję, Rzym... Zobaczymy.

Szczegóły wyprawy opracowane. Będzie w razie potrzeby i współdziałanie baterji dział górskich. Wymarsz o dziewiątej wieczorem. Dla animuszu fasują ludzie po pół manierki rumu. Wypili go szelmy jednak zaraz. W decydującej chwili gotowo braknąć animuszu, ale narazie go mają. W plecakach po sto dwadzieścia naboji karabinowych, za pasem po cztery U — granaty, o wielkiej sile eksplozywnej. Biorę po dwie czerwone i zielone rakiety; pierwsze — to sygnał dla artylerji, drugie znaczą „ratunku”. Jużemy gotowi.

— Pojedynczo za mną marsz! — komenderuję.

Defilujemy przed majorem. Ścisła mi ręce i życzy nam powodzenia. Jesteśmy już na stoku od strony nieprzyjaciela. Z oddziału wysyłam dwa patrole na prawą i lewą flankę. Przy sobie zatrzymuję karabin maszynowy, ośmiu strzelców, czterech podoficerów. U Włochów i u nas cicho. Na szczęście chmurzy się trochę. Już tylko pięćdziesiąt kroków do ich linji.

— Padnij! — komenderuję szeptem. Czekamy na Wiewiórę; ma on za zadanie z trzema ludźmi wtargnąć do rowu bez strzału.

Upływa pięć, dziesięć minut — nic. Zaczynam się niepokoić. Naraz łomot — raz, drugi; to granaty ręczne w ruchu, a więc nie obejdzie się bez walki.

— Za mną marsz! — wołam głośno. Na lewo od nas strzelanina. Teraz i z prawej strony nas ostrzeliwują. Jesteśmy tuż pod linią nieprzyjaciela. Pod stopami czuję drut kolczasty. Rzucamy granaty. Na całej linii odzywa się ogień. Teraz i z austriackiej strony biją maszynki. Wypuszczam czerwoną raketę. Wylatuje z gwizdem i krwawym blaskiem zalewa biel śniegu. Dalsze czekanie na miejscu nie ma sensu. — Naprzód! — Skok i jesteśmy już w okopach. Cisza tu. Tylko na ziemi porzucone łopaty, naboje, bagnety, czapki.

— Zwiąły cholery, — klnie strzelec Pawłowski.

Biegniemy na prawo rowem. Potykam się o coś, to człowiek leżący; przy świetle latarki elektrycznej poznaję po naszywkach podoficera włoskiego. Nie żyje. Z czoła tuż nad okiem sączy się krew. Ludzie moi pobiegli dalej. Ktoś chwytą mnie za połę płaszcza. Jakaś postać żołnierska w klęczącej postawie z rękoma złożonemi, jak do modlitwy. Dźwigam do góry, jego ręce teraz wniesione. Rewiduję kieszenie, nic tam niema. Pokazuję na migi, za mną marsz. Ale o to z za trawersy — z rękami wzniesionemi do góry — kroczy pięciu bersaglerów, za nimi sierżant Wiewióra z ludźmi. Cel osiągnięty. Zadanie wykonane. Teraz odwrót. Przykładam do ust syrenę, ale głos jej niknie w trzasku i łoskocie strzałów. Walka dopiero teraz się rozpala. Zwłaszcza u Włochów biją, jak szalone karabiny maszynowe. Z pomocą wzajemną wydostajemy się na wierzch. Na szczęście ogień skierowany na szczyt Findenigkoffla, tam pękają szrapnele. Czas najwyższy uciekać. Pistolet mój z czerwoną raketą się zaciął, wreszcie gotów. Rakietą wyskoczyła w górę i rozpala krwawe światło. Austriacy otworzyli natychmiast morderczy ogień, skierowany na linię włoską i stanowiska włoskich baterij. Teraz uciekamy. Głęboki po pas śnieg utrudnia ucieczkę. Jeńcy jednak, związani za ręce sznurem przez Wiewiórę, torują nam drogę — wyrrywają zaś tak szybko, że ledwie im możemy nadażyć. Już przed samym szczytem Findenigkoffla, dostajemy się w ogień włoskich karabinów.

— Padnij! Gdy ogień ustał, podrywamy się dalej. Przed nami na prawo majaczy grupa ludzi.

— Stój! Kto tam?

— Kapral Szaruga posłusznie się melduje i dwóch jeńców.

Po wzniesionych rękach poznaję zdobycz. Dalej, dalej. Rakietą zieloną wskazuje miejsce postoju posiłkowego plutonu. Tu

już jesteśmy bezpieczni. Teraz maszerujemy wolno. W pół godziny potem zdaję raport. Dziewięciu jeńców, dwóch podoficerów, jeden karabin maszynowy, ośm karabinów strzeleckich, kilkanaście bagnetów, czapek z odznaką bersaglierów. Niestety, trzech ludzi straciliśmy. Nazajutrz można było widzieć jednego z naszych, jak leżał rozciągnięty przed włoskimi pozycjami na śniegu. Na trzeci dzień jednak znikł. Widocznie uprzątnęli go Włosi.

* * *

Dni i noce upływają. Przywykliśmy już do ognia artylerji włoskiej, ogień piechoty nas nie dosięga. Za to bijące z Monte Dimontu działa górskie, choć biją małym kalibrem, niszczą nam okopy po stronie południowej. Wczoraj granat rozbił magazyn podręczny granatów ręcznych, przed paru dniami trafił w skrzynię kuchenną z gulaszem ku prawdziwej rozpaczycy ludzi. To też rośnie zawziętość w sercach naszych. Major Hülgerth tak długo alarmował brygadę, że wreszcie postanowiono zniszczyć pozycję nieprzyjacielską na Monte Dimont. W Mauthen i w Laas montują teraz dwa moździerze 30,5 centymetrowego kalibru. To będzie coś. Takie dwa kuferki, a ze szczytu Monte Dimont pozostanie kupa gruzu, żelastwa i strzęp krwawy artylerzystów, pociesza nas dowódca bataljonu.

Jakoż wreszcie jednego dnia o siódmej rano coś wstrząsnęło moim schronem. Wybiegłem na dwór. W powietrzu ryczało, jakiś brzęk, jakby szkło tłuczone; nasze uszy wierci poświst, szum, — biegnie on wyżej, wyżej — niknie gdzieś w przestworzach.

— To mörsery, szepczą z nabożeństwem żołnierze. Sekund kilka, a z góry, gdzieś z niebios spływa łoskot, niżej, niżej, czuć drganie powietrza, jakieś wichry, piski, już nad głowami naszymi — w sam środek góry, rrrryms! Ze szczytu Monte Dimont bryznął słup żółtawy, ogień i czarny dym.

— W celu, w celu, krzyczą radośnie żołnierze. Na Monte Dimont cisza. Przez szkła widać żółtawą plamę na szczycie. Dostali, czy nie?! W dziesięć minut potem drugi strzał. Jak grzmot, silniejszy, niż piorun, tłukący się po ziemi. I znów na Monte Dimont słup ognia i dymu szarawo-czarnego.

— Teraz tam im dogodzili, konstatuje z zadowoleniem porucznik Kraus.

O ósmej znów dwa strzały. Tak w odstępach dwugodzinnych trwało to do czwartej popołudniu. Przez lornetę widać wyraźnie

na strzepy rozdarty szczyt Monte Dimontu. Tak! To potężne działa; w proch ścierają góry i równają je z dolinami.

— Ciepło „taljanom“ mruczy mój „pucflek“, nakrywając do obiadu. A propo's nakrycia, owszem z paradą ścieli gazetę, na to blaszany ronderek, wieko od szalki, no i w manierce czarna kawa.

Już po południu; mózdzierze echem rozgłośnem krzyczą sławę warsztatów Skody. Das ist Genie der germanischen Rasse*) twierdzi kadet Wurst.

— Teraz poczują te „katzelmachery“, mówią dumnie oficerowie Niemcy.

Kadet Kotarba flegmatycznie zauważa, że i wytrychy są pomysłu genialnej rasy germańskiej.

I tak wpatrzeni w dymiący szczyt znienawidzonego Monte Dimontu — żyjemy satysfakcją zemsty, tem, co Niemcy nazywają „Schadenfreude“, radość z cudzego nieszczęścia. O czwartej od strony Mauthen słychać okropny huk. Za chwilę telefony donoszą: — pękł dumny Mörser — ze złości, że nadmierną porcję musiał wystrzelić. Zabitych przytem siedmiu i trzech rannych z obsługi. Bagatela. Zresztą niech i kanoniery od ciężkiej artylerji wiedzą, że to wojna.

Pozostałe w Laas działo wyrzuciło jeszcze dwa pociski.

Koniec z baterją złośliwych górskich dział. Teraz na Monte Dimont — żałoba, pokuta. Trupy, krew, drzazgi i ścięty szczyt góry. Tak myśleliśmy. I jakież było nasze zdziwienie i rozpacz gdy dziesięć minut po szóstej ze szczytu Monte Dimont odezwały się cztery, tak dobrze nam znane odgłosy i równocześnie nad Findenigkofflem rozkwitły cztery białe dymki. Akurat u nas będący obserwator mózdzierzy „oberleutnant“ Sauber odbierał gratulację za pogromienie Włochów, już z dywizji awizowano mu wojenny krzyż zasługi, aż tu masz. Klnie też niemczysko od „hundert Teufel...“**), cóż, kiedy baterja włoska na przekór jego naukowemu tezom o „miażdżącej granity“ sile mózdzierzy przeczy urągliwie raz po raz salwami i to jakby na śmiech... szrapnelami!

Rzecz zrozumieliśmy. Włosi, znani jako najlepsi w świecie minierzy i kamieniarze wyłobili głęboki tunel i w nim na szynach posuwali przy wystrzałach działa, cofali zaś po wystrzale. Potwierdzały nam to teraz lornety. Nad tunelem zaś sufit na kilkana-

*) To jest genjusz rasy germańskiej.

**) „Od stu djabłów“.

ście metrów z litej skały. Mogli więc Włosi drwić sobie nawet ze stucentymetrowych moździerzy.

Byliby nas długo jeszcze w ten pamiętny wieczór niepokoiłi, ale zaczął dąć wiatr, który w wichurę się zamienił. Wkrótce rozszalał się huragan i niebawem teren walki znikł w kłębowiskach śnieży. W pół godziny znikły i rowy nasze, zasypane śniegiem. Szalejący orkan zagłuszył nie tylko strzały, ale nawet głos ludzki tuż do ucha skierowany. Tak trwało do rana.

Gdy wichrzyca wreszcie ustała krajobraz zupełnie się zmienił. Z naszych stanowisk widać, jak daleko okiem sięgnie, jedno morze śniegu. Lśni on teraz w blaskach słońca oślepiającą bielą. Na szczęście mamy ochronne okulary.

Nadeszły potem srogie mrozy. Termometr wskazuje powyżej 25° R. w cieniu. To też coraz częściej trafiają się odmrożenia nóg i rąk. W naszych schronach względnie ciepło; palimy w piecykach polowych jedliną i świerczyną, trzaska ogień przyjemnie i zapach miły się rozchodzi. Nie dbamy o dym, widoczny dla Włochów, bo u nich też dymy się snują wzdłuż strefy obronnej. Zresztą wobec zjawisk natury hamują się wojownicze zapędy. Tylko artylerja tu i ówdzie porykuje. Dzień nam upływa na obserwacji niezmierzanie pięknej przyrody, no i — o ile się złoży partja — na grze w taroka lub preferansa.

Jednego wieczora nagły rozkaz zerwał nas na nogi. Z obsady bataljonu dwie kompanje miały odejść dla zgęszczenia linji na Małym Palu. Rozkaz objął i naszą kompanję. O czwartej rano maszerowaliśmy w dół do Dellach, a po dwugodzinnym postoju — narsz dalej. I znów, jak sześć tygodni temu, ujrzelśmy na Plöcken-Passie sznur jarzących się świateł... tak nam ten świat znany.

Nazajutrz jesteśmy na stanowisku. Było tu gorzej, znacznie gorzej, niż na Findenigkofflu. Codziennie paru zabitych i rannych. Ale po dwóch tygodniach, gdy minęło niebezpieczeństwo, urojone w głowach strachajłów przed atakiem włoskim, cofnięto nas na Findenigkoffl, bo teraz znowu tu spodziewano się borby.

Rozdział XXI.

Z tym Polepą do dzisiaj nie mogę się uspokoić. A było to tak.

Przyprowadzili go do mnie. Stał błydy, wystraszony. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył na mnie, jakby w obląkaniu. Wtedy dźwignąłem się z wolna z krzesła i podchodząc ku niemu, zmierzylem go wzrokiem od stóp do głów, poczem wbiłem wzrok w jego oczy, chcąc je przeszyć do głębi, chcąc wypatrzeć w nich duszę. Ale oczy jego nie mówiły, jeno był w nich obląkańczy, zwierzęcy strach. Drżał cały, ręce mu się trzęsły, ugiwały kolana, które prostował z wysiłkiem, o krok w tył za każdym razem postępując.

Staliśmy tak chwilę naprzeciw siebie. Miałem go skarcić druzgoczącymi argumentami, miałem go wedle ułożonej przed pięciu minutami mowy — zmiażdżyć. Toż to horrendum, huczało mi w głowie, — z posterunku ująć!... wreszcie wyrzuciłem z siebie.

— Ty tchórze!...

— Panie chorąży — próbował delikwent przemówić, lecz przerwałem mu:

— Milcz, nędzny tchórze!

— Nie mogłem, panie chorąży — jęknął dezertier...

— Nie mogłeś?! — To jest subordynacja, to na to ci się tyle wyklada o regulaminach, żebyś ty bez zluźowania samowolnie z posterunku uchodził!

— Nie mogłem, musiałem... — począł się bronić.

— Musiałeś!?... ja ci pokażę mus! — grzmiałem.

Usiadłem do stolika, by złożyć raport służbowy. Ale leżący na stole telefon nasunął mi myśl, by tą drogą sprawę załatwić. Mimo wszystko szło mi o jego usprawiedliwienie, chciałem dowiedzieć się, dlaczego?! Więc symulując, że piszę w jego sprawie, zwróciłem niby od niechcenia oczy na niego. Stał we drzwiach mej kawerny. Po jego bokach, wyprostowany jak struna wasaty pluto-

nowy, Machowicz i szeregowiec z najeżonym na karabin bagnetem. Dezerter blady był jak ściana i coraz nim drgawki wstrząsały.

— Co masz do powiedzenia, bo za karę pójdiesz pod sąd polowy.

Wzdrygnął się na to, jakby prądem rażony.

— Widziałem ją, jak szła...

— Kto, co, gdzie?!

— Szła, panie chorąży, Pan Jezus świadkiem, szła od „Taljana“*), z kosą w ręku, dyrekcję na mnie miała.

W tej chwili zadzwoniły małe szybki w okienku, gdzieś niedaleko wybuchnął granat.

— Jakem zoczył, ciągnął Polepa, że ona do mnie, strzeliłem.

— No i...?

— A ona nic. Poskrobała się po kolanie, pewnikiem ją trafiłem. A ona renke ku mnie wyciongnęła i w „lauśrycie“**), do mnie — tu mu się głos załamał. Ni mógł wytrzymać, — ciągnął dezerter ze szlochem, i... darujcie, darujcie panie... — schylił się do mych kolan.

— Uciekleś, jak najędźniejszy tchórz — rzuciłem gniewnie.

— I to bez gwera — wtrącił srogi plutonowy.

Delikwent zaczął szlochać.

— Jakto? I karabin rzucił?! — dziwowałem się.

— Jo som już nie wiem, — mówił, łkając przez łzy, — cosik mnie sparło, som nie wiem locego, musiołem. Już tego więcej nie zrobię... odpuście panie, doma czworo dzieciek i baba i ociec niewidomy... Darujcie!...

Stałem przy oknie, by rozważyć tę sprawę. Wichrzyca zerwała się gwałtowna, śniegiem sypiąc, choć miało się już ku Wielkiejnocy. W ponurym jej poświście jęczało coś z takim żalem, że i rezon straciłem. Zdawało mi się, że słyszę jego czworo dzieci, jak z płaczem proszą za ojcem. I jałem się ze sobą pasować. Ukarać go dla przykładu, myślałem, patrząc w szalejącą zawieruchę. I przez chwilę już chciałem to uczynić.

A oto zdało mi się, że z zadymki śnieżnej widzę wyciągnięte ku sobie ręce jego żony i ojca niewidomego...

Wtedy duszę swą dźwignąłem nad wojskowy rygor.

Przebaczę, postanowiłem. Ba! A równocześnie zdemoralizuję cały oddział. Nie! Nie!

*) Włocha.

*) Biegiem.

I znów wpatrzyłem się w śnieżycę. Aż naraz ścierpłem cały. Na moment, na jeden króciutki moment, zdało mi się, że i ku mnie idzie, ona — kostucha, z kosą w rękę.

Odwróciłem oczy na izbę.

Wýprostowani stali dwaj żołnierze obok Polepy, oczekując dalszych rozkazów. Dość napróżno przelewanej krwi polskiej, dość trupów, przemknęło mi w głowie. Więc dałem rozkaz; przeznaczyłem go na posterunek numer cztery, ten najbezpieczniejszy.

Odszedł. W blaskach migotającego płomyka świecy widziałem jego rozszerzone oczy, w których trudno było wyczytać, rozpacz, czy radość. Machowicz wesa podkręcał we drzwiach.

Położyłem się na polowem łóżku, myśląc, czy właściwie postąpiłem. O tem, że Polepa w niejednej bitwie brał udział, że znękany wojną — wiedziałem. Że w okopach nie doje, nie dośpi, że nerwy stargane wywołują zjawy — to wszystko rozumiałem. Ale mimo wszystko, to jest wojsko, wojna.

I znów myśli moje otoczyło czworo dzieci z Polepową i ojcem niewidomym pośrodku. I za co? Dla kogo dajemy krew. Dla Austrii, Niemców?!... My Polacy?! Dość rozmyślań — sprawa załatwiona.

Lecz trzy dni upłynęły. Tak samo, jak wtedy, tłukł się wichur ze śniegiem po szczytach Alp Karyntyjskich. Siedziałem przy stoliku, kreśląc szkic mych stanowisk, gdy do kawerny wpadł zadyszany plutonowy, Machowicz.

— Nie zwidywało mu się, meldował z podniesioną do daszka ręką.

— Co?! Komu?...

— Polepie, melduję posłusznie, panie chorąży. Zabitego my na poście*) znaleźli.

— Więc mu się nie zwidywało, szeptałem do siebie, idąc na posterunek numer cztery, to i mnie też chyba — myślałem, czując mróz po kościach. Piąłem się w górę, czepiając się wbitych w skałę klamer i zdawało mi się, że tuż za mną kroczy czworo małych Polepów z Polepową i ojcem niewidomym pośrodku...

*) Posterunku.

Rozdział XXII.

Przez lornetę patrzymy głęboko w dół. Po stronie włoskiej widać minjaturowe miasteczko St. Paularo. Zieleni się tam już, pasą się krowy i owce. U nas śniegi, zawieje, mrozy. Inny świat. Pokrywa go śnieg i lód, ale nie jest on martwy. Przeciwnie.

Od wschodu słońca, kiedy tonie jeszcze w mgłach, żyje on nieskończoną gamą barw. Czerwieni się, złoci, to jakby go kto nakrył niebieską draperją, a o zachodzie słońca krwawi się w szkarłacie. To plon dnia. Bo jakkolwiek u nas straty niewielkie, przecież na prawo i na lewo do nas, zwłaszcza na Hoher Trieb wciąż ranni i zabici. Na naszym odcinku spokojniej.

Oficerowie z konieczności uczą się jeździć na nartach. Wyniki nadspodziewanie dobre. Igranie z życiem, gdy mija się przepaść, bądź jak z odskoczni ją przeskakuje jest przecież niczem wobec konieczności wystawienia głowy na kule. Zresztą jakby natura chciała się przypodobać, nikogo dotąd nie karze. Podporucznik Giercuszkiwicz złamał nogę, ale mówi się: „psiakrew szczęściarz“. Zabezpieczone cztery miesiące w szpitalu, do tego czasu i wojna się skończy.

Ale tymczasem wojna trwa. Gdy tylko pogoda, już karabiny i działa pracują. Żołnierze względnie zadowoleni. Menaż dochodzi regularnie. Winda pracuje doskonale. Woda jest, drzewa na opał wbród, a więc poza służbą na posterunkach i patrolach na przedpolu nic się nie robi. To też żołnierze, o ile nie śpią, grają w karty, piszą listy, czytają gazety, naprawiają odzież, rynsztunek, czyszczą broń, umacniają pozycję.

Już jest koniec kwietnia. Zapomnieliśmy, że poza nami istnieje świat i życie. Wiemy tylko, że prowiantura funkcjonuje doskonale, że kolejka linowa działa bez zarzutu, choć pozbawia życia pasażerów. Żołnierze bowiem, mimo surowych zakazów—jeżdżą nią,

oszczędzając sobie sporo trudu. Spróbował tej lokomocji i general Henneberg, sadowiąc się na ławeczce, gdzie worek mąki przywiązywano; nie dał się przywiązać i kiedy wyjechał nad otchłań, do trzystu metrów licząc, dostał widocznie zawrotu głowy i runął w przepaść. Pogrzebano go z honorami, asystowałem na pogrzebie, a po stypie, t. j. strzemiennym, w kasynie XIII Brygady sam z zawróconą nieco głową wsiałem wraz z innymi na ławeczkę kolejki. Było mi nad przepaścią dość nieswojo, kiedy jednak za mną i przede mną ujrzałem tych t. zw. luft-pasażerów nabrałem rezerwu i dojechałem szczęśliwie do stacji odbiorczej. Dłonie jednak od kurczowego przez pół godziny trzymania sztangi żelaznej tak mi zdretniały, że obsługa siłą musiała otwierać mi palce; ale nie tylko mnie, także i towarzyszom.

*

*

*

Myśleliśmy, że na Findenigkofflu wojnę zakończymy, ale gdzie tam! Koło ósmego maja zluźował nas węgierski pułk. Wyszliśmy świtaniem. Z żalem żegnałem Findenigkoffl. Znam go, każdą ścieżkę, każdy kamień. Z żalem żegnali go towarzysze. Dokąd nas poprowadzą? — Na wypoczynek, czy na nowe walki. Bo dzienniki donoszą, że na frontach rozpalają się nowe ofenzywy, że na francuskim froncie mordercze bitwy, że nad Soczą, w Gorycji na Doberdo, Monte Selo, Monte Gabriele — gazy, miotacze płomieni. Szliśmy też pochyleni ciężarem troski, co nam przyniosą najbliższe dni.

Minęliśmy już strefę lodów i śniegów, już stopy nasze miękko kroczą po mchu, poniżej pierwsze krzaki jałowcowe, pojawiają się samotne limby, a oto wkraczamy w lasy jodłowe i świerkowe. Dochodzimy już do doliny Drawy. Przed nami kobierce kwiatnych łąk; z brzękiem rynsztunku miesza się brzęczenie pszczół.

Wiosna! Wiosna! — Coś rozpiera piersi; coś prze do krzyku radości.

Maj — wiosna! Wesóło dźwięczą dzwoneczki krów i owiec, chłop orze ziemię, baby piorą płótno w potoku. Z oddalonego o dwa kilometry Dellach słychać dzwon. To na Anioł Pański, bo już ma się pod wieczór. Więc żołnierze zdejmują czapki, ktoś zanucił: „Anioł Pański zwiastował Pannie Marji...”. półgłosem odpowiada kompanja... Mój Boże, a tam na górze, na prawo i lewo ryczą działa, terkoczą karabiny.

Kwaterujemy. Kapią się wszyscy, golą, strzygą, wdziewają świeżą bieliznę, fasują nowe buty i... amunicję. A więc nie powrót do kraju, ale dalsza w nieskończoność wojna.

Dostałem nominację na podporucznika. Nie miałem nawet czasu oblać awansu, gdyż nazajutrz sześciu oficerów — między innymi i ja, wedle rozkazu dywizji mamy natychmiast odejść do dyspozycji dowództwa grupy w Gorycji.

Los, bo losował nas major Hülgerth padł i na mnie.

Odeszliśmy pożegnani bankietem, który jakoś się nie kleił. Cholera! Klniemy też w wagonie, co się zmieści.

Przypomniało mi się, że gdzieś we wnętrzu walizy mam list ppor. Gیزی z opisem frontu pod Gorycją. Dobrze więc będzie zorientować się w tem, co nas czeka. Wydobyłem go z niemałym trudem. Pożółkł dobrze i wyblakły litery, ale mogę go bez trudu odczytać. Sylabizuję go też kolegom:

„Kochany Stachu!

...Z Serbji los rzucił mnie na włoski front. 25-go czerwca 1915 r. wymaszerowaliśmy wieczorem. Cicho, z jakimś wewnętrznym skupieniem posuwa się nasz bataljon ulicami Gorycji. Ponura, czarna sylweta „Monte Sabotino“ piętrzy się przed nami. Dla kogo ona będzie grobem? Skręcamy u stóp góry ku Soczy w największej ciszy, bo pozycje nieprzyjacielskie tuż, tuż. Stoimy, okryci mrokiem nad skalistym jarem. Szumi głośno Socza, o czemś opowiada, jakieś skargi niesie do morza, żali się, że rodzinne jej góry zbroszone krwią.

Na brzeg drugi przechodzimy wąskim mostem wiszącym, małemi grupkami, bo most artylerja uszkodziła, to też chwieje się i skrzypi. U wstępu podoficer pionierów, szpakowaty, poucza, jak iść. coś niby Charon nad Letejską rzeką.

Po stromem zboczach pniemy się zeznoleni krętą drożyną. Mijamy domy pełne żołnierzy, zwisające okiście winogrodu, czarne sylwety cyprysów, potem krzewy tylko i coraz więcej kamieni, skał i coraz smutniej, coraz samotniej...

Zapada wieczór. Tu i ówdzie ciemne sylwety, czekających na luzunek węgierskich żołnierzy, to oddziały taboru górskiego na jukach z małemi beczułkami wody, kotłami z żywnością.

Północ. Chłodny wiatr mgłę niesie, deszcz zaczyna siąpić. Kompanje się rozdzielają. Odbieramy pozycje. Cicho, szeptem dowiadujemy się o tajemnicach pozycji.

Moja kompanja zajmuje środek odcinka, samo wzgórze 609 Monte Sabotino. Na prawem skrzydle bataljonu piętrzy się ściana skalista około 400 m. wysoka. U jej stóp szumi szara Socza. Nasze pozycje — to białawe, olbrzymie głazy, karkołomne ścieżki; jeno góralskie, hipkie nogi dadzą sobie tu radę.

Deszcz mży, przytulamy się do skał, nad głową parę desek — krótki kamienny sen.

Z brzaskiem dnia kolej czuwania. Tumany mgły z doliny Soczy płyną, opadają, to wznoszą się w górę — wreszcie rozwidnia się.

Teraz widzimy naszą pozycję. Króluje Monte Sabotino nad całą doliną, widzą ją Włosi, jak na dłoni, chyłkiem tylko, ukradkiem pelzać możemy.

Zrzadka małe krzaki, poza tem glazy, kamienie. Na prawo u stóp, poza ścianą gdzieś w dole płynie seledynowa Socza.

Naprzeciw, oni — Włosi. Widzę ich, stoją, chodzą, znoszą kamienie, drągi, murują, maskują. Miałoby się ochotę krzyknąć: — Czołem! towarzysze.

Cudny poranek u krańców horyzontu. Na lewo olbrzymia płaszczyzna morza. Na zachód gubi się wzrok w wielkiej nizinie lombardzkiej. Zdala błyszczy wstęga Taglimento. Udine w mgłach jeszcze. Za nami majestat Alp Karyntyjskich, na ich szczytach śniegi.

U naszych stóp Gorycja, nieco na zachód silnie obwarowana włoska pozycja, Sct. Florjan. Wzdłuż Soczy lasy poczerwieniałe, jakby krwią żywione.

Czuwają nasze posterunki, jedni śpią znużeni, inni pracownicy listy piszą, to z cicha gwarzą albo zadumani głęboko gdzieś w jeden punkt patrzą i patrzą. Może im się Tatry serdeczne zwidują, może im Socza falą Dunajca szumi...

Tak zeszedł dzień. Cicho z obu stron. Z zapadającą nocą zdwojona czujność w okopach. Głowy schronione za kamiennym murem, lub płytą żelazną ochronną, w niej luka i karabin, do strzału gotowy. W przedpolu zapora kołczastych drutów, dalej przestrzeń otwarta, wreszcie las czarny.

Cisza. W dali rzadkie strzały. Gwar jakiś od strony miasta, tupot, szcęk — to tabor bataljonowy. Rozdzielają żywność, wodę, tytoń, pocztę. Tej czytać teraz nie można. Jutro z brzaskiem dnia niecierpliwie oczy przebiegać będą listy kilkakrotnie. W dzienniki polskie wpiją się oczy, by dowiedzieć się, co tam u nas nad Wisłą, w Tatrach... i tak krążyć będą z rąk do rąk, wyrywane, w skupieniu czytane przez zbitych w gromadkę żołnierzy.

Odszedł tren. — Urwała się nić z życiem. — Zostajemy sami.

Przez chmury prześwieca księżyc. Daleko na horyzoncie łamie się jego blask w drgającej szybie morza.

Zapominamy o rzeczywistości.

Nagle! — kroki szybkie wzdłuż linji przed okopami. Jasną smugą syknęła rakieta. To znak ostrzegawczy. Nieprzyjacieli się

zbliża. Mimowoli mięśnie zaciskają się na kolbie karabinu, bądź na bombie. Cicho, zda się słyhać, jak pod bluzą biją serca żołnierskie.

Żołnierz naszego patrolu przedniego melduje szeptem. Przed lasem posuwa się patrol włoski. Napięty wzrok, aż oczy bolą. Zwidują się ruchy na przedpolu, i tak całą noc aż do brzasku. Zapewne Włosi się cofnęli. Za dnia od czasu do czasu głuchy grzmot, to daleko, to bliżej.

Naraz ciężki, minowy granat z rykiem wali przed nami. Odłamki wyją, piszczą. Potem drugi, trzeci... Drży góra, tulą się żołnierze do matki-ziemi. Zerwał pocisk siedzącemu żołnierzowi głowę, wybuchł, pędem powietrza siepnął trzema żołnierzami o nasyp. Z szyji żołnierza, który siedzi dalej, tryska krew słupem coraz mniejszym, mniejszym, wreszcie sączy się tylko. A żołnierz wciąż siedzi i kurczowo w rękę ściska góralską fajkę. Widzimy go, a usunąć go niepodobna i tak siedzi do zmroku.

W nocy naraz rozbłysły rakiety i runęły granaty. A potem atakują Włosi. Już są pod górą. Ognia! Huczą karabiny, pękają bomby.... cofnęli się.

30-go czerwca ogólny atak włoski na Monte Sabotino. Trudno opisać, cośmy przeżyli.

2-go lipca zlurowali nas dziesiątacy z Przemyśla.

Wnet więcej

Ściskam Cię

Józek.

— Tak, tak zauważa kadet Wurst, tylko te bitwy były rok temu. Od tego czasu dużo się zmieniło.

Ha! No! Zobaczymy. Pociąg stanął przed stacją kolejową, którą bombarduje stale nieprzyjaciół. Wsiadamy. Przed nami dudni i huczy.

W pół godziny meldujemy się w dowództwie grupy „Gorycja“

Nazajutrz obejmuję dowództwo kompanji w bośniackim bataljonie. Jest to bataljon kombinowany, t. zn. złożony z rozmaitych nadliczbowych oddziałków, bądź niedobitków. Takie oddziały w zasadzie są poza ewidencją, więc rzuca się je tam, gdzie grozi zniszczenie, a lukę trzeba zappełnić.

— Ładna perspektywa, myślałem, słuchając raportu służbowego sierżanta.

Nawet nie znam tu składu ludzi. Kompanja w okopach. Dotychczasowy dowódca porucznik Nipanić z kartą urlopową w portfelu, nim wyszedł z okopu, zabity został bombą lotnika włoskiego. Siedzę w jego schronie. Na ścianie przybita fotografia młodej,

ładnej bośniaczki w narodowym stroju, z autografem. Może to narzeczona Nipaniča, może kochanka, a może siostra?... Nie wróci on, nie. Spoczął w dole, wapnem wyścielonym, wspólnie z innymi.

Nie było nawet czasu na mowę pogrzebową.

Do ostatniej chwili, nim z ziemi i kamieni nasyp łokciowy odgradził go od zgiełku życia, przygrywały mu haubice; a może jutro, a nawet dziś jeszcze wygrzebie go z ziemi miłosierny granat i wyrzuci na wierzch, by widział blade oblicza kolegów i następców. Patrzę w lusterko: istotnie i moja twarz jest szaro-błada. Wybuchające naokoło granaty, świst kul, gną mnie ku ziemi.

Tyłu, tyłu kolegów, serdecznych druhów dzisiaj już na innym świecie, więc co tu robię, dlaczego nie z nimi?... Wreszcie i na mnie koniec przyjść musi, poco więc tyle zginań głowy i ramion. A jednak gną się one z uporem za każdym gwizdem. A Włosi biją, jak opętani. Biją i Austriacy. W powietrzu nieustanny ryk i łomot. Od trzewi gorąc i spiekota. — Wody! Wody! — woła coś w pierśsiach. Tssiuu! brrrryms!! — odpowiada granat.

Po trzech tygodniach złuzowano nas. Z zaułków okopów wychyliły się twarze ziemisto-czarne Bośniaków. Idą ich szeregi nierównym krokiem, z tępym błyskiem oczu; pochylone głowy chwieją się na cienkich szyjach w takt marszu, duże stopy kłapią bezdźwięcznie na szosie. Jest w nich coś, co trudno inaczej jak determinacją nazwać. Nawet nie klną. Trzy tygodnie wstrząsów nerwowych, trzy tygodnie bezsennych nocy, kiedy żarcie południowe jedli o czwartej rano, kiedy gardła zwilżano wodą deszczową. To nie ludzie, to ich mary. Jakby wśród nich szedł olbrzym — strach...

Trzy dni spoczynku i dalej marsz. Doberdo.

Doberdo!

— Doberdo! — krzyczę tobie, żołnierzu austriacki, z różańca ludów zebrany.

W kakofonji języków cóż nas tu łączy? Komuż wrogiem Włosi? Cóż nam oni winni?...

Doberdo!!

Wy mnie, wy żywi jeszcze uczestnicy, rozumiecie.

Mrok śmierci, bestja - człowiek, strach, ból, cała nędza ludzka. Doberdo!!!...

Gęsiego snuje się oddział. Na przedzie oficer młodszy z elektryczną lampką w ręku szuka drogi. Oddział maszeruje serpentyną. Widocznie przewodnik zgubił drogę, bo przystaje, namyśla się, chce się cofnąć, znów idzie naprzód. A za nim biernych ludzi łańcuch.

O kilometr przed nimi szaleństwa. Błyski, huki, jęki, trzaski. Tam orgje jakieś szatany sprawiają. Oddział tam idzie; coś odpycha i pcha zarazem.

W duszach skowyt. Oszalał świat, ludzkość, triumfuje zły — bies.

Na kamieniste pola pada snop światła ostrego. Oddział odkryty. Ssiu! tsiuu! bum! bum! — prrrask! Już artylerja go wykryła. Padają ludzie w skurezu na ziemię.

Och ziemio, ziemio bezlitosna, twarda nieprzytulna; dlaczego nie otworzysz się i nie wchłoniesz nas do siebie.

Ale możesz nas, o Boże wysłuchać. Robi się cicho. Świtać wnet zacznie.

Ach! Jakby się chciało krzyknąć: Auf! Wtył zwrot, biegiem marsz!...

Niestety. Łańcuch helotów nas wiąże. Kierunek południe — marsz! Oddział musi być o trzeciej w kawernach. Musi. Wam, którzyście tu zostali, to na otuchę powiemy, że strachu, głodu ani pragnienia już nie zaznacie. Jutro być może, gdy pójdziemy naprzód — pogrzebią was w paradzie. A wy z ranami postrzałowemi, wy koledzy, nie żądajcie od nas pomocy, bo i jakże ją wam damy? Być może, przyjdą sanitariusze i wyniosą was stąd, a jeśli nie, to będziecie czekać... Zapomnijcie o pragnieniu, o strachu; pomyślcie, że kamieniste pole, to szpitalne łóże i śnijcie, śnijcie, aż was, jak i tamtych, mrok wieczny spowieje.

Oddział wsaczył się w szczelinę skalną. W grocie na pryzkach pokucaly postacie żołnierskie. Siedzą cicho, nasłuchując kanonady, z zewnątrz tu dochodzącej. Głosy tu, jakby kto drwa rąbał w piwnicy. Ale w grocie cisza. Żołnierze, widać nowicjusze, bo za każdym silniejszym hukiem tulą głowy między ramiona. Ja sam usiadłem w ciemnym kącie, by zebrać trochę myśli. Od kilku godzin prześladują mnie zjawy ojczystych stron i rodziny. Naraz grzmot. Coś schronem wstrząsnęło i z sufitu zerwała się naftowa lampa. W grocie zrobiło się ciemno. Świecę zapalkami. Muszę okazać przytomność umysłu. Do schronu wpada jakiś chorąży.

— Gdzie pan komendant?

— Tu!

Prezentuje mi swoje szwabskie nazwisko, jest adjutantem luzowanego bataljonu, podaje szkic sytuacyjny. Jesteśmy więc wysuniętą naprzód grupą. Wyjaśnia mi sytuację, pozycje włoskie, elementy ogniowe, odległości, rezerwy. SkoŃtunione tu wszystko, gęstwa niebezpieczeństw, grozy. Jeszcze pięć minut rozmowy.

Zajmujemy linję. Przed rowami spleciona sieć drutów kolczastych. Są one nasycone prądem elektrycznym o wysokim woltażu. Pociski armatnie niszczą połączenia, stąd niewiedomo, czy prąd płynie; dlatego też więcej ofiar porażenia prądem we własnych szeregach, niż u nieprzyjaciela. Drogi to i niepraktyczny system obrony.

Ma się ku wieczorowi. Jakoś napięcie ognia zmalało. Przebiegam więc pozycje... Na przedpolu i za pozycją lej przy leju. Od poprzedników wiem, że zacznie się koncert o siódmej, potrwa pół godziny. Potem o dziewiątej, jedenastej; nazajutrz o szóstej, ósmej, dziesiątej i t. d. W rowach, wybitych w skalistym gruncie pełno zakamarków dla posterunków. Ale wartość ich żadna; złuda bezpieczeństwa, może moralne znaczenie. Sądząc po rozbitych innych wgłębieniach lepiej stać w otwartym rowie. Żołnierze, choć to nie nowiejusze za każdym poświstem zginają głowy. Ale są i determinaci; stoją przy strzelnicach nieruchomo, jak posągi. Ale ich oczy rozszerzone nienaturalnie, ich skurcze w ramionach bezwiedne wskazują, że tam wewnątrz drży każdy mięsień.

Na posterunku numer trzy leży obok strzelnicy nawznak trafiony kulą w czoło bośniak ogromnego wzrostu; w ręku dzierży karabin; zdaje się wypoczywać. Ale jego mgłą zasłże oczy, świadczą, że już do nas nie należy. Towarzyszący mi podoficer wyznacza na posterunek nowego szeregowca. Trzeba sprzątnąć trupa, ale gdzie? — Z trudem dowozi się tu żywność, wodę, amunicję, któż pomyśli o zwłokach. Więc leżą, gdzie padną. Grzebie się ich, gdy nadejdzie spokojniejsza chwila. Ale to syzyfowa praca. Trudno i niebezpiecznie kopać głębokie doły w tem przekłętym kamienisku, zaś, gdy się zdoła zabitych na pół metra zakopać, nazajutrz już granat zwłoki na wierzch wyrzuci. Stąd fetor, trupi jad, którego tu pełne powietrze. Zwłaszcza za drutami leżą zabici pokotem, — to refren rozkazów odważnych dowódców tyłowych, którzy telefonem dysponują ataki bez należytego i naocznego ustalenia stanu rzeczy.

Leżą obok siebie Austriacy i Włosi. Już teraz niema wśród nich nienawiści, bo widzę jak Włoch ręką, jakby podtrzymywał głowę Austriaka. Gdy wiatr zawieje idzie stamtąd tak straszliwy odór, że słabo się robi.

Nazajutrz od rana słońce praży bez miłosierdzia i bezustannie ryczą działa. Drżą schrony, drży ziemia pod stopami; łoskot, huk, nieznośny pisk i jęk odłamków. Zasypują nas Włosi też minami. Wywołują one tak straszną detonację, że zdaje się, góry

się walą. Ale groźne one są tylko dla najbliższego otoczenia. Na domiar złego lotnicy rzucają bomby. Lecą wysoko, bardzo wysoko i stąd własne oddziały dostają bomby bądź po tej, bądź po przeciwnnej stronie.

Najgorsze jednak ze wszystkiego, to pragnienie. Może właśnie dlatego, że w tak skąpych racjach otrzymujemy wodę — jest jej nieprzewyciężone pragnienie. Rozgorączkowane nieregularnym życiem ciało zdaje się być wyschniętą pustynią. Oczy zamglone patrzą błędnie w przestrzeń.

Największą jednak dominującą siłą to poczucie osamotnienia. Świat żywy przestał istnieć, jakby za nami sterczał wysoki mur.

Może tam gdzieś i są ludzie, teatry, kawiarnie, spokojny sen, dostatek wody, żywności, tytoniu ale to wygląda na obraz gdzieś za światami.

Tu jest tylko nicość, strach, obłęd.

Coś co od trzewi pcha w górę, dusi gardło, jakiś żal do wszystkiego i do wszystkich.

— Jakto?! — zżyma się por. Firley, więc wy w spokoju i dorycie w hinterlandzie nic nie robicie, by to szaleństwo uśmierzyc! Wy, koronowani władcy, wy wodzowie, politycy, filozofowie, duchowieństwo, wy moralisci i społecznicy, posłowie, wy nasi ojcowie i matki, wy — milczyciel? Wy narzeczone, spokojnie żegnacie jadących na front, dekorujecie nas bzdurą-kwiatkiem, gdy wiecie, że za kilka dni może z nas pozostać tylko krwawy strzęp....

Ciszej! Ciszej! — uspokajaliśmy Firleya, ale on nie bacząc na nikogo, w jakimś zapamiętałości wołał:

— A my?... Dlaczegoż, oczekując ataku włoskiego ściskamy w dłoniach karabiny i granaty. Dlaczegoż, gdy głód skręca nam kiszkę, a pragnienie sprawia ból fizyczny, dlaczegoż nie powitamy Włochów okrzykiem: Niech żyje Italja — niech żyje Entente!

Zamiast tego, głowę pod topór kładziemy z okrzykiem: Niech żyje nasz morderca!... Cesarz, Ojczyzna?! Phi! filisterski umysł pławi się w wielkości podwórka... rodaków... hi! hi! hi! — chichotał Firley histerycznym śmiechem, aż mnie ciarki przechodziły; wreszcie zamilkł i usiadłszy na pryczy wsunął głowę między złożone dłonie.

W kawernie słychać wybuchy, to głośnie, to cichsze.

— Ach! Żeby móc przespać wojnę, mówi z westchnieniem zwany „wujkiem rezerwy“ por. Strohmayer.

Rozdział XXIII.

Jak wszystko, tak i Doberdo skończyło się szczęśliwie. Nie dla wszystkich, a raczej dla niewielu. Wraca nas wszystkich dwudziestu siedmiu. Pozostało tam sześćdziesięciu czterech. Dlatego też fasunek na tyłach obfity. Stoimy obok dowództwa dywizji. Przyszedł nas zwizytować sam generał. Z kompanji utworzono pluton. Stał ten pluton obok innych, jak i my szczątków bataljonu. Wygnędziałe twarze z podkutymi oczyma, obszarpana odzież... i jakaś beznadziejność wieje ku dygnitarzowi.

— W prawo patrz! — mocno huczy nowy dowódca bataljonu, poprzednik bowiem pozostał w rowach na wieki.

Zwróciły się w prawo głowy na długich szyjach. Pan generał z bohatersko wypiętą piersią przebiega front. Tu poprawia niedopięty guzik, tam przekreśconą czapkę, tornister, każe więcej rozszerzyć stopy, słowem bardzo czynny. Rezultat wizyty był: bataljon, jako nie przedstawiający żadnej siły bojowej ma być rozwiązany. Jest nam tak to obojętne, jak wczorajszy deszcz.

W rozkazie wieczornym odkomenderowano mnie z powrotem do „cwancygierów“ O! — jak odetchnąłem! Mam się zgłosić w dowództwie t. zw. kombinowanego bataljonu, którym nazwano marszowy bataljon 20 p. p. pod dowództwem kapitana Dereaniego.

Pociąg mój sunie podalpejską drogą przez Salzburg, Karyntję. Po drodze stacje kolejowe w gruzach, włoskie działa aż tu donosiły. W Greifenburgu melduję się u kapitana Dereaniego. Brzuchaty grubas o wygolonej, nieinteligentnej gębie, nieokreślonej narodowości. Na wstępie huczy na mnie. Nieopatrzenie wyraziłem się o miasteczku Kötschach, że to „Saunest“. Skoczył też na mnie:

— Was?! — może u was w polskiej Galicji są saunesty, tutaj nie.

Na moją uwagę, że wypraszam sobie obrazę polskich miejscowości, zagrzmiał:

— Pan jest bezczelny, ja pana nauczę.

Po paru dniach postoju mieliśmy jechać do Tyrolu. W słoneczny pogodny dzień odbywa się zawagonowanie. Zajeżdżają wagony, na których kredą piszą zagorzali patrjoci: „Gott strafe England“ *) i dopisują, jako najnowszy wynalazek: „und vernichte Italien“ **). Nach Rom! Nach Rom! — wykrzykują łokciowe litery.

Nasza grupka polsko-czeska stoi na uboczu. Przechodzi obok z rozradowaną miną kapitan Dereani. W jego oczach może już są zjawy krzyżów, gwiazd, kto wie może i Leopolda, awans... za-uważa nasze drwiące oblicza i monituje nas:

— Powinni się panowie cieszyć, idziemy do zwycięstwa.

— Myśmy już dość się nazwyciężali, życzymy teraz panu kapitanowi — odezwał się ppor. Więcek.

Dereani, który dotąd na froncie nie był, przygryzł wargi i za-pytał Więcka:

— „Was sind sie eigentlich im Ziwil?“ ***).

W ten sposób indagowano rekrutów, ale nie oficerów, wypalił też na to ppor. Więcek:

— Właścicielem fabryki i mogę dać zajęcie aktywnym oficerom po dymisji, panie kapitanie.

Dereani stał się purpurowy, rzucił złym wzrokiem i odszedł ze słowami; my jeszcze porozmawiamy.

Pociąg ruszył wśród okrzyków: hańba Włochom, Francji, Anglii, Japonji, Belgji, Serbji... wogóle wszystkim wrogom. Muzyka grała marsza Rakoczego. Usiedliśmy w przedziałach do pracy, t. j. do taroka i preferansa. Ordynansi donoszą z zapasów coraz to nowe butelki ze spirytualjami. Wkrótce wagon ział zaduchem karczmym. Późną nocą dojechaliśmy przez Trydent do Caliano. Tu już słysząc dudnienie z oddali. Po wywagonowaniu, bataljon nasz nazajutrz sprezentowano panu feldmarszałkowi Gabrielowi. Nadjechał samochodem ze świtą, wyprostowany, z miną Aleksandra Wielkiego. Wedle jego życzenia przy prezentacji oficerowie wymieniali tylko stopień i nazwisko. Zaczem przemawiał.

*) Ukarz Boże Anglję.

**) I zniszcz Italję.

***) Czem pan jest właściwie w cywilu?

To przemawianie przy każdej okazji cechuje austriackich zawodowych oficerów. Na uroczystości weselnej, pogrzebowej, na awans, przed bitwą, na urodziny cesarza i wszystkich przełożonych, nawet z okazji degradacji. Gadać, gadać, czyli „quatschen, quatschen“ bez końca. Tak i teraz Ekscelencja rozplywa się w zachwycie nad szczęściem naszym, bo uczestniczyć będziemy za parę godzin w wiekopomnym marszu na Rzym. Ekscelencja na Korsyce pomieści ex-króla, Wiktora Emanuela wraz z Cadorną i wszystkimi włoskimi zdrajcami Najjaśniejszego Pana, przekłętymi draniami i łotrami, (Schuffen und Luderl).

Przemówienie to niebardzo nas podnieciło. Oczy nasze w ślad za ręką Ekscelencji, która przez Arciero wskazuje nam Genuę, widzą z daleka pasmo nowych udręk. Uszy bowiem mamy pełne z oddali dochodzącego huku armat.

Po tej przemowie pokładliśmy się w zagajniku, oczekując dalszych rozkazów. Kadet Szwarz głośno czyta Neue Freie Presse, z której dowiadujemy się, że 15-go maja 1916 r. Konrad Hoetzendorf rozpoczął ofensywę między Adygą i Brentą. Z wielkim impetem ruszyła armja arcyksięcia Eugenjusza, w skład której wchodzimy, z obszaru Roveretto-Trydent i wyparła z gór wojska włoskie. Pod Arciero, Assiago przełamana została linja posterunków granicznych. Z końcem maja Austriacy walczyli w dalszym ciągu o miejscowości na południe od doliny rzeki Adygi. Walka toczy się obecnie o grzbiety górskie, zamykające dostęp do niziny lombardzkiej. Włosi czynią rozpaczliwe wysiłki, by nie dać się zepchnąć z linji, gdyż inaczej armja austriacka otworzy sobie drogę wprost na Genuę. No! no! — kiwaliśmy głowami.

Popołudniu wymarsz na południe. Maszerujemy wzdłuż Adygi na Roveretto. Szosa maskowana w górze matami z pędów roślinnych. To obrona przeciwlotnicza. Równocześnie z nami, dudniąc jadą działa, jaszczyki, wozy taboretowe, samochody pancerne. Tu już widać dwuletnie doświadczenie wojenne. Konstatujemy sprawność i organizację.

Huk armat coraz bliższy, ale są to odstrzały własnej artylerji. Mijamy stację kolejową w Roveretto. Z wiaduktu widać masy w piramidy ułożonych pocisków armatnich najrozmaitszego kalibru. Dworzec zabezpieczony przez kilka baterij doskonale zamaskowanych dział przeciwlotniczych.

Opowiadają, że przedwczoraj w jedną z takich piramid wyróżnął granat ośmnastocentymetrowy. Fajerwerk był niezwykły; przy okazji parę budynków wyleciało w powietrze.

Wspinamy się teraz ku górze, mijamy małe osady. Siąpi ciepły deszcz. Tu i ówdzie widać kobiety i dzieci tubylcze, mężczyzn niema na lekarstwo. W dole we mgłach zapadającego wieczoru widać miasto Roveretto. Zdaje się ono teraz być wymarłem. Nigdzie najmniejszego światelka. A przecież wiemy, że tam życie kipi. Miasto samo, ewakuowane z cywilnej ludności zajęte jest teraz przez maszerujące wojska.

Cała dolina Adygi oświetlona silnymi reflektorami od strony południa. Włosi czuwają. Wdali widać w powietrzu czerwone punkty. Zapalają się i gasną momentalnie. Wiemy, to szrapnele. Słychać też stamtąd i wokoło nieustanne dudnienie, szum, jakby lasu wicherem miotanego.

Nasz bataljon maszeruje równym krokiem, posuwisto. Nie wiemy, kiedy będzie kres tego marszu; nie wiemy, czy na kwatery, czy wprost do akcji zdążamy. Nie mamy zresztą żadnych pretensyj. W tornistrach żołnierskich fasunek w komplecie. Po trzy puszki konserw gulaszowych, bochen chleba, suchary, papierosy i manierka rumu. Mimo zakazu na każdym postoju żołnierze cichcem otwierają konserwy, żują chleb, ćmią papierosy, a przede wszystkim — piją rum. Ten rum i gulasz, specjalność austriacka, mają swoje wartości jednak. To też kolumna nasza, zlekką podgazowana, kroczy z animuszem.

Już północ, a my dalej w marszu. Deszcz ustał; na niebo wypelzł księżyc w kwadrze. Dziwny on, jakby był ze złota. Jesteśmy już na wysokości austriackich baterij. Kanonierzy żywo się krzątają, znoszą amunicję, którą dowożą na osłach i mułach. Osiadamy na Monte Faye, t. j. zajmujemy odcinek utrzymywany dotąd przez t. zw. „Landessschutzów“. Ci strzelcy krajowi, mający nieść sztandar chlubnej tradycji Andrzeja Hofera, to także sui generis osobliwość. Stare pierniki, pocziwe mieszczochy z Bozen i okolicy, pamiętający jeszcze Mantuę; przed wojną przy każdej uroczystości występowali w paradzie ze sztandarem i muzyką i co roku przysięgali, że Cesarza i Monarchji bronić będą na lądzie, morzu... i gdzie popadnie. Zato otrzymywali stopnie oficerskie. Teraz, gdy ich Tyrol w grę wchodzi — bronią go mężnie. Dziwnie wyglądają ci brzuchacze i siwobrodzi starszaki w mundurach oficerskich, długich spodniach z karabinami na ramieniu. Ich oddział, liczący do trzystu ludzi, zmniejszył się o dwie trzecie. Ale nie kule żłobią ich szeregi. Większość z nich odeszła do szpitala, bądź wprost do domowych pieleszy z katarem chronicznym, bólem brzucha, reumatyzmem, ischiazem i t. p. nabytkami z krótkiego pobytu na froncie. Dotąd odcinek ten był

względnie spokojny; obecnie, ponieważ marsz na Rzym, mimo osobistego dowodzenia przez Arcyksięcia Karola, jakoś niebardzo się udał i Włosi na Coni Zugna i Zugna Torta zdziesiątkowali nacierające w chwalebnym i wiekopomnym marszu pułki strzelców cesarskich, i krótko mówiąc dali w skórę Austriakom, przeto odcinek ten my zajmujemy, stanowiąc fragment obro-ny Lago di Garda.

Na twarzach „Landeschützów“, gdy ich luzujemy, maluje się radość. Stary ich kapitan opowiada mi o swych nieletnich wnukach, które wydzierają się, by walczyć za cesarza.

— Jutro je będę trzymał na kolanach, marzy wzruszony weteran walk o Friaul.

W ciągu parogodzinnego pobytu z nimi zaprzyjaźniliśmy się serdecznie; bardzo miły i poczciwy to naród. Ale nie było nam dane wypocząć na tym odcinku. Nagły rozkaz i już jesteśmy w marszu.

Idziemy szlakiem cesarskim na Assiago i Arciero. Na lewo od nas wre walka. Huczą działa. Wyprzedzają nas konni gońcy, motocykliści.

Kapitan Dereani stracił teraz rezon. Gdy mijamy transporty rannych, którzy jęczą na wozach i ambulansach, odwraca głowę. Jesteśmy ciekawi, jaki też będzie z niego wódz, gdy usłyszy pękające granaty i szrapnele.

Ale okazja tuż. Nad maszerującym bataljonem u jego czoła pękają dwa szrapnele. Jest nam nieprzyjemnie, ale nic w tem dziwnego. Natomiast dowódca zdetonowany galopuje na swej ko- byle, wydając równocześnie rozkazy dowódcom kompanji i plutonów. Nic z tego nie wyszło, zrobił się tylko zamęt. Na szczęście Włosi przestali strzelać więc maszerowaliśmy spokojnie.

Wysłany patrol dotarł do Belluno. Dowódca tegoż kadet Durlak opowiadał nam za powrotem swoje przygody. W miejscowym sklepie tytoniowym, gdy grenadjerzy pruscy rabowali sklep, bijąc na prawo i na lewo każdego, kto się nawinął z mieszkańców, broniących swego mienia, poprosto jak opowiadał, dał w mordę niemieckiemu wicefeldfeblowi. Wywołało to bójkę przedstawicieli sprzymierzonych armij, gdy zaś w rezultacie Prusakom przysłała pomoc, „dał nura“ ze swymi góralami.

— — —

Kapitanowi Dereanemu doręczono rozkaz z dywizji. Bataljon nasz ma bronić przysiółka Vecchia. Osiada w tem miasteczku dowództwo bataljonu. Nasza kompanja zajmuje odcinek Mori Vecchia. Spore to i piękne miasteczko, teraz zupełnie puste. Wkra-

czamy z wielkimi ostrożnościami. Mnóstwo rozbitych i spalonych domów. Budowle dwu i trzypiętrowe z cienkich ścian, łatwe do zburzenia. Przed miasteczkiem kopiemy szanice wedle ostatnich wymogów techniki wojennej. Ogień karabinowy tu słaby, natomiast artylerja pojedynczemi strzałami wyrządza nam dotkliwe straty.

Nasza kompanja broni przyczółka Mori Vecchia.. Dwa plutony w szanicach, dwa w rezerwie.

Zajmuję kwaterę w mieszkaniu tutejszego burmistrza, Okna od strony nieprzyjaciela zasłonięte papierami, mimo to zdradza nas przenikające światło. W stylowym salonie, pełnym palm, obrazów, bronzów śpię wygodnie na otomanie.

Za dnia łazimy po miasteczku. Jest ono zupełnie wyludnione. Ostrzeliwują je Włosi systematycznie ogniowymi granatami. Granaty te przebijają trzypiętrowe domy i wybuchają na parterze, a nawet w piwnicy. Równocześnie rozlewa się płyn łatwopalny, prawdopodobnie benzyna, stąd pożar. Codziennie pali się też po kilka domostw. Poza tem walą Włosi szrapnelami.

Wymarłe, puste miasto ma w sobie coś przeraźliwego. Przez wąskie ulice przelewają się ponure echa strzałów i wybuchów. W tym pojęku pocisków przebija się taki smutek, że żołnierze wprost boją się tego żalosnego echa. Przypomina ono nam walki lubelskie i pod Dęblinem. Ten szum i pogwizd, odbijający się stokrotnie w zaułkach miasta, niekończący się, poprostu wierci uszy. Z rozdartych budowli widać wnętrza mieszkań. Jeszcze na stole imbryk, filizanki, poprzewracane krzesła. — Musiał tu w dniu ewakuacji być paniczny popłoch.

Kroczymy ulicami z por. Krausem i kadetem Wurstem. Dzwonią nasze ostrogi, idziemy chyłkiem, czając się, bo wiemy, że obserwator artylerji włoskiej, bacznie dalekowidzem wypatruje miasto. Tu i ówdzie leżą zabici żołnierze austriaccy, obok konie, muły, osły z wypływającemi wnętrzościami. Teraz zaschły one w promieniach słońca, tak jak i zastygło szklivo oczu zwierząt, które konały, porzucone przez przestraszonych woźniców.

Za każdym poświstem przypadamy do murów. Widzą, czy nie — oto pytanie, które staramy się rozwiązać.

Naszą menaż oficerską zaimprovizowano w lokalu restauracyjnym. Rondli, garnków, naczyń aż za wiele. To też namnożyło się do licha kucharzy. Dla żołnierzy smażą się siekane kotlety, pierożki z mięsem, bądź z marmeladą. Wina, zwłaszcza czerwonego wbród. Żołnierze fasują po litrze na dobę. Poza tem rekwirują, t. zn. szperają po domach. Niejeden z nich tu i ówdzie wy-

krył skarbczyk domowy — pytanie tylko, czy doczeka urlopu. Przeważnie łupy dostają się w ręce łapiduchów. Już oni starannie trupa obszukają. Za to postawią ładniejszy krzyż i napiszą wspaniałe... „Padł bohaterską śmiercią na polu walki...”

Powszechny wśród nas podziw budzą tutejsze piwnice. Są to ogromne sale betonowane, nieraz i kilkadziesiąt metrów długie. W takiej sali na środku stoi olbrzymia kadź, nie, kadzią tego nazwać nie można, to prawdziwa cysterna, zawierająca w sobie po kilkadziesiąt, a bodaj i setki, hektolitrów wina. Aby zajrzeć do wnętrza, trzeba się wspiąć po schodkach. Bywa, że objuczony rynsztunkiem żołnierz wyjdzie na wierzch i wciągnie w płuca opary fermentującego wina i — jeszcze nie zdążył zaczerpnąć płynu — gdy oszołomiony wali się do wnętrza, gdzie ginie śmiercią pospolitego topielca. Dopiero, gdy kadź się opróżni, na dnie widać nieboszczyka, nierzadko w pełnym uzbrojeniu z plecakiem i karabinem w ręku. Spluwają też wtedy pijaki, co tak sobie to wino smakowali.

Dostaliśmy rozkaz z dywizji, by wino odstawiać na tyły, ale nie tak bardzo spieszymy się z wykonaniem. W nocy płądrują tu specjalne oddziały rekwizycyjne z etapów. Wino wywożą na jucznych zwierzętach w baryłkach dwudziestopięciolitrowych. Jest go tu tyle, że kilka armij możnaby w nie zaopatrzyć. Te rekwizycje nie są bezpieczne, sądząc choćby z gęsto rozsianych na ulicach trupów ludzkich i zwierzęcych. Gorsze to, że rekwiranci robią hałas, stąd też mamy całą noc ogień artylerji.

Moją wspaniałą kwaterę muszę, niestety, zmienić. Wczoraj, gdybyśmy w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa usiedli do kolacji, przyczem kadet Roth przygrywał arję z „Pajaców” na fortepianie, wyrzucił granat w węgiel domu, obnażając wnętrze naszego salonu na szczęście bez strat. Zgasiliśmy czemprędzej świece i piorunem zeskoczyli na dół. Było to w porę, bo runął drugi pocisk, tym razem wybuchł po drugiej stronie domu. Widocznie Włosi wypatrzyli zdradzieckie światło.

Kwaterę przenieśliśmy zaraz do piwnicy. Ordynans mój zarekwirował gdzieś metalowe szerokie łóżce z materacami. Zasympiałem teraz, jak niemowlę spokojny, bo przecież sklepienie półkoliste, betonowane chyba i dwudziestkę wytrzyma. Kadet Wurst i Schwarz lokują się w sąsiedniej willi, również w piwnicy.

We śnie męczy mnie jednak jakaś zmora, słyszę szept, czyjeś kroki, ba! wyraźnie czuję, że coś szarpie za koc; jakieś piski, cupkania... Ki djabli nadali, myślę. Świecę latarką elektryczną.

Rany Boskie! — Naokoło kilkadziesiąt wielkich, jak koty o długich nagich ogonach, ohydnych szczurów. Ich szpiczaste mordy, nasadzone na rudawo-szary kadłub mają w sobie coś odrażającego. Oślepione blaskiem lampki znieruchomiały i patrzą fascynująco we mnie, a ja w nie. Moje ręce zeszywniały. Nie wiem, jak długo trwał ten pojedynek oczu, czułem wyraźnie, że mnie szczury hypnotyzują. Ostatnim wysiłkiem woli naciskam guzik lampki. Zapada ciemność. Teraz słyszę cupkanie. Trwam w bezruchu. Zeszywniałe palce dzierżą lampkę. Przez myśl przebiega mi, a nuż takie bydlę skokiem pantery wgryzie się w twarz... brrrr!... Podłoga piwnicy zda się szumieć. Wraca mi jednak spokój. Ostrożnie i bez szelestu przekładam lampkę do lewej ręki, w prawą ujmuję leżący na taboreciku pistolet Steyera. Potężna broń samym ciężarem dodaje mi siły. Błysk lampki — Jezus Marja! mrowie, setki ohydnych szczurów... paf! paf! — biję w skłębioną masę. Paf! paf! — walę, jak oszalały. Kwik, pisk...

— Cebula! — wydziera mi się bezwiednie z ust. Otwierają się ciężkie drzwi piwnicy, staje w nich w bieliźnie ze świecą w rękę ordynans. Teraz szczury uciekają. Cebula stoi zdumiony, w rękę jego drży świeca. Moje czoło mokre. Tfy! z taką kwaterą, lepsza śmierć w szańcu. W dwie minuty potem byłem już na górze; wszedłem do kuchni, gdzie spali żołnierze. Duszno tu, ale to zaduch żywego człowieka. Wkrótce zasnąłem.

Nazajutrz nagły rozkaz i jesteśmy w marszu na Roveretto. Zluzował nas jakiś landszturmacki bataljon. Nie wiemy: cofamy się, czy zwyciężamy. Komunikaty wojenne trąbią chwałą ofensywy austriackiej.

Jestem wysłany na kwatermistrza do Calliano. Jedziemy tam, t. j. ja i czterech podoficerów na łeb na szyję. Mijamy ciągnące na południe oddziały piechoty, artylerji, nieskończone sznury parków amunicyjnych, taborów. Na drodze pełno samochodów osobowych ze sztabowcami. Wreszcie i Calliano. Wprowadzili tu ścisłą kontrolę. Żandarmi, a obok nich cywile w dżokejkach z oczyma, które zdają się na wylot przeszywać, starannie nas indagują.

Po skończonej kontroli dokumentów, podoficerów skierowują do męaży bataljonu obozującego na łące, mnie zaś do kasyna oficerskiego.

Po długich poszukiwaniach dostaję się wreszcie do wnętrza. Kasyno mieści się w piwnicy, specjalnie betonowanej dla ochrony przed bombami lotników. Boże! A nam pobyt tutaj wydaje się równie bezpiecznym, jak we Wiedniu czy Budapeszcie.

Po schodkach schodzę do wnętrza schronu. Okazuje się spora podłużna sala, mogąca pomieścić do 60 osób. Dookoła w podkowę ustawionych stołów tłum oficerów, przeważnie wyższe szarże, a wszyscy niepomrotnie elegancy i szykowni. Zwyczajem przyjętym sunę do miejsca, gdzie siedzi zwykle rangą najstarszy. Prezyduje tam jakiś młody generał. Prezentację rozpoczynam od sakramentalnego:

— Panie generale, podporucznik...

Ktoś mnie szturknął w bok, dosłyszałem „Hoheit“! — Ho! — język mi skołczał. Wszak to Następca Tronu Habsburgów, Wódz Armji... Poprawiłem się:

— Wasza Cesarska Wysokość!...

Cesarska Wysokość raczył wstać i podać mi rękę, poczem wypytał mnie, kto, poco, gdzie idę. Stwierdziwszy, że należę do frontowych oddziałów, wypytał o warunki walki, skąd jestem rodem, co robi ojciec, czy nie mam życzeń, wreszcie zlecił mi usiąść. Usiadłem na jakimś wolnem krześle między dwoma pułkownikami sztabu generalnego. Ordynansi, widać zawodowi lokaje, usługują z nabożną miną. Jedzenie i trunki pierwszorzędne, aczkolwiek jak na cesarski stół skromne. Sztukamięs, zupa grzybowa, mózdzek zapiekany, szarlotka, kieliszek koniaku, lampka wina z wodą sodową, czarna kawa. Jego Wysokość zadzwonił, stuknęły papierośnice i wszyscy z ulgą wydmuchiwali przed siebie wielkie kłęby dymu. Wyciągnąłem i ja swoją skórzaną, dobrze wytartą papierośnicę i wsadziłem w zęby fasowanego wczoraj memfisa. Siedzący naprzeciw „oberst“ zbyt mnie przenikliwie obserwuje. Na dobitek mam wrażenie, że mi pod łopatką tańczy wesz, albo pchła. Toteż siedzę niespokojnie i pod pozorem oglądania bocznych ścian przygniatam drańcie do krawędzi krzesła. Przynosi mi to chwilową ulgę. W duszy mojej jednak jest coś, co w myślach określam, jako choleryczny stan. Teraz dopiero zauważam moje ręce. Jakże odbijają one od wypiełgowanych, manicurowanych rąk panów-sztabowców. Ich twarze starannie wygolone, ich ordery i monokle błyszczą i onieśmielają mnie. Zapewne, taki zawszony oficer to zakąła towarzystwa. To też kręcę się na krześle, jest mi tu niewygodnie i źle. Wreszcie obiad skończony. Jego Cesarska Wysokość raczył wstać, jak na komendę wstali wszyscy, wychodząc z brzękiem i dzwonieniem ostróg.

Na dworze spotykam znajomych oficerów. Włóczymy się po Calliano. W międzyczasie podoficerowie myszkują za kwatarami. Pod wieczór mamy kwatery gotowe. Nadciąga bataljon. Do-

wództwo obejmuje nowo przydzielony, major Riedl, starszy, ale nader elegancki oficer. Dereani prawdopodobnie w niełasce, odszedł bowiem do dyspozycji dowództwa armji.

Mieliśmy kwaterować tydzień. Na froncie jednak coś się psuje. Komunikat prasowy A. O. K. przebąkuje o ofensywie Brusiłowa. Armja arcyksięcia Józefa na froncie rosyjskim „przegrupowuje się“. Wiemy, co to znaczy. Pod wieczór major Riedl otrzymuje zapieczętowany rozkaz i w trzy godziny jesteśmy już w marszu na południe. „Etablierung“ djabli wzięli. Mijamy długie kolumny wojsk linjowych, maszerujących na północ. Domyślamy się, że będą zapelniać luki frontu rosyjskiego. Ale gdzie nas rzucą?

Mijamy nieznane miejscowości, po południu osiągamy miasteczko Belluno. Deszcz kropi co pół godziny, potem słońce nas wysusza i tak w oparach maszerujemy. Jest nam zresztą obojętne, dokąd zdążamy, byle nie do ognia. Na szczęście jednak w pobliżu Belluno kwatrujemy. Mój Staszek Cebula okazuje się doskonałym kwatermistrzem. Znalazł gdzieś na końcu wioski kwaterę nieluksusową, ale zato... tu mrugnął znacząco i cmoknął. Zrozumiałem go.

Kwatera okazała się nieszczególną. Dwie długachne, a wąskie izby. W czemś, co trudno określić kanapa, fotel, czy łoże, paradyje stara, brzydka, pomarszczona baba. Usiłuję z nią się porozumieć. Na nic sprawa. Nie rozumiemy się. Napróżno wołam „non tedesco“. Baba nas nienawidzi, gniewnie patrzy i sapie, jak miech kowalski. Już chciałem skłąć Cebulę, gdy we drzwiach przesunął się cień. W tymże momencie stara zaczęła po włosku, szybko i bezładnie do kogoś wykrzykiwać. Roilo się tam od słów „bandito“. — Kąśliwa czarownica pomyślałem i dla przeciwstawienia się jej gruboskórności z przesadną elegancją złożyłem głęboki ukłon, by opuścić mieszkanie. W tej chwili weszło do pokoju dziewczę, lat najwyżej 17-tu, jakby z obrazka wycięte. Mało powiedzieć śliczna, prześliczna. Przysiadła cichutko obok starej i patrzy na mnie swemi dużemi oczyma.

— O carissima donna, jedno twoje spojrzenie warte więcej, niż wszystkie rozkosze świata. Postanowiliśmy zostać.

Ale starą, jakby szlag trafił. Wygraża ku mnie pięściami i krzyczy: „non, non“! Mimo to nasze rzeczy już zakwaterowane. Siadam więc na kufrze i przyjętym na wojnie obyczajem urządzam się t. zn. wyciągam strudzone nogi, rozprostowuję ręce i niby ziewam. Nagle myśl mi przyszła do głowy. Wyciągam czekoladę, papierosy, wino i usiłuję rozindyczoną babę poczęsto-

wać. Na nic sprawa. Odsuwa się, krzyczy, słuwa. Próbuje złagodzić jej gniew sardynkami; nie pomaga. Mam jeszcze w zapasach ostatni ratunek, rum! Nic nie mówiąc, nalewam go w blaszany, płaski kubek.

— Zdrów! — wołam do starej po polsku. Teraz już nie krzyczy, tylko patrzy na mnie. W pokoju rozszedł się zapach rumu. Starą widocznie hipnotyzuje manierka, bo wodzi za nią wzrokiem. Wreszcie dała się przekonać. Nalałem sporo, stara przechyliła głowę, jeno jej w gardle zagulgotało. Krztusiła się potem, ale mi podziękowała. Nalałem po raz drugi, wmówilem w nią sardynki, czekoladę. Stara polknęła jeszcze pół kubka. Skutek nadzwyczajny. Jest uprzejma, nawet wesola. Pozwala przysiąc się Blance, jak się okazuje wnuczce. Jeszcze jedna porcja rumu, a głowa starej przechyla się, z jej gardzieli dobywa się chrapanie. Usnęła.

Cicho na palcach zakradłem się do sąsiedniego pokoju. Na łóżku siedziała mała Blanka. Chce coś mówić, ale palec położony na ustach i... tsss... zamykają jej mowę. Bez słów całuję jej rączki i usta...

We drzwi ktoś puka, to Cebula zapowiada kolację.

— Idź do stu djabłów z kolacją! —

Przez okno patrzył księżyc, zalewając pokój srebrnem światłem. Z sąsiedniej izby słychać miarowe chrapanie.

Dzień był na dobre, gdym się zbudził. Blanki już nie było. Kiedy i jak wyszła, nie wiem. Babka ubrana kręciła się przy piecu. Głowę jej zdobi kompres z kolorowej chustki. Widocznie ma „katza“.

W bataljonie ruch. Wielka odprawa z udziałem dwóch oficerów sztabu generalnego. Linja bojowa stąd o 18 kilometrów. Jesteśmy rezerwą brygady. Do akcji normalnie powinniśmy pójść za trzy dni. Chwała Bogu!

O pierwszej uroczysty obiad. Będzie grał kwartet smyczkowy. Dostaję rozkaz, no, rozkaz zaproszenia Blanki na obiad. Widząc podpatrzył już ktoś tajemnicę nocy. Ppor. Berger zdążył ją w mej nieobecności o tem zawiadomić. Gdy z kancelarji bataljonu wróciłem na kwaterę, Blanki już nie było. Tylko babka trzęsąc się, groziła pięścią i klęła. Wreszcie ukłękła przedemną, coś marmocząc, zrozumiałem sens: ratuj!

Wybiegłem ku menaży oficerskiej. Z otwartych okien słyszeć walczyka „Nad modrym Dunajem...“. Gdym wszedł do wnętrza, stanąłem, jak wryty. Obok majora siedziała Blanka blada i wystraszona. Oczy jej na mój widok otwały się jeszcze sze-

rzej. Sąsiedzi częstują ją koniakiem. Blanka opiera się, wreszcie jednak ulega. Trunek robi swoje. Przysiadam na wolnem krześle, niestety, nie mogę się z nią porozumieć, gdyż jest zwrócona twarzą w tę samą, co i ja stronę. Vis-a-vis niej ppor. Berger. Niezwykłej to urody oficer. Widzę, że patrzy na Blankę, jak w tęczę. Nadskakują jej wszyscy. Blanka pije i jest oszołomiona. Obiad przeciąga się, wreszcie koło trzeciej skończony. Blanka, wsparta o Bergera, zlekka zataczając się, idzie... tak, do niego na kwaterę. Niech idzie!

Na kwaterze wita mnie zrozpaczona babka. Rozkładam ręce — cóż jej powiem? Pocieszyłem ją rumem, sam zaś zmęczony położyłem się na łóżku.

Na kolacji w kasynie Berger się nie stawił. Nie stawił się mimo wyraźnego rozkazu majora. Siedzieliśmy w kasynie, a każdy rozważał, coby i jakby...

Rano nazajutrz gwałtowny alarm. Zbiórka. Będzie coś z „mąki“, mówią żołnierze, a oni są dobrym barometrem. Bergera niema. Wysłany po niego ordynans wraca z oznajmieniem, że jest w kościele. Bataljon rusza. Tabor zostaje, więc idziemy do walki. W sprawie Bergera dowódca zapowiada sąd polowy.

Z oddali dochodzi nas huk armat. Na dalekim horyzoncie widać małe obłoczki, to szrapnele włoskie. Obok mnie kroczy przyjaciel mój, kadet-aspirant Hromada. Jest aktorem z zawodu, gra w Bernie Morawskim, posiada niezwykle czysty, melodyjny głos i klasyczne rysy twarzy. Rozprawiamy żywo na temat zagadnienia Słowiańszczyzny. Rozmowa zesłała na temat irredenty austriackiej. Wmieszał się do rozmowy chorąży Stefanowicz, rodem z Lublany i Rumun Overescu, rodem z Hermansztadtu. Każdy z nas wysławia swoją ojczyznę, myśli nasze się rwą, nic nas tu nie łączy w jednym szeregu, a przeważa nienawiść do Austrii. A jednak maszerujemy karnie i za chwilę „Schulter an Schulter“*) strzelać będziemy do tych, którzy niosą nam wyzwolenie.

Nasze szeregi wymija galopem zaprzężona w jednego konia cabriolka, w niej ppor. Berger i... Blanka. Dojeżdżają do dowódcy bataljonu. Berger w postawie na baczność coś melduje, — i Blanka też. Dowiadujemy się: przed pół godziną wzięli ślub. Bataljon maszeruje, Berger oburącz trzyma głowę Blanki i całuje bez końca. Z mijających szeregów pokrzykują im: „Na zdrowie, niech żyją, na zdar“! Berger wsunął się w kompanję; jego mał-

*) Ramię w ramię.

żonka płacze. Musi wracać. Mój Cebula nawraca jej konia. Żegnam i ja Blankę skinieniem ręki.

Po godzinie marszu słyszymy już nad nami szybujące pociski. Rozłamujemy się na kolumny kompanijne, i w linii tyraljerskiej wkraczamy w wysokopienne winnice. Tiuu, tsiuu — załośnię jęczą w górze pociski. Ale lecą górą, wysoko. Od prawego skrzydła zaczyna się rolowanie frontu, t. j. od nas. Teraz wkraczamy na coś, jakby łąkę. Słońce pali, ale znużenia nie czujemy. Jesteśmy wypoczęci. Pragnienie tylko nieco dokucza. Już mamy rannych i zabitych. Mijamy trzecią kompanję.

Na stoku rowu leży rozciągnięty na wznak trup ppor. Bergera. Krótkie pożycie małżeńskie; teraz Blanka wyciąga stęsknione ramiona do męża, a on... leży, nie dbając już ani na jej wołania, ani na pękające wokoło szrapnele.

Ale nie mam czasu nad nim się roztkliwiać.

Za nami ktoś pokrzykuje: — Szturm — hurra!

Teren, jak stół i djabli wiedzą, gdzie nieprzyjacieli. Ale biegniemy naprzód, bo trzeba się gdzieś schronić, a kulki karabinowe gwizdzą coraz gęściej. Obok mnie kroczy, a raczej biegnie sierżant Wiewióra. Że też zawsze musi się kręcić, gdzie gorąco.

— Widzą nas te „makarony“, wrzeszczy, chcąc przegłuszyć łoskot pocisków.

— Padnij!, wołam, chroniąc się za olbrzymiem drzewem liściastem. Naraz robi się jasno, huk, pisk, czerwono i ciemno — wpadam w jakąś otchłań.

Rozdział XXIV.

...Nieznośne uczucie. Ciemno, w ustach gorycz, głowa wetknięta w jakieś worki, nogi, zwłaszcza prawa, jakby z ołowiu. Śpię, czy też pijany jestem do stu diabłów. Głowa boli, oj boli, i krzyże. Coś, na czym leżę, skacze i stąd ból. To znów słyszę trap, trap, trap... To kopyta końskie. Widocznie jadę. O! oo! — bezwiednie jęczę.

— Żyje, słyszę głos.

Głowa moja podniesiona jakąś siłą w górę, usta czują zimne szkliwo. Krztuszę się. Jeszcze raz to samo. Polykam teraz coś, ale nie wiem, herbata to, rum, czy woda. Zaraz mi lżej, lepiej, nawet przyjemnie. Zdaje mi się, że na kołyszącej się górze. Ogień jakiegoś się pokazuje i gorąco, gorąco, jakby wokoło był rozpalony ogień. Znów coś polykam. Nie mogę pojąć sensu tych zjawisk. Zasnąłem.

Budzą mnie pokrzykiwania. Odsuwam ręką zawój głowy. To ambulans sanitarny. Boli mnie wszystko. Teraz wynoszą mnie z noszami. Poznają — to austriacy sanitariusze.

— Gdzie jestem? — pytam się półgłosem.

-- Calliano, odpowiada obok kroczący podoficer.

Że też nie mogę się odczepić od tego Calliano. Wnoszą mnie do wnętrza wybielonych izb. Łóżka tu najrozmaitsze; dębowe, jesionowe, mahoniowe, metalowe i prycze. Na wszystkich leżą ranni, czy chorzy. Kręcą się po sali lekarze w białych fartuchach, poznają ich po okularach. Sanitarjusze dźwigają mnie ostrożnie z noszy i kładą na łóżko. Jestem rozbity, czuję oddzielnie ciężar nóg, tułowia, głowy. Właściwie dotąd nie wiem, co mi brakuje. Dookoła słyszę, jak jęczą ranni, czy chorzy. Ich twarze zaróżnione, brudne... Akurat odbywa się ścisła kontrola. Jakiś generał

w towarzystwie lekarzy chodzi od łóżka do łóżka i wypytuje o chorobę. Wogóle dla chorych ma tylko pogardę i biada markirantowi. Już on wypatrzy symulantów.

Obok mnie leży porucznik, Węgier. Rzuca się na łóżku, toczy pianę, oczyma błyska. Chyba umysłowo chory, prawdopodobnie wtrząs nerwowy. A nieco dalej „wszarz”. Ten dopiero ma za swoje. Niewolno mu się drapać, a gryzie go wszędzie i wszystko. Jego ręce, twarz, szyja posiada różowe place — strupy. To gniazda wszy, które wgryzły się w skórę. Jak można było do tego dopuścić. Obandażowana moja głowa i prawe udo budzi respekt generalski, bo przechodzi obok mnie salutując. Dostaje się zato wszarzowi; zwymyślał go od niechłujnych stworzeń. Stwierdziwszy zaś, że z zawodu jest nauczycielem ludowym, wpadł w istny szal.

— Dawno mówiłem, by nauczycieli nie dopuścić do stopni oficerskich, krzychał.

„Wszarz” usprawiedliwiał się słabym głosem. U rodziców jego w Kirchendorfie była przesadna czystość, ale te wszy to okopowe. W sali zaległo milczenie i przykry nastrój. Naraz zerwał się z pościeli „nerwowiec” i wskazując na generała zaczął krzyczeć:

— Precz stąd, ty stary durniu, ty kukło austriacka!

W tej chwili, jak na komendę, rzucili się na niego sanitariusze i doktorzy i spętali go prześcieradłem. Skorzystał z zamieszania generał i chyłkiem wyniósł się ze sztabem.

Zapanowała miła cisza, którą przerwał „nerwowiec”.

— Na frontowego żołnierza się rzuca, ta świnia etapowa. Ale mu dał, niech wie, mnie nic się stać nie może, bom przecież warjat.

Rozwahałem, symulant zręczny, czy istotnie chory, gdy tenże wpakował w usta róg prześcieradła i zaczął lkać, jak dziecko. Na sali zrobiło się poprostu głupio.

Nazajutrz wywożą nas pociągiem sanitarnym. Mijamy Trydent; towarzyszący nam lekarz, wiedeńczyk wskazuje plac, na którym przed paru dniami rozstrzelano rezerwowego porucznika wojsk austriackich, Battisti'ego.

— Ten nędzny zdrajca, opowiadał z oburzeniem lekarz, nie wstydził się, będąc burmistrzem miasta Mori, gdzie dobrze zarabiał jako adwokat, zdradzić cesarza i nie tylko z kompanją przeszedł do nieprzyjaciela, ale tegoż dnia wszedł do walczącego pułku włoskiego. Na szczęście osaczony dostał się do niewoli. Żaluję, mówił doktor, że takiego lotra rozstrzelali, powinien wi-

sieć cały tydzień ku przestrodze innych, tak jakieśmy to w 14-stym roku w Galicji ze zdrajcami robili.

Nikt w przedziale na to nie odpowiedział, ani nie potakiwał, więc doktor wyszedł do następnego przedziału. Dopiero teraz rozwiązały się języki. Okazało się, że na pięciu oficerów, było trzech Czechów, jeden Polak i jeden Włoch-Triesteńczyk. Zwolna dyskusja zamieniła się w jeden pochwalny hymn ku czci właśnie bohaterskiego Battistiego. Dyskusję przerwał warkot aeroplanu. Pociąg wydatnio zwiększył chyżość.

— Caproni, Caproni!, wykrzykiwał radośnie wychylony przez okno podpor. Punci.

Istotnie nad pociągiem na wysokości do czterystu metrów płynął „tricolore“ Caproni. W naszej separatce rozległy się radosne brawa. Wtem świst przeciał powietrze i rozległ się grzmot. O kilkadziesiąt metrów od nas bryznęła z ziemi fontanna czarnego dymu. Pociąg pędził, zgrzytając na skrętach, a Caproni płynął nad nami, to w dół opadając, to w górę się wznosząc. Pełno go wszędzie. Zaparło w nas dech. Drugi świst i łoskot z lewej strony. Nie wiemy, bombarduje, czy też demonstrowuje gotowość, bo przecież nic łatwiejszego, zdawało się, jak zniżyć lot i trafić w pociąg, a bodaj w tor kolejowy. W każdym razie koaljant polityczny stracił naszą sympatję. A gdy wreszcie aeroplan, okrążywszy nas, pozęgłował na wschód — odetchnęliśmy z ulgą.

W Innsbrucku w Collegium Jezuitów są nasze szpitalne kwatery. Przebyć musimy tu pięciodniową kwarantannę. W trzecim dniu czuję się znacznie lepiej. Noga w biodrze od urazu była jeszcze spuchnięta, to też na szczydle przy pomocy ordynansa podreptałem do kościoła. Była suma.

Usiadłem w mrocznym kącie świątyni. Na ołtarzu jarzyły się cztery świece, przed nim ksiądz w ornacie śpiewał melodyjnie „Vere dignum et iustum est...“ cicho przygrywały organy. Panowała tu taka dostojna cisza, taki majestat Boży, że, schyliłem czoło i zacząłem szeptem, zwolna... Święty, Święty, Święty a Nieśmiertelny... zmiłuj się nad nami. O! zmiłuj się, Jezu! Ukaż swą moc i dobroć i mądrość. Czyż tylko w zacisznych świątyniach jesteś, o Boże?

Organy jęklawie grały ku chwale Najwyższego, ksiądz przykląkł i wznosił Hostję; odezwały się dzwonki ministrantów, zgięli się wierni, zgiąłem i ja zdrowe kolano.

Niepojęte są to rzeczy. Dusza ludzka trzepocze się w ciele, niby ptak w klatce, tęskniący do wolności. Daremnie, próżny trud.

Czemuż to, człowiecze, robisz z siebie trzon świata i sobą chcesz mierzyć kosmiczne problemy? Jedno drgnienie ziemi w proch rozbija najbardziej gigantyczne dzieła cywilizacji, a pa- ni, prawdziwie demokratycznie myśląca, wszechwładna śmierć, kładzie swój stygmat i choćbyś najgenialniejszych znalazł esku- lapów, nie ci nie pomoże. Umrzeć musisz, i porzucić bogactwa i zaszczyty, rodzinę i przyjaciół.

Musimy, musimy wszyscy umrzeć. Wcześniej, czy później. Poco więc rozpacz, i lęk, i obrona przed śmiercią?

Dlatego na polu walki ginący, niechże nie będą oplakiwani. Ginaż jednak w imię potrzeb ustroju wszechświata, ginaż z hono- rem u potomnych.

Msza skończona. Rozchodzą się ludzie skrzepieni, że oto z Bo- giem porozmawiali. Może tam i prawda, a przynajmniej wiara ich w to daje im moralną siłę. Mnie jej brak.

Z wysiłku i krwi milionów żołnierzy korzystać będą paska- rze, dostawcy wojskowi, wodzowie armij, politycy. Ich, poległych i inwalidów, rodziny pójdą w zapomnienie, i jak i oni sami. Ich nazwą będzie Miljon Bezimiennych.

* * *

Nazajutrz wyjazd zapowiedziany. Dokąd, nie wiem. Mój or- dynans, pocziwy Cebula, zabrany został do baraków zakaźnych. Dostał silnej gorączki i jest podejrzany o tyfus. Sanitarjusze wzięli go przemocą. Gdy przyszli po niego w dezynfekcyjnych kostjumach, kurczowo chwycił się prętów mego żelaznego łóżka i wywlókl je wraz ze mną na środek pokoju.

— Nie dajcie mnie wziąć, panie poruczniku, nie dajcie — szlochał, tam mnie śmierć czeka. — Tam mnie te Niemce zaka- trupią.

Próbowałem oderwać go od koszmarnych łapiduchów. Odtrącili mnie, a jego samego skrępowanego wynieśli. Bronił się, kopał, krzyczał, jeszcze w korytarzu wołał:

— Ratunku, panie poruczniku!

Biedny mój pucfleku, towarzyszu - przyjacielu. Tak się wczoraj jeszcze cieszyłeś, żeś z ognia uszedł, że zobaczysz rodzi- nę, swoją wieś i góry, a oto wiodą cię we wrota, z za których może nie wrócisz. Ukryłem twarz w poduszce, bo mnie coś dusiło...

Jedziemy, ale to nie jakimś sobie zwykłym pociągiem, lecz maltańskim. Dowódcą jest cywil, miłej powierzchowności, w sportowym w kratkę ubraniu. Przedstawił się każdemu z nas; nie dosłyszałem nazwiska; mówią, że to hr. Karoly. Pociąg ten

ma być jego fundacji. Trzy wagony sypialne, wóz restauracyjny, jeden wagon operacyjny, jeden dla służby. Komfort i luksus. Pasażerami tylko ranni i chorzy oficerowie. W restauracyjnym wozie podają kelnerzy. Menu obiadowe z pięciu dań; do dyspozycji wino, woda mineralna, owoce, czarna kawa, nawet cygara. Karoly przysiadła się i rozmawia niemal z każdym. Nie widać u niego zbytniego entuzjazmu dla Monarchji austriackiej. Zamyśla się, gdy Niemcy chępliwie chwają zatopienie „Lusitanji“, trze czoło i w okno patrzy, gdy sławia Hindenburga i wygadują na zdrajców austriackich.

Po dwóch dniach wygodnej podróży stajemy w Wiedniu. Pociąg wjechał, owacyjnie witany oklaskami Wiedeńczyków. Ze wszystkich okien wysokich kamienic, niby wyrojone motyle, powiewają chusteczki... A więc zapal wojenny trwa, myślałem, patrząc na miasto. Szkoda, że was, zaeni patrzoci, niema tam, gdzie groza śmierci, nędza... ostygłyby wasze światoburcze zapaly.

Wjeżdżamy przed peron. Pełno tu sanitarnych opiekunów, lekarzy, oficerów paradnych. Wnoszą nas, choć wielu z nas może iść o własnych siłach do kontrolnej izby. Badają kto, co, gdzie ranny, zapisują, podpisują, wreszcie odbywa się przegląd zwany „Lausvisit“, *) potem i wizyta obrzydliwa, bo w obliczu pielęgniarzek naszego przyrodzenia. Na koniec kąpiel, opatrunek i jazda do „Reservespital Nr. 1“. Okazuje się, że głowa moja „wyzdrowiała“ całkowicie; na szczęście prawe udo spuchnięte, jak bania i sine, więc uniknąłem powrotu do etapu. Segregacja bowiem surowa.

W tydzień potem już z kolegami szpitalnymi bujamy po Wiedniu. Pełno nas wszędzie, w Operze, w kawiarniach, kabaretach, na Praterze. Bawimy się, używamy.

Głową muru nie przebijemy, więc carpe diem!

Dziś w Operze Dworskiej byliśmy świadkami nieporównanej sceny. Zauważyliśmy w trzecim rzędzie krzeseł kapitana Dobrodzickiego w towarzystwie sympatycznego, słowackiej narodowości kapitana Vavrčika. Przed nimi w pierwszym rzędzie paradował w czerwonym „waffenrocku“ **), pułkownik. Oczy całej widowni zwrócone były na te trzy osoby, zamiast podziwiać „Aidę“.

— To musi być jakiś właściciel zakładu pogrzebowego mówił półgłosem Dobrodzicki.

*) Stan zawszczenia,

**) Mundur paradny.

— Nie! To chyba dyrektor muzeum starożytności, koryguje Vavrčík.

— A może to dyrektor więzienia, mówi znów Dobrodzicki.

Pułkownik słyszał docinki i zirytowany raz po raz zwracał się majestatycznie, by zgromić śmiałków, ale go znów spotykało coś, jak „knur etapowy”. Publiczność dusiła się od śmiechu tak, że wreszcie pułkownik gwardji cesarskiej, jak się okazało, faktycznie mający rangę generała, podczas pauzy podszedł do nich z zapytaniem, czego sobie właściwie życzą. Na to Dobrodzicki odparł, że chciałby tylko się dowiedzieć, co to za piękne wojsko, bo takiego na froncie nie widział.

Wtedy pułkownik wściekły wyszedł na korytarz, zaś w parę minut potem we framudze drzwi bocznych zjawił się major kawalerji w dystynkejach służbowych i stanąwszy tamże kiwał palcem ku Dobrodzickiemu i Vavrčíkowi, jakby ich prosił na jakieś miłe spotkanie. Rozpoczęła się jedyna w swym rodzaju scena. Co major wychyliwszy się kiwnie na nich palcem, ciż rewolwery kierują w jego stronę, a major czempredzej chowa głowę. Trwała ta zabawa dłuższy czas, aż akt się skończył. Publiczność ryczała wprost na cały głos, zaś skonfundowany major wyniósł się, by widocznie wezwać pogotowie wojskowe. Teraz publiczność tłumnie otoczyła Dobrodzickiego i Vavrčíka i wznosiła owacyjnie okrzyki na ich cześć. Czas był najwyższy do ucieczki, bo przed teatr zajechały dwa samochody z żandarmerją. Wtedy obydwaj, wietrząc niebezpieczeństwo, przepadli jak kamień w wodzie.

* *

Wczoraj dostałem wiadomość, że ordynans mój, Cebula zmarł w Innsbrucku na tyfus plamisty.

Biedny pucfleku! Ileż wspomnień z przeszłości łączę z twojem nazwiskiem, ileż złych i dobrych chwil przeżyliśmy wspólnie, ileż razy marzyliśmy o powrocie do Ojczyzny.

Dziś spocząłeś wśród obcych na cmentarzu, daleko od swej wsi.

Tak sobie tę śmierć sam wyprorokowałeś.

Pokój Twej duszy!

Rozdział XXV.

Dni biegą. Wojna trwa.

Na wszystkich frontach toczą się zacięte boje. Optymiści ludzą się, że po odparciu Brussilowskiej ofensywy i pokonaniu Rumunji — Niemcy zaproponują pokój i pokój ten narzuca Koalicji. Armja rumuńska okazała się za słabą, do potrzeb wojny nowoczesnej nieprzystosowaną. Pod naporem ofensywy Mackensena zajęta została niemal cała Rumunja, a z nią olbrzymie zapasy żywności, bogate złoża nafty. Od ostatecznego rozgromienia uratowały armję rumuńską wojska rosyjskie.

Przebąkuje się o oddzielnym pokoju z Rosją. Pragniemy go wszyscy, ale zdajemy sobie sprawę, że zawarcie pokoju obecnie przyniesie z sobą nowy podział Polski. Dyktować go będzie triumfujący militarizm pruski, Berlin będzie decydował o losach Polski.

Wiek XIX nauczył nas, że na Francję, Anglję nie mamy co liczyć. Prowadzą one egoistyczną politykę.

Rosja opuściła bezpowrotnie ziemie polskie. Niemcy mimo zajęcia Kongresówki i Litwy nie śpieszą się z ogłoszeniem enuncjacji w sprawie polskiej. Okupowane ziemie podzielili na dwie strefy, niemiecką i austriacką, zaprowadzając w nich rządy wojskowe, które dotkliwie dają się we znaki ludności cywilnej.

W zarządach gubernjalnych Warszawy i Lublina kryje się moc t. zw. „druckerów“, którzy frontu nie lubią. To najgorszy gatunek świń etapowych. Wszelki rabunek mienia prywatnego nazywa się u nich rekwizycją. Rekwirują wszystko, co się da; żywność, spirytus, skórę, drzewo, miedź i tak bez końca i wywożą to do „Vaterlandu“. Wietrzą wszędzie wrogów Mocarstw Centralnych, aresztują Bogu ducha winnych ludzi, no i... rekwirują, to jest ich główne zajęcie.

We Lwowie namiestnika Korytowskiego zastępuje generał Collard ze swą kliką. Ten chytry żołdak jawnie jątrzy Rusinów przeciwko Polakom i wyraźnie ich faworyzuje. Wśród ludności cywilnej coraz trudniej o aprowizację odzieży, opału. Można te rzeczy dostać tylko na kartki. To też u żłobu będący wojskowi i urzędnicy opływają w dobrobycie, gdy wśród ludności cywilnej nędza szczerzy zęby.

Nam wojskowym nie brakuje naogół niczego, gdyż wszystko „fasujemy“ nawet „Closetspapier“.

Są spryciarze, którzy „fasują“ na zapas, są kombinatorzy, którzy skupują co się da i wobec skaczących z dnia na dzień cen robią fortuny.

Zauważyć też można pogłębiającą się coraz bardziej nieufność, jeśli nie nienawiść ku Austrii, a zwłaszcza Niemcom. W wielu domach żaloba i smutek po zabitych czy zmarłych na wojnie. Niema prawie rodziny, by ktoś nie był w wojsku. Przy poborach biorą starych i nieletnich mężczyzn. W kraju ogólne przygnębienie.

Stwierdziłem to wszystko za przyjazdem moim do kadry 20 p. p. w Tarnowie.

W tej depresji duchowej zaszedłem do restauracji Leszczyńskiego. Wre tu teraz życie. Pełno oficerów. Brzęczą szklance, w pokojach unoszą się chmury dymu tytoniowego. Jest to koniec października 1916 roku, więc ogólny zjazd oficerów frontowych. Nie robiony, ale dokonany w prosty sposób. Z wiosną rozpalają się walki na frontach i trwają przez całe lato. Stąd masa rannych, chorych — a po skończonej w szpitalach kuracji poprostu wylewają ich do macierzystych oddziałów. Ścisk więc w kadrze niebывały. Co chwila słyhać okrzyki: — Jak się masz, ty pieronie, to ty jeszcze żyjesz?! Bractwo całuje się z dubeltówki, miesza się z sobą Polacy, Czesi, Niemcy, Węgrzy. Nie ma swarów politycznych ani narodowościowych, chociaż grupy, towarzyskie układają się wedle przynależności narodowej. Gospodarz spocorny, zasapany kręci się, jak fryga. Piwsko i gorzała płyną, jak Niagara.

W naszej polskiej grupie są wszyscy: jakby się zmówili, zbiegając się ze wszystkich frontów. Przewodzi kapitan Dobrodzicki. Jego humor tryska dowcipem, czy opowiada kawały, czy przeżycia. Sekunduje mu znany polonofil, kapitan Vavrčík. Jest i por. profesor Witowiecki, szeroki umysł, kompan doskonały. Jest ppor. Ptaś Ludwik, co to, gdy mu w przedziale drzwi zatrzasnęły, a pociąg z Poronina, dokąd jechał na urlop, ruszył w dalszą dro-

gę, strzałami z brauninga tenże pociąg zahamował. Jest por. Kubin, któremu przy rozmowie z Niemcami o Polsce bezwiednie otwierał się dużych rozmiarów scyzoryk, oczy krwią nabiegały — i dyskusję interlokutorzy likwidowali pokłonami dla „edle Pole“. Jest jako rekonwalescent, ciężko ranny ppor. Skiba, uczynny i pomysłowy w najgorszych opresjach, jest i „Rejent“. Ma nogę zmasakrowaną i kuleje, ale za to parę jeszcze miesięcy w „Hinterlandzie“ murowanych, stąd pewny siebie i naciąga wszystkich, nie bacząc na wiek ni szarżę. Jest ppor. Kosiba, niepoprawny idealista i marzyciel, i powszechnie lubiany chorąży, Tadzio Klein. Jest ppor. Kiełbasa Władek, żołnierz bez skazy. Jest por. Giza, wspaniałej postawy góral, którego ręce łamią podkowę, Durlak, świeżo upieczony podporucznik, wyfasował zaległe pobory i „stawia“. Dalej ppor. Buczma topi w kuflu smętek, który go zawsze ogarnia, gdy Niemcy zwyciężają. Jest i Staszek Marossany. Stracił nogę w bitwie pod Przemyślem, tańczyć już nie może, mimo to nie martwi siebie, ani otoczenia. Jest por. Uziembło, właśnie intonuje, a ma doskonały baryton:

Jak nie mamy żyć wesolo,
gdy już taki nastał czas,
Jedna kulka świśnie w czoło...

huczy pieśń, aż i gospodarz Leszczyński nabrał animuszu i podreca wesa.

Któregoś z biesiadników ogarnia melancholja, bo zaczyna często przez nas śpiewaną pieśń „Zgasły dla nas nadziei promienie“... Choć nastrój hulaszczy, pieśń ta przemawia do naszej wyobraźni. Dość zgrany chór wydobył z pieśni właściwą jej ekspresję; pochyliły się głowy, oczy tęsknie wpatrzyły przed siebie. Każdy z nas wie, że „dzisiaj tu, a jutro tam“... Kiedy jakie dla kogo „jutro“ pisane — jeden Bóg raczy wiedzieć. Rosyjski, włoski, serbski, rumuński czy francuski front będzie jutrem, zwłaszcza nas Polaków, których nie oszczędzają. Wszak z samej kadry 20 p. p. wybrano już przeszło czterdzieści tysięcy żołnierza. Iluż z nich spoczęło w grobach, w masowych mogiłach, ilu tuła się w nędzy po obozach jeńców w głębi Rosji, gdzieś w dalekich tundrach Sybiru, iluż mamy kolegów, po których wszelki ślad zaginął.

Por. Buczma zaczyna pieśń: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“... Jest to konieczna demonstracja, bo w sąsiednim pokoju gościnnym Niemcy ryczą: „Es brausst ein Sturm, wie Donnerhall, wie Schwertgeklirr und Wogenprall“. Nasza pieśń, którą śpiewamy mocno w postawie na baczność, dźwiga wszystkich

obecnych na nogi. A gdy śpiewamy „Nie będzie Prusak pluć nam w twarz, ni dzieci nam germanić“... z ręką zaciśniętą na gardzie szabli, bije z nas taka moc, że Niemcy zamilkli ze swoją „Wacht am Rhein“ i tylko adjutant, zausznik obersta Böhma pilnie wypatruje, kto ma w towarzystwie najwięcej zapachu.

Przyłączyli się do nas Czesi i zaśpiewali swój hymn „Kde domov můj“; uszanowaliśmy go postawą na bacność i wtórem. Gdy zaś kpt. Dobrodzicki następnie zaczął „Jeszcze Polska nie zginęła“, a Niemcy niedość ochoczo wstawali, ryknął na nich po niemiecku: „Habt Acht! i mimo, że tam byli starsi rangą oficerowie, musieli w postawie uroczystej wysłuchać dwóch zwrotek naszego hymnu. Długo jeszcze w późną noc rozbrzmiewały pieśni. Niemcy widząc wzrastające podniecenie powychodzili chyłkiem. Wreszcie koło godziny trzeciej w nocy gospodarz, rozkładając ręce żałośnie oświadczył: — piwa zabrakło.

Więc po strzemiennych wielokrotnie powtórzonych, rozeszli się wszyscy po kwaterach, bądź po nocnych lokalach.

*

* *

Echem wczorajszych pieśni rozkaz dzisiejszy dowództwa kadry. Więc większość oficerów wcielona do formacji marszowych. Odejdą za trzy, cztery tygodnie na front. Część, jako t. zw. pojedynczo podróżujący oficerowie, wprost do pułku. Mnie odkomenderowano, jako karabiniarza na przeszkolenie do szkoły karabinów maszynowych w Bruck n/L., koło Wiednia.

Na mieście parada wielka, capstrzyk, pochodnie, muzyka, sztandary. Okazuje się, że w dniu wczorajszym, t. j. 5-go listopada 1916 r. niemiecki generał-gubernator Warszawy, Bessler i austriacki generał Kuk w Lublinie, uroczyście wydali, każdy w granicach swojej okupacji proklamację jednakowej treści, a to: że ich Cesarskie Moście, Wilhelm II i Franciszek Józef I postanowili z ziem polskich, zabranych Rosji, utworzyć samodzielne państwo polskie z dziedziczną monarchją i ustrojem konstytucyjnym. „Nowe Królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmnię do swobodnego rozwoju swych sił. We własnej armji nadal żyć będą pełne chwały tradycje wojsk polskich. Organizacja, wykształcenie i kierownictwo uregulowane będą oddzielnem zarządzeniem“. Tyle proklamacja.

Granic państwowych nie zakresłono. W każdym razie ziemie poznańskie, ani Galicja w skład nowego Królestwa nie wejdą, bo cesarz Franciszek Józef I w orędziu z tejże daty do prezesa

austrjackiej Rady Ministrów dra Koerbera, zapowiada rozbudowę tylko autonomji Galicji.

Zgadzamy się wszyscy, w tem, że Mocarstwa Centralne chcą w akcji tym ubiegnąć Koalicję, no i że chodzi tu o zdobycie rekruta. Są i entuzjaści tego aktu. — Czy Koalicja myśli o Polsce, czy palcem kiwnęła w tej sprawie, przekonuje nas podczas przerwy na ćwiczeniach austrofil, ppor. Pieczonka. — Czy liczy-cie jeszcze na jej pomoc? — Owszem, pomoże nam, przerwał Pieczonka ppor. Skiba, ale jak poczuje naszą siłę, jak zobaczy, że nie jesteśmy biernem narzędziem, ale rezerwoarem sił rewolucyjnych.

— To chciałem właśnie podnieść, wtrącił Pieczonka. Akt 5-go listopada będzie miał jednak znaczenie. Od stu lat po raz pierwszy zaborcze państwa wykrztusiły słowo „samodzielne państwo polskie“. W ten sposób sprawa polska wchodzi na forum międzynarodowe, i zepchnąć Polskę do roli spraw niemiecko-austrjackich już nie tak łatwo. — Zapamiętajcie sobie, mówił żywo Pieczonka, że od dzisiaj staniemy się obiektem licytacji między Mocarstwami Centralnemi a Koalicją.

— Widocznie Prusacy dostają porządnie w skórę pod Verdun i nad Sommą skoro tak się śpieszą, zauważył Kosiba.

— Widać brakuje im „Kanonenfutter“. Będą chcieli z Królestwa wyciągnąć rekruta, tanio chcą nas kupić, oburzał się Skiba.

Orientujemy się wszyscy, że zgoda na pobór rekruta odrzuciłaby od nas raz na zawsze Koalicję. Natomiast straszyć nie zaszkodzi, bo widmo miljonowej armji polskiej zmusi Koalicję do zrewidowania swego do nas stosunku

Kosiba wyraża obawy, że Naczelny Komitet Narodowy, zwany N.-K.-N.-em gotów pójść na lep pruskich obietnic i sprzedać rekruta za misę soczewicy. Cała nadzieja w tem, że społeczeństwo w Kongresówce jest zbyt dojrzałe i rozsądne, by dało się uwieść. Skiba uporczywie twierdzi, że akt 5-go listopada dowodzi słabości Prusaków.

— Tak, mówi Kosiba, dotąd właściwie żadnego z przeciwników nie rozgromili. Siły francusko-angielskie dotąd niezłamane.

* * *

W kasynie z powodu aktu 5-go listopada fanfary; przemawia dowódca kadry pulk. Walter, patetyczny oficer. Apeluje do naszych sumień, honoru, wdzięczności dla Najjaśniejszego Pana. — Coby z was było, gdyby nie zwycięstwo armji niemieckiej i austriackiej...! Mówił długo, głośno, a kiedy zakończył okrzy-

kiem na cześć Mocarstw Centralnych — por. Witowiecki zamiast „niech żyje, wiwat!“ — krzyknął „hip! hip! piwa!“ — i wszyscy potem wrzasnęli za nim „hip! hip! piwa!“.

Zerwał się na to pąsowy z gniewu pułkownik Walter, ale wstrzymał go kapitan Dobrodzicki stuknięciem w szklankę.

— Panie pułkowniku! Panowie! rozpoczął.

Usiadł pułkownik i wszyscy wpatrzyli się w twarz Dobrodzickiego. Na jego zwyczajnie pogodnym obliczu malowała się teraz wielka powaga.

— Jesteśmy wdzięczni Najjaśniejszemu Panu i cesarzowi Niemiec, że, jak pan pułkownik twierdzi, dla wyzwolenia Polski podjęli nową wojnę z Rosją. My Polacy Rosję uważamy za wroga, w dowód czego pod wodzą brygadiera Piłsudskiego bije się nasza młodzież, kwiat narodu. Tragedją naszą, że po stronie rosyjskiej walczą także Polacy. Ale Polska przedrozbiorowa, Polska historyczna, a odbudowana obecnie przez Mocarstwa Centralne Polska, to są dwie różne rzeczy. Polska obecnie odbudowana jest tylko jej surogatem. W stosunku do ofiar krwi i mienia Polaków na rzecz Najjaśniejszego Pana i cesarza Niemiec tak Polska jest nazbyt skromnym rewanżem. Ale cóż mamy robić. Musimy życzyć zwycięstwa i przyrzekamy, że zrobimy wszystko, co nam żołnierzom-Polakom uczynić należy, a w dowód miłości dla Najjaśniejszego Pana i Cesarza Niemiec, ofiarujemy im po wieczne czasy ...zdradziecką Portugalję. Hurra! — zakończył toast.

— Hurra! — krzyczy wiara.

— Hurra! — powtarzają Czesi, rozumiejąc dowcip.

Pułkownik Walter, zorientowany nieco w sytuacji i podświadomie czując, że go nabierają, zaofiarował Dobrodzickiemu półwysep Krymski... Cały uroczysty nastrój, jaki w związku z manewrem politycznym dla zdobycia rekruta z Kongresówki Niemcy podjęli, prysnął. Pułkownik Walter wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a za nim czereda Niemców i powsinogów.

Dopiero teraz zaczęli wszyscy spierać się o znaczenie aktu z 5-go listopada, dopatrując się w nim przeważnie podstępny ze strony Prusaków. Tę żywą dyskusję przeciął Dobrodzicki słowami: nie nadaje się ta sprawa do omawiania w tym lokalu, gdzie ściany mają oczy i uszy. Pogadamy o tem gdzieindziej. Gdy zaś umilkli wszyscy Dobrodzicki, rozparłszy się wygodnie na siedzeniu, jął opowiadać:

— Ani wiecie, jak się tu dostałem. Jestem na urlopie wbrew woli dowódcy pułku, Hoffmana. Uprzykrzyło mi się siedzenie w linji, więc jednego dnia niewiele myśląc, wałę do Hoffmana.

Przy raporcie, gdy mu oświadczyłem, że proszę o urlop, ze zdziwienia tak otworzył japo, że ujrzał wszystkie jego trzonowe zęby. Co?! Urlop? „Unmöglich“ *), ale jak chcesz, powiada, dam ci pięć dni do taboru pułkowego. Tam się wyśpisz, tam cię nakarmią i napoją lepiej, niż u rodzonej mamy. Co było robić? — Zabrałem pucfleka i podyrdałem do tych treniarzy. Naturalnie na to konto zarznąli wieprza, gorzalka i wino strumieniem się polały i anim się spostrzegł, jak minęło nie pięć, ale ośm dni. Tak ósmego dnia drapię się po głowie, jak usprawiedliwić przetrzymane trzy dni, a na to Wawrzek Typrowicz, że to niby prawnik i na wszystko radę znaleźć musi, łapiducha ściągnął, urzędniliśmy dziada jak się patrzy, no i musiał podpisać świadectwo lekarskie.

Wyobraźcie sobie, że jako chorobę podali Bassedova. Tryndam się z tem świadectwem z głupia frant do obersta — jak zobaczył Bassedova, zawołał lekarza pułkowego, a ten bez badania siups mnie do dywizji. W dywizji nie znali środków na taką chorobę, więc odesłali mnie do Halicza. W Haliczu wałę przez miasto jak się patrzy, za mną ordynans z plecakami. Melduję się u komendanta szpitala, a tu mi mówią, że akurat w balji czy czemś takim się kapie.

Zachodzę do tej łaźni i zastaję tam d-ra Dąbrowskiego. — Serwus Jurek krzyczy, a ja mu „krankencetle“ **) pod nos. — Co, co, co?! Bassedova? — z przerażeniem mało się nie utopił, dobrze że był na miejscu... — To, powiada, ciężka choroba, musisz jechać do wyższego szpitala. No i co powiecie, trzasnął mnie do Debreczyna.

W Debreczynie, gdym leżał na łóżu szpitalnem, włazi doktor w babskiej spódnicy. Mimo to witam ją pięknie i mówię grzecznie — „całuję rączki“. Ta widać przeleżała się, że może i nieprzytomny i ryps! do Komendy. Za godzinę już mnie wyekspedjowali do Budapesztu.

W Budapeszcie Madziarzy powiadają, że szpitale mają dla Węgrów, no i tegoż dnia wyprawili mnie do Wiednia, z Wiednia, że brak było miejsca, do Linzu.

W Linzu przed zbadaniem położyli mnie jako ciężko chorego w jednym pokoju z kpt. Swolbą, znacie tego moczymordę. Chłop z wiary, wesoły, też tam jakiś ischias kurował. Trzy dni tak wytrzymaaliśmy w zamknięciu, ale w czwartym dniu akurat w niedzielę rozpacz nas wzięła, więc niewiele myśląc naciągnęliśmy

*) Niemożliwe.

**) Kartę chorych.

buty, portki, czapki i chcemy cichcem wyjść ze szpitala. — Ale to nie tak łatwo. Więc przyczajeni idziemy kurytarzem, a tu na przeciw taszczy się jakaś, jak faska, gruba zakonnica. Gotowa cholera zameldować o naszej ekskursji, więc też delikatnie, a nabożnie „Laudetur Jesus Christus“ — ją witamy. In saecula saeculorum — odśpiewała grzecznie. A dokąd też panowie?! — Hm! powiadamy — wyszliśmy, aby się pomodlić, bo to proszę siostry, dzisiaj święta niedziela. Ach Boże! załamuje ona ręce. Przecież kaplicę szpitalną zajęli ci bezbożnicy na salę operacyjną, świętego miejsca nie uszanują, ale idźcie, panowie, na miasto. — No tak, powiadamy, ale my bez przepustek. — Nie szkodzi, na moją idźcie panowie odpowiedzialność, Pan Bóg was będzie miał w opiece. Kościół stąd niedaleko — prosto i na lewo. Popatrzyłem na Swolbę, on na mnie — jakoś niebardzo w to jej zezwolenie mieliśmy zaufanie, ale kiedy zaofiarowała się z gotowością wydania nam przepustki na piśmie — zaczęliśmy wierzyć w jej potęgę.

Kościół szukaliśmy coś aż do piątku. W piątek wracamy bez gronia, połamane czapki, pochwy, nieogoleni — rozpacz. No i raport karny. Walimy do komendanta garnizonu. Przyjmuje nas generał siwiuteńki, z miejsca pyta: — co to panowie z dwudziestki od Krakowa? Ach, byłem tam, powiada, śliczne miasto, Wawel, planty, toście panowie stamtąd, no a co robi pułkownik Swolboda? — Trzeba było coś powiedzieć. — Zginął! — odpowiadam. Ale jakże, przerywa mi generał, przedwczoraj dostałem list od niego. — A! ratuje mnie Swolba, to bratanek zginął, panie generale. — Pojaśniała twarz generała.

— No, ale z czem właściwie panowie przyszedli do mnie? Spojrzał Swolba na mnie, ja na niego, a Swolba cichutko: Po urlop, panie generale.

— Dobrze, dobrze! — Ile chcecie?

— Tak ze trzy tygodnie, mówię na wszelki wypadek.

— Dobrze, dobrze, zaraz adjutant urlopy panom wyda. A Swolba na to: — Żebyśmy tak dostali prawo jazdy na Dunaju, bo koleją ciasno jechać.

— Dobrze, dobrze, mówi generał i żegna nas.

Ukłoniliśmy się, jak się patrzy — no i Wiedeń, Budapeszt, Kraków, a teraz do was się obwiesie przytaszczyłem.

Niech żyje podróżnik! rzucił ktoś okrzyk. — Hurra! stuknęły szklance.

Na salę wszedł chorąży Legjonów Tryszczyło, kolega z ławy gimnazjalnej. Nie widzieliśmy się od trzech lat. Studjował w Wiedniu leśnictwo. Zgłosił się z chwilą wybuchu wojny do Legjonów.

Uściskaliśmy się serdecznie. Jak się okazuje i on jest podróżnikiem. Ma „offener Befehl” i zwiedza Niemcy, Austrię. Opowiada nam, że w Legjonach wrzenie. Komendant Piłsudski podał się do dymisji i opuścił front. Podobno Niemcy zażądali wycofania go z frontu, gdyż nie chciał spełniać ich rozkazów. Antagonizm między nim, a Naczelnym Komitetem Narodowym coraz bardziej się pogłębia. Piłsudski zakazał dalszego werbunku do Legjonów i postawił wniosek o rozwiązanie Departamentu Wojskowego przy N. K. N. i zaprzestania bezcelowego rozlewu krwi polskiej. Wobec tego Niemcy złączyli Legjony w jedną jednostkę bojową, i umieścili je pod Czartoryskiem, aby tam wytłuc resztki na froncie rosyjskim. Piłsudski w miejsce Legjonów nakazał tworzenie Polskiej Organizacji Wojskowej, która ma siecią swą objąć całą Polskę. Będą to kadry rewolucyjne przeciwko zaborcom. Organizacja ta ma objąć i Polaków, służących w armjach zaborczych. Słuchaliśmy tych wieści z bijącym sercem.

Nazajutrz rozjeżdżaliśmy się. Na peronie zgromadzone całe oficerstwo. Krążą kielichy w bufecie kolejowym, nastrój jakbyśmy się zjeżdżali na chrzciny lub wesele.

Jest między nami i por. Krawczyński. On to w okopach pod Buczaczem, znudziwszy sobie szarugę życia okopowego, postanowił zrobić coś, czego jeszcze nie było, a mianowicie atak na dowództwo własnego pułku. Główną przyczyną tego było rozżalenie, jakie mieli oficerowie na pułkownika, że tenże zupełnie niepotrzebnie w ostatnich dniach wytracił kilka kompanij, atakując spokojnie w okopach siedzących Moskali.

Tedy Krawczyński, jako dowódca kompanij zaprosił swoich młodszych oficerów Polaków, spoił ich śliwownicą, dając jako zakąskę kapustę ze skwarkami, co szumnie nazywał bigosem, poczem kazał im zatknąć za pasy po cztery granaty ręczne. Noc była grudniowa, ciemna. Koło północy zaszli samoczwart na tyły do ziemianki pułkownika i na sygnał ze steyerowskiego pistoletu — wypalili szesnaście granatów, waląc w dach i przed drzwi pułkownikowskiej ziemianki. Przerażony telefonista doniósł natychmiast do dowództwa brygady, że Moskale przerwali front. Brygada dała znać dywizji, dywizja armji, i wieść o tem dotarła do Armeeoberkomando*). Pułkownik w bieliźnie, jak leżał w łóżku, rwał na tyły, a za nim z płaczem niosąc buty i inne graty garderbiane biegł ordynans, krzycząc:

-- Panie oberst, pantofle ostały w dekunku...

*) Naczelne Dowództwo Armji.

Widowisko było nielada — mniej wesoło zakończone, bo wyższe dowództwa nakazały gwałtowny ogień artylerji, na co — zdumieni niespodzianą akcją — Moskale odpowiedzieli również silnym ogniem. Strzelanina trwała aż do świtu, a nazajutrz uroczysty komunikat A. O. K. obwieścił światu, że usiłowane przez Rosjan przerwanie frontu, waleczne wojska austriackie zwycięsko odparły. Sprawa się potem oczywiście wyjaśniła, był wstyd i skandal, i w wyniku dochodzeń por. Krawczyńskiego, którego respektowano ze względu na posiadane wysokie odznaczenia, bo między innymi miał i „Kronenorden“, marzenie nawet dowódców korpusu — jako na umyśle niezupełnie... przekazano do szpitala w Zagrzebiu. Żeby go zaś nie urażać, był niby dla fasunku mundurów odesłany; faktycznie przydano mu do asysty porucznika lekarza D., który miał go „sprytnie“ dowieźć i unieszkodliwić.

Jakież było zdumienie obersta, gdy w dwa tygodnie potem w schronie zjawił się onże, por. Krawczyński i zameldował, że szczęśliwie dojechał z oberarzem D. do Zagrzebia, a stwierdziwszy jego misję, z którą tenże po pijanemu w Przerowie się wygadał — i uważając to zlecenie za fantazję chorego mózgu doktora D., uprzedził go u komendanta szpitala.

— A teraz, — zakończył Krawczyński swój raport, „oberarzt“ siedzi bezpiecznie w celi furjatów i jest pięć razy na dzień zlewany zimnym tuszem, nadzieja więc, że niebawem wyzdrowieje. Złapał się wtedy pułkownik za głowę. Krawczyńskiego odesłał do kadry, przeciw czemu tenże nie miał, zaś doktora D. wreszcie po kilkudniowych wyjaśnieniach udało się zwolnić ze szpitala.

Podobno za powrotem u doktora zaobserwowano pewne odchYLENIA.

Teraz Krawczyński dumnie wypiął pierś i nie bacząc na licznych Niemców głośno zaśpiewał: „do d... z Wilhelmem, do d... z Wilhelmem, dlaczego on w d... nie ma być“.

Wśród nas paradytuje też por. Uryga. Jadąc na urlop wysiadł w Bochni, by odwiedzić przyjaciela, również na urlopie bawiącego ppor. Wójtowicza. W restauracji kolejowej natknął się na druhów z frontu i po licznych kolejkach zapomniał adresu Wójtowicza. Wpadł przeto na oryginalny pomysł, by łażąc od domu do domu, jakoś go znaleźć. Tak zaszedł i do gmachu sądu powiatowego, gdzie akurat odbywała się uroczyste rozprawa. Uryga, gdy spostrzegł sędziego, zawołał gromkim głosem:

— Opróżnić salę, wojsko idzie!

Przerażony sędzia zwał do swego gabinetu; wieść o ataku wojska na sąd dotarła do komendy garnizonu, gdzie kadrowy rot-

mistrz w asyście lekarza ruszył w pogoń za wojowniczym urlopnikiem. Oczywiście, wnet go znaleźli, a stwierdziwszy, że por. Uryga — obok pięknej brody, nadającej mu dostojny wygląd — posiada przedni humor, dali się wciągnąć do szynku. Tam ich Uryga dokumentnie spoił — i przedstawivszy telefonicznie komendantowi garnizonu, że dwóch straszliwie pijanych oficerów leży pod ławą, uzyskał zgodę vel prawo i odwiózł obu niedoszłych eskortantów do aresztu garnizonowego, gdzie ich własnoręcznie zamknął, a wręczając klucze podoficerowi oświadczył, że mają tam leżeć dwadzieścia cztery godzin. Trafił potem szczęśliwie do Wójtowicza, ale że patrole go poszukiwały, furmanką przez góry wprost, a nie koleją wyjechał do swej wsi. W Bochni, nikt nie wiedział zresztą, kto to taki, a że ppor. Wójtowicz też niby znał go z nazwiska, przeto sprawa ugrzęzła w aktach.

Siedząc tak dookoła stołu komentujemy też zdolności lingwistyczne kpt. Dobrodzickiego. Dzisiaj bowiem było święto pułkowe i z tego powodu okrutna parada i strzelanie o nagrodę, a nawet oberst Walter, który lubiał pompę, z mocy wyroku sądowego zdegradowanemu za złodziejstwo sierżantowi własnoręcznie scyzorykiem obciął paski i gwiazdki.

Przed wręczeniem nagród najlepszym strzelcom, pułkownik Walter wylazł na stolik i do pięciu tysięcy zbitych w czworobok żołnierzy i oficerów wypowiedział po niemiecku patryjotyczną mowę. Za „dolmetsch’a“, służył właśnie kpt. Dobrodzicki i ostatnie zdanie pułkownika Waltera, który z podniesioną w górę prawicą głośno zakończył „...und wir schwören, dass wir immer tapfer kämpfen werden für das schöne Österreichische Vaterland“ — przetłumaczył: przysięgamy, że zawsze i walecznie bić się będziemy za tę „śliczną“ ojczyznę austriacką. Zakończył, zacisnął wargi i wytrzeszczywszy szelmowsko oczy, patrzył na obersta z miną niewinnego baranka. A my i Czesi wprost dławiliśmy się ze śmiechu.

Tak sobie pogadujemy, a tu huk na peronie. Wjechał pociąg ze Lwowa. Żegnamy się — i za kilka minut ruszamy w świat.

Rozdział XXVI.

Nazajutrz już w bluzie żołnierskiej stoję w szeregu elewów przyszłych maszynistów w Brucku n/L. Jest tu kilkuset oficerów najrozmaitszych broni i najrozmaitszych specjalności. Od wczesnego rana do późnego wieczora na maneżu, w sali wykładowej, na strzelnicy i na placu ćwiczeń. Ogluchnąć można, gdy na strzelnicy biją równocześnie dwadzieścia dwa karabiny maszynowe.

A wieczorem wszystko pędzi do kawiarni i lokali nocnych. Panien lekkiego prowadzenia na kopy liczyć można, wszędzie też w każdej ubikacji profilaktyczne utensylja. Nikt tu nie ma czasu na długie romanse, a ponieważ często tak panowie, jak i panie nie mogą się posłużyć rodzinnym ani niemieckim językiem, przeto zrękowiny odbywają się na migi. Do późnej nocy wre zabawa; oficerowie i żołnierze jedzą i piją na umór. Właściciele lokali tylko zacierają ręce, no i damulki. Przysłowie „raz kozie śmierć” święci triumfy i najbardziej szanowni i wierni małżonkowie i czcigodni ojcowie nie robią sobie żadnych skrupułów.

Miesiąc upłynął, jak z bicia trzaśł. Na konkursie strzelania z karabinu maszynowego zdobyłem pierwszą nagrodę. Wróciłem zadowolony do kadry i w dwa dni potem nagłym rozkazem odkomenderowany zostałem do „sim - sim“, t. j. 77 p. p. w Jarosławiu.

Jakiegoż doznałem wzruszenia, gdy na polach Surochowa odbywał ćwiczenia. A jednak wrażenia zostały. Tor kolejowy, drzewa i widnokrąg, to wszystko tak znane i tak straszne, brrr! Gdzież wy koledzy, gdzież wy, towarzysze, polegli w boju? Oplątuja mnie wspomnienia tych koszmarnych dni.

W kadrze 11-go pułku znajduję przyjaciela w osobie Niemca kpt. Josepha.

Pod koniec mego dwutygodniowego tu pobytu otrzymuję rozkaz wyjazdu do dyspozycji dowództwa grupy w Mostarze. Żegna

mnie kpt. Joseph i na pamiątkę wręcza mi swą fotografię z następującem na odwrocie wskazaniem.

„Es wird Dir nie ein Lorbeer spriesen*),
Mit Höheren im Wortgefecht,
Denn hast du Unrecht, muss Du's büssen,
Doch dreimal büssen — hast du Recht“.

*

*

*

Tym razem jadę przez Nowy Sącz, Koszyce, Budapeszt, gdzie się trzy dni zatrzymuję, Bośniacki - Brod, wreszcie już kolejką bośniacką los wiedzie mnie do Sarajewa. Dwa dni zatrzymuję się w tem oryginalnem mieście.

Z nabożeństwem stoję przy moście, gdzie strzały Prinzipa wywołały wielką wojnę.

Zwiedzam meczety, cerkwie i kościoły, oryginalne wschodnie bazary, żłapię piwo sarajewskie i dziwuję się tej krętaninie ludzi i temu spokojowi, jaki mimo wszystko w tem arcyciekawem mieście panuje.

Popołudniu ruszam w dalszą drogę do Mostaru. W chwili, gdy wyglądał przez okno wagonu, starszy wiekiem, choć bardzo szykowny rotmistrz huzarów przedstawił mi się, polecając mi opiekę nad swą żoną, młodą, wytworną damą.

— Mam zaufanie do ciebie „Kamerad“ i lieczę na honor oficerski, zobowiązał mnie, ściskając prawicę.

— Może pan być spokojnym, panie rotmistrzu.

Rotmistrz, gdy pociąg ruszał, ucałował żonę w policzki, w usta, w rączki — długo, długo powiewali ku sobie chusteczkami, aż na zakręcie znikła stacja kolejowa.

Pomogłem damie się rozgościć, zagadałem to i owo; dowiedziałem się, że jedzie jak i ja do Mostaru i — pomny na słowo oficerskie, zatopiłem się w gazetach. Zapadła noc. Dojeżdżaliśmy do Hercegowiny. Pomogłem damie rozłożyć poduszki wagonowe, służący rozesłał bieliznę pościelową, zasunąłem jej przedział parawanem — i sam położyłem się w swoim przedziale.

Noc była księżycowa. Piękna, choć dzika panorama skalistych gór Hercegowiny nastroiła mnie romantycznie. Myślałem Bóg wie

*) Wolny przekład:

Wawrzyn twej głowy nie ozdobi,
Gdy w kłótni z władzą wiecznie trwasz,
Raz — nie masz racji; lecz za trzecim,
— (Kłóć się wytrwale-) rację masz!

o czem, powiedzmy szczerze o niczem. Trwało to dość długo. Sąsiadka widocznie nie spała, słyszałem wyraźnie jej ruchy, to głęboki oddech, to kaszel.

Męczy ją parna noc zapewne — jak i mnie, myślałem. Gorąco był, bo kaloryfery grzały. Przez szparę parawanu dojrzałem, jak jej zasłony się poruszają i naraz błysnęło białe kolano; cofnęło się i znów je widać. Krew mi napłynęła, tętno waliło, jak szalone... a gdzie słowo oficerskie, honor? — I tak męczyłem się długo, długo. Kolano z wolna cofnęło się, zasłony się uszczelnily. Zostałem sam.

Nad ranem, gdyśmy dojeżdżali do Mostaru po skończonej toalecie, moja towarzyszka podróży pudrowała nossek i trzymając w lusterku na wodzy moje oczy, zapytała:

— No, jak się jechało?

— Źle, — mówię, męczyłem się.

— Ja też — odpowiedziała, — trzeba było tę noc jakoś uprzyjemnić.

— ...Gdyby można!? Ale skoro panią polecił mej opiece mąż i związał mnie oficerskiem słowem honoru...

— Ha! ha! śmiała się dama. Jaki tam mąż. Żadnego ślubu z nim nie brałam i nie wezmę, a pan, panie „leutnancie“ jest jeszcze bardzo naiwny.

— Naiwny?! Psiakrew!... — bąkałem, trąc czoło — a ja głupi mu wierzyłem.

Pociąg zgrzytnął, gwałtownie zahamowany. Dama wpadła w objęcia, witających ją oficerów, ordynansi wynosili sakwojaże, a ja stałem w oknie ogłupiały i ledwie zdążył zasałutować, gdy z peronu skinęła ku mnie rączką...

Wysiadłem, a za mną tarabanił się z bagażem nowy mój ordynans, Kuba Kłobudzki.

W dowództwie grupy tymczasem otrzymałem rozkaz zameldowania się w Zelenice. Niebawem zjechałem serpentyną kolejową do Gravozy, a stąd do Zeleniki.

Otrzymuję tu miejsce oficera do szczególnych zleceń. Właściwą nazwą będzie oficer kurjerski, albo kurjer oficerski, jak kto woli. Ze stanowiskiem tem związane są duże przywileje. Mam prawo rekwirować każdą podwodę, auto, pojazd. Mam nieograniczony wstęp na kolej — oczywiście pierwszą klasą — na okręty, nawet na aeroplany. Do dyspozycji konwój żandarmski. To stanowisko wydaje mi się rajem, w porównaniu do nędzy dni po-

przednich. Włóczę się też po miasteczkach zatoki kotarskiej, podziwiając cuda tutejszej przyrody.

Naprzeciw wejścia do zatoki w portach Zeleniki i Castel Nuovo, drzemie sennie przeważna część floty austriackiej i część niemieckiej, zwłaszcza, sporo tu niemieckich łodzi podwodnych, za temi zaś, zakotwiczone krążowniki, pancerniki, torpedowce... ciągnie się to nieskończonym sznurem. Rozmyślałem nad tem, dlaczego beczynnie tu stoi flota, gdy usłyszałem z boku tubalny głos:

— „Grüss dich Gott, Kamerad!“

Przedemną stanął porucznik marynarki niemieckiej, Otto Hoefffer. Poznaliśmy się w 1916 roku, podczas mego pobytu w szpitalu w Wiedniu. Szpakowaty, chudy ten, aczkolwiek młody jeszcze wiekiem oficer, to typowy wilk morski. Obecnie dowodzi łodzią podwodną. Hoefffer ujął mnie pod rękę i podczas spaceru wzdłuż wybrzeża zatoki wyjaśniał zasady taktyki walki morskiej.

— To wszystko mówił, wskazując na znieruchomiałe okręty, tylko pozornie śpi.

— Ale dlaczego schroniły się tu, zamiast walczyć? — pytam.

— Otóż, — odparł Hoefffer — po pierwsze manewrowanie flotą jest rzeczą dowództwa, a nie moją, a po drugie i nieprzyjaciel siedzi w swoich portach i nie lubi szukać sobie guza, po trzecie patrz!

Ku wyjściu zatoki płynęła teraz flotylla torpedowców austriackich.

— O! — powiada Hoefffer — jadą, jako przednia straż, coś jak u was patrol wywiadowczy. I bądź spokojny, jadą i wiedzą, gdzie i którądy potrzeba.

Zamilkłem, wpatrzony w statki. Za chwilę powoli ruszały dwa krążowniki i jeden pancernik w środku. Na gaflu pancernika powiewa bandera austriacka, na maszcie widnieje proporczyk admirałski. Muzyka gra na pokładzie hymn państwowy. Podniosłem rękę do daszka czapki, obok mnie wyprostowany, salutując stał „Bundesgenosse“*), por. Hoefffer. Za statkami ciągnęły się długie pióropusze dymu. Niebawem znikły one, dym powoli się rozsnuwał, zapadał wieczór.

Poszliśmy do restauracji. Po drodze opowiadał mi Hoefffer o tragedji statku węgierskiego „Zrinyi“.

*) Sprzymierzeniec.

— Na statku było półtora tysiąca piechoty, saperów i radjotelegrafistów; samego sprzętu radjotelegraficznego i sanitarnego za przeszło ośm milionów koron. Wyjechali z Poli na południe do Durazzo. Jechali w odległości nie dalej, jak pół kilometra od brzegu. W salonie oficerowie grali w karty, bądź urzędowali przy bufecie. Naraz djabelski huk. Wybiegli wszyscy na pokład z krzykiem: Alarm - zbiórka! Tu okręt tonie, a ci równają szeregi. Bodajże was piechury z waszą dyscypliną! „Ergreift das Gewehr“ — komenderują oficerowie, a tu woda wdziera się na pokład.

— No i..? — przerwałem.

— Skończyło się, jak normalnie. Okręt trafiony torpedą angielską, zatonął, przeszło tysiąc ludzi poszło na dno, jeszcze na trzeci dzień łowiono zwłoki topielców... niemal każdy z nich w kurczowo zaciśniętych rękach dzierżył karabin, a mało kto domyślił się złapać za pas ratunkowy.

Wchodziliśmy do wnętrza restauracji. Przy stolikach siedzieli pomieszani marynarze, piechury, artylerzyści, muzyka grała tęskne melodje węgierskie. Hoeffler bez ogródek zaczął roman-sować ze zgrabną kelnerką, jakich tu pełno kręciło się na sali. Wyszliśmy z lokalu późną nocą.

Nazajutrz otrzymałem rozkaz zawiezienia grubo wypchanej, lakiem opieczutowanej koperty do Dowództwa Portu w Poli. Kręciłem się po przystani, dopytując się o wyjeżdżające statki, gdy natknąłem się na Hoeffera.

— Doskonale się składa, — oświadczył mi krótko — ja z moją łodzią mam rozkaz łukiem wygiętym w stronę Italji spatrolować brzeg aż do portu Spalato. Jedź ze mną.

— Czemu nie!?

W pół godziny potem siedziałem we wnętrzu łodzi. Ciasno tu, każdy centymetr wyliczony, pełno kólek, śrub, skrętek, zegarów, manometrów. Nijak nie mogę się zorjentować do czego, co służy. Marynarze milezący, obojętni.

Wskazano mi ławeczkę obok magazynu z torpedami. Długie potworne wielkością torpedy, lśnią w dziobie łodzi stalową białą. Komendant gwizdnął, uderzono w dzwonek, łódź zadrżała i trwała w drganiu.

— Płyniemy — oznajmił mi Hoeffler.

Uczułem lekki niepokój.

— Jechałeś kiedy okrętem? — zapytał mnie Hoeffler.

— Chyba?! — rzuciłem, kryjąc zmieszanie.

— Jakby coś tego, — tu wskazał ręką od żołądka do gardła — to z tem „da heraus!“ Obok stał kubel.

— Tak źle nie jest, — salwuję się wobec niego — śmierci nieraz zaglądałem w oczy, a co się tyczy żołądka, to mam lekarstwo.

Wyciągnąłem manierkę z rumem i częstując go, pociągnąłem haust.

— Dziękuję — rzekł Hoefffer — ale nam podczas jazdy nie wolno pić. Właśnie — objaśniał mnie, — mijamy niebezpieczne miejsce. Jesteśmy w cieśninie zatoki. Pod nami ugrzęzła w ochronnej sieci francuska łódź podwodna. Zdrajcy wydali im plany, więc chcieli w zatoce urządzić fajerwerki. Ale dwa dni przedtem akurat zmieniono rozkład sieci. A teraz od tygodnia siedzą na dnie, nawet rekiny nie zeżrą tego parszywego ścierva francuskiego. Pukali, pukali i nic. Zresztą, gdybyśmy nawet chcieli i tak wyratować ich nie można.

Wyjeżdżaliśmy z zatoki na pełne morze. Adrjatyk lśnił w promieniach słońca, fale srebrzyły się, z ich odmętów widać wyskakujące delfiny. Komendant gwizdnał, uderzono w dzwonek, pokrywa opadła i równocześnie rozblęły światła elektryczne. Hoefffer stanął przy okularze periskopu i zawezwał mnie. Ujrzałem w zwierciadle, jakby w sinych dymach spowite brzegi Dalmacji. Motor pracował silnie i naraz zamilkł.

— Pogrążamy się — objaśnił mnie por. Hoefffer.

Cisza ogarnęła wnętrze łodzi; słychać wyraźnie oddechy. Zdawało mi się, że słyszę plusk przelewanej wody. Nie umiem określić, jak długo to trwało, ale wydawało mi się to wiekiem. Czułem, że spadamy w otchłań. A może wisimy w głębi wody, a może jak i ta łódź francuska, ugrzęźniemy w zdradzieckiej sieci, a może jakie potwory morskie, straszliwe ośmiornice obejmą łódź w żelazne kleszcze... Patrzę na komendanta. Jego brwi ściągnięte, widać, że myśli jego usilnie pracują. Daje teraz sygnał dzwonkiem trrr... statek drży. Jedziemy w górę. Ja jednak nie odczuwam tego. Wreszcie po dłuższej chwili komenda nowa. Słychać stukot motoru. Płyniemy teraz górą.

Nakrywają do stołu. Marynarze otrzymują na talerzach zupę i kotlety siekane. Jestem zaproszony do oficerskiego stołu. Menu stanowi zupa grzybowa, drób w potrawce, kompot z puszek i krem z konfiturą. Jako napój — szklaneczka Giesshüblera.

Na rozkaz komendanta odsłonięto pokrywę. Do wnętrza łodzi wpłynęły potoki światła dziennego i fala świeżego powietrza. Dobrze już po południu wjechaliśmy do portu w Spalato.

Łódź wprowadza pilot austriackiej marynarki wojennej. Kiedy poczułem deski moła pod nogami, przybyło mi pół życia.

Tegoż dnia wieczorem wyjechałem w dalszą drogę statkiem pasażerskim. Pod wojłokami i brezentami szczerzą się wyloty armat i karabinów maszynowych. Pasażerowie, to wyłącznie wojskowi. W razie tonięcia okrętu mam ścisły rozkaz rzucić kopertę z przymocowanym ciężarkiem do wody, względnie, o ile czas na to pozwoli, zniszczyć ją.

Podróż mija bez wypadku. Jedziemy nocą. W świetle księżyca widać doskonale skaliste wybrzeża. Nad ranem wjeżdżamy do portu w Fiume, stąd kolejną jadę do S. Peter, a następnie do Poli, gdzie mam otrzymać dalsze rozkazy.

W Poli indagowano mnie długo, badano legitymacje, wreszcie wręczono mi znów grubo wypchaną, sznurkiem i lakiem opieczętowaną kopertę. Komandor marynarki poleca mi o pierwszej stawić się na moło. Do Cattaro ma jechać kontrtorpedowiec austriacki. Okazuje się jednak, że z powodu defektu w maszynach pojedzie dopiero jutro.

— Jeśli pan się nie boi, za pół godziny odlatuje hydroplan — proponuje mi komandor.

— Zgoda. To coś nowego.

Punktualnie o godzinie pierwszej minut trzydzieści przyholują hydroplan. Poznaje się z porucznikiem obserwatorem. Nie mogę się z nim w żaden sposób dogadać, bo to „madziarem-bem“, po niemiecku ani w ząb, „nemtudom“. Na szczęście pilot-sierżant, rodem z Insbrucka. Na hydroplanie u dołu wiszą bomby, psiakrew, niczego sobie kuferki. Śmiga zakręcona raz, drugi, wreszcie działa regularnie. W promieniu pięćdziesięciu metrów woda marszczy się, łoskot silnika i warkot śmigi zagłuszają kaszel. Łódź zwolna sunie po powierzchni wody. Gwałtowne szarpnięcie, skurcz w dołku, jesteśmy nad wodą. Lecimy w górę, w przeciwną słońca stronę. Miasto i port uciekają w szalonym pędzie. Chwilami mam wrażenie, że miasto stanęło ukośnie bokiem. Obserwator przez tubę informuje mnie:

— Ośmset metrów nad powierzchnią morza.

Robi mi się jakoś niewyraźnie. Dostaję czkawki. Nim pomyślałem, rzygnąłem, na szczęście na zewnątrz łodzi. Wyraźnie czuję obok siebie materjalną siłę, gdy zaś wychylę głowę, ogarnia mnie poczucie bezsily.

Gdzieś głęboko w dole połyskuje morze, jak lustro ustawione do słońca. Brzegi Istrii wyglądają, jakby były ręką dziecka usypane. Wogóle zaś nic ładnego na ziemi.

Nie dolecieliśmy jednak do Cattaro, bo w oliwiarce coś się popsuło. Pilot opuścił się w Spalato. Podziękowałem gospodarzom za dalszą jazdę. Już najlepsza lokomocja na własnych nogach, a bodaj końmi, czy koleją. Pojechałem jednak statkiem. Korzystam z okazji i wysiadam w Raguzie.

Stare, dostojne, piękne, idealnie czyste miasto. Zachodzę do kościołów, winiarń, zwiedzam baszty nadbrzeżne, wyspę Locrum. Podziwiam wszędzie nieporównane piękno natury i piękno dzieł ludzkich. Uderza mnie sposób noszenia wszystkiego na głowie. Czynią to zwłaszcza kobiety, które lekko i pewnie kroczą, niosąc na głowie pełną konew, czy szeroki, olbrzymi kosz. Pełno wspaniałych palm, cudownych rzeźb na każdym niemal domu.

Wieczorem wyjeżdżam kolejką do Zeleniki. Pociąg pędzi w ciemności nocy, siejąc wokoło deszczem złotych iskier.

To nieokreślone zajęcie przypadło mi do gustu. Niestety, w tydzień potem, w Mostarze, po ustaleniu mojej narodowości w dowództwie grupy, zwolniono mnie ze stanowiska i nazajutrz otrzymałem rozkaz wyjazdu do Trebinje w Hercegowinie.

Tutaj w szkole karabinów maszynowych przeznaczono mnie na stanowisko instrukcyjnego oficera.

Ciągnęły się potem dni samotności. Po zajęciach codziennych w piżamie siadywałem wieczorem na płaskim dachu, i na leżaku godzinami leżąc, rozmyślałem nad tem wszystkim, co przeszedłem i co jeszcze przejść mogę.

Z oddali płynęły smętne melodie muezinów, wyśpiewujących z minaretów chwałę Allachowi: „O! Allach, Akbar Allach...!” Jakże mi ta pieśń przypomina naszą modlitwę „Święty, Święty, a Nieśmiertelny...!”

O Allach, Akbar Allach! Jakkolwiek się nazywasz, o Boże, do Ciebie ludy całego świata zwracają się z błagalną prośbą: pomóż nam, oddal od nas tę mękę, daj nam tę radość życia, jaką ma ptak w przestworzu.

Muezinowie odśpiewują już ostatnie modły wieczorne, a ja w zamyśleniu nie mogę oderwać się wspomnieniami od naszych wsi i gór, i łąk, kwiatami usianych.

Teraz tam grają koniki polne, rechoczą żaby, skrzypią drzwi stodół. A tu taki inny świat. Naokoło góry kamieniste, porośnięte ostem. Kamień i kamień wokoło. Ludzie w workach wynoszą garście ziemi i robią ogródki przed domkami, a jeden gwałtowniejszy deszcz splókuje im całą nadzieję na zbiory.

Cisza dokoła.

Złoty róg księżycy wylania się z za wysokiej góry, na szczycie której fort broni twierdzę Trebinje od strony południowo-wschodniej.

* * *

O tem, co się w Polsce dzieje, wiem z gazet krakowskich, które prenumeruję. Z białych plam, które często się pojawiają, można dużo wyczytać. Niemcy za pośrednictwem papieża zabiegają o pokój, ale nikt na ich warunki nie chce się zgodzić. Tymczasem zaostrzyli walkę, wprowadzając szerokie zastosowanie łodzi podwodnych. Obszar morski dookoła Anglii, ogłosili za strefę wojenną i topią bezwzględnie każdy, tam napotkany, statek pasażerski, czy handlowy, jako, że mogą wieść materiały wojenne, żywność, bądź żołnierza. Chcą w ten sposób wygłodzić Anglię i zmusić temsamem Francję do kapitulacji. Wywołuje to konflikt z państwami neutralnemi, zwłaszcza z Ameryką. Z pogroźek amerykańskich drwią. Uważają czynny udział Ameryki w wojnie za rzecz nierealną, wręcz humorystyczną. Dotąd mają wspaniałe sukcesy. Wschodni front unieruchomiony. Przerzucają teraz swe rezerwy na front francuski. W ten sposób wojna może się zakończyć ich zwycięstwem, albo w najgorszym dla nich wypadku kompromisem, a to w rezultacie da nowy podział Polski.

W Kongresówce rozwinęli silną akcję werbunkową do wojska polskiego. W tym celu utworzyli „Tymczasową Radę Stanu“, która ma być szyldem i reklamą. Dziwię się, że Piłsudski przyjął tam miejsce. Czy ludzi się, że Niemcy pozwolą armji polskiej na samodzielne wystąpienie? Nie rozumiem go. Jest dla mnie zagadkowy. Jako Wódz Narodu, jako symbol niepodległościowych dążeń chadza samotnie tak oryginalnemi drogami, że nie mogę się połapać w jego założeniach, ani nadażyć jego myślom. Ale widocznie jest w tem jakaś racja i cel.

W ostatnich dniach pojawiła się sensacyjna wiadomość o wybuchu rewolucji w Rosji. Car abdykował. W miejsce caratu powstał Tymczasowy Rząd Rewolucyjny z ks. Lwowem na czele. Odpadł temsamem najgroźniejszy wróg — carat. Orjentacja polska przez to się upraszcza. Mamy jednego teraz wroga, Niemców. Rosja dopomoże do zlikwidowania wojny, a temsamem do naszego wyzwolenia. Wierzę, że rewolucyjna Rosja broni dotąd nie złoży, aż złamie militarizm pruski i zaprowadzi nowy ład, oparty na zasadach wolności narodów i zniesienia ucisku klasowego.

Nemezis dziejowa robi swoje. Wierzę, iż rewolucyjna Rosja odrodzi moralność strupieszalego świata i pchnie go na nowe

tory. Obawiam się tylko, czy wytrzyma trud, przeciągającej się wojny. Rewolucja osłabia dyscyplinę. I dlatego Niemcy są przekonani, że rewolucja rozłoży armję rosyjską. Zobaczymy.

Na razie Rosja, ustami Miliukowa, zapowiada, że wojnę prowadzić będzie razem z Ententą aż do zwycięskiego końca.

Rozmyślania moje przerywa gość, por. Stefanowič. Dzisiaj ważne posiedzenie zakonspirowanej grupy Ligi Słowian Południowych. Posiedzenie spiskowców pod hasłem „Jugosławja“ odbędzie się w restauracji Nagliča. Oprócz mnie w charakterze gości zaproszono trzech oficerów czeskich. Wśród konspirantów przewodzi lekarz z Triestu kapitan rezerwy, dr. Nedved. Mężczyzna to o ostrem spojrzeniu, śniadej cerze, bujnej, czarnej czuprynie, przy swoich czterdziestu pięciu latach wygląda na jakiegoś filmowego aktora. Mówi z zapalem; jego w górę wzniesione ręce, odrzucona w tył głowa wywołują wielkie wrażenie. W myślach każdy, nadążając szlakiem jego przemówienia, widzi upadek i klęskę Mocarstw Centralnych, zwycięstwo Ententy, rozgromioną Austriję, Węgry... bieda tylko ze sprzymierzeńcem Koalicji, Włochami, które prawem kaduka opanowały północne i zachodnie pobrzeże Wielkiej Serbji, która w niedalekiej przyszłości sięgnie het, w głąb puszt węgierskich, ba! w Sofji zdepcze sługusów Berlina.

W barwnych słowach rozwija mówca swe myśli. Dewizą naszą, zniszczenie Austrii. Jest to, — wywodzi Nedved — tragiczny paradoks, że w państwie, w którem na 50 milionów ludności przeszło 30 milionów życzy sobie jego upadku, te właśnie 30 milionów pracują ku obronie tegoż państwa, dają bez protestu mienie, krew i życie. Ten dziwny twór państwowy, sprzeczny z wymogami nowoczesnego życia, wbrew wszelkiej logice żyje i przyznać trzeba dobrze prosperuje.

W interesie ludów naturalnie ciążących do macierzystych państw, leży rozłożenie Austrii. Niech Niemcy mają swój Wiedeń, ale nie Pragę, Kraków, Zagrzeb, Czerniowce, czy Sarajewo. Dr. Nedved uważa Austriję za wrzód Europy, zatruwający powietrze. Polityka Austrii rzekomo liberalna, pełna obłudnych frazesów i hasel, jest chytrą, przebiegłą. „Divide et impera“ — hasło dynastji Habsburgów ma wielkie zbrodnie za sobą. Nedved zwrócił się do mnie w toku przemówienia: — Wam Polakom specjalnie powinno zależeć na zniszczeniu Austrii. Za odsiecz wiedeńską waszego Sobieskiego odplacili wam rozbiorami, nam Chorwatom, za pomoc Jellačića w r. 1848 ugodą austrijacko - węgierską, oddającą nas w jarzmo madziarskie, za pomoc Rosji pod Villagos

odpłacili wojną krymską. Cały świat dziwił się niewdzięczności tego mściwody, Franciszka Józefa. Ta krew, dzisiaj rozlewana, jego to posiew. Habsburgowie, o ile chodzi o interes dynastji, sprzedadzą wszystko, nawet Marję Ludwikę rzucili w ramiona Napoleona.

Rząd austriacki świadomie i celowo przeszkadzał uciskanym narodom we wzajemnem porozumieniu się, utrzymywał je w analfabetyzmie politycznym i wygrywał na tem, rzucając je do walki przeciwko sobie. Ale wojna obecna zdemaskowała tę robotę i przed uciskanemi narodami odsłoniła takie horyzonty, że boją się ich teraz sami twórcy wojny.

— Dzisiaj rozumiemy, czem byliśmy w rękach biurokracji austriackiej i madziarskiej. Dzisiaj Chorwat, Bośniak, Dalmatyńczyk, Serb prawosławny, katolik, czy mahometanin rozumieją, że stanowimy jeden naród i powinniśmy mieć jedno państwo. Jeśli dzisiaj zwołałem panów — to dlatego, byśmy Słowianie austriacy wspólnie się porozumieli, bo to jest nasza wspólna sprawa. Wiem, że każdy z panów prowadzi akcję irredencją w swym oddziale, ale też ograniczacie się jedynie do swej narodowości, gdy tu potrzebne jest skoordynowanie i ujednolajnienie akcji.

— My musimy znaleźć wspólny język, wspólną duszę i serce. Przewidział to rząd austriacki, chytrze pomieszał w pulkach narodowości, stwarzając w nich istną wieżę Babel. Patrzymy na siebie podejrzliwie — w takich warunkach trudno robić rewolucję. Niewiadomo, kto przyjacielem, a kto prowokatorem.

— Na razie, niech każdy uświadamia o potrzebie rewolucji żołnierzy swojej narodowości, o tem, że Niemcy i Węgrzy to nasi wrogowie. My Chorwaci mamy cały naród za sobą. Zagrzeb, opanowany w całości, Lublana też w niedługim czasie stanie z nami w jednym szeregu.

Zadaniem naszym, ułatwić dezercję. To jest bardzo skuteczny sposób rozłożenia armji. Dezerter, to element burzliwy, nie ma nic do stracenia i dla niego pójść na barykady będzie zabawką.

— Dalej musimy propagować konieczność zniszczenia Monarchji Austriacko - Węgierskiej. Koalicji musimy pokazać, że nie wierzymy w przebudowę Austrii, ani w jej koncepcje federalistyczne. Takie koncepcje wysuwać mogą tylko ignoranci psychiki ludów słowiańskich w Austrii, którzy nie znają ich dynamiki i pędu do wolności.

— Koalicja musi zrozumieć, że tylko przez rozkład Austrii złamać może militaryzm pruski. Nasze oswobodzenie będzie

miażdżącym ciosem dla junkrów pruskich, ich oszalałej buty, brutalnej pięści i woli panowania nad światem. Głupcy mogą tylko myśleć, że Austria będzie istnieć samodzielnie, niezależnie od dyktatorów z Berlina.

— W nas Koalicja ma naturalnych sprzymierzeńców. Nasze zwycięstwo będzie grobem Mocarstw Centralnych, a temsamem zwycięstwem Ententy. Jako prawy Jugosłowianin dążę do zwycięstwa Koalicji, choć w jej łonie są Włochy, choć drzę o losy Rjeki, Dalmacji i Pobrzeża. Ale nam chodzi przede wszystkim o zjednoczenie południowych Słowian. Jeszcze raz wzywam panów do pracy! Woła i rozkazuje Nasza i Wasza Ojczyzna!

Dr. Nedved zakończył przemówienie.

Po chwilowej przerwie nastąpiła dysputa co do organizacji spisku. Zasada: Słowianie wszyscy jednym frontem, działanie w swoim kółku. Na wypadek rewolty, żaden garnizon, mający w swych szeregach Słowian, nie powinien przeszkadzać akcji miejscowej ludności, lecz przeciwnie, dopomóc do jej utrwalenia. — Jeśli który z panów — mówił Nedved — będzie musiał stać na czele oddziału asystencyjnego i dać salwę do zbuntowanego tłumu, winien pamiętać, że będzie mordercą swoich braci.

Do późnej nocy obradowaliśmy nad szczegółami organizacji spisku. Ogólne zdanie panowało, że zgładzenie Wilhelma byłoby najbardziej celowym sposobem zlikwidowania wojny.

W kilka dni potem, jak się następnie dowiedziałem od świadków, kapitan lekarz Nedved z kapralem marynarki Suljakiem zabrali z przystani kotarskiej łódź motorową, do patrolowania zatoki kotarskiej przeznaczoną, o sile 120 HP — i z zapasem żywności na trzy dni wyruszyli przez Adrijatyk wprost do Italji. O losach tej wyprawy nie dowiedzieliśmy się. Słyszeliśmy tylko, że wartę portową postawiono pod sąd wojenny.

Zaczął się teraz okres szpiegowania. Musieliśmy unikać jawnych zebrań. W domu, gdzie stałem kwaterą, mieszkał Chorwat nazwiskiem Chrebowic. Jeździł on stale na ośle, gdyż mu Austriacy, jako podejrzanemu o konszachty z Serbami, popodcinali ścięgna u stóp, wskutek czego stopy były zupełnie bezwładne. Poza tem wzięli w sekwestr cały jego majątek, w tem około czterdziestu mórg ziemi uprawnej, co na tamtejsze stosunki stanowiło kolosalną fortunę.

Jeśli zważymy, że w samej Trebinje rozstrzelano, względnie powieszono stu czterdziestu ludzi pod zarzutem zdrady stanu — widać, że rząd austriacki żartów nie robił, stąd też postanowiono

działać oddzielnie, a tylko w decydujących chwilach występować gromadnie.

Tymczasem nic nie zapowiadało zmiany kursu. Mocarstwa Centralne zwyciężają na prawo i na lewo mimo, że cały świat przeciwko nim powstał, że nawet Ameryka sprawę wojny postawiła na całkiem realnej stopie.

* * *

Właśnie kończyło się święto „Bajranu“, gdy dostałem rozkaz wraz z kilku innymi oficerami zameldowania się w Mostarze. Dowództwo tutejsze z rozkazu generała gubernatora Sarkotića, formowało ad hoc skombinowaną grupę w sile jednej brygady, która miała przeprowadzić pacyfikację buntującej się Czarnogóry.

Nazajutrz ruszyliśmy z brygadą przez górę Łowczen i Njegoś do państwa Nikity. Po kilkugodzinnym marszu w spiekocie słońca, która w Cattaro wynosiła przeszło 50° C. braliśmy na szczycie Łowczena w garście wieczny śnieg i rozcierali w dłoniach. U stóp naszych w dolinie lśnił srebrem Adrjatyk, a po drugiej stronie na tle druidycznych skał i spalonych słońcem bezdrzewnych gór, cieszyła oczy nasze soczysta zieleń, jakby ogromnej łąki, otaczającej rezydencję króla Nikity. Cetinje mijamy jednak po krótkim postoju.

Jako zadanie, mamy oczyszczenie Czarnogóry z band komitadzi, t. j. luzaków - powstańców, którzy połączeni w silne, po kilkudziesięciu, a nawet kilkuset ludzi liczące oddziały — napadali pojedynczych Austriaków, bądź mniejsze oddziały, taborry i t. p. Niedawno taka banda osaczyła dwa samochody, wiozące wyższych oficerów sztabu generalnego, których wybito do nogi.

Przeprawialiśmy się tratwą przez brzydkie, cuchnące jezioro Skutari, gdy w odległości ośmiu kilometrów od miasteczka straż przednia została zasypiana strzałami niewiadomego pochodzenia. Ze wszystkich stron, z zaułków i szczelin skalnych szła detonacja karabinowa, ale strzelców nie widać. Mimo to, dwa bataljony kolumny głównej półkolem, którego wierzchołek stanowiła szosa, ruszyły na oba boki. A oto już dwie baterje dział górskich rozpoczynają kanonadę. Pękają szrapnele, znacząc się obłoczkami, trzaskają z rozgłośnem echem karabiny maszynowe, siejąc na ciemno - stalowych skałach wyraźne odpryski. Rozkaz surowy: nie brać nikogo do niewoli, wybijając na miejscu do nogi bez żadnego pardonu. Sam stoję na szosie przy oddziale karabinów maszynowych i lornetuję okolice. Słońce praży niemilosiernie, konie uginają się od zmęczenia, z ludzi występują siódme

poty. Iść ostrożnie po tych skalach trudno, a cóż dopiero atakować. Ale potęga rozkazu robi swoje. W promieniu siedmiu kilometrów teren oczyszczony. Posuwam się ze swoimi maszynami na wskazaną „kotę“, przeklinając wojnę, ba! skądinąd sympatycznych mi powstańców.

Dopiero w drodze widać skutki działania ognia naszej ekspedycji. W zaułkach skał gęsto obok siebie leżą zabici komitadzi. Rannych niema, widocznie towarzysze ich unieśli. Ogromne chłopy w czerwonych fezach i kamizelkach bogato ozdobionych w błyszczące guziki, w spodniach dziwaczного kroju, ze zwisającym na tyle, jakby workiem.

Strzelanina trwa niemal do zmierzchu. Moje maszyny milczą. Nie widzę nieprzyjaciela, zresztą nie chcę go widzieć.

Zapada szybko noc. Nakazany spoczynek. Na niebo występuje księżyc w kwadrze, jakiś obcy, przykry. Gdzieś z oddali słychać jakby z łkaniem śpiewane: „O! Allah, Akbar Allah...!“ Żołnierze umęczeni chrapią. Sam, oparty głową o siodło mojego wierzchowca, patrzę melancholijnie przed siebie. Zdołu słychać trąbkę tra, ta, tra, taaa... sygnał na zbiórkę. Brawo! Siodłać konie! Pakować!

Zjeżdżamy w dół ku szosie. Ze wszystkich stron słychać rżenie koni, gwar rozmów, stękanie i pokaszliwanie. Wracamy do Skutari. Na szczęście nasz oddział idzie na kwatery.

Skutari gęsto strażami zabezpieczone. Po ulokowaniu ludzi i koni, spieszę do zaimprovizowanego kasyna oficerskiego. Zmęczeni wszyscy, ale krążąca wokoło borowiczka i wino odpędzają sen. Postój w Skutari i marsze pacyfikacyjne poszczególnych bataljonów trwały kilka dni. Gdy już zdawało się śladu po nieprzyjacielu nie było, ruszyliśmy z powrotem do Mostaru.

Nazajutrz z Mostaru drogą morską jechałem do Nabresiny koło Triestu. Miałem tu dostać przydział na froncie. I znów jadę samotny statkiem. Siedzę na pokładzie i myślę o tem, co by się stało, gdyby nasz statek dostał się do niewoli. Skończyłaby się dla mnie wojna, a ja jako jeniec możebym się dostał akurat do obozu jeńców koło Sorrento i przy dźwiękach gitary śpiewał beztrosko. A jeszcze prędzej śladem Battisti'ego ruszył przeciwko wojskom cesarskim. Nie wiem, jak jest w niewoli, w każdym razie lepszą mi się ona wydaje, niż życie tutaj. Ale tymczasem możemy najechać na minę, czy też trafić nas może torpeda, a wtedy rekiny się nami pożywią.

Rozdział XXVII.

I znów jestem na froncie włoskim, w t. zw. grupie kombinowanej. Taka grupa służy do zatykania dziur i trwa dotąd, aż ją nieprzyjaciół do cna wytlucze.

Rok 1917-ty teraz, lato w pełni. Wojska austriacko-węgierskie trzymają się dzielnie na swych pozycjach. Nad Soczą toczą się nieustannie zacięte bitwy. Odcinek ten staje się jednym z najbardziej krwawych pobojuwisk. Włosi uporeczywie, mimo olbrzymich strat, atakują Tolmino, przedmieście Gorycji i płaskowyż Doberdo. Austriacy bronią tej pozycji z niesłychanym poświęceniem. Chwilowo udało się Włochom zająć Gorycję, ale wkrótce zostali stamtąd wyparci. Z wyjątkiem frontu tyrolskiego, linja prawie niezmieniona.

Jednego dnia grupę naszą po zejściu z pozycji na Monte Selo rozwiązano. Z radością wracałem do swego pułku, do którego przybyłem akurat w czasie trwania jedenastej ofensywy nad Soczą.

Od dwóch tygodni siedzę wśród kolegów w kawernie i wysłuchuję opowiadań starych druhów: Buczmy, Durlaka, Kleina, Kielbasy, Mikułowskiego, Malika, Huzy i innych. Płaczą się nazwy: Duino, Hermada, Kras, Monte Selo, Monte Gabriele, Gorycja, Monte Sabotino, S. Michael, potworne Doberdo.

Płaczę się łańcuch wspomnień...

Legły tam setki oficerów i tysiące żołnierzy naszej, t. j. 12-tej dywizji.

Ich zwłoki leżą wśród nieustannego ryku dział, łomotu pocisków, na przedpolach szanów, niepogrzebane.

Opowiada mi Buczma, jak pierwszy atak gazowy zaskoczył ich o świcie, jak sierżant Wiewióra nie założył sobie maski zawczasu i w jego oczach się udusił; jak ppor. Pieczonka, kiedy przez

trzy dni bezustanny ogień huraganowy rozbijał najsilniejsze nawet schrony, w kontrataku dostał szalu i ze spazmatycznym śmiechem, z dziwacznym pokrzykiwaniem ruszył ku okopom nieprzyjacielskim i został ogarnięty strumieniem miotacza płomieni; jak miny wielkości walizy rozbijały najsilniejsze trawersy; jak bez żywności, tytoniu i wody, a przedewszystkiem wody, byli przez cztery dni odcięci od świata, żywcem zasypiani w kawernie; jak ludzie dostawali szalu z głodu lub pragnienia. Słuchałem go z uczuciem czczości w gardle. Naszym schronem czasem coś wstrząsa, słychać głuchoe huki i dudnienie, to znów jakby pod nami były jakieś wstrząsy.

Tak niedawno, kilka tygodni temu jeszcze, w kawiarni słuchałem koncertu i czytając opisy wojny Rody-Rody, myślałem, choć sam przeżyłem wiele, że jej okropności są raczej wymysłem dziennikarskiej fantazji. A oto sam znów je przeżywam.

Ale mamy ratunek. Jest rum. Rum, to cudowne lekarstwo i jedyne zadośćuczynienie, jakie daje „Hinterland“ frontowi. Właśnie odebraliśmy fasunek. Krąży manierka wokoło, a każdy haust wypity podnosi naszą siłę wewnętrzną. W schronie duszno, więc otwieramy drzwi. Dziesiąta godzina wieczorem, a na dworze jasno. Różnokolorową gamą drgają w powietrzu światła i światełka. Właśnie jest to pora t. zw. niepokojącego ognia nieprzyjacielskiego. Kilka reflektorów po tej i tamtej stronie błądzi i skacze długą smugą po niebie, rakiety bezustanku oblewają pole walki niebieską poświatą, bądź czerwoną, jakby krwawą łuną chłoną w siebie iskry szrapneli. Nad tem wszystkim to ciągle dudnienie tak mi znane, a nieznane. Jak daleko na prawo i lewo sięgnę okiem, wszystko w jakimś szaleńczym, opętanym ryku i gwiździe, zdaje się tańczyć wśród chochlików pękających granatów, min, szrapneli. Charakterystyczny zapach siarki wnika w głąb schronu, psując i tak złe tu powietrze. Niema ratunku, niema sposobu wyjścia, niepodobna uciec w tył, ani wprzód; choćby się kto chciał poddać, niema sposobu. Wszystko, co przed nami, wśród nas i za nami, literalnie w proch starte, lejami strzępione, codziennie rozrywane i szarpane — wczoraj, dziś jutro... w nieskończoność.

Nad ranem jakoś się uspokoiło, ale koło ósmej godziny znów zaczęła się orgja ognia.

Do naszego schronu wpadł porucznik Mikułowski.

— Co my, psiakrew, mamy za swoje. Wyobraźcie sobie, że podpor. Szadurski i jego pucflek zwarzjowali. W schronie zrobili coś, co ma wyobrażać ołtarz, przed którym klęczy Szadurski

w zarzuconej na siebie nocnej koszuli i to ma być ornatem; usługi mu ordynans, jako ministrant i dzwoni, waląc łyżką w mienątkę. Obydwaj naprzemian bezustannie wołają „Kyrje Elejson! Chryste Elejson“! Nie można ich w żaden sposób odesłać do tyłu, zaś tutaj niepodobna z nimi wysiedzieć.

— Wziętem — powiada Mikułowski — za kark ordynansa i krzyczę głośno: durniu, opamiętaj się! ale nie rozumie mnie. Oczy jego, jakby bielmem zasłzy.

— Byłby psiakrew ratunek — radzi Buczma, — ale to za kosztowny; zlać cholery zimną wodą.

— O, co to, to nie — zaprotestował żywo Mikułowski i pobiegł do sąsiedniej kawerny. W ciągu dnia ogień u nas nieco zelżał, tem silniej zato grały na tyłach austriackich ciężkie haubice. Odpowiedziały im wkrótce działa włoskie. Pojedynek ten trwał do zmierzchu.

Miało się już pod wieczór, gdy straszliwy grzmot wstrząsnął schronem. Powala zdaje się rozpadać, leżymy w skurczu na pryczach bez słowa. Znów drugi jeszcze straszliwszy wstrząs. Z przytępowanych do ścian haków spada rynsztunek. Na dworze ogień wzmacnia się z niesłychaną siłą. Już nie pojedyncze detonacje, ale stały łoskot, jak gdyby pod mostem kolejowym stojąc, słyszało się sto w przeciwnie strony pędzących pociągów.

Ależ to okropne — mówi młodziutki, bo zaledwie dwudziestoletni ppor. Redlich. Mimo porastającej na brodzie chaotycznie szczeciny, ma paniński wygląd. Jest zawodowym oficerem więc sili się wobec nas, rezerwowych na spokój. Ale jego szczęki są nieposłuszne i w mowie ścinają się, jakby miał kluski w ustach, nikt go jednak nie wyśmiewa. Już trzeci pocisk trafił w ciągu godziny w sufit, więc z niepokojem nań patrzymy. Są tam wprawdzie dwa metry litej skały, wprawdzie podstemplowany on grubemi bierwionami, a jednak niech się rozpuknie, wtedy runie na głowy nasze cała ta masa i dosłownie nas zmiażdży. Jest nas tu siedmiu oficerów, przypadkowo zebranych, więc jakoś nam lżej.

W tem piekielny huk i drzwi potworną siłą wyparte, wleciały wgląd kawerny, rozbijając się w drzazgi. Do schronu wionęło duszne, gryzące powietrze. Pogasły świece. Mnie rzuciło pod pryczę. Miałem w sobie tyle siły, że zacząłem krzyżeć: — Hej! hej! — Okrzyki moje słysząc, jak brzęczenie muchy. Ogłuchłe uszy wreszcie dosłyszały czyjeś stękania i jęki. Jakoś wygramoliłem się. W świetle lampki elektrycznej przez zasłonę czarnego dymu, który wypełnił wnętrze schronu szukam kolegów. Z ziemi

dzwiga się por. Buczma, z jego czoła i ust obficie spływa krew. Za chwilę wstaje Durlak, jest bardzo potłuczony, upadł bowiem na plecy i głową uderzył o skalistą krawędź. O ścianę oparty, jakby przykucnął, Redlich. Szarpnięty za ramię, upadł twarzą na ziemię, jest martwy. Zabity również por. Mikułowski i ppor. Navratil. Zabiło ich ciśnienie powietrza, bo krwi nie widać...

Ocalały telefonista napróżno usiłuje zdobyć połączenie z dowództwem bataljonu. Widocznie drut zerwany.

Ogień na naszym odcinku zelżał, przynajmniej w okopach. Wybiegamy więc do swoich oddziałów, bo atak włoski spodziewany. Z rowów strzeleckich, ślady tylko. Naokoło zwały gruzu betonowego, złomów skalnych, drągów; drut kolczasty płącze się pomiędzy nogami. Biegnę schylony, biegnę, a nie wiem dokąd, gdyż moje karabiny maszynowe są w obrębie całego bataljonu, ale coś mnie woła, jakby jakiś nakaz wewnętrzny: uciec, uciec jak najdalej od przekłêtej kawerny, tego grobowca za życia. Przede mną czołga się na czworakach, ranny w brzuch, kapral Gajewski; wypadające wnętrzności podtrzymuje ręką. Jest ranny także w szyję. Gdy mnie zobaczył, zaczął wołać:

— Dobiście, dobiście, panie poruczniku!...

— Zaraz przyślę sanitariuszy odpowiedziałem, byle coś powiedzieć, bo jakżeż i którądy można go wytransportować, a zresztą chwile jego i tak są już policzone. Gajewski zatrzymał się, opadł na wznak, rozłożył ręce i nogi, drgawki przedśmiertne wstrząsały chwilę jego ciałem; jeden głęboki oddech i skonał.

Pobiegłem dalej. Na miejscach, wyznaczonych na posterunki obserwacyjne, leżeli zabici żołnierze, niektórzy oparci plecami o nasyp, zlekka pochyleni, jakby drzemali. Rów strzelecki w pierwszej chwili zdawało się bezludny zaczyna się ożywiać. Z sąsiedniej kawerny wypada pluton pod dowództwem ppor. Kumora. Jak zawsze, tak i teraz cechuje go spokój. Idzie na czele oddziału w hełmie, z fajką w ustach i z nieodstępłą laską. Żołnierze zajmują opuszczone przez zabitych posterunki. Zwłoki zabitych odrzucają wtył, wzmacniają nasyp, poprawiają strzelnice, ustawiają zasłony.

Pobiegłem do następnej kawerny. Okazuje się, że nie wytrzymała siły ognia i runęła, grzebiąc na szczęście tylko kilku ludzi, gdyż oddział był na służbie. Z moich maszyn — dwie niezdatne do użytku, ale już plutonowy Popiołek majstruje koło nich. Strzały karabinowe umilkły zupełnie. W chwilowej ciszy słyszeć jęki rannych, ale właśnie nadciąga patrol sanitarny. Ta cisza męczy. Wołałbym nieznacznym ogniem. W tym momencie mrok

zapadającego wieczoru rozdarła czerwona rakietą włoska. A więc będzie jeszcze ogień artylerji, więc nie atak.

— Kryć! kryć — pada z ust do ust podawane. Nie zdążyłem dobiegnąć do najbliższej kawerny, gdy lawa ognia artyleryjskiego i min runęła na nasze okopy. Przykucałem obok celowniczego Popiołka na stanowisku karabinu maszynowego. Popiołek rezonował, majstrując w łożysku karabinu.

— Raz kozie śmierć, panie poruczniku! Szkoda tylko, że za jakąś Austriję człowiek musi umierać. — Niestety, tak, — potwierdziłem.

Ogień po dziesięciu minutach ustał. Teraz odezwała się austriacka artylerja. Musiały bić ciężkie działa, bo słychać tylko szybujące w górze pociski. Jakiż żalosny jęk, jakiż żal przemawia z gwizdzących, to jakby łkających pocisków.

W naszej linji spokój i — niepokój. Co dalej? A może gazy, a może atak i za chwilę do rowu wpadną granaty ręczne, a może nas zluzują, bo przecież z bataljonu więcej, niż połowa już na drugim świecie — pociesza się kadet Schorr.

Od strony Włochów powiał wiatr. Niesie ze sobą ten okropny, trupi zapach, aż mdło się robi. Co dalej? Co dalej?! Już trzeci dzień nie mamy łączności z dowództwem pułku i poza jedynym fasunkiem rumu nie otrzymaliśmy dotąd żadnej strawy, ani wody.

Na wyiskrzonem niebie bije jasność od rożka księżyca, ale na ziemi ciemno. Zapadłem jakby w odrętwienie. Czuję wyraźnie pulsujące skronie, trawi mnie głód, ale nade wszystko pali pragnienie. Wyschnięty język sztywny, jak podeszwa i trudno mi mówić. Na prawem skrzydle słychać gwizd syreny. Gazy! Jest mi wszystko jedno. Jednak ja i towarzysze naciągamy maski.

— Gazy! Gazy! Podaj dalej!!—Okazuje się jednak, że alarm to fałszywy. Ale tych kilka minut w dusznej masce przyprowadza mnie o mdłości. Zaczyna mi się odbijać, czuję wyraźnie zapach gorzkich migdałów. Włosy mi się zjeżyły.

— Gazy! Gazy! — słychać okrzyki. Z nawpół przymocowaną maską, wstrzymując oddech, pędzę wraz z innymi do oficerskiej kawerny. Nie wiem, czy istotnie są gazy, wiem, że jeśli biegniemy przez strefę gazów, nikt żywy nie ujdzie. Te gorzkie migdały, to chyba sugestia. Jesteśmy pod drzwiami kawerny, zamknięte one i na nasze stukania nikt nie odpowiada. Pod naporem ramion kilku ludzi drzwi wyłamane. Kawerna zdruzgotana. W świetle latarki elektrycznej, wśród zwałów skalnych i rumowiska widać tu i owdzie stopy i dłonie.

— Hej! kto żyje! hej! — cisza.

Usiedliśmy przed drzwiami zobojętniali na wszystko. Gazy, granaty, miny! — byle prędzej...

Na linii spokój. I artylerja z obu stron milczy.

Noc sierpniowa, ciepła, pogodna. Gdyby nie światła reflektorów i rakiet świetlnych, myślałbym, żeśmy na wycieczce, że gdzieś w dali zarechoczą żaby. Oczy mi się kleją, bezwiednie opieram swoją głowę na głowie sąsiada, który chrapie wsparty o moje ramię. Nie wiem kto to, wszystko jedno, towarzysz broni.

Zbudziłem się — było jasno. Obok mnie leży kilkunastu żołnierzy. Śpią wszyscy. Gdyby Włosi o tem wiedzieli, mogliby nas bez jednego strzału zagarnąć. Ale może i oni leżą bezsilni, tak jak my.

Od strony dowództwa biegnie schyłona postać. To goniec. Będa jakieś nowiny. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i w rękach trzymam pismo dowódcy bataljonu: dzisiaj wieczorem luzunek.

— Hej! Chłopczy! — tarmoszę sąsiadów. — Dzisiaj luzunek — mówię z trudnością, bo wzruszenie dech mi zapiera, bo nie mogę uwierzyć w to, byśmy naprawdę z tego piekła mogli się wydobyć. Nie bardzo też wierzą żołnierze. Jakby na potwierdzenie, że się mylę, że to złuda, pojawiają się zwykle zwiastuny walki. Od strony austriackiej lecą aeroplany. Już są nad linią włoską. Słyszać nieregularne — puk, puk, puk — i dookoła lotników wykwitają białe dymki. Już odzywają się od strony włoskiej karabiny maszynowe, już z austriackiej strony biją polówki i zaczyna się codzienna kanonada, codzienne pokłosie śmierci.

Już wschodzi słońce czerwone, ogniste i za małą godzinę będzie prażyć niemiłosiernie. Tak jest codzień, tak było wczoraj, przedwczoraj, dwa tygodnie temu, tak będzie za miesiąc. Wczoraj zabici spoczywają już beztrosko, my, dziś, może jutro.

Zobojętniały na wszystko, dotarłem do swojego schronu. Nadszarpnięty on mocno, ale jeszcze się trzyma. Otworzyłem drzwi i jakaż była moja radość. Pucflek rozwija fasunek: jest czarna kawa, jest rum, dwa kotlety na zimno, papierosy i największy skarb — autentyczna, niezbyt zimna, ale woda.

Woda! Któżby uwierzył, że mniej wytrzymali, paleni pragnieniem, piją własną urynę.

Woda! Przechyłona manierka i woda gulgocze w spieczonym gardle... O, jakaż ulga. Przede mną wyprostowany ordynans wytrzeszczył oczy i patrzy. Jego grdyka porusza się w takt mego gulgotania. Nie mam siły oderwać manierki od ust, ale wstyd zmusza mnie do tego. Podaję mu manierkę, w której jest mniej,

niż połowa; ordynans nie ma czasu należycie przytknąć ust do otworu, woda ścieka mu po policzkach. Karcę go, łatwo mi to, bom sam zaspokoił pragnienie.

Dla kompanji jest baryłka wody dziesięcio-litrowa. Z nabożeństwem biorą ludzie ten święty płyn. Od trzech dni pierwszy to posiłek. Na szerniałych wychudzonych twarzach błyszczą tylko oczy gorączkowym blaskiem. Czarne, poorane dłonie drżą przy podstawieniu manierki. Niewiele, po pół szklanki na głowę. Byłoby daleko mniej, ale oni dziś dostają podwójne racje; fasują za tych, którym już woda niepotrzebna. A potem fasunek mięsa, chleba, tytoniu, rumu.

— To niedobrze! To znaczy — komentują między sobą żołnierze — że pozostaniemy jeszcze długo w okopach. Pocieszam ich jednak z uporem, że dzisiaj luzunek. Nie wierzą, albo raczej udają, że wierzą...

A jednak po południowej, jak zwykle strzelanie, zjawiły się istotnie kompanje pierwszego bataljonu. I nad ranem stanęliśmy na kwaterach cztery kilometry za frontem. Cztery kilometry, to tak, jakbyśmy siedzieli na urlopie.

Odbywam kontrolę stanu ludzi, broni, ekwipunku.

Przy wizytacji w rupiecicach żołnierskich znajduję u frajtra Lasonia następujący wierszyk, poświęcony Soczy:

Ze śnieżystych szczytów Alp, o krwi niesyta rzeko,
W rańtuchach białych pian
Płyną twych fal lazury,
Myjąc szmaragdy łąk
I strzegąc w głębi swej straszliwej trumny wieko,
Dziś znowu pijesz krew, o krwi niesyta rzeko!

*

*

*

Spowilaś łożę łwe w armatnich dymów chmury,
Na stokach twoich wzgórz wre bitwy zgiełk ponury,
A echo jej ku morzom niesiesz hen, daleko —
O zanieś siostrze swej, wiślanej zanieś fali,
Imiona synów jej, co tutaj śpią pod skrzydłem sławy.
Żałobną nieś jej wieść, jak mężnie tu konali
Idąc z nadzieją w grób, że wojny posiew krwawy
Niewoli zburzy gmach — wolności świt zapali!

Rozdział XXVIII.

Wrzesień 1917 roku. Urlop. Od dwóch lat mam go po raz pierwszy. Urzędowy papier, „Offener Befehl“ w portfelu. Sześć tygodni murowane w bezpieczeństwie, w wygodzie. Jadę. Co za miłe uczucie, gdy rozparty na ceratowym coprawda, ale miękkim siedzeniu patrzę przez okno. Na większych stacjach mijamy transporty, na front dążące, a ja jadę do tyłu, ze mną czterech „cwancygierów“. Koła wagonu miarowo stukają. Byle dalej, byle jak najdalej od Soczy...

Nowy Sącz. Na dworcu kolejowym pełno wojskowych. Powoli, ostrożnie wysiadam i pomagam wyładować ordynansowi bagaże. Wieziemy ze sobą dla naszych rodzin prowiant, bo podobno bieda w kraju. Więc pięć kilogramów mąki-nulki, dwa kilogramy cukru, jeden kilogram ryżu, tytoń i dwie butelki rumu.

Mieszkanie rodziców niedaleko dworca kolejowego, więc walimy pieszo. Czuję, że zdenerwowany. Właśnie skręcam w boczną uliczkę, byle dojść prędzej, gdy stanąłem oko w oko z rodzicami. Boże, matka ciemno ubrana z zapłakanymi oczyma stoi jak wryta, ojciec nerwowo szuka, wiem, okularów.

— Matko! Ojcie!

— Dziecko! Synu!

W uścisku matki czuję jej łzy na policzkach.

— Żyjesz?

— No tak.

— Bo my ze mszy... żałobnej...

— Za kogo...?!

— Za ciebie... kończy ojciec. Mówił mi ppor. Dąbrowski, że widział cię zabitego od granatu.

— Chodźmy, chodźmy, przerywam, bo gawiedź się zbierała.

Teraz zaniemówiliśmy wszyscy. I tak idziemy do domu, milcząc dłuższy czas.

— Zmężniałeś — mówi ojciec, siląc się na spokój. Poznają to zdenerwowanie wyraźnie po kątach jego ust, które mu zlekka drgają, gdy jest wzruszony.

Nasza rozmowa jest chaotyczną; właściwie nie mogę się dowiedzieć, czy brat Rudolf w niewoli rosyjskiej będący, znajduje się w Samarze, czy w Nowomikołajewsku. Młodszy Jan wystąpił z Legjonów i kończy studia rolnicze w Dublanach. Zdawałoby się wszystko w porządku.

Cukier, przeze mnie przywieziony, stanowi rarytas, bo w domu jedzą melasę, taki dla bydła żółty cukier. Chleb z domieszką kukurydzy i podobno tartej kory. Żywność wogóle na kartki, mięso na kartki, tytoń na kartki, sukno, płótno, skóra do butów, spirytus, wszystko na kartki. Słucham tego i dopiero teraz widzę, że ojcu spadł dorodny, przedwojenny brzuszec, że matce oczy wpadły wgląb, a we włosach pojawiło się sporo siwych nitek.

Słucham wieści o znajomych. Ten i ten i ten zginął, ten w niewoli, ten kulawy; aż mi dziwno, że tak jakoś wojna mnie oszczędza.

Wychodzę na miasto. Znajomych mniej, niż zwykle. Spacerem z inwalidą, por. Szczepańskim zachodzimy do Zawady. Spotykamy transport dziwny, bo w zaprzęgu jeńcy rosyjscy. Wygnędniali, obdarci, żebrzą u przechodniów, prosząc o papierosa, to o zapalki.

Wracamy do miasta obok cmentarza. Tu cała kompanja jeńców włoskich buduje cmentarz wojskowy. Kuja symetryczne kamienne nagrobki. Nie wiem, czy tym żołnierzom - nieboszczykom wielką przyjemność to sprawi, woleliby leżeć w rodzinnych stronach.

Naogół widać przygnębienie u przechodniów, mnóstwo kobiet w żałobie. Na ulicy wiele kalek wojskowych.

Ceny żywności, odzieży skaczą z dnia na dzień. Korzystają z tego lichwiarze i t. zw. paskarze. Skupują zapasy i sprzedają je z wielokrotnym zyskiem. Wartość korony austriackiej spada. Władze wojskowe rekwirują wszystko, nawet dzwony, nawet klamki mosiężne. Okupanci grabią Kongresówkę, z Łodzi wywieźli całe urządzenia fabryczne. Stosunkowo na wsi najlepiej. Produkt rolny w cenie, stąd u chłopów pewien dostatek.

Dzienniki donoszą, że rozpoczęta ofenzywa francusko-angielska w Szampanji i nad Aisne utknęła. Joffré'a zastąpił gen. Nivelle. Opinia oczekuje lada dzień wypowiedzenia wojny przez Stany Zjednoczone.

Anglja wprowadziła przymus wojskowy. Państwa, które ze swej tradycji były antimilitarne, zbroją się gwałtownie.

Armja rosyjska właściwie nie istnieje. Ich wódz Kiereński nazywa swych żołnierzy bandą zbuntowanych niewolników. Komitety żołnierskie decydują, czy żołnierz ma iść do ataku. Wojny tam właściwie już nie ma. Żołnierze politykują, zamiast walczyć.

Szczepański jest zdania, że likwidacja wojny będzie bardzo ciężkim problemem i dla kultury lepiej, aby ją likwidowała władza, nawet zła, inaczej cywilizacja zginie w konwulsjach wrzenia rewolucyjnego. Do dawnych form ustrojowych ludzkość już nie wróci. Katakлизм wojny jest zbyt wielki.

* * *

O Polskiej Organizacji Wojskowej słyhać już w naszym kraju od dłuższego czasu. Jest także tajna organizacja wszechpolska. Ale działalność jej słaba. Kolega szkolny, dr. Łazarz wtajemnicza mnie w posunięcia tajnych organizacji.

Rozwijają się one opornie; ludzie boją się własnego cienia. Troska o chleb dosłownie przygniata wszystkich. Na razie wszelkie wysiłki idą w kierunku sparaliżowania akcji werbunkowej w Kongresówce, gdzie generał-gubernator okręgu warszawskiego Bessler, tworzy „Wehrmacht“. Werbunek idzie bardzo słabo, mimo gorączkowej agitacji, t. z. aktywistów, t. j. zwolenników niemieckiej orjentacji. Podziemna agitacja P. O. W. zwrócona przeciwko okupantom robi swoje. Ochotników do Wehrmachtu brak. Przyjdzie niezadługo, twierdzi dr. Łazarz, dzień, w którym Naród polski we wszystkich trzech dzielnicach będzie pędził najeźdźców z Berlina i Wiednia. Nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Tymczasem Niemcy pod ładą pozorem wybitniejszą inteligencję i robotników zamykają w obozach koncentracyjnych.

Urzędnik kolejowy, Bulsiewicz informuje mnie, że w społeczeństwie polkiem jest jednak wyraźny podział na orjentacje. Działalność P. O. W. i organizacji wszechpolskiej występuje silniej na terenie Kongresówki, niż w Galicji. Orjentacje te są echem ideologii przywódców w osobie Piłsudskiego... i Dmowskiego. Wzajemna nieufność i zbyt różna mentalność nie pozwala na stopienie pracy w jednym łożysku. Traci na tem siła i rozmach organizacji. Próba pogodzenia trudna. Odżywają reminiscencje 1905 roku. W jednym są zgodni, że za żadną cenę nie należy dopuścić do rozbudowy Wehrmachtu. Wszechpolacy otrzymali nawet nazwę passywistów.

— POCO to różniczkowanie pracy konspiracyjnej?

— Tak, ono niepotrzebne, wręcz szkodliwe — odparł Bulsiewicz. — Ale u nas w Sączu na platformie pracy konspiracyjnej łączą się socjaliści, wszechpolacy i ludowcy. Rozmach w tej pracy nadają legjoniści po rozwiązaniu I i II Brygady. Większość z nich to bezrobotni i ci stanowią bardzo podatny materiał rewolucyjny. Współpracuje także sporo oficerów i żołnierzy austriackich.

W międzyczasie podszedł do nas niejaki Billig. Szczepański znacząco mrugnął okiem. „Szpieg“? — pytam. — Tak, podobno opłacany przez krakowskie „Kundschaftsstelle“.

Rozeszliśmy się przezornie.

Szybko upływa mi urlop. Na dwa dni przed wyjazdem zostałem zaproszony na tajne zebranie w gmachu Sokoła. Wszedłem tam w trakcie żywej dyskusji. Siedzą tu przedstawiciele różnych odłamów i ugrupowań społecznych. Przemawiał tutaj szary działacz społeczny, adwokat, dr. Wroński. Aresztowanie Piłsudskiego, rozwiązanie Legjonów i internowanie ich, uważa on za naturalną konsekwencję błędnego ich stanowiska na początku wojny. W zaborze rosyjskim myślano realniej o odbudowie Polski. Czyn Legjonów za zezwoleniem władz austriackich, a nawet ich cichem poparciem nie był sam w sobie rewolucją. — Politycy wszechpolscy zwani przez nas ugodowcami, twierdził mecenas, zwróciwszy się do zwolenników ideologii legjonowej, uświadamiali sobie na długo przed wojną, że w atmosferze politycznej Europy zbyt wiele nagromadzonego materiału palnego, że musi nastąpić krótkie spięcie, wojna, że konflikt między zaborcami siłą rzeczy wyrzuci na powierzchnię zagadnienie Polski, że zatem przed nami otworzą się niezmierzone perspektywy. Teraz możemy zrozumieć, dlaczego Dmowski wszedł na tory, t. zw. ugodowej polityki w Dumie, dlaczego usuwał z powierzchni wszelkie kwestje, które mogły stosunki polsko-rosyjskie zaognić. Historia XIX wieku dowodnie wykazuje, że ilekroć wpływało widmo sprawy polskiej, następowało zawsze zbliżenie rosyjsko-pruskie. I właśnie zasługą polityki ugodowej jest, że zapobiegała temu zbliżeniu i w tem streszcza się jej wartość, której nie zakłamią nasi germanofile“.

Zdanie to poparł urzędnik kolejowy, Cieczkiewicz.

— Jakkolwiek cały szereg wystąpień t. zw. ugody wszechpolskiej mógł być przykry dla polskiej duszy i odbiegał krańcowo od naszej psychiki, od naszych powstańczych tradycji i ścia-

gał gromy potępienia za jej rzekomy serwilizm, to jednak była to polityka patrząca w daleką przyszłość Polski.

Z wywodami przedmówcy nie zgadzał się oficer legionowy, obecnie w cywilu, profesor gimnazjalny, Bugajski.

— Dotknęliście panowie, palącej kwestji naszej orientacji i roli Legionów. Wiecie, że w chwili wybuchu wojny panowała w życiu polskiem cisza. Byle ochłap wolności rzucony przez zaborców, przyjmowano z wdzięcznością i pokorą. Wyprzedano honor Polski, odżegnywano się od walki o nią. I gadano, gadano bez końca. W taki to czas Komendant trzasnął pięścią w stół i zawołał: dość! — Jeden karabin więcej wart, niż sto waszych frazesów. My legioniści, twierdząc to, mówił podniesionym głosem Bugajski, umiędzynarodowiliśmy sprawę polską. Koalicja widzi, że gdyby Królestwo Polskie zerwało się za naszym przykładem, moglibyśmy my, Polacy, być decydującym czynnikiem w wojnie.

— Języczkiem u wagi — wtrącił Cieczkiewicz.

— O to właśnie chodzi — podchwycił Bugajski. — Myśmy zmusili rentjerów, różnych kondotjerów do myślenia kategorjami niepodległości, a nie tylko autonomji.

— No, a legjony Gorczyńskiego po stronie rosyjskiej? rzucił ktoś pytanie.

— To był tylko chwilowy manewr polityczny — replikował Bugajski — kontrakcja naszego marszu. U nas żołnierz był ucieleśnieniem potrzeb i tęsknoty duszy polskiej, tam grą polityczną. I zapewniam panów, że „Rezolucja Majowa“ Koła Polskiego, jako wyraz dążenia naszego narodu do niepodległości, trzonem swym tkwi nie w takiej czy innej orientacji politycznej, ale w realnym czynie, w posiewie krwi polskiej.

Długo jeszcze toczyła się dyskusja na temat sytuacji politycznej. W rezultacie zwyciężyło zdanie, że społeczeństwo nie może spać, że musi i cywilna ludność wziąć czynny udział w akcji powstańczej, skierowanej przeciwko okupantom.

* * *

W dwa dni później, stosownie do rozkazu, zameldowałem się w kadrze, skąd z marszowym oddziałem karabinów maszynowych ruszyłem znowu na front włoski. I jak tyle razy poprzednio, zgnałem kolegów na peronie i znów turkoczą koła wagonu, a po ciąg pędzi niezmordowanie w dal.

Budapeszt, Lublana, Nabresina — i po dwóch dniach podróży, wieczorem wjeżdżamy do Triestu. Już w Nabresinie sły-

chać głucho dudnienie. Właśnie wojska Mocarstw Centralnych przełamały front włoski nad Soczą.

Ofensywę rozpoczęli Austriacy z obszaru Plezzo-Tolmino, tuż na północ od właściwego frontu nad Soczą. Miała ona na celu odciążenie tego frontu. Natarcie rozpoczęte 24 października 1917 roku odniosło olbrzymi sukces. Już w pierwszym natarciu został zdobyty górujący nad lombardzką niziną łańcuch Alp Julijskich. Tutaj zastosowano z wielkiem powodzeniem gazy falkowe, które na atakowanym odcinku Tolmino zniszczyły wszelkie życie i otwały bramę wypadową, przez którą jak lawina, runęły teraz austriackie i niemieckie dywizje. Natarcie było tak gwałtowne, że druga i trzecia armja włoska nie miały czasu ani miejsca do przegrupowania się i rzuciły się do ucieczki w panicznym, w historii nie spotykanym popłochu. 30-go października dostało się nad rzeką Taglimento około 200 tys. Włochów do niewoli. Właściwie armja włoska została rozbita i przestała istnieć. Na pomoc Włochom ruszyły francuskie i angielskie dywizje.

Dzienniki wiedeńskie zapowiadają zdobycie Wenecji w najbliższym czasie.

Dziś mamy 1-go listopada 1917 roku. Wjeżdżamy do Triestu. Nieoświetlony on teraz, światła są utajone we wnętrzach bram poszczególnych domów. Nieprzyjaciół bowiem może w każdej chwili miasto i port bombardować.

Lokuję ludzi i konie we wskazanej kwaterze, a sam zmęczony dwudniową jazdą staję w hotelu „Volpich“. Bora dmie silna i mimo spuszczonej żaluzji w oknach ostry, kłujący wiatr przenika do wnętrza pokoju. Leżę w łóżku pod kołdrą, drżąc z zimna i patrzę, jak ordynans, Kłobudzki Kuba, który nie może się zorjentować, jaki sprzęt do czego służy, wykonując ściśle rozkaz napełnienia naczyń wodą, nalał ją i do kubła. A teraz dzierży oburącz ogromną fajansową miednicę, napełnioną po brzegi wodą, by ją wylać do zlewu; boję się, by w swoich ciężkich buciorach nie poślizgnął się na śliskiej posadzce. Jakóż ledwie wyszedł za drzwi na kurytarz, rozległ się łoskot i Kuba runął jak długi, rozbijając na drobne szczątki miednicę. W hotelu zawrzało, woda płynie strugą, a Kuba usiłuje, jakby to mogło co pomóc, zestawić skorupy rozbitej miednicy. Już w drodze narobił mi niemało kłopotu gdy, opuszczając lagrową szynbę w wagonie, paluchem tak delikatnie ją nacisnął, że szyba pękła, teraz mam nowy wydatek.

Wogóle z tym Kubą skaranie boskie. W Tarnowie kazałem mu przynieść szachy, a Kuba, dobrawszy sobie kolegę do pomocy, taszczy na górę pierwszą lepszą szafę i dziwi się, że to chodzi o te „polecki, co se ta panowie grają“. Posyłam go w Krakowie na dworzec kolejowy, by się dowiedział, kiedy idzie pociąg do Lublany, Kuba wraca po trzech godzinach i rad z siebie „posusnie“ melduje, co na Bielany! żaden pociąg nie idzie. Kuba bowiem poza swoją rodzinną wioską w górach, Męcina nigdzie nie był i nic nie widział. Wszystko go dziwi, cieszy, bądź przeraża. W troskliwości o mój żołądek rogalik z kremem pakuje do czarnej kawy, aby „rozmięknąć“; ogórek i kompot podgrzewa, pouczony zaś, że to się na zimno podaje nazajutrz marchewkę czy buraczki przezornie podaje zimne.

Teraz klóczę się z zarządzającym hotelu, gdyż za stłuczoną miednicę, jako za zdekompletowany garnitur żąda horrendalnej sumy.

Nazajutrz ładujemy się na statek, który ma nas zawieźć do Wenecji. Tam bowiem wedle codziennych zapewnień sztabu generalnego w komunikatach prasowych, skierowaną jest oś natarcia generalnego. Statek przystosowany do potrzeb handlowych przed wojną, pełni teraz służbę kanonierki. Do niedawna jeszcze woził mąkę, ryż, czy inne towary. Do statku przymocowany jest dwiema grubemi, stalowemi linami spory galar, wypełniony pociskami armatniami. Z powodu bory jest silna fala, więc galar przymocowano do burty statku, równocześnie do dziobu i tyłu okrętu. Liny są naciągnięte, gdyż galar z uwagi na wybuchowy na nim materiał, nie może się bujać. Z nastaniem zmroku ruszamy.

Jedziemy bez żadnych sygnałów i świateł. Statek płynie powoli i ostrożnie, gdyż na morzu pływają miny. Wewnątrz statku w kajutach kilkudziesięciu oficerów rżnie w karty, łożąc piwo i wino. Oprócz naszej kompanji jedzie kompanja telegraficzna, oddział sanitarny i inne rozmaitej broni oddziały. Niemal każdy pasażer posiada pas ratunkowy... na wszelki wypadek.

Chmury zaciągnęły niebo i okręt w ciemnościach posuwa się żółtym krokiem. Przejmujący wichur wzdyma fale i słyhać ich groźny plusk. Na pokładzie dyżurni oficerowie pilnie wypatrują nieprzyjacielskich łodzi podwodnych. Nasza jazda trwa już pięć godzin, gdy kapitan statku oznajmia nam, że drogą radio-telegraficzną otrzymał rozkaz zawinięcia do wyspy Grado. Wenecja na razie jeszcze niezdołyta.

— No, to my ją jutro zdobędziemy — wykrzykuje buńczucznie jakiś major.

Naraz okropny huk wstrząsnął statkiem; zerwali się wszyscy z miejsc, chwytając za pasy ratunkowe. Niewątpliwie statek najechał na minę, a może trafiony torpedą. Na pokładzie zbiegli się wszyscy, nie wyłączając kucharzy i palaczy okrętowych. Rozbłysły światła; okazało się na szczęście, że za silnie naprężona lina galaru trzasła, a huk spotęgował rezonans wnętrza statku.

Kilkunastu żołnierzy pod wpływem pierwszego alarmu w pasach ratunkowych skoczyło w morze. Przyszło mi na myśl, że i Kuba pewno między nimi. Nie myliłem się. Właśnie ciągną niedorajdę, zmokłego jak kura, bez czapki. Nic mu się nie stało, tyle, że napił się słonej wody i teraz rzygał nią obficie. Gdy w kilka minut zeszedłem na dół, Kuba leżał wraz z innymi w lazaretyku okrętowym i łykał herbatę z rumem. Był z siebie zadowolony. Usprawiedliwiał się przede mną, że skoczył, bo i inni skoczyli; był pewien, że i ja też pływam w morzu.

Tego mi było już za dużo. Zamianowałem ordynansem szeregowca, Jasia Grądalskiego, o bardzo miłym wyrazie puciołowej twarzy.

Nim przymocowano z powrotem galar do statku, upłynęło ze dwie godziny. Podziwiałem zręczność i odwagę marynarzy, którzy opuszczeni na linie pracowali na bujającym się galarze, gdzie każdej chwili mógł nastąpić wybuch. Ale wreszcie szkodę naprawiono. Ruszyliśmy dalej i nad ranem zawinęliśmy do portu w Grado.

* * *

Dzień był szary, melancholijny. Na ziemię opadła gęsta mgła, zasnuwając okolicę. Na wyspie tymczasem żołnierze rekwirują co się dało z opuszczonych domostw. Zwłaszcza ofiarą rekwizycji padł duży hotel „Astorja”. Wynoszą stamtąd stosy bielizny, naczyń, mebli... Zaciekawiony wszedłem do wnętrza. Z pokoju kredensowego, przytykającego do restauracji, wynosili rekwiranci toboły, napelnione srebrem i platerami stołowemi. Ładowali to na barki. Rej tu wodzili pruscy i węgierscy podoficerowie. Miałem wrażenie, że wszystkich ogarnął szal rekwirowania. Zabierali naczynia kuchenne, pościel, meble, obrazy, lustra, zegary, nawet puste beczki i co tylko było pod ręką, a czynili to z takim pośpiechem, jakby nieprzyjaciół był tuż obok.

W południe ruszyliśmy stateczkiem benzynowym w stronę Akwilei. Płynęliśmy kanałem. Konie z obsługą załadowane były na przyczepionych do statku dwóch galarach.

Po wyładowaniu się w Akwilei wjechaliśmy uroczyście na rynek. W oknach domów widać twarze mieszkańców.

Na rogu jednej z ulic stało trzech dryblasów. Mieli czarne kapelusze z ogromnem płaskim rondem i zawinięci w peleryny stali dumnie, jak posągi. W ich oczach czytałem pogardę dla nas. Ppor. Izdebski krzyknął ostro w ich stronę:

— A basso di capello! — Zdjąć kapelusze! — Czemuż te dranie nie walczą w armji włoskiej, tylko tu siedzą?

— Kto wie, — mruknąłem — może mają misję, może to franktirerzy włoscy.

Na rynku rozłożyliśmy się obozem. Na środku w czworokącie, utworzonym z broni i rynsztunku, rozpalono ognisko. Patrol rekwizycyjny sprowadził umundurowanych Akwilejczyków. Licho wie policja to, czy straż pożarna. Przynieśli w kwadrans potem stopy białego pieczywa, wędliny i cztery duże stągwie czerwonego wina. Sierżant Bittner bawi się w krojczego i podczaszego.

Naogół na rynku pusto. Tylko w oknach dziewczęta rozplaszczają nosy na szybach; w zaułkach ulic widać grupki stojących cywilów w szerokich pelerynach.

— Zbiórka! — rozkazuje. — Siodłać, pakować!

W dziesięć minut kompanja już uszykowana ruszyła na południowy zachód. Żołnierze po „odtrąbiono” huknęli pieśń“:

„A kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie do wojska służyć...”

Dźwięczą kopyta końskie na bruku, skrzypią wozy, w takt równo maszerują żołnierze...

„tam rozkoszy on użyje,
wina dobrego napije”...

komponują z miejsca śpiewacy.

Izdebski, uniesiony zapalem podnosi czapkę do góry z okrzykiem: „Eviva Akwileą”.

— Bravo Polacco! — słychać skądś z dachów, z piwnic, z podwórza, choć żywego ducha nie widać.

Deszcz śiapi. Stajemy na kwaterach w Cervignano. Rankiem alarm. Będzie jechał cesarz Karol. Więc mokniemy, próżno go oczekując od trzech godzin. Przed nami, za nami sznury bateryj, połówek i haubic, piechota, saperzy, lotnicy.

Wreszcie nadjeżdżają limuzyny ze świtą. Ten i ów salutuje siedzącym wewnątrz dygnitarzom. Na prawem skrzydle słychać trąbkę, wzdłuż szeregów galopują adjutanci z okrzykiem „Majestät“! muzyka gra hymn państwowy.

Zapóźno. Najjaśniejszy Pan przejechał, nawet nie spojrzawszy na nas. Klną też żołnierze, klną podoficerowie, a nadewszystko mój sierżant służbowy. O dziewiątej wedle rozkazu miała się stawić kompanja, a on już o piątej rano pobudził ludzi; mundury, broń, rynsztunek wszystko było gruntownie odczyszczane i na nie cała robota.

W południe odmarsz do Sc. Giorgio, gdzie stoi pułk. O zmierzchu stajemy w tem miasteczku. Ludność cywilna uciekła na południe. Gospodarują tu Austriacy. Żołnierze rozwalają się na pluszowych otomanach. Na ulicach mnóstwo zataczających się żołnierzy, wina czerwonego wszędzie wbród. Sam zmęczony pociągam z butli Chianci, kwaskowate jednak to wino.

Na podłodze mej kwatery rumowisko. Żołnierskie buty rozdeptały „Boską komedję“, obok portret Dantego zdziurawiony i zabłocony. Podnoszę z podłogi inny tomik — to Petrarca. O wojno! Inter arma silent Musae. Teraz widzę to na własne oczy.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy dalej. Mijają nas długie sznurzy uciekinierów włoskich. Przeważnie kobiety, dzieci i starcy. Wiozą nędzny dobytek na małych wózkach tubylczych, zaprzężniętych w osiołki, zapłakani, smutni... Żywy obraz uciekinierów galicyjskich z 1914 r. Niebo, zestrojone z nimi, też jakieś zachmurzone, łzawe...

Nazajutrz maszerujemy do Latisany. Przed nami huczą armaty, w miarę, jak się zbliżamy słychać strzały karabinów maszynowych i pojedyncze strzały karabinowe. Maszerujemy jednak nie jak zwycięzcy, jakieś przygnębienie mimowoli nas ogarnia.

Na prawo i lewo od szosy w rowach porzucane włoskie samochody ciężarowe i osobowe, jaszczyki z amunicją, armaty, karabiny maszynowe, auta pancerne, rynsztunek, prowjanty, siodła, czapki. Trupy końskie leżą pokotem. Wszystko to w bagnie i kałuży. W miarę zbliżania się do Taglimento widać, że armja włoska cofała się w dzikim popłochu, na łeb, na szyję. Po obu stronach szosy w nieskończoność porzucona broń, działa, samochody, powozy, kuchnie polowe, baryłki, stosy worów z mąką, cukrem, rozsypane keksy, które żołnierze nasi skrzętnie, jak i cukier zbierają. Od przodu podają komendę: kryć!

— Rzucamy się w rowy, konie wierzgają, w popłochu wóz z zapasową amunicją stacza się do rowu, nakrywając woźni-

cę. Od południa płynie z coraz silniejszym turkotem aeroplan. Przez szkła poznaję „tricolore“ Caproni. Przed nim i za nim dymki, jest ich coraz więcej, słychać głąchą detonację. Caproni leci w górę, a obłoczki austriackiej artylerji przeciwlotniczej nad nim i pod nim, jak rój ós złośliwych. Naraz samolot prostopadłym ruchem spada, jak ptak zestrzelony.

— Dostał! dostał! — pokrzykują radośnie żołnierze.

Ale jakieś dwieście metrów nad ziemią — frrr! motor działa do stu djabłów, a Caproni jak strzała popłynął wzwyz, przeleciał nad nami, zatoczył łuk i znów nad szosą pędzi tak nisko, że na twarzach czujemy podmuch wiatru. I naraz słyszymy tiuu — bum! Z szosy, jakie dwieście metrów przed nami trysła czarna fontanna. Samolot poderwał się i pod kątem prawie 30° poleciał na południe. Śmiałość lotnika tak zdetonowała wszystkich, że nie padł ani jeden strzał. Dopiero, gdy lotnik odleciał na jakie sześćset metrów w górę, rozpoczęła się bezładna strzelanina, zresztą bezskuteczna, gdyż samolot zginął w przestworzu.

Ruszyliśmy dalej, omijając z szacunkiem olbrzymią wyrwę w gościńcu, spowodowaną bombą lotniczą. Na prawo siłą wybuchu stoczył się w rów jaszczyk z amunicją, obok którego leżał koń na grzbiecie z nogami, wgórę wzniesionemi; z brzucha wypływały mu wnętrzności. Towarzyszący koń ocalał, a teraz woźnice starają się go uspokoić. Maszerujemy ostro. Na prawo i lewo bez końca leżą porzucone przez Włochów wozy taborowe, samochody, armaty różnego kalibru, także i morskie, o łufach do 15 m. długości, mąka, ryż, kawa, konserwy, trupy końskie i... ludzkie.

Widziałem już sporo odwrotów, ale podobnie bezładnej ucieczki, jak ta, nigdy. Poprostu skandal wojсковy.

Z kolei maszerujemy przez Palmanovę, Latisanę, gdzie zastaję dwunastą dywizję. U progu stoi dowódca naszego, t. j. 25-go korpusu, generał dywizji, Puchalski. W generalskiej, wysokiej czapce, z czerwonymi lampasami wygląda przy swej smagłej cerze, jak prawdziwy demon wojny. Na komendę: „Stój, w prawo patrz!“ — oddział mój stanął, jak wryty. Nawet konie zdały się ulec potędze władzy, a może poprostu ze zmęczenia stanęły bez ruchu. Generał przeszedł wzdłuż kompanji, kazał zarządzić przerwę i wydać obiad, zaś mnie zaprosił do kasyna dywizyjnego, dopytując się, co słychać w kraju, w kadrze 20-go p. p. Przypomniałem mu rok 1914-ty.

— A tak, powiedział, były to bardzo ciężkie czasy dla 20-go pułku. Dziś oswoił się z okropnościami wojny, ale wtedy?...

W pół godziny ruszyliśmy dalej. I znów mijają nas długie kolumny powracających uciekinierów włoskich. Na szerokich „lorach“, w woły zaprzężniętych naładowane są worki z pościelą, rondle, obrazy. Kobiety przestraszone, dzieci drżące z zimna, otulone byle czem... darzymy ich gorącą kawą, chlebem.

Zmierzchało się, gdy wkroczyliśmy do Corbolone. Zmęczony zasnąłem na kwaterze, ale zbudził mnie koło północy huk artylerji.

Mieszkałem na piętrze.

Z okien widać walkę w oddali. Ciemności nocy rozpraszają błyski pękających szrapneli. Drży ziemia od wstrząsów, dzwiczą szyby w oknach. Słychać rechot karabinów maszynowych, głośniejszy, to cichszy. Bój toczy się o Piave, którą Austriacy koniecznie chcą sforsować.

Od jutra, właściwie każdej chwili ma być rzucony do akcji korpus dwudziesty trzeci, w skład którego wchodzimy. Korpus ten od trzech tygodni jest w rezerwie z powodu wielkich strat nad Soczą; teraz wzmocniony został posiłkami marszowych bataljonów. Świtało, gdym zasnął.

Rozkazem dowódcy pułku zostałem mianowany komendantem pierwszej kompanji karabinów maszynowych. W stanie kompanji znajduje się około stu ośmdziesięciu ludzi, czterech oficerów, dwanaście ciężkich karabinów maszynowych i cztery przeciwlotnicze. Jest to duża jednostka bojowa. Oficerowie Wiedeńczycy. Powitali mnie służbowo, ale dość niechętnie, zgorszeni widocznie tem, że dowódcą — Polak. Zato sympatyczne wrażenie robili szeregowi kompanji; wśród nich rozpoznaję druhów jeszcze z 1914 roku. Przechodząc przed frontem patrzyłem na te góralskie twarze niemal z rozrzewnieniem. Widziałem też z ich strony serdeczne spojrzenia. Gdy na „spocznij“ i „rozejść się“ znikła sztywna dyscyplina, witaliśmy się, jak starzy, dobrzy znajomi. Czułem się dobrze i swojsko, i po raz pierwszy poczułem się starym żołnierzem.

Przy raporcie południowym zameldowali się przydzieleni do kompanji w liczbie dwudziestu kilku legjoniści polscy. Odprawiłem raport i podziękowawszy towarzyszącym mi oficerom zwróciłem się do wyprężonych w szereg legjonistów:

Poco właściwie tu przyszliście?! Czy mało polskiej krwi się leje?! My musimy, ale wy mogliście się wykręcić i jakoś zwać.

Zaperzony w gniewie prawie krzyczałem, ale zamilkłem. Z za węgła domu śledziły mnie czujne oczy moich oficerów.

Stojący na prawem skrzydle były oficer Legjonów, obecnie sierżant Wróblewski usprawiedliwiał siebie i kolegów:

— Nie przyszliśmy tu dla przyjemności. Niemcy podeptali honor polski, nie dotrzymali obietnicy, chcieli z nas mieć najmitów i kiedy nas Bessler chciał zaprzysięgać, rzuciliśmy broń. Taką była wola Komendanta. Teraz zaś, jako podlegający poborowi, musieliśmy tu przyjść.

— Tak, — odparłem na to — ale Włosi nie są wrogiem Polski, a wy tutaj pomagać będziecie do zwycięstwa Niemców. Będziecie w atmosferze wam obcej i dlatego uważajcie dobrze, kiedy, co i z kim mówić. Do linii was nie puszczę.

Poczem dałem rozkaz odliczenia — raz, dwa, trzy, cztery... i zadysponowałem — tabory; raz, dwa... sanitariusze; raz, dwa... rymarze; raz, dwa, trzy, cztery... kancelarja; raz, dwa... kuchnie i t. d. Taki jest rozkaz i w tym charakterze będziecie tutaj. Odejść! — Zasalutowałem i udając bardzo zajętego pomaszzerowałem do stajni. Nim do niej doszedłem usłyszałem za sobą szybkie kroki. To legjonista Rożajowski i Bicz. Znałem ich z Sącza, jeszcze jako sztubaków.

— Panie poruczniku — bełkotali obaj, nie możemy... mamy przydział do kuchni. W innych kompanjach legjoniści wszyscy w linii, będą się z nas śmiali, prosimy o przydział bojowy.

— Cóż zrobić?

— Zgłosicie się jutro do raportu.

I nazajutrz zgłosili się, jak jeden mąż, wszyscy z tą samą prośbą.

Naokoło grały armaty, lała się krew, kładły się postacie żołnierskie bez zapału; oni, legjoniści polscy... czyżby w nich był rycerski duch? — czy naiwność?... rozważałem w sobie.

Obserwowałem ich współzycie między sobą. Tworzyli zwartą, jakby zakonspirowaną grupę, zachowując dawną tytulaturę legjonową. Austrija odebrała im stopnie oficerskie, mianując ich jednorocznymi - sierżantami. Wyższe stopnie mieli sobie zasłużyć wierną służbą dla Monarchji. Do Polaków w służbie austriackiej odnosili się zrazu z rezerwą. Powoli pękały jednak lody nieufności, przekonali się bowiem, że i my mamy te same podstawy ideowe i myślimy temi samemi kategorjami.

Ilościowo przedstawiali znaczną siłę, gdyż między pułki XII dywizji rozdzielono ich kilkuset. Ale ich ciężar gatunkowy był nieskończenie większy. Gdy nasz żołnierz był stary, zmęczony, sterany, oni w młodzieńczym wieku wniesli z sobą pogodę, werwę. Po ich przyjściu jakby jakiś nowy duch wstąpił w nasze

szeregi. Pozatem prawie bez wyjątku mieli wszyscy średnie wykształcenie, duże na froncie rosyjskim nabyte doświadczenie bojowe tak, że stanowili pierwszorzędny materiał wojenny. Ich utajonym komendantem był oficer legionowy, obecnie w stopniu sierżanta, Wir-Konas, przydzielony do 100-go pułku. Postawą, dyscypliną, orjentacją i dzielnością budzili szacunek nawet u Niemców.

W przeddzień zajęcia przyczółka mostowego w San Dona di Piave zajęliśmy kwatery w miasteczku Ceggia. Szliśmy z por. Giza, który dowodził plutonem dział piechoty i por. Buczmą koło kuchni, gdy mijali nas legioniści w drodze po fasunek.

— No jakże się chłopcy czujecie? — zagadnął ich Giza.

— Dobrze, — odparli — tylko głodno. — Prawda, przecież teraz żołnierze dostają racje o połowę mniejsze.

— Przyjdźcie do kasyna oficerskiego, zawsze lepsza kuchnia, choć porcje też oszczędne — zapraszał ich Buczma.

Nie dali się długo prosić i do obiadu stanęli w kasynie naszego bataljonu b. oficerowie, coś ze dwudziestu chłopca. Nie w smak to poszło dowódcy bataljonu, kapitanowi Bozdechowi.

— Co tu ta „Manschaft“*) robi — pytał mnie zirytowany.

— Wszyscy oni, to byli oficerowie, broniłem ich.

— Byli, ale obecnie są tylko podoficerami, zresztą nasza kuchnia ledwie swoich oficerów wyżywi.

Podszedłem do najstarszego wśród legjonistów, sierżanta Grzybowskiego.

— Jeśli macie odznaczenia oficerskie, przywalcie na mundur, to zaimponujecie temu czeskiemu knedlikowi.

Jakiż podziw wyraził się w oczach Bozdecha, gdy w chwilę potem na żołnierskich bluzach ujrzał oficerskie krzyże wojenne, i t. p., ale łaska jego była zbyt dużą, gdyż w nocy ruszyliśmy na linję, gdzie kompanje posiadały oddzielne kuchnie oficerskie.

*) Szeregowi.

ROZDZIAŁ XXIX.

Rzeka Piave u ujścia swego ujętą jest w potężne do ośmiu metrów wysokości sięgające wały. W wale tym żłobiemy jamy. To samo czynią Włosi po przeciwnej stronie rzeki. Jamy te budowało się najpierw na jedną osobę, tyle, że położyć się można, przykryć derką, nad głową daszek ze słomy, ot! aby przez noc móc przeleżeć. Jesteśmy wszakże w ofenzywie. Rozpęd armji na Wenecję, więc poco tu w Sc. Dona di Piave mozolić się nad budową schronów. Ale jakoś ten ofenzywny rozmach ustaje.

Jako kontrmanewr ofenzywy austriackiej uderzyli Włosi z pomocą dywizji francuskich we front tyrolski, lecz doszli tylko do Assiago. Ale rzeki Piave Austriacy mimo największych wysiłków sforsować nie mogą. Nad Piave nastąpiło jakieś takie ugrupowanie armji włoskiej i teraz wreszcie zaczynają się bronić. Generał Cadorna odszedł w niełasce. W jego miejsce powołany został generał Diaz.

Włosi nie śpią. Mają wycelowane na nas w otworach strzelnic karabiny i strzelają, gdy tylko kto niebacznie się wychyli.

W rozkazie dzisiejszym zaleca nam dowództwo pułku „umocnić się“. To znaczy będziemy tu chyba zimować. Jest to koniec listopada 1917 roku. Mgła i wilgoć w powietrzu, zimno i nieprzyjemnie dotknąć się oślizgłej gliny. Więc się gotujemy do leży zimowych. Na odcinku naszego bataljonu domorośli cieśle pilami różną ściętą na gościńcu kasztany. Bierwiona, belki, krokwie, listwy, drzwi, okiennice, deski na dach, nawet podłogę robimy; wszystko to mamy własnym przemysłem. Pomysłowość naszych Wojtków, Maczków i Jasiów niezrównana. W kilka dni mamy wszystko, co dla człowieka, mającego pretensję do kultury, jest potrzebne.

W ziemiankach żołnierskich prycze na dwa piętra, piecyk obozowy, miednica, bądź cebrzyk, latryny, a także, i to nie byle jakie,

a przede wszystkim zabezpieczające od naglej a niespodziewanej kuli karabinowej, krótko mówiąc prawdziwe schrony, zamaskowane, przytulne, z malowanemi dwoma zerami; pod niemi napisy, jakoto:

Ulżyj sobie miły, bracie,
Szanuj jednak przytem gacie,
Gacie bowiem są cesarskie.

Wizytujący okopy major sztabu generalnego z dywizji kazał napis ten zmasać. W miejsce tego nazajutrz pojawił się taki napis:

Był tu jeden pan,
Co miał z nami kram,
Bohatersko walcząc w tyle,
Patrzy w zadek swej kobyle,
Wierny panu cesarzowi
Wleźć do zadka jest gotowy,
Więc mu, bracia, pomagajmy
I do zadka go wepchajmy.

Na pryczach żołnierskich tym razem nie słoma, lecz materace. Wnętrza schronów zdobią lustra w złotych ramach, niektórzy mają nawet piernaty i autentyczne pierzyny. Wszystko to w drodze t. zw. rekwizycji ściągnięto z miasteczka rozsiadłego wzdłuż wału, Sc. Dona. Teraz tam żywego ducha niema. Od tygodnia biją tam dzień w dzień Włosi ciężkimi granatami. Wśród zwalonych murów i rumowisk rekwiranci znajdowali najrozmaitsze meble przez mieszkańców pozostawione, często całe urządzenia, a nierzadko dzieła sztuki. To też w moim schronie paradytuje pianino, mocno co prawda nadwyreżone, ale pianino. Ściany z desek zdobią lustra i obrazy, na środku schronu stoi stół dębowy, wokoło niego krzesła i fotele różnego stylu. Wogóle schron urządzony luksusowo, nawet obok mieszczą się dwie izdebki; jedna przeznaczona na kuchnię, druga zaś dla ordynansa i telefonistów. Kucharza i ordynansów przywołuje się zapomocą dzwonka odpowiednimi sygnałami; słowem, gdy kucharz w białym kitlu i fezie nakrywa do stołu, koledzy z sąsiednich oddziałów są pełni podziwu. Przyjąłem na sublokatora dowódcę drugiej kompanji por. Buczmę. Gorzej tylko z dachem. Gdy bowiem lecą włoskie „kuferki“ i miny, powała mimo, że posiada grubą warstwę ziemi, desek i belek, grozi zawaleniem, a nawet widać wyraźne wybrzuszenie, dlatego też, gdy siła

ognia nieprzyjacielskiego jest zwiększona, poprostu wyrrywamy do szańców.

Po jakich dwóch tygodniach ukończyliśmy budowę schronów, strzelnic, trawers, zasieków, łącznikowych kurytarzy i rezerwowych stanowisk.

Gdy dzień pogodny, obróceniu twarzą ku północy wygrzewamy się na słońcu. Gdzieś w sienie dali majaczy potężny łańcuch Alp. Gdy strzelanina ucichnie na chwilę, ożywiają się zaraz okopy. Żołnierze piorą i suszą bieliznę, bądź szukają wszy. Spryt i wynalazczość włożyły żołnierzom w ręce jakieś dziwaczne instrumenty muzyczne, ni to skrzypce, ni to gitara, jakieś piszczałki, drumle. Słyszac taką muzykę i chóralne śpiewy, bo legjoniści zorganizowali chóry, zapominamy o minach, granatach.

Czasem ciszę przerywa okrzyk:—Leci! leci!—Na tle nieba pogodnego widać jakąś jakby sporą paczkę. Zatacza ona łuk i prostopadłe niemal wpada do wnętrza domu doszczętnie wypalonego, z którego zostały tylko cztery ściany. Huk i detonacja, jakby się góry waliły. Cztery ściany rozkładają się na zewnątrz, jakby z kart były złożone. Takie paczki posyłają nam Włosi aż za często. Mają one do siedmdziesięciu centymetrów długości, do dwudziestu centymetrów szerokości, o kształcie cylindrycznym. Siła eksplozywna tych min jest potworną. Ale na nasze szczęście miny wbijają się bardzo płytko w ziemię, no i słabe opancerzenie powoduje działanie w małym promieniu. Nie lepsze, a może i groźniejsze są t. zw. maczugi. Są to granaty kształtem zbliżone do maczugi, wielkości do trzydziestu centymetrów. Wystrzeliwiają je Włosi mechaniczną siłą, przyczem nie zataczają one normalnego półkola, lecz — oczywiście przy ścisłym obliczeniu kąta padania — spadają w momencie, gdy są u wierzchołka balistycznego półkola, prostopadłe. Wyrzucają je Włosi naraz po kilkadziesiąt, a ponieważ nie słychać odstrzału, ani świstu, przeto spacer po rowach jest dość ryzykowny. Od tych drańci zresztą mamy najwięcej zabitych i rannych. Poza tem dziwaczne kształtu miny wybuchowe i dużej nośności — torpedy. Nowy rodzaj broni zastosowali lotnicy, rzucając z aeroplanów gwoździe o kształcie stożkowatym. Gwoźdź taki przebija tułów na wylot w postaci stojącej. Oprócz powyższych działają miotacze granatów, gazy i miotacze płomieni. Dodajmy do tego kuferki artyleryjskie i kule karabinów maszynowych, a uzmysłwić sobie można, że w tych warunkach tylko stary, doświadczony i na wszystko przygotowany żołnierz mógł w cieple grudniowego słońca się wygrzewać, przygrywając sobie na grzebieniu lub harmonijce ustnej. Ale jeszcze tuż za wałem nie

jest to tak groźne. Gorzej wysuniętym czujkom przed wałem na bagnistym brzegu Piave. W razie huraganowego ognia niema dla nich ratunku, bo zresztą niepodobna im go dać.

Sztab pułku i tabory rozlokowały się w odległości trzech do ośmiu kilometrów od linji.

Powoli układa się życie okopowe. Żołnierze i oficerowie pełnią służbę na zmianę. Oddzielająca nas od Włochów głęboka rzeka, Piave zabezpiecza dostatecznie przed wypadem patrolów. Na lewem skrzydle naszego bataljonu w delcie Piawy, na wysepce, budują honwedzi blockhausy. Czynią to głośno, wśród ustawicznych przekleństw i nawoływań, to też Włosi od czasu do czasu spuszczaają im lanie z dział piechoty i wtedy widać, jak honwedzi wyrrywają do schronów.

Na lewo od nas ogromna, pusta połać ziemi. W czasie ofensywnego natarcia, gdy oddziały żołnierzy austriackich były w pełnym marszu, podobno strażnicy rzeczni włoscy otworzyli służę Piawy, wskutek czego niezmierzone masy wody zalały ten teren, powodując ogromne straty, zwłaszcza w taborach i w parku artyleryjskim. Potopiło się przytem sporo ludzi, ale obecnie woda już spłynęła, odsłaniając zamulone ryżowe pola.

Naogół żołnierze czują się nieźle. Fasunek bowiem dochodzi normalnie, jedzą też teraz rzeczy dawno niewidziane, jakoto kluski z mąki pszennej, ryż, salami z oślego mięsa, piją wino, którego pełne są piwnice zburzonych osiedli. Mimo, że dostęp do piwnic jest bardzo niebezpieczny, na ochotników - rekwirantów jest kandydatów aż za dużo. Żołnierze poza służbą, którą pełnią na posterunkach strzelniczych za dnia, o ile nie śpią, grają w karty, piszą listy, tłuką w stępkach kukurydzę, którą gotują, dożywiając się własnym przemysłem. Niemal w całej dywizji żołnierze pędzą alkohol ze zmarzniętych winogron, popularnie zwany „treberem”. Jest to obrzydliwy w smaku, źle odczyszczony fuzel; piją go żołnierze zatykając nosy z powodu okropnego zapachu. Wszyscy też prawie, nie wyłączając oficerów, notabene, linjowych cierpią na chroniczną zgagę. Każda kompanja czy baterja posiada taką gorzelnię.

W pogodne dni wysiadują żołnierze na latrynie. Swoisty to widok, gdy w sześciu równocześnie siedzą na drągu, z zawieszonymi na szyjach pasami i... radzą. Tematem ich rozmów są przeżycia wojenne, czy i kiedy będzie menaż, urlop i czy wojna kiedy się skończy. Frajter Brzega dowodzi głośno, że wogóle wojna skończyć się nie może, bo walczące państwa nie wiedzą, jak ją skończyć.

Życie oficerów ma inny charakter. Młodzi oficerowie pełnią służbę na zmianę po dwadzieścia cztery godziny, przyczem zadaniem ich jest obserwacja nieprzyjaciela i kontrola posterunków obok normalnych czynności. Poza służbą w schronie dowódcy kompanji grają w karty, przeważnie w taroka. Ja sam normalnie wstaję o dziesiątej rano, poczem ubrany w hełm, z maską gazową, lornetą i rewolwerem za pasem, oraz z nieodstępną laską odbywam lustrację swoich maszyn w obrębie bataljonu. Jest to o tyle mniej przyjemne, że pewne odcinki trzeba przebiegać górą na wale. Emocja to niemała, gdyż ledwo się ktoś wychyli nad wał, Włosi natychmiast strzelają. Dopiero po wybudowaniu krytych kurytarzy można było względnie bezpiecznie przejść wzdłuż linii.

Po odbyciu lustracji uroczyste drugie śniadanie, t. j. w zasadzie befszytk, zakropiony rumem i zalany młodem, czerwonym winem. Poczem partja taroka i drzemka. Obiad otrzymujemy o zmierzchu, gdyż inaczej kuchnie nie mogą być dowieszone. Po obiedzie znów tarok przy czarnej kawie z rumem, bądź przy winie. Zasypiamy nie wcześniej, jak o czwartej nad ranem, ciągle bowiem są alarmy, a często się zdarza, że ni z tego ni z owego zaczyna walić ciężka artylerja włoska. Wtedy z kartami w ręce uciekamy na spokojniejszy odcinek. Chorąży Schotter, nowicjusz linjowy, w takich chwilach poprostu mdleje, poimy go więc rumem na kuraż.

Dzisiaj o jakie dziesięć metrów od miejsca mego schronu wyrznął granat. Lej przeszło trzymetrowej głębokości... brrrr! Wogóle ten ciągły ogień zaczyna nas denerwować. Ale znamy jego podział, oczywiście w normalnych warunkach. O świcie budzi nas artylerja ciężka. Koło godziny 10-ej miny, po 11-tej torpedy i maczugi. Przedpołudniowy ogień przeplatają lekkie haubice, połówki i działa górskie. Po południu artylerja włoska strzelać nie może, gdyż wtedy świeci im słońce wprost w oczy. Zato gra austriacka artylerja różnego kalibru. W południe pojawiają się aeroplany. Na lotników jesteśmy cięci; są dokuczliwi, wręcz bezczelni. Sypią gwoździe, bomby, fotografują pozycje i wogóle za dużo się nami interesują. Więc też nasze pokojowe w stosunku do onich tendencje pierzchły. Właśnie cztery rasowe Caproni nadciągnęły od strony południowo - zachodniej. Już sąsiadujący obok „Jacki“, wzięli ich w obroty. Ale teraz nad nami lecą. Karabiny przeciwlotnicze terkoczą miarowo. Od północno-wschodniej strony lecą dwa austriackie i jeden pruski samolot. Będzie walka. Ale Caproni wyżej, wyżej... giną gdzieś w chmurach; austriackie i niemiecki zawróciły. Naraz z przestworzy słychać... ta, ta, ta, ta, ta... Za chwilę widać

w powietrzu cztery, potem siedm, wnet koło piętnastu sztuk. Wala wszystkie z karabinów. Naszym maszynistom udziela się animusz... też strzelają.

— Zostawić! — dałem rozkaz. — Nie wtrącać się do ich spraw. Samoloty pognały wgląb Italji.

Kadeta Schottera musiałem wysłać do ppor. Welta, będącego w rezerwie z plutonem, aby się na nerwach odkuł. Cierpi bowiem na drżączkę. Ma porażony system nerwowy. Gdy tylko silniejszy ogień, musi lecieć do latryny. Boimy się efektywnej katastrofy. Bodaj go!

Nasze straty po trzech tygodniach znośne. Zabitych w kompanji dziewięciu, rannych siedmiu. Między innymi zginął wczoraj podczas dowożenia menaży kucharz kompanijny, Bachowski. Trafiony odłamkiem granatu w potylicę, tylko machnął kozła i koniec. Koniom nie się nie stało, ani samej kuchni. Zginął od torpedy kapral Gałuszka. Sc. Donę Włosi do reszty burzą. Dzisiaj w południe runęła wieża kościelna, która dotąd jakoś się ostała. Z hukiem spadły dzwony. Na naszych ludziach zrobiło to wstrząsające wrażenie. Górale bowiem są religijni, powiedziałbym nawet zaborbonni, więc wróżą Włochom zemstę niebios.

Za miastem tylko cało się trzyma szpital miejscowy. Nikt tam coprawda nie kwateruje, ale też i Włosi są dziwnie nań łaskawi.

Lekarz bataljonowy namawia nas na „rekwizycję“. Tak, czy owak, szpital runie w gruzach czy płomieniach, a są w nim trzy bardzo cenne mikroskopy. Trzy tysiące koron sztuka. Od kilku dni próbują śmiałkowie z rozmaitych kompanij tam wtargnąć, ale to trudno. Szpital zdaleka widoczny, leży jak na dłoni.

Po naradzie postanowiliśmy razem z Buczmą sięgnąć po laury. Z nastaniem ciemności o siódmej wieczorem, gdy zelżał ogień, ruszyliśmy ku szpitalowi. Szliśmy przez winnice ścieżką, zaznaczoną białemi skrawkami płótna, zawieszonemi na łądych winogradu. Tędy ostrożnie utrzymywaną była komunikacja z tyłowymi formacjami. W odległości jakich pięciuset kroków od szpitala w szczerem polu naraz ciuu... brms! Czerwony błysk i leżę na ziemi. W ustach zgrzyta piasek, w oczach czuję ziemię.

— Józek, Józek! wołam na Buczmę.

Cisza jednak. Józek przepadł, może nie żyje. Robi się jasno. W świetle smugi włoskiego reflektora widzę Buczmę, jak rozkrzyżowany leży na ziemi. Dосkoczyłem przestraszony, na szczęście nic mu się nie stało, oprzytomniał. Ale nadlatuje już drugi pocisk. W powietrzu niedaleko nas złotawy błysk i suchy trzask. Macają psiekrwie szrapnelami. Nie upłynęło kilku sekund, gdy przed nami

z gwizdem i wyciem nadleciały prawie równocześnie i wybuchły cztery granaty. Niema co, wracamy; ale jakoś żal mi wracać, gdy już jesteśmy tak blisko celu. Więc decyduję się pójść sam do szpitala. Buczma tymczasem czeka, bo jak się okazało, ma mocno stłuczone kolano.

Biegnę schylony, bo poświsują górą kule karabinowe, dopadają majaczących w ciemności murów szpitalnych. Szczęśliwie trafiam do wejścia.

Kilka betonowych schodów, wpółotwarte drzwi... cisza. Na posadzce kamiennej dzwonią moje ostrogi. W bataljonie mówili, że mikroskopy są w gabinecie lekarskim na prawem skrzydle gmachu. Naciskam taster elektrycznej lampki polowej. Ostre światło rozjaśnia wnętrze długiego korytarza. Ale o przebóg! włosy mi się zjeżyły... gdzie spojrzę, wokoło w olbrzymich słojach patrzą na mnie blade oblicza topielców z otwartymi ustami. W mniejszych słojach widać dzieci, to jakieś potworki, poodcinane ręce, nogi..., nie jestem w stanie ich nie widzieć. Muszę przejść między nimi, a ręce i nogi mi sztywnieją, próbuję krzyknąć — nie mogę. Nie wiem, sen to, czy jawa, — prawda, czy halucynacja. Uciec, uciec, jak najprędzej. Wybiegłem jak szalony i dopiero nawoływanie Buczmy, który czekał na mnie, wstrzymało mnie w ucieczce.

Doszliśmy szczęśliwie do schronu. Tak niefortunnie skończyła się nasza rekwizycja. A jednak niemal codziennie są tam wyprawy i ciągle bez rezultatów. Widać umarli lepiej strzegą wejścia, niż żywi.

Upływają dni wśród emocyj bojowych. Kanonada z tej i z tamtej strony bez przerwy. W dodatku górskie działa austriackie, wstrzeliwując się niosą za nisko i wyrządzają nam dotkliwe straty. Najbardziej irytują nas reflektory. Widać bowiem punkt wyjściowy światła, a nie można ocenić odległości. Ale wczoraj sami Włosi narobili sobie bigosu. Późnym wieczorem koło godziny jedenastej nieopatrznie oświetlili wał po swojej stronie. Na jego wierzchu maszerowało kilkudziesięciu ludzi z łopatami, kilofami. Widocznie saperzy szli zakładać, czy budować zasieki... a może projektowali przeprawę, czy atak nocny. W tej chwili odezwały się austriackie maszyny. Powstał wrzask, słychać jęki, okrzyki „Madonna Maria!“. W pół minuty potem ryknęła artylerja z obu stron. Rozgorzała kanonada wszystkich elementów ogniowych, kurniawa na całą parę. Skończyło się to dopiero koło drugiej w nocy.

Płyną dni jedno po drugim, podobne i niepodobne do siebie. Codziennie ktoś ubywa. Chorzy, choć tych najmniej, ale za to ran-

nych i zabitych sporo. W kompanji mojej już szesnastu zabitych, rannych dwa razy tyle. Ale rezerwy wciąż płyną i zapełniają luki. Skąd się tego tyle bierze. Wszak każdy pobór zdaje się do cna wypełni wszystko, co zdrowe. Tyle poborów i ciągle nieustanną rzeką płyną nowi rekruci. Starzy i młodzi. Młodzież siedemnastoletnia, sztabaki wprost ze szkoły i dziadkowie. Tak! mamy w kompanji trzech, których wnuki zęgały. Nie ubywa ludzi, ani bydła rzeźnego, a przede wszystkim amunicji. Ostatniej wprost przeciwnie, raczej przybywa. Szafujemy nią bez miary.

W dzień wigilijny od południa nastąpiło nieumówione z Włochami zawieszenie broni. Wieczorem, gdy race świetlne rozjaśniały ciemności, od strony Włochów słysząc najwyraźniej śpiewy, może kolendy, bo w rzewnem, kościelnem tempie. Więc my też. Powyłażyły Maćki i Wojtki ze swemi instrumentami na wał i dalejże nucić: Lulajże Jezuniu... Od strony Włochów słysząc tirlenie mandolin i śpiewy. Mają dobre głosy i ładnie śpiewają. Na lewem skrzydle bataljonu słysząc Marsyljanekę. To Francuzi, stoją vis-à-vis „Jacków“.

Błogosławiona cisza. Przechadzamy się górą wałem i tuż nad Piawą zadowoleni i., mocno podgazowani. Piliśmy bowiem tego. Ale Włosi i Francuzi widać, że też sobie nie żalowali, bo słysząc tam zgoła pijacką wrzawę. Włosi pokrzykują w naszą stronę „Austriaco barbaro, Germano porco, bandito“; my, t. j. Polacy nie nie mówimy. Niemcy zato wykrzykują im od zdrajców i tchórzów. Ta słowna polemika rozpala się, wreszcie od strony włoskiej padł strzał.

— Psiekrwie, flejtuchy! ryknął zastępca oficera, Obrzud — i palnął z karabinu.

W tejże chwili odezwały się z lewego skrzydła karabiny maszynowe. Włosi również nie zostali dłużni, a że każdy, nie wyłączając oficerów, poprostu dla szyku nosił ze sobą granaty ręczne — rozpoczęła się kanonada, jak sto djabłów. Pękały granaty ręczne z hukiem zresztą nieszkodliwie, odezwały się włoskie działa piechoty, na co por. Giza, że był mocno pod gazem, dał rozkaz obśludze swoich dział, wystrzelać wszystkie naboje. Huczało też i grzmiało, jak na odpuszcie, a że wszyscy i z tej i z tamtej strony mieli alkoholowy kuraż, przeto pukanina stała się tak gwałtowna, że dowództwo pułku zaniepokojone zapytywało rozpaczliwie, co się dzieje. Brzęczał telefon do obrzydzenia, kiedy wpadłem do budki telefonicznej i adjutantowi krótko wypaliłem:

— Włosi nas atakują.

Naturalnie narobili wrzasku w brygadzie, a ta w dywizji i już w ciemnościach nocy na tyłach zaczęło się krwawo błyskać. Bah! bah! zagrały ciężkie haubice. Ale tymczasem u nas nastała cisza.

Wreszcie koło północy, gdy nastał zupełny spokój, zasiadliśmy do taroka. W kuchence obok, kucharz i ordynansi przegrywając na harmonijce nucili tęsknie: „W złobie leży, któż pobieży...”. Jakoś nas to rozmarzyło, przerwaliśmy grę. Kazałem podać wino zapasowe. Rozpoczęła się pijatyka na umór. Do schronu weszli goście z drugiego bataljonu, kpt. Siwak, por. Kielbasa, Izdebski, Serafiniuk, lekarz bataljonowy, chorąży Rejman, Durlak. Powitaniom, okrzykom niema końca. Z radości daliśmy z naszych Steyerów salwę w powalę schronu. Takąże salwą odpowiedzieli goście.

— Maciek! — ryczał Giza na kucharza — rznij befsztyki.

— Kiedy niema, panie poruczniku.

— To konserwy.

— Kiedy też niema.

— Psia twoja mać! To rznij żelazne porcje!

Okazja za duża. Poszły pod nóż puszki rezerwowe, zwane żelaznemi porcjami. Goście zasiedli wokoło stołu i gdzie mogli; popłynęło wino...

Do drzwi szturmują nowi goście. Włazić, byle prędko! To legjoniści. Weszli z Grzybowskim i Wojakowskim na czele, coś z piętnastu chłopca. Z braku miejsca pousiadali na ziemi, a przywódca ich, Wojakowski, rozdzielając szklanki z winem, zaintonował:

O północy się zjawili jacyś dwaj cywili,

Gęby odrapane, włosy jak badyli...

Śpiewali wszyscy z lwowska, umyślnie przeciągając przedostatnią zgłoskę.

...Nic nikomu nie mówili, tylko w mordę bili,

Taj si zabawili, taj już, taj już...

— O roztozmila baruszko, wem mnie z sebou na louzko... włączyliśmy w te zwrotki i swoje głosy. Mimo ciasnoty ten i ów przytupując próbował tańczyć.

Wtem do ziemianki wtargnął podoficer dyżurny i jednym tchem zameldował:

— Posłusznie melduję, Włosi wysadzają dno Piawy.

Tego brakowało. Stało się cicho. Pamiętaliśmy dobrze wysadzoną przez nich górę Col di Lanę. Teraz wszyscy leżą na

ziemi i nasłuchują. Istotnie wyraźne czuć drżenie ziemi i słyszeć nawet stukania. Widocznie borują tunel.

— Ha! Dziej się wola nieba! — przerwał ciszę Kielbasa. Jasiek, dawaj rum! Szkoda, żeby spłynął do kanałów weneckich. Rum! Tak! to jedyny ratunek. Jazda z winem kwaskowatym!

— To nie wino — rezonuje por. Kraus Rudolf — to moszcz.

— Moszcz?! — mówi obrażony jakby kpt. Siwak — to nie moszcz, ale mocz.

Więc rum poszedł w ruch. Zapomnieliśmy o wojnie, zaczęły się dowcipy coraz srośniejsze i śpiewy...

Siedzimy w schronie por. Gizy. Dowodzi on plutonem dział piechoty, ma więc prawo cofnąć się do wysokości dowództwa baonu. Ponieważ nam także — jako dowódca c. k. m. kompetencje i mogę się zakwaterować, gdzie chcę, przeto od trzech dni zainstalowałem się u niego. Oryginalny to schron. Z wierzchu przykryty jedną warstwą belek, jak pięć grubych, na to ziemi na dziesięć centymetrów — i koniec pieśni. Tu przeciwko granatom nic nie pomoże. Ale miny i t. p. świństewka nie donoszą. Ponieważ wyprostować się nie można, więc cały czas leżymy na olbrzymim tapczanie i filozofujemy. Trochę zimno, bo w piecyku ledwo się tli ogień ze specjalnych suchych trzasek. Ognia normalnego zrobić nie można, bo dym zaraz zwróci uwagę artylerji. Zresztą i tak dookoła schronu wieniec lejów. Jeden z nich dziś rano wybity na przeszło pięć metrów szerokości i blisko cztery metry głębokości.

— Oj leciałbyś, Józiu, leciał, jak ptaszek lekki, puszysty, gdybyś przypuścił za własną potrzebą tam się usadowił — naciąga Gizę kapitan Siwak.

— Ze mną ciężka sprawa — rzecze na to Giza — ważę dwieście czterdziestą dwa kilo, ale sąsiedzi...

Wtem łoskot straszliwy targnął schronem, zaraz potem drugi, posypał się gruz. Na gwałt zrywamy się i jak szczury wypełzamy ze schronu. Nim ubiegliśmy jakie pięćdziesiąt kroków — hurrru — brrrrms! Granat wałnął w sam środek ziemianki. W górę wytrysnęła olbrzymia fontanna dymu i gruzu, a teraz opadają krokwie i deski. Leżymy w szczerem polu przytuleni do ziemi. Niema żartów. Ogniem artylerji kierują obserwatorzy z balonów na uwięzi, których długi szereg ciągnie się wzdłuż linii.

Biegniemy do wału; jednak tam bezpieczniejsz. Po drodze natrafiamy na zabitego odłamkiem granatu legionistę Langnera. Leży z rozkrzyżowanemi rękami, wyprostowany, zdaje się uśmiechać do słońca. Nadciąga patrol sanitarny. Pogrzebią go na nizinach Lombardji bez żadnych specjalnych wzruszeń. To tylko — jednoroczny — feldfebel, aspirant oficerski. To, że był oficerem w Legionach Polskich, nikogo z pośród Niemców nie wzrusza, zaś Czesi mają ich w pogardzie.

— Pocóż bunt żołnierski kończyć podstawianiem głowy pod kulę, pocóż utrudniać zwycięstwo Koalicji — rezonuje i zamęcza nas por. Nastoupil.

— Idź do stu djablów, mendo sakramencka — huczy na niego kapitan Dobrodzicki. Czy ty wiesz, co to jest honor żołnierski. Czy rozumiesz, że Polak nie napada z tyłu, tylko wali w mordę? Sztuka mi wielka zdezerterować — irytował się naprawdę Dobrodzicki. — Sztuka i odwaga tu, wprost w łeb strzelić przełożonym, a potem wio! w świat.

Rozpaliła się dyskusja polityczna, a gdyśmy zostali w moim dawnym schronie w pięciu, sami Polacy, zabrał głos dowódca kompanji technicznej, por. Bergman:

— Czas najwyższy koledzy przystąpić do zorganizowanej akcji. Dalej nie możemy być biernem narzędziem Austrii. Dwunasta dywizja, przeważnie z Polaków się składająca, winna wystąpić z czynem. Zgadzaemy się z tem, że każdego życia tu szkoda. — Mam wieści, że we Francji tworzą się oddziały polskie i nasze miejsce tam!

— Tak, tak — potakujemy.

Zabrał głos legionista Wojakowski: — Musimy tedy, my, Polacy porozumieć się w obrębie pułku, destrukować nastroje progermańskie wśród żołnierzy. Musimy prenumerować pisma o wyraźnym kierunku antyaustriackim, jak „Ilustrowany Krakowski Kurjer“, „Głos Narodu“, „Naprzód“ i t. p., niszczyć amunicję, sprzęt, tabor, strzelać do austriackich i pruskich samolotów, komunikować Włochom o zamierzonych atakach, składach i ułatwiać systematyczną dezercję do Włoch.

— Nie tak łatwo to ostatnie — przerwał por. Uryga. — Na moim odcinku, dwaj jeńcy rosyjscy, użyci do robót ziemnych, usiłowali wczoraj przedostać się do Włochów wpław przez rzekę Piave. Nasi żołnierze nie strzelali, mimo to poszli pod wodę od strzałów włoskich.

Drzwi schronu się otworzyły, stanął w nich ppor. Izdebski z jakimś papierem w ręce.

— Oto proszę panów, patrzcie, włoscy lotnicy zarzucają teraz naszą linję odezwami.

Rzuciliśmy się, wyrывая sobie z rąk odezwę. Istotnie! Pierwszy to sygnał. „Nie strzelajcie do nas, bo w nas zabijacie swoich przyjaciół“.

— Widocznie wiedzą, że Polacy stoją naprzeciwko — odezwał się Buczma.

— No jakże — dodał por. Malik — na prawem skrzydle Francuzi wyśpiewują Marsyljanke, O Madelon i t. p., a naprzeciwko Włosi po polsku ciągle wykrzykują „oddajcie wino, coście wypili“. Huknąłem im też przez tubę: Kiepskie to wasze wino, kwaskowate i gorzkawe, my mamy wbród dobrego węgryzna.

Dalszą rozmowę przerwał wejściem kpt. Engelmana. Jest to zausznik dowódcy pułku, więc zaczęliśmy rozmowę o czem innem.

Od tego dnia rozpoczęła się pozytywna robota irredencka.

Moje karabiny maszynowe z fałszywą skalą nastawione strzelały Panu Bogu w okno. Dostało się przytem, sąsiadującym w delcie Piavy, honwedom, gdzie budowali blockhauzy, w wyniku czego dowódca pułku, Danek, osobiście chciał skontrolować strzelnice. Róźnie się zaprowadziłem go na odcinek najbardziej ostrzeliwany, to też dał pokój dalszej kontroli, ograniczając się do orjentacji wedle dowolnie skomponowanego przeze mnie szkicu stanowisk. Naturalnie na cierpliwym papierze kierunek ogniowy tworzył, jak sam Danek się wyraził, żelazną barjerę. Zresztą miły Boże! Kontrolujże, kto chce, dwaście strzelnic za dnia, gdy głowy nie można wychylić.

Za to strzelnice były zbudowane wedle ostatnich wymogów kadrowych i teoryj, zabezpieczone, nawet zamiatane, wszystko to, by zadowolić przełożonych.

Na terenie pułku tworzą się zakonspirowane grupy podoficerów i żołnierzy. Organizacja rośnie z każdym dniem. Działalność nasza przy pomocy legjonisty Wir - Konasa, przenosi się na całą 12-tą dywizję. Zwłaszcza w 56-tym p. p., a także w 57-mym są już zorganizowane tajne grupy konspirantów. Za pośrednictwem urlopników przenosimy zasięg organizacji do kadry. Dobrodzicki zwołuje na dziś zebranie zakonspirowanych oficerów i legjonistów. Więc walimy do jego schronu. Jest nas dzieściu. Po skromnym poczęstunku zaczęli mówić wszyscy naraz, aż gospodarz zawsze uprzejmy, choć rubaszny, huknął pięścią w stół:

— Stulcie pyski! Władza mówi!

Zamilkli wszyscy. Ciszę przerywały tylko głuchoe detonacje wybuchających pocisków.

— Czytaj! — zwrócił się do Buczmy Dobrodzicki.

Buczma wyciągnął z portfela odezwę, jaką dziś rozrzucili lotnicy włoscy i czytał:

„Polacy! Zbliża się godzina decydująca o losach Polski. Mocarstwa porozumienia ogłosiły samoistność Polski i uroczyście ją poręczyły. Chcą one zebrać części ziemi polskiej, które prawie przez dwa wieki były pod jarzmem trzech mocarzy i odbudować niezawisłe Królestwo Polskie, jakie było przed rozbiorami. Sztandary wojska polskiego powiewają dziś we Francji na czele pułków ochotniczych polskich, które walczą po stronie wojsk porozumienia, przypominając czyny Kościuszki, Poniatowskiego, którzy walczyli za wolność i równouprawnienie wszech ludów. Cesarze Niemiec i Austrii, którzy dla swych ciemnych celów ogłosili samoistność Królestwa, trzymają dalej w niewoli Galicję i Poznańskie, zrzucili teraz maskę i rozwiązali wojsko polskie, które pełne godności odmówiło złożenia przysięgi na imię tyranów.. Sławni legjoniści za ich miłość Ojczyzny zostali bądź uwięzieni, bądź przydzieleni do wojska austriackiego i oddają życie i krew przeciw interesom ich Ojczyzny polskiej. Generał Piłsudski, symbol wolności polskiej, znosi głód i obelgi w podziemiach twierdzy niemieckiej. Niemcy rabują Królestwo i przy pomocy strasznego ucisku starają się zniszczyć żywioł polski.

Żołnierze Polacy! Nie strzelajcie! Bądźcie pomni, że każdy wasz strzał może pozbawić życia niejednego z waszych braci.

Bracia Polacy! Zwróćcie broń przeciw waszym gnębiicielom i dopomóżcie nam uwolnić waszą Ojczyznę od ucisku niemieckiego i odbudować zjednoczone Królestwo Polskie. Bądźcie pewni, że ofiara życia za wolność swojej Ojczyzny przynosi sławę, a śmierć za gnębieli hańbę i wstyd.

Bracia Polacy! Niech żyje wolna, zjednoczona Polska! Śmierć gnębiicielom Habsburgom i Hohenzollernom!”

Wśród ciszy, jaka nastąpiła, gdy Buczma skończył czytać tę odezwę, te i owe usta rzuciły półgłosem — śmierć! — Zerwał się kapitan Dobrodzicki:

— Mam rozkaz Polskiej Organizacji Wojskowej z Krakowa. Otrzymałem dowództwo i kierownictwo akcji w obrębie 12-tej dywizji. Zdaniem mojem, należy działać metodycznie, planowo. Podzielić dywizję na strefy wgłąb i odcinki linjowe. Należy utrzymać łączność, ale żadnej scentralizowanej władzy. Każdy działa na własną rękę i we własnym zakresie. Robotę zacząć od

uświadomienia żołnierza. Przełożonym Niemcom, Węgrom i Żydom składać fałszywe meldunki i raporty. Z Włochami kontakt. Otrzymujemy puste łuski granatów dla przesyłania odezw austriackich, nie więc łatwiejszego, jak narysować plan austriackich pozycji z dopiskiem: „Czołem — Polacy!“ Dobrodzicki skończył Odezwał się por. Typrowicz.

— Bolesną rzeczą jest zdradzać, ale jeśli nie zdradzimy Austrii, będziemy zdrajcami Polski! — mocno zakończył.

— Brawo, brawo! — przytaknęli wszyscy.

Pod drzwiami słysząc zgrzyt żwiru. Wyjrzał przezornie chorąży Klein. Istotnie ktoś zmykał w ciemnościach nocy. Widać szpieg podsłuchiwał. Rozeszliśmy się.

Rozdział XXX.

Siedząc przed schronem, czytam podręczniki prawnicze, bo jednak zdarzyć się może, że wojnę przeżyję, więc nie zaszkodzi przygotować się do „cywila“. Jest tu nas więcej takich studentów. Duch Kazimierz też z kodeksem w ręce siedzi przed schronem i wczytuje się w niego, nasłuchując bacznie skąd, co „leci“. Poza tem załatwiam bieżące sprawy, czytam dzienniki, konferuję i... medytuję. Wszak to koniec stycznia 1918 roku — i nie z pro- roctw o rychłym końcu wojny się nie spełnia. Mocarstwa Centralne zdają się urastać do cyklopicznych potęg. Bilans 1917 roku dla Koalicji przedstawia się niezbyt różowo. Rozwój sytuacji na froncie wskazuje na nieustanny triumf oręża Mocarstw Centralnych. Rosja, Rumunia leżą u ich stóp. Przewrót bolszewicki w Rosji dokonywa się pod hasłem natychmiastowego zawarcia pokoju i natychmiastowego rozdawnictwa chłopom ziemi. Wódz rewolucji Lenin, zaproponował państwowi wojującemu zawieszenie broni i rozpoczęcie rokowań pokojowych. Koalicja propozycje te odrzuciła, ale Mocarstwa Centralne je przyjęły i weszły w per- traktacje. Tem samem front rosyjski przestał istnieć. Korzystają z tego Niemcy i przerzucają luźne dywizje na front zachodni. Szykuje się wielka ofenzywa niemiecka na zachodzie. W ten sposób chcą Niemcy ubiec przyjazd wojsk amerykańskich. To uderzenie może być istotnie decydujące...

— Tak, tak—potwierdził rozumowania moje por. Duch. — Co więcej Niemcy ufni w swe siły odsłaniają też apetyty aneksjonis- tyczne. Mówi się coraz wyraźniej, że chcą zabrać Zagłębie Dą- browskie i całą zachodnią Kongresówkę, niemal po Warszawę. Na wschodzie między Polską, a Rosją mają utworzyć państwa bufo- rowe, Litwę, Ukrainę. Mają to być forpoczty „Drang nach Osten“, oczywiście po trupie Polski. Chcą nas w ten sposób z dwóch stron

wziąć w żelazny uścisk i zdusić. Powołana przez nich do życia w Wilnie „Taryba“ litewska śle wiernopoddańcze hołdy Wilhel-mowi. Właściwie jest to eskpozytura berlińska. W stosunku do Polski „Taryba“ przybrała zdecydowanie wrogą postawę. Hojni szafarze z cudzej kieszeni w Berlinie zaofiarowali Litwie Grodzieszczyznę i Suwalską ziemię, jatrzą Litwinów przeciw nam. Agenci pruscy dobrze odgrywają swą rolę.

Ciężko westchnąłem.

Gdzież się podziały nasze dawne serdeczne stosunki z Litwą? Pamięć Unji, wspólnych bojów, cierpienie i radości? Czy Litwa naprawdę wierzy w szczerość chytrej polityki Bethmana-Hollwega?

Mimo wszystko zostanie w nas dla Litwy sentyment, serdeczne uczucie dorzucił Buczma.

— I u nas w życiu polskim Niemcy rządzą jak chcą, zauważył Duch. A cóż na to wszystko nasza Rada Regencyjna? Wykonuje tylko posłusznie rozkazy z Berlina, zamiast zdobyć się na energiczny protest, echo którego rozniosłoby się po świecie.

Po chwili mówił dalej Buczma: Niech Koalicja zobaczy, że naród polski nie idzie na pasku okupantów. Enuncjacje i adresy hołdownicze Rady Regencyjnej dla Berlina i Wiednia wywołują u nas, żołnierzy rumieniec wstydu. Historia to osądzi. Niemcy psiakrew zwyciężają, a u nas wewnątrz zamiast zbiorowego protestu, buntu — rozdarcie i kalectwo własnej godności, do cholery ciężiej, klęliśmy wszyscy.

*

* *

Obecnie dowodzę drugą kompanją ciężkich karabinów maszynowych. W obsadzie mam czterech oficerów Polaków, t. j. ppor. Izdebskiego, ppor. Serafiniuka, chorążego Rejmana i starszego sierżanta Bittnera. Kompanja zajęła odcinek przy moście kolejowym vis-à-vis Mussile.

Życie nasze płynie pozornie bez zmian.

A jednak ileż w niem nowości. Treścią — wstrząsające wiadomości polityczne, zwłaszcza udział Stanów Zjednoczonych w wojnie, klęski wojsk rosyjskich, zdobycie przez Niemców Rygi, rewolucja w Rosji, krwawe walki na Zachodzie — o tem wszystkim dowiadujemy się z gazet, które masami sprowadzamy.

Zawarcie z bolszewikami traktatu w Brześciu, oddanie Chełmszczyzny jest iskrą, która ostatecznie nawet zatwardziały germanofilów sceptycznie nastroiła w stosunku do wyzwolenńczych poczynąń Mocarstw Centralnych.

Od ojca otrzymuję list doręczony mi przez urlopnika, że 18-go lutego projektuje się w Galicji strejk generalny, że w tym dniu staną wszystkie fabryki, warsztaty, szkoły, urzędy, nawet koleje. Zamknięte będą sklepy, kina, restauracje; że w tym dniu w demonstracyjnym pochodzie we wszystkich miastach polskich wyruszą z protestem wszyscy pozostali w kraju: kobiety, starcy, dzieci.

Więc o tem żywo rozprawiamy i nastrój wśród nas podniecony.

Wczoraj w wykonaniu akcji irredenckiej ppor. Izdebski z miotacza granatów wystrzelił prózną łuskę, a w niej zamiast oddaną przez dowództwo pułku odezwę do Włochów zamieścił pismo z pozdrowieniem dla armji włoskiej z zaznaczeniem, by do płynących pojedynczo przez Piawę żołnierzy nie strzelali, gdyż to są dezterterzy-sprzymierzeńcy. Poza tem zamieszczony był tam szkic stanowisk dwunastej dywizji, wskazujący w szczególności miejsca wyższych dowództw i składów amunicji. Do łuski przytwierdzony został długi, kilkometrowy skrawek płótna, gdyż łuska zapadała się wgłąb bagnistej ziemi i jedynie płótno zdradzało miejsce, gdzie rura spadła. Patrzyłem dłuższy czas, jak Włosi zareagują na to, ale przez kilka godzin nikt z za wału włoskiego się nie wychylił. Nazajutrz jednak płótno znikło. Operacje te powtórzone zostały przeze mnie w ciągu następnych dni kilkakrotnie. W międzyczasie nawiązujemy kontakt z 3-cim pułkiem w większości z Czechów się składającym. Łącznikiem jest por. Tyrowicz. Od niego wiemy, że Czesi porozumieli się z Bośniakami.

Jednego dnia, gdy na odwrocie odezwy austriackiej, po przekreśleniu tejże czerwonym ołówkiem, w swoim schronie rysowałem w towarzystwie Izdebskiego szkic z nagłówkiem na czele „Sojusznikom Polski, Włochom do wiadomości“, drzwi schronu cicho się otwarły, a przede mną stanął kapitan Engelman. Czulem, że krew zbiegła mi z twarzy. Forma odezwy była bowiem znana i nie było wytłumaczenia, dla jakich celów szkicuję tam sytuację. Engelman badawczo spojrzał na stolik. Porwałem papier i drąc na strzępy, zacząłem pleść trzy po trzy o potrzebie uczynienia napadu na Włochów. Engelman patrzył na mnie podejrzliwie i nic nie mówił. Oczywiście rozumiał sytuację, ale i uświadamiał sobie, że gdyby zdradził się z najmniejszymi w stosunku do nas podejrzeniami, nie pozostawało nam nic innego, jak wyciągnąć brauning i strzelić mu w łeb. Ppor. Izdebski usiłował go zagadnąć na temat pogody, ale Engelman na to nie odpowiadał, tylko rzucał

niespokojnie oczyma po wnętrzu schronu, trzymając rękę na torebce z rewolwerem. Niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że w momencie, gdy ujawni się w pułku choćby jeden zdrajca, w pułku mającym 70 proc. oficerów-Polaków, że ciż oficerowie, nie mówiąc o podoficerach i żołnierzach, nie pozwolą i nie dopuszczą, by tak sobie zwyczajnie z kimkolwiek z naszych w krótkiej drodze się załatwiono. Na tyle był przezornym politykiem, że milczać wyszedł.

— Aleśmy sobie nawarzyli piwa — zwrócił się do mnie Izdebski.

Izdebski był zdania, że w dowództwie pułku albo się niczego nie domyślają, albo też uświadomieni przez zdrajców, po prostu nie mają sił na otwartą grę.

Tegoż wieczora przepłynął na drugą stronę legjonista Brzoza. Popłynął w dwóch skrzyniach prowiantowych, które dowożono zupełną do linii. Skrzynki te związane były rzemieniem, za wiośło posłużyła łopatka połowa. Co się z nim stało, niewiadomo. Zniknął w ciemnościach nocy, może i dopłynął, a może trafiony jedną z tysięcy kul popłynął w dół rzeki.

Zauważyliśmy jednak, że oficerowie — Niemcy depeczą nam po piętach, że są zawsze i wszędzie, gdzie bodaj dwóch Polaków się zebrało.

Nastroje wśród żołnierzy fatalne. Przedłużający się pobyt w okopach, a nadewszystko skąpe i liche racje żywnościowe są najlepszym propagatorem antyaustriackim. Od kilku dni, jako pożywienie otrzymują żołnierze zaledwie po pół konserwy mięsnej i ćwierć kilograma chleba z kukurydzy. Na śniadanie i kolację szalkę gorzkiej lury, zwanej kawą. Najlepiej stosunkowo działa się moim maszynistom. Po drodze bowiem na furgony naszego taboru kazałem załadować napotkane w opuszczonych domostwach kukurydzę w ziarnie i pszenicę, co teraz mój podoficer prowiantowy sprytnie wymieniał na mąkę w młynach etapowych. Niemniej jednak ludzie cierpieli głód, dość powiedzieć, że i oficerowie chodzili stale głodni.

Jednego wieczora, gdy z ppor. Izdebskim i Rejmanem siedzieliśmy w schronie, zapukał ktoś energicznie do drzwi i nim odpowiedzieliśmy, do wnętrza wszedł, a raczej wtoczył się we własnej osobie ppor. Karp, autentyczny „Rejent”. Padliśmy sobie w ramiona.

— Mundek!

— Staszek! Edek!

Powitaniom niema końca, klepiemy się po ramionach i w ferworze rozmowy zapomnieliśmy nawet o prymitywnej gościnności. Więc dopiero „Rejent” przypomniał ją nam okrzykiem:

— Rumu, drogie przyjaciół!

Nie było rumu pod rękę, więc częstuję miłego gościa treberem, zaprawionym jałowcem. Nalałem pół szklanki herbacianej.

— Mało! woła „Rejent”.

Dolałem po pasek.

— Mało!

Więc dopiero po brzegi wypełnioną szklankę wzniosł w górę z okrzykiem: „Eviva Italia, viv’e l’Entente! — na pohybel germańcom i awstryjcom!” Poczem zatkawszy nos, wypił wódkę. Napełniłem szklankę po raz drugi po brzeg i podałem gościowi. Chyba nie da rady. Ale, gdzie tam, „Rejent” ze słowami: „Nasz praszczur Noe świętym był i wino spijał dzbanem” — przechylił szklankę i tylko w schronie słysząc gulgotanie trebera. Obtarł usta, zakąsił czekoladą i usiadłszy na posłaniu, opowiadał nam, że przybył z marszową kompanją i został odkomenderowany przez dowództwo dla zorientowania się w terenie i w warunkach walki.

— A co w kraju słyszać? — dopytujemy się z ciekawością.

— W kraju? Mizerja. Chleba niema, płótna niema, skóry niema, tytoniu ani piwa uczciwego, wogóle bryndza.

— No, a co jest? — zapytał przybyły przed chwilą Giza.

— Owszem, jest tyfus plamisty i brzuszny, czerwonka, nowa choroba „hiszpanka”, — pozatem gruźlica, odra, błonica, syfilis, cholera, recytował „Rejent” obfity słownik lekarski. Wiecie o tem dobrze, ciągnął dalej, że Ukraińska Rada Ludowa, w dniu 4-go lutego podpisała oddzielny pokój z Mocarstwami Centralnemi. Na mocy tego pokoju Niemcy wykroili z naszych ziem Chełmszczyznę i Podlasie i włączyli je dranie do tego ukraińskiego nowotworu. Bolszewicy, trzeba im to przyznać, traktatu tego nie podpisali. Co najlepsze — wyjechali z Brześcia, a gen. Hoffmanowi, kiedy pięścią zaczął walić w stół, oświadczyli, że wojny nie chcą, ale pokoju na takich warunkach nie podpiszą, no i że mają go w d...

— Oto podzięka Austrii za Legjony — przerwał „Rejentowi” Kosiba. — Tak! tak! żywo potakiwali wszyscy.

— Na pocieszenie to wam powiem, zaczął znów „Rejent”, że jednak sumienie budzi się w kraju. Nawet Rada Regencyjna zgłosiła protest. Do dymisji podali się gen. Szeptycki, Głabiński odeśłał order, protesty zgłosili ministrowie Biliński, Madeyski, eksc. Korytowski. We Lwowie zburzyli konsulat niemiecki i re-

dakcje pism germanofilskich. A te dranie z Berlina nie kończą na tem. Obiecali Ukrainie Galicję Wschodnią. Świetnie na to zareagowała II Żelazna Brygada. Pod wodzą Hallera przebili się legjoniści pod Rarańczą, aby się połączyć z armją polską gen. Dowbora-Muśnickiego.

Wobec tych wieści pojaśniały nam oblicza.

— A w kraju, proszę was, tyle wam powiem, że uświadomienie narodowe, jak nigdy.

Wódka zrobiła swoje. „Rejent“ dostał kurażu i mimo naszych protestów wylażł na wał, gdzie nieświadom niebezpieczeństwa, pokrzykuje w stronę Włochów. Ale Włosi jego okrzyki „Niech żyje Italia“ nie bardzo rozumieli. Posypały się strzały, zresztą czujni Niemcy zwrócili już uwagę, to też z pomocą sierżanta Bittnera siłą ściągnąłem wojowniczego „Rejenta“ z wału i wtaszczyłem na łóżko.

*
* *

Tempo bojowe tymczasem zwiększa się z dnia na dzień. Codziennie lecą eskadry aeroplanów to z tej, to z tamtej strony. Od czasu do czasu spuszczaają bomby, ale to nie celowe. Za nisko bowiem nie mogą lecieć, bo zestrzeli ich pierwszy lepszy karabin, zaś, gdy biją z wysoka, bomby spadają bądź na rzekę, bądź na tyły.

Doręczono nam tajny rozkaz. O dziewiątej wieczorem eskadra pruskich aeroplanów będzie lecieć w kierunku na Gemonę, gdzie mają bombardować węzeł kolejowy. Dla orientacji mamy wskazać im drogę zielonemi rakietami. Akurat! Jeszcze przed ich przylotem zrobiliśmy taką kurniawę ogniową, że Włosi nieorjentowani w przewidywaniu napadu puścili w ruch reflektory, o co nam chodziło. Kilka minut po dziewiątej posłyszeliśmy w powietrzu warkot. Snop światła reflektora włoskiego wykrył szybko na tle niebios posuwające się, jak robaczki punkty. Czy i jak przelecieli — nie wiemy. Korzystając z zamieszania, plutonowy Popiołek posłał w górę całą taśmę naboii.

Nazajutrz poszybowało wgląd północnej Lombardji kilka Capronich. Za dnia zaś lotnicy włoscy zrzucili na nas kilkaset paczek, zawierających banknoty austriackie. Były to fałszywe pieniądze. Zemścili się Włosi, gdyż podobno i Austrija chcąc w okupowanej ziemi zdeprecjonować włoskiego lira, zarzuciła ludność fałszywemi pieniędzmi. Te metody walki uważaliśmy jednak za sprzeczne z elementarną etyką i dlatego na tajnym

naszym konwentyklu uchwaliliśmy te czy inne fałszywe pieniądze niszczyć.

Dzienniki donoszą o dramatycznym przedarciu się legjonistów pod Rarańczą. Tylko piechocie i części kawalerji udało się przejść. Artylerja, tabory zostały zatrzymane przez zaalarmowane wojska austriackie. Niestety!

*
* *
*

Nasze dowództwa opiekują się teraz nami nazbyt gorliwie. Nowy dowódca pułku, pułk. Richter każe zdawać szczegółowe sprawozdanie co do stanu moralnego żołnierzy. On sam uciekł z niewoli bolszewickiej i stąd wierzy wszędzie knowania i rewolucję. Ma rację. Zdajemy też raporty, że nastrój „do bani“, że żołnierze tęsknią do jednej rzeczy, t. j. do końca wojny, że są głodni, obdarci, niewyspani. Oczywiście raporty nasze uważane są za tendencyjne, niemniej jednak jakoś nas zostawiają w spokoju. Ostatnio był na inspekcji gen. Reindl, starszy, opanowany, sympatyczny zresztą brygadjer. Wraz z nim cała świta. Włosi jakby umówieni, w czasie inspekcji zaczęli kropić tak rzęsiście, że wszystko zwiało do schronów. Mielśmy sto pociech, gdy z powały za poszczególnymi strzałami sypał się gruz. Panom sztabowcom nie bardzo były w smak nasze buńczuczne miny. Siedzieli cicho, jak trusie, tuląc głowy w ramiona, za każdym hukiem. Nam też nie wesoło, ale to jest swoista psychoza żołnierza, że w towarzystwie przełożonych zawsze się czuje jakoś pewniej, bezpiecniej. Gdy ogień zelżał, zmykali też do tyłu, że się jeno kurzyło.

Do schronu wszedł ppor. Wójtowicz. Siedzi w oddziale technicznym przy dowództwie pułku, stąd ma pewne wieści. Opowiada, że w Céggi z rozkazu dowództwa korpusu wszystkie kobiety miejscowe poddane zostały badaniu lekarskiemu. Podobno bowiem kręci się pełno zarażonych wenerycznie prostytuttek. Kilkadziesiąt Włoszek stało w dwójkach przed izbą chorych. Zasłaniały oczy i popłakiwały. Musiały jednak poddać się oględzinom. Jedna z nich odważniejsza, aptekarzowa z dwiema córkami weszła do ambulatorjum i gdy chciano je rozdzielić, stanęła z dumnie podniesioną głową i obecnym lekarzom i sanitariuszom rzuciła w twarz:

— Za nic na świecie nie pozwolę, a gdy się który odważy nas ruszyć, zabije was i siebie.

Poskutkowało to, bo zostawili je w spokoju.

— Przykre to, ciągnął opowiadanie Wójtowicz, że sanitariuszami byli oficerowie nic z sanitariatem nie mający wspólnego. Na szczęście Polaka nie było wśród nich.

Mówił nam także Wójtowicz, że dowódca taboru pułkowego por. Typrowicz i oficer prowiantowy por. Kornaus rewoltują tyły, że ludzie mają w garści, i jak co, to cholera weźmie sztab. Ceniłszy Wójtowicza za jego prawy charakter, więc niewiele myśląc wyciągnąłem manierkę z rumem, schowaną pod materacem na czarną godzinę. Zaledwieśmy się trącili szklankami, gdy do schronu wpadł lekarz bataljonowy, tyrolczyk, doktor Schmach. Przywitał nas, przysiadł na tapczanie i... słuchał. Porozumieliśmy się wzrokiem, wiemy, że na przeszpiegi przyszedł. By coś zagaść doktor Schmach dopytywał się, co u nas słychać, czy u nas też Włosi borują tunel? — Ha! to nam nie nowina. Od wielu tygodni to słyszymy. Pokładliśmy się z głupia frant na ziemi, przystawiając ucho. Istotnie pod ziemią słychać wyraźnie miarowe w sekundach powtarzane puk, puk, puk...

— Ki djabli, psiakrew! — klął Serafiniuk. — Ani człowiek nie wie, kiedy i jak wyleci.

— Głupstwo wszystko—przerwał Kielbasa, radzę tylko uczyć się pływać, bo jak przerwą wał, to nas rekiny w Adrjatyku zeżrą.

— Gadu, gadu, a tu rumianek stygnie, zauważył w porę „Regent“, poczem podniósł szklankę, siulim!—alejkum!—odkrzyknęliśmy. Naraz ziemianka zatrzęsła się. Ho! zaczyna się wieczorny koncert. Doktor Schmach zerwał się z legowiska i pobiegł do swojej kwatery. Rozeszliśmy się i my. Pozycje nasze były w ogniu na całym odcinku. Włosi okładali nas minami. Zmierzch był, więc min nie widać ani nie słychać, zato przy wybuchu piekielny łoskot. Wyciągnąłem pistolet rakietowy z założonym nabojem, nacisnąłem cyngiel... ffft! — wyskoczyła rakietą w górę, oblewając błękitnem światłem pole.

— To my do nich z sercem, jak do braci, a te makaroniarze nas chcą całkiem zgubić, żalił się Giza. Zaraz im dam znać, że moje pukawki nie najgorsze.

W dwie minuty potem grzmiały nasze strzelnice. Pierwszy raz poczułem zadowolenie. Bo jednak wiedzą przecież o naszej tu akcji, a mimo to strzelają do nas. Kazałem otworzyć ogień ze wszystkich karabinów maszynowych. Odezwały się też nasze miotacze granatów. Pomogło to, bo Włosi zaprzestali strzelaniny.

Niestety, trudno inaczej nawiązać kontakt.

Rozdział XXXI.

Czas leci szybko, już koniec lutego. W powietrzu wiośniany podmuch. Akcja zwiększona, ale ogranicza się głównie do obserwacji i wywiadów. Czynią to balony na uwięzi i aeroplany. Jest ich masa z tej i z tamtej strony. Ciągają się długim sznurem wzdłuż frontu. Od rana do zmierzchu obserwatorzy celują na siebie dalekowsiedząco.

W powietrzu wisi kilkadziesiąt balonów; w równych odstępach sterczą, jakby na ćwiczeniach. Obstawieni są artylerją przeciwlotniczą i karabinami maszynowymi. Mimo to dzisiaj lotnik włoski zapalił specjalnymi kulami powłokę balonu austriackiego. Byliśmy akurat w dowództwie brygady. Widok był bardzo przykry. Płomienie stopniowo ogarniały balon; wyskoczył z niego obserwator ze spadochronem. Zrazu spadochron normalnie się rozwijał — już życie uratowane, spadochron zwolna spada, jeszcze dwieście metrów do ziemi, sto pięćdziesiąt, już ocalony; naraz cała masa ognia płonącego balonu z gondolą i sznurami spada ku ziemi, porywa ze sobą spadochron, który w kłębowisku pali się jak bibuła. Zniknął w tem wszystkim lotnik, jak zapalka.

Wszystko to runęło na ziemię, z której wzbila się tylko chmura dymu, popiołu... Biegniemy tam. Dostęp trudny, żar bije na kilkanaście metrów. Po kilku minutach wyciągamy.. zwęglone trzy postacie.

Obrazek ten nie jest nowością po obu stronach, Aeroplany uprawiają harce w powietrzu, jakby to było na popisie. Robią beczki, to znów niby korkociągi, wogóle trzeba przyznać latają pierwszorzędnie. Gdy między nimi znaczniejsza odległość, wali artylerją przeciwlotniczą i nieboskłon pełen małych dymków. Terkoczą też przeciwlotnicze karabiny. Gdy jednak najeżdżają

blisko siebie — milknie artylerja i piechota. Odbywa się wtedy swoisty pojedynek. Objeżdżają się przeciwnicy bokiem, to z góry, to z dołu, z warkotu motorów dolatuje czasem miarowe ti, ti, ti... grają ich maszynki. My patrzymy z zadartymi głowami. Kto? — Kogo? Czynimy zakłady. Na czarno-żółto plamki stawiają austrofile, na czerwono-biało-zielone zwolennicy Koalicji. Czarno-żółte płatowce lekkie, zwinne. Ti, ti, ti... z obu stron walą do siebie. Caproni stanął; nie, spada...

— Hurra! — krzyczą austrofile.

Nasze miny zasmucone. Ale w połowie drogi rrr.. działa motor Caproniego.

— Hurra Entente! Eviva Italia!

Caproni wdzięcznie wyfruwa bokiem. Rrrr!... już na wysokości Austrjaka.

— A teraz Austrjak wziął d... w garść i wieje — krzyczy rozradowany Izdebski.

Istotnie odbywa się pościg wśród trzasku karabinów i warkotu motorów. Caproniego osacza stado motyli-dymków coraz napastliwiej, coraz bliżej. Ale Caproni wspina się w górę i w błękitach znika. Austrjacki lotnik zawrócił teraz ku Włochom. Uparta jucha.

Nie zawsze tak się kończy. Często spada samolot całkiem, jak ptak zestrzelony, tyle, że leci wirażem.

Lotnicy pracują przy pięknej pogodzie. My stale.

Najgorzej z nawiązaniem kontaktu z Włochami. Niepodobna się z nimi porozumieć. Zresztą wśród nas tylu Niemców, że trudno mówić o bardziej konkretnych działaniach. W dodatku jesteśmy szpiegowani.

Bergman, który ze swą kompanją techniczną siedzi przy dowództwie pułku informuje nas, że w związku z sytuacją w kraju wysłana została deputacja urlopników do wybitniejszych postów, jak Witos, Daszyński, Głębiński celem uzgodnienia naszej działalności z poczynaniami sfer politycznych. Dowództwo pułku informowane widocznie o nastrojach wśród nas, bo coraz więcej instrukcyj, żądań co do sprawozdań o stanie moralnym żołnierza, gotowości bojowej i t. p.

*

* *

Zatracamy rachubę czasu. Ustawiczne detonacje, ryki, świsty, jęki; na takim, a takim odcinku „volltreffer“ wyrznął w ziemiankę i zabił trzech, poranił pięciu — to stałe wydarzenia...

Przeciętny bilans tygodniowy w mojej kompanji — 3 do 5-ciu zabitych, do dziesięciu rannych. Ale luki są ciągle zapełnione rezerwą, która płynie stałym dopływem z kadry. Marszowe kompanje nadchodzą bez końca. Przybysze wsiakają cicho w otchłań. Zresztą nawet groza wojny zatraciła swą siłę. Uważamy ją za konieczność, Ananke. Tak być musi, że rodzi się człowiek, żyje, rozkwita, by jak kwiat być ściętym przez nawałnicę. — Inna rzecz, — rozumujemy w ziemiance, nasłuchując czyja i jakiego kalibru bije artylerja, — że nie wszystkim w udziale przypadło być w stadzie bydła rzeźnego.

Właśnie nam por. Buczma opowiada:

— Wracając z urlopu, wdepnąłem do sztabu armji gen. Bereowicza. Akurat był obiad. Pi! Pi! ani wiecie, co jadłem! Pieczarki, zupa rakowa, kurczęta z sałatą, krem, banany, stareczka Baczewskiego, wermutu kieliszek, no a zwykłego waszego, czerwonego sikonia — nawet ordynansy nie chcą.

Patrzeli wszyscy z podziwem na mówcę, jeno jaki taki zuchwią poruszał, smętnie patrząc w sufit. Milczenie przerwał ppor. Durlak:

— Och! żeby tak przed śmiercią najeść się, nawet nie frykasów, ale zdrowo i dużo. Tak metr kielbasy krajanej, kotlet wieprzowy z kapustą i...

— Z dziesięć bomb piwa — zakończył z westchnieniem „Rejent“.

Buczma ciągnął dalej:

— Ale głupstwo sztab armji. Tam siedzą same benjaminki wiedeńskie, ale w taborze dywizyjnym mają, czego dusza zapragnie. Biały, pszenney chleb, nawet befsztyki już tym koniokrądom obrzydły. Zrazy nelsonskie żre taki pucybut paluchami — opowiadał Buczma.

Ta gastronomiczna dysputa podnieciła gruczoły smakowe, grdyki chodziły wszystkim. Istotnie. Chleb kukurydziany, sznyce le siekane i ciastko bez smaku, to codzienne menu.

— Tyle, że nam rumu nie żalują — dorzucił Wantuch.

— I ten fałszują prowiantowcy — odezwał się milczący dotąd, choć zwykle gadatliwy chorąży Rejman.

— No, to niema co... — krzyknął na mojego ordynansa Grądałskiego por. Giza — hulaj do panów i pozabieraj każdemu rum i puszkę konserw.

Po kilku minutach podgrzewaliśmy konserwy. W ziemiance rozeszła się miła woń gulaszu, na stoliku ustawił Grądałski szklan-

ki. Napelniliśmy je czerwonym winem; zdrow bracie — śrum! — Naraz ziemianką okrutnie coś wstrząsnęło.

— Ho! Ho! psiakrew! — wyjrzyjno Grądalski, czy tam jeszcze zostało co z dachu.

Okazało się, że to austriacka artylerja strzela.

— Zatrącone dusze, pataluchy kanonierskie — kniemy wszyscy — za krótko wzięli.

Wino robi swoje. Gulasz, jak gulasz, nie wiemy z czego. Niektórzy twierdzą, że z psów. Są i tacy, a nawet się zaklinają, iż napewno Niemcy z kości zabitych tłuszcz wytapiają.

— Psina, czy kocina wszystko jedno, głodny żołądek i szkło nawet strawi — kończy dyskusję ppor. Serafiniuk.

*

* *

Na pryzkach, na stołach, gdzie kto mógł, pousiadali wszyscy. Jest nas, jak ułał dwunastu; w tem trzech legjonistów. Referentem dzisiaj Buczma. Tematem Traktat Brzeski i sytuacja w kraju. Buczma wywodzi, że sprawa polska w zaborze pruskim ma dobrych obrońców. Wojciech Korfanty, poseł Trąpczyński; ks. Stychel i inni mocno podkreślają w pruskim sejmie polskość zaboru pruskiego i jego naturalne ciążenie do zjednoczenia się z resztą ziem polskich.

W Wersalu na skutek zabiegów Komitetu Narodowego Koalicja wydała Deklarację, iż jednym z warunków trwałego, sprawiedliwego pokoju jest zjednoczona Polska.

A Koło Polskie w Wiedniu, jakby na pośmiewisko wybija pokłony i bez końca uchwała prowizorja budżetowe.

— Hańba! — powtórzyli wszyscy.

— Hańba im! — rzucił zapalczywie „Rejent“.

Po referacie ważymy wielką rzecz, więc powaga i zatroskane oblicza. Czy się uda? Mamy jednak jutro przejść na drugą stronę do Włochów. Dobrodzicki nawiązał kontakt z sąsiadami z 56-go i 57-go pułku piechoty. Bergman porozumiał się z artylerją. Typrowicz przygotował tabory i sztaby. Drajerzy — sąsiedzi czescy też w porozumieniu. Bieda tylko, że nie wiemy, co na to Włosi. Posłaliśmy im mnóstwo meldunków, ale jak się ustosunkują? W dezorjentacji gotowi powitać nas ogniem, wtedy im odpowiemy, no i...

— Psiakrew, głowi się Dobrodzicki, — ustroją nami Austriacy kasztany na szosie do Ceggii.

Radzimy pod wrażeniem, że jutro w Galicji rewolucja z powodu Traktatu Brzeskiego z Bolszewikami. Więc i my jutro, jutro wieczorem. Czujemy, że stoimy wobec wielkiej chwili. Dobrodzicki, widząc nasze markotne oblicza, pociesza:

— Nie martwcież się, skurczybyki. Pojutrze w paradzie z własną białą-czerwoną chorągwią wmaszerujemy do Rzymu. Taljańcy krzyczą: *eviva Polonia!* muzyka rżnie, Włoszki rzucają się nam objęcia... bal, jubel.

W tej chwili nadszedł legionista, sierżant Baran z wieścią, że na schronach i palach pojawiły się wielkie napisy w polskim języku: „Precz z Austrią, precz z Niemcami, niech żyje Polska! niech żyje Italja! wiwat Entente!”

— Psiakrew! — kłniemy zgodnie; — wyda się wszystko i na nic sprawa. Odwrotu potem dla nas niema. Niedawno garnirowali w sąsiedztwie Czechami aleję. Bodaj was djabli! — narzekamy.

— Zrywać napisy! — rozkazuje Dobrodzicki.

Wypadliśmy na dwór. Istotnie na schronach, słupach, strzelnicach wiszą białe karty z napisami: „Precz z Austrią, hańba Germanom, niech żyje Koalicja!”. Nadszedł akurat kapitan Engelman.

— Więc jawny bunt, proszę, proszę — mówił drwiąco, ale przedtem potańcujemy, poczem zerwał najbliższą odezwę i na strzępy podarł. — *Verfluchte Pollacken!* — kłął.

— Ostrożnie, ostrożnie, panie kapitanie z *verfluchtowaniem* — ostro rzucił Buczmą, poczem sam zdarł najbliższy napis. — Jeżeli tak jest, to coś nas Polaków, obchodzi niemiecki sukces; ludzie z głodu zdychają, psia służba, śmierć, w najlepszym razie kalectwo, więc co ich wiąże z wami — mruczał pod nosem jednak tak, że Engelman słyszał, bo rzucił:

— To wy, rezerwa i ta hołota legionowa...

Przystanąłem za Buczmą, mierząc go wzrokiem i... nagle błysnęła mi myśl — pod gardziel i udusić, a potem ogólny bunt. Tsz... sz... sz... brms! Niedaleko, jakie trzydzieści kroków od nas wybuchnął granat. Odskokczyliśmy od siebie.

*

* *

Wieczorem w schronie zebrali się oficerowie mojej kompanji; zaterczał skrzekotliwie brzęczyk telefonu.

— Hallo! — kto mówi?

— Dowództwo bataljonu, adjutant Bieniawski.

— Co jest?

— Luzunek!

— Jak, co?!

— Natychmiast, rozkaz pułku. Drugi baon do Fossy, w nasze miejsce bataljon siódmego pułku styryjskiego, w rezerwie honwedzi.

Położyłem bezradnie słuchawkę.

— Zdrada, moi panowie, wycofują nas z linii. Jesteśmy osaczeni; kwestja, czy wiedzą coś pozytywnego, czy też tylko się domyślają.

— To sprawka tych panów-tyłowców — rzucił przybyły właśnie legionista Grzybowski, — to tylko cenzory pocztowe w pułku.

— Co będzie, to będzie, tymczasem napijmy się rumu — rzucił ppor. Durlak. Postawią pod mur, ani nie pocujemy kiedy, co i jak.

Izdebski obruszył się:

— Ginać, jak Czesi na szubienicy bez protestu to wstyd!

— Więc?

— Rozpocząć akcję i jazda na drugą stronę.

— Ależ, człowiecze! monitował Izdebskiego por. Duch. — Przejsć bez uzgodnienia się to znaczy wpaść w ogień włoski i austriacki.

— Więc co?! Czekać na sąd polowy?!

— Moi kochani — zacząłem uspokajać. — Nie tak to łatwe i proste rozstrzeliwać za bunt, gdy cała dywizja podminowana.

Do schronu wpadł podoficer dyżurny, meldując przybycie trzech oficerów. Byli to wysłańcy, mającego nas zluźnić bataljonu, sami Niemcy. Po ich minach i sztywnem zachowaniu się widać, że są wtajemniczeni w sytuację.

Rozdział XXXII.

— Na kwaterze... phi... Etablierung, proszę bardzo — mruczał pod koldrą zasypiając por. Giza.

Leżący obok ppor. Kielbasa chrapie. Mało go w tej chwili wzrusza, co myślą w dowództwie. Grunt, że tu, sześć kilometrów za frontem na linii stanowisk ciężkich haubic jest się bezpiecznym, a co jutro będzie?... W każdym razie zapowiedział, że swojego Steyera puści w ruch; niech ma tę satysfakcję, że na coś się przyda.

Cały pułk został rozrzucony; i tak por. Bergmana z jego kompanją techniczną wysłano pod Udine rzekomo dla budowy drogi. Porucznika Ducha z drugą k. k. m. wysłano do strzeżenia balonu na uwięzi, por. Urygę z jego kompanją do strzeżenia lotniska. Niemal wszystkie przez oficerów-Polaków obsadzone oddziały rozrzucono w obrębie korpusu. Nasz bataljon, jako liczebnie największy procent Polaków-oficerów mający, został odseparowany i poddany bardzo ścisłej kontroli.

Nazajutrz, jak przewidywaliśmy, zjawił się pułk. Richter. Po odebraniu raportu adjutant jego, kpt. Kotschy rozkazał ustawić się w półkole oficerom i legionistom. Niema naszego dowódcy, kpt. Siwaka, dostał urlop, zastępuje go kpt. Engelman. Plk. Richter przemawia do nas:

— Zdaję sobie sprawę, po moim pobycie w niewoli bolszewickiej, co to jest przedłużająca się wojna i jej deprimujący stan. Wiem, rozumiem i szanuję wysiłki żołnierza; nerwy słabe z trudem pokonywują ciężkie warunki dzisiejsze, ale niedaleka chwila ostatecznego zwycięstwa Mocarstw Centralnych. Najjaśniejszy Pan nie zapomni wspaniałych zwycięstw Waszych Legionów. W tej zaś chwili, moi panowie, tu zwrócił się do le-

gjonistów, nosicie mundury austriackie i nie polityka jest waszą rzeczą. To nie „Sokół“, ani „Strzelec“ — to jest wojsko. Rozumiano?! Zwycięstwo Austrii jest zwycięstwem waszej idei, dlatego powinniście nie utrudniać, ale nam pomagać.

— Legjoniści, odejść! — rozkazał.

Odetchnąłem. Chwała Bogu, więc tylko domysły. Kolej na nas.

— Zostają oficerowie narodowości polskiej, — rozkazał pułkownik.

— Gorzej, — pomyślałem, mrugając nieznacznie do obok stojącego Gیزی.

— Z panami inna sprawa, zaczął surowo Richter. Wy jesteście oficerami wprawdzie tylko rezerwy, ale niemniej nosicie dystynkcje zawodowych oficerów i czapkę tę samą, co Najjaśniejszy Pan.

— Składaliście przysięgę, bierzecie gażę i jecie cesarski chleb. Ale oficer ma honor. A pytam się, co za honor mają ci, którzy w zanadrzu noszą sztylet, którym brak odwagi cywilnej, by powiedzieć, że za Austrię nie chcą walczyć i złożyć szarżę. Tak robi dżentelmen.

Sluchając go miałem wrażenie, że nas bije po twarzy. Towarzysze moi, zwłaszcza Buczma, Kielbasa, Izdebski, Karp dyszeli ciężko. Ach! co za głupie stanowisko. Więc co?! Wyskoczyć z frontu i rzucić gwiazdki oficerskie pod nogi i dowieść, że się jest dżentelmenem i że się gwizdże na chleb cesarski, i szarżę i honory... a co potem?

Staliśmy na baczność, z oczyma wbitemi w ziemię. Do nas, do nas, których tyle razy nazywano „edle Polen“, mówi teraz w ten sposób i zaprzecza nam honoru; gorzej, bo ma rację. Odwagi cywilnej nam nie brak. Wszak przed wyjazdem swoim na urlop kpt. Siwak w obecności wszystkich swoich oficerów w bataljonie odciął gwiazdki kapitańskie na swoim kołnierzu i rzucił Niemcom pod nogi. — Za waszą zdradę Polski, za traktat Brzeski... pluję na wasze godności. — To mówił zawodowy oficer austriacki, a cóż dopiero my, rezerwa!?

Richter policzkuje nas słowami i o ile z początku mówił spokojnie, choć widoczny był wysiłek, teraz zaczął krzyczeć:

— To jest świństwo, tak robią zdrajcy, opryszki międzynarodowe. Ale ja nie jestem na to, by panów moralizować, ja mam rozkazywać. A mój rozkaz będzie krótki — „aufhängen!“, rozumiano?! — Uniósł się przytem tak, że piana wystąpiła mu na usta. — Powiesić, nie rozstrzelać, tylko powiesić każe — krzyczał.

Umilkł na chwilę, poczem podszedł do stojącego na prawem skrzydle por. Gizy. Kilka sekund wpatrywał się w purpurową jego twarz. Zapanowała śmiertelna cisza.

— A co będzie, jeśli Giza straci panowanie nad sobą. Ale na szczęście Giza wzrok Richtera wytrzymał.

Richter podsunął się do następnego z kolei, t. j. do mnie. Wpatrzyłem się w jego zmarszczone brwi i też swoje zmarszczyłem. Czulem, że przeszywa mnie wzrokiem, że czyta w sumieniu najgorsze myśli. Uświadomiłem sobie, że w tym momencie oznaka najmniejszej słabości pociągnie za sobą katastrofę. Poczul to Richter.

— Pan, panie poruczniku, już od dłuższego czasu mi się nie podoba. Mam o panu informacje, mam dowody... Trzymałem pana na stanowisku dowódcy kompanji karabinów maszynowych z nadzieją, że ambicja i honor nakazą panu być wiernym oficerem; skoro to nie pomaga, potraktuję pana tak, jak mi obowiązek nakazuje.

Mimo wszystko, widziałem, że ze strony Richtera występuje w tej chwili gracz. Więc *va banque*. Z największym też wysiłkiem wzrok wytrzymałem.

Pułkownik przesunął się następnie do por. Buczmy.

— To samo odnosi się do pana. Ale ja nie jestem ślepy i na tyle głupi, aby się od was uzależniać.

Tak kolejno przeszedł, każdemu dogadując. Stał następnie w środku.

— Narazie będziecie panowie pełnić dalej funkcje. Ostrzegam, że naokoło są pułki niemieckie, najmniejszy cień, a postąpię „*rücksichtslos*“ *). Dziękuję.

Zasalutowaliśmy. Pułkownik odszedł, dzwoniąc ostrogami i bijąc szpicrutą w sztylpy.

— No i? — zagadnął mnie Giza.

— Kontumacja w każdym razie... ale gra warta stawki. Na razie życiu naszemu nic nie grozi.

Izdebski i Kielbasa są zdania, że Austriacy są za słabi, by ważyć się na masowe egzekucje. „Rejent“ z zadowoleniem zacie-
1a ręce. Chwała Bogu! Nareszcie gramy w otwarte karty.

Rozeszliśmy się.

O dwieście kroków od naszych kwater zionęła ogniem baterja przeciwlotnicza. Na nieboskłonie widać w długim szeregu ustawione balony; wokoło kręca się samoloty. Toczy się walka

*) bezwzględnie.

lotnicza. Ale nas to już nie interesuje. Poszliśmy do oddziałów. Na dziedzińcu żołnierze czyścili konie, broń i ryszstunek. Kuchnie dymią wesoło. Zwołałem zaufanych podoficerów z sierżantem Bittnerem na czele.

— Chłopcy, czuj duch, wiedzą, co się święci. Teraz pary z gęby nie puścić. Gazety pochować, papiery zniszczyć, może być rewizja i wyspa. Rozumiano?! — zakończyłem ostro, bezwiednie naśladowując Richtera.

— Rozumiemy! odkrzyknęli wesoło.

— No to odejść!

Odeszli, salutując równo. W tym dniu wydano żołnierzom fasunek chleba, papierosów i pełną rację tytoniu.

— Hm! — to znaczy, że z nami się liczą i boją się nas — zaopiniował Klein.

Wieczorem zaś obecny dowódca naszego bataljonu, Engelman zaprosił nas na kolację. Do zaimprovizowanego kasyna poszliśmy gromadnie w pełnym uzbrojeniu. Stawili się i Niemcy zaproszeni przez Engelmana ze sztabu pierwszego baonu i dowództwa pułku. Kwintet smyczkowy powitał nas tuszem. W kącie izby paradował antałek piwa i dwudziestopięciolitrowa beczka wina. Stół zdobiło kilkanaście flach wódki, na półmiskach wieńce kielbasy, jaja na twardo, sery. Już to nie dawne przyjęcia: homary, pstrągi, langusty, szampan, wszystko to było kiedyś.

Pousiadaliśmy w milczeniu. Atmosfera sztucznie koleżeńska. Na dwudziestu czterech oficerów — dwunastu Polaków, czterech Czechów — reszta Niemcy, Węgrzy i jeden żydek por. Grünfeld. Honory domu robi Engelman. Tyrolczycy chcą nam imponować i krają kielbasę nożami myśliwskimi, które stale noszą w pochwach na tylnych kieszeniach spodni. Z dumą nabijali na nie kawały kielbasy, co szczególnie irytowało Gizę. Engelman zadzwonił w szkło — nastąpiła cisza.

— Panowie! Dzisiejszy wieczór koleżeński niech nas, towarzyszy broni, zwiąże węzłem przyjaźni. Nasi sprzymierzeńcy w triumfalnym pochodzie idą w głąb Francji; na łopatki położone Serbja, Belgja, Rosja błagają na klęczkach o litość i choćby sto państw ruszyło przeciw nam — zgnieciemy ich. I nie pomoże Ameryka ani Japonja. Żelazny walec germański wymiecie z Europy zawoszonych Rosjan, czy brudne narody Włochów i Francuzów. I niech nikomu się nie zdaje, że słabniemy, przeciwnie, stajemy się coraz mocniejsi. Na czele armji nad Sommą stanął Naj-

jaśniejszy cesarz Wilhelm, mając druhów tak potężnych, jak Hindenburg, Mackensen, Falkenhayn...

— Tylko austriackich generałów tam niema, — westchnął głośno „Rejent“.

Zdetonowany nieco tym wtrętem Engelman przerwał. Po chwili ciągnął dalej:

— Naszem zadaniem wkroczyć do Rzymu i Cadornę razem z Diazem związanych w klatce zawieźć do Wiednia, powtarzał Engelman oklepany komunał.

— Hm! Hm! — słyhać pomrukiwania.

— Dla kolegów z Galicji zaszczyt przypada niezwykle, gdyż dzięki wam Najjaśniejszy Pan raczył przywrócić Królestwo Polskie w Warszawie.

Zaczęliśmy pokaszliwać i szurać nogami pod stołem.

Engelman badawczo patrzył. — Dlatego też — mówił dalej, idziemy ramię w ramię...

— Viribus unitis! — śrum! wrzasnął niespodziewanie Durlak.

— Śrum! — Alejkum! — zaczęliśmy krzyczeć, nie dając skończyć mówcy.

Uroczysty nastrój i pompa zamierzona wzięły odrazu w łeb. Muzyka zagrała marsza. W izbie zrobił się harmider, krzyczeli wszyscy, śpiewali, ordynansi wnieśli piecyste i chleb z kukurydzy. Z ćwiartówki piwa trysnął strumień piany. Ktoś zanucił czardasza. Dla podtrzymania taktu wyrznęliśmy salwę rewolwerową w powalę. Ponieważ gospodarz-Włoch przybiegł z prośbą, by nie dziurawić dachu, na dany znak strzelaliśmy pod stołem w cementową podłogę. Tej imprezy nie znali Niemcy, to też w obawie o całość nóg dźwigali je w górę, kolana dzierżąc nad stołem. Zato Polacy, doświadczeni w tego rodzaju zabawie, ukrywszy nogi pod krzesłami za każdą salwą pokrzykiwali w takt melodji.

Wyskoczył Giza na środek izby rzucił muzyce dziesięć koron i kazał zagrać arję z operetki „Polska Krew“. Pozazdrościli nam tego Czesi, bo por. Skocił dał również dziesięć koron muzyce i kazał zagrać „Kde domov muj“. Więc i Engelman, widząc słowiańską demonstrację, kazał zagrać „Wacht am Rhein“. Tej prowokacji nie mogliśmy znieść.

— To nie hymn państwa austriackiego—prótestował Izdebski.

Zaczęło się psykanie, krzyki, muzyka zaczęła się rwać. Wtedy Giza rzucił muzyce pięćdziesiąt koron.

— Zbójnickiego! rozkazał.

— Zbójnickiego! wrzasnęło otoczenie.

Z kąta izby, gdzie mieściła się kapela, odezwały się krótkie, urywane dźwięki. Dосkoczył w tańcu i Durlak.

W murowanej piwnicy, tańcowali zbójnicy,
Kazali se piknie grać i na nóżki spojierać!

— U, ha! U, ha! — pokrzykiwali wszyscy. Giza i Durlak tymczasem w przysiadach i holupcach wybijali takty. Ławy, krzesła, stoły piorunem poleciały pod ściany. Z brzękiem rozbiły się stoczone ze stołów szklanki, talerze, flaszki. Tancerze w podskokach na metr, z ręką wzniesioną do góry, w której zamiast góralskiej ciupagi szpicruty dzierżyli, przeskakiwali w środku izby ustawioną ćwiartówkę i zachęcani okrzykami naszymi z nieprawdopodobną zwinnością uganiali dookoła naprzeciw siebie. Z betonowej podłogi kurz wzbijał się ku górze, przysłaniając tańczących. Giza, rosły na metr osiemdziesiąt centymetrów, góral, mimo munduru oficerskiego, tańczył z fantazją i siłą, godną ojców. Czupryny obu tancerzy rozsypały się na skroniach i czole, pot spływał, a oni podniecani przytupywaniem i pokrzykiwaniem widzów, nie tylko nie ustawiali, ale przeciwnie w zapamiętaniu jakimś, wodząc się wzrokiem, jeno śmigali po izbie.

Patrzyli Niemcy ze zdumieniem na ten taniec nieokiełznany, dziki, gdzie nie melodja, jeno pokrzykiwania regulowały tempo. Aż zmęczony Durlak osunął się bez sił. Podnieśliśmy go i posadzili na ławie. Zbladł od wysiłku i emocji, miał jednak ogień w oczach i ciężko dychając, szeptał:

— Że też przed śmiercią se człek użyć może, to mi wystarczy.

Ale oto wysuwa się druga para tancerzy. Porucznik Malik i Kielbasa. Tańczą „drobionego“. Sztuka polega na tem, by nie wyjść z kwadratu czterdziesto-centymetrowego. Stopy muszą być w ciągłym ruchu. Tancerze klaskaniem z tyłu i z przodu naprzemian regulują tempo. Pomaga im kapela, grając węgierskiego czardasza.

Ordynansi na tacach roznoszą szklanki z piwem i winem. Nastrój pijacki rośnie.

— Eljen Lengel! krzyczy madziar-szowinista Betley, znany z tego, że nienawidzi Prusaków.

Więc pijemy jego zdrowie.

— Eljen Magyar! Hurra! Muzyka zaczyna grać naszą pieśń: Boże coś Polskę... nie, to hymn węgierski. Stajemy na baczność i śpiewamy. Węgrzy, wzruszeni w przekonaniu, że śpiewamy ich pieśń w polskim przekładzie całują się z nami i ściskają nam ręce.

Już trzecia godzina. Z ćwiartówki piwa, mimo potrząsań — nie nie wypływało, antałek wina dawno się skończył, puste flaszki leżały po kątach. Nie było co dalej robić. Zaproponowaliśmy z Gizą szeptem Polakom czarną kawę na naszej kwaterze. Miejszkaliliśmy tam w trzech dużych izbach.

W dziesięć minut potem siedzimy u siebie dookoła stołu, wszyscy bez wyjątku Polacy. Przysiadł zresztą, gdzie kto mógł. Ordynansi roznoszą podgrzane konserwy gulaszowe, na zaimprovizowanych kuchniach z piecyków polowych kipi wrzątek do kawy. Grzybowski, że jest sentymentalistą, intonuje: „Zgasły dla nas nadziei promienie...” We drzwiach słychać szuranie, poczem tubalny głos:

— Którejże to ofermie zgasły promienie, do cholery ciężkiej?!

W drzwiach ukazała się dorodna postać barczystego Dobrodzickiego. Jego zjawienie się rozchmurza nasze oblicza.

— Hurra! Niech żyje Wódz! — ryczy wiara i nim gość zdążył się rozejrzeć, już na ramiona został porwany.

Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!...

A gdy „Wódz“ bez wypadku znalazł się na ziemi, zaczął prawić:

— Przedewszystkiem jesteście ofermi i świnię! Pijaństwo urządzają, sami się obżeracie, a żeby też która menda pomyślała, że i Dobrodzicki w pułku, to żaden.

Rumu, psiakrew jedna! — huknął na sprzątającego Grądałskiego.

Ordynans migiem w podstawioną szklankę nalał trebera po brzegi. „Wódz“ szklankę pod światło uniósł.

— Tfy! Zamiast uczciwego jarzębiaka, a bodaj rumu, chcecie mnie treberem raczyć?

„Rejent“ wystąpił naprzeciw, złożył głęboki ukłon i jął prawić:

— Czcigodny Wodzu! Niechże mi wolno będzie wyręczyć szanowną osobę i...

... Ale „Wódz“ nie czekał na koniec „Rejenta“ oracji, lecz rozkraczywszy się jednym łykiem wypił szklankę. Bezradnie partrzył na to „Rejent“, zaś „Wódz“ usiadł na krześle i rozkazał krótko:

— Uwaga! Straże!

Gdy zaś wyszli ordynansi i stwierdzono, że nikt nie podsłuchuje, zaczął mówić:

— Otóż ani wiecie, co za rwetes w pułku, w dywizji, w korpusie. Przekonani są, że bunt jest kwestją godzin. Dlatego też przeprowadzają gruntowną selekcję. Legionistów uważają za emisariuszy irredenty. Mają ich wycofać z dywizji i utworzyć jakiś legionowy obóz koncentracyjny i tam bajać im o szczytnych obowiązkach c. k. żołnierza.

Na schodach drewnianych słysząc skrzypienie. Dobrodzicki przerwał, zaś „Rejent“ zaśpiewał:

O, mój rozmarynie, rozwijaj się...

Ktoś zastukał we drzwi; nim zdążyliśmy odpowiedzieć do izby wtaszczył się Engelman z czeredą Niemców. Witał się niby uprzejmie, ale znać było, że nie wierzy w nasze tylko towarzyskie cele, zaczął jednak od pochwał na temat zżycia się i koleżeństwa Polaków,

— Skoro tak, przemówił Dobrodzicki — to napijmy się.

Engelman usiadł, tymczasem do izby weszła nieproszona muzyka. Nim zdążyliśmy się zorientować, zaczęli rżnąć mazura. Hej, miły Boże! Już wiążą się pary, wyjechał stół do sąsiedniej izby, rozpalony piecyk polowy, żeby nie przeszkadzał tańczącym, Kielbasa gołymi rękami wyrzucił na schody. Na szczęście ordynansi w mig uprzątnęli rozrzucone, żarzące się głownie.

Legjonista Wojakowski, podparłszy się pod boki, zaśpiewał:

Jeszcze jeden mazur dzisiaj
Choć poranek świta,
Czy pozwoli panna Krzysia?
Młody ułan pyta...

... Tańczyli wszyscy coś w rodzaju poloneza, przeginając się z usiłowanym wdziękiem. Że zaś każdy miał dobrze w czubie i ledwie stał na nogach, przeto taniec ktoś przerwał okrzykiem „rumu!“... Ale rumu już brakło.

Wyszedłem na dwór. Świt wstawał. Na tle jeszcze granatowego nieba widać roje ogników czerwonych i słysząc głuche puk, puk, puk. To włoskie szrapnele. Świeże, chłodne powietrze rzeźwiło mnie. Przez kilka godzin w atmosferze pijackich warjantów, zapomniałem, że wojna trwa dalej, że tam... zaledwie sześć kilometrów od nas, towarzysze broni, wszystko jedno jakiej są narodowości, kładą swe życie...

Naraz błysk, brrrrms! Okropny huk, z okien z brzękiem lecą szyby... ach! psiakrew! To móżdziej 30,5 centymetrowy austriacki. Akurat bydlę musieli pod naszą chałupą umieścić.

*
* *
*

Czy im zabrakło „Kahnonenfutter“, czy też Niemiaszkom było za gorąco, dość na tem, że nas znów pakują na linję. Po zluzowaniu pierwszego bataljonu zasnąłem jak kamień w ziemiance. Wkrótce zbudziły mnie huki, trzaski. Zaledwie tydzień byliśmy poza linją, a już zdołałem odwyknąć od tej męczącej rzeczywistości.

Okienko schronu otwarte, wpływa falą ciepłe, miłe powietrze. Ma się pod koniec lutego, a powietrze, jak u nas w maju. Zerwałem się z łóżka i zacząłem spiesźnie ubierać. Toaleta ranna krótka zresztą. Na koszerowanie się niema warunków. Mimo to umyty, wygolony wychodzę ze schronu na słońce. Właśnie niosą zabitego na posterunku Curusia.

— Ani zipnął — melduje mi plutonowy Popiołek. — W porządku z maszynki dostał w serce i tyła...

— I tyła — powtórzyłem jak echo. Po południu na cmentarzu pułkowym powiększy Curuś rząd gliniastych usypisk z białymi krzyżami. A w domu? Rodzina? Żona, dzieci, popłaczą i z czasem zapomną. Przecież to taki codzienny chleb, że dziwią się na tyłach tym, którzy wracają żywi.

Południe rozslonecznione. W czystym, pełnym ozonu powietrzu tylko jakieś szumy i piski, ciągle, nieustannie fiuu-u-u! brrm! to z tej to z tamtej strony. Bez końca i bez początku. Tak od sierpnia 1914 roku.

— Skąd tyle żelaza i prochu? dziwi się sierżant Bittner.

Na linji niekończącym się szeregiem zawisły w powietrzu balony włoskie i austriackie. To niedobrze. Ten wywiad i ciekawość balonowców pachnie ofensywą. Może i do Wenecji czy Rzymu poniesiemy godła Najjaśniejszego Pana, a może wiać będziemy, gdzie pieprz rośnie. Od zachodu leci eskadra.

— To Włosi — rozpoznaje Popiołek.

W dwie minuty przelatują nad nami bardzo nisko. Moje przeciwlotnicze maszyny biją, ale Panu Bogu w okno. Obsada pewna. Ogień musi być markowany. Lotnicy już na odcinku „drajerów“, ale dopiero teraz widać sypiące się w powietrzu kartki. Łapiemy je. To odezwę do nas, Polaków. „Nie strzelajcie do wojsk

Ententy, bo my walczymy i za Waszą wolność. Nie zabijajcie Waszych obrońców. Kierujcie broń Waszą przeciw ciemieżcom germańskim — głoszą odezwy. Trzymam kartkę w ręce. Duch się złości:

— To łatwo powiedzieć, ale jak my to mamy wykonać? Niechżeby te „Taljańce“ zrobiły ofensywę, jak się patrzy, niechby nas zagarnęły i koniec. Ale stąd kula, stamtąd stryczek! — A wreszcie i tam gdzieś na dnie sumienia jakiś niepokój, honor żołnierski... Psiakrew! Czesi przynajmniej mają jednego wroga, a my trzech. Z którym, przeciw któremu walczyć?!...

Od strony dowództwa posuwa się wzdłuż alei w winnicy jednoroczny kapral Szarecki. Idzie w przysiadach, bo polówki włoskie „macają“ tę strefę. Wygląda śmiesznie z tem kucaniem, galop dwadzieścia kroków, bęc na ziemię i znów, jak zając. Śmiejemy się też z tego głośno.

— Papryki mu dać, to prędzej dojedzie — krzyczą weselsi.

Wreszcie Szarecki, błądy nieco z emocji, melduje się; ma rozkazy z pułku. Zwraca się jeszcze raz do mnie i w służbowej postawie melduje, że... Piłsudski umarł!

— To niemożliwe!! To chyba Niemcy otruli go w Magdeburgu, — komentujemy. Ta wieść migiem obleciała okopy.

Zdajemy sobie sprawę, że właściwie poza nim niema widomego symbolu polskiej siły zbrojnej. Jego śmierć wytworzy niezastąpioną lukę. Z tej okazji po południu zebranie. Musimy mieć realnego człowieka, wodza. Proponowany Haller przepadł przy naszych wyborach, przeszedł natomiast Dowbor-Muśnicki. Ma on, jak twierdzi „Krakowski Kurjer“ trzysta tysięcy bagnatów polskich i bije bolszewików, posuwając się ku granicom Polski, by z kolei i Niemców przegnać do „Vaterlandu“. Zebranie kończymy uroczystą przysięgą, że gdziekolwiek napotkamy choćby najmniejszy oddziałek polski, gwoili jedności narodowej i dyscypliny podporządkujemy swoje osoby.

Tegoż wieczora nagłym rozkazem wszyscy legjoniści zostali wycofani z linii. Mają odejść do obozu koncentracyjnego w Udine. Będą tam w nich wpajać zasady dobrego żołnierza i miłości dla Cesarza i Państwa?! Żegnamy ich z wielkim żalem. Na pręde zrobiona kolacja: befsztyki, treber i nieco wina. Przy pożegnaniu śpiewamy: — „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“... Wojakowski apeluje do naszego honoru polskiego, byśmy nie byli Bartkami—zwycięzcami Austrii.

— Bądź waszeć spokojny — replikuje mu Buczma, — jeno wy nie ulegnijcie depresji, nie dajcie się oszukać.

W szarzyźnie zapadającego zmroku odchodzą, niknąc w gąszczach bezlistnych łodyg winnicy.

— Szczęśliwi — mówi ppor. Izdebski. Walczyli pod znakami polskimi, teraz powąchalili Włochów i chyba nie wrócą na front. Reprezentują w tej chwili honor Polski, w historii naszej będą mieć piękną kartę, a my?! — znienawidzeni u obcych i u swoich. Kto jest w stanie ująć i zrozumieć naszą martyrologję. Bartkami nas nazywają. Przecież chyba wszyscy mamy uświadomienie i własne drogi walki o niepodległość. Nie potrzebujemy nauczycieli, ani moralizatorów.

Milcząc, powlekliśmy się do ziemianek osowiali. Tylko każdy z nas nasłuchiwał, z której strony i co leci. Zasłonięci wałem nie boimy się karabinów, ale miny, rury, ciężkie granaty lubią linję naszych okopów.

Po dwóch tygodniach nas luzują. Tym razem naprawdę na wypoczynek. Osiadamy w Ceggii, t. j. o sześć kilometrów od Sc. Dony, to znaczy wogóle poza frontem. Co najwyżej grozi niebezpieczeństwo bomb lotniczych, lub pocisków z ciężkich, dalekonośnych dział.

W Ceggii w południe „placmuzyka“ — ha! niczem w Wiedniu. Nawet jakieś cywile się kręcą i kobiety. Żołnierze czyszcą broń, rynsztunek, pławią konie, piorą bieliznę, — tu i owdzie wypiekają placki z kukurydzy. Oficerowie grają w taroka, bądź politykują. Niemcy, jak dotąd lekceważyli wojska amerykańskie, ale teraz zamilkli. Uprzytamniamy im, że sto tysięcy Amerykan broni Verdun. A za tymi pójda następne setki tysięcy.

Poza zajęciami dnia włóczymy się po miasteczku i okolicy i składamy sobie wizyty, połączone z przyjęciem, a każdy gospodarz sili się, by u niego było najwystawniej.

Wizyty te nazywały się kuligami. Wierzchem, bądź powozikami włoskiego typu, t. zw. „cariolką“ hurmą ruszało bractwo, na wstępie się uraczywszy rumem. Kulig pędził w szalonym galopie przez pola. Za jeźdźcami, przeskakującymi rowy, leje i wszelkie przeszkody pędziły powoziki i wozy taborowe. Dla większej fantazji w czasie galopady strzelali wszyscy, pokrzykiwaniami i nawoływaniem nie było końca. Na kwaterze uprzedzony o najeździe gospodarz czekał z rewolwerem w ręce. Gdy zaś towarzystwo zlaźszy z koni i pojazdów, zaśpiewało:

A otwieraj Maćku wrota,
Szlachta jedzie, nie hołota —

gospodarz strzelał dwa razy na wiwat i śpiewał:

Witam was, kompanowie mili,
Widzę, żeście już beze mnie napili.

Na to „Rejent“ odpowiadał:

Nie zwracaj nam gitary,
Gdy przed tobą chłopy z wiary,
A jak tobie brak rozumu,
Tak nam teraz twego rumu!

Uć vario, vario! Uć vario, vario! — kończyło towarzystwo, waląc salwę honorową. Zaczem gospodarz prosił do izby. Bywało, że wydostał skądś i prawdziwego Martella, czy izdebnickiego jarzębiaka, poczem gdy te delicje były wyczerpane, sięgał po żalostnego trebera. Więc pili wszyscy ten fuzel, nosy zatykając. Zazwyczaj jednak, gdy gospodarz znikąd kropli już zdobyć nie mógł, kulig ruszał dalej do najbliższego sąsiada. Wynówić się nie było sposobu; bo niegościnnego gospodarza stłuczono, zaś kwaterę poddano gruntownej rewizji. U Kornausa gdzieś tam w ukryciu znalazła się nawet butelczyna szampana. Pili też wszyscy wesoło i z humorem, aż sam gospodarz, który te doskonałości, na przypadające nazajutrz urodziny, chował, rozmachu nabrał i jeszcze skądś tam pękata flaszkę śliwowicy dostawił.

Przy śliwowicy został odtaneczony narodowy serbski taniec kolo - kolo, zaś Giza, zapamiętały serbofil, jako, że walczyć z nimi musiał, choć serce mu się krajało, kajał się przed nami, poczem bośniackim obyczajem, usiadłszy na ziemi z „lankorem“, odśpiewał piosenkę:

— O kde idesz Anice, Anice,
Idim iz Ra vanice — vanice...

towarzystwo zaś wtórowało:

— Odna córa mala,
Polubić se dala...

A kiedy sentyment słowianofilski doszedł do zenitu, ryczeli wszyscy:

— Hej! Slovane jeszcze naša slovenska řeč žije,
Pokud naše verne serce pro naš narod bije.

* * *

W piątym dniu przeżywaliśmy w nocy nielada emocję, bowiem stado włoskich lotników bombardowało Ceggie. Leciały też z pomroki niebiańskiej kuferki, gwizdząc okrutnie. Nies-

mowite wtedy uczucie, bo choć draństwo spadało o sto metrów dalej, przez kilka sekund zdawało się, że bestja wyróżnie w sam łeb. Utłukli też sporo ludzi i kilka artyleryjskich koni. Niedoświadczona przy ciężkich działach obsługa, jako, że zawsze na dalekich tyłach obozowała, ogniskami się zdradziła i wskazała znakomity cel lotnikom. Wreszcie, niedorajdy domyślili się pogasić ogniska. Gdy reflektory nakryły niemiłych gości, i odezwały się działa przeciwlotnicze i karabiny maszynowe, odlecieli wreszcie ku naszej uldze na południe. Od tej jednak nocy spokoju nie mieliśmy.

Nazajutrz w południowej porze, gdy kanałami przewożono amunicję do składów, posługując się w strefie frontowej jeńcami rosyjskimi, padło w sam środek miasteczka kilka ciężkich granatów. A potem leciały „kuferki“ jeden za drugim. Popłoch powstał niebywały. Nagwałt opróżniano kwatery, wyprowadzano konie, wynoszono z pułkowej izby rannych, chorych. Pułkowy doktor z pomocnikami, jak był w kitlu białym, ze słuchawką w ręce, wiał przez miasto, niczem gazella. Mimo, że nie było nam do śmiechu, za brzuchy się trzymaliśmy, podziwiając chyżość nóg szanownego eskulapa.

Kanonada dzisiejsza, to nie zwyczajny sobie ogień. Patrzymy wtuleni w zaulek muru kościelnego na trakt kanałowy. Okrutny od przystani słychać huk i w sekund kilka pojawiły się tam olbrzymie kłęby dymu czarnego. Niewątpliwie trafioną została stacja benzynowa. Mimo grzmotu pocisków słychać stamtąd okropne krzyki. Ulicą biegnie czereda ludzka — to jeńcy rosyjscy. Ręce w górę wzniesione, biegną bez pamięci i krzyczą, nie krzyczą, lecz wyją, wyją. Boże! Ależ oni nie widzą, oślepli chyba, bo wpadają na mury, odbijają się od nich, by znów wpaść na przeciwną ścianę. Ich oczy wypalone, twarze jakby sadzą umazane, ręce wyciągnięte. Krzyczą straszliwie. Potykają się na przewróconym słupie telegraficznym. Biegniemy z ratunkiem, ale ich cały tłum.

Stacja benzynowa płonie, eksplozje, jak grzmot donośne. słup ognia na trzy piętra i dym czarny. Huczy i austriacka artylerja, słychać detonacje, jęczą oparzeni i ranni.

Schylam się nad nimi, czuję swąd spalonego ciała. Twarz jednego nieszczęśliwca — poznaję po spodniach, Rosjanina — dosłownie na węgiel spalona. Próbuje go dźwignąć, ale oto na ziemi pod nim kałuża krwi. Widać dostał też i odłamkiem pocisku, a potem się spalił. Zdołał ubiec kilkadziesiąt kroków i... skończył. Głowa jego zwisała bezwładnie na mojem ramieniu.

Biegnę do innych, koledzy też usiłują ich ratować. Znosimy rannych do izby chorych. Sanitarjusza niema na lekarstwo, izba wreszcie lada chwila może też być trafioną. Maścią, wszystko jedno jaką, smarujemy nieszczęsnych. Oparzeńcy okrutnie jęczą, nerwy moje nie mogą tego wytrzymać. Uciekam, wolę wszystko, niż tę bezsilność wobec tak straszego bólu.

Z zaułka ulicy wreszcie wyłażą sanitariusze. Gdy ogień ustał, zjawił się i lekarz pułkowy.

— Prędejj, prędejj! Tam ludzie żywcem się palą.

Teraz biegnę do mojej kompanji; zakwaterowana za miasteczkiem. Okazuje się, że i tu padło pięć pocisków, na szczęście nieszkodliwych.

Rozdział XXXIII.

Nie chcę uwierzyć, a jednak prawdą jest, że jadę na tyły po-
ciągami sanitarnym. Jak się to stało, nie jestem w stanie sobie
uświadomić. Dość na tem, że ja, mój ordynans Grądalski i moja
suczka Piawa, szpic czarny, jak djabeł, jedziemy. Z oddali cza-
sem słyhać tępe, bach! bach! To odstrzały austriackich haubic.
W ręce trzymam „Pester-Lloyd“, przede mną na stoliku filiżanka
kawy — i błoga świadomość bezpieczeństwa. Nic na łeb nie
spadnie, można spokojnie się umyć, ubrać, zjeść, leżeć i nie my-
śleć, nie kulić się za każdym trzaskiem.

Szykuje się wielka, generalna ofenzywa. Od szeregu tygodni
nieustannie samochodami i barkami Austriacy zwożą amunicję,
zwłaszcza artyleryjską. Będzie to powtórzenie gorlickiego prze-
łamania frontu.

Rozmyślałam wciąż nad tem, jak się to stało, że odjeżdżam
z frontu.

Dość, że w jeden taki szary, smętny dzień, gdy deszcz zaci-
nał i nawet kanonada osłabła, wezwano mnie do dowództwa puł-
ku. Adjutant pułku, kapitan Kotschy nader uprzejmie zapytywał
mnie o to i owo, częstował papierosami i koniakiem, wreszcie
ostrożnie zagaduje:

— Możebyś chciał dostać urlop na studia?

— Urlop? — z rozkoszą, pomyślałam. Ale właśnie wczoraj
zapadła uchwała: wobec zbliżającej się ofenzywy, Polacy mają
możność przejścia na tamtą stronę i mogą nie tu, ale tam, na za-
chodzie w Legji polskiej walić Prusaków... zrozumiałem.

— Więc?

— Dziękuję — odparłem na propozycję.

Popołudniu wezwano mnie do lekarza pułkowego. Badają,
wynajdują zastarzały bronchit, a wieczorem już żegnam kolegów.

Jakoś mi ciężko, duszno. Wprawdzie, podobnych, jak ja, urlopników i chorych dowództwo więcej wyszukało, ale przecież większość zostaje.

— Nieznane są drogi Opatrzności — toastuje Buczma na skromnym bankiecie pożegnalnym. Pani życia, śmierć, nie zna granic bytu. Nie baczy na wiek, rasę, urodę, majątek, talenty, czy wiedzę i kosi. Czy to dynamitem rozsadzi, czy odłamkiem stali, czy bakcyłem tyfusu...

Koniec końcem, kiedym się z nimi żegnał, aż mi głos więzgnął w gardle. I teraz patrzę w ich stronę. Wąziuchna wstążeczka sinawego dymu nad ziemią, to oni. Waleczą wbrew swemu przekonaniu, umierają bez potrzeby zgonu. Żegnajcie. Może wrócicie do kraju na czele zwycięskich pułków polskich przez Berlin, a może dni wasze już policzone.

Ostatnim wysiłkiem woli opanowuję siebie; moje nerwy, to sztucznie ułożony zwój. Bo faktycznie jedno we mnie kłębowisko, jakaś potrzeba historycznych wstrząsów, a potem cisza, spokój i ukojenie.

Pociąg nasz pędzi nieustannie. Popalone dworce kolejowe, na torach nieskończone sznury wagonów z armatami, sprzętem artyleryjskim, pionierskim i t. p. Zaspiane, milczące wyloty dział, osłoniętych brezentami zdają się dyszeć.

Z Cervignano jedziemy na Soczę. Rowy strzeleckie, rowy bez końca, skrzyżowane, pełne lejów, zakamarków, trawers, potrzebnych schronów, a wszystko przykryte gmatwaniną drutu kolczastego.

Tu w spiekocie słońca marły setki tysięcy ludzi, tu szalał demon ognia artylerji wszelkiego kalibru, były miotacze bomb, płomieni, min, gazów.... Teraz cisza. Tylko wszędzie rozrzucone małe cmentarzyki.

Od San Dona przez Ceggię, San Stino, Portogruaro, Giorgio, Palmanovę, Cervignano, Monfalcone — jeden cmentarz. Gruzy, leje, rumowisko. Kręci się nieco wojskowych i nieco cywilów biednych, nędznych, jak i te pomykające wśród rozwalonych murów wychudzone psy i koty. Szczególnie zniszczone Monfalcone. Istne „miasto śmierci“, ani znaku życia. Olbrzymia fabryka nici „Adria - Werke“ zda się opalonemi murami wyciągać ramiona w górę z protestem...

Wjeżdżamy w wąwóz, kuty w skałach. Pełno tu włoskich schronów. Beton na cztery metry krył obrońców Italji, mogli drwić z 42 centymetrowych moździerzy, a jednak i tak schrony te opuścili, poprostu uciekli.

Droga wiedzie przez Hermađę. To jakaś druidyczna pustynia. Gruzy, złomy skalne, leje, jeden obok drugiego, druty kolczaste, cmentarze, zniszczenie. W blasku zachodzącego słońca w tej martwocie skamieniałego życia jednak coś żyje. Wydaje mi się że gdy zajdzie słońce, z labiryntu rowów strzeleckich, z gęstwy splełanych drutów, wypłynie jakiś jęk bolesny, a nad całym pobojowiskiem szumieć będą mary i cienie zabitych...

Odwrociłem głowę na prawo. Niedaleko, w promieniach gasnącego słońca połyskuje Adrjatyk.

Niebawem dojeżdżamy do Triestu. Nikłe światelka ledwie widoczne, znaczą to miasto z oddali. Jak się dowiaduję, wczoraj mieli Triestańczycy wizytę Capronich, na szczęście bez bomb; lotnicy rzucili tylko odezwy.

Ulokowano nas w zaimprovizowanym szpitalu w Domo Popolare. Wygodnie i cicho. Przy stole major czeski, Vencliček, Słoweniec ppor. Ferjanč i Niemiec Sachs, grają w preferansa. W zgodzie, spokojnie. O wojnie, zaprowadzonym obyczajem, nie wolno mówić. Miłą ciszę przerywają tylko sylaby: pas, contra, rel

A jednak okazuje się, że mam gorączkę; 37,6°, anim o tem wiedział. Mimo to, bez przepustki wyłazłem na miasto. Ruch na mieście słabiutki. Cywile mają spuszczone głowy. To odzew zwycięskich ataków niemieckich na zachodzie.

Patrząc na zburzone w dniu wybuchu wojny „Piccolo“. Pomnik Girardi'ego, czyjeś prostackie łapy w paroksyźmie szału nacjonalistycznego zatopiły.

W porcie cicho. Mały stateczek płynie na zachód ostrożnie, bo grożą miny. Na krańcach morza widać dymy patrolujących torpedowców.

Zaszedłem do hali rybnej. Panuje tu nieopisany zgłęb i wrzawa. Krzyczą wszyscy prędko i beładnie, jakby się kłócili, przeważnie kobiety, dzieci.

Wróciłem do szpitala. Na szafeczce nocnej leży wystygła kolacja. Skromna ona: małeńki kawałek pieczeni, trochę ledwie okraszonej „polenty“, herbata. Cóż dopiero jedzą żołnierze? — Zgniłe śledzie, — a sakramencka „polenta“ nawet Grądalskiemu obrzydła. Głód, całkiem zwyczajny głód.

Przez okno widać lecące samoloty, ale to austriackie. Grądalski szeptem pyta, czy wiem, że we Francji biją „Niemca“.

Tymczasem „Neue Freie Presse“ donosi o sukcesach niemieckich na wschodzie. W odpowiedzi na wyjazd Joffe'go i Trockiego w czasie rokowań pokojowych w Brześciu, Niemcy rozpoczęły ofensywę, zakończoną zajęciem Estonji, aż do jeziora Peipus

i całej Ukrainy. Bolszewicy, nie mogąc się przeciwstawić armji niemieckiej, przyjmują podyktowane im jednostronnie przez Niemców warunki pokojowe. Ten pokój równa się podziałowi Rosji. Pod pretekstem stwarzania Ukrainy Niemcy zajmują Kijów, Charków, Zagłębie Donieckie i w poszukiwaniu chleba i ropy dochodzą do Tyflisu i Baku. Z relacyj jeńców, wracających z Rosji, widać, że w bolszewickiej Rosji decydującą rolę odgrywają żydzi. Ich właśnie germanofilskie stanowisko jest przyczyną kapitulacji Rosji. Kurlandja, Estonja, Liwadja zgłaszają akces do Niemiec. Dorpacki uniwersytet składa hołd Wilhelmowi, patronując szlachcie tutejszej w uniżonym pokłonie przed opancerzoną pięścią.

Na dworze słyhać strzały armatnie, czyżby bitwa?! — Nie! to sto jeden strzałów honorowych na cześć urodzin jeszcze jednego arcyksięcia. Wogóle Habsburgi i Hohenzollerny są bardzo płodni.

Wchłaniam w siebie „Arbeiter - Zeitung“. Niestety, „Koło Polskie“ wbrew stanowisku Słowian austriackich uchwaliło preliminarz budżetowy. Wstydzę się za tych galicyjskich polityków. W odpowiedzi jakby, czytam deklarację Czechów i Słowaków. Jawnie, otwarcie mówią Niemcom — hańba! Hindenburg i Ludendorff zapowiadają wojnę, aż do... honorowego pokoju. A więc wojna. Wojna!

Wczoraj na ulicy zaczął mnie bardzo przyzwolicie ubrany, starszy pan: prosił o stary chleb... dałem mu zeszlęty bochenek. Jakże mi dziękował.

W sąsiednim pokoju leży ranny legjonista, Lis - Kula. W ataku na blockhaus włoski pod Cava Zuccerina dostał aż jedenaście kul. Sam z własnej inicjatywy prowadził pluton na śmierć, bo zaledwie kilku wróciło.

Zaszedłem do niego. Leżał obandażowany, blady. Rozmawiałem z nim przez dłuższą chwilę. Mówił z wysiłkiem, więc zostawiłem go w spokoju. Widać, że w tym chłopcu żyje rycerski duch. Żalił się przede mną, że nie może Ojczyźnie służyć i że jeśli tylko powróci do zdrowia, rzuci austriacką służbę.

Nazajutrz odkomenderowano mnie wraz z kilkoma pacjentami do Lovrany. Wykwintnie tu, ale głodno. Porcje, jak dla kanarka. Po trzech dniach przenoszą nas do Abbazji. Trochę lepiej, ale głód. Musimy dokarmiać się w restauracji. Żyję zresztą w dobrobycie. Wygodne łóżko, wygrzewam się w cieple wiosennego słońca. Tylko martwią nas, Słowian, wieści z zachodu. Niemcy wdarli się na froncie francuskim aż do trzeciej linji. Zabrali

czterdzieści pięć tysięcy jeńców, sześćset armat, tysiące karabinów maszynowych, a jak z ostatnich komunikatów widać, podobno ostrzeliwują Paryż.

Odzywa się gong, więc spieszymy do obiadu. Do stołu zasiada przeszło stu oficerów najrozmaitszej narodowości i broni. Większość, to obiboki tyłowe, zwłaszcza sporo kawalerzystów, nie brak marynarzy i lotników. Grają wszyscy wielkich panów, ale nie wstydzi się hr. rotmistrz X. wziąć niezjedzoną legominę od skromnego podporucznika piechoty.

„Wiener Journal“ donosi, że Niemcy znów zwyciężają. Zabrali pod Amiens koło tysiąca armat, kilkaset tysięcy jeńców. Zato Holandia dała Niemcom prztyka w nos, bo zgodziła się wydać Koalicji tonaż okrętowy, aż czterysta tysięcy ton. To też prasa niemiecka ma kwaśną minę. Odgrają się też Niemcy, że Holandia węgla nie dadzą.

Czytam z entuzjazmem deklarację posłów czeskich z szóstego stycznia 1918 roku; konfiskatę jej obecnie uchylono. Wielkie myśli i hasła, autorem podobno wygnaniec czeski, profesor Massaryk. Czytałem już kilka jego odezw. Wnoszę z nich, że to głęboki myśliciel i wielkoduszny umysł. Trzeba przyznać, że Czesi opiekują się nadzwyczajnie Słowaczną, czyżby w przyszłości miało być condominium?... Obecnie całą parą idą przeciwko Austrii. Działacze ich, jak Kramarz, Kłofacz i inni siedzą w więzieniach skazani na karę śmierci. Rząd jednak boi się wykonać wyroki. W armji Czesi prowadzą świetnie robotę rozkładową. Nie powiedziałbym tego o tyłowcach - Czechach. Ci, w obawie przed wysłaniem ich na front, uprawiają kurs taniego patriotyzmu. Jest to gatunek szczególnie niebezpiecznych, w wysokim stopniu złośliwych przełożonych.

Wiosna budzi się do życia, drzewa i krzewy okrywają się zielenią. Przygrzewa słońce wiosenne. Fale Adryatyku monotonicznie szmerzą o jakimś idyllicznym świecie, siestę tylko psuje daleki, głuchy huk artylerji.

Jak czytam w „Głosie Narodu“ Lichnowsky'ego, Niemcy za niełojalność wobec poczynąn kliki wojennej wykluczyli z Izby Panów, tak samo profesora Lammascha, Austriaka, za śmiałe odezwanie się, że już dość przelanej krwi.

W Barcoli, dokąd wyjechałem na wycieczkę, oglądam francuskie w locie aeroplany. Austriacy je ostrzeliwują.

Leżę na pokładzie statku, pływając się w ciepłe słońca, muzyka przygrywa. Wojna?... zapomniałem o niej. Psują mi tylko humor wieści prasy niemieckiej, że na zachodzie Niemcy wdarli

się wgląb na czterdzieści pięć kilometrów, przekroczyli Somnę, sam „Wiluś“ prowadzi wielką „Kaiserschlacht“, ale Haig broni się i Verdun mocno się opiera... Wieczorem komunikat z frontu zachodniego jakiś niewyraźny. Zdobyli no, kilka wsi, a Francuzi się bronią. Więc z tej radości idziemy ze Słoweńcem Ferjančičem do restauracji zakropić załamanie się ofenzywy.

* * *

Takie filisterskie pędzę w Abbazji życie, że aż mnie wobec tych, co pozostali w okopach, wstyd ogarnia. Wstaję o ósmej rano; toaleta. poczem w sali jadalnej hotelu „Stefanja“ bardzo skromne śniadanie. O dziesiątej kromka chleba z wędliną, marmeladą lub t. p. Poczem w czytelnicy gazety, następnie spacer na „sztrandzie“ z nieodstępną Piawą, na którą wszyscy cmokają, bo taka ładna i zmyślna psina.

O dwunastej minut trzydzieści obiad. Wyglądzone bractwo oficerskie oczekuje sygnału, wreszcie jest. Z brzękiem ostróg zasiadamy do stołu. Serwisy mogłyby zdobić książęce stoły. Ale jedzenie w żadnej proporcji do nakrycia. Tylko taka „galopzupka“, kawałek pieczystego, lichy wie, konina czy wrona, jakieś niby ciastko, czarna... naturalnie parady przytem, orkiestra, służba w białych rękawiczkach. Po obiedzie znów dzienniki, partja szachów, poczta, o czwartej kakao i sucharek. Spacer. O siódmej kolacja: trzy chlebki, porcja pieczystego, ser, herbata; potem knajpa i wino, albo tarok do późnej nocy.

Wieści z zachodu pomyślne. Ofenzywa utknęła, komunikat króciuchny: „Lage unverändert“. Niech żyje armja angielsko-francuska, Haig, Foch, Poincaré, Asquit, Cecil, Wilson i te miliony serc bijących z nami. Jakżeż wspaniałemi były słowa Clemenceau! a, gdy wołał, że lepiej dni kilka przeżyć wolnymi będąc, niż lata ciągnąć w niemieckim jarzmie.

W Alpach odparli Włosi lokalny atak Austriaków.

A podobno, jak mi na ucho mówił tutejszy cywil-aptekarz, Francuzi wzięli sto czterdzieści tysięcy Niemców do niewoli. Czernin psioczy, że niepowodzenia te są tylko przez „Hochverräterów“ Słowian, szczególnie Czechów, Słoweńców... Polaków nie wymienił.

Dziś przejeżdżać będzie cesarz Karol przez Abbazję. Więc już od godziny go oczekujemy; stosownie do rozkazu w najlepszych mundurach. Abbazja uflagowana, nawet gorliwsi dywany wywiesili. Wreszcie koło jedenastej słychać syreny samochodowe; kręci się pełno szpiclów. Nawet wśród oficerów wypatru-

ją zamachowców. Zajeżdża pięć samochodów: z pierwszego wysiada wysoki, siwizną przyprószony generał. To cesarz Karol. Słysząc okrzyki „Hoch Majestät“! — ale oddźwięk słaby. Brzękły szable i ostrogi, stanęli wszyscy na baczność z ręką prawą przy daszku czapki. Cesarz osobiście z każdym rozmawia, podaje dwukrotnie rękę, pyta każdego czy ranny, gdzie i co robią rodzice, rodzina. Jest prosty, ujmujący. Dowiedziawszy się, że Polak, usiłuje mówić po polsku. Panie obrzucają go kwiatami, ale go to straszy i nerwowo się uchyla. Bo nuż taka dama jest zakonspirowaną rewolucjonistką i w bukiecie fiołków bombę rzuci. Za nim jakiś cywil w dżokejce z oczyma pantery. To zapewne detektyw. Po godzinie odjechał, salutując wszystkim z tym uśmiechem, w którym wyczuć można raczej przymus, bojaźń... za nim sfera dworaków. Ale ba! Okazuje się, że to on inspirował list pokojowy ks. Sykstusa Burbońskiego. Niemcy wściekli na niego.

Wysiaduję nad morzem. Sirocco pokonał bore. Bez ustan-ku biją fale o brzeg. Ile w tem życia, i ile siły naturalnej się marnuje... Nastrój mój psują, latające tu aeroplany z czarnemi krzyżami.

Otrzymałem trzy miesiące urlopu na studia — hurra! — jadę do Nowego Sącza.

Rozdział XXXIV.

Jakie to dziwne uczucie, gdy się do kraju przyjedzie. Witają mnie, jakby zmartwychwstałego nieboszczyka.

Patrzę na rodziców. Mimo radości z mego przyjazdu, troska i smutek przeziiera z ich oblicza.

Zachodzę do sąsiadów Trybowskich. Ich syn, Kazimierz, porucznik rezerwy, chluba i nadzieja, zginął na froncie. Więc w całym serdecznym powitaniu czuję wyrzut, dlaczego on, a nie ja? Rozumiem ich i odchodzę bez słów... Tak wszędzie dookoła.

Na mieście smutno.

Galicję za karę za demonstracje okupowały teraz pułki rdzennie niemieckie i miasta muszą je własnym kosztem żywić. Kolejarzy lwowskich na wszelki wypadek zmilitaryzowano. Cesarz Wilhelm podobno pretenduje do tytułu Króla Polskiego... phil...

Spacerując któregoś dnia po sądeckim peronie kolejowym przy pociągu, który przybył od Tarnowa, zauważyłem znajomą mi sylwetkę. Podchodzę bliżej, cóż to za „czubaryk“? Szynel rosyjski, na głowie coś z maciejówki, twarz zarośnięta nie do poznania... Kowalski? — tak, to autentyczny z ławy szkolnej kolega. — A cóż ty tu robisz? — wołam.

Ten zamiast mnie powitać, z lękiem oglądając się dookoła, z palcem na ustach mówi: — Psss! cicho! Szpieg kręci się w pobliżu. — Odeszliśmy nieco dalej.

— Otóż — tłumaczył mi Kowalski — jadę z kijowskiej P. O. W. do Głównej Komendy w Krakowie po rozkazy. Przejeżdżam tylko przez Sącz incognito, i boję się, żeby mnie tu nie nakryli.

— A skądże ty wziąłeś się w Kijowie?

— Razem z innymi jeńcami, Adamczykiem, Czaplakiem, Bulandą zbiegłem z niewoli rosyjskiej i jako ochotnik zgłosiłem się do formacyj polskich w Piotrogradzie. Delegowany przez „Nacz-Pol.“ do organizacji jeńców wojennych wspólnie z innymi b. oficerami, pracowałem w Biurze Werbunkowem jeńców w Kijowie. Tutaj zetknąłem się z emisariuszami Komendy Głównej P. O. W. i stanąłem w szeregach organizacji na terenie Ukrainy. Gdy w korpusie Dowbora zaczęło się źle dziać, na rozkaz Komendy wyjechałem do Bobrujska, biorąc udział w akcji pułk. Barth'y Bartel de Weydenthala i Lisa - Kuli przeciw rozbrojeniu korpusu przez Niemców. Niestety, akcja była spóźniona. Niemcy za wszelką cenę likwidowały polskie formacje na wschodzie. Powróciłem do Kijowa, gdzie oczekujemy na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem dezorganizujemy oddziały austriackie na Ukrainie.

Oświadczyłem, że i w naszych pułkach na froncie i w garnizonach w kraju praca konspiracyjna wre całą parą.

Pożegnaliśmy się, uścisk dłoni i Kowalski przepadł między wagonami.

* * *

Po kilku dniach jadę do Krakowa. Duch germański tu silny, słychać język niemiecki, wychodzi tu nawet dziennik „Krakauer-Zeitung“. Ale bo też to olbrzymi garnizon.

Rychło z urlopowanymi również na studia kolegami z 20-go p. p. z por. Typrowiczem, Kornausem, Wójtowiczem, Duchem, Wojakowskim, kpt. artylerji Strzelczykiem nawiązaliśmy kontakt i weszli w wir roboty konspiracyjnej.

Wśród ogółu społeczeństwa ferment utajony i byle iskra może wywołać wybuch. Zgodnie ustalamy, że Mocarstwa Centralne stoją na skraju zupełnego wyczerpania zapasów żywności, środków obronnych, jak i rezerw ludzkich. W dodatku zakaźne choroby szerzą się w niebywałym stopniu. Bydłostan wybity, konie wygłodzone karmią w wojsku liśćmi z drzew i wiórami. Komunikaty z frontu głoszą wciąż triumf oręża niemieckiego, lada dzień zdobędą Niemcy Paryż i tam podyktują warunki pokojowe. Opinia publiczna wie, że to ostatni wysiłek, że mimo wszystko zbliża się nieubłagane katastrofa.

Jasną jest rzeczą, że rozwiązanie sprawy polskiej wypadło nieodwołalnie z rąk niemieckich.

U por. Typrowicza, jakoteż i na mej kwaterze zjawia się na tajnych zebraniach, jako szef konspiracji, pułkownik Legjonów, Rydz - Śmigły i kapitan Legjonów, Kustroń, obaj w cywilu.

Więc radzimy.

Pułkownik Rydz - Śmigły, mając kontakt z Komendantem Piłsudskim, (wieść o jego śmierci okazała się kłamliwą), nakazuje nam gotowanie się do zbrojnego wystąpienia przeciw Mocarstwom Centralnym. Bliski jest dzień, gdy Koalicja zażąda od nas uderzenia na tyły niemieckie. Musimy więc utrzymać kraj w pogotowiu zbrojnym i podsycać wrzenie rewolucyjne. W ten sposób uwiążemy część sił zbrojnych okupantów, zmuszając je do pobytu w „Hinterlandzie“. Siły Koalicji dalekie od wyczerpania. Pomoc amerykańska decydująco zmieniła położenie na froncie, gdy tymczasem siły Mocarstw Centralnych topnieją z dnia na dzień.

Wprawdzie kierownicze sfery niemieckie nie tracą tupetu i nie chcą się zgodzić w stosunku do Polski na żadne ustępstwa, ale dni ich są policzone. Najważniejsza rzecz, że i w cesarskich Niemczech od dołu zaczyna społeczeństwo i armję toczyć czerw rozkładu i pojawiają się pierwsze jaskółki niezadowolenia z przeciągającej się bez końca wojny. Mniej więcej stan taki, jaki widzieliśmy w 1916 i 17 roku w Austrii. Z nadchodzącą likwidacją wojny musimy przygotować zręby pod budowę własnej państwowości. Mocarstwa Centralne muszą być zgniecione. Odbudowana Polska oprze się na najbardziej demokratycznym ustroju. Władza republikańska, oparcie rządów na klasie robotniczej i włościańskiej, ubezpieczenia społeczne, progresywne podatki bezpłatne nauczanie, wolność, równość, sprawiedliwość — wielkie słowa płaczą się w rozpalonych mózgach... W wyobraźni naszej staje cesarz Wilhelm przed trybunałem świata. Skład sądu, to rewolucjoniści - żołnierze. Szafot, to za mała kara dla tego tyra-na. Nadejdzie dzień wielkiej rewolucji, już niedługo, już ona wisi w powietrzu. Gotujmy się do niej. Tak to przemawiamy i tak upajamy wyobraźnię mirażami dni Sprawiedliwości — dni Nemezis.

Pułkownik Rydz - Śmigły w rozumowaniu swoim idzie znacznie dalej. Z narodzinami Polski narodzą się nowe wojny. Pójdziemy wyzwalać inne narody. W słońcu błyszczące szable, poniesiemy na Dynaburg: Witebsk to etap, Mohylew, Kijów — to dziejowe posłannictwo Polski, to rewanż za sto pięćdziesiąt lat upokorzenia i hańby niewoli. Tak powiedział On, więziony w Magdeburgu, Komenda Piłsudski. Dyskusja wykluczona. Robić! Gotować dzień wyzwolenia, budzić irredentę polską, formować oddziały bojowe, zbierać broń, amunicję, rysztyunek, wielkim głosem wołać: Polacy do broni!!

Nasza organizacja przybiera nazwę „Wolność“. Obejmuje ona przeważnie oficerów Polaków w armji austriackiej. Hierarchicznie podporządkowana Polskiej Organizacji Wojskowej. Organizujemy się systemem szóstkowym. Każdy członek „szóstki“ musi zwerbować dalszych sześciu spiskowców. W tym geometrycznie rosnącym zasięgu opanujemy cały kraj.

...Odtąd życie me dzielę na dwoisty byt.

Dzisiaj rano wezwano mnie do Komendy garnizonu. Niewątpliwie „wsypa“. Na wszelki wypadek przygotowałem listy pożegnalne do rodziny. Zginę pod murem, myślałem, przekraczając Komendę, ale z honorem. W Komendzie kazano mi zaczekać w adjutanturze. Schodzą się oficerowie, zawodowi biurowcy w czarnych mundurach, lśniący od lakieru i złota. Szczęśliwie nikt na mnie nie zwraca uwagi. Wreszcie drzwi się otwierają. Wzywa mnie szef sztabu. Ekscelencja „Ritter von Załeski“ na raptowne zeszytnienie oficerów odpowiada ukłonem.

— Pan porucznik..., — słyszę moje nazwisko. Sto oczu wlepionych w moją postać.

Postąpiłem naprzód... ostro się melduję.

Coś mówi Ekscelencja i... na piersiach przypina mi „Signum Laudis“ z mieczami. Nie! To żart! Obracam się, gdy uściskawszy mi rękę generał wyszedł; w głowie mi się kręci. Bo jednak za co, kiedy, gdzie na ten order zasłużyłem?! Stryczek, więzienie... ale nie order. A za godzinę mam właśnie zebranie pierwszych sześciu spiskowców. I tam będę ich uczyć nienawiści do Austrii...

* * *

Uniwersytet Jagielloński. Poważna Alma Mater miała zaszczyt gościć Wilhelma. Więc drwię w duszy z powagi znawców encyklopedji prawa; ale wobec widma, czekającego mnie za pół godziny egzaminu dyplomowego mam tremę i... nawet surogat szacunku. Ale bo i cóż warte twoje, czcigodny znawco prawa międzynarodowego i umów haskich, zapewnienia o bezpieczeństwie państw neutralnych?

Belgja, Lusitanja, Kalisz, gazy, łodzie podwodne i t. d. ten nieskończony łańcuch zbrodni, sankcjonowany...

Pocóż te budy prawnicze? Pierwszy lepszy porucznik, byle energiczny ma egzekutywę, a wy?, myślałem, patrząc na snujących się po korytarzach profesorów, jako głuszcze sobie tokujecie.

Kręci się też pełno oficerów, legionistów i żołnierzy. Ci też łakną wiedzy, choć! mord dookoła.

Psu na budę pryncypia prawnicze; mocna pięść, bagnet psia-
krew! — to argumenty.

Wśród nielicznych cywilów poza wojskowymi, twarzy
aryjskiej prawie nie widać — sami żydzi. Jednak sprytni, skoro
tyle lat uchronili się przed poborem.

Dzwonek; pedel wzywa mnie i dwóch jeszcze oficerów. Za
stołem, przykrytym zielonem suknem, dostojne twarze uczonych.
Operacja trwała godzinę. Zdałem. Zdałem nazajutrz i rygorozum.
Ale mam wrażenie, że pocziwym profesorom przy naszych odpo-
wiedziach musiały się chyba bebecchy wywracać. Koniec końców
z dyplomem jadę na resztę urlopu do Sącza.

* * *

Czytam gazety i listy z frontu. Tak! Więc mi pisze Izdebski
o nieudanej ofensywie austriackiej nad rzeką Piave. Jak to rano
o trzeciej punktualnie na odcinku naszego pułku naraz sześćset
armat się odezwało. Zrobiło się jasno. Huk, grzmot, ziemia drża-
ła. Zaś oni, w tak zwanej, lisiej jamie, przygotowane manierki
rumu pili, by się upić... i iść do ataku bez czucia, bez pamięci; jak
Durlak nie mógł się upić i inni, jak Włosi uprzedzeni wyrywali
zawczasu, a austriackie baterje huraganowym ogniem niszczyły
spustoszone okopy; jak potem przeprawiali się na pontonach, jak
zginął por. Ptaszyński, Zdanowicz, Nowobilski, i Durlak, i Sieczko
i tylu, tylu innych. Jak wdarli się do okopów, a potem szli w ty-
raljerze wśród eksplodujących granatów i szrapneli. Jak nie
chcieli strzelać do Włochów i oszczędzali ich krwi. Jak chcieli do
nich przejść, ale Włosi w nieświadomości sytuacji wpuścili ich
w sak, potem zamknęli pierścieniem i dopieroż tłukli. Legło górali
z pułku blisko trzystu, oficerów blisko dwudziestu. A potem
w koszarnej nocy odwrót, paniczny, dziki. Włosi jeńca nawet
nie brali, tylko do żywych strzelali, mimo rąk wzniesionych, mimo
okrzyków „non tedesco“. Jak potem zabranemu do niewoli ofi-
cerowi włoskiemu, mimo cały szacunek dla Ententy, chciał
własnoręcznie „skuć mordę“, bo go bolało, że tak bez pardonu
zabijali naszych, t. j. tych, którzy pragnęli zwycięstwa włoskiego.
Ale nie „skuć“, gdyż jest zbyt wielkim dżentelmenem.

Odpisałem pocziwemu Edziowi, że współczuję, ale nie mam
zamiaru na polach lombardzkich uściskać jego prawicy. Radzi-
łem mu natomiast... wiać! a to tembardziej, że w kraju potrzebe-
ne ręce.

Nasza organizacja tymczasem działa. Na strychach domu ro-
botniczego, w bocznych salach magistratu zbierają się żołnierze

i cywile. Niema czasu na gadanie. Do szeregu! już kompanja gotowa, w cztery plutony ustawiona. Są oficerowie i podoficerowie, są wyznaczeni kucharze, taboryci, pisarze, telefoniści, wywiadowcy, cykliści, nawet konni posłańcy. Kogo tu niema? Studenci i robotnicy, chłopci i kolejarze, zwłaszcza ostatnich dużo. Jest wśród nich i adwokat, i inżynier, są i radni miasta.

Po stromych, bocznych schodach domu kolejowego wchodzę w mundurze „oberleutnanta“. Rozstawione straże wstrzymują mnie:

— Stój! Kto!? — Pogrom! — odpowiadam.

— Hasło?! — Komendant!

— Odzew? — Magdeburg!

Nareszcie jestem na przestronnym strychu. Za moim wejściem pada komenda: „Baczność! na prawo patrz!“. Ogarnia mnie niesłychane wzruszenie. To mój pierwszy raport polski — pełnej kompanji. Z dumą obchodzę plutony. W blasku migotających świec, poznaję te i owe twarze. Wąsaty kolejarz, obok gimnazysty syna. No, jakże to nazwać?

— Do nogi broń, spocznij! — Stuknęło o ziemię raptem czternaście prawdziwych karabinów, reszta to dranki z płotu, laski na sznurku; rewolwerów ze dwadzieścia, sporo bagnatów, ale największa duma, to karabin maszynowy. Moim adjutantem, starszy sierżant Bittner. On to skądś przyniósł maszynę. Skąd ta broń? — kradziona, zwyczajnie kradziona, skąd się da. Z niepilnowanych stelaży koszarowych, z magazynów, z transportów kolejowych, ze schowku rusznikarza. Wynoszą je spiskowcy pod lada pozorem. Poprostu, nieraz taki sobie patrol we czterech, kompletnie uzbrojony wychodzi „na służbę“. Z wartą porozumienie, więc jakby nigdy nie ostro maszerują, a gdy są na krańcu miasta — w nogi...! I w umówionej chałupie, czy w rumowisku rozpadającego się domostwa czynią składy. Zaś karabin maszynowy wyjeżdża częściami. Idzie taki „cwancygier“ z kieszeniami wypchanymi i zgłupia frant salutuje starszyźnie; jakiś służbiśta pyta:

— Hej! a co tobie tak portki opadają?

— Nic to, panie sztabski — odpowiada indagowany — mamie niosę oszczędzony chleb.

Amunicji mamy cztery pełne skrzynie. Granatów ręcznych kopę i to samych U-granatów, a te walą niczem z polówki.

A teraz rozkazuję: „Pojedynczo rozejść się. Diewiąta dziesięć zborny punkt pod mostem kolejowym na Dunajcu, straże mostowe uprzedzone“.

Punktualnie o dziewiątej dziesięć rozpoczynamy ćwiczenia. Zadanie: osaczyć miasto, wytluc strażę wojskowe, zająć prochownię, magazyn broni, komendę miasta, zamknąć elektrownię; noc bowiem to nasz sprzymierzeniec. Mówimy cicho, szeptem zda się słychać bijące serca. A teraz — wykonać! Z chrzęstem żwiru miesza się skrzypienie obuwia i za chwilę niknie wszystko w gąszczu wiklin.

Oczywiście ataki są tylko suponowane. Na wykonanie dostaniemy z Krakowskiej Komendy „Wolność“ wyraźny rozkaz. I tak ćwiczymy trzy razy na tydzień, deszcz czy pogoda, z wyjątkiem nocy księżycowych. Wracam późnym wieczorem chyłkiem do szpitala. Tu oficerów i żołnierzy „dekuje“ komendant, major - lekarz Sikorski. O niczem niby nie wie, a tylko zawczasu powiadamia, że tam a tam... niewyraźnie.

Oficerów do roboty ściągnąć trudniej. Na zebraniu oficerskiem w bocznej sali „Sokoła“ na czternastu, pięciu mi oświadczyło: zdradzać nie będą, przysięgali, mają honor, nie mogą.

Więc przy wyjściu podtykamy im pod nos z ppor. Michalikiem brauningi:

— Jenó puść parę z gęby, a resztę wiesz!

Odeszli.

Może i dotrzyмали słowa, że nas nie zdradzą, a może i Komenda austriacka zrozumiała, że już za wielkie kręgi zatacza konspiracja. A wieści z frontu dla nich niewesołe.

* * *

Kłęska Niemiec zbliża się z każdym dniem. Ofenzywa, wielka „Kaiserschlacht“, na którą dowództwo niemieckie tak wiele liczyło, mimo olbrzymiego nakładu sił i rozmachu, ostatecznie zawiodła.

15-go lipca 1918 roku rozpoczyna gen. Foch przy współdziałaniu świetnie wyekwipowanej, półmilionowej armji amerykańskiej ofenzywę. Od tego czasu inicjatywa pozostaje całkowicie w jego rękach. Pod naporem jego zwycięskich natarć wojska niemieckie cofają się pod Arras aż na t. zw. linję „Zygfryda“, na odcinku długości 160 km. Tanki angielskie kpią sobie z niemieckich okopów. Niemcy zatrwożeni rozwijającą się w przyspieszonym tempie ofenzywą nieprzyjaciela, rozpaczliwie zabiegają o pokój. Do rządów powołują gabinet ks. Maksa ze współudziałem socjalistów z chytrą myślą, że ci uzyskają korzystniejsze warunki pokojowe. Ale Koalicja propozycje te odrzuca i z końcem września rozpoczyna generalną ofenzywę od Mozeli aż do morza.

Armja niemiecka cofa się na linję Hindenburga. W Berlinie rozpacz i przerażenie. Jakto?! Po takich niesłychanych w dziejach, wprost oszałamiających sukcesach, czyżby widmo sztandarów zwycięskich wojsk Ententy... Unter den Linden? Silna zwycięstwami psychika Niemców kruszy się i łamie. Łamią się szeregi na froncie palestyńskim i macedońskim. Pod wpływem świetnie prowadzonej ofensywy Franchet d'Esperey'a gnie się linja zajęta przez dywizje Bułgarów, zaczyna się odwrót i wreszcie 29-go września Bułgarja prosi o zawieszenie broni.

Z końcem października wojska Koalicji stoją już po obu stronach Dunaju pod Belgradem. Toteż oficerowie niemieccy w Sączu mają zwieszane głowy... a my prostujemy stężale w niewoli karki.

Już 10-go października Rada Regencyjna proklamuje niepodległość wszystkich ziem polskich z dostępem do morza.

Ale naszym największym sprzymierzeńcem to głód, nędra, brak chleba, ubrań, węgla, gumy, brak wszystkiego no i zaraźliwe choroby, które szerzą się w niebywały sposób.

Już od kilku dni sytuacja wewnątrz Monarchji austriackiej jest katastrofalną. W wojsku rozprężenie, zamęt; dezercja staje się nagminnem zjawiskiem. Władze bezpieczeństwa tracą głowę. Na froncie w armji rozkład.

Cesarz Karol śle notę pokojową. W odpowiedzi na nią Wilson żąda samodzielności Polski, Czechosłowacji, Jugosławji.

Włosi rozpoczynają nad Piave kontrofensywę. 30-go października osiągnęli już linję Monticano - Vittorio - Veneto - Feltz - Assiago. Ale już 29-go października szły posły z Wiednia i Budapesztu z prośbą o zawieszenie broni. Włosi mimo to atakują w dalszym ciągu, a właściwie ścigają uciekających żołnierzy, których opuścili dowódcy. Linja włoska przesuwą się na Udine, górny bieg rzeki Taglimento, Belluno - Trydent. Wojska włoskie biorą do niewoli setki tysięcy, nie stawiających żadnego oporu żołnierzy armji Boreovica. Prasa włoska urbi et orbi ogłasza olbrzymią wiktoryę; tymczasem armja włoska nie miała prawie żadnych przeciwników.

Hrabia Burian, jakby na drwiny głosi austriacką federację ludów. Koalicja pod Belgradem; wybrzeże Belgji opróżnione.

Węgrzy zagrożeni od południa ofensywą wojsk serbskich zrywają unę z Austriją i żądają wycofania swoich pułków z frontu włoskiego.

* * *

Wieści płyną, jak lawina. Ludność jest zelektryzowana. W powietrzu na włosku wisi... bomba rewolucji.

W Galicji urwała się właściwie już 30-go października, Sygnałem to zwycięstwo na Bałkanie Franchet d'Esprey'a. A potem bunt garnizonu chorwackiego w Zagrzebiu. Tam wystawiono na odwachu narodową chorągiew chorwacką.

Praga czeska, niby jabłoń obciążona dojrzałym owocem strząsnęła z siebie nalot austriacki, głosząc Czeską Republikę.

Kolejarze polscy wprowadzają w Galicji, jako urzędowy, język polski. Na zebraniach obywatelskich padają od szeregu dni jawne okrzyki: hańba Austrii, precz z Prusakami.

Rozdział XXXV.

W Nowym Sączu w dniu 31-go października 1918 roku raniem na budynku stacji kolejowej rozpinają kolejarze olbrzymi transparent z napisem: „Wolna, Zjednoczona, Niepodległa Polska“!

W mieście jakiś dziwny ruch; rozjaśnione twarze; powitaniem ostentacyjne, Cześć! Na czapkach w miejsce bączków austriackich założone polskie orzelki. Żołnierze tłumnie dezertują. Na placu przed domem robotniczym jawna zbiórka naszej kompanji, wszyscy uzbrojeni.

— Baczność! prezentuj broń! na ramię broń! czwórkami w prawo zwrot! Odtrąbiono!

„Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg!...

Dźwięczą na bruku podkute buty równo w takt pieśni. Walimy do koszar. Wylękły wachmistrz - Niemiec kryje się... w wychodku. Wita nas zato radośnie zastępca oficera, Adamkiewicz.

— Do nogi broń! Spocznij!

Biegniemy do kasyna oficerskiego. Jest tam zebranie. Dowódca garnizonu pułk. Falle siedzi blady, jakby na sądzie. Obok wierny Austrii dowódca pułku, ppułk. Januszewski. Cześć oficerów, t. j. Niemcy, Węgrzy, Żydzi — puciekali, albo kryją się na kwaterach.

Naprzeciw austriackich komendantów występuje por. Szczepański. Mówi twardo i krótko:

— Z Austrią koniec, kto nie z nami, ten przeciw nam, a kto przeciw nam, niech wystąpi!...

Cisza. Austriacy siedzą nieruchomo, tylko im drgają kąciki ust, tylko ich czoła perłą się od potu...

W sali obok muzyka dęta. Por. Polakowski uchylił drzwi i skinął na kapelmistrza.

— Zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła“....

Mocno, jak nigdy o ściany austriackich koszar bije po raz pierwszy urzędowo hymn polski. Stanęliśmy wszyscy na baczność! Gorętsi śpiewają. A potem jakiś bezwolny nakaz, bo oto komendant, pułk. Falle odpina szablę, kładzie na stole i z chusteczką na oczach, chwiejąc się wychodzi, jak nieprzytomny. Por. Polakowski rzuca się w ramiona najbliższego sąsiada, całują się, to samo niemal wszyscy; oficer ściska żołnierza.

— Niech żyje Polska!

Ktoś intonuje: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“... muzyka grzmi, na dziedzińcu tłumi. Rzucają ku nam kwiaty, powiewają chusteczkami.

— Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

Okrzyk ten niesie echo ku Tatrom i za Wisłę i nad Zbrucz i hen za Warszawę, Wilno, Poznań, Gdańsk!

*

* *

Rozpoczęły się dni pełne emocji.

W Niemczech rewolucja, zaczęli ją zbuntowani marynarze. 9-go listopada ogłoszono oficjalnie abdykację Wilhelma II i zaprowadzenie Republiki. Wilhelm ucieka do Holandji, ale ma rację, bo na zamku w Berlinie czekają go muszkietrzy z salwą, tym razem ostremi nabojami. 10-go listopada Niemcy kapitulują. W ciągu dwóch tygodni mają opuścić okupowane obszary, Alzację, Lotaryngję, wydać jeńców, flotę, broń, parowozy. Traktat Brzeski i Bukareszteński zniesiony. Na Węgrzech rewolucja, Tisza zastrzelony. Objawia się Bela-Kuhn, jako przywódca komuny.

Cesarz Karol ucieka z Wiednia i schronienia szuka przed zrewoltowanym tłumem w Gödölö.

Nemesis! Nie przewidywaliśmy ciebie w takim rozmiarze.

Zjednoczenie Polski dokonywa się w potokach krwi, która leje się na wszystkich niemal jej granicach. Niestety, Koalicja pozostawiła Niemców w byłym zaborze pruskim. Polacy tamtejsi własnymi siłami wyrzucają najeźdźców.

W Galicji wschodniej „Ukraińska Rada Narodowa“ przy poparciu austriackich władz wojskowych, ujmuje w swoje ręce władzę we Lwowie i we wszystkich miastach w Galicji wschodniej. Zaskoczyło to nieprzygotowaną na to ludność polską.

W nocy z dnia 2 na 3-go listopada we Lwowie Polacy zrywają się do walki z Ukraińcami, zajmując dworzec kolejowy pod dowództwem sądeczanina, kapitana legjonowego, Pierackiego. Nie tylko mężczyźni, ale kobiety i dzieci, chłopcy i dziewczęta stają w okopach z karabinem w ręku. Poświęcenie i bohaterstwo bezprzykładne. Obrona Lwowa budzi dreszcz i elektryzuje cały naród.

W dniu 11-go listopada Daszyński ogłasza Rząd Ludowy w Lublinie. Zaczyna się okres chaosu. Ale na szczęście w dniu 11-go listopada wraca wypuszczony przez Niemców z Magdeburga Józef Piłsudski. Wnosi uspokojenie i w swej osobie koncentruje Majestat Państwa...

* *

Wschód pali się dalej czerwonym płomieniem. Bolszewizm, jako idea zmierzająca do obalenia ustroju kapitalistycznego i zbudowania na jego gruzach nowego ustroju socjalistycznego, niesie z sobą wiew nowej ery w dziejach ludzkości. Niestety, w wykonaniu jest on wyładowaniem zwierzęcych instynktów, orgią terrozu. Obawiam się, że nie stanie się źródłem odrodzenia, lecz przeciwnie cofnie kulturę wstecz, zepchnie człowieka do prymitywu i w rezultacie wytworzy tem większy ucisk klasowy. Rozpętały się tam najbardziej pierwotne instynkty. O ile nie przyjdą do głosu elementy środka, czekają Rosję jeszcze długoletnie walki domowe.

* *

W Sączu organizuję z kompanji P. O. W. Milicję Wojskową. Dowództwo powiatu obejmuje początkowo płk. Strubiński, potem mjr. Trzeciński.

Na gwałt obsadzam magazyny i składy. Na ulicę wypelzły szumowiny, baby z workami, dzieci z pustymi koszami, tu i owdzie hieny rzuciły się na rabunek wszystkiego co się da, onuce, buty, pasy rzemienne. Musiałem temu przeciwdziałać. Wszak to ekwipunek jutrzejszych polskich sił zbrojnych. Bezpieczeństwo miasta zdane na Bożą opiekę. Siłę zbrojną stanowi kilkudziesięciu oficerów, brak tylko szeregowców i podoficerów. Kilkunastu policjantów miejskich, zwanych „drewniakami“, jako, że jak złośliwi twierdzą, mają drewniane szable, nie mogło nic zrobić.

Oddział powstańczy przemianowany przeze mnie na Milicję Wojskową przygotowany był głównie do walki z nieprzyjacie-

lem, mniej do służby bezpieczeństwa. Na szczęście obrońców c. k. Monarchji jakoś nie widać.

Żadnych rozkazów co do sposobu służby nie odebrałem, zresztą któż ma mi je wydać. Nasze zadania są nieokreślone. Kadra pułku rodzimego w Tarnowie, pułk walczy na froncie włoskim.

Tymczasem zawierucha wojenna w pełni na zachodzie i na południu, od wschodu i od Budapesztu wieje swąd bolszewizmu. Nastroje ludności biegną w różnych kierunkach. Tylko wieś syta i dostatnia śpi, płacąc za to wielki podatek krwi. Każdy wie, że jakoś się to ułoży, ale tymczasem trzeba... działać.

Jeszcze z końcem października na tajnym posiedzeniu Obro-ny Obywatelskiej, złożonej z wybitniejszych przedstawicieli ludności miasta i wsi okolicznych, oświadczyłem gotowość zorganizowania siły zbrojnej i zabezpieczenia mienia i życia obywateli pod warunkiem, że miasto swoim kosztem utrzyma żołnierzy. 30-go października na zebraniu obywatelskim zażądałem 10 koron dziennie na poszczególnego milicjanta, z czego pięć koron na koszty wyżywienia i utrzymania, pięć koron na żołd. Uzyskałem zgodę i mając nomicję z krakowskiego P. O. W. za aprobatą dowódcy powiatu, majora Trzińskiego, zostałem mianowany komendantem, poczem natychmiast przystąpiłem do pracy. Nadając Milicji nazewnątrz cechy czysto wojskowej organizacji, miałem na celu, obok służby bezpieczeństwa publicznego, opanowanie kryzysu ekonomicznego przez uregulowanie aprowizacji, złagodzenie nędzy i głodu przez zahamowanie cen na artykuły pierwszej potrzeby, rosnących w niebywały sposób i przez tępienie hien-paskarzy.

*

*

*

W Krakowie, dokąd w celach służbowych wyjechałem, zaszedłem w odwiedziny do ppor. Izdebskiego. Pełni on tymczasowo, jako inwalida-rekonwalescent, gdyż ma nogę przestrzeloną w kostce, funkcje komendanta magazynu broni.

Pod oknami kancelarji co kilka minut regularnie przechodzi posterunek z karabinem na ramieniu. Postawa doskonała.

— Patrz! mówię do Izdebskiego, — jak odrazu nasi żołnierze uzyskali formę.

— Nic dziwnego, odpowiada Edzio, przypatrz się lepiej temu żołnierzowi, znasz go.

Gdy posterunek mijał okno, wpatrzyłem się zaciekawiony w twarz żołnierza. Czyżby?! Tak, potwierdził Izdebski, to por.

Krawczyński. W dniu przepędzenia Austriaków zgłosił się natychmiast do służby w wojsku polskim. Niestety, brakło szeregowych. Więc Krawczyński na szeregowca się zameldował i pełni służbę wartowniczą. Niedługo tu zresztą zabawi, bo prosił o przydział do bataljonu posiłkowego dla Lwowa i już jest tam przeznaczony.

Wyszliśmy na dwór. Akurat mijał nas Krawczyński. Salutowaliśmy pierwsi. Odpowiedział przesunięciem dłoni wzdłuż rękawienia i zwrotem głowy na prawo. I poszedł dalej wyznaczoną ścieżką.

— Ale takich mamy więcej w Krakowie, dorzucił Izdebski. Bardzo wielu akademików, mających stopnie oficerskie, zgłosiło się na... szeregowców.

* *

Milicja, w której przeprowadzam bardzo ścisłą selekcję, różnie jak na drożdżach.

Rozbrajamy stacjonujący celowo w Nowym Sączu ruski dziesiąty pułk i internujemy pięciuset Rusinów, żołnierzy i oficerów w koszarach. Zabieramy im broń, amunicję, rynsztunek.

Władzę zwierzchnią Milicji stanowi właściwie t. zw. Powiatowa Komisja Likwidacyjna, z naczelnikiem warsztatów kolejowych, inż. Suchankiem na czele.

Z pośród oficerów dobrałem do pomocy ppor. Michalika, ppor. Małyse, i ppor. artylerji, Świebckiego.

W dniu 2-go listopada w porozumieniu z Powiatową Komisją Likwidacyjną zarządziłem pobór wśród kolejarzy. Uzyskałem w ten sposób stan liczebny przeszło stu osiemdziesięciu ludzi. Z liczby tej wysortowałem słabszy fizycznie element, ograniczając się do cyfry stu pięćdziesięciu ludzi.

W dniu 2-go listopada w sali ratuszowej wobec zgromadzonej w komplecie Komisji oddział złożył przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Przemówił do nas wzruszony prezes Komisji, nazywając nas gwardją narodową, częstką przyszej armji polskiej. Odpowiedziałem w podzięce:

— Milicja to dalszy etap walki o niepodległość, realny czyn Polskiej Organizacji Wojskowej. Mamy jedną dewizę: Polskę! Pomieszały się w naszych szeregach lata i rangi społeczne, stają obok siebie inteligent i robotnik, kupiec i włościanin.

Wymaszerowaliśmy potem z ratusza czwórkami. Na ramionach milicjantów widnieją białe-czerwone opaski.

Trzeciego listopada rankiem wyszły pierwsze posterunki. Podzieliłem Milicję na trzy plutony po pięćdziesiąt ludzi, z tych jeden na służbie, jeden w rezerwie, reszta na spoczynku. Zastosowałem tu ośmiogodzinną zmianę.

Oficerom zleciłem różne działy, a to ppor. Michalikowi — organizację, wyszkolenie i służbę zewnętrzną; ppor. Małysie — śledztwa, sprawy polityczne i opiekę nad powiatem; zaś ppor. Świebockiemu przydzieliłem referat ekonomiczny, tępienie paskarstwa w porozumieniu z Komisarzem Ludowym, oraz intendurę Milicji.

Wydałem szereg zarządzeń co do porządku na mieście, między innemi na własną rękę poleciłem, by z uwagi na gwałtowny spadek korony i stąd pochodzące podrażnienie towaru kupcy wystawiali w oknach wystawowych ceny z godziwym zyskiem kupieckim i zgodnie z fakturą i księgami. Cen tych nie wolno było podwyższać. Toteż ceny na ziemi sądeckiej przez kilka tygodni utrzymały się na jednym poziomie. Doszło do tego, że z sąsiednich okolic i miasteczek spekulanci zjeżdżali na zakupy do Sącza. Oczywiście ten stan rzeczy nie dał się na dłuższą metę utrzymać. Cel jednak był osiągnięty. Zwyzka cen przy ówczesnej nędzy łatwo mogła wywołać zaburzenia.

Na mieście pojawiły się wielkie gromady chłopskie. Zachodziła obawa pogromów żydowskich, wobec czego wydałem surowy zakaz wyszynku wódki. Trwało to jednak krótko.

Tymczasem w okolicy, zwłaszcza w Brzesku, hulały męty społeczne. Nieznani agitatorzy podburzali naiwnych kmiotków i bezroboczych. Rozpoczął się rabunek sklepów i mieszkań prywatnych; nad Brzeskiem i okolicą zapłonęły luny.

W tych warunkach przygotowywałem t. zw. oddział posiłkowy, gdy dowódca powiatu, mjr. Trzeciński zażądał jednego plutonu na pomoc wojsku polskiemu, walczącemu z Ukraińcami pod Sanokiem. Wydzieliłem jeden pluton ochotników z ppor. Kicką na czele. W kilkanaście dni potem nadeszła wiadomość o jego bohaterskiej śmierci na polu walki.

Szczególnie dużo sił absorbowowało mi strzeżenie pięciuset żołnierzy Rusinów z 10-go pułku piechoty, których wobec walk we Lwowie — nie można było z Nowego Sącza wypuścić. Mnóstwo też oficerów austriackich kryło się po kwaterach. W obawie, by nie wnosili fermentu, Dowództwo powiatu kazało ich wyłapać i przymknąć. Zresztą byli to przeważnie łapownicy i złodzieje. Dokonana przez Milicję rewizja w ich mieszkaniach dała sensacyjne wyniki. Dość powiedzieć, że np. w mieszkaniu kapitana

Waltera z 32-go pułku austriackiej „Landwehry“, znaleziono kilkanaście futer, masę prowiantów, nawet wina szampańskie, cenną biżuterję, stosy bielizny wojskowej, setki pasów, ładownice. Na dwóch furgonach kazałem to zawieść do Komendy Milicji. Wszystko to zostało przez powołaną przeze mnie Komisję z przedstawicieli Milicji, Magistratu i Starostwa zinwentaryzowane i złożone do depozytu w Magistracie. Niestety, sam kpt. Walter, widocznie ostrzeżony o zamierzonym aresztowaniu, uciekł pieszo do Marcinkowic, gdzie wsiadł w pociąg, uwożąc ze sobą kasę wojskową podobno z przeszło stu tysiącami koron.

Opiekę nad powiatem przejęła następnie żandarmerja. W tym celu mjr. Trzciniński zwołał wszystkich żandarmów do Komendy. Tutaj zostali oni rozdzieleni wedle narodowości. Z pośród ochotników do służby polskiej przesiedlono Rusinów do ośrodków polskich, Polaków do ruskich, resztę zwolniono. Znaczną część żandarmów wcieliłem do Milicji. Uzyskałem w ten sposób fachowy materiał do służby bezpieczeństwa. Zadania Milicji i kompetencje były coraz większe.

Wywiad na mieście zarządzony ustalił, że, zwłaszcza w żydowskiej dzielnicy, odbywają się tajne zebrania. Wśród żydów istniała konsternacja i fałszywa, co do Polaków orientacja. Obawiano się powstającej Polski, jakichś rozruchów, mordów, rabunków. Wszystko to wyrosło oczywiście na podłożu plotek i manji prześladowczej, ale i skłaniało ich do potrzeby przygotowania samoobrony. Oczywiście urojenia te były zręcznie przez wrogie nam elementy potęgowane.

Zarządziłem kilka doraźnych interwencji patrolów oficerskich i rozwiązanie kilku zebrań żydowskich, jako nielegalnych, co spowodowało pewne uspokojenie. Niemniej zarządzane przez mjr. Trzcinińskiego rewizje w dzielnicy żydowskiej ujawniły masę broni palnej, granatów ręcznych i t. p. Broń tę skonfiskowano. W kilka dni potem zjawiała się w mojej kancelarji deputacja kupców żydowskich z żądaniem wzięcia ludności żydowskiej pod specjalną opiekę, oraz utworzenia oddziału żydowskiej milicji dla strzeżenia ich dzielnicy. Oparłem się temu stanowczo; Żydzi mogą być przyjęci do Milicji na zasadach ogólnych, ochrona zaś ich interesów jest traktowaną na jednej płaszczyźnie z interesami Polaków.

Zresztą Żydzi byli naogół lojalni, bez entuzjazmu, ale z rzeczowym odniesieniem się do Polski. Bali się tylko rozruchów antysemitycznych. I w Sączu były w tym kierunku próby.

W połowie listopada zjechała na rynek nadzwyczajna ilość próżnych furmanek. Asystowali im jacyś nieznani chłopci, uzbrojeni w pały i laski. Kazałem wystawić jeden karabin maszynowy u wylotu ulicy Jagiellońskiej, zaś drugi od strony dzielnicy żydowskiej. Wkroczył następnie na rynek w doskonałej postawie pluton Milicji w pełnym uzbrojeniu. Zarządzony przez ppor. Michalika przegląd karabinów i trzask odwiedzionych zamków wywarły wielkie wrażenie. Podziało to deprymująco na niedoszłych rabusiów, bo chyłkiem, pojedynczo wymykali się z rynku. Zresztą byliśmy zdecydowani otworzyć ogień w razie najmniejszych zamieszek. W ten sposób obyło się bez rozlewu krwi, który wobec tego, że zjechało kilka furmanek, mógł przybrać groźne rozmiary.

Do zadań Milicji należała też opieka nad stanem sanitarnym miasta. Zarządziłem środki karne w stosunku do właścicieli niechlujnie utrzymanych domostw, obowiązek oczyszczania chodników, posypywania trotuaru piaskiem w czasie gołoledzi i t. p.

Milicja roztoczyła szczególną opiekę nad torem kolejowym tudzież mostami, wiaduktami w uzgodnieniu z Komendą Dworca Kolejowego w osobie por. Szczepańskiego.

Szkolenie Milicji szło głównie w kierunku walki otwartej z nieprzyjacielem w polu i do walki ulicznej. Dużo energii i pracy poświęcił tu ppor. Michalik, oraz starszy sierżant Bittner. Również ppor. Świebicki, domorosły nasz intendencja i postrach paskarzy, okazał się znakomitym w swej funkcji. Milicjant miał zapewnioną ciepłą odzież, wygodne łóżko i kulturalne warunki. Kuchnia obfita, smaczna, była przedmiotem ogólnego podziwu, a nawet zazdrości ze strony żołnierzy, przybyłych z końcem listopada z kadrą pod dowództwem por. Gebła z Tarnowa.

Z nadejściem 20-go pułku z frontu, skąd przywieziono kilkuset żołnierzy, zagadnienie bezpieczeństwa było rozwiązane, a wobec jakiejś takiej stabilizacji stosunków w kraju po upływie sześciu tygodni zadanie Milicji ukończone. Milicja została przemianowana na t. zw. Kompanję Powiatową i jako taka rozplynęła się w szeregach wojska. Ja zaś sam zameldowałem się na front i zostałem przydzielony do Ekspedycji Wojskowej na Spisz i Orawę.

Rozdział XXXVI.

Odwykłem od wyjazdu na front, więc dzisiaj jestem nieco przejęty. Jest to połowa grudnia 1918 roku; śnieg prósz i skrzy się w przebijającym przez chmury słońcu. Jakoś raźnie się czujemy. Na dworcu kolejowym muzyka gra żołnierskie melodie. Kolejarze entuzjastycznie nas żegnają. Konie rżą w wagonach — to dobry omen. Jadą dwie kompanje piechoty i jedna kompanja karabinów maszynowych. Nieliczna to grupa, niepełna trzystu ludzi licząca, a jednak pokaźna to siła. Oficerowie i żołnierze to zespół ludzi, zaprawionych w wojnie, no i nie dawni heloci, ale świadomi celu żołnierze-ochotnicy. Na czele grupy kapitan Jakubiczka; oficerowie tej miary, jak por. Kumor, Kwapiński, Majewski, Obstler, Jarosz, Nowaczyński, Ombach, Duch Bronisław, Kęsek, Klein, Huza, Bogusz, Mika i t. d., starszy sierżant Bittner, lekarz grupy kapitan, dr. Morus i Pawłowski, a żołnierze — sami górale: Marduły, Waksmundzcy, Nowobilscy, Pęksowie, Marczaki. Żeglenie i t. d. któżby zliczył tych — od Żywieczyzny aż do Dukielszczyzny — Podhalan.

Zjawia się na dworcu deputacja Rady Miejskiej. Pełniący funkcje starosty, Piątkowski, jako komisarz ludowy ze wzruszeniem mówi o roli, jaką wojsko spełnia poszerzając granice Państwa: — Przykro nam bardzo, — przemawia działacz tutejszy, dr Dudziński, — że na pobratymców idziemy i braci Czechów nie chcemy krzywdzić, ale skoro sięgają po nasze odwieczne ziemie — trudno, niechże wasze bagnety uturują drogę, a ogień karabinów niech dosięże południowych granic Spisza i Orawy.

Ślaniają się sztandary kolejarzy, szkół i pułku naszego, zwanego teraz przez brygadjera, ppułk. A. Galicę Pierwszym Pułkiem Strzelców Podhalańskich.

Pociąg rusza.

Za godzinę jesteśmy na miejscu, t. j. w Piwnicznej. Po wywaggonowaniu i uporządkowaniu oddziałów natychmiast ruszamy przez Hanuszową w kierunku Lubomli. Śnieg skrzypi pod stopami. Droga ciągnie się pod górę, więc wolno się posuwamy. Przed nami jakie sto kroków maszeruje pluton artylerji górskiej. Mają dwa działa polowe z czasów chyba Marji-Teresy.

— Jaka jest, taka jest, ale jest polska artylerja — mówi do mnie z zadowoleniem ppor. Jarosz.

Śnieg prósz, skrzypią koła wozów i buty żołnierskie, konie parskają. Wreszcie osiągamy szczyt góry. W dali majaczy Lubomla. Jeszcze kilkaset kroków i wkraczamy do miasteczka. Mieszkańcy witają nas okrzykami: „Niech żyje wojsko polskie“! Zajmujemy kwatery, ustawiamy dookoła miasteczka straż.

Nazajutrz świtanie ruszamy na południe. Chodzi o uprzedzenie Czechów przez zajęcie Podolińca. Więc walimy podwodami. Mkną sanie wesoło. Okolica prześliczna. Przed poszczególnymi wsiami ludność wita nas owacyjnie. Zaczęły Spiszaki wynosić na gościniec kotły z gorącą herbatą, dzbany mleka, bochny białego chleba, papierosy, masło, sery.

— Niech żyją Polacy! — krzyczą pędraki spiszackie, snujące się wśród nas.

— Witajcie, bracia Polacy i zostańcie z nami — mówią starzy.

— Niech żyje Spisz i Orawa! — wołamy w odpowiedzi.

Mijamy Gniazdy. Popołudniu stajemy w Podolińcu, gdzie nas owacyjnie i gościnnie przyjmuje ludność. Są wieści, że Czesi ze znaczną siłą, z ciężką artylerją maszerują naprzeciw nas. Dalsza droga na Busocz. I tu witają nas bardzo serdecznie. Wiwatom, okrzykom: — Bracia - Polacy! na zdar! živio! — niema końca. Wieczorem docieramy do miejscowości Strażki. Choć ciemno już, na szosie tłoczą się mieszkańcy, witając nas i goszcząc, aż nam dziwnie, skąd tyle sympatji i serca mają ci zapomniani dotąd przez nas bracia Spiszacy. W Strażkach właściciel miejscowego zamku, baron, starszy pan kazał dla żołnierzy zastawić stoły; służba wtacza kilka éwiartówek piwa, żołnierze są przyjęciem wzruszeni. Trzeba ich widzieć, jak w świetle migotających dużych świec spożywają z powagą gulasz, jak delikatnie łamią kromy pszennego chleba, jak smakują piwo. Wreszcie okrzyk: Niech żyje baron! — i hojny gospodarz setką ramion wsparty woła: — Niech żyje wojsko polskie!

Poczem oficerów zaprasza do sali jadalnej. Wchodzimy tam wprost zażenowani uprzejmością gospodarza. Z ram obrazów patrzą na nas szernie postacie w strojach węgierskich i polskich.

Ale, tak mi się zdaje, że ich oczy radują się na nasz widok. Kolać uroczysta, choć skromna. Między pieczysem a deserem wnosi baron starym węgryzmem toast na cześć Polski. Jako najstarszy rangą oficer, gdyż kpt. Jakubiczka wyjechał dla przeprowadzenia pertraktacji z Czechami do Kieżmarku, odpowiadam serdecznie i z wyrazami wdzięczności, w imieniu żołnierza polskiego. Baron, choć w kolanach się chwieje, na laskach podchodzi i życzy sukcesów orężowi polskiemu.

W międzyczasie wraca deputacja z Kieżmarku, gdzie w wyniku pertraktacji z Czechami, powołującymi się na dyspozycje Ententy, dostaliśmy z dowództwa sztabu generalnego, reprezentowanego przez por. sztabu generalnego, Bułowskiego rozkaz, niestety cofnięcia się i opuszczenia Spisza.

I oto ściągamy strażę i o północy rozpoczynamy odwrót. Żołnierze klną na czem świat stoi, oficerowie też, tylko niewiadomo kogo. Nie może nam się w głowach pomieścić, dlaczego się cofamy, dlaczego ziemię Spiską, z jej mieszkańcami tak do Polski ciążącymi mamy zostawić na pastwę losu.

— Więc kto, psiakrew, ma tu być? Węgrzy, którzy ich setki lat napróżno madjaryzowali, czy pepiczki sakramenckie? — złoścą się oficerowie. — Ale jakim prawem?

Te uwagi wypowiadają też nieuczone usta górali-żołnierzy. Maszerujemy w milczeniu. Kumor twierdzi, że kapitanowi Jakubiczce zaimponowali Czesi w mundurach austriackich sztabowców. Usprawiedliwiał się niepotrzebnie kpt. Jakubiczka, że sprawę przynależności Spisza rozstrzygnie jakiś Komitet w Paryżu.

— Do cholery! — klną oficerowie — mamy trzysta karabinów, dwa działa, sześć karabinów maszynowych.

— Tak! a oni — odcina się Jakubiczka — wjechali pociągiem pancernym, wywagonowali w moich oczach cztery ciężkie haubice, nie mówiąc o artylerji górskiej.

— No, a my bagnety i... zęby — rzucił rozżalony Kumor.

Nastąpiła cisza, słychać tylko pokaszliwania. Gwiazdy nad nami migocą przyjaźnie, ale jakoś żałośnie. Marsz nasz z krótkimi wycieczkami trwał aż do późnego popołudnia. Już słońce zaszło, gdyśmy znużeni stanęli w Piwnicznej, gdzieśmy się rozłożyli na kwaterach.

Tutaj dowiedzieliśmy się, że Praga Czeska powiadomiona o wymarszu na Spisz wojska polskiego zrobiła alarm i zmobilizowała całą dywizję. Była to kaczka, jak się później okazało, ale wystarczała, by nas cofnąć.

Nazajutrz wyjechał kpt. Jakubiczka do Nowego Sącza po ścisłe rozkazy co do dalszej akcji. Oczywiście dyrektywy musiały mieć aprobatę Warszawy. A tymczasem oficerom coś się troi w głowach. Bo wręcz warjacka rodzi się myśl, by na wypadek braku zgody ze strony Warszawy ogłosić republikę podhalańską, obejmującą połąć podkarpacką od Dukli po Bielsko, zając Spisz i Orawę, a wodzem obwołać brygadiera Galicę. Te szalone pomysły, których wcale, nie uważaliśmy za tak znowu szalone, zważył kpt. Jakubiczka po powrocie z Nowego Sącza. Brygadjer Galica musiał rozkaz D. O. Gen. z Krakowa respektować. Czesi na terenie międzynarodowym rozwinęli olbrzymią agitację, zwłaszcza wśród misji wojskowych Ententy, których pełno w Czechach. No i przekonywują ich o „nienaruszalnych prawach“ Czechów do Słowaczyny, Spisza i t. d. Gdy Jakubiczka skończył wyjaśnienie, zapanowało milczenie. Rozeszliśmy się źli, oczekując dalszych rozkazów. Tymczasem mamy czekać w Piwnicznej.

Nazajutrz jednak, t. j. dziewiętnastego grudnia, dostaliśmy rozkaz, ponowny bezwzględny zajęcia Kieżmarku. Rozkaz nadszedł telegraficznie w nocy, więc już o piątej rano trąbiono pobudkę.

Dzień był mroźny, wiatr hulał na rynku w Piwnicznej tak, że przewracał nam w kozły ustawioną broń. Konie kulily się zziębnięte. Dniało, gdy po sprawdzeniu stanu ludzi, koni, broni, rynsztunku — ruszyliśmy do Szczawnicy naprzelaj, wprost przez góry. Tabory i kuchnie szosą ruszyły przez Stary Sącz.

Zmarznięty, mimo, że ułańską miałem baranicę, maszerowałem pieszo, wiodąc za uzdę wierzchowego konia, zwanego Grzesiem. Był ze mną tak zaprzyjaźniony, że i teraz mu się na figle zbiera i zębami chwytą mnie za kołnierz.

Gdy zeszlśmy z szosy i gęsiego posuwali się w dziewiczym, głębokim śniegu wkrótce przestało nie tylko dokuczać zimno, ale nawet rozpięliśmy płaszcze. Konie i ludzie parowali. Muszę przyznać po doświadczeniu w marszach wysokogórskich w Karyntji i Tyrolu, że marsz dzisiejszy jest szczególnie trudny. Pod górę szło się jako tako, gorsze zejście. Wydmuchane wichrem stoki, pozbawione śniegu stanowiły często gładką taflę lodową. Toteż zwłaszcza dla koni objuczonych karabinami maszynowymi zejście było wprost niemożliwe. Musieliśmy wszyscy, nie wyłączając podoficerów i oficerów, brać na ramiona skrzynie z amunicją, sprzęt i t. p. Mimo wytężonej pomocy stoczyły się trzy konie z wysokości dwudziestu metrów, pociągając za sobą żołnierzy. Na

szczyćście doskonała rasa góralskich, małych koni i silne ich nogi ocaliły je przed katastrofą.

Koło drugiej południu dobrnęliśmy przez zasypy śnieżne do Szczawnicy. Poza małemi okaleczeniami i zadrapaniami wyszliśmy bez szwanku, a co ważniejsze dzielne konie przeszły cało i zdrowo. W Szczawnicy otrzymałem rozkaz, by na czele przedniej straży w sile stu dwudziestu ludzi i czterech karabinów maszynowych zająć Starą Wieś, w której miał kwaterować bataljon czeski.

Ruszyliśmy po krótkim wypoczynku. Zmierzch zapadał, gdy stanęliśmy w Krościenku. Wskazano nam tu, jako najczynniejszego, adwokata Zielińskiego. Jakżeż się ucieszył na nasz widok. Powyciągał z ukrytych loszków wódki, miody, zakąski, częstował żołnierzy, oficerów zaprosił na kolację. Osobiście obiegł całe Krościenko, rekrutując dla nas podwody. W niespełna półtorej godziny podjechało około pięćdziesiąt furmanek, względnie sań. Chodziło o zdeзорjentowanie wywiadu czeskiego, co do naszej siły liczebnej. Dlatego też ładuję po trzech ludzi do sań. Był to oczywiście manewr. Odstęp między saniami wynosił do ośmiu metrów. Wyciągnęła się więc kolumna blisko kilometr długa. Śnieg sypał gęsty i na zasypanej szosie bez przewodnika łatwo było w ciemnościach nocy zjechać do rowu.

Usiadłem w pierwszych saniach. Żołnierze zostali pouczeni, by rozpowiadali, że to brygada idzie, a za nami dywizja. Dojechaliśmy dobrze po północy do wsi Kallenbach. Tam zaufany Spiszak, nazwiska nie pamiętam, starowina, gdyśmy zapukali w okno z oznajmieniem, że wojsko polskie idzie, wyszedł na dwór i z radości oficerów i żołnierzy po rękach całował. Wzięliśmy go za dalszego przewodnika, bo ciemno było bardzo i kurzyło tak, że własnej pięści byś nie rozpoznał.

Po dwóch godzinach marszu z należnem ubezpieczeniem, zostawiwszy podwody na skraju miasteczka, wkroczyliśmy do Starej Wsi. Mimo późnej pory w oknach paliły się światła. Wyjaśnił nam przewodnik, że tej nocy oczekiwany tu jest wmarsz wojska czeskiego.

Na rynku kazałem rozniecić duże ognisko. Zarządzony doraznie u mieszkańców wywiad ustalił, że istotnie rankiem mają wkroczyć Czesi i że miejscowi czechofile przygotowali dla nich przyjęcie. Trzeba było szybko działać.

Przedewszystkiem wysłałem patrol w sile czterdziestu ludzi, celem rozbrojenia miejscowej milicji. Poszło to łatwo; milicjanci tutejsi widząc postawę patrolu bez oporu wydali pięć-

dziesiąt karabinów i amunicję. Telefoniści przecięli druty telefoniczne i telegraficzne od strony czeskiej. Równocześnie ubezpieczyłem miasteczko ruchomymi patrolami.

Czas szybko schodził i nim obejrzeliliśmy się już minęła noc. Nastąpiła cudowna pogoda. Śnieg niepokalaną bielą tworzył prześliczny pejzaż. Dopiero teraz zauważyliśmy przygotowane dla Czechów bramy triumfalne. Rozkazałem je przenieść na stronę polską. Niechże napisy „živio“ uradują naszych żołnierzy. Przygotowane dla Czechów chleby, kielbasę, piwo, papierosy kazałem wydać ludziom. Można sobie wyobrazić, jak bractwo to wszystko wsuwało.

Świtaniem jeszcze wysłałem ppor. Ducha Bronisława z silnym plutonem do Matjašovic, gdzie miał obsadzić szosę w wąwozie Frankowej Góry.

Miejscowemu policjantowi dałem polecenie obejścia wszystkich urzędów z zapowiedzią, że urzędowanie ma trwać dalej. O dziewiątej zjawiłem się z patrolem w budynku starostwa. Woźny wprowadził mnie do gabinetu starosty. Wszedłem z czapką w lewej ręce ze słowami:

— Porucznik X, dowódca przedniej straży brygady wojsk polskich.

Starosta Orszacki, szpakowaty, starszy pan, stanął obok biurka, oparłszy na niem lewą rękę.

— Czem mogę panu porucznikowi służyć — pyta mnie w języku węgierskim.

Nie rozumiejąc języka węgierskiego, proszę, by mi przełożył słowa na język polski.

— Wolę po polsku, niż po czesku, odpowiedział starosta dobrą polszczyzną.

— Tak! — odparłem. — Obejmuję władzę w imieniu Państwa Polskiego i wzywam pana do pełnienia nadal funkcji starosty do czasu jej przejęcia przez władze cywilne polskie.

— Kto pana, panie poruczniku, do tego upoważnił?

— Spełniam rozkaz brygadjera Galicy, a ten — rozkaz Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, odparłem, cedząc dobitnie każde słowo.

Na to starosta: — Pańska legitymacja?!

— Ach! Oto chodzi? Otworłem drzwi.

— Patrol do mnie!

Do gabinetu wkroczyło siedmiu uzbrojonych żołnierzy z najeżonymi bagnetami.

Armja niemiecka cofa się na linję Hindenburga. W Berlinie rozpacz i przerażenie. Jakto?! Po takich niesłychanych w dziejach, wprost oszalamiających sukcesach, czyżby widmo sztandarów zwycięskich wojsk Ententy... Unter den Linden? Silna zwycięstwami psychiką Niemców kruszy się i łamie. Łamią się szeregi na froncie palestyńskim i macedońskim. Pod wpływem świetnie prowadzonej ofensywy Franchet d'Esperey'a gnie się linja zajęta przez dywizje Bułgarów, zaczyna się odwrót i wreszcie 29-go września Bułgarja prosi o zawieszenie broni.

Z końcem października wojska Koalicji stoją już po obu stronach Dunaju pod Belgradem. Toteż oficerowie niemieccy w Sączu mają zwieszane głowy... a my prostujemy stężałe w niewoli karki.

Już 10-go października Rada Regencyjna proklamuje niepodległość wszystkich ziem polskich z dostępem do morza.

Ale naszym największym sprzymierzeńcem to głód, nędza, brak chleba, ubrań, węgla, gumy, brak wszystkiego no i zaraźliwe choroby, które szerzą się w niebywały sposób.

Już od kilku dni sytuacja wewnątrz Monarchji austriackiej jest katastrofalną. W wojsku rozprężenie, zamęt; dezercja staje się nagminnem zjawiskiem. Władze bezpieczeństwa tracą głowę. Na froncie w armji rozkład.

Cesarz Karol śle notę pokojową. W odpowiedzi na nią Wilson żąda samodzielności Polski, Czechosłowacji, Jugosławji.

Włosi rozpoczynają nad Piave kontrofensywę. 30-go października osiągnęli już linję Monticano - Vittorio - Veneto - Feltz-Assiago. Ale już 29-go października szły posły z Wiednia i Budapesztu z prośbą o zawieszenie broni. Włosi mimo to atakują w dalszym ciągu, a właściwie ścigają uciekających żołnierzy, których opuścili dowódcy. Linja włoska przesuwą się na Udine, górny bieg rzeki Taglimento, Belluno - Trydent. Wojska włoskie biorą do niewoli setki tysięcy, nie stawiających żadnego oporu żołnierzy armji Boreovica. Prasa włoska urbi et orbi ogłasza olbrzymią wiktoryę; tymczasem armja włoska nie miała prawie żadnych przeciwników.

Hrabia Burian, jakby na drwiny głosi austriacką federację ludów. Koalicja pod Belgradem; wybrzeże Belgji opróżnione.

Węgrzy zagrożeni od południa ofensywą wojsk serbskich zrywają unję z Austriją i żądają wycofania swoich pułków z frontu włoskiego.

* * *

Wieści płyną, jak lawina. Ludność jest zelektryzowana. W powietrzu na włosku wisi... bomba rewolucji.

W Galicji urwała się właściwie już 30-go października, Sygnałem to zwycięstwo na Bałkanie Franchet d'Esprey'a. A potem bunt garnizonu chorwackiego w Zagrzebiu. Tam wystawiono na odwachu narodową chorągiew chorwacką.

Praga czeska, niby jabłoń obciążona dojrzałym owocem strząsnęła z siebie nalot austriacki, głosząc Czeską Republikę.

Kolejarze polscy wprowadzają w Galicji, jako urzędowy, język polski. Na zebraniach obywatelskich padają od szeregu dni jawne okrzyki: hańba Austrii, precz z Prusakami.

Rozdział XXXV.

W Nowym Sączu w dniu 31-go października 1918 roku raniem na budynku stacji kolejowej rozpinają kolejarze olbrzymi transparent z napisem: „Wolna, Zjednoczona, Niepodległa Polska“!

W mieście jakiś dziwny ruch; rozjaśnione twarze; powitaniem ostentacyjne, Cześć! Na czapkach w miejsce bączków austriackich założone polskie orzełki. Żołnierze tłumnie dezertują. Na placu przed domem robotniczym jawna zbiórka naszej kompanji, wszyscy uzbrojeni.

— Baczność! prezentuj broń! na ramię broń! czwórkami w prawo zwrot! Odrąbiono!

„Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg!...

Dźwięczą na bruku podkute buty równo w takt pieśni. Walimy do koszar. Wylękły wachmistrz - Niemiec kryje się... w wychodku. Wita nas zato radośnie zastępca oficera, Adamkiewicz.

— Do nogi broń! Spocznij!

Biegniemy do kasyna oficerskiego. Jest tam zebranie. Dowódca garnizonu pułk. Falle siedzi blady, jakby na sądzie. Obok wierny Austrii dowódca pułku, ppułk. Januszewski. Część oficerów, t. j. Niemcy, Węgrzy, Żydzi — pouciekali, albo kryją się na kwaterach.

Naprzeciw austriackich komendantów występuje por. Szczepański. Mówi twardo i krótko:

— Z Austrią koniec, kto nie z nami, ten przeciw nam, a kto przeciw nam, niech wystąpi!...

Cisza. Austriacy siedzą nieruchomo, tylko im drgają kąciki ust, tylko ich czoła perłą się od potu...

W sali obok muzyka dęta. Por. Polakowski uchylił drzwi i skinął na kapelmistrza.

— Zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła“...

Mocno, jak nigdy o ściany austriackich koszar bije po raz pierwszy urzędowo hymn polski. Stanęliśmy wszyscy na baczność! Gorętsi śpiewają. A potem jakiś bezwolny nakaz, bo oto komendant, pułk. Falle odpina szablę, kładzie na stole i z chusteczką na oczach, chwiejąc się wychodzi, jak nieprzytomny. Por. Polakowski rzuca się w ramiona najbliższego sąsiada, całują się, to samo niemal wszyscy; oficer ściska żołnierza.

— Niech żyje Polska!

Ktoś intonuje: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“... muzyka grzmi, na dziedzińcu tłumi. Rzucają ku nam kwiaty, powiewają chusteczkami.

— Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

Okrzyk ten niesie echo ku Tatrom i za Wisłę i nad Zbrucz i hen za Warszawę, Wilno, Poznań, Gdańsk!

*

*

*

Rozpoczęły się dni pełne emocji.

W Niemczech rewolucja, zaczęli ją zbuntowani marynarze. 9-go listopada ogłoszono oficjalnie abdykację Wilhelma II i zaprowadzenie Republiki. Wilhelm ucieka do Holandji, ale ma rację, bo na zamku w Berlinie czekają go muszkietrzy z salwą, tym razem ostremi nabojami. 10-go listopada Niemcy kapitulują. W ciągu dwóch tygodni mają opuścić okupowane obszary, Alzację, Lotaryngję, wydać jeńców, flotę, broń, parowozy. Traktat Brzeski i Bukareszteński zniesiony. Na Węgrzech rewolucja. Tisza zastrzelony. Objawia się Bela-Kuhn, jako przywódca komuny.

Cesarz Karol ucieka z Wiednia i schronienia szuka przed zrewoltowanym tłumem w Gödölö.

Nemesis! Nie przewidywaliśmy ciebie w takim rozmiarze.

Zjednoczenie Polski dokonywa się w potokach krwi, która leje się na wszystkich niemal jej granicach. Niestety, Koalicja pozostawiła Niemców w byłym zaborze pruskim. Polacy tamtejsi własnymi siłami wyrzucają najeźdźców.

W Galicji wschodniej „Ukraińska Rada Narodowa“ przy poparciu austriackich władz wojskowych, ujmuje w swoje ręce władzę we Lwowie i we wszystkich miastach w Galicji wschodniej. Zaskoczyło to nieprzygotowaną na to ludność polską.

W nocy z dnia 2 na 3-go listopada we Lwowie Polacy zrywają się do walki z Ukraińcami, zajmując dworzec kolejowy pod dowództwem sądeczanina, kapitana legjonowego, Pierackiego. Nie tylko mężczyźni, ale kobiety i dzieci, chłopcy i dziewczęta stają w okopach z karabinem w ręku. Poświęcenie i bohaterstwo bezprzykładne. Obrona Lwowa budzi dreszcz i elektryzuje cały naród.

W dniu 11-go listopada Daszyński ogłasza Rząd Ludowy w Lublinie. Zaczyna się okres chaosu. Ale na szczęście w dniu 11-go listopada wraca wypuszczony przez Niemców z Magdeburga Józef Piłsudski. Wnosi uspokojenie i w swej osobie koncentruje Majestat Państwa...

*

* *

Wschód pali się dalej czerwonym płomieniem. Bolszewizm, jako idea zmierzająca do obalenia ustroju kapitalistycznego i zbudowania na jego gruzach nowego ustroju socjalistycznego, niesie z sobą wiew nowej ery w dziejach ludzkości. Niestety, w wykonaniu jest on wyładowaniem zwierzęcych instynktów, orgją teroru. Obawiam się, że nie stanie się źródłem odrodzenia, lecz przeciwnie cofnie kulturę wstecz, zepchnie człowieka do prymitywu i w rezultacie wytworzy tem większy ucisk klasowy. Rozpętały się tam najbardziej pierwotne instynkty. O ile nie przyjdą do głosu elementy środka, czekają Rosję jeszcze długoletnie walki domowe.

*

* *

W Sączu organizuję z kompanji P. O. W. Milicję Wojskową. Dowództwo powiatu obejmuje początkowo płk. Strubiński, potem mjr. Trzciński.

Na gwałt obsadzam magazyny i składy. Na ulicę wypełzły szumowiny, baby z workami, dzieci z pustymi koszami, tu i owdzie hieny rzuciły się na rabunek wszystkiego co się da, onuce, buty, pasy rzemienne. Musiałem temu przeciwdziałać. Wszak to ekwipunek jutrzejszych polskich sił zbrojnych. Bezpieczeństwo miasta zdane na Bożą opiekę. Siłę zbrojną stanowi kilkudziesięciu oficerów, brak tylko szeregowców i podoficerów. Kilkunastu policjantów miejskich, zwanych „drewniakami“, jako, że jak złośliwi twierdzą, mają drewniane szable, nie mogło nic zrobić.

Oddział powstańczy przemianowany przeze mnie na Milicję Wojskową przygotowany był głównie do walki z nieprzyjacie-

łem, mniej do służby bezpieczeństwa. Na szczęście obrońców c. k. Monarchji jakoś nie widać.

Żadnych rozkazów co do sposobu służby nie odebrałem, zresztą któż ma mi je wydać. Nasze zadania są nieokreślone. Kadra pułku rodzimego w Tarnowie, pułk walczy na froncie włoskim.

Tymczasem zawierucha wojenna w pełni na zachodzie i na południu, od wschodu i od Budapesztu wieje swąd bolszewizmu. Nastroje ludności biegną w różnych kierunkach. Tylko wieś syta i dostatnia śpi, płacąc za to wielki podatek krwi. Każdy wie, że jakoś się to ułoży, ale tymczasem trzeba... działać.

Jeszcze z końcem października na tajnym posiedzeniu Obro-ny Obywatelskiej, złożonej z wybitniejszych przedstawicieli lud-ności miasta i wsi okolicznych, oświadczyłem gotowość zorgani-zowania siły zbrojnej i zabezpieczenia mienia i życia obywateli pod warunkiem, że miasto swoim kosztem utrzyma żołnierzy. 30-go października na zebraniu obywatelskim zażądałem 10 koron dziennie na poszczególnego milicjanta, z czego pięć koron na koszty wyżywienia i utrzymania, pięć koron na żołd. Uzyskałem zgodę i mając nomicję z krakowskiego P. O. W. za aprobatą do-wódcy powiatu, majora Trzcńskiego, zostałem mianowany ko-mendantem, poczem natychmiast przystąpiłem do pracy. Nadając Milicji nazewnątrż cechy czysto wojskowej organizacji, miałem na celu, obok służby bezpieczeństwa publicznego, opanowanie kryzysu ekonomicznego przez uregulowanie aprowizacji, złago-dzenie nędzy i głodu przez zahamowanie cen na artykuły pierw-szej potrzeby, rosnących w niebywały sposób i przez tępienie hien-paskarzy.

*

*

*

W Krakowie, dokąd w celach służbowych wyjechałem, za-szedłem w odwiedzinę do ppor. Izdebskiego. Pełni on tymczaso-wo, jako inwalida-rekonwalescent, gdyż ma nogę przestrzeloną w kostce, funkcje komendanta magazynu broni.

Pod oknami kancelarji co kilka minut regularnie przechodzi posterunek z karabinem na ramieniu. Postawa doskonała.

— Patrz! mówię do Izdebskiego, — jak odrazu nasi żołnierze uzyskali formę.

— Nic dziwnego, odpowiada Edzio, przypatrz się lepiej temu żołnierzowi, znasz go.

Gdy posterunek mijał okno, wpatrzyłem się zaciekawiony w twarz żołnierza. Czyżby?! Tak, potwierdził Izdebski, to por.

Krawczyński. W dniu przepędzenia Austriaków zgłosił się natychmiast do służby w wojsku polskim. Niestety, brakło szeregowych. Więc Krawczyński na szeregowca się zameldował i pełni służbę wartowniczą. Niedługo tu zresztą zabawi, bo prosił o przydział do bataljonu posiłkowego dla Lwowa i już jest tam przeznaczony.

Wyszliśmy na dwór. Akurat mijał nas Krawczyński. Salutowaliśmy pierwsi. Odpowiedział przesunięciem dłoni wzdłuż rzemienia i zwrotem głowy na prawo. I poszedł dalej wyznaczoną ścieżką.

— Ale takich mamy więcej w Krakowie, dorzucił Izdebski. Bardzo wielu akademików, mających stopnie oficerskie, zgłosiło się na... szeregowców.

*

*

*

Milicja, w której przeprowadzam bardzo ścisłą selekcję, różnie jak na drożdżach.

Rozbrajamy stacjonujący celowo w Nowym Sączu ruski dziesiąty pułk i internujemy pięciuset Rusinów, żołnierzy i oficerów w koszarach. Zabieramy im broń, amunicję, rynsztunek.

Władzę zwierzchnią Milicji stanowi właściwie t. zw. Powiatowa Komisja Likwidacyjna, z naczelnikiem warsztatów kolejowych, inż. Suchankiem na czele.

Z pośród oficerów dobrałem do pomocy ppor. Michalika, ppor. Małyse, i ppor. artylerji, Świebckiego.

W dniu 2-go listopada w porozumieniu z Powiatową Komisją Likwidacyjną zarządziłem pobór wśród kolejarzy. Uzyskałem w ten sposób stan liczebny przeszło stu osiemdziesięciu ludzi. Z liczby tej wysortowałem słabszy fizycznie element, ograniczając się do cyfry stu pięćdziesięciu ludzi.

W dniu 2-go listopada w sali ratuszowej wobec zgromadzonej w komplecie Komisji oddział złożył przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Przemówił do nas wzruszony prezes Komisji, nazywając nas gwardją narodową, częstką przyszej armji polskiej. Odpowiedziałem w podzięce:

— Milicja to dalszy etap walki o niepodległość, realny czyn Polskiej Organizacji Wojskowej. Mamy jedną dewizę: Polskę! Pomieszały się w naszych szeregach lata i rangi społeczne, stają obok siebie inteligent i robotnik, kupiec i włościanin.

Wymaszerowaliśmy potem z ratusza czwórkami. Na ramionach milicjantów widnieją białe-czerwone opaski.

Trzeciego listopada rankiem wyszły pierwsze posterunki. Podzieliłem Milicję na trzy plutony po pięćdziesiąt ludzi, z tych jeden na służbie, jeden w rezerwie, reszta na spoczynku. Zastosowałem tu ośmiogodzinną zmianę.

Oficerom zleciłem różne działy, a to ppor. Michalikowi — organizację, wyszkolenie i służbę zewnętrzną; ppor. Małysie — śledztwa, sprawy polityczne i opiekę nad powiatem; zaś ppor. Świebickiemu przydzieliłem referat ekonomiczny, tępienie paskarstwa w porozumieniu z Komisarzem Ludowym, oraz intendurę Milicji.

Wydałem szereg zarządzeń co do porządku na mieście, między innemi na własną rękę poleciłem, by z uwagi na gwałtowny spadek korony i stąd pochodzące podrażnienie towaru kupcy wystawiali w oknach wystawowych ceny z godziwym zyskiem kupieckim i zgodnie z fakturą i księgami. Cen tych nie wolno było podwyższać. Toteż ceny na ziemi sądeckiej przez kilka tygodni utrzymały się na jednym poziomie. Doszło do tego, że z sąsiednich okolic i miasteczek spekulanci zjeżdżali na zakupy do Sącza. Oczywiście ten stan rzeczy nie dał się na dłuższą metę utrzymać. Cel jednak był osiągnięty. Zwyczajka cen przy ówczesnej nędzy łatwo mogła wywołać zaburzenia.

Na mieście pojawiły się wielkie gromady chłopskie. Zachodziła obawa pogromów żydowskich, wobec czego wydałem surowy zakaz wyszynku wódki. Trwało to jednak krótko.

Tymczasem w okolicy, zwłaszcza w Brzesku, hulały męty społeczne. Nieznani agitatorzy podburzali naiwnych kmiotków i bezroboczych. Rozpoczął się rabunek sklepów i mieszkań prywatnych; nad Brzeskiem i okolicą zapłonęły luny.

W tych warunkach przygotowywałem t. zw. oddział posiłkowy, gdy dowódca powiatu, mjr. Trzeński zażądał jednego plutonu na pomoc wojsku polskiemu, walczącemu z Ukraińcami pod Sanokiem. Wydzieliłem jeden pluton ochotników z ppor. Kicką na czele. W kilkanaście dni potem nadeszła wiadomość o jego bohaterskiej śmierci na polu walki.

Szczególnie dużo sił absorbowało mi strzeżenie pięciuset żołnierzy Rusinów z 10-go pułku piechoty, których wobec walk we Lwowie — nie można było z Nowego Sącza wypuścić. Mnóstwo też oficerów austriackich kryło się po kwaterach. W obawie, by nie wnosili fermentu, Dowództwo powiatu kazało ich wyłapać i przymknąć. Zresztą byli to przeważnie łapownicy i złodzieje. Dokonana przez Milicję rewizja w ich mieszkaniach dała sensacyjne wyniki. Dość powiedzieć, że np. w mieszkaniu kapitana

Waltera z 32-go pułku austriackiej „Landwehry“, znaleziono kilkanaście futer, masę prowiantów, nawet wina szampańskie, ceną biżuterję, stosy bielizny wojskowej, setki pasów, ładownic. Na dwóch furgonach kazalem to zawieść do Komendy Milicji. Wszystko to zostało przez powołaną przeze mnie Komisję z przedstawicieli Milicji, Magistratu i Starostwa zinwentaryzowane i złożone do depozytu w Magistracie. Niestety, sam kpt. Walter, widocznie ostrzeżony o zamierzonym aresztowaniu, uciekł pieszo do Marcinkowic, gdzie wsiadł w pociąg, uwożąc ze sobą kasę wojskową podobno z przeszło stu tysiącami koron.

Opiekę nad powiatem przejęła następnie żandarmerja. W tym celu mjr. Trzcíński zwołał wszystkich żandarmów do Komendy. Tutaj zostali oni rozdzieleni wedle narodowości. Z pośród ochotników do służby polskiej przesiedlono Rusinów do ośrodków polskich, Polaków do ruskich, resztę zwolniono. Znaczna część żandarmów wcieliłem do Milicji. Uzyskałem w ten sposób fachowy materiał do służby bezpieczeństwa. Zadania Milicji i kompetencje były coraz większe.

Wywiad na mieście zarządzony ustalił, że, zwłaszcza w żydowskiej dzielnicy, odbywają się tajne zebrania. Wśród żydów istniała konsternacja i fałszywa, co do Polaków orjentacja. Obawiano się powstającej Polski, jakichś rozruchów, mordów, rabunków. Wszystko to wyrosło oczywiście na podłożu plotek i manji prześladowczej, ale i skłaniało ich do potrzeby przygotowania samoobrony. Oczywiście urojenia te były zręcznie przez wrogie nam elementy potęgowane.

Zarządziłem kilka doraźnych interwencji patrolów oficerskich i rozwiązanie kilku zebrań żydowskich, jako nielegalnych, co spowodowało pewne uspokojenie. Niemniej zarządzane przez mjr. Trzcíńskiego rewizje w dzielnicy żydowskiej ujawniły masę broni palnej, granatów ręcznych i t. p. Broń tę skonfiskowano. W kilka dni potem zjawiała się w mojej kancelarji deputacja kupców żydowskich z żądaniem wzięcia ludności żydowskiej pod specjalną opiekę, oraz utworzenia oddziału żydowskiej milicji dla strzeżenia ich dzielnicy. Oparłem się temu stanowczo; Żydzi mogą być przyjęci do Milicji na zasadach ogólnych, ochrona zaś ich interesów jest traktowaną na jednej płaszczyźnie z interesami Polaków.

Zresztą Żydzi byli naogół lojalni, bez entuzjazmu, ale z rzeczowem odniesieniem się do Polski. Bali się tylko rozruchów antysemickich. I w Sączu były w tym kierunku próby.

W połowie listopada zjechała na rynek nadzwyczajna ilość próżnych furmanek. Asystowali im jacyś nieznani chłopci, uzbrojeni w pały i laski. Kazałem wystawić jeden karabin maszynowy u wylotu ulicy Jagiellońskiej, zaś drugi od strony dzielnicy żydowskiej. Wkroczył następnie na rynek w doskonałej postawie pluton Milicji w pełnym uzbrojeniu. Zarządzony przez ppor. Michalika przegląd karabinów i trzask odwiedzionych zamków wywarły wielkie wrażenie. Podziało to deprymująco na niedoszłych rabusiów, bo chyłkiem, pojedynczo wymykali się z rynku. Zresztą byliśmy zdecydowani otworzyć ogień w razie najmniejszych zamieszek. W ten sposób obyło się bez rozlewu krwi, który wobec tego, że zjechało kilka furmanek, mógł przybrać groźne rozmiary.

Do zadań Milicji należała też opieka nad stanem sanitarnym miasta. Zarządziłem środki karne w stosunku do właścicieli niechlujnie utrzymanych domostw, obowiązek oczyszczania chodników, posypywania trotuaru piaskiem w czasie gołoledzi i t. p.

Milicja roztoczyła szczególną opiekę nad torem kolejowym tudzież mostami, wiaduktami w uzgodnieniu z Komendą Dworca Kolejowego w osobie por. Szczepańskiego.

Szkolenie Milicji szło głównie w kierunku walki otwartej z nieprzyjacielem w polu i do walki ulicznej. Dużo energii i pracy poświęcił tu ppor. Michalik, oraz starszy sierżant Bittner. Również ppor. Świebicki, domorosły nasz intendencja i postrach paskarzy, okazał się znakomitą w swej funkcji. Milicjant miał zapewnioną ciepłą odzież, wygodne łóżko i kulturalne warunki. Kuchnia obfita, smaczna, była przedmiotem ogólnego podziwu, a nawet zazdrości ze strony żołnierzy, przybyłych z końcem listopada z kadrą pod dowództwem por. Gebła z Tarnowa.

Z nadejściem 20-go pułku z frontu, skąd przywieziono kilkuset żołnierzy, zagadnienie bezpieczeństwa było rozwiązane, a wobec jakiejś takiej stabilizacji stosunków w kraju po upływie sześciu tygodni zadanie Milicji ukończono. Milicja została przemianowana na t. zw. Kompanję Powiatową i jako taka rozplynęła się w szeregach wojska. Ja zaś sam zameldowałem się na front i zostałem przydzielony do Ekspedycji Wojskowej na Spisz i Orawę.

Rozdział XXXVI.

Odwykłem od wyjazdu na front, więc dzisiaj jestem nieco przejęty. Jest to połowa grudnia 1918 roku; śnieg prósz i skrzy się w przebijającym przez chmury słońcu. Jakoś rażnie się czujemy. Na dworcu kolejowym muzyka gra żołnierskie melodje. Kolejarze entuzjastycznie nas żegnają. Konie rżą w wagonach — to dobry omen. Jadą dwie kompanje piechoty i jedna kompanja karabinów maszynowych. Nieliczna to grupa, niespełna trzystu ludzi licząca, a jednak pokaźna to siła. Oficerowie i żołnierze to zespół ludzi, zaprawionych w wojnie, no i nie dawni heloci, ale świadomi celu żołnierze-ochotnicy. Na czele grupy kapitan Jakubiczka; oficerowie tej miary, jak por. Kumor, Kwapiński, Majewski, Obstler, Jarosz, Nowaczyński, Ombach, Duch Bronisław, Kęsek, Klein, Huza, Bogusz, Mika i t. d., starszy sierżant Bittner, lekarz grupy kapitan, dr. Morus i Pawłowski, a żołnierze — sami górale: Marduły, Waksmundzcy, Nowobilscy, Pęksowie, Marczaki. Żeglenie i t. d. któżby zliczył tych — od Żywieczyzny aż do Dukielszczyzny — Podhalan.

Zjawia się na dworcu deputacja Rady Miejskiej. Pełniący funkcje starosty, Piątkowski, jako komisarz ludowy ze wzruszeniem mówi o roli, jaką wojsko spełnia poszerzając granice Państwa: — Przykro nam bardzo, — przemawia działacz tutejszy, dr Dudziński, — że na pobratymców idziemy i braci Czechów nie chcemy krzywdzić, ale skoro sięgają po nasze odwieczne ziemie — trudno, niechże wasze bagnety utorują drogę, a ogień karabinów niech dosięże południowych granic Spisza i Orawy.

Ślaniają się sztandary kolejarzy, szkół i pułku naszego, zwanego teraz przez brygadjera, ppułk. A. Galicę Pierwszym Pułkiem Strzelców Podhalańskich.

Pociąg rusza.

Za godzinę jesteśmy na miejscu, t. j. w Piwnicznej. Po wywaggonowaniu i uporządkowaniu oddziałów natychmiast ruszamy przez Hanuszową w kierunku Lubomli. Śnieg skrzypi pod stopami. Droga ciągnie się pod górę, więc wolno się posuwamy. Przed nami jakie sto kroków maszeruje pluton artylerji górskiej. Mają dwa działa polowe z czasów chyba Marji-Teresy.

— Jaka jest, taka jest, ale jest polska artylerja — mówi do mnie z zadowoleniem ppor. Jarosz.

Śnieg prószy, skrzypią koła wozów i buty żołnierskie, konie parskają. Wreszcie osiągamy szczyt góry. W dali majaczy Lubomla. Jeszcze kilkaset kroków i wkraczamy do miasteczka. Mieszkańcy witają nas okrzykami: „Niech żyje wojsko polskie“! Zajmujemy kwatery, ustawiamy dookoła miasteczka strażę.

Nazajutrz świtanie ruszamy na południe. Chodzi o uprzedzenie Czechów przez zajęcie Podolińca. Więc walimy podwodami. Mkną sanie wesoło. Okolica prześliczna. Przed poszczególnymi wsiami ludność wita nas owacyjnie. Zaczne Spiszaki wynoszą na gościniec kotły z gorącą herbata, dzbany mleka, bochny białego chleba, papierosy, masło, sery.

— Niech żyją Polacy! — krzyczą pędraki spiszackie, snujące się wśród nas.

— Witajcie, bracia Polacy i zostańcie z nami — mówią starzy.

— Niech żyje Spisz i Orawa! — wołamy w odpowiedzi.

Mijamy Gniazdy. Popołudniu stajemy w Podolińcu, gdzie nas owacyjnie i gościnnie przyjmuje ludność. Są wieści, że Czesi ze znaczną siłą, z ciężką artylerją maszerują naprzeciw nas. Dalsza droga na Busocz. I tu witają nas bardzo serdecznie. Wiatom, okrzykom: — Bracia - Polacy! na zdar! živio! — niema końca. Wieczorem docieramy do miejscowości Strażki. Choć ciemno już, na szosie tłoczą się mieszkańcy, witając nas i goszcząc, aż nam dziwnie, skąd tyle sympatji i serca mają ci zapomniani dotąd przez nas bracia Spiszacy. W Strażkach właściciel miejscowego zamku, baron, starszy pan kazał dla żołnierzy zastawić stoły; służba wtacza kilka ćwiartówek piwa, żołnierze są przyjęciem wzruszeni. Trzeba ich widzieć, jak w świetle migotających dużych świec spożywają z powagą gulasz, jak delikatnie łamią kromy pszennego chleba, jak smakują piwo. Wreszcie okrzyk: Niech żyje baron! — i hojny gospodarz setką ramion wsparty woła: — Niech żyje wojsko polskie!

Poczem oficerów zaprasza do sali jadalnej. Wchodzimy tam wprost zażenowani uprzejmością gospodarza. Z ram obrazów patrzą na nas szerniałe postacie w strojach węgierskich i polskich.

Ale, tak mi się zdaje, że ich oczy radują się na nasz widok. Kolacja uroczysta, choć skromna. Między pieczysem a deserem wnosi baron starym węgryzmem toast na cześć Polski. Jako najstarszy rangą oficer, gdyż kpt. Jakubiczka wyjechał dla przeprowadzenia pertraktacji z Czechami do Kieżmarku, odpowiadam serdecznie i z wyrazami wdzięczności, w imieniu żołnierza polskiego. Baron, choć w kolanach się chwieje, na laskach podchodzi i życzy sukcesów orężowi polskiemu.

W międzyczasie wraca deputacja z Kieżmarku, gdzie w wyniku pertraktacyj z Czechami, powołującymi się na dyspozycje Ententy, dostaliśmy z dowództwa sztabu generalnego, reprezentowanego przez por. sztabu generalnego, Bułowskiego rozkaz, niestety cofnięcia się i opuszczenia Spisza.

I oto ściągamy strażę i o północy rozpoczynamy odwrót. Żołnierze klną na czem świat stoi, oficerowie też, tylko niewiadomo kogo. Nie może nam się w głowach pomieścić, dlaczego się cofamy, dlaczego ziemię Spiską, z jej mieszkańcami tak do Polski ciążącymi mamy zostawić na pastwę losu.

— Więc kto, psiakrew, ma tu być? Węgrzy, którzy ich setki lat napróżno madjaryzowali, czy pepiczki sakramenckie? — złoszczą się oficerowie. — Ale jakim prawem?

Te uwagi wypowiadają też nieuczone usta górali-żołnierzy. Maszerujemy w milczeniu. Kumor twierdzi, że kapitanowi Jakubiczce zaimponowali Czesi w mundurach austriackich sztabowców. Usprawiedliwiał się niepotrzebnie kpt. Jakubiczka, że sprawę przynależności Spisza rozstrzygnie jakiś Komitet w Paryżu.

— Do cholery! — klną oficerowie — mamy trzysta karabinów, dwa działa, sześć karabinów maszynowych.

— Tak! a oni — odcina się Jakubiczka — wjechali pociągiem pancernym, wywagonowali w moich oczach cztery ciężkie haubice, nie mówiąc o artylerji górskiej.

— No, a my bagnety i... zęby — rzucił rozżalony Kumor.

Nastala cisza, słychać tylko pokaszliwania. Gwiazdy nad nami migocą przyjaźnie, ale jakoś żałośnie. Marsz nasz z krótkimi wycieczkami trwał aż do późnego popołudnia. Już słońce zaszło, gdyśmy znużeni stanęli w Piwnicznej, gdzieśmy się rozłożyli na kwaterach.

Tutaj dowiedzieliśmy się, że Praga Czeska powiadomiona o wymarszu na Spisz wojska polskiego zrobiła alarm i zmobilizowała całą dywizję. Była to kaczka, jak się później okazało, ale wystarczała, by nas cofnąć.

Nazajutrz wyjechał kpt. Jakubiczka do Nowego Sącza po ścisłe rozkazy co do dalszej akcji. Oczywiście dyrektywy musiały mieć aprobatę Warszawy. A tymczasem oficerom coś się troi w głowach. Bo wręcz warjacka rodzi się myśl, by na wypadek braku zgody ze strony Warszawy ogłosić republikę podhalańską, obejmującą połąć podkarpacką od Dukli po Bielsko, zając Spisz i Orawę, a wodzem obwołać brygadiera Galicę. Te szalone pomysły, których wcale, nie uważaliśmy za tak znowu szalone, zwarzył kpt. Jakubiczka po powrocie z Nowego Sącza. Brygadier Galica musiał rozkaz D. O. Gen. z Krakowa respektować. Czesi na terenie międzynarodowym rozwinęli olbrzymią agitację, zwłaszcza wśród misji wojskowych Ententy, których pełno w Czechach. No i przekonywują ich o „nienaruszalnych prawach“ Czechów do Słowaczyny, Spisza i t. d. Gdy Jakubiczka skończył wyjaśnienie, zapanowało milczenie. Rozeszliśmy się źli, oczekując dalszych rozkazów. Tymczasem mamy czekać w Piwnicznej.

Nazajutrz jednak, t. j. dziewiętnastego grudnia, dostaliśmy rozkaz, ponowny bezwzględny zajęcia Kieżmarku. Rozkaz nadszedł telegraficznie w nocy, więc już o piątej rano trąbiono pobudkę.

Dzień był mroźny, wiatr hulał na rynku w Piwnicznej tak, że przewracał nam w kozły ustawioną broń. Konie kulily się zziębnięte. Dniało, gdy po sprawdzeniu stanu ludzi, koni, broni, rynsztunku — ruszyliśmy do Szczawnicy naprzelaj, wprost przez góry. Tabory i kuchnie szosą ruszyły przez Stary Sącz.

Zmarznięty, mimo, że ułańską miałem baranicę, maszerowałem pieszo, wiodąc za uzdę wierzchowego konia, zwanego Grzesiem. Był ze mną tak zaprzyjaźniony, że i teraz mu się na figle zbiera i zębami chwyta mnie za kołnierz.

Gdy zeszedliśmy z szosy i gęsiego posuwali się w dziewiczym, głębokim śniegu wkrótce przestało nie tylko dokuczać zimno, ale nawet rozpięliśmy płaszcze. Konie i ludzie parowali. Muszę przyznać po doświadczeniu w marszach wysokogórskich w Karyntji i Tyrolu, że marsz dzisiejszy jest szczególnie trudny. Pod górę szło się jako tako, gorsze zejście. Wydmuchane wichrem stoki, pozbawione śniegu stanowiły często gładką taflę lodową. Toteż zwłaszcza dla koni objuczonych karabinami maszynowemi zejście było wprost niemożliwe. Musieliśmy wszyscy, nie wyłączając podoficerów i oficerów, brać na ramiona skrzynie z amunicją, sprzęt i t. p. Mimo wytężonej pomocy stoczyły się trzy konie z wysokości dwudziestu metrów, pociągając za sobą żołnierzy. Na

szczyćście doskonała rasa góralskich, małych koni i silne ich nogi ocaliły je przed katastrofą.

Koło drugiej południu dobrnęliśmy przez zasypy śnieżne do Szczawnicy. Poza małemi okaleczeniami i zadrapaniami wyszliśmy bez szwanku, a co ważniejsze dzielne konie przeszły cało i zdrowo. W Szczawnicy otrzymałem rozkaz, by na czele przedniej straży w sile stu dwudziestu ludzi i czterech karabinów maszynowych zająć Starą Wieś, w której miał kwaterować bataljon czeski.

Ruszyliśmy po krótkim wypoczynku. Zmierzch zapadał, gdy stanęliśmy w Krościenku. Wskazano nam tu, jako najczynniejszego, adwokata Zielińskiego. Jakżeż się ucieszył na nasz widok. Powyciągał z ukrytych loszków wódki, miody, zakąski, częstował żołnierzy, oficerów zaprosił na kolację. Osobiście obiegł całe Krościenko, rekwirując dla nas podwozy. W niespełna półtorej godziny podjechało około pięćdziesiąt furmanek, względnie sań. Chodziło o zdeзорjentowanie wywiadu czeskiego, co do naszej siły liczebnej. Dlatego też ładuję po trzech ludzi do sań. Był to oczywiście manewr. Odstęp między saniami wynosił do ośmiu metrów. Wyciągnęła się więc kolumna blisko kilometr długa. Śnieg sypał gęsty i na zasypanej szosie bez przewodnika łatwo było w ciemnościach nocy zjechać do rowu.

Usiadłem w pierwszych saniach. Żołnierze zostali pouczeni, by rozpowiadali, że to brygada idzie, a za nami dywizja. Dojechaliśmy dobrze po północy do wsi Kallenbach. Tam zaufany Spiszak, nazwiska nie pamiętam, starowina, gdyśmy zapukali w okno z oznajmieniem, że wojsko polskie idzie, wyszedł na dwór i z radości oficerów i żołnierzy po rękach całował. Wzięliśmy go za dalszego przewodnika, bo ciemno było bardzo i kurzyło tak, że własnej pięści byś nie rozpoznał.

Po dwóch godzinach marszu z należnem ubezpieczeniem, zostawiwszy podwozy na skraju miasteczka, wkroczyliśmy do Starej Wsi. Mimo późnej pory w oknach paliły się światła. Wyjaśnił nam przewodnik, że tej nocy oczekiwany tu jest wmarsz wojska czeskiego.

Na rynku kazałem rozniecić duże ognisko. Zarządzony doraźnie u mieszkańców wywiad ustalił, że istotnie rankiem mają wkroczyć Czesi i że miejscowi czechofile przygotowali dla nich przyjęcie. Trzeba było szybko działać.

Przedewszystkiem wysłałem patrol w sile czterdziestu ludzi, celem rozbroyenia miejscowej milicji. Poszło to łatwo; milicjanci tutejsi widząc postawę patrolu bez oporu wydali pięć-

dziesiąt karabinów i amunicję. Telefoniści przecięli druty telefoniczne i telegraficzne od strony czeskiej. Równocześnie ubezpieczyłem miasteczko ruchomymi patrolami.

Czas szybko schodził i nim obejrzelismy się już minęła noc. Nastąpiła cudowna pogoda. Śnieg niepokalaną bielą tworzył prześliczny pejzaż. Dopiero teraz zauważyliśmy przygotowane dla Czechów bramy triumfalne. Rozkazałem je przenieść na stronę polską. Niechże napisy „Živio“ uradują naszych żołnierzy. Przygotowane dla Czechów chleby, kielbasę, piwo, papierosy kazałem wydać ludziom. Można sobie wyobrazić, jak bractwo to wszystko wsuwało.

Świtaniem jeszcze wysłałem ppor. Duchą Bronisława z silnym plutonem do Matjašovic, gdzie miał obsadzić szosę w wąwozie Frankowej Góry.

Miejscowemu policjantowi dałem polecenie obejścia wszystkich urzędów z zapowiedzią, że urzędowanie ma trwać dalej. O dziewiątej zjawiłem się z patrolem w budynku starostwa. Woźny wprowadził mnie do gabinetu starosty. Wszedłem z czapką w lewej ręce ze słowami:

— Porucznik X, dowódca przedniej straży brygady wojsk polskich.

Starosta Orszacki, szpakowaty, starszy pan, stanął obok biurka, oparłszy na niem lewą rękę.

— Czem mogę panu porucznikowi służyć — pyta mnie w języku węgierskim.

Nie rozumiejąc języka węgierskiego, proszę, by mi przełożył słowa na język polski.

— Wolę po polsku, niż po czesku, odpowiedział starosta dobrą polszczyzną.

— Tak! — odparłem. — Obejmuję władzę w imieniu Państwa Polskiego i wzywam pana do pełnienia nadal funkcji starosty do czasu jej przejęcia przez władze cywilne polskie.

— Kto pana, panie poruczniku, do tego upoważnił?

— Spełniam rozkaz brygadjera Galicy, a ten — rozkaz Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, odparłem, cedząc dobitnie każde słowo.

Na to starosta: — Pańska legitymacja?!

— Ach! Oto chodzi? Otworłem drzwi.

— Patrol do mnie!

Do gabinetu wkroczyło siedmiu uzbrojonych żołnierzy z najeżonemi bagnetami.

— Do nogi broń! — Oto — mówiłem i... tu wyciągnąłem z futerału rewolwer — legitymacja.

Starosta cofnął się do okna i zasłonił ręką oczy. Wyprostował się po chwili i z godnością rzekł:

— Jestem urzędnikiem Królewskiego Rządu Węgierskiego. Ustępuję wobec przemocy fizycznej, składam władzę w pańskie ręce, panie poruczniku. Przysięgi nie złamię.

— Pańska wola, panie starosto. Jeśli pan zrzeka się urzędowania, posadzę tu podoficera... Więc?!

— Zgadzam się! odpowiedział.

We drzwiach stał woźny.

— Zawołać urzędników, rozkazałem.

Weszło kilku zastraszonych cywilów.

— Pan, panie starosto złoży przysięgę, względnie ślubowanie.

Starosta skinął głową, podniósł prawą rękę do góry i powtórzał za mną: „Przysięgam Panu Bogu Wszchemogącemu, że na stanowisku starosty do czasu ukonstytuowania się władz polskich, interesom Państwa Polskiego wiernie będę służył. Tak mi Panie Boże dopomóż“ Amen! — zakończyłem dobitnie.

Starosta dyszał ciężko nie patrząc mi w oczy, ale gdy mocno uściśnął jego rękę z oświadczeniem, że nie żądam miłości dla Państwa Polskiego, ale tylko lojalności, pojaśniał na twarzy.

— W porządku! — zakończyłem, wskazując mu fotel za biurkiem.

Omówiliśmy następnie najpilniejsze sprawy, co się tyczy bezpieczeństwa, rozwiązania milicji, aprowizacji żołnierzy i kwater.

Gdy wychodziłem z budynku, goniec doręczył mi lakoniczny meldunek ppor. Ducha: — „Czesi w sile dwóch kompanji maszerują szosą, zamierzam otworzyć ogień, proszę o dalsze rozkazy“. Ale od strony Matjašovic słychać już klekot karabinów. Zebrałem pluton i pchnąłem mu w pomoc. W połowie drogi otrzymałem drugi meldunek: „Bitwa w toku. Po naszej stronie dwóch rannych i dwa konie zabite. Czesi z widocznymi stratami wycofują się“. Wzmocniwszy tę placówkę, wróciłem do Starej Wsi. Postanowiłem zamknąć miasteczko stałymi strażami, zaś na górę Majerzyn wysłałem dwie sekcje, oraz konnego gońca z meldunkiem sytuacyjnym do kpt. Jakubiczki.

Koło godziny drugiej wkroczyła w doskonałej postawie reszta bataljonu z Jakubiczką na czele. Ludność całego miasteczka wybiegła na ulicę, oklaskując dziarsko maszerujące kompanje. Wie-

czorem w miejscowym kasynie urzędniczem do zwołanych urzędników i przedstawicieli ludności przemówił kpt. Jakubiczka, wyzywając do posłuchu i wierności władzom polskim. Odbyło się następnie zebranie towarzyskie przy lampce wina i herbacie.

Następne dni upłynęły nam w pracy nad umocnieniem stanowisk, oraz agitacją na rzecz Polski. Żołnierzom były wydane surowe rozkazy co do jak najlepszego obchodzenia się z ludnością. Niebawem też zdobyliśmy sobie jej serca.

W międzyczasie nadeszła nam na pomoc nowotarska kompania z por. Mordarskim na czele, którą zostały obsadzone Matjašovce aż do wsi Kacwin.

Dwudziestego pierwszego grudnia ppor. Klein, wysłany z silnym patrolem, natknął się na znaczny oddział czeski i w wyniku walki, mając trzech ludzi rannych, wycofał się do Matiašovic, niemniej jednak cofnęli się i Czesi.

Dnia dwudziestego drugiego grudnia o piątej popołudniu pojawili się parlamentarze czescy, wysłani przez ppulk. Herbeńskiego z żądaniem, by oddziały polskie do godziny pierwszej w nocy opuściły granice Spisza. Otrzymali naturalnie odpowiedź odmowną. O siódmej godzinie przyjechał major Tyszkiewicz z czeskiego dowództwa w Popradzie. Ustalono linię demarkacyjną, biegnącą przez kotłę 919, drogę do Zdziar, 1211, 1122, wieś Frankową, 556, młyn wodny na północ od Hagi, południowy kraj wsi Giben, wieś Rychwałd, Viderny Verch, 1066, 931, południowy skraj wsi Kamionka, Jarzębina, Mały Lipnik i Andrzejówka.

Dwa dni upłynęły w niezamąconym spokoju. Okopaliśmy się i wzmocnieni nadesłanemi dwiema kompanjami por. Malika i Kwapniewskiego, oparliśmy się lewem skrzydłem o Kamionkę i Jarzębinę. Dowództwo nad całością objął znakomity oficer, kpt. Maciejowski. Kapitan Jakubiczka odszedł do Nowego Sącza.

Kilka dni następnych upłynęło w spokoju, kontaktu z nieprzyjacielem nie było. Patrole czeskie dochodziły zaledwie do Lubomli.

Dnia 11-go stycznia 1919 roku silny patrol czeski zaatakował naszą placówkę pod Lubomlą, wzgórze 694 i zabrał nam dwóch żołnierzy. To dało impuls do wznowienia kroków wojennych. Nad ranem 13-go stycznia Czesi znowu zaatakowali naszą czwartą kompanję. Wywiązała się gwałtowna strzelanina i walka, zakończona wycofaniem się Czechów.

Z dowództwa brygady w Nowym Targu otrzymaliśmy rozkaz bezwzględne bronienia linji. Wobec kategorycznej formy

rozkazu byliśmy na wszystko zdecydowani. Rozkaz marszu na Pragę Czeską, czy Budapeszt, nie stanowiłby niespodzianki.

Cóż, kiedy w kilka godzin potem otrzymaliśmy telegram, wysłany przez ppułk. Filimowskiego. Rozkaz brzmiał: „Przygotować wszystko do opuszczenia Spisza. Z nadchodzącymi Czechami pertraktować jak najdłużej, aby zyskać na czasie, jednakowoż do potyczek na terenie Spisza nie dopuszczać. W razie cofnięcia się, obsadzić dawną granicę i bronić jej przekroczenia przez Czechów aż do nadejścia dalszych rozkazów”.

Zbyt mądrzy z rozkazu tego nie byliśmy. Odbyło się zebranie oficerskie w tej sprawie, w wyniku którego postanowiono wysłać mnie i ppor. Jarosza, jako parlamentarzysty do Gniazd, celem pertraktowania z Czechami. W pół godziny potem siedzieliśmy obaj w saniach, ozdobionych białą flagą z trębaczem na koźle i gnałiśmy w stronę Gniazd.

Na pierwszym skrzyżowaniu dróg zatrzymał nas posterunek czeski. Przywołany komendant warty, jakiś „šikovatel“ po porozumieniu się telefonicznem ze swojemi władzami, wsadził nas do powozu, tam nam gruntownie przewiązali oczy i powieźli, jak się okazało do głównej Komendy w Lubomli. Manewrowałem tak brwiami i tak ciągle chusteczką koło nosa manipulowałem, że mogłem wreszcie jako tako ustalić bojowość Czechów. Istotnie mostki były obsadzone patrolami, a koło Lubomli przyczółek mostowy był pełen zasieków i karabinów maszynowych.

W Lubomli oficerowie czescy wzięli nas pod ręce i po schodach wprowadzili na ratusz. Zdołałem zauważyć ciżbę wojskowych i cywilnych koło nas, słychać gwar rozmów. Było mi dziwnie przykro. Dopiero na górze odwiązano nam przepaski na oczach; ujrzeliśmy teraz salę pełną oficerów i podoficerów czeskich, mnóstwo oficerów Ententy, zwłaszcza francuskich i serbskich.

Sprezentowaliśmy się wzajemnie, poczem krótko wyłuszczyłem cel naszej misji:

— Wojny nie chcemy, rozejmu nie łamiemy, granice szanujemy, a wy nas napadacie. Żądamy satysfakcji, rozszerzenia w spiską głąb strefy neutralnej do trzech kilometrów, zasadniczo do linii Popradu.

Umówiliśmy się z ppor. Jaroszem co do podziału ról. Ja reprezentowałem więcej agresywny kierunek, on niaby to łagodził mnie.

Ze trzy godziny trwały narady. Pochyleni nad mapami, tyjąc chorągiewkami trasę, nie spostrzeżliśmy, że w międzyczasie

w sąsiedniej salce Czesi zastawili stoliki kanapkami i szampańskim winem. Gdy wreszcie doszliśmy do pewnych danych, nieznanym mi sztabowy oficer czeski zaprosił nas na zakąskę.

Pijąc do nas mówił o narodzie słowackim, jako najbiedniejszym, którym nikt się dotąd nie zajął, tylko oni, Czesi.

Pijąc w jego ręce przyznałem mu dużo racji. Niemniej jednak odmówiłem Czechom historycznych praw do Spisza i Orawy. — Mówili potem oficerowie z Koalicji. Zwłaszcza o potrzebie zjednoczenia się Słowian Europy Środkowej, pięknie przemówił kapitan serbski, doktor Bogdanović, mówiąc pod naszym adresem: „Wy, synowie bohaterskiego narodu, męczonego przez trzech zaborców, szlachetni bracia i... t. d.“ — W rezultacie szampań podział na wszystkich tak, że słowo „Bracie Słowianinie“ z ust nie schodziło.

Żegnając się z nimi zaprosiliśmy ich delegację z trzech oficerów i pięciu podoficerów celem ostatecznego ustalenia pasa neutralnego i linii demarkacyjnych, jako że i my i oni musieliśmy uzyskać aprobatę swoich dowództw. Z okrzykami „na zdar“, „živio“ i t. d. odprowadzili nas wszyscy ceremonjalnie do drzwi, gdzie jednak, mimo całą przyjaźń, zawiązali nam oczy i wsadzili do powozu. W ostatniej chwili kapitan Bogdanović prosił, byśmy mu pokazali żołnierza polskiego. Ujęci jego serdecznością zabraliśmy go ze sobą. Towarzyszący nam oficer czeski, po minięciu ostatnich placówek czeskich zdjął nam opaski i pożegnawszy nas podniesieniem ręki do daszka, pozostał na miejscu, oczekując powrotu kapitana Bogdanoviča.

Noc była późna. Księżyc świecił w pełni, więc było widno. Naokoło przepiękna panorama piskich gór tak zachwyciła gościa, że co chwila szeptał:

— Jak tu u was pięknie!

Wkrótce wjechaliśmy na kotę 688. Gdy dojeżdżaliśmy do szczytu, z za drzewa wyskoczył nasz żołnierz i nastawiwszy karabin krzyknął:

— Stój! Kto jedzie?!

— Swoi! — odkrzyknęliśmy.

— Hasło?!

Ścicha, by gość nie dosłyszał, zawołałem:

— Naczelnik!

— Odzew?!

— Lwów!

Posterunek poznał mnie i zameldował się. Przywołany komendant warty zmienił strzelca, jak się okazało Gąsienicę, który

na mój rozkaz zameldował się sprawnie u naszego gościa. Kapitan Bogdanowić długo patrzył na żołnierza, podobala mu się widocznie dorodna postać Gąsienicy, wreszcie z widocznym wzruszeniem ze słowami: „Bracie Słowianinie“ ucałował go w oba policzki i po krótkim namyśle zdjął z palca złoty pierścień z rubinem i wsadził go zdumionemu Gąsienicy na palec. Góral stuknął obcasami i zasalutował cięto, a po sekundzie namysłu zdjął też z palca pierścień, aluminiowy co prawda, jakie powszechnie podczas wojny wyrabiali z pocisków rusznikarze z bronzem w miejscu kamienia, i jak się patrzy z paradą wsadził na palec Bogdanowičowi. — Ucałowali się potem jeszcze raz z dubeltówki i mój Gąsienica, stuknąwszy podkówkami, wrócił do schronu.

Pożegnaliśmy bardzo serdecznie przeznaczonego gościa i wróciliśmy pieszo do dowództwa bataljonu, zadowoleni z wypełnionej misji, planując godne przyjęcie czeskiej deputacji i oficerów Ententy. Jakież było nasze rozczarowanie, gdy oczekujący nas dowódca Maciejowski, wysłuchawszy relacji, żałośnie oznajmił:

— Na nic to wszystko. O północy otrzymałem rozkaz z Warszawy. Mamy natychmiast opuścić Spisz i... wrócić do Piwnicznej...

Grom z jasnego nieba nie byłby w nas tak uderzył.

— Trudno — zakończył Maciejowski — jesteśmy żołnierzami.

I teje nocy wróciliśmy znowu do Piwnicznej poto, by już tej ziemi w polskiem władztwie więcej nie ujrzeć. (Utinam fallcus vates sis! — westchnienie czytelnika).

A w południe pociąg zawiózł nas do Nowego Sącza. Wróciliśmy smutni, jak dola polska...

Rozdział XXXVII.

Po przywitaniu się z rodziną zachodzę do kasyna oficerskiego. Rojno tu, gorzała płynie strumieniem, nastrój podniecony, polityka odchodzi. Piją wszyscy, jak mówią „na frasunek“, bo w Polsce niedobrze.

Temperatura w miarę „kolejek“ wzrastała, na sali wrzało; politykowali wszyscy, głośno sprzecząc się o zasady.

Na salę wszedł na kulach por. Marossany:

— Panowie, na miłość Boską ciszej! — Porucznik Buczma zginął, jako komendant pociągu pancernego, Ukraińcy wyrznęli całą obsługę...

Cisza zaległa salę. Poczułem jakąś cikliwość w przelyku. Buczma, druh nieodstępny, towarzyszył doli i niedoli... Tak codziennie, ten i ten i tamten, zginął...

— Cześć jego pamięci i wszystkich kolegów, którzy życie dali za Polskę — mówi uroczyście, nadeszły właśnie por. Kwapiński.

Na podwórzu koszarowem słychać trąbkę. Alarm! — tak! krótkie ti, ti, ta, taa.

— Co u diabła, żżyma się por. Malik. Komu się tam zachciewa alarmów.

Ale trębacz grzmi coraz donośniej.

— Płacić! Płacić! Wszyscy cisną się do bufetu.

W dwie minuty biegnę do stajni. Już służbowy dał rozkaz i żołnierze siodłają konie. Z koszar pędem wybiegają żołnierze i w drodze kończą ekwipunek. W kwadrans pułk gotowy stoi wyciągnięty pod sznur.

— Chyba na front, słychać szepty.

Sygnal krótki, przed front wychodzi dowódca pułku, ppułk. Horoszkiewicz. Adjutant wzywa oficerów, postępujemy naprzód.

— Bataljon drugi, trzecia i czwarta kompanja bataljonu pierwszego, kompanja karabinów maszynowych, bojowo uzbrojona ma się stawić o godzinie piątej trzydzieści. Wymarsz piąta trzydzieści pięć, zawagonowanie szósta. Dowództwo obejmuje rotmistrz Wołkowiński.

Wróciłem do kompanji i powtórzyłem rozkaz.

Zapanowała cisza... A gdy na placu zostali sami oficerowie, posypały się skargi.

— Przecież mamy konie odparzone, ludzie nieodwzszeni, niewyspani...

Trudno! Rozkaz! Wieści ze Lwowa jak najgorsze.

*
* *

W styczniowy wieczór przy blasku pochodni ustawia się nasza grupa.

— Baczność! Prezentuj broń! Na prawo patrz!

W otoczeniu adjutanta Urygi, komendanta kadry por. Gebła i innych wychodzi przed front dowódca pułku, ppułk. Horoszkiewicz.

Krótką przemowa:

— Idziecie na ratunek Lwowa, dobądźcie ostatek sił, bo obrońcom Lwowa mdleją ręce, bo dzicz hajdamacka łupi ziemie Małopolski wschodniej...

Muzyka gra hymn... pochyła się sztandar pułkowy.

— Czwórkami w prawo zwrot! — marsz!

— Marsz! płynie rozkaz przez oddziały. Jadę wierzchem, ale mój Grzesz jakoś ciężko stąpa. Poprzedza nas korowód pochodni, muzyka, potem my, jaszczyki z amunicją, kuchnie, tabory i tłumy gapiów. Na dworcu rodzina. Zaledwie mam czas ich krótko pożegnać. Gwizdek lokomotywy i pociąg rusza w dal... nieznana, bo nie wiemy, dokąd idziemy, choć wiemy co nas czeka.

Jedzie z nami kilkudziesięciu ochotników. Akademicy i gimnazjaści to przeważnie. W wagonach uczą ich teraz regulaminu, służby polowej, obchodzenia się z bronią. Zapał u nich wielki, myślę, że i w ogniu go nie tracą.

W oficerskim przedziale trzeciej klasy ordynansi szykują posłanie. Pociąg huczy i dudni; w nikłym świetle świecy nic nie widać, więc gazeta z szelestem spada na ziemię. Ppor. Bogusz oświadcza, że ma wojennego „katza“, że najchętniejby poszedł już do cywila. I ja też już mam dość wojowania, i chciałbym nareszcie wypocząć, wyspać się...

Tylko mój puciołowaty Grądalski nie traci fantazji; ścieli posłanie z równą starannością, jak to czynił w pierwszorzędnym hotelu.

W pewnym momencie, gdy zjeżdżaliśmy serpentyną koło Grybowa, świeca zgasła. W ciemnościach słychać tylko chrapanie, zgoła nieoficerskie. Chcę i ja zasnąć, na próżno. Przez zamrożone okna sączy się światło księżyca nieprzyjemne, zimne. W wagonie też zimno, bo kaloryfery nie działają, w dodatku szyby zaklejone w rozbitych miejscach papierem. Do diabła! Otuliłem się płaszczem i próbowałem, siedząc przy oknie zasnąć. Nie mogłem jednak spać. Za oknem słychać szum wichrzycy i widać migające tumany śniegu.

— Zatem jedziemy na front ukraiński myślałem. Nie przypuszczałem nigdy, by taki front istniał. Owszem myślałem: pruski, austriacki...

Jakże przerażającą jest rzeczywistość.

My Polacy z zachodniej Galicji nie mogliśmy zrozumieć Polaków z Galicji wschodniej. Uważaliśmy, że w odniesieniu do Ukraińców niepotrzebnie podsycają zarzewie nienawiści, że są szowinistami.

W czasie wojny, niestety, wielokrotnie miałem sposobność stwierdzić, że Ukraińcy odnoszą się do nas z fanatyczną wręcz nienawiścią. W obliczu tej nienawiści wybaczyli Austrii wszystkie jej grzechy, zapomnieli o tysiącach niewinnie powieszonych braci. Już Austrija się rozpadała, a oni byli jej zagorzałymi obrońcami. Toteż teraz, jak słyszę w szeregach ukraińskich przeważają oficerowie austriaccy.

Wierzyłem, że gdy się zakończy wojna i runie władztwo Habsburgów, w odrodzonej Polsce rychło znajdziemy wspólną platformę działania, że nastąpi serdeczne współzycie. Ale Wiedeń i Berlin sieją burzę, jątrzą Ukraińców przeciwko nam, a sekundują w tej niecznej robocie niestety i bracia — Czesi. I tak ulegają Ukraińcy tym podszeptom, nieświadomi rzeczy, nie chcąc zrozumieć, że są narzędziem cudzych interesów, że z ognia i krwi wyciągną kasztany nie oni, ale ich rzekomi przyjaciele.

Czy właśnie teraz nie jest nam potrzebna tem większa zgoda i harmonja. Wszak cały kraj w nędzy. Czy nie lepiej byłoby ten wysiłek wojenny zużytkować na wzmożenie dobrobytu... czy nie szkoda tego młodego życia, które kładzie się po obu stronach...

Przecież jest jeszcze tyle niesprawiedliwości, tyle krzywd społecznych, że załatwienie tych spraw da zatrudnienie dla wielu jeszcze pokoleń.

Czy spory między nami muszą być rozstrzygane krwawym pojedynkiem, czy rzeczywiście nie można znaleźć ludzi dobrej woli i stworzyć „modus vivendi“, oparty na wzajemnem poszanowaniu praw.

Czy aby i z naszej strony uczyniono wszystko, aby zlikwidować tarcia i konflikty, czy ujawniono dobrą wolę pojednawczą... Wszak naszym obowiązkiem wszczać ofensywę ideową, stanąć na straży bezpieczeństwa i wolności mniejszych narodów!..

* * *

Prawda, że Galicja wschodnia pod względem narodowościowym przedstawia taką szachownicę, że trudno przeprowadzić ścisłą linię demarkacyjną, gdzie zaczyna się władztwo jednego, a kończy drugiego narodu.

* * *

A przecież łączy nas wspólna przeszłość odległych stuleci, ta sama dola i niedola. Ileż krwi wspólnie przelanej popłynęło w walce z najeźdźcami, stapiając nas w jeden żywy organizm. Zrosiliśmy się w ciągu długich wieków z Rusią Czerwoną i nie do pomyślenia dla sumienia polskiego, by ziemia ta miała odpaść z rubieży Rzeczypospolitej.

* * *

Twierdzicie, że wy tylko jesteście autochtonami tej ziemi. A skąd to prawo? Wszak na te pustkowia szły masy ludności polskiej, jako kolonizatorzy. Wszak w wielkim procesie rozrodczym Polacy niknęli i wynaradawiali się, pomnażając was. Iluż dzisiejszych Ukraińców nosi nazwiska polskie i wywodzi się w prostej linii od rdzennych lechitów.

Więc bądźmy obiektywni, sprawiedliwi. Przy dobrej woli znajdziemy wspólny mianownik.

* * *

Stają przede mną wizje wielkiej polityki Jagiellonów. Nie uciekali się do ucisku i gwałtów. W drodze paktów i unij łączyli z sobą narody i stworzyli potężną Rzeczpospolitą.

I było w tej Ojczyźnie dobrze i nam i wam. A jeśli dawna szlachta różnego języka i wyznania umiała znaleźć styczność i żyć w zgodzie — dlaczegoż lud polski i ukraiński mają się za lby wodzić?...

* * *

Tymczasem leje się krew.

We Lwowie w szańcu polskim kobiety, dzieci...

A naokoło spisy, noże...

I nie widać końca tej bratobójczej walki, myślałem pełen bólu...

Tak myślą i moi towarzysze.

Ciężki ich sen. Dusi ich zmora tego naszego dramatu.

* * *

Ale jesteśmy żołnierzami.

I to na służbie Rzeczypospolitej.

I będziemy bronić do ostatniej kropli krwi Jej granic... mówię sobie w duszy, zasypiając mimo, że z zimna się trzęsłem.

...A pociąg niezmordowanie huczał i rwał w przepastną noc — coraz prędzej... coraz bliżej...

* * *

Gdzieś nad ranem, gdy się zbudziłem z drzemki czytam napis na stacji kolejowej: Lublin. Ki sta djabłów! Myśleliśmy Lwów, Chyrów, ale Lublin... Za godzinę ruszamy.

W Rejowcu dłuższy postój. Maszynista użycza nam gorącej wody do mycia. Mróz djabełski, mimo to półnaczy szorujemy mydłem twarz i ręce. Gorąca, czarna kawa, trochę chleba i już skrzepieni odzyskujemy humor.

W Belzcu mówią, że pojedziemy do Łaszczoza, tymczasem pociąg rusza na Rawę Ruską. W Lubyczy ubezpieczamy pociąg. Tu już grasują watahy Ukraińców, więc lokuję karabiny maszynowe na tendrze parowozu przedniego i tylnego; ciągną nas bowiem dwie lokomotywy. Maszynista radzi mi, skoro chcę jechać na lokomotywie schronić się w wypadku ognia za żelazną płytę, którą ma w pogotowiu.

A pan? — pytam sadzą uczernionego, jak djabeł, maszynistę.

— O mnie głupstwo, panie poruczniku. Ja tu nauczony. Bywa, jak jadę na Lwów, a strzały padają, dają pełną parę, nie pytam, jest most, niema mostu, a wyrwam naprzód i tylko patrzę na manometr, bo to przykro byłoby tak w polu wylecieć w powietrze.

— No to widzi pan, pańskie życie ratuje setki innych, więc niech i pan się chroni.

— Tak, ale pan jest młody, zaś my — starzy... rozumuje bohaterски kolejarz..., mam syna, jak pan, jest oficerem, bije się we Lwowie, jakże mu ojciec nie ma pomagać?

Na szczęście jedziemy bez wypadku. Tu i ówdzie z lasów padają strzały, ale poza wybiciem szyb, czy podziurawieniem ścian ja-koś szczęśliwie się posuwamy. Tylko maszynista ma wtedy ści-

śnięte szczęki, oczy jego bystro patrzą w przednie okienko, tylko ręka jego coraz bardziej naciska tłoki, a maszyna huczy, syczy, podskakuje i pędzi...

Aż stajemy w Rawie Ruskiej. Odetchnąłem.

— Bo to bądź co bądź, walka otwarta jakoś miłsza, ale tak ni z tego, ni z owego w „podróży“ umrzeć, mniej przyjemnie — dowcipkuje ppor. Halski.

Na dworcu kolejowym już są wojska polskie, zdaje się 25-ty pułk piechoty. Jest i pociąg pancerny, sanitarny. Na wagonach widnieją orły polskie. Służba kolejowa ostrzega nas, by się niepotrzebnie nie kręcić po peronie, bo Ukraińcy strzelają, wczoraj dyżurny ruchu dostał kulą w głowę i poszedł na drugi świat.

Jak, gdzie? Ot! z lasu.

Istotnie. Jakiś kilometr przed nami czerni się bór.

— Więc to partyzanci?

— No tak! — potwierdza konduktor.

Po południu wezwano oficerów naszego baonu do dowództwa grupy. Grupa nazywa się „Bug“, dowodzi nią gen. Romer. Wyjaśnia on nam sytuację na mapie.

— Rawa Ruska to baza operacyj. Położona w dolinie na roztoczu lwowsko-tomaszowskim jest ważnym punktem kolejowym. Tu krzyżują się linje Jarosław-Sokal, Rejowiec - Lwów. Lwów oddalony stąd w linji powietrznej zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów. Wojska ukraińskie, dowodzone przez austriackich oficerów, oblegają miasto, zachodzi więc potrzeba odciążenia sił polskich przez uwiązanie skrzydeł i paraliżowanie swobody operacyj ukraińskich. Ukraińcy, proszę panów — tłumaczy nam ten małego wzrostu, ale o mocnem wejrzeniu i postawie generał, wskazując trzecią na Lwów. — chcą się zgrupować i uderzyć mocno we Lwów, a my ich cap! Oni tu, — my za nimi, oni tam, my już ich za frak — i tak sobie tańczujemy. Na zachód od nas w Lubaczowie też polska obsada, na wschód pod Wareżem i Włodzimierzem Wołyńskim, również. Łączność jest jednak utrudniona i grupy zdane są na swoją i Bożą — mówił generał, wskazując ręką sufit — opiekę.

Orientujemy się w szczegółowym układzie sił po obu stronach; krucho z nami.

Na odprawie nadziewamy się na... Dobrodzickiego. Jest majorem i dowodzi bocheńskim bataljonem. Po odprawie chcemy gdzieś zapić okazję, cóż, kiedy niema gdzie. Knapy zniknęły, kasyna niema, więc sączymy gdzieś cichcem u żyda kupioną butlę „Adriatyku“.

— Kiepskie to wińsko w tej końskowoli konstatuje Dobrodzicki, gdy ppor. Duch Bronek napróżno potrząchał pustą flachą, ale ją kwateruję u żydka, który zrobi co potrzeba.

I w mały kwadransik na stole zjawia się „Karpatówka“. Por. Kumor intonuje:

— Jak nie mamy żyć wesoło,
Gdy już taki nastał czas,
Jedna kulka świśnie w czoło...

— Stulcie pyski, basemteremtedem, huczy Dobrodzicki. Byle gawron lepiej skrzeczy, niż wasze zapijaczzone gardła. Żeby to przynajmniej na wesoło...

Ścichli wszyscy, gdy zaś Kamor okazał obrażoną minę. Dobrodzicki przypijając do niego, zaśpiewał:

A tam znowu jakaś szarża.
Mocno się obraża;
— Bo ja mam nagniotki,
Niechże pan uważa...

Huknęliśmy śmiechem, aż i sam Kumor się rozrzewnił:

— Eh, bo też na pana majora ani się gniewać nie można.

Szybko, bardzo szybko wódka się skończyła, więc rozeszliśmy się po kwaterach. Wedle rozkazu spać musimy w spodniach i w butach, bo Ukraińcy naokoło.

Powłokłem się na kwaterę. Przy piecu spał Grądalski, trzymając w ręce szczotkę i płaszcz. Usnął, ale na jego twarzy prócz zmęczenia nie widać niechęci do życia.

A przecie ma chyba gorsze warunki bytowania.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Ktoś uporeczywie szarpie mnie za rękaw.

— Panie poruczniku — słyszę szept — panie poruczniku, rozkazy z Dowództwa Grupy. — Udaję, że nie słyszę, że nie czuję; chcę chwycić resztę uciekającego snu, kryję się głębiej pod wygrzaną derkę, a ta jucha, ten cymbał Grądałski, jak kat nad duszą... ze swoim: panie poruczniku, rozkazy.

— Szlagby ciebie trafił i rozkazy, do stu djabłów! — krzyknąłem, aż się naprawdę obudziłem.

A teraz przy świetle łożówki czytam rozkaz operacyjny, długi na kilometr. Na końcu jego: wymarsz 20-go stycznia 1919 roku, godzina czwarta rano. Którego też dzisiaj, myślę...

— Jasiek, kiedy to dwudziestego?

— A dyć dzisiaj dwudziestego.

— Pro Krysta! A któraż godzina?

— Druga, panie poruczniku.

— A żeby cię gęś kopala, ty marynowane ciele, toś nie mógł zameldować, że m chory, że m umarł, że mnie cholera, tyfus, djabli... — kłąłem, ubierając się, na ordynansa.

Ale Grądałski, jakbym z kimś innym rozmawiał, zupełnie się tem nie przejmował i dalej spokojnie krzątał się koło mojej toalety. W pięć minut byłem gotów.

Wyszedłem na dwór. Księżyc w kwadrze jaśniał na niebie, mróz był tęgi, słyhać tylko skrzypienie butów na śniegu. Zaszedłem na kwaterę żołnierską; bractwo śpi w stodole, ponakrywane derkami i płaszczami. Jeden tuli się do drugiego. W świetle elektrycznej latarki widać tylko znieruchomiałą masę. Dyżurny podoficer przysiadł na drewnianym koźle. Świecę mu w oczy latarką, a ten żywcem śpi.

— Alarm! — huknąłem. Cisza.

— Alarm! — powtórzyłem głośniejsze.

Teraz dopiero się zerwał i nie może się fujara zorjentować, coś bełkoce, chce się meldować. Koce na ziemi zaczynają się poruszać.

— Alarm! Wstawać!

Dopiero teraz rusza się wszystko.

— I niechby was tak — strofuję dyżurnego — naszli teraz Ukraińcy, wyrznęliby w pień i wydusili do ostatniego.

— Dwie noce nie spaliśmy — usprawiedliwia się dyżurny.

— Milczeć!

Zachodzę do taboru. Pod kuchnią polową na szczęście pali się ogień; dookoła kuchni, kucharze śpią też pomęczeni. W stajni za wejściem mojem tylko konie reagują. Tak! W nocy żują miąższ drzewny żłobów, które obgryzają. Niema owsa, garsteczka siana, a przecież koń musi swoje quantum dostać. Kręcę głową, bo na tyłach konie z zapasienia owsem dychawicy dostają, a te co w ogień idą, żłoby gryzą, podścieloną słomę migiem zmiatają.

Koło godziny szóstej bataljon gotowy do odmarszu. Oficerów wzywają do odprawy w dowództwie grupy.

Rozkaz: zająć Uhnów, punkt koncentracyjny sił ukraińskich, zabrać z młyna mąkę. Generał Romer zapytuje mnie o ilość amunicji.

— Wszystkiego dwa tysiące.

— Pan resztę wyfasuje w Uhnowie!

— Ależ tam Ukraińcy, panie generale.

— Nie szkodzi, wyfasuje pan z ich magazynu.

Dziękuję. Łatwe rozkazodastwo z głębi ogrzanej kwatery. Zły jak sto djabłów, siadłem na konia. Podjechałem przed front mojej kompanji. Podniosłem się w strzemionach:

— Chłopczy, głowa do góry! idziemy po fasunek. W prawo zwrot — marsz!

Oddział ruszył w milczeniu, tylko konie parskają. Dzień już był na dobre, gdyśmy doszli do wsi Szabiele. Zdaleka we mgle widać wieś, jakby wyludnioną. Maszerujemy ostrożnie z ubezpieczeniem. Wieś zamieszkuje ludność ruska i każdej chwili spodziewamy się strzałów. Na szczęście kończy się na środkach bezpieczeństwa. W małych okienkach widać stłoczone głowy mieszkańców. Bataljon zamyka wieś patrolami. Nikomu z mieszkańców nie wolno wydalić się, mogą bowiem zdradzić nasze siły.

Rozkładamy się na kwaterach. Jakież tu ubóstwo. Ława naokoło izby, stół w środku, jeden garnek z kartoflami na piecu, jedna warzecha, soli niema, na to jedenaście gęb. Po trzy kartofle na głowę. Tłoczy się rodzina przy misce. Wybucha między nimi kłótnia,

bo Ilko wziął trzy największe kartofle, zaś Fedko dostał najmniejsze. Ale pięcioletni Fedko ma zato potężny brzuch, t. zw. kartoflany.

Ale i my jesteśmy głodni, nasza prowiantura w powiśniętych jeszcze, choć robi co może nasz prowiantowy oficer, podchorąży Bernacki. Właściwie żywimy się sami.

Dla swojej kompanji zakupiłem krowę za sto ośmdziesiąt koron. W pół godziny po zarżnięciu, jako tako wypatroszone gnaty ładują kucharze do polowej kuchni. Wkrótce przenika powietrze-smakowita woń rosółu. Tłoczą się też żołnierze koło kuchni, rozcierają zmarznięte ręce i pociągają nosem w stronę zapachów. Oficerskiej kuchni niema, jemy więc z jednego kotła. Zgłodniałi niecierpliwiają się wszyscy, bo za długo się obiad gotuje.

— Stara krowa, ze sto lat chyba miała... cholera — kląą żołnierze, gdy kucharz oznajmia: — Jeszcze „twarde“.

Dzień zeszedł szybko. Zapadła noc. Punktualnie o piątej wy-marsz. Maszerujemy ostrożnie, głośnie rozmowy, palenie zakazane. Atak nasz ma się odbyć w dwóch kolumnach; drugi baon drugiego pułku strzelców podhalańskich pod dowództwem majora Dobrodzi-ckiego, jedna kompanja Królewaków pod dowództwem majora Lisa-Kuli mają uderzyć od strony Lubyczy. Nasz baon i dwie kom-panje 21-go pułku piechoty z jednym szwadronem ułanów pod do-wództwem majora Piskora mają atakować Uhnów od strony Rawy Ruskiej.

Od Rawy Ruskiej nadbiegł pluton ułanów, stanowiący przednią straż. Wyprzedzają nas zgrabnie i wesoło. Sztab naszego baonu wali na przedzie w składzie rotmistrza Wólkowskiego, adjutanta, por. Kumora i moim. Trudno rozkazy wydawać z tyłu. Za nami masze-rują dwie kompanje warszawskiego pułku. Równocześnie w akcji bierze udział pociąg pancerny.

Wkraczamy w las. Na skrzyżowaniu szosy z torem kolejowym zastajemy pociąg pancerny. Złodowaciały śnieg między szynami wysadził lórę, pchaną przez pociąg. Maszynista poświstuje. Po- jakiego djabła! chyba, żeby dać znać o nas Ukraińcom. Pomaga- my obsłudze w ustawieniu lory. Droga przez las mroczna mimo bieli śnieżnej. Straże boczne brną niepotrzebnie po pas w śniegu.

Wkraczamy na szeroką polanę. W jej kącie stacja kolejowa. Zielonki. Naraz — pak, pak, pak! strzelają, ale kto? — Pak, pak, pak, trrr... to karabiny maszynowe. Stoimy na szosie. Nad głowa- mi gwizdże ciu, ciuu, ciuu...

— Kryć się!

Bataljon kryje się w rowach szosy.

Od wschodniej strony słyhać tętent, drży ziemia, czuję jej drgania, klęcząc w płytkim rowie. To ulańskie konie pędzą oszalałe w galopie, kilka z nich bez jeźdźców. I moje konie ulegają panice. Za przykładem ulańskich nawracają i mimo ciężkiego obładowania w galopie pędzą do tyłu. Daremnie obsługa usiłuje je wstrzymać, wloką ją za sobą na uzdach.

Ta, ta, ta, piu, piu, piu... zniżam głowę, bo kulki wprost pa-
rzą. Ale gdzie te cholery ukraińskie?

— Strzelać! Nieprzyjaciół na prawo i lewo.

Buch, buch, buch, buch! Robi się nam raźniej.

— Tak, a patrole nasze? — mówię adjutantowi.

— Nie żałować róż... wyręcza adjutanta rotmistrz.

Ale strzelanina z obu stron szosy niema sensu. Nieogłędni strzelcy, zwłaszcza nowicjusze w boju strzelają ponad szosę, więc siebie samych zabijamy.

— Wstrzymać ogień! — komenderuję, ale głos mój niknie w huku strzałów.

— Wstrzymać ogień! — krzyczy rotmistrz. Nikt go nie rozumie.

— Feuer einstellen! — ryczy starszy sierżant Bittner.

— Einstellen... powtarzają strzelcy — einstelleen — podaje jeden drugiemu.

Rozkaz skutkuje. Tak, to przyzwyczajenie słuchowe z czterech lat wojny austriackiej.

Bataljon zbiera się na gościńcu. Z moich maszyn niema śladu. Biegnę do tyłu z kilkoma ludźmi i zbieram po drodze nasze konie. Ostatecznie znajdujemy je w odległości dwóch kilometrów. Koń z tarczami gdzieś się zagubił. Po drodze na zaimprovizowanych z karabinów noszach taszczymy trzech rannych żołnierzy.

— Marsz, marsz! — ponagliam wszystkich, bo bataljon wyforyrował się daleko naprzód. Przekłete te lasy michałowickie. Maszerujemy w podnieceniu, bo zaskoczyć nas mogą luźne watahy Ukraińców. Wreszcie las się kończy. Koło przydrożnej karczmy we wsi Józefówka stoi sztab grupy. Wyprawą dowodzi major Piskor. Wydaje rozkazy: oś natarcia — szosa do Uhnowa. Nasz baon stanowi kolumnę czołową. Dwie kompanje 21-go pułku piechoty idą do odwodu. Na lewo podjazd w sile dwóch kompanij pod dowództwem majora Lisa-Kuli zaatakuję Uhnów od strony północno-wschodniej. Nasz bataljon w sile trzech kompanij i ciężkich karabinów maszynowych zaatakuję Uhnów od strony zachodniej. O godzinie trzeciej straż przednia granatem ręcznym zapali szopę na skraju Uhnowa. Na ten sygnał ogólny szturm. Po zajęciu miasteczka

koncentracja w rynku. Żołnierzom wolno rekwirować żywność i odzież. Dalsze rozkazy w Uhnowie. Dziękuję.

Zasalutowaliśmy i wrócili do oddziałów. Marsz! Bataljon ruszył w milczeniu. Tylko to tu, to tam galopują konni ordynansi. Marszerujemy lasem. Wreszcie las się kończy. Stoimy na jego skraju. W oddali na tle śniegu głęboko w dole widać w pomroce nocnej uśpione miasteczko. Zegarek mój fosforyzującymi wskazówkami wskazuje trzy kwadransy na trzecią. W pięć minut potem szeptem podany rozkaz:

— Od prawego... w tyraljerę!

Rzucam po dwa ciężkie karabiny maszynowe do atakujących kompanij. Jeden pluton z ppor. Miką na czele i dwoma karabinami maszynowymi osłania prawą flankę, na lewem skrzydle dwie kompanie Warszawiaków. W ciszy nocnej słychać nieomal szepty. Konie zatrzymujemy w lesie. Żołnierze z najeżonymi bagnetami posuwają się, jak widma. Na zegarku punkt trzecia.

Naraz błysk — brrrms! Łoskot.

Biegniemy ze schylonemi głowami. Szopę obejmuje płomień zrazu ciemny, aż wybuchł potężnym jęzorem ognia. Jasno się zrobiło.

— Hurra, hurra! — Z Uhnowa słyszać strzelaninę. I nad nami gwizdzą kulki. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i jesteśmy przy szopie. O jaki kilometr od nas na prawo zapalony bróg słomy oświeca wszystko, że widno jak w dzień. Na lewo od nas Warszawiacy już atakują. Słysząc ich okrzyki — hurra!

— Dobra nasza — mówi do mnie, zacierając ręce por. Kumor.

Nad głowami świszczą kulki, ale djabli wiedzą czyje, bo miasteczko osaczone równocześnie z kilku stron. Biegniemy pędem. Z wysokiej wieżycy cerkwi strzelają Ukraińcy.

— Dać im bobu z maszynki — proponuje ppor. Pudełko.

Ppor. Paczyński własnoręcznie nastawia karabin maszynowy

— Ognia! — Ta, ta, ta... gra Schwarzklose, niczem maszyna do szycia. W maszynie po chwili coś utknęło, ale wieżycza cerkwi mileży.

— Naprzód!

Walimy w rynek. Już tu pełno naszych. Ułany, Warszawiaki i my najliczniejsi, Podhalanie.

W miasteczku widno, bo dookoła pali się kilka obiektów. Łuna purpurą zalewa niebo. Gdzieś za miastem padają pojedyncze strzały, coraz częściej. To bije Lis-Kula, atakując dworzec kolejowy. Za chwilę dowiadujemy się, że dworzec zdobyty.

Z Kumorem pędzimy gdzieś na herbatę. Jakiś dworek, ganek ze słupami, muślinowe zasłony w oknach. Stukamy we drzwi. Ciesza. Więc butem, raz i drugi.

— Kto tam?!

— Polscy żołnierze.

— Jezus Marja! słyhać głos kobiecy. Marysiu, Irenko, to polskie wojsko.

Zgrzyt nerwowy w zamku, wreszcie drzwi się otwierają. W świetle lampy naftowej starsza jejmość, siwiuteńka. Prezentujemy się. Jak się okazuje pani domu jest wdową po lekarzu; ze wzruszenia ledwie na nogach stoi. Za nią wnuczki, najwyżej szesnastu, siedemnastu lat ładne, miłe dziewczątka. Prosimy o gorącą herbatę.

— Magda, nastawiaj samowar! krzyczy pani domu.

— Nie, niema czasu, za kwadrans odmarsz.

Więc na spirytusie raz, dwa. Pani domu wyciąga gdzieś z tajnych schowków chleb, masło, miód... nawet konfitury. Zasypują nas wszystkie komplementami, panny wepchały nam do kieszeni po kilka kawałków cukru. Nie pytam wiele i całuję obie w rumiane policzki. Babcia się nie gniewa.

— Mój Boże — prawi ciągle — toż my wogóle nie widzieliśmy, ani nie wiedzieliśmy, że jest wojsko polskie. A tu w takich mundurach...

Wrzątek na stole... Od strony rynku trąbka na zbiórkę. Parzymy usta, coś niecoś przegryzamy — i żegnamy panie. Ale nie chcą nas puścić. — To nas tak zostawiacie?... Trudno! — Wkrótce Ukraińców przepędzimy za Zbrucz, pociesza Kumor damy.

We drzwiach jeszcze salutujemy, a one płaczą. Nawet kuchta ma fartuch na oczach.

Pędem biegniemy ku rynkowi. Zbiórka w toku. Na gościńcu sznurem podwody z zarekwirowaną mąką, amunicją, wreszcie ranni i zabici. Jest i garść jeńców. Chłopy kołtuniaste ze szczecina na brodzie i złem wejrzeniem. To nie jeniec z regularnego wojska, ale dywersant z zasadzki strzelający. Jest i grupa mjr. Lisa-Kuli mocno zdziesiątkowana.

Szarzeje, zaczynamy odwrót. Naprzód podwody, potem my. Piechota stanowi kolumnę główną, kawalerja straż tylną. Widno już całkiem. Nasza grupa posuwa się wolno ku wzniesieniu.

W połowie drogi, jakie pół kilometra od Uhnowa, dostajemy się w ostry ogień karabinów. Mjr Piskor rozkazuje kawalerji półkolem otoczyć miasteczko. Ogień pada znów z przeklętej wieżycy

cerkwi. Jeźdźcy rozsypują się w tyraljerę, ale manewr ten kosztowny, bo kilku ułanów zlatuje z siodła. Konie bezradnie stoją chwilę i galopem pędzą do lasu.

Na skraju lasu ustawiam dwa ciężkie karabiny maszynowe.

— Pojedynczy ogień, cel wieża cerkiewna, serja długa — ognia!

Maszyny grają dobrze, aż radość nas ogarnia. Przy drugim pasie kocioł dymi dużą smugą. Musi być Ukraińcom ciepło, bo widać, jak ułani w galopie bez strat wpadają w miasteczko. Jakiś dom się tam pali, czarne kłęby dymu wzbijają się ku górze; może i cerkiew.

Trębacz sygnalizuje odwrót. Z miasta wypadają klusem ułani. Przed nimi biegnie trzech Ukraińców-cywilów. W kilka minut są już wśród nas. Od tych Ukraińców w zawoszonych kozuchach wieje coś zwierzęcego. — Jeden z nich popatrzył na mnie wzrokiem, że aż mną wstrząsnęło. — Eh! tenby mi dał, gdyby mógł — pomyslałem.

Odwrót. Musimy szybko maszerować, bo mamy wieści o koncentracji ukraińskich regularnych oddziałów, przeważnie byłych austriackich oficerów i podoficerów. Na czele armji ma stać jakiś Wasyl Wyszywany, podobno któryś z Habsburgów. Wyśpiewują to jeńcy, jest ich przeszło sześćdziesięciu. Teraz wzięło ich w kurtelę kilku naszych żandarmów. Na wszelki wypadek, bo każdej chwili możemy być zaskoczeni, wiąże się im ręce.

— Trzeba na nich uważać, mówi por. Malik, te sk.... syny naszych jeńców nim zastrzelą, torturują straszliwie, zakopują żywcem, oblewają na mrozie wodą, nawet w Rawie Ruskiej w szpitalu jest żołnierz, któremu generalskie pasy na nogach z żywej skóry zdarli.

— Brr... psia krew, to nie wojna, ale mordownia.

Zresztą nie zastanawiamy się dużo nad tem, grunt, że wieziemy przeszło ośmdziesiąt worów mąki, a i krów ze dwadzieścia przed nami porykuje; pędzone są gwałtownie, bo marsz nasz jest przyspieszony, i amunicji dwanaście skrzyń.

W południe stajemy wreszcie w Rawie. Po drodze znaleźliśmy konia, objuczonego tarczami. Na widok wojska wmieszał się odrązu między maszynistów. Żołnierz z obsługi gładzi jego kark i mówi:

— Zaś ta zmyśny z ciebie kawalerzysta. Do owsa, do siana, na kwatyrę, to hej! Ale na Ukraińców, na śnieg, na kulki — to cie nima, bratku.

A koń pyskiem wodzi po karku szeregowca Żalosa i liże mu twarz ozorem.

— Ho, ho! prawi dalej żałość, — zdejmując tarcze — taki z ciebie dezterter, a możeś ty z rodu ruskiego albo i zidowskiego, kie sie kulek bojisz...

Na dziedziniec stodoły podjeżdżają dwie fury siana i sześć korcy owsa.

— Dopieroż to sobie koniska użyją, raduje się Bittner.

Rozeszliśmy się po kwaterach. Byłem tak zmęczony, że nawet, gdy ordynans przyniósł zupę i mięso z kotła, chciałem z obiadu zrezygnować, byle nie wstawać z pościeli. Ale rosół zbyt pachniał...

ROZDZIAŁ XXXIX.

Zbudzono mnie gwałtownie, gdyż mam się stawić natychmiast na odprawę u dowódcy grupy. Spałem raptem trzy godziny. Zbieram się też z trudem, bołą mnie kości, głowa jak z ołowiu — cóżbym dał za prawo położenia się z powrotem.

W dowództwie rotmistrz Wołkowicki odczytuje nam rozkaz operacyjny. W skład sił wejdzie drugi baon 21-go pułku piechoty i szwoleżerowie majora Dreszera. Dowództwo nad całością obejmie major Korytowski.

Nasz bataljon ma przeprowadzić wypad na Wólkę Mazowiecką, odległą o dwadzieścia trzy kilometry od Rawy Ruskiej. Mamy rozbić nieprzyjaciela po drodze we wsi Hujcze, Grzędy, Pyrohy, zabrać jeńców, żywność, amunicję, sprzęt wojenny, których brak. Generał Romer bardzo chwali brawurę Podhalan, w nagrodę więc będziemy walczyć ponownie. Jutro o zmroku wymarsz. Będzie to tak zwany raid pacyfikacyjny. Od Sękowiec pięćdziesiąt kilometrów półkolem. Pierwszy punkt oporowy spodziewany w Wólce Mazowieckiej... i t. d.

Słuchamy w milczeniu, wpatrzeni w mapy. Czytam w nich zaspasy śnieżne, wicher w pysk bijący, zgrabiałe ręce żołnierskie nie mogą otworzyć zamku...

Wróciłem na kwaterę osowiały, jak i koledzy.

— Życie to nie romans — tłumaczę moim dowódcom plutonów.

— Tak, ale czy nasze konie to rozumieją — zauważył ppor. Janus.

Roześmiałem się głośno, roześmieli się i towarzysze, — tylko Grądałski, nakrywając do stołu, patrzył na nas zdumionym wzrokiem.

Nazajutrz szarówką odmarsz. Mijamy bataljon wojsk poznańskich. Dorodni chłopcy, mundury jak z igły, maszerują równo w takt. Na komendę: w lewo patrz! — prężą się, jak w koszarowym marszu paradnym. Ale i nasi górale, choć obdarcy, też z fantazją na nich patrzą. Któryś z oficerów, zdaje się Kwapniewski, krzyknął donośnie:

— Cześć Poznaniakom!

— Niech żyje Podhale! — odpowiadają Poznańczycy.

Maszerujemy obok komendy grupy „Bug”. Przez spuszczone story przenika światło. Z poza zasłon w jasno oświetlonej sali widać cienie tańczących par. Muzyka wygrywa walczyka. Prawda, to karnawał, wogóle są karnawały... Podniosłem kołnierz do góry, bo dał ostry, mroźny wiatr, sypiąc śnieżnym puszkciem.

— Tak — wzdycha por. Majewski, — im ciepło, zacisznie, a my zagrzejemy się chyba przy zapalonej chałupie.

— Taki już jest proszę was porządek rzeczy — konstatuje spokojnie ppor. Bogusz. Gdy wojna się skończy, oni dostaną order, wkroczą do stolicy, jako bohaterzy.

Na wojnie w każdej armji tak było, jest i będzie — zauważa ppor. Jarosz.

Rozgadali się wszyscy, klnąc tyłowców. Maszerujemy spiesźnie, tylko biedny Kumor przechodzi męki Tantala. Jest chory, widać czemś się struł i co sto kroków musi wyskakiwać z szeregów. Zdejmowanie pasa z rynsztunkiem i konieczne przytem czynności toaletowe mogą doprowadzić największego flegmatyka do rozpacz. Dodajmy do tego potęgującą się zamięć śnieżną. Więc mu doradzamy: wróć!

Ale on: — Nie, to przejdzie, a adjutancka służba zbyt pilna.

Niebawem jesteśmy u skraju wsi, Wólka Mazowiecka. Patrole straży przedniej por. Obstlera powitali Ukraińcy silnym ogniem. Więc rozkaz; otoczyć wieś! Kompanje brną w głębokim śniegu, panują wprost egipskie ciemności. W poświście wichru słysząc jednak świst kulek. A więc bitwa.

Dostaję rozkaz podpalenia pierwszej lepszej chałupy. Przede mną skrzypią targane wichrzycą śmigła wiatraka. W pięć minut wiatrak od spodu podpalony płonie zrazu powoli. W czerwonych językach ognia, w oponach czarnego, gęstego dymu oślepiiony przez chwilę nie widzę nic prócz dymu i ognia. Dopiero, gdy w wiatraku coś trzasło, buchnął zdrowy, żółty płomień. Szalejący wichur dawał mu siły, bo płomień rósł, potężniał, aż wreszcie ogarnął i śmigła. Jasno zrobiło się w okolicy. Teraz widać punkceiki poruszające się w dali, coraz mniejsze.

— To hrycie, psie syny — woła plutonowy Popiołek.

Jego maszyna już w ruchu. Ta, ta, ta, trrr... punkciki znikają. Na gościńcu widać gonitwę, niewiadomo oni, czy nasi. Nasze półkole zamyka wieś kleszczami. Wiatrak świetnie działa, widno, jak za dnia. Z chałup słychać strzały.

— Naprzód, szturm! hurra!

Kompanje pędzą w środek wsi. Na czele porucznik Obstler i Duch. Czwarta kompanja zamyka wylot wschodni. Ukraińcy bronią się bagnetami. Ale my walimy, jak burza. Na gościńcu kilkanaście postaci cywilnych. Jest i kilka bab i dwóch wyrostków. Niedaleko porzucone karabiny austriackie. Siedmnaście karabinów i siedmnastu jeńców. A więc te megierzy i ci chłopcy też przeciwko nam. Nie mamy czasu bawić się z nimi. Włącza się ich w środek kolumny związanych sznurem. Naprzód marsz! Musimy jak najprędzej opanować całą wieś, a ma ona siedm kilometrów długości. Chałupa, gdzie zebrana placówka ukraińska, płonie. Zabieramy nowych jeńców, amunicję, kilkanaście koni wierzchowych. Marsz dalszy do Sękowiec. Tam nasz punkt koncentracyjny, bo równocześnie idą bokami dwa bataljony 21-go pułku piechoty.

Już koło północy stajemy w Sękowcach. Zmęczeni marszem ludzie kładą się, gdzie popadnie. W dość dużej chłopskiej izbie dowódca całej wyprawy major Korwowski omawia sytuację.

— Ukraińcy stosują taktykę dywersyjną, a więc tyły groźniejsze. Regularnych oddziałów mają niewiele, a i te unikają walki; za to cywile, od dziecka do starca i kobiety, są najgorszymi przeciwnikami. Strzelają z zasadzki i po krótkiej salwie uciekają. Zatem rewidować każdy wydatniejszy punkt, każdą chałupę, drzewo.

W pół godziny potem bataljon nasz maszeruje na Pyrohy, gdzie ośrodek ruchu lokalnego. Na szczęście wiatr ścichnął, zato mróz brał tęgi. Wysoko migocą złote gwiazdy, ale jakieś dalekie, obce... Bataljon posuwa się cicho. Naokoło łuny. Żołnierze idą machinalnie z zamkniętymi oczyma, poprostu śpią w marszu, to samo konie. Po dłuższym marszu podają z przodu rozkaz:

— Opodal leżąca wieś, to Pyrohy. Uśpiona teraz i cicha, ale niewykluczona zasadzka. Więc, patrole, naprzód marsz!

W dziesięć minut otrzymujemy meldunki; we wsi cisza i spokój.

— Bataljon marsz!

Droga biegnie wysokim wałem. Wieś duża i sądząc z zabudowań dostatnia rozsiadła się po obu stronach szosy. Skręcamy w środku wsi na lewo, gdy naraz — pak, pak, pak. Ktoś bezpośrednio strzela do maszerującej kolumny. W gęstwie strzałów prawie nie słychać komendy, ani krzyku rannych.

— Strzelać! Nieprzyjacieli w domkach, pada donośny rozkaz.

Moje maszyny już zdjęte z juk, już je Bittner nastawia. Rozpoczyna się walka. Z obu stron strzały. Nasza sytuacja gorsza, bo nie wiemy, gdzie i jak silny nieprzyjacieli.

Najsilniejszy ogień pada z murowanego domu z piętrowem poddaszem.

— Podpalić! — rozkazuje rotmistrz wskazując domek.

Wybiega żołnierz, aby spełnić rozkaz, ale nie ubiegł kilku kroków, gdy ze słowami: „o Jezu“! runął na ziemię. Podbiegł następny, ale i ten podzielił los poprzednika. Z poddasza tymczasem biją w nas. Bez komendy ostrzeliwujemy wszyscy dom, ale to niewiele pomaga. Wreszcie udało się domek obejść od tyłu i ogień podłożyć. Dopiero teraz, gdy Ukraińcy poczuli, że wyjścia niema, zaczęli wyskakiwać z poddasza. Ale o dziwo, wśród nich kilkunastu młodych żydów.

Płomienie ogarnęły cały dom; kogo nie dosięgała kula, ginął w ogniu.

Tymczasem z domostw na lewo od nas padają strzały. Wysłany tamże patrol sprowadził po chwili sprawców. Cztery kobiety w wieku dwudziestu do czterdziestu lat i jakiś wyrostek. Odebrano im karabiny w czasie, gdy z za węgła domu strzelali.

— Bieda z babami — kłopotce się rotmistrz Wolkowicki, ni to rozstrzelać, ni powiesić.

Chwilowy spokój przerywa nowa serja ognia z prawej strony. Jedna kompanja rozsypała się w tyraljerę, ale ciemno, gdyż domek się dopalał i widać tylko dymiące zgliszcza.

— Oświecić chałupę, z za której strzelano — pada rozkaz.

Podbiegają żołnierze pod pułap sporej chałupy, z wnętrza której padają strzały. Z hukiem pęka tam rzucony w okno granat ręczny. Rozlegają się krzyki. Dopiero teraz wyskakują ubrani mieszkańcy z krzykiem: „pomyłujcie“. Strzechę już liżą płomienie. Śnieg na dachu topnieje, jak smalec na rozpalonej blasze. Wskutek różnicy temperatury powstaje gwałtowny wiatr. Między chałupami widać biegnące bydło. Żałośnie ryczą krowy, słysząc wycie psów, huk strzałów, zawodzenia kobiet. Stoimy ustawieni frontem na szosie. Po obu stronach wału palą się rzędem chałupy. Na peryferji wsi od strony północno-wschodniej praskają karabiny. Nad nami gwizdzą kule. Z płonących domów słyszać silne detonacje; to ręczne granaty, a bodaj i ukryta amunicja artyleryjska. Krowy, jakby oszalałe pędzą w czeluść nocy z podniesionemi ogonami, rycząc głośno, by na skraju wsi zawrócić ku palącemu się domostwu. Teraz widno jak w dzień. W blaskach czerwonych płomieni wygła-

da wszystko, jakby krwią zalane. Z zawodzeniem bab, płaczem dzieci, wyciem psów, łączy się trzask płonących bierwion i krokwi przy akompaniamencie nieustannych eksplozycji.

A więc jednak Pyrohy, to jeden z głównych punktów nieprzyjacielskich sił.

— Kamień na kamieniu nie powinien tu zostać, — mówi podpor. Ombach.

Gwałtowny wichur niesie palące się głównie na cało dotąd stojące zabudowania. Pożar ogarnia stopniowo stodoły, obory, chlewy. Ale i w tych zabudowaniach eksploduje amunicja. Tajemnicze postacie w kozuchach chyłkiem wybiegają z płonących domostw i biegną w noc. Przeważnie dosięgają ich strzały, i padają w skurczu na ziemię.

I wśród nas są ranni i zabici przez niewidocznych strzelców. Wieś osaczona przez ukraińskie bandy partyzantów. Nie mają odwagi wystąpić do walki wręcz, więc tylko z ukrycia nas rażą.

Piąta rano. Szykujemy się do dalszej drogi. Czekają nas wszelkie niespodzianki. Ubezpieczenia boczne i straż tylna pochłaniają dwie kompanje.

Łuna przygasa. Marsz! Wkrótce tracimy z oczu dopalające się chałupy. Jesteśmy godzinę w marszu, a jeszcze nad Pyrohami widać purpurową łunę.

W środku kolumny baby ukraińskie poganiają konie, ciągnące na saniach kilkunastu zabitych i kilku rannych, naszych żołnierzy. Tuż za niemi jadą sanie z zastrzelonemi wieprzkami.

W dalszej drodze dostajemy jeszcze raz ogień z samotnej chałupy.

— Kompanja trzecia w tyraljerę, osaczyć i żywcem jeńca, pada rozkaz.

Z chałupy do nas strzelają. Popiołek nastawia maszynę — ta, ta, ta.... gra karabin maszynowy. Chałupa milknie, ale jeńca nie ma; w chałupie leży pięciu zabitych, w tem jedna baba w męskim przebraniu.

— Marsz dalej!

Idziemy wygodnie szosą. Świta. Na skrzyżowaniu dróg mija nas pluton kawalerji. Na czele młody oficer. Salutuje, nie patrząc. Powieki jego, jakby stężały na zapadniętych oczach. Za nim człapią konie. Jeźdźcy lance umocowali przy siodłach. Pod pachą każdy ułan dźwiga to gęś, to koguta, to worek z kartoflami, chleby. Djabelnie wszyscy pomęczeni; dziw, że utrzymują się w siodłach. Konie ich ledwie włóczą nogami. Na końcu oddziału pomyka pies — wilczur z podniesioną tylną łapą.

— Co mu to? — pytam, wskazując wzrokiem psa.

— Postrzeliły go te hrycie.

Koło dziewiątej stajemy w Sękowcach. Zadanie wykonane. Z kuchni wydają gorącą kawę. Dymi i pachnie rozkosznie. Choć gorzkawa, i co to mówić — lura z bukowych liści, ale ciepła. No i chleb wiejski, razowy. Narekwirowaliśmy go sporo.

Gorzej naszym sąsiadom. Mamy wiadomości, że Ukraińcy tabór bataljonu złapali na postoju, gdy przygotowywali śniadanie; konie, kuchnie, wozy zabrali, zaś jedenastu ludzi z obsługi, kucharzy i podoficera rachunkowego żywcem zakopali. Gdy bataljon wrócił z raidu, zamiast śniadania, zastał na miejscu ubitą w kolistą formę glinę, z której sterczało jedenaście par dłoni.

Po krótkim postoju ruszamy dalej. Co zaś najbardziej nas cieszy, to jadące z nami kuchnie polowe. Dymią przyjemnie smrekowym zapachem, zaś w kotłach warzą się zarekwirowane krowy. Będzie więc znakomity obiad. Na kolację zapowiedziany gulasz, z ubitych wieprzków.

— Czy tylko papryki wystarczy — martwi się mój Grądalski.

W południe zmęczeni, nawpół żywi dobijamy do Rawy. Kwatery. Konie żują owies, fasujemy zarekwirowane papierosy; wydają obiad. Ach! jakież smaczny. Ile treści ma kęs mięsa, ile woni zupa; trochę mięso niesłone, bo brak soli, ale smakuje, że aż hej! Widać wokoło rozjaśnione twarze zmęczonych żołnierzy. Potem kwatery; spać, spać. Oczy kleją się i nim ordynans pomógł mi się rozebrać poprostu zwałem się na chłopski, twardy, ale jakże teraz wygodny siennik.

ROZDZIAŁ L.

Z jednej wyprawy na drugą ciągle i nieustannie. To nie wojna, ale rzemiosło. W sumieniu zagasa życie, litość. Zastrzelony człowiek, to rzecz. Trzeba tylko przeszukać kieszenie. Nie o pieniądze chodzi, te nie mają waloru. Tytoń, papieros; czasem skądś rum; wódka: ba! u jednego nieboszczyka znaleźli funt prawdziwego, kostkowego cukru; my zaś jeśli, to melasę fasujemy.

Świat zewnętrzny przestał istnieć. Ogarnia nas jakaś beznadziejność i ciekawość: czy i kiedy będzie fasunek. Rozkazy operacyjne mniej interesują. Na to jesteśmy, by strzelać, palić, rekwirować. Wiemy, że noc, to sprzymierzeniec nieprzyjaciela, że w każdej chwili możemy być osaczeni, że niewola to konieczność bytowania na tym padole. Niewiadomo, co z jeńcami robić, czem ich żywić. Oni się z nami nie cicaćkają, tyle, że amunicji żałują, wieszają, zabijają kołami...

— — —

Las, przeklęty las, milczący, zadumany tonie teraz w obłokach mgły. Z jego wnętrza napewno śledzą nas czujne oczy Ukraińców; jeśli nie strzelają, widocznie za słabi.

Tropimy się wzajemnie, cicho, zda się na palcach idziemy; a oni umykają w gęstwą drzew i nawet niewiadomo, gdzie ich poniosło.

To znowu oni nas obchodzą. I tu i tam zamknięta droga, pierścionek się zwęża coraz bardziej, jak pętla. No, to bój. Huczą w lasach strzały; pada życie, skręca się strzęp ludzki w bólu, przemocą pakując wyprute flaki do brzucha.

Jeńcy znikli; znikła „pomyłujcie“, jak i wszelki pardon. Tyle że u nas rannych się nie dobija, ale odsyła do szpitala.

Gazet niema, wojna nigdy się nie skończy, w kraju napewno walki, głód, choroby. Szczotki do zębów przestaliśmy używać, bo

żadnej pasty, ani proszku do zębów niema, więc tylko jeśli jest, ciepłą wodą grrrl... płóćmy gardła. W czasie prania, zanim się ususzy bielizna, szwendamy się półnaczy na kwaterze, jako, że niema zmiany. Zato starannie czyścimy buty. Owszem, gdy świnie utłuczemy i smalcu dość, wtedy buty smarujemy. Potrzebne to, bo buty z końskiej skóry gniją, psiakrew, zwłaszcza, gdy po mo-
czarzyskach maszerujemy. Gdy wyschną przy piecu, twarde szelmy, że siekierą je rąbać można.

Cóżbym dodał?... Topnieją nasze szeregi. Ceremonjał pogrzebu zabitych jest krótki. Gdy sanitariusze zasypują ich mogiły, widzę, że te wiarusy jak Kumor, Malik, Jarosz, Kwapniewski, lekarz Pawłowski, Biernacki, Jakiel, Bogusz, Mika, Halski kręcą głowami i wycierają nosy.

— Katar mam — usprawiedliwia się Kumor, trac rękawem... oczy.

I tak płyną dni posępne, mgliste. Słońce gdzieś się ukryło. Tylko noce długie, ciemne, mroźne.

Jakież to przykre słyszeć we śnie... alarm!—gdzieś niedaleko strzelanina. Na gwałt zbiórka, tyrałjera; przed nami przepastna noc, a z niej zdają się gorzeć wilcze ślepie... ludzi. Nieprzyjaciół atakuje nas z zasady od tyłu. Znamy tę ich metodę. Wiemy, że baby, wyrostki tak samo są niebezpieczni, jak mężczyźni. Wiemy że samotne, wysokie drzewa trzeba najpierw ostrzelać, że każdą chałupę należy dokładnie zrewidować, że nie wolno zostać na tyłach, ani w grupie mniejszej, jak trzech do pięciu, się wydalać. Z nienacka pałą w łeb zwałą i ani wiadomo, dlaczego Gąsienica, gdy za potrzebą kucnął za stodołą — więcej już nie powstał. Ranniem koledzy znaleźli go z rozwaloną głową. Tylko ścianę obryzgał mózg....

To już u nich nie wojna, ale potrzeba mordu, to dzika bezprzykładna mściwość. Więc należv wet na wet stosować. Ale lechickie ręce brzydzą się dobijaniem rannych, czy znęcaniem się nad jeńcami.

Zamarło w nas wszystko prócz instynktu samozachowawczego. Smutny jest los naszego pokolenia.

Już połowa lutego, już i dnia nieco przybyło i czasem słońko przygrzeje, gdy pewnego ranka poczułem, że nogi pode mną drżą, jakieś gorące to lodowate dreszcze gonią po mych plecach. Położyłem się do łóżka i w półśnie widziałem ogromne masy wody i ojca tonącego. Matka moja, przesądna, jeśli chodzi o sny, uważałaby taki sen za zapowiedź nieszczęścia. Coś nieuchwytnego powstało w duszy; muszę, za wszelką cenę muszę być w domu.

Jakoż i złe przeczucia nie zawiodły. Gdy przyjechałem, ojciec był już nieprzytomny. Nabawił się ostrej grypy. Nie pomogli lekarze ani Ostatnie Namaszczenie; w 3 dni potem odszedł z tego świata.

Spadają grudki ziemi na trumnę, płaczą wszyscy... a we mnie choć oczy mam suche, łamie się wszystko... brat Rudolf podobno przez bolszewików rozstrzelany, młodszy Janek w niewoli u Ukraińców. Pocieszam, krzepię, innych, a mnie samemu już brak sił.

— o —

Czas robi swoje. W miejscu szarych, mglistych dni nadeszła słoneczna wiosna. Budzi się natura, budzi się życie nowe. Schylone w codziennem jarzmie pracy karki zwolna się prostują. Idzie ku niebu wzrok wdzięczności za bytowanie.

Osiadłem w Muszynie. Bataljon, do którego mnie przydzielono, strzeże granic przed inwazją czeską, w którą zresztą nie wierzymy. Cztery plutony mojej kompani karabinów maszynowych, rozrzucone od Dukli przez Piwniczną, Muszynę do Tylicza. Jestem w rozjazdach. Nastrój lepszy. Niby wojna, a nikt nie strzela. Utalentowany medyk, Jurek Wusatowski, jako lekarz bataljonowy uprzyjemnia nam wieczory grą na wiolonczeli. Śpiewa przytem piosenki kabaretowe.

Sensacją — wizyta Hallera. Witła go wojsko, burmistrz, proboszcz i rabin... ale on pojechał wnet do Krynicy. Do tej i my zaglądamy, gdzie nas zapraszają na bale. Niewielką z nas jednak damy mają pociechę. Oficerowie w bufecie urzędują, do tańca nikt się nie kwapi.

— Szkoda nóg, mówi dowódca baonu, mjr. Siwak. Zresztą płóche płasy nie przystoją statecznym weteranom.

Więc... krąży starka Baczewskiego; głównym tematem rozmów polityka. Tylko o wojnie i osobistych na wojnie przeżyciach niewolno wspominać pod grozą zapłacenia kary na rzecz kasyna.

Na deptaku tłumy kuracjuszy. Przeważają kobiety i starozakonni.

ROZDZIAŁ LI.

Dostałem list od por. Kumora. Aby go spokojnie przeczytać, siadłem samotny nad brzegiem Popradu. W ciszy wieczornej bełkotały fale rzeki, jakby chciały dostroić się koncertem do rechotu karabinów w obronie Lwowa.

Przeniosłem się myślami hen... do tych koszmarnych nocy i wspomnień krwawych walk pod Rawą Ruską.

Oto, co pisze:

30 marca 1919 r.

Kochany Staszku!

Daruj, że dopiero teraz piszę, ale nie wiedziałem nawet Twego adresu i dopiero przypadek zrządził, że w rozkazie pułkowym czytałem twój przydział. Więc znów, jak ten ryś stoisz u granic Spisza, gotów do walki, a tymczasem nieprzyjaciół siedzi spokojnie i ani się śni „pepiczkom“ z nami wojować.

Boję się, że tak jeszcze kilka tygodni, a będziemy mogli zaaplikować Ci intendencki hymn:

Siedm lat wojował,
szabli nie wyjmował,
szabla zardzewiała,
wojny nie widziała.

Stop! Dzisiaj szable należą do teatralnych rekwizytów. Więc, mój czcigodny pogromco braci Słowian donoszę ci, że, jak zresztą z tego listu możesz sądzić, żyję. Dziwisz się, że tak ciężko rozumię, ale od Twego wyjazdu dużo, choć w zasadzie nic się nie zmieniło.

Pamiętasz naszą wyprawę na Belz, Krystynopol, Sokal? Otóż dzisiaj kończę żelazny zapas papierosów, które mimowolny nasz intendent, ppor. Kasztelowicz zarekwirował obok innych cennych

prowjantów w Tomaszowie ukraińskiemu sierżantowi rachunkowemu. Głupie bydlę podlazło naiwnie do Kasztelowicza z zapytaniem, gdzie „komandir“, notabene ruski; a ten go cap za kark; no i masę tytoniu, żarcia bał i forsy nieco zagarnął. Dzisiaj z ówczesnego fasunku wypalam ostatnią „dramkę“ i myślami biegnę hen — na południowe rubieże Rzeczypospolitej, ku naszym górkom i pagórkom....

U nas wojna w toku. Targamy się i barujemy z tymi hryciami aż do znudzenia.

Pamiętasz nasze triumfalne wkroczenie do Bełza, ten niezwykły entuzjizm ludności nas witającej, tę radość nawet żydów, tę gotowość ofiarnych dziewcz dla żołnierza polskiego i całopalenia na stosie... mój Boże!

A po tych upojnych dniach nadeszły smutniejsze czasy. Tabor żywnościowy grupy „Bug“ napadły we wsi Zuzel te psie syny, całą obsługę wycięli w pień, zapasy zagrabili. Stało się to jedynie wskutek szalejącej śnieżycy. Nasz baon na wieść o tem zawrócił z drogi, Ukraińców przyłapał, odebraliśmy część taboru, zabrali jeńca trochę, ale naogół „do bani“.

Przeżyliśmy potem emocję, gdy Ukraińcy zaatakowali Bełz z trzech stron bardzo znacznymi siłami z artylerją. Zamarznęte bagna ułatwiały im swobodę ruchów. Nasza kawalerja musiała się z Witkowa (przedmieście Bełza) wycofać. Przyszło do walki na bagnety, no i naturalnie przegnaliśmy hołotę. Spisał się przytem przybyły świeżo 6-ty pułk piechoty Legjonów. Zabrali kilkudziesięciu jeńców; do naszych rąk wpadło trzydziestu jeńców zdrowych, czterdziestu rannych, sto pięćdziesiąt karabinów, jeden c. k. m. Nasze straty prawie żadne; jeden zabity, dwóch rannych.

Jak wiesz, mój kochany, baonem dowodzi teraz Maciejowski. Pyszny to typ żołnierza. Doskonale się orjentuje, słowem radziśmy z niego i on z nas. Wołkowiecki objął grupę, t. j. oba baony podhalańskie. Doszłusował naturalnie do nas i „Rejent“.

Przeszliśmy potem kurniawę w Przemysławie; doszło do regularnego szturm, popisał się bardzo plutonowy Mucha, zdobyczy też było nieco.

Chcieli nas potem Ukraińcy w Rawie Ruskiej udusić. Dzień był mglisty, bestje mieli nawet pociąg pancerny od strony Żółkwi. Nasze armaty grały, jak sto djabłów, oni też walili — pukanina była cholerska.

Gen. Romer, trzeba przyznać wyforował się do pierwszej linji i zachęcał do walki. Odznaczył się szczególnie brawurowem uderzeniem Kwapniewski i twój Bittner; Ukraińcy dostali w skórę

i nazajutrz zarzucili Rawę szrapnelami i kilku granatami. Tenże Bittner, już jako dowódca plutonu c. k. m. razem z sierżantem Czapkiewiczem, nie nikomu nie mówiąc, gdy im dokuczył stale podczas menaży bijący ruski c. k. m., zebrał kilkudziesięciu ochotników, biegiem pognął na Ostróg. Mimo przeważających sił nieprzyjaciela szturmowali... z powodzeniem! Zabrali kilku jeńców, kilkanaście karabinów. Maciejowski za tę samowolę nie dał im „słupka“.

Mieliśmy potem ciężką przeprawę z Magierowem. W robocie były ciężkie karabiny maszynowe i połówki, szturm, walki na bagnety, koniec końców przegnaliśmy Ukraińców z okopów, cofnęli się na skutek tego na całej linii. Dostali jednak potem posiłki i nazajutrz znowu nas zaatakowali. Podziwiałem ppor. Templera, który choć ranny w nogę poszedł do ataku z garstką żołnierzy i zabrał do niewoli jeńców i zdobył moc amunicji.

W rezultacie tej akcji do niewoli dostał się dowódca sotni, kilka c. k. m. i t. d. Jak więc widzisz spisał się nasz bataljon nieźle.

Dalej bitwa pod Szczercem; zginęło tam, niestety, dwóch żołnierzy i Twój Bittner. Tęgi, prawy był to żołnierz, cześć jego pamięci!

W Niemirowie zastaliśmy w najlepsze kwaterujących Ukraińców, wyrwali też boso w gaciach. Plutonowy Korwin zajął im wypłacany żołd. Cztery tysiące koron i dwa tysiące trzysta karbowanów zasililo Skarb Polski.

Ciężkie czasy przyszły na nas 26-go marca pod Magierowem. Zginął tam tuż pod drutami nieprzyjaciela por. Obstler ugodzony w skroń, zginął w szturmie ppor. Duch Bronisław, zginął ppor. Bogusz, ciężko ranny został ppor. Halski i Twój maszynista ppor. Ptaszyński; zginęło kilkunastu szeregowych, rannych koło trzydziestu. Niestety, zawiodła nas nasza artylerja, przytem i niezgodniona godzina ogólnego natarcia.

Co przeszliśmy atakując Białą Piaskową, wolałbym zapomnieć. Rozmokłe błota i moczary, ludzie zapadali się po kolana, konie trzeba było linkami wyciągać z bagna, do tego ciemność, brak łączności, deszcz... W rezultacie sześciu zabitych, ośmnastu rannych, siedmiu zaginionych. Mimo strasznego znużenia sypaliśmy reduty i bronili się pod wsią Zamek.

Taki to bilans. Ale myślimy, że nas wreszcie zluzuja, a jak nie, trzeba będzie wytrwać. Czekamy na Ciebie.

Od wszystkich pozdrowienia

Twój Wladek.

Rozdział XLIII.

Już schyłek roku 1919-go, a wojna trwa w nieskończoność. W Galicji Wschodniej jeszcze walki, choć coprawda gen. Iwaszkiewicz oczyścił znacznie teren. Zato z bolszewikami wojna.

Biedny, obdarty, wynędzniały, w łapciach muzyk rosyjski, pędzony przez komisarzy walczy djabli wiedzą cui bono. Dość na tem, że wojna trwa, gdy na zachodzie Europy już spokój. Tam się budują, pracują... a u nas ciągle komunikaty z frontu.

Nasza armja w ciągu roku zdołała się jako tako scementować. Z trzech dzielnic dość odmiennych stylem i charakterem, boć sto pięćdziesiąt lat niewoli wycisnęło piętno zaborców, powstała silna mimo wszystko armja.

Ukraińcy zostali wyparci z granic Polski, ale bolszewicy w pochodzie na zachód chcą nas uszczęśliwić sowieckim ustrojem. Psychika polska jest inna; zresztą i w narodzie tęsknota do państwowości. Za długo jej nie mieliśmy, by się za cenę doktrynerskich programów dać zniwelować, zszarzyć. Jak od wieków tak i teraz wykonujemy dla Europy misję wału ochronnego.

* * *

Nasze Ministerstwo Spraw Wojskowych wezwało oficerów prawników do zgłaszania się do służby w korpusie sądowym. Przeto i ja stanąłem w szeregach Temidy.

Od grudnia urzęduję, jako oficer śledczy sądu polowego czwartej dywizji piechoty. Sztab stoi w Sarnach. Oczywiście szef sądu major Orski wyciera mną, jak wogóle sędownikami bez praktyki wszystkie kąty, t. zn. wysyła mnie na śledztwa do zapadłych na Wołyniu dziur, gdzie już nawet djabeł powiedział „dobranoc“.

Zaczynam też nowe życie nieznane mi dotąd, życie tyłowca. Mogę więc spać spokojnie, rozebrać się, umyć porządnie, regular-

nie zjeść. Przeważnie jednak jeżdżę furmanką na śledztwa. Siedzę wówczas okutany w kozuchy i pledy. Działa prawo wojenne — rekwizycja. Dostaje chłop rozkaz i chce, czy nie chce, musi jechać choćby i sto kilometrów. Drapie się wtedy po łbie, ale wie, że żadna wymówka tu nie pomoże. Zresztą dostanie i napiwek niezgorszy, papierosów garść, a bywa, że i rumem „panoczek“ poczęstuje i sardynką czy wędliną ugości.

Jedziemy. Obok mnie, starając się jak najmniej zająć miejsca protokolant, podoficer Kołacz, zaś z tyłu druh nieodstępny, ordynans Grądałski. Wieś od wsi oddalona jest o dziesięć do piętnastu kilometrów, konie ciągną wózek z wysiłkiem, bo co kilka kroków, łokciowe, jeszcze za Niemców wyorane, dziury. Broń palną mamy w pogotowiu, bo w każdej chwili gotowe z za drzewa co wyskoczyć. Zwłaszcza kręci się tu sporo wilków, gorsi jednak od nich są ludzie.

Jedziemy przez Kostopol do 18-go pułku piechoty. Mijamy Ludwipol. Spalony doszczętnie. Grasujący tyfus plamisty wyludnił tę dużą wieś tak, że zostało zaledwie dziesięć procent mieszkańców. Przyczyną zarazy wszy, których by tu nie zmogła żadna dezynfekcja. Dowództwo Frontu Wołyńskiego nakazało wieś spalić. Sterczą teraz żałośnie okopcone kominy, w powietrzu czuć zapach spalenizny. Patrol żandarmski ostrzega mnie, bym przejechał bez zatrzymywania się, bo zresztą i tak nic tu nie kupię, ani niema gdzie nawet kwatery założyć.

Wio! ruszamy dalej. Najsmutniejszą minę ma woźnica. Liczył na zmianę, a tu wio, dalej do Gorodnicy. Śnieg sypie, wiatr świszczę, Kołacz kiwa się niczem żyd podczas modlitwy, tylko Grądałski, nasłuchawszy się o wilkach, z karabinem przygotowany do męskiej walki. Chłop Iwan zaś dla rozgrzewki czy też, by koniom ulżyć idzie obok furmanki, cmoka na konie, to znów coś gada do siebie. Wreszcie gdzieś koło siódmej wieczorem stajemy w Gorodnicy. Aptekarz miejscowy starozakonny, ale jakiś bardzo wielki polonofil, gości czem może, nawet pierzynę mi ofiaruje. Ale dziękuję mu za nią.

Nazajutrz ruszamy dalej. Uszczęśliwiony Iwan, że go puściłem do domu, po rękach całuje Grądałskiego, który nie broni się, owszem, z całą powagą przyjmuje hołdy.

Jedziemy ciemnym borem. Droga przeważnie z krąglaków jeszcze za Niemców ułożonych. Wieczorem dojeżdżamy do siedziby 18-go pułku w Cwili. Panem i władcą tutaj były pułkownik rosyjski obecnie w polskiej armji, Dmóchowski. Kaleczy trochę mowę polską i usprawiedliwia się, że jako Polaka ganiłi go po całej

wielkiej Rosji, byle od Polski jak najdalej. No, a jak się dwadzieścia pięć lat rozmawia w obcym języku — nie dziwnego, że trąci się w mowie rusycyzmami.

Jako gospodarz nader uprzejmy. Adjutant jego por. Szewera z nieodstępną fajką stanowi znakomite pendant do oryginału w osobie Dmóchowskiego.

Latem w ataku na Ukraińców obaj konno w koszulach i hajdawerach pędzili. Broni palnej nie używają, bo szkoda amunicji na tych, jak mówią sukinsynów, bolszewików. Komisarzy bolszewickich gdy złowią, „na spytki” biorą po swojemu, a potem na gałąź. Pozatem obaj nienawidzą żydów i w całym 18-tym pułku niema ani jednego.

We wsi zaprowadzili niesłychany rygor i porządki. Chłopi muszą zamiatać drogę, zaś gdy usłyszą dzwonki sanek pułkowników, stają na baczność frontem i wołają „winowaty”. Żydzi zaś muszą trzykrotnie krzyczeć: „Niech żyje Polska”. Oczywiście oficerom i żołnierzom muszą świadczyć wszelkie usługi. Przyznać trzeba jednak, że nikt tu nie nadużywa władzy, a nawet gospodarz na mojej kwaterze chwali sobie, że odkąd wojsko polskie tu stanęło i porządek i żywność jest i sól i machorkę dostać można.

Na kwaterze mojej ogromnemi literami wybity napis: „Sędzia śledczy Sądu Polowego 4-tej dywizji”. Pułkownik, by dodać mi powagi, postawił żołnierza z karabinem, który niezem honorowy posterunek paradnym krokiem krąży przed chałupą. W ciągu kilku dni przesłuchałem wszystkich tak, że wreszcie ruszyłem dalej ku 37-mu pułkowi.

Zaledwie opuściłem Cwili, gdy we wsi rozległy się strzały. Okazało się, że wtargnął tam podjazd bolszewicki w sile czterdziestu jeźdźców. Wróciłem do wsi, ale nim dojechałem do dowództwa już pułkownik do zebranych jeńców przemawiał po rosyjsku. Roilo się tam od słów „skatina, swołocz, sukinsyny”; widocznie bardzo ich wzruszył, bo podchodzili do niego całując mu ręce ze słowami „wasze błagorodje”.

— A gdzie wasz komisarz?

— Został w tyle na kwaterze, sukinsyn, — klęli bolszewicy.

— A szkoda, szkoda — mówił sentencjonalnie Dmóchowski, ja by jemu tu bał wyprawił i honory zrobił, on by tu był postawiony wysoko, wysoko...

— Da, da — potakiwali bolszewicy.

— Ach wy, duraki, wy tego nie rozumiecie, ja by mu dał w mordę, w tę jęwejską, żeby go szlag trafił.

— My tożę, my tożę, gaspadin palkownik — potakiwali jeńcy.

Tak to flirtował Dmóchowski z jeńcami. Zaś za nim z tyłu adiutant Szewera wytrzępywał z fajki popiół, spluwał, dogadując:

— Ot! rozkiesz z wami rozmawiać.

Pułkownik, gdy mnie zobaczył, nie pozwolił na noc ruszać.

— Kręci się nieprzyjaciel wszędzie, łączności niema należytejj, bo trudno luki zapchać. Zostań pan. Jest kozioł ubity, jest wódeczka i zagra nam kapela.

Nie dałem się długo prosić. Niebawem w salonie plebanji, gdzie kwaterował pułkownik, córka popa osobiście nakryła do stołu, bacząc, by nie za blisko stanąć koło pułkownika, bo ten szczypał ją, gdzie się dało. Gdy zaś wyszła do kuchni, szepnął mi na ucho:

— Dziewczyzna byłaby nienajgorsza, tylko, że czuć ją twarozkiem. Ale kapitan Kalinowski ściśle poufnie komunikuje mi, że pułkownik tak ją obgaduje, bo się boi, żeby zanadto pożądań u innych nie wzbudzała.

Zeszło się kilkunastu oficerów. Każdy skądś przytaszczył butelczynę, co nie wyłączając mojej wiśniówki, poszło do wspólnego podziału.

— Ot! komuna koleżeńska, a nie psia ich mać, jewrejska. — mówi do siebie zadowolony Dmóchowski.

Nazajutrz wyjechałem konno, eskortowany przez pułkową kawalerję. Taką bowiem stworzył Dmóchowski. Potrzebną mu była nietylko dla służby patrolowej czy łącznikowej, ale wręcz rzucił ją do ataku, gdy zachodziła potrzeba. Bądź co bądź oddział liczył sześćdziesięciu jeźdźców. Na końcu obok Kołacza człapał Grądzki. Ale trzeba widzieć teraz jego minę; co najmniej dowódca szwadronu; w prawej ręce pejcz z brzozowego pręta, na grzbiecie długi karabin i... olbrzymi plecak.

W południe stajemy w dowództwie 37-go pułku. Oryginalny to front. Patrole na krańcu miasteczka. Dwieście metrów okopów z zasiekami, w tem pluton żołnierzy, potem nie, jakaś połówka i ze dwa jeszcze działa i znów pluton, ale ten na kwaterach w chłopskich chałupach.

Stajemy kwaterą u popa; pokazuje mi wyciągniętą z bieliźniarki skrwawioną koszulę. Był to dzień przewrotu w jego parafji. Plebanję otoczył tłum uzbrojonych parafjan. Wpadli do wnętrza, wyważyli drzwi, padło kilka strzałów...

— O! blizna na głowie, o! — pokazywał — przestrelone pierś, ramię... i za co?... Sobie od ust odejmowałem, ale to nie ludzie..., żalił się przede mną pop.

Po południu ruszyłem do detaszowanego bataljonu. Ciekawa sytuacja. Między linią obronną pułku a bataljonem odległość wynosi bagatelę — ośm przeszło kilometrów. Innemi słowy bataljon jest oazą. W tej chwili kompanja saperów ich okopuje, drutuje, no i mają być bastjonem. Wędrujemy do nich. Ale jazda tam możliwa tylko o zmroku, względnie ciemną nocą. Można się bowiem łatwo nadziać na bolszewików. Jakoś tam szczęśliwie dobiłszy, gorzej było z powrotem. Z godzinę leżeliśmy w śniegu. Między nami a polskimi linjami spacerowały bolszewickie posterunki. Słyszeliśmy wyraźnie ich rozmowę, zaczęć jednak samotrzeć nie miałem ochoty.

Po dwóch dniach ruszyłem z powrotem do Sarn. Niemal do każdej wioski ściągają chlōpi masy drzewa. Zapytani o powód zbiórki drzewka odpowiadają, że w czasie między siedmnastym a dwudziestym grudnia nastąpi koniec świata, jako kara za grzechy. Okropny mróz ściśnie ziemię i rozpęknie się ona. Pokazywali mi drukowane ulotki z obrazkami, na których widać rozpęknięte słońce, zaś na ziemi ludzie włosy sobie z głowy wydzierają, z lasów uciekają zwierzęta, a za nimi tłumy narodu.

— Ale co wam pomoże ta wasza furka drzewa? — zagaduję.

— Może nie, a może przetrzymamy — tłumaczą mi. — Zawsze to w domu się napali i będzie ciepło.

Oj! ludzie, ludzie! nieskończona wasza głupota i naiwność.

Ledwie wróciłem do Sarn i zdołał się zagrzać przy piecu, nowy rozkaz: — Przeprowadzić śledztwo w Dąbrowicy w sprawie wywiadowcy dywizyjnego, Lisiewicza.

Zastrzelił przypadkowo żonę, gdy w białiznie klęczała przy modlitwie: sięgał akurat ręką, chcąc włożyć rewolwer pod poduszkę. Przypadek, że rewolwer wystrzelił, kula przebiła kość potylicową. A teraz na stole sekcyjnym leży jej nagi trup. Wzniesione, bo w dziewiątym miesiącu ciąży łono rozcina lekarz i wyjmuje noworodka-chłopca. Przymknięte oczy matki patrzą z pod powiek na dziecko. Odwróciłem oczy. Sekcja wnętrzości nie wykazała trucizny, jak o to pomawiali świadkowie żonobójcę. Lekarz z felerem zaszyli dziecko z powrotem w łono matki. Zwłoki odstawiono do kościoła i gdzieś koło siódmej wieczorem ksiądz odprawił żałobne egzekwie. Mąż płakał przy trumnie.

Zaledwie wróciłem na kwatere, szef sądu depeszą nakazał mi śledztwo przeciwko trzem żołnierzom, oskarżonym o skrytobójstwo. Jako eskortanci pięciu żydów, podejrzanych o szpiegostwo, zastrzelili ich i obrabowali. Nazajutrz w miejscowej szkole odbyła się sekcja zwłok. Widok był niesamowity, gdy sanitariusze wnieśli

pięć zmarzniętych trupów i postawili koło pieca, by odtajały. Ręce ich wzniesione, to znów, jakby zasłaniały głowy, a w oczach zastygł wyraz niehumanitarnego strachu. Sprowadzeni następnie mordercy-rusini sami na ich widok się cofnęli w trwodze. Nazajutrz odbyła się rozprawa doraźna. Wyrok śmierci zatwierdzony przez generała Aleksandrowicza, został wykonany. Koło drugiej godziny padły trzy salwy — trzy trupy stoczyły się do wykopanego przez siebie dołu.

Rozdział XLIII.

Pędzę dalej życie sędziego. Ale i na froncie, gdy go obejrzę, strzałów nie słyszę prawie. Życie w sztabie choć sztywniejsze, niż w linii, ma swoje barwne strony. A więc wieczornice, przedstawienia propagandowe. Po świętach Bożego Narodzenia generał Aleksandrowicz urządził bal z udziałem miejscowej ludności. Dopieroż to parada. Generał prowadził poloneza, panie niby rój motyli, tylko oficerowie w swych szarych mundurach skromnie odcinali się od czarnych fraków. Zabawa wrzała do dziesiątej rano. Była jednak na ten czas depresji znakomitą podnieta.

W połowie stycznia 1920 r. mamy wizytę Naczelnego Wodza. Zebrany na dworcu kolejowym sztab dywizji i delegacje pułków. Oczekujemy Go w naprężeniu. Wreszcie pociąg nadjeżdża.

Z wagonu wysiada Józef Piłsudski. Ma w sobie coś monarchistycznego.

Każdy z oficerów melduje się oddzielnie. Naczelnik przyjmuje raport w milczeniu. Za nami delegacje cywilów. W południe wyjechał na front.

Tegoż dnia wyjechałem z podlekarzem Gruntem na komisję do Łęczyna. Droga wiedzie przez niekończący się las. Co kilka kilometrów mijamy zamrożone grzęzawiska. Narazie to szło szczęśliwie, aż gdzieś koło trzeciej po południu naraz trzask, łomot i oto kolana moje pod wodą. Plecak z aktami pływa, woźnica rozpaczliwie krzyczy, bo wciąga go bagienna toń, konie rwą z wysiłkiem ku brzegowi. Na szczęście uratowaliśmy woźnicę i konie. Jadąca za nami druga podwoda z Kołaczem, Grądalskim i dwoma żandarmami objechała przezornie bagnisko. Nie było innej rady jak rozpaść ogień i jako tako się obsuszyć.

Już pod wieczór zmarznięci i zmęczeni dojechalismy do wsi. Mieliśmy za sobą pięćdziesiąt kilometrów drogi. Jakżeż śmiała się

do nas wieś zdaleka światłami w oknach. Należało jednak postępować bardzo ostrożnie. W promieniu trzydziestu kilometrów niema śladu wojska; najbliższy posterunek żandarmerji oddalony o dwadzieścia cztery kilometry. Dla ostrożności kazałem sprowadzić sołtysa wsi. Stawił się z odznaką sołtysowską, t. zw. „starosta“ wsi.

— „Wy, Andrej, ponimajetie“, zjedzie tu sztab dywizji. Przygotować kwatery, dla ludzi chleby, masło, miód.

— Ponimaju, ponimaju — zapewniał mnie w głębokich pokłonach, błagorodją tytułując „starosta“.

A teraz na kwaterę do miejscowego nauczyciela pod pierzynę. Gorący „czaj“, cztery jaja na twardo, a potem do łóżka. Na dworze dyżurny żandarm wybija obcasami takt, bo mróz chwycił siarczysty.

Nazajutrz przeprowadzamy sekcję zastrzelonych przez bandytę Zienkiewicza trzech żandarmów. Na wieś do czasu schwytania bandyty nałożona kontrybucja, ośmdziesiąt tysięcy rubli. Rozpacz też we wsi bezgraniczna. Ale zato na drugi dzień z rana „starosta“ z delegacją oświadcza, że wszyscy mieszkańcy chcą pójść z obławą na Zienkiewicza. Proszą tylko o karabiny. Tego chyba nie dam, a zresztą ich nie mam.

Po dokonaniu sekcji wielka obława. Uformowałem kompletną kompanję ze stu czterdziestu chłopów. Na czele plutonów — dwaj żandarmi, protokulant Kołacz i mój Grądzki. Duma Grądzkiego nie ma teraz granic.

— Baczność, spocznij, padnij! — komenderuje, ćwicząc zawzięcie muzyków, że jeno echo się niesie po wsi.

Uzbrojenie chłopów to cepy, widły, siekiery. Wyprawa nasza zdążyła przez haszcze, w głąb kniei, w środku której znajduje się olbrzymie bagnisko, otaczające wysepkę. Na tej wysepce wśród kilkudziesięciu rosnących tam drzew w dziupli olbrzymiego, już dobrze spróchniałego od starości dębu znajduje się kryjówka Josipa Zienkiewicza. Ten Josip choć ślepy na jedno oko ze swego gdzieś zrabowanego sztucera ubija, jak twierdzą chłopci, jaskółki w locie. Dlatego też wzdychają teraz głośno: „Hospody, pomyłuj“ i nieustannie po trzykroć robią znak krzyża.

— Czegóż to — pytam najbliższego Danilkę — tak się boicie?

— Och, panoczku, to djabeł nie człowiek, on z czortami wieczorem przy ognisku tańczy.

Od wysłanej straży przedniej otrzymuję meldunek, że wkraczamy w teren, gdzie władza Josip. Kompanja maszeruje gęsiego.

— A teraz w prawo zwrot, trzy plutony w tyraljerze, jeden pluton w odwodzie, marsz!

W cichem uroczysku leśnem slychać trzask łamanego chróstu i pokaszliwania. I naraz wrzask:

— Jest, jest, ucieka!

Przez małą polanę widać biegnącego człowieka. Okrzyki: „stój!“ nie pomagają. Rozlegają się strzały, ale Josip biegnie dalej, aż dopadł skraju lasu, gdzie zniknął wśród drzew.

— Żywcem brać! — rozkazują.

Nasza linja wygina się półkolem, musimy go chwycić żywego; niepodobna bowiem, by znalazł ścieżkę do wyspy, gdyż, jak mnie informuje znający dobrze te strony „starosta“ — tylko ptak przelecieć może bagnisko, które otacza wysepkę z kryjówką Josipa. Półkole nasze mija polanę. W niespełna dziesięć minut stajemy u skraju bagniska.

— Poddaj sia, poddaj sia! — krzyczą wszyscy, ale Josip gdzieś przepadł i milczy.

Rozkazują ścinać olbrzymie dwudziestometrowe sosny; przejdziemy po nich, jak po kładce. Ledwie stuknęły siekiery w pień drzewa, gdy z wyspy padły dwa strzały jeden po drugim i dwóch ludzi legło, brocząc krwią na śniegu. Teraz nasze cztery karabiny strzelają na wysepkę. Josip też strzela. Już czterech zabitych po naszej stronie. Na szczęście odkryto go na wierzchołku olbrzymiego drzewa. Jeszcze kilkanaście strzałów i oto widzimy, jak jakaś postać ludzka z rozkrzyżowanymi rękami spada na ziemię.

W pół godziny potem przez zaimprovizowaną z drzew kładkę chłopci przynieśli trupa Josipa i złożyli przede mną. Ciemna, ospowata twarz z czarną jamą zamiast lewego oka robiły odrażające wrażenie. Ciało jego w dziewięciu miejscach trafione kulami, wskazywało, że był to, mimo nizeczemnego wyglądu, niezwykle silny organizm. Wraz ze zwłokami przyniesiono znalezione w kryjówce bandyty broń, amunicję i łupy. Czegóż tam nie było. Granaty ręczne, dwa rewolwery Parabellum, jeden Steyer, wszelkiego kalibru amunicja, a przede wszystkim sławne jego, precyzyjne „rużio“. Wśród łupów znaleziono skrwawioną bieliznę, kilkanaście par butów, dwa bochny zeschłego chleba, flaszkę miodu, nieco tytoniu, trochę samogonki, ot! i tyle majątku. Chłopi wyrażali głośno swą radość, że ubito tego czorta, tę zakałę wsi. Pochód nasz wraca.

Przy zachodzącym słońcu padają na ziemię długie cienie drzew. We wsi za naszym powrotem lament osieroconych rodzin. Ale płacz, zwłaszcza kobiet ustał momentalnie, gdy na moje zarządzenie cała wieś, jako zapomogę pośmiertną, miała złożyć po pięćset rubli dla każdej osieroconej rodziny.

Postanowiłem urządzić uroczysty pogrzeb poległym żandarmom i zabitym chłopom. Przez całą noc cieśle miejscowi ciosali krzyż na ośm metrów wysoki i trzy — szeroki. Wszyscy mieszkańcy dostali polecenie uczestniczenia w pogrzebie w odświętnych strojach. Specjalnie wysłani ludzie pojechali z podwodą po popa.

Nazajutrz odbył się uroczysty pogrzeb. Na przedzie kroczył pop z djakiem, zawodząc żałośnie, potem trzy trumny z zabitymi żandarmami; za temi trumnami szedłem w otoczeniu pod lekarza, protokulanta, Grądalskiego i żandarmów. Następnie cztery trumny odkryte zabitych chłopów, wreszcie cała wieś. Patrzyłem na wdowy. Choć płakały, jednak rozglądały się ciekawie naokoło, a pod lekarz, Grunt, twierdził, że z twarzy ich czyta nawet zadowolenie.

Na cmentarzu po żałobnych pieniach popa stanąłem pod świeżo wbitym krzyżem nad dołem, gdzie spoczęły trumny żandarmów, i trawestując sienkiewiczowskie przemówienie księdza Muchowieckiego rozpocząłem:

— Puk, puk, puk! w odrzwia niebieskie. Któż tam znowu? święty Piotr pyta. To my, żołnierze polscy, polegli w obronie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. A tedy święty Piotr: pójdźcież, synaczkowie mili. Najświętsza Panna rany wasze opatrzy, w ciepłe pokoje poprowadzi, między przednie rycerstwo polskie usadzi...

Musiałem przerwać, gdyż widziałem jak Kołaczowi łzy spływają, a Grądalski naprawdę się rozbeczał.

— Śpijcie, koledzy, spokojnie. Śnijcie w mogile o wolnej, niepodległej, potężnej Polsce!...

Na dany znak ostremi nabojami huknęły trzykrotnie karabiny. To ostatni pokłon nas żyjących.

Zwróciłem się do popa, by przemówił przy grobie chłopów poległych. Zaczął coś mówić, ale zamiast poświęcić słowa pamięci zabitych, jał krzyczeć w chachłackiem narzeczu:

— Boga nie szanujecie, cudze zagrabiacie... i t d.

Gdy skończył, stanąłem przy trumnach chłopskich i kalecząc język rosyjski, zacząłem:

— Derewnia Łęczyn składa dzisiaj ofiarę krwi. Teraz dusze świętej pamięci Fedki, i Wasyla, i Osipa, i Michajła lecą w górę... (zauważyłem, że wszyscy chłopci, baby i dzieci zadarli głowy do góry)... lecą te dusze umęczone, aż dobiegły do złotej bramy niebieskiej. Stały pod bramą i nie wiedzą, co czynić. A zaś Fedko, że najstarszy, stuka.. A przez okienko wygląda święty Piotr z siwą długą brodą, zobaczył ich i z gniewem pyta: Co wy to od razu do nieba?! — a do piekła, do czyśćca najpierw, coście za jedni, pewnie nożami pożaliście jeden drugiego?

— O, nie święty Piotr! my nakaz mieli i jak żołnierze polscy w bój poszli na bandytę Josipa. Za dobro wsi, naszych żon, dzieci, matek, braci i wszystkich... krew swoją dali, wieś uratowali, państwu polskiemu porządek zapewnili. — A skoro tak! to chodźcie do nieba. Wchodzi Fedko, i Wasyl, i Osip i Michajło, a święty Piotr prowadzi ich przed Tron Boski. Sam Pan Bóg z berłem złocistym ich przyjmuje. Święty Piotr czyta przez okulary z wielkiej księgi, jak to mężnie za dobro wsi życie dali. A potem Pan Bóg każe ich zaprowadzić do komnat niebieskich. A tam i horilka, i kielbasa, i masło i miód... ile kto chce. Więc nie płaczcie, a Bogu dziękujcie, że w honorze życie dali.

Gdy schodziłem z kopca, rzuciło się wszystko do rąk moich, aż się bronić musiałem. Dziękował mi też pop, obcierając oczy czerwoną chustką.

Wyrosły dwie mogiły. Polecilem je szczególnej opiece „starosty“ wsi.

Po pogrzebie doktor na mój wniosek udzielił bezpłatnych porad lekarskich. Gdy wieść o tem się rozeszła, rozpoczęła się istna wędrówka ludów; kaleki, dziwotwory, jakieś okropnie owrzodzone głowy, jakieś liszaje, narośle, ciekące oczy, uszy — cała nędza ludzka, aż dziw, skąd ich tyle we wsi. A doktor wszystkich cierpliwie badał, słuchał, smarował, bandażował: widziałem, że im cięższa choroba, tem bardziej zadowolony po łacinie do sanitariusza, czy do siebie gada, smaruje, tnie, leczy... a ludziom oczy jaśnieją.

Przyszło mi na myśl, by sądy przeprowadzić, gdyż o rozstrzygnięcie spornej sprawy o prawo do ula w lesie zwróciło się do mnie dwóch chłopów. Tedy zasiadłem w otoczeniu Kołacza, „starosty“ i dwóch żandarmów i dalejże urzędować. Wyroki były w imieniu Rzeczypospolitej z rygiorem natychmiastowej wykonalności; sprawa trwała nie dłużej, jak pięć minut. A spraw było ze trzydzieści, a może i więcej. Wreszcie i sam „starosta“ sąsiedniej wsi prosił o rozstrzygnięcie sporu o prawa do własnej żony, do której siłą dobierał się miejscowy donżuan. Gdy ten nie zaprzeczył, iż w zamiarach niedwuznacznych chadzał do starościny, kazałem mu publicznie wykropić dwadzieścia pięć kijów, co natychmiast wykonano; czterech chłopów trzymało adonisa za nogi i ręce, egzekucję zaś wykonał osobiście sam poszkodowany, a bił, aż się zasapał od rozmachu. Dopieroż to śmiech w narodzie powstał, bo cała wieś temu asystowała, gdy po egzekucji urodziwy Nyka hajdawery w rękach dzierżąc, czerwony z bólu i wstydu rwał do swej chałupy. Po rękach mnie potem całowała żona Nyki, też urodziwa, jak się patrzy baba.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy przyszedłszy na kwaterę zastaliśmy tam stosy prowiantu. Kury, kaczki, zające, plastry miodu, trzy flaszki samogonki, słonina, rogacz i t. p. To dary leczonych i sądzonych. Nie chcieliśmy tego przyjąć, ale ostatecznie, dlaczego nie wzbogacić naszego kasyna. Ledwie na osobną furę się to wszystko zmieściło.

Gdy wyjeżdżaliśmy, cała wieś odprowadziła nas daleko z jakie pięć kilometrów.

Słońce zachodziło, księżyc wschodził, gdy wróciliśmy na kwaterę.

Rozdział LIV.

O ile nie wyjeżdżam na komisję śledczą — siedzę na rozprawach, w cięższych wypadkach jako sędzia wotant, bądź też bronie lub oskarżam zależnie od rozkazu nowego szefa sądu, bardzo miłego, jowialnego i dowcipnego majora Kubisztala. Sądzymy przeważnie cywilów-tubylewów.

Wczoraj broniłem nadleśniczego, oskarżonego o tajne przechowywanie broni palnej. Dowództwo frontu Wołyńskiego nakazało cywilom oddać wszelką broń. Za zatajenie groziła w trybie doraźnym kara śmierci. Więc i nadleśniczy, choć „*polonus equus*“ z sumiastym wąsem bynajmniej nie zagrażał rewolucją na tyłach walczących pułków, jednak skoro nie zadeklarował staroświeckich pistoletów, srebrem i złotem zdobnych szabluc, jataganów, rusznic z niezwykle pięknie cyzelowanemi lufami — winien jest zbrodni... więc prokurator Michalski, choć go w swem sumieniu rozgrzeszył, jednak gromi na rozprawie właśnie dlatego, że jako uświadomiony Polak...

Na sali rodzina z chusteczkami na oczach, do ścian przyłgnęło jakieś łkanie.

Wedle formuły proceduralnej wolno delikwenta sądzić jeszcze pięć godzin, po ich upływie sprawa przejdzie do zwykłego postępowania, a przeto będzie wolny. Więc jako obrońca z urzędu stawiam wnioski dziwaczne i na głowie stoję, byle tylko rozprawę przeciągnąć. Jeszcze trzy godziny, gdy przewodniczący, major Kubisztal zamknął rozprawę. Oskarżyciel krótko i rzeczowo zakończył przemówienie i wskazując na oskarżonego powiedział:

— Więc i gdy przewód sądowy udowodnił całkowicie winę — wnoszę o zastosowanie... kary śmierci.

Na sali zrobił się ruch, żonę i teściową oskarżonego zemdlone wyniesiono z sali. Zacząłem obronę. Dwie i pół godziny przedemną. Czem to wypełnić?

Podziwienia godna cierpliwość kompletu sądzącego. Czego nie bzdurzę, ot gadam, gadam, a zegar posuwa wskazówki psia-krew jakimś żółwym krokiem. Więc, gdy brakowało mi kompletnie tematu, proszę o przerwę na spoczynek kilkominutowy. Urwałem tak pół godziny. Po przerwie zaczynam tyrady na temat okrucieństwa wojny, hańby ludzkości, sądów doraźnych; jeszcze dwadzieścia minut, jeszcze dziesięć, — już tylko trzy — wreszcie zegar wydzwania drugą godzinę. Przeciągnąłem jeszcze trzy minuty, a potem, wskazując na zegar, zawołałem donośnie:

— Wobec upływu siedmdziesięciu dwóch godzin wnoszę o przekazanie sprawy do zwykłego postępowania.

W pół godziny potem nadleśniczy mokry z emocji siedział w bryczce w otoczeniu rodziny — uratowany.

Potem sądzimy dywersanta na tyłach. Zastrzelił z ukrycia pięciu naszych żołnierzy. Po południu o szóstej krótka salwa. Roman Chodenko, u którego znaleziono pięć tysięcy rubli i dwieście dolarów od bolszewików na organizowanie powstania otrzymanych, do czego się przyznał, przestał żyć.

Potem dezterter w czasie akcji, ale zbiegający do bolszewików. Też wyrok śmierci.

Na pięterku domku, gdzie sąd polowy się mieści, gra skoczne polki gramofon. Imieniny sierżanta, gwar tam i ruch, aż przewodniczący nakazał ciszę. Dura lex belli. Huczą salwy, skazańcy walą się w wykopane przez siebie doły. Niema czasu na filozofje. Na linji giną najlepsi, tu zaś sądzimy draństwo. Tak rozumuje komplet sądzący.

Wyjechałem nazajutrz na śledztwo do Dąbrowicy. Kwaterę mam u wdowy po rozstrzelanym przez bolszewików jej mężu, praporszczyku rosyjskim. Z siostrą zamieszkuje dwie izby schludnie, choć skromnie utrzymane. Darzą mnie wrzątkiem, ale niema herbaty, niema cukru, ani sacharyny, ani co jeść — wogóle nędza. Kartofli garść. Więc częstuję ich sucharami, czekoladą, konserwą gulaszową. Ale one obie i stara, ślepa kucharka nie jedzą, tylko wprost połykają. Na łóżku kwili ośmiomiesięczne niemowlę. Pokarmu niema w wyschłej piersi. Zrobiłem, co mogłem. Z punktów opatrunkowych nzbierałem kaszy, cukru, mąki, nieco odzieży — radość ich bezgraniczna.

Na kwaterze urządziłem biuro śledcze. Staje koło osiemdziesięciu uczestników, morderców rodziny Broel-Platerów w Worobinie. Typy podsądnych okropne. Jakieś niesamowite, zarośnięte, ze zwierzęcym wyrazem twarzy. Ustalam stan faktyczny.

Dwaj młodzi Platerowie wrócili ze studjów z Paryża. Buńczucznie, nieświadomi bolszewickich przewrotów, jadą drogą i walą szpicrutami „po mordzie chłopskie bydło“. Tak twierdzą podświadni. Biada chłopskiej furmance, gdy na drodze nie zjechała do rowu na widok jaśniepańskich ekwipaży. W kilka miesięcy potem szedł pomruk gniewu ludu od Wschodu. Więc jednego dnia jakieś tajemne wici ktoś rozniósł po siołach i oto tysiące nędzarzy dąży do pałacu. A tam na wieżycach muszkietrzy pruscy ustawili karabiny maszynowe, stosy granatów ręcznych... Ale, gdy zobaczyli mrowie chłopskie — uciekli. Zostali młodzi Platerowie i ośmnastu urzędników z administracji. Tłum otacza zamek.

— Poddać się — krzyczy tłum.

A na to padają dwa strzały. Wtedy ktoś z bańką nafty podbiega ku tarasowi, oblewa naftą drewniane oszalowanie i za chwilę zamek spowity w dymie. Na wieżycy słychać głosy młodych Platerów:

— Darujcie nam życie, damy wam wszystko, ziemię, domy, meble, pierścionki, pieniądze...

Tłum ryczy, ale jednak drgnęło w nim sumienie.

— Darować im — woła stary Wańko.

— Darować — powtarzają inni.

I już Platerowie przekonani, że życie uratują, wyszli z płonącego pałacu, gdy jakaś megiera zaczęła drzeć z siebie włosy i krzyczeć:

— Ludzie, ludzie! oni naszą krew pili.

Tłum znieruchomiał. W ciszy ktoś potwierdził:

— Da, oni krow' pili.

— Oni krew pili — ryczy tłuszcza.

I na młodych Platerów spadają ciosy, cepy, drągi... Krwawe strzępy na miazgę zbitych hrabiczów podniecają instynkty krwiożercze. Tłum wali do wnętrza zamku, nie bacząc na płomienie. Zaczyna się rabunek. A potem też megiera z zapaloną głownią wiedzie czerń na budynki administracyjne. Zebrani w zarządzie dóbr urzędnicy próbują się bronić, za słabi są jednak. Tłum wyważa zatarasowane drzwi, wybija okna; tłum chce krwi. I w pół godziny wszystkich ośmnastu urzędników wprost na strzępy rozdarto. Nawet stary ogrodnik, nędzarz prawie, mimo, że na klęczkach błagał o zmiłowanie, leżał z rozplataną czaszką. A potem rabunek: zegary, biurka, meble, rozdierają między siebie kilimy i makaty, tłuką obrazy... Wieczorem zapłonęły luny...

Tłum ucztuje na podwórzu zamkowem, w blaskach płomieni. Wydobyte z piwnic flaszki wina, zarżnięte krowy holenderskie, świnie, drób. Nawet pawie i łabędzie poszły pod nóż.

— Ach! nareszcie, nareszcie tyle szczęścia za te setki lat nędzy i poniewierki — tłumaczy mi cynicznie, przygotowany na wszystko Owsiejko Stiepan.

Rozprawę prowadzi kapitan Tempka. Bada spokojnie, uspokaja sędziów-wotantów, gdy nie mogą nerwów opanować. Wreszcie wyrok.

Nad ranem salwy obwieściły Nemezis. Niema czasu na sentymenty. Litość, współczucie? — czy szukać go wśród stada wilków.

Ludzkość zapada się w otlchlań. Niema osobowości, niema człowieka. Są wilcze apetyty, pazury, i nienawiść.

Rozdział XLV.

Już wiosna się budzi. Rokowania w Boryssowie nie dały rezultatu. Wojna trwa dalej. Naczelnik Państwa uposaża Petlurę mandatem wodza Ukrainy, ale trzeba ją wydobyć z rąk bolszewickich. Więc szykuje się nowy rozlew krwi. Południowo-wschodnie kresy będą bramą wypadową. Polska obecna, to już nie dziecię nowo-narodzone, ale potężny twór.

Haller okupuje Wielkopolskę, Pomorze. Oddziały nasze wkraczają do Torunia i widzą na szybach splaszczony nosy i markotne miny tutejszych Niemców. Ausrotten! hasło hakaty zmienia front. Teraz my tej ziemi prawi dziedzice. Prężność nasza wiedzie naród polski na krańce Rzeczypospolitej od morza do morza. W Berlinie rozgardjasz, ale tu kują broń Lenin i Trocki. Naturalnie Polska przeszkadza, by potop komuny rozlał się po Europie. Więc poza zagadnieniem wyzwolenia ludów Zachodniej Rosji, Polska ma misję dezynfekcji społecznej. Nie przesądzajmy wypadków.

Dywizja nasza posunęła się do Korostenia. Staram się o przydział do Dywizji Górskiej. Wiedzie ją generał Galica, Janosikowy to spadkobierca.

Już rozkwitł maj, szumią łany zbóż, ćwierka ptactwo, jakby się cieszyło, że oto wszystkimi drogami maszerują polskie pułki, że wśród rozkwitających zbóż furkoczą proporczyki ulańskie, że na każdym rozstaju rechoczą karabiny i wyrastają nowe mogiły.

Niesie nas rozpęd, jakaś wewnętrzna siła, poprostu dynamika rasy lechickiej. Na czele wódz, co Polskę zamknął w sobie i kazał nam myśleć kategorjami stuleci, ba! cofnął nas do wspomnień mglistych, wielkich zwidów mocarnej państwowości. Tedy wali Piłsudski mieczem w bramy kijowskie.

Kijów w polskich rękach, Chrobry niespełna tysiąc lat temu, a teraz my. Dumnie też spacerujemy na Kreszczatniku.

Od Bawarek, skąd słyhać głuchy pomruk artylerji polskiej, zdaje się słyseć tupot kolegów z Pierwszego Pułku Strzelców Podhalańskich. Tak! Duma rozpieira mi piersi. To my, górale, teraz jako przednie rycerstwo w pierwszych szeregach.

Kijów! myślę, patrząc na wynędzniałą publiczność tutejszą. Witają nas Kijowianie, jak zbawców; opowiadają o przeżyciach, godnych dantejskiego pióra, o nędzy, chorobach; w łachmanach teraz, patrzą na nas rdzenni Rosjanie z niekłamaną czecią. Sprawia nam to żywą satysfakcję.

W Kupieckim Ogrodzie koncertuje muzyka wojska polskiego. W dali migota Dniepr w świetle księżyca; słyzy mazurki i oberki i — hymn polski.

Nigdy Apuchtin, Hurko, czy inny Skafłon nie myśleli o takim biegu historji.

To za Maciejowice, hańbę grodzieńską, za krew z sześćdziesiątego trzeciego roku, za Sybir, za Łukasińskich, Trauguttów, Okrzejów.

— Oto dokonywa się — myślałem, siedząc w gabinecie dowódcy II Armji, generała dywizji, Rydza - Śmigłego, cud zmartwychwstania!

Jakież zaszczyt przypadł ci w udziale, generale!

Gdy potem schodziłem w dół ulicą Bankową, ogarnęła mnie refleksja, bo właściwie, jako sędownik jestem raczej tyłowcem, psiakrew! W rękę ściskam pismo generała, skierowujące mnie do służby politycznej. Mam się zameldować u pplk. Miedzińskiego.

W dni kilkanaście potem jadę do Warszawy. Pierwszy raz widzę to miasto. Nie powiem, by mnie zachwyciło. Szablono-we domy czynszowe, tłok, tłok na ulicy, w kawiarniach, w tramwajach. Jakże inny tu świat, inne życie, mimo, że na ulicy pełno wojskowych.

Zaszedłem na Zamek. Natknąłem się tam na brata Rudolfa. Wrócił z niewoli rosyjskiej, jako oficer tragicznej piątej dywizji syberyjskiej. Po czterech latach widzimy się po raz pierwszy. Wzruszenie nasze nie ma granic. Dłuższą chwilę nie nie mówimy. Wyszliśmy potem na ulice Warszawy. Przewala się tłum, świat tak różny od tego na froncie. Oficerowie wyorderowani, damy szykowne, bogate wystawy sklepowe i... nieprawdopodobna

ilość sanitarjuszy i sanitarjusek. Wszystko nosi czerwone krzyże. Poprostu, jakby na froncie były mordercze walki. Prędko zwialiśmy do restauracji „Cristal”. Dopiero kilka żytniówek postawiło nastrój nasz na właściwej stopie, dopiero teraz rozwiązały się nam języki. Usłużny kelner dolewał i aniśmy spostrzegli, jak wieczór zapadł.

Rozdział XLVI.

Na froncie niedobrze. Bolszewicy runęli z przygotowaną ofensywą od północy i wschodu. Padło Równo, Mińsk, Wilejka przekroczona, Wilno zagrożone.

W kraju chaos gospodarczy, nędzna waluta, rwetes wobec pracujących naprzód bolszewików.

Anglja rzuca nam kłody pod nogi. Odbywa się zbiórka broni, kawiarnie opodatkowane, tworzy się armja ochotnicza pod wodzą Hallera. W tych warunkach zgłaszam się na ochotnika do służby linjowej.

Wieści z kraju i z frontu jak najgorsze. Padło Wilno, Mołodeczno, Mińsk, Brody, Wołoczyska, Lwów szykuje się do obrony. Na dobitek Śląsk podzielony. Karwinę, Trzyniec, Frysztat — dostali Czesi. Cieszyn rozdarto na połowę. Zagranica nazywa nas awanturnikami. Niemcy nie chcą przepuścić amunicję. A my ślemy błagalne noty do Paryża, do Londynu, do Moskwy. Mówią, że pan Trocki chce nas ukarać (!) Ma podobno czterysta tysięcy żołnierzy. Ale niemożliwe, byśmy zginęli. Naczelnik powołał do życia Radę Obrony Państwa.

W Warszawie szalona agitacja za obroną kraju. Napisy na ścianach, chodnikach, na drutach telegraficznych, tramwajach, kawiarniach: — Do broni!

Nie można tych napisów nie widzieć.

Pełno aktualnych, antybolszewickich karykatur, obrazów propagandowych; więc, czerń bolszewicka we krwi po kolana, tam znów osioł w cywilnym kubraku, napróżno ciągną go do woj-ska, a pod spodem napis:

Darmo ciągniesz, trudna rada,
to osioł-cywil z dziada, pradziada!

To znowu wyłamany płot, przez który wali dzicz bolszewicka: walący się płot z trudem podtrzymuje żołnierz polski.

Z Warszawy podobno skarb wywieziony, ministerstwa przygotowane do wyjazdu. Czyżby do tego doszło? Zgłosiłem się do służby linjowej i mam otrzymać dowództwo jednego z bataljonów 10-go pułku. Tymczasem zatrzymują mnie w sztabie. Zadaniem mojem reorganizacja i ujednostajnienie broni, głównie karabinów maszynowych. W jednym pułku mamy równocześnie karabiny systemu Schwarzlose, Maksimy, Levisy, Hoschcisy, Revelli i Bóg wie jakie. Z tego powodu amunicja źle kierowana, obsługa nieobznajmiona z systemem broni.

Przyjechałem do Warszawy po fasunek oliwy: — Kiedy nie ma, — oświadcza mi „referent oliwy“ kapitan artylerji w gmachu Naczelnego Dowództwa. — Ale wal, kolega, na Pragę do Depot, może tam glicerynę wyfasujecie, dam wam kartkę na pięćdziesiąt litrów gliceryny.

Wprawdzie teraz lato i gliceryna chwilowo zbędna, ale dobre i to. Walę tedy dryndą na Stalową. W obrębie zamurowanego podwórza z miną generała spaceruje komendant Depot, urzędnik, bo gwoździe widzę na kołnierzu. Tytułuję go z głupia frant porucznikiem. Połknął gładko tytuł, ale gliceryny nie ma, mówi z flegmą, może mi zato dać oliwę. O to chodzi. Dawaj bracie, byle prędko. Tedy zafasowawszy sto litrów, jak Iza czystej oliwy pakuję ją do beczek na dwie dorożki i jazda na dworzec wschodni. Co tu za rwetes, bieganina. Z rewolwerem w ręku taszczę beczki do przedziału drugiej klasy. Złoszczą się pasażerowie, jakiś żandarm chce protokół robić, ale mu Grądzki wypalił:

— Odknajaj kanarku pókiś cały, bo huknę w papę, że ci zęby czwórkami wylecą.

Więc i „odknajaj“. Wreszcie pociąg rusza. Teraz ścigam dywizję. W Mrozach słysząc huk artylerji.

Dotychczasowy dowódca IV dywizji, generał Skierski, objął teraz dowództwo IV armji; naszą dywizję przejął pułkownik Zarzycki.

Wojska polskie dalej w odwrocie. W Siedlcach, gdzie wysiadłem, ewakuacja na ukończeniu. Pełno porzuconych części rynsztunku. Jakaś babina daje mi znalezionych kilkadziesiąt łusek.

— Proszę, niech pan weźmie panie kapitanie i bije do tych wywłoków, świniopasów...

Tak nazywają krasnoarmiejców. I niech kto twierdzi, że lud polski nie ma uświadczenia narodowego.

Dywizja nasza cofa się na lewy brzeg Wisły. Sztab zakwaterował się w Zakroczymiu. Prasa donosi, że Niemcy zcicha i zniechęca chcą zająć kresy zachodnie, że Anglja zmienia front w stosunku do nas i hamuje antypolskie wybuchy Lloyd Georgea. Sytuacja polityczna w Warszawie z gruntu przeobrażona.

Na czele rządu stoi Witos, mocna głowa na terenie życia partyjnego w parlamencie, ale wątpię, czy opanuje splót zagadnień gospodarczych, politycznych no i... sytuację wojenną. Jednak reprezentuje on blisko siedmdziesiąt procent ludności i jest odtrutką dla wrogiej agitacji. Tekę ministra spraw wojskowych objął generał Sosnkowski. To bardzo miła postać.

W Warszawie, która szykuje się do obrony, ogłoszono stan oblężenia; jenerał gubernatorem gen. Latinik.

Nasza dywizja tłucze się między Żyrardowem, Warką, Grójcem, a Jabłonną. Co kilka dni gdzie indziej.

Dziś mamy siódmego sierpnia. Od trzech dni rozpoczęła się nasza kontrofensywa. Jako zadatek pomyślnej akcji odbity został Mińsk Mazowiecki. Akcję prowadzi osobiście sam Józef Piłsudski. Nasza dywizja jest rezerwą II-ej Armji, dowodzonej przez gen. Roję.

W skórze oficera broni czuję się doskonale. Mam przed sobą rzeczy żywe, nie świat przestępczy, cmentarzysko nędzy moralnej.

Organizuję czempredzej przeszkolenie maszynistów.

Szefem sztabu major Zborzil, jego zastępcą kpt. Drapella, bystra głowa, konsekwentny rozkazodawca.

Nasza kontrofensywa rozwija się bardzo pomyślnie. W Naczelnem Dowództwie współpracuje w grupie operacyjnej generał Weygand, były szef sztabu generała Focha. Manewr Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego, ocala Warszawę, po zaciętej bitwie pod Radzyminem w dniu 15 sierpnia. Już Brześć odbity. W Winnikach pod Lwcowem walki. W naszym sztabie dywizyjnym mamy dwóch oficerów Francuzów; mam wrażenie, że raczej widok ich umacnia naszego ducha, bo w gruncie rzeczy do operacyj prawie się nie mieszają.

Dywizja ośmnasta gen. Krajewskiego cudów dokazuje, dość powiedzieć, że za jednym zamachem zagarnęli ośmnaście tysięcy jeńca, moc armat. Bolszewikom udało się chwilowo zająć Stryj.

Tyły organizują się bardzo dobrze. Intendentura działa znakomicie. Żołnierz wyekwipowany, nakarmiony; dostawa amunicji regularna.

* * *

Z okien mej kwatery widać eskortowanego żołnierza-skażenka. Dezerter tchórz z pola walki. Moja gospodyni spazmuje, choć delikwent całkiem obcy człowiek. Za dziesięć minut — trrach! Dla przykładu! Trudno.

Ofenzywa rośnie i potężnieje w rozmachu. Pod Lwowem sytuacja coraz lepsza, Mława odbita, walki toczą się pod Płockiem.

Gazety „Naród“, „Kurjer Poranny“ wyśpiewują hymny na cześć Naczelnego Dowództwa, zaś prasa opozycyjna, jak „Rzeczpospolita“, „Gazeta Warszawska“ wałą na nie (czyt. Piłsudskiego), przypisując zasługi jedynie francuskim oficerom. Smutne to rozdarcie.

Dywizja nasza weszła w skład armji gen. Roji.

Praca wre. Sędziowie rozjechali się po brygadach na sądy doraźne.

W związku z reorganizacją broni siedzę dalej w sztabie, organizując prowizoryczne przeszkolenie maszynistów. Brak jednak sprzętu artyleryjskiego. Czesi dla dostaw materiału bojowego z Wiednia zamknęli granicę. Tegom się po nich nigdy nie spodziewałem.

Nasza dywizja idzie teraz do Lwowa. Jest tu i Naczelnny Wódz.

Stajemy na kwaterach w szpitalu dla umysłowo chorych w Kułparkowie. W nocy słyszeć nieludzkie ryki i wycie. Śpimy w celach furjatów i nie powiem, żebyśmy się tu dobrze czuli. Długo zasnąć nie mogłem. Chwała Bogu, jednak na trzeci dzień ruszyliśmy do Chodorowa. Ósma brygada jazdy i 37-my pułk piechoty mają za zadanie odepchnąć bolszewików, którzy tu wbili się klinem w naszą linię.

Zaledwie dowódcom baonów wydano rozkazy, gdy bolszewicy zasypali nasz odcinek ogniem karabinów maszynowych. Dowódca dywizji, płk. Zarzycki mężnie stał w ogniu, ale zato innym sztabowcom ciepło było. Leżało wszystko w rowie, że aż hej! Nawet ksiądz proboszcz dywizyjny Choma i major weterynarji Wayda, intendent Burnagel i inni.

Szarżujący szwadron rotmistrza Todta powitali bolszewicy tak ostrym ogniem, że szwadron ze stratami musiał się cofnąć. Więc Zarzycki rzucił w pomoc kompanję saperów. Trzeba przyznać, że szli jak lwy. Wsparły ich dwie baterje połówek i dwie haubice. Walnie też rzygnęła ogniem armatnim pancernka „Piłsudczyk“. Zwłaszcza zacięta walka rozgorzała o kotę 243 i trygonometr 342; walka trwała do późnego wieczora. Karabiny maszynowe, muszę to wziąć na siebie, dały prawdziwy koncert. Jed-

nak Schwarzklose są najlepsze. Łatwo przenośne, mniej skomplikowane, w ataku nieocenione, w przeciwstawieniu do kolubryn maksymowskich. Do późnego wieczora huczało i grzmiało, a nocą widać tylko krwawe błyski strzałów armatnich. Bolszewicy uwzięli się na ten odcinek.

Koło północy nastala cisza. W nocy nadciągnął drugi i trzeci baon 37-go pułku piechoty. Zaczęły się przegrupowania.

W sali, gdzie zawieszono mapę sytuacyjną, szef sztabu ze swym zastępcą omawiali wytworzony stan. Drapella poświstując ustawia sygnatury. Barwne chorągiewki tworzą półkole. Drapella posuwa je naprzód.

— Ależ tam bolszewicy mają sztab brygady! próbuję go korygować.

— Nie szkodzi — mówi Drapella — jutro wieczorem nasze ułany zajmą ich miejsce. To jest prosty rachunek. — Durniami będą, jeśli nie zwieją. Capniemy ich, jak mysz w pudle... — śmieje się, zazwyczaj małomówny Drapella.

I nie omylił się. Ranne meldunki: — Bolszewicy w popłochu cofają się. Hurra!

Jedziemy koleją do Przemyśla. Miasteczko to, zresztą miłe, strasznie zniszczone. Tu luzujemy dwunastą dywizję Januszajtisa. Poznaje pułkownika Habsburga, dowódcę brygady, syna Stefana z Żywca, b. głównodowodzącego flotą austriacką. Co za zmiany. Dziedzic Habsburgów w walce o wolność Polski. Bardzo to sympatyczny i skromny oficer.

Ofenzywa nasza idzie jak burza. Kowel, Włodzimierz Wołyński, Kobryń — odbite.

Jutro, t. j. piętnastego września zaczynamy od prawego skrzydła ogólną ofenzywę. Nasza dywizja ma wziąć w niej wybitny udział. Rohatyn zajęli bolszewicy z powrotem, ale to ich lokalny sukces. Maszerujemy teraz na północ. Kierunek: Pomorzany, Płuchów, Brody. Szósta armja gen. Lamezana oddała nam dwanaście Levisów. Uposażyłem nimi 37-my pułk piechoty; Satisfakcja patrzeć, jak się do nich dobierają strzelcy. Cieszą się jak dzieci nową zabawką.

Wkraczamy do Dunajowa. Gruzy, zniszczenie. Wśród gruzów snują się tylko żydzi. To samo w Pomorzanach, Zborowie, ale to pozostałości wojny jeszcze z 1914-go roku.

Wszędzie napotykamy ślady bolszewików. Sądząc z wyglądu jeńców, należy uznać bolszewików za ostatniego rzędu hołotę. Zarośnięci, zawszeni, brudni — śmierzdzą zdaleka. Nie możemy, niestety, chwycić komisarzy. Ci wieją na czele.

Widać, że agitacja była tu szalona. Na murach, na drutach, wszędzie czerwone ich afisze propagandowe z napisami: „precz z kapitalizmem“, „precz z wojną“, „niech żyje rząd robotniczo-włóściański“. Nie szczędzą też naszego Naczelnika Państwa w dosadnych karykaturach.

Ciekawe są typy żydów tutejszych. Popatrzysz na niego z udanym marszem, a on czempredziej jarmułkę z głowy ściąga i przymilnie woła: „niech żyje wojsko polskie!“ Oglądam się, ale widzę, że jestem sam, więc pytam go z jakiej przyczyny taki zadowolony.

— Co to szkodzi, pan kapitan zadowolony i ja.

— No, a inni żydzi?

— My za Polską, tu lepsze interesa, jak z tymi chamami — tu wskazał na oddział jeńców bolszewickich, obraz nędzy i rozpaczy.

Dywizję naszą objął płk. Zagórski.

Drogę dalszą odbywam przeważnie konno wśród przepięknych okolic. Panorama jesienna nieporównana zwłaszcza, gdy stoki gór, czy doliny zabarwione złotą, bądź czerwoną matą lasów liściastych. Pościg nasz ma raczej charakter wycieczkowy, raidu sportowego.

Po krótkim spoczynku w Zborowie marsz dalej na Żałosce. Tak straszliwie zniszczonego miasteczka dawno nie widziałem. Na gruzach rozwalonych domów bujnie porosło zielsko. Jakby tu było trzęsienie ziemi. A jednak na tych rumowiskach koczują mieszkańcy, szczekają psy. Większa część jednak mieszka w okopach. Ulepszyli sobie schrony i poprostu przyzwyczaili się do takiego trybu życia. Jak we wszystkich miasteczkach, grasuje i tu tyfus plamisty, przyniesiony przez bolszewików i dziesiątkuje ludność.

Mijamy, a raczej krótko kwaterujemy w Nowym Aleksieju, głównej siedzibie baptystów. Sekta ta ma niesłychane poczucie uczciwości, dość powiedzieć, że tutejszy baptysta oddał nam kasę pułkową ze stu tysiącami koron, znalezioną w rowie.

Nie mamy czasu na dłuższy postój. Bolszewicy wieją, jak wichur. Wczesnym rankiem ruszamy na Wiśniowiec, dalej na Łanowie. Sytuacja się wyjaśniła. Bolszewicy przepędzeni. Teraz możemy wreszcie się wyspać, wypocząć, bieliznę zmienić, dziury załatać.

Ale już dwudziestego szóstego września rozkaz nowy — dywizja wagonuje. Na gwałt jedziemy teraz przez Lublin, Białystok do Grodna.

W Grodnie wrażenie pierwsze, może dlatego, że deszcz i błoto — okropne. Zerwane mosty, brud, niechlujstwo, na drogach pełno słomy, sprzętu wojennego i niezliczone chmary żydostwa naogół biednego.

Bawi tu sztab drugiej armji gen. Rydza-Śmigłego. My kwaterujemy w hotelu „Metropol”. Koło północy, gdy przechodziłem korytarzem, ukazała się postać w jasnym płaszczu wojskowym, w maciejówce... czyżby?!... stanąłem we wnęce muru w postawie na bacność. Odklonił się, bystro patrząc, sam Józef Piłsudski i szybko wszedł do pokoju, zajmowanego przez gen. Żeligowskiego. — Wilno będzie nasze — powiada na wieść o Naczelnym Wodzu kpt. Żukowski.

No, zobaczymy. Jakoż nazajutrz maszerujemy do Druskienik. Śliczna ta miejscowość, jakże opuszczona teraz, zaniedbana. Lśni w słońcu jezioro, jak tafla lustrzana, szumią lasy naokoło, jakby niosły echa Jagiełły, bożków litewskich. Jakieś liryczne technienie historii zda się przenikać tę prastarą ziemię.

Idziemy w kilku nad Niemen.

Słychać po drugiej stronie rzeki huk artylerji. Na prawo przez lornety poznajemy aeroplan litewski. Biją w niego polskie karabiny.

Gdyby to przewidzieli twórcy Unji Horodelskiej.

Rozkaz dywizyjny, jako najbliższy etap wyznacza Orany. A tu rwie się wszystko do marszu w głąb Litwy.

Zamiast marszu na Litwę dostajemy dziewiątego października rozkaz tajny trzeciej armji. Mamy się cofnąć o sześć kilometrów, t. j. do ujścia kanału Augustowskiego, do miasteczka Uciecha. A tymczasem okazało się, że Żeligowski „zbuntował się” i na czele grupy wkroczył do Wilna, tam ogłosił się gubernatorem, a mówią plotkarze, że i Wielkim Księciem Litewskim... I w łonie naszej dywizji snuje się myśl o marszu...

Rozdział LVII.

Było to dziesiątego października, rankiem. Spałem jeszcze, gdy Grądalski zadyszany wpadł, jak bomba.

— Pokój z bolszewikami zawarty! — krzyczy na cały głos, a twarz jego niewiadomo, śmieje się, czy płacze.

— A z Litwinami?!

— Rozejm!

— Pokój... — myślę, przymknąwszy oczy.

— Pokój!? Wojna skończona... nie będzie bitew, rozkazów operacyjnych, marszów, nie będzie huczeć artylerja, nie będzie rannych... i nędzy, i chorób, i wszy... i wyśpimy się...

— Grądalski! byku sakramencki, kto ci to mówi?!

— A dyć cała dywizja o tem mówi. W nocy „Jusem“ przyszedł meldunek.

— To znaczy, żeśmy przeżyli wojnę, i wrócimy do domu...

Grądalski trzasnął obcasami, stanął na baczność:

— Wedle rozkazu, panie kapitanie!

— Co?!

— Wrócimy.

Pokój! — tem słowem witamy się wszyscy. Tegoż wieczora w kasynie naszym bankiet...

Po raz pierwszy od 28-go lipca 1914-go roku zasypiałem w nowem jakby jestestwie.

Tylko wewnątrz jakby się coś rozprzęgło, rozkleiło. Ni to radość, ni ulga... a coś, cobyem nazwał oszołomieniem.

Rozdział XLVIII

Zakończenie.

W dwa miesiące potem bawię w Nowym Sączu w kasynie oficerskiem I-go Pułku Strzelców Podhalańskich.

Na podwórzu koszarowem łopoce flaga polska.

W kasynie za stołem siedzi cała chmara oficerów; wigor bije z ich twarzy. Kogóż tu niema? Dobrodzicki, obecnie dowódca 5-go pułku Legionów w Wilnie. Na wojnę wyruszył jako sinukły porucznik, dziś podpułkownik, rozrósł się, zmęźniał. A po bokach rzędem major Siwak, Bergman, Typrowicz, Wojakowski, Duch, Malik, Kwapniewski, Izdebski, Karp, „Rejent“, Kęsek, Wójtowicz, Kubin, Giza, Kornaus, Urbanek, Wantuch, Klein, Serafiniuk, Halski, Templer, Ombach i t. d. Zdaje się, że w ciżbie wszyscy są tutaj.

Ppłk. Dobrodzicki, mimo, że obecnie jest dowódcą 5-go pułku Legionów, uważany jest i teraz za naszego regimentarza. Przemawia:

— „Dzisiejszy Pierwszy Pułk Strzelców Podhalańskich powstał na gruzach kadry 20-go pułku austriackiego. Sześć lat wojny spędziłyśmy w szeregach tego pułku. Splotły się tutaj nasze cierpienia i radości.

Wsluchujemy się w jego słowa i powoli oblicza nasze poważnieją, czujemy nastrój chwili. Dobrodzicki spojrzeniem ogarnął nas wszystkich.

— Początkowo wierzyliśmy Austrii, że do zagadnienia niepodległości Polski przystępuje szczerze. W początkach wojny

patrzyliśmy ze zgorśzeniem, gdy całe pułki czeskie zbiegały do nieprzyjaciela. Nie mogliśmy ich kroku rozumieć, nawet gdy on był manewrem politycznym. Zbyt ceniliśmy honor żołnierski, zbyt byliśmy wsłuchani w odgłosy strzałów naszych braci z pod Łowczówka i Krzywopłotów.

— Ale czy Austria postępowała z nami uczciwie? Czy swą taktyką nie odpychała nas konsekwentnie od siebie?

— Pamiętamy dobrze te czasy w 1915 roku, kiedy narodowość polska była na indeksie, kiedy nas spotykały represje we wszelkiej postaci, kiedy nie mogliśmy zagrać miejsca w kadrze, czy szpitalu, kiedy nas ganiano z frontu na front, kiedy nam zabraniano mówić po polsku.

Mimo wszystko chcieliśmy być wiernymi żołnierzami z tą wiarą, że wierną służbą pomagamy Polsce.

— A kiedy po zdobyciu Królestwa Polskiego Mocarstwa Centralne podzieliły je między siebie na dwie okupacje, kiedy w 1916 i 17 roku w konkurencji walczących ze sobą potęg wygrywano nas i jak piłkę rzucano między sobą, kiedyśmy widzieli, że Austrii obojętną jest sprawa Polski, kiedy wreszcie jej zakulisowa, wroga działalność została w Traktacie Brzeskim zde-maskowana, kiedyśmy, proszę panów, z przerażeniem stwierdzili, że w podzięcie za ofiarność naszą szykują nam czwarty rozbiór Polski — od zwątpienia, nieufności, bierności — stopniowo przeszliśmy do nienawiści!

— Dlatego też w następstwie znienawidzenia Austrii narodziła się potrzeba protestu, buntu. Ale na bunt jawny nie mogliśmy się ważyć. Austria zatopiłaby go w morzu krwi. Wówczas z konspiracyjnych zebrzań powstała irredenta austriacka, idea wallenrodyzmu. Wallenrodyzm, moi panowie, to ustawiczne przeciwstawianie się własnemu sumieniu, to długotrwały dramat wewnętrzny. Idąc po tej linii stanęliśmy w kolizji z uczciwością żołnierską i musieliśmy przejść najboleśniejszą dla żołnierza tragedję — konfliktu z honorem żołnierskim. A honor żołnierski to nie jakiś samochwalczy termin, to superlatyw godności człowieczeństwa: żołnierz pieczętuje swój honor śmiercią. I w konsekwencji, chcąc wedle najlepszej woli służyć sprawie Polski, musieliśmy w konflikcie z honorem żołnierskim legalizować — zdradę.

— Gdyby Austria była wobec nas lojalną, byłibyśmy podobnie, jak ks. Józef Bonapartemu po jego odwołanie z pod Moskwę—

pozostali wiernymi do ostatniej chwili. Ale Austria zmusiła nas do zdrady honoru żołnierskiego, a zdrada, moi panowie, — mówił Dobrodzicki, pochyliwszy głowę, równa się skreśleniu osobistej godności.

— Oby nasze przyszłe pokolenia nie musiały przechodzić takich dramatów — oby umiały uszanować skarb — Wolności.

— Myślę, kochani koledzy, o tych, którzy w żołnierskim trudzie dali swe życie na szanecu austriackim z tą wiarą, że śmiercią swoją wyzwalają Polskę, myślę o tych towarzyszach broni, którzy wbrew przekonaniu o celowości swej ofiary, ginęli z okrzykiem: — niech żyje Polska, niech żyje Entente!

— Trzeba, aby twórcy Traktatu Wersalskiego zrozumieli, że w zapasach wojny światowej krwawiło na polach bitew przeszło trzy miliony uzbrojonych Polaków i biło się z tą wiarą, że z tej krwawej siejby musi powstać wolna Ojczyzna, że odbudowa Polski — to nie tylko akt łaski, ale prosty nakaz dziejowej chwili i sprawiedliwości.

— Ale przejdźmy do radośniejszych rozmyślań.

— Kiedy wspomnę sobie tęsknotę duszy polskiej z czasów przedwojennych do wolności i uświadomię, że oto w rezultacie wojny zmartwychwstała Polska, zdaje mi się, że mamy prawo nazwać się najszcześliwszem pokoleniem.

— Tu w tem kasynie sześć lat temu słowo „Polska“ było ze słownika wykreślone. Zdawało się, że istotnie pogrzebie nas nieubłagany bieg historii, i z Ojczyzny naszej pozostanie tylko wspomnienie, zamglony męt.

— Tymczasem patrzcie! — Ze ścian, gdzie wisiał portret cesarza austriackiego — dziś z pod krzaczastych brwi patrzą na nas oczy Naczelnego Wodza Wojsk Polskich...

— Czy wiecie, że za nim, za Pierwszym Marszałkiem Polski szliście wy, jako pierwsi żołnierze Państwa Polskiego! — że dzieje dały nam ten zaszczyt ponad zaszczyty... marszu do wolnej Polski.

— Więc w górę serca!

— Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!

Potężne: Niech żyje! — jest odpowiedzią.

Pojaśniały twarze. — Muzyka zagrała hymn polski.

Staliśmy na baczność bardzo wzruszeni.

— Tak — myślał każdy z nas — jakież bogaty plon żołnierskiego trudu i rozlanej krwi i łez osieroconych rodzin.

*

*

*

Gdy muzyka skończyła hymn, Dobrodzicki przeczekał chwilę, poczem usiadł w milczeniu. Na dany przez niego znak muzyka zaczęła grać „Wiązanekę pieśni żołnierskich”. Toasty szły w żywym tempie.

Tak radowaliśmy się, my — żywi!

*

*

*

Po południu odbył się capstrzyk na mieście, poczem przy zapalonych pochodniach — apel poległych.

Padają nazwiska: Buczma, Duch Bronisław, Obstler, Bogusz, Świebocki, Durlak, Grzybowski, Kraus Rudolf, Wusatowski Jerzy, Kicka, Bittner, Bułakiewicz, Żebracki, Wiewióra..., idą rzędem dziesiątki, setki...

-- Zginął, zginął! — odpowiada sierżant służbowy.

Pochyla się sztandar pułkowy. Muzyka gra marsza żałobnego. Myśli nasze, gdy salutujemy poległych, biegną do Lwowa, Kijowa, Rawy Ruskiej, Sanoka, Brześcia, Wilna, Dynaburga, do Włoch; do Jugosławji; Rumunji, hen na Sybir, Murman, wszędzie, gdzie wojna była.

Wszędzie tam rozrzucone są kości naszych Podhalan, wszędzie tam zrosili krwią swoją ziemię.

Niemasz ich już wśród nas.

Ruszamy na cmentarz. W takt muzyki dziarsko maszeruje gromada cywilów.

Jesteśmy przed cmentarzem wojskowym.

— Kompanja, stój! — pada ostry rozkaz. Muzyka umilkła.

— Prezentuj broń! — Na prawo patrz!

U stóp olbrzymiego cokołu, zbudowanego przez jeńców włoskich z wielkich głazów, stoi wyrzeźbiony rycerz w pełnej zbroi, wsparty dłońmi na mieczu. Przez szpary przyłbicy zda się patrzeć na rzędem sterczące nagrobki. A jest ich wiele.

Pomieszali się Niemcy, austryjaccy i pruscy, Polacy, Czesi. Włosi, Rumuni, Serbowie, Rosjanie, Węgrzy, Żydzi...

Śpijcie wy wszyscy, wy po śmierci pojednani, padliście
w walce wzajemnej, choć za życia jeden drugiemu nic nie za-
winili.

Śpijcie, koledzy!

* *

Wracamy. Niema wśród nas umarłych, są żywi.

Takie jest prawo życia. Więc gdy muzyka zaczęła grać —
wszyscy przyśpiewują:

— Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani.
Że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani,
Chłopcy malowani, sami wybierani...

K O N I E C.

WYDAWNICTWO ULTIMA THULE

WARSZAWA, UL. Św. BARBARY Nr. 1. P. K. O. 9908

WIELKA ENCYKLOPEDJA POWSZECHNA ULTIMA THULE

pod redakcją Dra St. Fr. Michalskiego, przy współudziale
wybitnych sił naukowych. Dotąd wyszły z druku tomy:
I—VII

tom VIII i następne (w druku), w prenumeracie . . . po Zł. 50.—

BIBLIOTEKA INDYJSKA,

przekłady z sanskrytu Dra St. Fr. Michalskiego:

UPANISZADY, wyd. II Zł. 4.—

 w oprawie „ 9.—

BHAGAWADGITA, wyd. III „ 6.—

 w oprawie „ 12.60

DHAMMAPADAM „ 7.—

 w oprawie „ 12.—

AFORYZMY INDYJSKIE, przekład E. Pavoliniego

prof. uniwersytetu we Florencji „ 1.90

 w oprawie „ 6.90

BHAGAWADGITA, texte sanscrit „ 3.50

H. hr. RZEWUSKI. *Pamiętniki Bartłomieja Micha-*

łowskiego, z przedmową i w opracowaniu prof. H. Moś-

cickiego „ 7.50

 w oprawie „ 10.—

St. DOBRZYCKI. *Rodowód Telimeny* „ 4.—

PIOTR SKARGA. *Kazania przygodne. 5. tomów*

oprawne w jednym (na wyczerpaniu)

oprawa wykwińska w skórę Zł. 220.—

„ zwyczajna w skórę „ 150.—

„ w półskórek „ 125.—